

EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

CISZA
BIAŁEGO
MIASTA



EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

CISZA
BIAŁEGO
MIASTA

przełożyła
Joanna Ostrowska



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Mojemu dziadkowi. Mam aż nadto powodów.

Świat potrzebuje złych ludzi.
Żeby strzegli go przed tymi gorszymi^[1].

Spis treści

PROLOG

- 1 STARA KATEDRA
- 2 LOS ARQUILLOS
- 3 ZABALLA
- 4 PAŁAC VILLA SUSO
- 5 DOM POD SZNUREM
- 6 ULICA DATO 2
- 7 VILLAVERDE
- 8 PLAC MACHETE
- 9 ARMENTIA
- 10 PASEO DE LA SENDA
- 11 SAN ANTONIO
- 12 ZIELONY PIERŚCIEŃ
- 13 KLINIKA VITORIA
- 14 SAN VICENTEJO
- 15 PROSTA WŚRÓD SOSEN
- 16 ANIOŁ Z CMENTARZA ŚWIĘTEJ ELŻBIETY
- 17 MONTE DE LA TORTILLA
- 18 POSĄG Z ULICY DATO
- 19 TXAGORRITXU
- 20 MURAL Z CAMPILLO
- 21 GENERAL ÁLAVA 2
- 22 PARK KRAJOBRAZOWY GORBEA
- 23 PROCESJA LAMPIONÓW
- 24 PORANNY RÓŻANIEC
- 25 KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO MICHAŁA
- 26 PROMENADA MIRACONCHA
- 27 WIEŻOWCE PRZY ULICY HONDURAS
- 28 ZUGARRAMURDI
- 29 PAŁACYK UNZUETÓW
- 30 DOM Z MIGRENA
- 31 WIEŻA DOÑI OCHANDY
- 32 IZARRA

33 WĘDROWIEC
34 PARK EL PRADO
35 KRZYŻ NA GORBEI
36 SALBURUA
37 TUNEL CHOCHLIKA
38 DROGA TRZECH KRZYŻY
39 CIS DOÑI LOLI
40 ULICA DATO 1
41 PRZEŁĘCZ AIURDIN
42 MURGUÍA
43 POMNIK BITWY POD VITORIA
44 SZKOŁA IM. HEMINGWAYA
45 PARK ARRIAGA
46 STARÓWKA
47 TREVIÑO
48 OCHATE
49 SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA
50 LAGUARDIA
51 SAN TIRSO
52 MIASTO KRAKENA
PODZIĘKOWANIA

PROLOG

Vitoria, sierpień 2016

Kamery telewizyjne z uporem prześladowały moją paczkę. Dziennikarze potrzebowali sensacji i byli przekonani, że moi koledzy mogą im jej dostarczyć. Ścigali ich po całej Vitorii, nie dali im chwili wytchnienia, odkąd gruchnęła wiadomość, że zostałem postrzelony przez mordercę.

Czekali na nich o świcie przed drzwiami ich domów. I po południu, kiedy spotykali się na *pintxos*^[2] w barze Saburdi przy ulicy Dato. Moi przyjaciele jedli w milczeniu – w tamtych dniach nikt nie miał ochoty na rozmowy, a nieustanna obecność dziennikarzy nie pomagała.

– Przykro nam z powodu tego, co spotkało inspektora Ayalę. Przyjdziecie dziś po południu na wiec? – zapytał jeden z dziennikarzy, wymachując im przed nosami gazetą; wiadomość o zgromadzeniu widniała na pierwszej stronie, moje zdjęcie zajmowało prawie tyle samo miejsca co nagłówek.

To ja byłem tym dużym facetem o ciemnych włosach sfotografowanym kilka dni przed strzelaniną, kiedy nieudolnie zasłaniałem się przed obiektywami.

Moje koleżanki spuściły głowy, koledzy odwrócili się plecami do kamery.

– Jesteśmy w szoku – zaczął wreszcie J., dopijając czerwone wino. – Życie jest niesprawiedliwe, niesprawiedliwe.

Może myślał, że to wystarczy, żeby dali im spokój, ale w tym momencie reporterzy dostrzegli Germana, mojego brata. Przy jego wzroście metr dwadzieścia nie sposób było go nie rozpoznać. Próbował przemknąć się do toalety. Dziennikarz wyłapał go okiem wprawionym w wychwytywanie sensacji i natychmiast dał znak kamerzystom.

– To jego brat, idźcie za nim!

Germán odwrócił się, zanim zamknął im przed nosem drzwi do łazienki. Jeszcze tego samego wieczoru tę scenę odtworzyły wszystkie ogólnokrajowe stacje telewizyjne.

– Idźcie do diabła – powiedział tylko, nawet nie ze złością, nawet nie z urazą. Po prostu ze znużeniem.

Wiem, że wszyscy mieszkańcy Vitorii byli wstrząśnięci tym, że skończyłem z kulą w głowie. Gdybym w tamtym momencie był w stanie myśleć – rzecz fizjologicznie niemożliwa – odebrałoby mi głos ze wzruszenia.

Policjant nigdy się nie spodziewa, że zakończy śledztwo jako ostatnia ofiara seryjnego mordercy, który sterroryzował całe miasto, ale życie potrafi być bardzo kreatywne w płatanii figli.

I... owszem: nie wyszedłem na tym najlepiej. Jak już mówiłem, skończyłem z kulą w mózgu. Ale może powinienem przedstawić najpierw po kolei szczegóły wydarzeń, które początkowo określono mianem „podwójnej zbrodni z dolmenu”, a które okazały się zaprogramowaną serią zabójstw latami obmyślanych przez zbrodniczy umysł przewyższający ilorazem inteligencji każdego z tych, którzy próbowali go powstrzymać, póki jeszcze był na to czas.

Kiedy ktoś, kto zaczyna seryjnie zabijać, jest pieprzonym geniuszem, pozostaje ci jedynie się modlić, żeby po zwolnieniu blokady w kasecie maszyny losującej nie została wybrana twoja liczba.

1

STARA KATEDRA

24 lipca, niedziela

Delektowałem się właśnie najlepszą tortillą na świecie, z nie do końca świętych jajek oraz ugotowanych i podsmażonych ziemniaków, kiedy odebrałem telefon, który zmienił moje życie. Na gorsze, gwoli ścisłości.

Nazajutrz przypadała uroczystość świętego Jakuba, kiedy to Vitoria obchodziła Día del Blusa^[3], święto bractw młodzieży będące rozgrzewką przed rozpoczynającymi się na początku sierpnia obchodami ku czci Virgen Blanca, Białej Panienci. W barze z grillem, gdzie próbowałem skończyć ten miniprzysmak, panowały taki ścisk i hałas, że kiedy poczułem wibrowanie komórki w kieszonce koszuli, tuż przy sercu, musiałem wyjść na ulicę El Prado.

– Co jest, Estíbaliz?

Koleżanka nie zwykła mnie nękać, kiedy miałem wolne, a Día del Blusa i poprzedzający go dzień były zbyt święte, żeby nawet rozważać pójście do pracy, tym bardziej że całe miasto stało na głowie.

Hałas instrumentów dętych i potoku ludzi podążających za orkiestrą, którzy śpiewali i podrygiwali w rytm muzyki, zagłuszył to, co próbowała mi powiedzieć.

– Unai, musisz przyjść do Starej Katedry – ponagliła mnie.

Ton jej głosu, jego brzmienie, w którym mieszały się niepokój i zniecierpliwienie, dziwiły u babki, która miała większe jaja niż ja – co sporo o niej mówi.

Natychmiast zrozumiałem, że wydarzyło się coś poważnego.

Próbując oddalić się od wszechobecnej wrzawy, która tego dnia wypełniała miasto, odruchowo skierowałem kroki w stronę parku Florida, by uciec od decybeli uniemożliwiających przeprowadzenie choćby minimalnie skutecznej rozmowy.

– Co się stało? – zapytałem, starając się otrzeźwieć po ostatnim kieliszku

rioy, którego nie powinienem był wypijać.

– Nie uwierzysz, wszystko wygląda tak samo jak dwadzieścia lat temu.

– O czym ty mówisz, Esti? Jestem trochę przymulony.

– Archeolodzy z firmy restaurującej katedrę znaleźli w krypcie dwa nagie ciała. Chłopaka i dziewczynę trzymających się za policzki. Brzmi znajomo, prawda? Przyjdź tu natychmiast, Unai. To poważna sprawa, bardzo poważna.

– Rozłączyła się.

Niemożliwe, pomyślałem.

Niemożliwe.

Nawet nie pożegnałem się z kumplami. Pewnie dalej siedzieli w tłumie wypełniającym restaurację Sagartoki, było mało prawdopodobne, że któryś z nich odbierze, jeśli zadzwonię z informacją, że dla mnie Día del Blusa właśnie się skończył.

Ruszyłem w stronę placu Virgen Blanca, w uszach wciąż dźwięczały mi ostatnie słowa Estíbaliz. Minąłem wejście do mojej kamienicy i dotarłem do Correría, jednej z najstarszych ulic średniowiecznej części miasta.

Okazało się, że to był zły wybór. Ulicę wypełniały tłumy, jak zresztą całe centrum. La Malquerida i inne bary zajmujące partery kamienic pękały w szwach. Dopiero ponad kwadrans później dotarłem do placu Burullería, dziedzińca na tyłach katedry, gdzie umówiłem się z Estíbaliz.

Plac wziął swoją nazwę od *burulleros*, sukienników, którzy handlowali na nim w XV wieku, czyniąc z miasta jeden z obowiązkowych przystanków na szlaku handlowym na północy półwyspu. Szedłem po bruku, odlany w brązie posąg zatroskanego Kena Folleta spojrział na mnie, kiedy go mijałem, jakby pisarz domyślał się, że wokół nas zaczęła się już tkąć mroczna sieć.

Estíbaliz Ruiz de Gauna – tak jak ja inspektor Wydziału Kryminalnego – czekała na mnie zdenerwowana, biegała po placu niczym jaszczurka i wydzwaniała w tysiące miejsc. Miała rude, sięgające do brody włosy i mierzyła zaledwie metr sześćdziesiąt. Mało brakowało, a z powodu wzrostu nie przyjęliby jej do policji; mało brakowało, a Vitoria straciłaby jednego ze swoich najlepszycy i najwytrwalszych śledczych.

Oboje byliśmy cholernie dobrzy w prowadzeniu dochodzeń, ale już nie tak dobrzy w przestrzeganiu zasad. Mieliśmy na swoim koncie niejedno upomnienie za niesubordynację, dzięki czemu nauczyliśmy się nawzajem kryć. Jeśli zaś chodzi o przestrzeganie zasad... pracowaliśmy nad tym.

Pracowaliśmy nad tym.

Ja przymykałem oko na niektóre nałogi, które wciąż ciągnęły się za Esti. Ona odwracała wzrok, kiedy nie słuchałem poleceń przełożonych i prowadziłem śledztwo na własną rękę.

Wyspecjalizowałem się w profilowaniu kryminalnym, wzywano mnie więc do spraw z udziałem seryjnych morderców, gwałcicieli... Wszelakich zwyrodnialców, którzy dopuścili się recydywy. Jeśli ktoś dokonał trzech lub więcej zbrodni w oddzielnych epizodach, oddawano go mnie.

Estibaliz była ekspertką w zakresie wiktymologii – wielkich zapomnianych. Dlaczego akurat ta, a nie inna ofiara? Wprawniej niż ktokolwiek inny posługiwała się bazami danych, takimi jak Sicar, w której znajdowały się wszelkie możliwe odciski butów i opon, czy SoleMate, kompendium wszystkich marek i modeli obuwia produkowanego na całym świecie.

Na mój widok oderwała od ucha komórkę i spojrzała na mnie z powagą.

– Co jest tam w środku? – chciałem wiedzieć.

– Lepiej będzie, jak sam zobaczysz – szepnęła, jakby mogło nas usłyszeć niebo, a może piekło, kto wie. – Dzwonił do mnie sam komisarz Medina. Chcą eksperta od profilowania, kogoś takiego jak ty, mnie poprosili, żebym skupiła się na ofiarach. Zaraz zrozumiesz dlaczego. Chciałabym, żebyś podzielił się ze mną pierwszymi wrażeniami. Na miejscu są już technicy z laboratorium kryminalistycznego, lekarz sądowy i sędzia. Wejdziemy od strony Cuchi.

Cuchillería była kolejną ze starych ulic, które wzięły nazwę od cechów: w średniowieczu skupiały się przy niej warsztaty nożowników. W Vitorii mamy nieprzebrane pamiątki po zawodach naszych praszczurów: ulice kowali, szewców, rymarzy, malarzy... Pierwotny zarys starówki – ze względu na kształt noszącej nazwę „średniowiecznego migdała” – pozostał nienaruszony pomimo upływu wieków.

Co ciekawe, do katedry można się było dostać wejściem, które na pierwszy rzut oka prowadziło do zwykłej kamienicy.

Masywnych drewnianych drzwi pod numerem 95 pilnowało dwóch policjantów. Przywitani się z nami i wpuścili nas do środka.

– Przesłuchałam już dwoje archeologów, którzy znaleźli ciała – poinformowała mnie koleżanka. – Przyszli dzisiaj do pracy, żeby nadrobić zaległości, podobno ci z Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny naciskają, żeby do końca roku wyrobili się z kryptami i fosą. Zostawili nam klucze. Jak widzisz, zamek jest nietknięty. Nikt przy nim nie majstrował.

– Chcesz powiedzieć, że przyszli do pracy po południu, w wigilię Día del Blusa? Czy to nie trochę... dziwne jak na vitorczyków?

– Nie zauważyłam w ich zachowaniu niczego dziwnego. – Pokręciła głową.
– Byli oszołomieni, a raczej przerażeni. Takiej zgrozy nie sposób udawać.

Niech ci będzie, pomyślałem. Ufałem instynktowi Estíbaliz, jak tylne koło tandemu ufa przedniemu. W ten sposób pracowaliśmy, razem pedałowując.

Znaleźliśmy się pod odnowionymi podcieniami, Esti zamknęła za nami drzwi. Odgłosy fiesty wreszcie ucichły.

Aż do tego momentu informacja o znalezieniu dwóch ciał zaledwie obijała mi się po głowie, nie przyjąłem jej do końca do wiadomości, za bardzo kontrastowała z panującą wokół radosną, beztroską wrzawą. Kiedy tylko zamknęły się drzwi, klasztorna cisza i słabe światło rzucane przez reflektory na drewniane schody prowadzące do krypty sprawiły, że wszystko wydało mi się bardziej rzeczywiste. Aczkolwiek niepożądane.

– No już, bierz kask. – Podała mi jeden z białych kasków z logo fundacji, które kazano zakładać turystom zwiedzającym katedrę. – Przy twoim wzroście na pewno walniesz się w głowę.

– Nie zakładam żadnego kasku. – Zająłem się lustrowaniem dziedzińca.

– To obowiązkowe. – Nie ustąpiła i ponownie wyciągnęła w moją stronę białe paskudztwo, muskając palcami grzbiet mojej dłoni.

To była taka nasza gra, w której obowiązywała tylko jedna zasada: „Ani kroku dalej”. Choć tak naprawdę istniała jeszcze druga, uzupełniająca: „Nie pytaj. Ani kroku dalej”. Dwa lata bez postępów wyznaczyły status quo, ustaliły charakter naszych relacji, skądinąd bardzo dobrych. Miało to także związek z tym, że Esti szykowała się do ślubu, a ja byłem wdowcem, odkąd... Zresztą nieważne.

– Mięczak – mruknąłem i wziąłem plastikowy kask.

Weszliśmy po krętych schodach, zostawiając za sobą makiety osady Gasteiz, na której miejscu wzniesiono potem Vitorię. Estíbaliz przystanęła, żeby odszukać klucz, który miał nam umożliwić wstęp do wnętrza Starej Katedry, jednego z symboli naszego miasta, odnawianej i łataniej więcej razy niż mój dziecięcy rowerek. Przywitał nas widniejący po prawej stronie napis: OTWARTE Z POWODU REMONTU.

Znałem wszystkie symbole swoich rodzinnych stron, miałem je wyryte w płacie skroniowym, odkąd dwadzieścia lat i cztery miesiące temu podwójna zbrodnia z dolmenu wstrząsnęła całym pokoleniem mieszkańców Vitorii.

Dolmen Chatka Czarownicy, celtycka osada La Hoya, rzymskie saliny w Añanie, średniowieczne mury... Taką scenerię wybrał seryjny morderca, za którego sprawą Vitoria i prowincja Álava trafiły do kronik kryminalnych dzienników telewizyjnych na całym świecie. Szczególna, makabryczna oprawa zbrodni wzbudziła niezdrowe zainteresowanie do tego stopnia, że organizowano nawet specjalne trasy turystyczne.

Miałem wtedy dwadzieścia lat, ta sprawa tak mnie wciągnęła, że postanowiłem zostać policjantem. Na bieżąco śledziłem przebieg dochodzenia z zachłannością, jaką potrafiłby zrozumieć jedynie inny monotematyczny dwudziestolatek. Analizowałem nieliczne informacje publikowane w „El Diario Alavés” i myślałem: „Ja zrobiłbym to lepiej. Działają nieudolnie, nie biorą pod uwagę najważniejszego: motywu, przyczyny”. Otóż to: w wieku dwudziestu lat uważałem się za sprytniejszego niż policja. Teraz myślę, że byłem wtedy strasznie naiwny.

Prawda uderzyła we mnie mocniej niż cios boksera, ogłuszyła mnie, podobnie jak resztę kraju. Nikt nie przypuszczał, że mordercą okaże się Tasio Ortiz de Zárate. Nie przejąłbym się, gdyby zrobił to ktokolwiek inny: mój sąsiad, siostra klaryska, piekarz, a nawet sam burmistrz. Nie przejąłbym się.

Ale nie on, nasz miejscowy bohater, ktoś więcej niż idol: wzór do naśladowania. Medialny archeolog, gospodarz programu telewizyjnego o rekordowej oglądalności, autor książek historycznych i powieści kryminalnych, które wyprzedawały się w ciągu kilku tygodni. Tasio był najbardziej charyzmatycznym i czarującym człowiekiem, jakiego w ostatnich dekadach wydała na świat Vitoria. Błyskotliwy, przystojny – jak twierdziły zgodnie wszystkie kobiety – a do tego podwójny.

Owszem, podwójny.

Bo było ich dwóch do wyboru. Tasio miał jednojajowego bliźniaka, identycznego nawet pod względem manikiuru. Byli nie do odróżnienia. Optymiści, z dobrej rodziny, weseli, rozrywkowi, wykształceni, o nienagannych manierach... W wieku zaledwie dwudziestu czterech lat mieli u swoich stóp całą Vitorię, a przed sobą przyszłość, która zapowiadała się bardziej niż świetlanie: gwiazdziście, stratosferycznie.

Bliźniak Ignacio poszedł ścieżką prawa: wstąpił do policji, kiedy ta przechodziła swój najcięższy okres, był najuczciwszym gliną, jaki kiedykolwiek u nas pracował. Nikt nie przypuszczał, że losy braci potoczą się, tak jak się potoczyły. Wszystko – podkreślam: wszystko – było zbyt obrzydliwe i okrutne.

To, że jeden brat znalazł niepodważalne dowody na to, że jego bliźniak jest

najbardziej poszukiwanym seryjnym mordercą od czasu przywrócenia demokracji, to, że sam musiał wydać nakaz aresztowania, choć do tego czasu byli nierozłączni jak bracia syjamscy... Ignacio został człowiekiem roku, powszechnie poważanym bohaterem, który miał odwagę wziąć na siebie odpowiedzialność i zrobić to, na co zdobyłoby się niewielu z nas: wsadzić za kratki członka własnej rodziny.

W związku z czym nasunęło mi się niepokojące pytanie. Lokalne gazety, „El Diario Alavés” i „El Correo Vitoriano”, dwaj śmiertelni wrogowie, w ostatnich dniach stale przypominały, że za kilka dni Tasio Ortiz de Zárate wyjdzie na swoją pierwszą przepustkę po dwudziestu latach spędzonych w więzieniu. I właśnie teraz, akurat właśnie teraz miasto o najmniejszym wskaźniku przestępczości w północnej Hiszpanii zdobywało dwa punkty w makabrycznej statystyce?

Potrząsnąłem głową, jakby ten gest miał odegnać ode mnie demony. Przykazałem sobie zostawienie wniosków na później i skupienie się na tym, co zastanę w środku.

Weszliśmy do odnowionej krypty, sufit był tak niski, że faktycznie musiałem się schylić. W środku pachniało jeszcze świeżym drewnem. Ostrożnie stąpałem po płytach z szarego kamienia, gładkich, prostokątnych, tak perfekcyjnych, że mogły być jedynie wytworem jakiejś XXI-wiecznej maszyny. Wyglądały na nowe, szkoda było je brudzić. Przed nami wznosiły się dwie potężne kolumny uginające się pod ciężarem mijających stuleci, prawdziwe podpory starej, zapadającej się katedry.

Na widok dwóch leżących nieruchomo ciał poczułem mdłości. Omal nie zwymiotowałem.

Om al.

Technicy w białych kombinezonach i ochraniaczach na butach już od jakiegoś czasu oglądali miejsce zbrodni. Rozstawili kilka lamp, żeby oświetlić ciemną kryptę, wyglądało na to, że skończyli robić zdjęcia – na podłodze leżało jeszcze kilka przymiarów. Estíbaliz poprosiła o szkic miejsca zdarzenia i podała mi go po uważnym przestudiowaniu.

– Powiedz mi, że nie mają po dwadzieścia lat – poprosiłem błagalnym tonem.

Wszystko jedno ile, byle nie dwadzieścia.

Poprzedni morderca zatrzymał się na piętnastu latach: cztery pary dzieci obojga płci, nagie, delikatnie dotykające dłońmi policzka partnera. Niedorzeczny gest czułości, którego nikt dotąd nie zdołał wytłumaczyć,

ustalono bowiem, że ofiary się nie znały. Wszystkie miały złożone, typowe dla Álavy nazwiska: López de Armentia, Fernández de Retana, Ruiz de Arcaute, García de Vicuña, Martínez de Guereñu...

W dolmenie Chatka Czarownicy w pobliżu miasteczka Elvillar znaleziono martwe ciała dwojga noworodków. Niedługo później w ruinach celtoberyjskiego grodu La Hoya w gminie Laguardia odkryto zwłoki pięciolatek. Pocieszających się nawzajem dotykiem dłoni, ze wzrokiem wpatrzonym w niebo.

W Słonej Dolinie w Añanie, gdzie od czasów Rzymian wydobywano sól, znaleziono ciała dziesięcioletnich chłopca i dziewczynki. Kiedy zbrodniarz dotarł do Vitorii i przy bramie średniowiecznych murów pojawiły się zwłoki piętnastolatek, panowała już taka psychoza, że ci, którzy mieli po dwadzieścia lat, siedzieli zamknięci w domach, grając z dziadkami w karty. Nikt nie miał odwagi przechadzać się po Vitorii, chyba że w grupie. Jakby wiek ofiar rósł wraz z historyczną chronologią naszego regionu. Wszystko bardzo archeologiczne, bardzo w stylu Tasia.

Potem go złapali. Inspektor Ignacio Ortiz de Zárate wydał nakaz aresztowania Tasia Ortiza de Zárate, najślynniejszego i najbardziej uwielbianego archeologa w kraju. Tasio stanął przed sądem, został uznany za winnego popełnienia ośmiu zabójstw i trafił do więzienia.

Żniwa na vitoriańskich dzieciach zostały przerwane.

Głos Esti przywrócił mnie do teraźniejszości.

Lekarz sądowy, doktor Guevara, szczupła pięćdziesięciolatka o płaskich czerwonych policzkach, rozmawiała cicho z sędzią Olano, starszym mężczyzną o szerokich plecach, grubym tułowiu i krótkich nogach. Spieszyło mu się, widać było, że marzy, by jak najszybciej uciec z krypty. Woleliśmy na razie nie podchodzić, wyglądało na to, że nie chcą, by im przerywano.

– Jeszcze nie zostali zidentyfikowani – poinformowała mnie ściszym głosem Estíbaliz. – Sprawdzamy zgłoszenia o zaginięciach. Ale oboje, chłopak i dziewczyna, wyglądają na dwadzieścia lat. Myślisz o tym samym co ja, prawda, Kraken?

Niekiedy używała mojej szkolnej ksywy, była to jedna z poufałości, do jakich z czasem doszliśmy.

– Niemożliwe, żeby działo się to, o czym myślę – szepnąłem, zaciskając szczęki.

– Ale się dzieje.

– Jeszcze nie wiemy – uciałem stanowczo.

Nie odpowiedziała.

– Jeszcze tego nie wiemy – powtórzyłem, może po to, żeby przekonać samego siebie. – Skupmy się na tym, co mamy. Jeśli chcesz, potem na zimno omówimy wnioski w moim gabinecie.

– Zgoda. Co widzisz?

Podszedłem do ciał, uklęknąłem na jedno kolano i szeptem wyrecytowałem moją modlitwę:

„Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”.

– Trzy *eguzkilorre*, słoneczne kwiaty – powiedziałem wreszcie. – Jeden między głowami, dwa po bokach stóp. Nie rozumiem znaczenia tej scenografii.

W baskijskiej kulturze *eguzkilorre* pełni funkcję ochronną, dawniej umieszczano go na drzwiach domostw, żeby nie dostały się do nich czarownice i demony. Jednak nie ochronił ofiar.

– Ja też nie rozumiem, co tu robią. – Estíbaliz pochyliła się nade mną. – Moja kolej: kobieta i mężczyzna rasy białej, w wieku od dwudziestu do dwudziestu kilku lat. Ułożeni na wznak na posadzce katedry, nadzy. Na ciałach brak ran ciętych, śladów pobicia i przemocy. Ale... spójrz: oboje mają małe otworki z boku szyi. Nakłucia. Coś im wstrzyknięto.

– Musimy poczekać na raporty toksykologiczne – powiedziałem. – Trzeba będzie wysłać próbki do Zakładu Medycyny Sądowej w Bilbao, może znajdą narkotyki albo psychotropy. Coś jeszcze?

– Każda z ofiar trzyma dłoń na policzku drugiej. Lekarz sądowy ustalił czas zgonu, ale zważywszy na brak stężenia pośmiertnego, zakładałam, że są martwi zaledwie od paru godzin – dodała. – Poproszę techników, żeby zabezpieczyli dłonie papierowymi torbami, nie wygląda na to, żeby się bronili, ale nigdy nie wiadomo.

– Pochyl się tutaj. – Wskazałem ręką. – Czy od nich pachnie... benzyną? Ledwo czuć, ale to coś jakby benzyna albo ropa naftowa.

– Faktycznie, masz niezły węch. Ja bym nie poczuła – powiedziała Esti, obwąchawszy twarz. – Musimy jeszcze ustalić przyczynę śmierci. Myślisz, że tym razem też ich otruto jak wcześniejsze ofiary? Może kazano im pić benzynę?

Zanim odpowiedziałem, pochyliłem się nad twarzą dziewczyny. Zamarł na niej grymas bólu. Zginęła w męczarniach, podobnie jak chłopak. Spojrzałem na jego włosy. Były świeżo przycięte na bokach, czub trzymał się jeszcze

sztynno dzięki piance z drogiego zakładu fryzjerskiego. Najwyraźniej dbał o wygląd. Dziewczyna też była ładna, atrakcyjna. Miała wydepilowane brwi i gładką cerę bez śladu trądziku, należała do pokolenia, które na co dzień korzysta z odżywek do włosów i usług kosmetyczki.

Bogate dzieciaki, pomyślałem. Jak te wcześniej. Zrozumiałem, że popełniamy błąd.

– Esti – ostudziłem jej zapał. – Musimy się zresetować i zacząć od zera. Nie przeprowadzamy oględzin miejsca zbrodni, oboje zaczęliśmy porównywać je z tymi sprzed lat. Przyjdzie na to czas, ale najpierw potraktujemy je tak, jakby było jedyne w swoim rodzaju, później zabierzemy się do szukania analogii.

– Moim zdaniem właśnie o to chodzi mordercy albo mordercom. Aranżacja jest identyczna jak przy poprzednich zbrodniach. A jeśli chcesz poznać moją opinię, ofiary kontynuują serię sprzed dwudziestu lat.

– Tak, ale są różnice. Nie sądzę, żeby przyczyną śmierci było otrucie. Do prasy nigdy nie wyciekło, co to była za trucizna. Nie wydaje mi się też, żeby chodziło o benzynę. Zapach byłby znacznie silniejszy, musieliby jej wypić bardzo dużo, nie ma też śladu po oparzeniach chemicznych. Wygląda to tak, jakby mieli kontakt tylko z jedną czy dwiema kroplami.

Pochyliłem się nad twarzą chłopaka. Malował się na niej dziwny wyraz, miał zamknięte usta, wargi lekko wciągnięte do środka, jakby je przygryzał.

Wtedy coś dostrzegłem. Pochyliłem się nad dziewczyną.

– Obojgu zaklejono usta taśmą do pakowania, a potem zerwano ją jednym szarpnięciem. Spójrz.

Rzeczywiście: taśma samoprzylepna, która zakrywała im usta, zostawiła prostokątne ślady, z powodu otarcia skóra miała tam nieco inny kolor.

W tym momencie wydało mi się, że w spowijającej nas ciszy przerażonych kamieni kościoła rozległ się jakiś dźwięk.

Bzyczenie, cichy, ale dokuczliwy odgłos.

Wskazałem Estibaliz, żeby się nie odzywała, i przyłożyłem ucho do twarzy chłopaka; dzielił nas zaledwie centymetr. Do diabła, co to za hałas? Zamknąłem oczy i skupiłem się wyłącznie na dźwięku, na anomalii, na zlokalizowaniu jego źródła, miejsca, gdzie ciche bzyczenie rozlegałoby się głośniej. Niemal dotknąłem czubka nosa ofiary, potem zjechałem wzdłuż mięśnia okrężnego i dotarłem do ust.

– Masz długopis?

Esti wyjęła długopis z tylnej kieszeni spodni i podała mi go ze zdziwieniem.

Otworzyłem końcówką kącik ust: ze środka wyleciała niespodziewanie rozwścieczona pszczoła. Upadłem na plecy.

– Kurwa mać! – wyrwało mi się, kiedy wylądowałem na podłodze.

Wszyscy obecni odwrócili się w naszą stronę, technicy spojrzeli na mnie z dezaprobatą, niezadowoleni, że upadłem tak blisko zwłok.

Estíbaliz zareagowała niemal od razu, próbowała złapać pszczołę, ale ta uniosła się nad naszymi głowami i kilka sekund później straciliśmy ją z oczu – odleciała w stronę krytych ruin dawnego grodu Gasteiz.

– Powinniśmy ją złapać – powiedziała, szukając jej wzrokiem nad fosą. – Może okazać się kluczowa dla śledztwa, jeżeli była narzędziem zbrodni.

– Złapać ją w kościele długim na dziewięćdziesiąt sześć metrów, licząc od drzwi do apsydy? Nie rób takiej miny, zawsze, kiedy odwiedza mnie jakiś znajomy spoza Vitorii, zabieram go do katedry na zwiedzanie z przewodnikiem – usprawiedliwiłem się na widok jej spojrzenia.

Estíbaliz westchnęła i pochyliła się nad ciałami.

– Zgoda, zapomnijmy na razie o pszczołach. Powiedz mi lepiej, czy w grę wchodzi motyw seksualny.

– Nie. – Przysunąłem się bliżej ofiar. – Na pierwszy rzut oka waga dziewczyny wygląda na nietkniętą, ale zapytajmy lekarzę, chyba już skończyła rozmawiać z sędzią.

– Panie sędzio... – zagadnęła Estíbaliz, związując w kucyk wystające spod kasku włosy.

– Dzień dobry, choć wcale taki nie jest – odpowiedział sędzia Olano. – Mój sekretarz wręczy państwu do podpisu protokół z wizji lokalnej. Ja i tak już za dużo się naoglądałem jak na ten świąteczny dzień.

– Co pan powie – mruknąłem.

Sędzia pospiesznie opuścił kryptę, zostawiając nas samych z lekarzą.

– Znalaziono jakieś ślady biologiczne? – chciałem wiedzieć.

– Zbadaliśmy ciała i miejsce zdarzenia crimescopem. – Wskazała oświetlacz kryminalistyczny. – Ani śladu krwi. Szukaliśmy także nasienia za pomocą lampy Wooda, ale nic nie znaleźliśmy. Tak czy inaczej, zaczekamy na wyniki autopsji, będą dokładniejsze, choć obawiam się, że trudno będzie cokolwiek ustalić. Jestem państwu jeszcze do czegoś potrzebna?

– Nie. Na razie nie. – Estíbaliz pożegnała lekarzkę uśmiechem. Kiedy ta wyszła, odwróciła się w moją stronę. – No dobra, Unai, to co mi powiesz o aranżacji?

– Powiem ci, że oczywiście są nadzy i że widać wyraźne konotacje seksualne, zrobienie z nich pary kochanków poprzez umieszczenie dłoni w tym dziwnym geście, najprawdopodobniej ułożono ich tak *post mortem*, kiedy morderca przetransportował już tu ciała i skierował je...

Wyciągnąłem z kieszeni komórkę i otworzyłem aplikację z kompasem. Pochyliłem się i dałem sobie trochę czasu, aż uzyskam całkowitą pewność.

– Są skierowane w stronę miejsca, gdzie podczas przesilenia zimowego wschodzi słońce – poinformowałem.

– A teraz mi to przetłumacz, ja w przeciwieństwie do ciebie nie jestem dziką istotą, która w weekendy łączy się z Matką Ziemią.

– Nie łączę się w weekendy z żadną telluryczną siłą, po prostu jeżdżę na wieś pomagać dziadkowi w polu. Gdybyś miała dziewięćdziesięcioczworoletniego dziadka uparcie odmawiającego przejścia na emeryturę, na pewno też byś to robiła. Odpowiadając na twoje pytanie: ciała skierowane są głowami na północny zachód.

Jak przy pierwszym podwójnym zabójstwie z dolmenu, pomyślałem zaniepokojony. Ta informacja owszem, ukazała się w prasie.

Zachowałem to jednak dla siebie.

Nie chciałem podważać własnych poleceń, nie chciałem, żeby Estíbaliz zauważyła, że choć staram się odseparować to zdarzenie w swojej głowie, wciąż porównuję je z grozą, której doświadczyliśmy jako dwudziestolatki. Ona prawdopodobnie robiła to samo.

Tak naprawdę wszystko się we mnie trzęsło. Nie mogłem przestać myśleć, że oddycham tym samym powietrzem co morderca. Że kilka godzin wcześniej jakiś zwyrodnialec z nieleczoną psychopatią znajdował się w tym samym miejscu co ja teraz. Spojrzałem na katedrę, jakby mógł zostawić w wypełniającym ją powietrzu jakieś widoczne ślady. Znałem jego ruchy, przelatywały mi przed oczami w przyspieszonym tempie. Widziałem, jak wnosi ciała, jak układa je w krypcie, nie zostawiając odcisków. Potrafił tego dokonać, był skrupulatny i robił to już wcześniej.

To nie był jego pierwszy popis.

Brakowało mi tylko jego twarzy, nie wierzyłem bowiem, że rozwiązanie może być aż tak proste i tak nieprawdopodobne, że mam je przed oczami. Zagadka rozwikłana, jeszcze zanim skończono ją formułować.

Estibaliz przyglądała mi się, czekając, aż wyjdę z labiryntu myśli, w którym czasami się gubiłem. Znała mnie dobrze, szanowała moje milczenie i moje rytuały.

Wreszcie wstałem, spojrzeliśmy na siebie i odkryłem, że jesteśmy o dziesięć lat starsi niż para śledczych, która pół godziny wcześniej weszła do świątyni.

– Dobra, Unai, co ci mówi twój mózg profilerka?

– Ten, kto to zrobił, jest typem mordercy zorganizowanego. To nie była spontaniczna napaść, założył się, że nie znał ofiar, uprzedmiotowił je. Poza tym mamy do czynienia z pełną kontrolą miejsca zdarzenia. Jednak najbardziej niepokoi mnie zdumiewający brak odcisków i innych śladów. Pasuje do profilu, morderca zna się na medycynie sądowej niemal jak zawodowiec, i to właśnie jest zatrważające.

– Co jeszcze? – ponagliła, wiedziała, że nie skończyłem, że na głos się przy niej zastanawiam. Często tak robiliśmy, dzięki temu myśli płynęły bardziej warko.

– Ofiary mają otwarte oczy, co oznacza, że morderca ich nie żałuje ani nie ma wyrzutów sumienia. To cecha osobowości psychopatycznej – ciągnąłem.

– Nie wyłowiłeś żadnej cechy mieszanej?

– Nie, nie ma ani jednej cechy mordercy niezorganizowanego. Wiesz, jakie to rzadkie? Ci niezorganizowani zazwyczaj pozostawiają w miejscu zdarzenia ślady brutalnej przemocy. Uszkadzają twarze, masakrują je, obijają ciała przypadkowo zdobytą bronią jak kij czy kamień. Tu jest inaczej, facet nie cierpi na psychozę, jest raczej psychopatą albo socjopatą. To ktoś drobiazgowy i przewidujący, ale nie chory psychicznie, więc na szczęście ponosi pełną odpowiedzialność karną. Zastanawia mnie narzędzie zbrodni: pszczoły? Jeżeli rzeczywiście one nim były. To fetyszystyczna broń.

– Coś, co normalnie nie jest wykorzystywane jako broń, ale dla niego ma szczególne znaczenie – myślała na głos Esti.

– Tego się obawiam – potwierdziłem. – Trzeba sprawdzić, jakiej trucizny użył morderca dwadzieścia lat temu. Kiedy wrócimy na komendę, poprosimy o akta tamtej sprawy. Jeżeli założyć, że to morderstwo jest kontynuacją serii zbrodni z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, to mówimy o dwudziestoletnim wyciszeniu. W przypadku morderców zorganizowanych im dłuższy okres wyciszenia, tym spokojniejszy charakter psychopaty, tyle że z reguły jest to kilka tygodni albo miesięcy. Wyobrażasz sobie, co nas czeka, jeżeli mamy do czynienia z dwudziestoletnim wyciszeniem?

– Ty mi to powiedz, Unai. Powiedz to na głos. Bo cała Vitoria zada sobie to pytanie, kiedy za kilka godzin sprawa stanie się ogólnokrajowym *trending topic*, rzuci się na nas prasa i będziemy musieli udzielić jakichś wyjaśnień.

Westchnąłem.

– Zgoda. Będę zadawał właściwe pytania, zobaczymy, czy mi się uda.

– Śmiało.

W tym momencie na moim lewym ramieniu przysiadła niczym motyl pewna myśl. Nie miałem wątpliwości: gdybym miał kryształową kulę, jakiś przyrząd do przepowiadania przyszłości, gdybym wiedział, że to mnie przypadnie w udziale ta sprawa, nigdy nie zająłbym się ściganiem zabójców.

Stało się to dla mnie oczywiste, bezdyskusyjne.

Zostałbym w Villaverde i siał pszenicę z dziadkiem.

Bo nie chciałem się z tym mierzyć. Nie z tym. Z czymkolwiek innym... Byłem mentalnie przygotowany, szkoliłem się latami i do tej pory nieźle mi szło. Dobre wyniki, sprawy rozwiązane w rozsądnym czasie, gratulacje i poklepywanie po plecach ze strony zwierzchników. Ale nie to, nie, jeśli w całą historię był zamieszany Tasio Ortiz de Zárate.

Musiałem to jednak powiedzieć, uczynić rzeczywistym, pozbyć się tego dokuczliwego bzyczenia nad naszymi głowami.

Zgoda, ustąpiłem. Powiem to.

– Jak, do diabła, Tasio mógł popełnić kolejne morderstwo dwadzieścia lat później, w identyczny sposób, skoro siedzi w więzieniu Zaballa? Czy ktokolwiek, nawet taki diabeł jak on, może przebywać w dwóch miejscach naraz?

LOS ARQUILLOS

Uroczystość świętego Jakuba, 25 lipca, poniedziałek

Fascynowała mnie dziwna symetria wydarzeń. Podwójne ofiary w wieku kończącym się na zero albo na pięć... Zabójca i policjant o identycznym wyglądzie... To, że morderstwa ustały, kiedy Tasio trafił do więzienia, i że zostały wznowione, kiedy miał z niego wyjść...

Fascynowała mnie i – przyznam szczerze – spędzała mi sen z powiek.

Wstałem z łóżka o szóstej rano. Nie mogłem spać. Trochę dlatego, że pod moim drewnianym balkonem wychodzącym na plac Virgen Blanca wciąż świętowano Día del Blusa, jak gdyby nie było jutra. Trochę dlatego, że zapowiadał się trudny dzień: walka z prasą, wysłuchiwanie wytycznych komisarza Mediny... Czekają mnie długie godziny spędzone w różnych gabinetach, musiałem zaczerpnąć powietrza, zanim się z tym zmierzę.

Włożyłem buty do biegania, truchtem pokonałem schody i dotarłem do drzwi dzielących mnie od serca Vitorii. Dwa lata wcześniej trafiło mi się mieszkanie w samym centrum za rozsądny czynsz. Znajoma pracująca w Perales, dużej agencji nieruchomości, wisiała mi przysługę, bo przyspieszyłem wydanie zakazu zbliżania się dla jej ekschłopaka, nazbyt porywczego. Co tu dużo gadać: straszny był z niego skurwiel.

Begoña była mi bardziej niż wdzięczna, a ponieważ wiedziała, że szukam mieszkania po tym, co stało się z Paulą i dziećmi, zaproponowała mi tę okazję, zanim wywiesiła ogłoszenie w witrynie swojej agencji. Jednopokojowe mieszkanie po remoncie. Sąsiedzi staruszkowie, przesympatyczni, ale głusi jak pień. Trzecie piętro, najlepsze widoki, chociaż bez windy. Tylko dla mnie, za małe, żeby je z kimś dzielić. Jednym słowem – idealne.

Wybiegłem na chodnik, wpadając na rzeszę imprezowiczów wracających do domów niemal w procesji. Rozmowy cichły, kroki stawały się coraz cięższe, ktoś skręcał zygzakiem w ulicę Zapatería, trzymając w ręku klucze.

Wydostałem się z tłumu, zmierzając w stronę mniej uczęszczanych ulic. Przeciąłem plac, pobiegłem ulicą Diputación, potem Siervas de Jesús,

okrzyłem średniowieczny migdał i pół godziny później wróciłem na San Francisco już bardziej rześki i przytomny. Znalazłem się przy arkadach Los Arquillos... i tam zobaczyłem ją, tajemniczą biegaczkę, którą mijałem codziennie od jakiegoś tygodnia. Poza mną jedyną osobę na tyle szaloną albo zmotywowaną, żeby biegać o szóstej rano.

Nigdy nie biegała wąskimi uliczkami, unikała cieni, truchtała środkiem chodnika, od latarni do latarni, i miała zawieszony na szyi widoczny z daleka gwizdek. Była ostrożna. Więcej niż ostrożna – zbyt świadoma niebezpieczeństw. Albo została wcześniej napadnięta, albo bała się ataku. A mimo to niemal codziennie wychodziła o świcie biegać.

Zwolniłem, zbliżając się do końca łukowatych podcieni. Nie chciałem, żeby pomyślała, że ją śledzę. Nie chciałem jej wystraszyć, nie byłem natrętem, choć ta dziewczyna w śmiesznej czapce, z ciemnymi włosami splecionymi w długi warkocz, intrygowała mnie bardziej, niż chciałem przyznać. Zatrzymałem się i spojrzałem na wiszący na ścianie gigantyczny plakat reklamujący musical *Moby Dick* wystawiany w Teatro Principal.

„Imię moje: Izmael” – przypominałem sobie pierwsze zdania powieści. „Przed kilku laty – mniejsza o ścisłość jak dawno temu – mając niewiele, czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że pożegluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata. Taki mam właśnie sposób odpędzania splinu i regulowania krwiobiegu”^[4].

Ku mojemu zaskoczeniu to ona przełamała lody i wyrwała mnie z zamyślenia. Zatrzymała się na placu przed kościołem Świętego Michała, przy pomniku z brązu przedstawiającym Celedona^[5], oparła stopę na barierce i zaczęła się rozciągać.

Minąłem ją, z grzeczności udając, że jej nie zauważam. Wtedy podniosła głowę.

– A ty co, nie po imprezie? – zapytała ze śmiechem, szczerym i radosnym, który dotarł do moich uszu i sprawił, że przystanąłem. – Albo nie należysz do *blusas*, albo za bardzo lubisz biegać.

Gdybyś wiedziała, pomyślałem.

– Obawiam się, że ani jedno, ani drugie – odpowiedziałem, nie demaskując się za bardzo. – A może i jedno, i drugie.

Nigdy nie widziałem jej od przodu, nigdy uważnie jej się nie przyglądałem. Wąska twarz o przyjaznym wyrazie, bardzo blada cera, oczy w kolorze niemożliwym do ustalenia w skąpym świetle latarni. Dość wysoka, ładna,

pociągająca. A jednocześnie daleka.

– A ty? – zapytałem. – Lubisz funkcjonować odwrotnie niż cała reszta?

– Albo to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mam czas dla siebie.

Masz obowiązki rodzinne albo stresującą pracę. Prawdopodobnie od rana do wieczora. Dużo nadgodzin, odpowiedzialne stanowisko, wydedukowałem, zachowując te wnioski dla siebie.

– Cieszę się, że nie jestem wymierającym gatunkiem – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się i podeszła, żeby się przedstawić.

– Nazywam się... Blanca.

Wahała się przez dwie sekundy, przemykając spojrzeniem po znajdującej się na wprost nas figurce Białej Panienci – Virgen Blanca. Za długo jak na przypomnienie sobie własnego imienia.

Po co mnie okłamujesz?

– A ty? – zapytała.

„Imię moje: Izmael”.

– Izmael.

– Izmael... Jasne. A zatem miło cię poznać, Izmaelu. Jeżeli nadal będziesz tak postrzelony, żeby biegać o tej porze, pewnie się jeszcze spotkamy – powiedziała Blanca, po czym zbiegła truchtem po schodach.

Stałem jeszcze chwilę przy Celedonie, zobaczyłem, jak kobieta mija moją kamienicę i skręca w stronę parku Florida.

Dwie godziny później pedałowalem do dzielnicy Lakua, gdzie w nowo wybudowanym betonowym budynku mieściła się nasza komenda. Przywiązałem rower łańcuchem do metalowego stojaka na parkingu; zanim wszedłem, wziąłem głęboki oddech.

Co szykuje mi dzień, z jaką myślą zasnę tej nocy?

Skup się lepiej na tym, co dziś odkryjesz, wszystko pójdzie dobrze, próbowałem dodać sobie otuchy, nie wierząc w ani jedno własne słowo.

Wszedłem po schodach na drugie piętro. Kiedy już usiadłem przed komputerem i zacząłem analizować zebrane informacje i porządkować myśli, rozległy się dwa głośne stuknięcia. Do gabinetu wtargnął z poważną miną komisarz Medina, mężczyzna o krzaczastych czarnych brwiach i gęstej białej brodzie, niekiedy surowy, niekiedy wyrozumiały.

– Dzień dobry, inspektorze Ayala. Czytał pan dzisiejszą prasę?

– Nie miałem okazji, panie komisarzu. Wojna już się zaczęła?

– Obawiam się, że tak. – Westchnął, rzucając mi egzemplarz „El Diario Alavés”. – Ktoś wygadał, że w Starej Katedrze znaleziono ciała, w nocy wydrukowali specjalne wydanie.

– Wydrukowali w nocy papierowe wydanie? – powtórzyłem zdziwiony. – Nie publikuje się już specjalnych wydań na papierze. Z tego, co mi wiadomo, wszystkie informacje, które nie ukażą się w porannym wydaniu, trafiają na stronę internetową gazety.

– Świadczy to właśnie o tym, jaką rangę nada tej sprawie „El Diario Alavés”. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Od północy na ulicach Vitorii nie mówi się o niczym innym. Dzwonili do mnie już z kilkunastu rozgłośni radiowych i paru stacji telewizyjnych. Wszyscy chcą wiedzieć, wszyscy chcą więcej szczegółów. Przejdźmy do mojego gabinetu, czeka na nas inspektor Gauna. Dziś zaczyna pracę podkomisarz Díaz de Salvatierra, to ją będziecie informować o postępach śledztwa. Wszyscy liczyliśmy na to, że jej pierwszy dzień będzie spokojniejszy, ale aktualności rządzą, jak mawiają dziennikarze. Proszę ze mną.

Skinąłem głową, rzucając okiem na pierwszą stronę gazety: *Zwłoki dwojga młodych ludzi znalezione w Starej Katedrze*.

Odetchnąłem z ulgą. Tytuł był dość ogólny, utrzymany w zaskakująco neutralnym tonie, nie miał nic wspólnego z wojną na nagłówki, jaką w przeszłości dziennik prowadził ze swoim odwiecznym rywalem, „El Correo Vitoriano”.

Wszedłem do gabinetu o ścianach wyłożonych boazerią, przyznam, że nieco zaintrygowany: nowe nominacje zawsze otaczała tajemnica państwowa, nie sposób było czegokolwiek się wcześniej dowiedzieć. Zwierzchnicy milczeli, przeważnie nikt nie znał funkcjonariuszy, którzy mieli zacząć u nas pracę – z reguły przysyłano ich z innych komend. Estíbaliz w mundurze czekała przy gigantycznym stole konferencyjnym. Spojrzałem na nową podkomisarz i w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak zareagować.

– Podkomisarz Alba Díaz de Salvatierra, inspektor Unai López de Ayala.

Kobieta w eleganckim kostiumie uśmiechnęła się i podała mi rękę, udając, że widzi mnie pierwszy raz, choć oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Tego ranka przedstawiła mi się jako Blanca.

– Pani podkomisarz... – powiedziałem, siląc się na neutralny ton. – Witamy w Vitorii. Mam nadzieję, że będzie się pani z nami dobrze pracowało.

Zatrzymała na mnie spojrzenie na ułamek sekundy dłużej, niż powinna,

posłała mi kurtuazyjny uśmiech i uściśniła moją dłoń drugi raz w ciągu paru godzin.

– Bardzo mi miło, inspektorze Ayala. Obawiam się, że będziemy musieli od razu zaimprovizować pierwsze zebranie.

– Inspektor Gauna – wtrącił komisarz Medina. – Czy otrzymała już pani raport techników, którzy przeprowadzili oględziny miejsca zdarzenia?

– Owszem. – Estíbaliz wstała i rozdała obecnym kopie sprawozdania. – Podsumowując: zabójca albo zabójcy nie zostawili żadnych odcisków linii papilarnych, ani palców, ani dłoni, chociaż technicy próbowali ujawnić ślady dermatoglificzne wszelkimi możliwymi metodami, od cerusytu po ninhydrynę, mając na uwadze ciemną porowatą powierzchnię kamieni w krypcie. Brak również odcisków butów. Ofiary były martwe zaledwie od dwóch godzin, kiedy złożono je w krypcie katedry. Nie ma śladów przemocy seksualnej ani oporu ze strony ofiar. Sekcje zwłok zostaną przeprowadzone dzisiaj, ale już teraz możemy przyjąć, że prawdopodobną przyczyną śmierci było uduszenie spowodowane pożądleniem gardła przez pszczoły.

– Pszczoły? – powtórzyła podkomisarz. – Jak się tam dostały?

– Znaleźliśmy z inspektorem Ayalą ślady taśmy samoprzylepnej na twarzach obu ofiar. Myślę, że morderca siłą wpuścił im do ust kilka pszczoł, a potem zakleił je taśmą. W okolicach głów zamordowanych unosił się zapach benzyny. Tego rodzaju woń rozdrażnia pszczoły, morderca chciał, by pożądliły gardła ofiar, a spuchnięte błony śluzowe zablokowały drogi oddechowe, doprowadzając do śmierci. W tym celu musiał zatkać im również nosy. Obawiam się, że to była bardzo bolesna śmierć.

Spojrzałem na podkomisarz: na moment zacisnęła szczęki.

– Ustalono ich tożsamość? – zapytała, odgarniając z twarzy kosmyk czarnych włosów.

– O tym właśnie chciałam z państwem porozmawiać. Postanowiliśmy porównać zdjęcia ofiar ze zgłoszeniami o zaginięciach złożonymi w Vitorii i reszcie prowincji: w ostatnich dniach żadnych nie było. Jednak artykuł w wieczornym wydaniu gazety zrobił swoje, ośmielę się stwierdzić, że w najbliższych godzinach wywoła jeszcze większe zamieszanie, ale po południu sytuacja się uspokoi.

– Nie rozumiem.

– Już wyjaśniam, pani podkomisarz: rodzice przeczytali wczoraj w gazecie, że w Starej Katedrze znaleziono zwłoki chłopaka i dziewczyny. W przeddzień Día del Blusa. Wielu dwudziestolatków nie wróciło jeszcze z imprez. Jest

jedenasta rano. Rodzice zaczęli histeryzować, dzwonili do swoich dzieci, ale te nie odbierają. To normalne, że młodzi wyłączają na noc komórki albo nie odpowiadają, a potem mówią, że nie było zasięgu czy że padła im bateria. Komisariat przy ulicy Olaguíbela w tym momencie pęka w szwach od zestresowanych rodziców, którzy nie są w stanie zlokalizować swoich latorośli. Niestety w takich wypadkach to częste. Tak samo było podczas tragedii w sali koncertowej Madrid Arena^[6]. Wszyscy dzwonią na sto dwanaście, linia jest przeciążona. Kiedy sprawdzałam pięć minut temu, otrzymaliśmy już prawie trzysta zgłoszeń. Ale będziemy mogli zarejestrować je oficjalnie dopiero wtedy, jeżeli zaginiony nie pojawi się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Olbrzymia większość rodziców dzwoni zdenerwowana, bo zaserwowano im na śniadanie informację o morderstwie, a ich dziecko nie dotarło jeszcze do domu po imprezie. Młodzi wrócą w najbliższych godzinach, ale wielu z tych rodziców już nie zadzwoni ponownie na sto dwanaście, żeby odwołać zgłoszenie, poczują taką ulgę, że będą chcieli jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

– Co daje mordercy albo mordercom cenny zapas czasu – pomyślałem na głos. – Nie przypadkiem dokonał zbrodni w przeddzień Día del Blusa. O to mu właśnie chodziło: być krok przed nami. Myślę też, że specjalnie chciał wywołać tę zbiorową poimprezową psychozę.

– Pierwsze spostrzeżenia? – Podkomisarz próbowała nas wybadać.

– Są bardzo niscy – wyrwałem się.

– Słucham?

– Ofiary. Oboje są bardzo niscy. I wątli – wyjaśniłem.

– Do czego nas to prowadzi? – zapytała zaciekawiona. – Dlaczego pan o tym wspomina, inspektorze Ayala?

– Dlatego, że cały czas mówimy o „mordercy”, zakładając, że to mężczyzna. Ale na razie nie wykluczałbym kobiety; gdyby była wysoka albo względnie silna, mogłaby zabić najpierw jedno, a potem drugie. Poprzednio ofiarą padły niemowlęta oraz pięcio-, dziesięcio- i piętnastoletnie dzieci, a teraz, jeżeli potwierdzą się nasze podejrzenia, dwoje dwudziestolatków. Niezbyt wysokich, niezbyt silnych. To może być sprawka zarówno mężczyzny, jak i kobiety. Jeżeli pojawią się kolejne ofiary, warto będzie przyrzeć się ich wzrostowi i budowie ciała.

– Kolejne ofiary... – powtórzyła podkomisarz. – Taką ma pan pewność, że to nie koniec?

– Bardzo panią proszę! Przestańmy udawać, że to pojedyncza zbrodnia –

powiedziałem, wstając od stołu. – Dajemy sprawcy przewagę. Musimy pogodzić się z myślą, że to morderstwo bezpośrednio nawiązuje do zbrodni popełnionych dwadzieścia lat temu. Nie ma sensu zaczynać od zera. Zostały wznowione. Będą kolejne. Zalecałbym od razu ostrzec osoby w wieku dwudziestu pięciu lat o złożonym nazwisku typowym dla Álavy. Nie możemy wysłać patroli, żeby pilnowały pięciu tysięcy dwudziestopięciolatek, ale możemy udzielić im wskazówek, jak zadbać o bezpieczeństwo. Niech nigdzie się sami nie włóczą, niech sami nie wracają nocą z imprezy, zawsze w towarzystwie. Niech sami nie wchodzi do domów, niech sami nie wybierają się w weekendy w góry. Nie mamy pojęcia, gdzie morderca dopada czy porywa przyszłe ofiary. Trzeba mu to po prostu utrudnić.

Alba stanęła przede mną z założonymi rękami.

– Nie zrobimy tego – powiedziała jedynie.

– Co takiego? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Nie będziemy wszczynać jeszcze większego alarmu. – Pokręciła głową, ze spokojem, który mnie rozżłościł. – Jeżeli opublikujemy te rady dotyczące bezpieczeństwa, w mieście wybuchnie panika i będzie nam bardzo trudno pracować. Nie chcę, żeby zapanował chaos.

– Chaos już zapanował, wprowadził go on, morderca. Chce mi pani powiedzieć, że obecnie, na dzień dzisiejszy, pani celem nie jest zapobiegnięcie kolejnemu, bardziej niż prawdopodobnemu zabójstwu, którego ofiarami będą dwudziestopięcioletni chłopak i dziewczyna?

O to właśnie chodziło, żeby złapać go, zanim popełni kolejne morderstwo.

O to właśnie chodziło.

Spojrzałem na troje współpracowników i zobaczyłem w ich oczach coś dziwnego, jakbym za bardzo się zagalopował. Może i się zagalopowałem, nie pamiętam.

W tym momencie do gabinetu wszedł Pancorbo, jeden z naszych inspektorów o najdłuższym stażu, drapiąc się po płataninie siwych nitek pokrywających okrągłą, błyszczącą łysinę.

Szepnął coś na ucho komisarzowi i rzucił nam zaniepokojone spojrzenia, po czym wyszedł równie cicho, jak się pojawił, zamykając za sobą drzwi.

Komisarz Medina ścisnął palcami skórę między krzaczastymi brwiami i na moment przymknął powieki.

– Mają państwo włączone komputery? – zapytał.

Wzruszyliśmy z Estíbaliz ramionami, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała ona.

– Zatem niech udadzą się państwo jak najszybciej do swoich gabinetów, wyjdą z intranetu i pozamykają komputery. Proszę także rozłączyć internet w telefonach. Komenda została zaatakowana przez hakerów.

Pobiegłem do gabinetu i pozamykałem dokumenty, w których zanotowałem swoje pierwsze spostrzeżenia w sprawie morderstwa w Starej Katedrze. Kiedy zamierzałem wylogować się z poczty elektronicznej, zobaczyłem nową nieprzeczytaną wiadomość od nadawcy, którego nazwa zmroziła mi krew w żyłach: Fromjail, „z więzienia”.

Wiem, że przełożony zabronił otwierać nowe wiadomości, wiem, że ryzyko było duże. Wiem, że...

Kliknąłem w e-mail. Był krótki, ale przykuł mnie do krzesła.

Kraken:

Ja i ty możemy stworzyć zespół i zapolować na mordercę. Przyjedź odwiedzić mnie jeszcze dzisiaj. Sprawa jest pilna, dobrze o tym wiesz. Będzie robił to dalej.

Z wyrazami głębokiego szacunku dla twoich metod śledczych,

Tasio

ZABALLA

25 lipca, poniedziałek

Kraken? Jak to możliwe, że Tasio Ortiz de Zárate zna moją szkolną ksywkę? Jak to możliwe, że gość, który od dwudziestu lat siedzi za kratkami, namierzył mnie i wysłał mi mejla, skoro w więzieniu nie miał dostępu do internetu? Zrobił to on czy też ktoś zastawił na mnie pułapkę?

Pobiegłem do gabinetu Estíbaliz i zamknąłem za sobą drzwi.

– Będziesz musiała skłamać, żeby mnie kryć – wypaliłem bez ogródek.

– Nie pierwszy raz – odpowiedziała, ściągając w kucyk rude włosy. – Mów.

Zawsze mogłem polegać na Estíbaliz. Była niezawodna i pewna jak silnik starego kubańskiego cadillaca.

– Jadę do więzienia Zaballa porozmawiać z dyrektorką. Chyba skontaktował się ze mną Tasio Ortiz de Zárate, choć niewykluczone, że ktoś się pod niego podszywa. W każdym razie muszę się o tym przekonać osobiście, to jedyny sposób. Chcę zacząć pracę nad profilem mordercy; jeżeli Tasio jest podżegaczem, nie zdoła ukryć niektórych rzeczy. Ponieważ wygląda na to, że tym na górze nie spieszy się tak bardzo jak nam, na razie o niczym im nie powiemy. Oficjalnie przez cały ranek będziemy razem przesłuchiwać osoby związane ze Starą Katedrą: duchownych, zakrystian, personel sprzątający, archeologów i przewodników oprowadzających wycieczki po kościele. Sprawdziłem dziś rano, że firma sprzątająca to Alfredo Ruiz, spółka z o.o. Porozmawiaj z kierownikiem, niech poda ci dane wszystkich osób, które mają klucze do katedry. Punkt trzecia widzimy się w barze Toloño, wymienimy się informacjami przy lunchu.

Wsiadłem do jednego z policyjnych samochodów, białego nissana patrol, i ruszyłem drogą krajową N-1 w stronę zakładu karnego Álavy, olbrzymiego więzienia, do którego po zamknięciu placówki penitencjarnej w Nanclares de la Oca przewieziono Tasia i pozostałych osadzonych.

Tasio miał dwadzieścia lat, żeby zastanowić się nad swoją przyszłością

i znaleźć dla siebie nowy sposób na życie. Nie był już archeologiem, nie zamierzał wracać do dawnego zawodu; teraz zajmował się kryminologią i pisaniem scenariuszy do seriali sensacyjnych. Dzięki wiadomości, że HXO – amerykańska stacja telewizyjna słynąca z kultowych produkcji – kupiła od niego scenariusz serialu kryminalnego za sumę z sześcioma zerami, wrócił na pierwsze strony gazet. Bardziej intratne zajęcie niż praca dla władz prowincji Álava.

Niedługo po tym, jak odzyskał medialny rozgłos, który najwyraźniej bardzo lubił, na Twitterze pojawił się profil tajemniczego użytkownika o dziwnej nazwie: @scripttipsfromjail.

Zwracał uwagę ze względu na zdjęcie przedstawiające Tasia w czasach jego świetności, zrobione na krótko przed zatrzymaniem. Włosy ciemny blond, prostokątna twarz, szeroki uśmiech ukazujący białe zęby. Przystojny facet, zwycięzca.

A w tle panorama Vitorii. Cztery wieże najwyższych kościołów: Starej Katedry, Świętego Wincentego, Świętego Michała i Świętego Piotra. Popularny obrazek, spotykany nawet na samochodowych naklejkach.

Profilowy biogram brzmiał niepokojąco: „Jestem jedynie scenarzystą po niewłaściwej stronie rzeczywistości. *True serial addict, fake serial killer.* Tasio Ortiz de Zárate”.

Coś w stylu „@porady z więzienia jak pisać scenariusze”. I gra słów, którą można by przetłumaczyć: „Prawdziwy fan seriali, fałszywy seryjny morderca”.

Zwykle zamieszczał wskazówki w rodzaju: „Widz musi uwielbiać uczucie nienawiści do złoczyńcy”. „Najlepszym sposobem na stworzenie ironii dramatycznej jest pozwolić, by od pierwszego aktu widz wiedział więcej niż bohater”. Albo: „Kiedy tworzysz swój czarny charakter, pamiętaj, że źli nie wiedzą, że są źli. To osoby, które co noc zasypiają z czystym sumieniem, przekonane, że postępują właściwie”.

Profil miał ponad pół miliona obserwujących. Było oczywiste, że osobą, która zamieszcza stuczterdziestoznakowe wpisy, nie jest Tasio, ale nikt nie wiedział, jak archeolog przekazuje swoje tweety z więzienia.

Opinia publiczna była podzielona, jeśli chodzi o odczucia, jakie wzbudzał: praktycznie cała Vitoria nienawidziła Tasia, ale reszta planety i młode pokolenie, które nie doświadczyło horroru czterech podwójnych zbrodni, zafascynowane legendą seryjnego mordercy sprzedającego za grube miliony swoje scenariusze, ubóstwiała go za każdą kroplę mądrości zamieszczoną

w sieci.

Kiedy wjechałem na olbrzymi więzienny parking, odkryłem, że jestem zdenerwowany – bębniłem palcami w kierownicę.

Nie wygłupiaj się, teraz jesteś dorosły.

Przejrzałem listę, którą dostaliśmy w akademii w Arkaute, zawierającą zalecenia, jak zneutralizować tego rodzaju manipulatorską i egomaniakalną osobowość.

Pokazałem odznakę funkcjonariuszowi przy wejściu, facetowi o okrągłej twarzy i blisko osadzonych oczach. Zamierzałem poprosić o spotkanie z dyrektorką więzienia i poinformować ją o tym, co się wydarzyło. Jednak na widok mojego nazwiska strażnik sprawdził coś na swojej liście i powiedział:

– Zapraszam na oddział widzeń. Osadzony Tasio Ortiz de Zárata czeka na pana w sali numer trzy.

Przytaknąłem, starając się ukryć zaskoczenie. Opuściłem portiernię i udałem się tam, gdzie wskazał strażnik.

Pokonałem zielony korytarz, ale kiedy wszedłem do sali numer trzy, pomyślałem, że się pomyliłem. Po drugiej stronie pancерnej szyby oprócz stojącego w drzwiach znudzonego strażnika był tylko więzień o wyglądzie narkomana. Szkielet o pustym spojrzeniu siedział zamyślony na czarnym plastikowym krześle, czekając na kogoś z rodziny.

Odwróciłem się i złapałem za klamkę, żeby otworzyć drzwi. Wtedy usłyszałem, jak stuka w szybę kościstymi palcami. Obejrzałem się zdezorientowany. Więzień wskazał mi ręką, żebym podniósł słuchawkę telefonu stojącego na blacie z nierdzewnej stali i usiadł na pustym krześle, identycznym jak jego.

– Czego chcesz, działki? – zapytałem, świadom, że mój głos nie dotrze do niego przez grubą szybę.

Podniosłem słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha, ale nie usiadłem, stałem odwrócony bokiem, gotów do wyjścia.

– Kraken... – wyszeptał powoli niski głos, który prześwidrował mi mózg i niczym kula przeszył ośrodek pamięci.

Posąg, w jaki się zamieniłem, na kilka sekund zapomniał o oddychaniu; Tasio wykorzystał ten czas, żeby podnieść wzrok i wbić go w moje oczy.

Trudno mi było dopasować do tego ludzkiego wraka obraz przystojnego, odnoszącego sukcesy mężczyzny, który zachowałem w pamięci. Tasio miał

czterdzieści pięć lat, a człowiek, który przede mną siedział, wyglądał na znacznie więcej. Uznanie, że brzydko się zestarzał, byłoby eufemizmem: był nieudaną podróbką więźnia z amerykańskiego zakładu karnego. Kościsty ćpun z podkrążonymi oczami i strakami niestarannie zebranymi w kucyk. Wąsy w kształcie odwróconego U, w stylu lat siedemdziesiątych, były tak nie na miejscu, że wyglądały jednocześnie żałośnie i zabawnie.

Nie, kłamie: wyglądały złowrogo.

Facet był w kiepskim stanie. Obłąkany. Wyglądało na to, że od dwudziestu lat szprycuje się herą albo czymś gorszym.

Stary, co zrobiło z ciebie życie?

To była pierwsza myśl, jaka przysła mi do głowy.

Z jakiegoś powodu, którego nie jestem w stanie zrozumieć, zapytałem go o to wprost, bez zastanowienia. Jak pijak albo dziecko – ci nigdy nie kłamia.

– Stary, co zrobiło z ciebie życie? – usłyszałem własny głos wypowiadający te słowa jak w hipnozie.

Zacisnąłem powieki, kiedy zrozumiałem, że jest za późno. Niezły początek.

– Tym właśnie się zajmiemy, Kraken. Tym, co zrobiło ze mnie życie... – mówił celowo powoli, głosem jak zza grobu, który wdzierał mi się do ucha i drażnił błonę bębenkową.

Pomyślałem, że to przeciąganie słów jest skutkiem ćpania heroiny, pomyślałem też, że ten głos, o kilka tonów niższy, niż zapamiętałem, musi być efektem dwudziestu lat palenia.

Tasio zaciągnął się papierosem, powoli wypuścił powietrze i przez chwilę bawił się paczuszką z ciemnym tytoniem leżącą po jego stronie blatu. Zobaczyłem przez szybę drugą paczuszkę. I dwie popielniczki. Dwie.

Wskazał mi dłonią, żebym usiadł, nasze odbicia nałożyły się na siebie na szybie niczym podwójny hologram.

– Zgoda – powiedziałem z westchnieniem. – Przejdźmy od razu do rzeczy. Dlaczego mnie tu ściągnąłeś?

– Jestem bardzo zaniepokojony. – Wypowiedzenie tych słów zajęło mu całą wieczność. – Za dwa tygodnie wychodzę na przepustkę. Jeżeli dojdzie do kolejnych zbrodni, morderca znajdzie sposób, żeby mnie w to zrobić.

– Wrobić cię? Siedzisz w więzieniu, jak ktokolwiek mógłby cię wrobić?

– Nie udawaj, sam o tym pomyślałeś, jak zresztą już pewnie całe miasto. Sądzicie, że jestem podżegaczem. Dlatego cię wezwałem. Jeżeli pomogę ci go złapać, Vitoria znowu mnie zaakceptuje.

– Zaakceptuje? – powtórzyłem z niedowierzaniem. – Po tym, jak zamordowałaś ośmioro tutejszych dzieci? Słyszysz, jak to brzmi?

Tasio spojrział na mnie swoim pustym wzrokiem. Milczał, jakby sądził, że nie warto mi odpowiadać.

– Daruję sobie przekonywanie cię, że nie ja jestem sprawcą pierwszych ośmiu zbrodni. Wiem, że już mnie skazałaś. Podobnie jak reszta ludzkości. Przez pierwsze lata próbowałem, ze wszystkich sił. Na czas procesu zatrudniłem najlepszych obrońców, na jakich mogłem sobie pozwolić, ale to nie wystarczyło. Potem, kiedy zapadł ostateczny wyrok i znalazłem się w Nanclares, próbowałem przekonywać innych więźniów, strażników... Wszyscy mnie skazaliście. Niełatwo było mi zrozumieć, że nie mogę nic zrobić, że prawda nikogo nie obchodzi. Jedyne fakty: winny siedzi w więzieniu, a zabójstwa ustały. Ale ja nie mogłem przestać o tym myśleć, musiałem zrozumieć, co się wydarzyło, co takiego się stało, że jednego dnia ludzie prosili mnie na ulicy o autograf, a następnego nienawidzili. Zapisalem się na kryminologię, studiowałem profile sprawców, procedury, przypadki seryjnych morderców. Polubiłem filmy sensacyjne po obejrzeniu kilku, do których miałem dostęp w więzieniu. Potem uzależniłem się od seriali kryminalnych. Zacząłem rozumieć, że rzeczywistość i fikcja to siostry bliźniaczki, jedna napędza drugą. Wszystkie historie mają wprowadzenie, punkt kulminacyjny i rozwiązanie. We wszystkich jest bohater, antagonist, sprzymierzeńcy, wrogowie, próby... i mentor. O czym teraz mówię? Co, Kraken? O fikcji czy o rzeczywistości?

– Dlatego zostałeś scenarzystą...

– Odkryłem, że jestem dobry w konstruowaniu historii. Są jak szkielet budynku. Potem trzeba go już tylko upiększyć, nie sądzisz? Problem w tym, że za niespełna dwa tygodnie wychodzę na przepustkę, a sytuacja nie wygląda dla mnie najlepiej. Chcę, żebyśmy sobie nawzajem pomogli.

– I jak mi niby pomożesz? Rozwikłasz tę nową zbrodnię, siedząc w więzieniu?

– Choć mi nie wierzysz, mam nad tobą pewną przewagę. Ja wiem, że nie podlegałem mordercy i że nie zabijałem dwadzieścia lat temu, dlatego skoncentruję się na odkryciu, kto to robił. Ty natomiast uważasz mnie za sprawcę pierwszej serii zbrodni, teraz więc będziesz musiał zbadać moje otoczenie, żeby odkryć, czy podlegam do kolejnych. Stracisz dużo cennego czasu, który wykorzysta morderca. Możesz być tego pewien.

Zgoda, Tasio. Zagrajmy w twoją grę. Zobaczymy, dokąd nas doprowadzi.

– Założmy, że wbrew twoim przypuszczeniom ci wierzę – powiedziałem; słuchawka parzyła mi ucho. – To nie ty, zastawiono na ciebie pułapkę, jak twierdziłeś od początku...

– Aha – przytaknął i dłonią, w której trzymał papierosa, wykonał eliptyczny gest, zachęcając mnie, żebym mówił dalej.

– Powiedz mi: czy sądzisz, że wczorajsze morderstwa są dziełem tej samej osoby?

– Nie widziałem zdjęć. Mogłeś mi je przynieść.

– Nie bądź taki cwany, Tasio – uciałem.

– W porządku. – Odsunął się od szyby, przywierając plecami do oparcia czarnego plastikowego krzesła. – Niech ci będzie, wyciągnę z lamusa archeologa. Pierwsze zabójstwa odzwierciedlały dzieje Álavy. Dolmen Chatka Czarownicy, chalkolit, pięć tysięcy lat temu. Ofiarami były noworodki. Jakby chodziło o początki ludzkości, łapiesz analogię?

Delektował się swoim dziełem? Jego umysł był aż tak spaczony?

– Owszem, Tasio. Miałem dwadzieścia lat, żeby to załapać. Ja i cały kraj.

– W takim razie wiesz, co będzie dalej. Gród celtyberyjski La Hoya, tysiąc dwieście lat przed naszą erą. Pięciolatki. Słona Dolina, pierwszy wiek przed naszą erą. Dziesięciolatki. Średniowieczne mury, jedenasty wiek. Piętnastolatek i dziewczyna w tym samym wieku.

Na jego twarzy pojawił się niemal niedostrzegalny grymas bólu: wygiął w dół kącik ust. Natychmiast podniósł papierosa, żeby to ukryć. Mojej uwagi nie umknęło także to, że zamienił bezosobowych „x-latków” na „piętnastoletnią dziewczynę”. Czyżby ta ostatnia zbrodnia kryła coś osobistego? Pomyślałem, że będę musiał pogrzebać w aktach sprawy sprzed lat.

– Więc cóż takiego nas czeka, Tasio? Ty to wiesz? Ściągnąłeś mnie tutaj, żeby mnie oświecić?

Pominał milczeniem moje ostatnie zdanie; przysunął się tak blisko, że dotknął czołem szyby.

– Wczorajsze miejsce zdarzenia, Stara Katedra, wskazuje na dwunasty wiek. Następne będzie z późniejszego okresu. Możecie się spodziewać, że kolejne zbrodnie zostaną umiejscowione w symbolach naszej historii, począwszy od średniowiecza. Dom rodziny Andów, ulice cechów, jak Pinto czy Cuchi, dawna dzielnica żydowska. Może Dom pod Sznurem. Ofiary będą miały po dwadzieścia pięć lat. Potem przejdziemy do Vitorii renesansowej.

Uwaga na pałace: Bendaña, Montehermoso, Villa Suso... Uf, strasznie tego dużo. Co zrobicie, postawicie patrole?

Nie mogłem się nie roześmiać, słysząc to bezczelne pytanie.

– Naprawdę myślisz, że podzielę się z tobą tą informacją? Nie jestem złotą rybką spełniającą życzenia, nie dam ci gotowej listy, żebyś mógł mordować w niestrzeżonych miejscach.

– Nadal nie rozumiesz, że proponuję ci pomoc, która może okazać się cenna. Należę do osób znających najwięcej szczegółów poprzednich zbrodni, podczas mojego procesu rozkładano je na czynniki pierwsze. Jeszcze tego nie wiesz, ale prawdopodobnie w trakcie całego śledztwa nie spotkasz osoby bardziej chętnej do rozmowy niż ja. Jeszcze tego nie wiesz, ale wrócisz do tej sali, żeby prosić mnie o to, co sam ci teraz proponuję.

– W porządku. – Przerwałem mu ruchem dłoni. – Powtórzę przesłankę: założmy, że ci wierzę. Powiedz mi coś, czego nie wiem, na znak dobrej woli.

– Coś, czego nie wiesz... Nie wiem, czego nie wiesz, Kraken. Pokaż, że masz jaja, i zrób pierwszy krok, zadaj pytanie.

– Sam tego chciałeś: co było przyczyną śmierci w przypadku wcześniejszych morderstw?

– Cis.

– Cis? – powtórzyłem zdumiony.

– Tak, trucizna z cisu. – Wzruszył ramionami. – Ludy przedromańskie popełniały za jej pomocą samobójstwa. Są dowody na to, że Celtowie wykorzystywali cis jako truciznę od trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. W tym regionie to jedna z tych tajemnic, o których głośno się nie mówi, ale znają ją wszyscy starsi mieszkańcy wsi. Kora, liście... Wszystko w cisie jest trujące poza osnówką nasienia. Dla Celtów był świętym drzewem, przypisywali mu nieśmiertelność ze względu na jego niesamowitą długowieczność. Kiedy na te ziemie dotarło chrześcijaństwo, cisy nadal sadzono przy kościołach i cmentarzach. Dawne wierzenia przetrwały aż do dzisiaj.

Przez moment wydawało mi się, że widzę dawnego Tasia, popularyzatora kochającego swoją pracę, który wiedział wszystko o naszej historii i prezentował ją nam w małych dydaktycznych pakietach.

– Brzmi bardzo archeologicznie.

– To samo powiedział sędzia – odparł przybity, zgniatając niedopałek w popielniczce. – Podczas procesu puszczono jeden z pierwszych programów,

które nagrałem dla baskijskiej telewizji, jeszcze zanim wskaźniki oglądalności wystrzeliły w górę. Mówiłem w nim właśnie o cisie. Wyjaśniałem ze szczegółami, że napar z pięćdziesięciu gramów liści cisu wystarczy, żeby zabić dziecko albo niezbyt wysokiego dorosłego. Teraz rozumiesz, dlaczego twierdzę, że morderca dokładnie mnie sprawdził, zanim zaczął zabijać, i że popełnił zbrodnię w taki sposób, żeby rzucić na mnie podejrzenia? To samo było z *eguzkilore*. W tamtym czasie uczyniłem z niego swój talizman, wszędzie go wplatałem. Nosilem srebrne bransoletki i wisiorki z *eguzkilore*. Miałem go też w gabinecie, widziały go miliony ludzi oglądających moje programy... Mam mówić dalej?

Zmierzyliśmy się wzrokiem, nie odpowiedziałem. Tasio najwyraźniej nie zamierzał skąpić mi szczegółów. Przed dwudziestoma laty prasa nie wspominała o *eguzkilore*; także wczorajszy dodatek specjalny nie podał, że przy zwłokach znaleźliśmy trzy kwiaty dziewięcisiłu.

– Nie... Nie wierzysz mi – szepnął, jakby recytował jakąś litanie. – Bo niby dlaczego miałbyś mi wierzyć? Byłbyś pierwszy od dwudziestu lat.

Zapalił kolejnego papierosa i zapatrzył się na niego, jakby był ze złota. Po chwili przypomniał sobie o mnie.

– Czyli... Skoro nie wiedziałeś, że trucizną był cis, i pytasz mnie o przyczynę śmierci, to znaczy, że morderca zmienił narzędzie zbrodni?

Ostrożnie, Unai.

– Nie udzielę ci tej informacji.

Uznał to za odpowiedź twierdzącą.

– To wiele zmienia... Do diabła, o co może mu teraz chodzić? – zapytał sam siebie. – Najprościej byłoby powielić zbrodnię, dokonać ich dokładnie w taki sam sposób jak poprzednio. Po co wprowadzać zmiany?

Tasio zastanawiał się na głos, niespiesznie wodził wzrokiem za smugami dymu, nie zwracając na mnie uwagi. Czułem się nieswojo, jakbym podglądał przez dziurkę od klucza bredzącego szaleńca.

– W takim razie umowa stoi? – zapytał nagle, odwracając się w moją stronę.

– Jaka umowa, Tasio? Jaka umowa?

– Pomogę ci, kiedy się zatniesz, podam ci wszystkie szczegóły dotyczące tamtej sprawy. W zamian za to będziesz mnie informował o postępach w tej. Chcę, żeby złapano mordercę, zanim zabije kolejny raz.

Przynajmniej w tej kwestii się zgadzamy, musiałem przyznać.

– Wobec tego zacznij od wyjaśnienia, skąd wiesz, że mówią na mnie Kraken, jak włamałeś się do mojej poczty, jakim cudem masz konto na Twitterze i jak zhakowałeś dziś rano komputery na komendzie. Powiedz, kto na zewnątrz odrabia za ciebie pracę domową?

– Masz mnie za idiotę? – Odsłonił w uśmiechu szare zniszczone zęby.

– Musisz być w jakimś stopniu idiotą, skoro od dwudziestu lat siedzisz w więzieniu, chociaż rzekomo jesteś niewinny, nie uważasz?

Poczerwieniał ze złości, zerwał się jak oparzony i zgniótł zapalonego papierosa na pancernej szybie, na wysokości mojego oka. Nie przywykł do tego, by ktokolwiek mu ubliżał.

– Wynoś się stąd! – ryknął; napięły mu się ścięgna na szyi. – Wynoś się stąd, w przeciwnym razie opuścisz to więzienie w skrzynce z numerem.

Na moment oniemiałem, zaskoczony wybuchem wściekłości swojego dawnego bohatera. Potem powoli podniosłem się z krzesła. Po drugiej stronie szyby otworzyły się drzwi i wszedł zaalarmowany hałasem strażnik. Tasio wytrzymał moje spojrzenie, zanim odłożył słuchawkę; drżała mu broda.

Odnotowałem w myślach jego słabe strony: pycha, napady gniewu, a zwłaszcza chore, trudne do spełnienia pragnienie, by oczyścić swoje nazwisko i odzyskać szacunek mieszkańców Vitorii. Przydadzą mi się, kiedy będę musiał go przycisnąć.

Jednak z punktu widzenia profilerów najważniejsze było sprawdzenie, czy Tasio odpowiada profilowi sprawcy zbrodni ze Starej Katedry; dlatego chciałem z nim porozmawiać twarzą w twarz. Atak wściekłości z powodu błażostki nijak nie pasował do niezwykle zorganizowanego, psychopatycznego mordercy, z którym mieliśmy do czynienia. Ta gwałtowna reakcja była raczej typowa dla mordercy niezorganizowanego, cierpiącego na psychozę.

– Nie, stary. Mylisz się co do mnie. Nie myśl ani przez chwilę, że możesz mnie zastraszyć. Uważaj, Tasio – ostrzegłem go i opuściłem pomieszczenie.

Kiedy jednak przed wyjściem na sekundę rzuciłem okiem w jego stronę, odniosłem wrażenie, że jest zdesperowany. Że pod tym przebraniem więźnia przystosowanego do życia w zamknięciu ukrywa się przerażony dzieciak z bogatej rodziny, który przywdział maskę, by przeżyć przez te dwadzieścia lat.

PAŁAC VILLA SUSO

Vitoria, listopad 1969

Szedł za nią przez zasypaną śniegiem starówkę, odkąd kilka ulic wcześniej ze zdziwieniem dostrzegł jej sylwetkę. Wracał do domu z wezwania do nagłego przypadku. Co taka wytworna dama jak ona robi sama, przemierzając o świcie sparaliżowane przez śnieżycę miasto?

Blanca Díaz de Antoñana, narzeczona potentata przemysłowego Javiera Ortiza de Zárate, właściciela odlewni żeliwa, szła z trudem wąską ścieżką wyrąbaną w śniegu przez miejskich zamiataaczy.

Jego doświadczone oko lekarza mówiło mu, że coś jest nie tak. Z zaniepokojeniem dostrzegł, że dziewczyna lekko utyka. Dlaczego Blanca nie zgłosiła się do kliniki, żeby obejrzał ją któryś z jego kolegów?

Na rogu Santa Ana w policzek uderzył go lodowaty wiatr; podniósł kołnierz nowego wełnianego płaszcza. Niedawno zaczął pracę w klinice Vitoria, większość pierwszej pensji wydał na garderobę dobrze sytuowanego lekarza. Jego żona Emilia miała mu to za złe. Chciała, by oszczędzali, żeby móc posłać synów do szkoły Braci Najświętszego Serca. Ale Emilia nie rozumiała jego pracy, jego nowej pozycji w stolicy. Nie zdawała sobie sprawy, że jeżeli chce przestać być wiejskim lekarzem, powinien obracać się w towarzystwie najbardziej wpływowych mieszkańców, jakby był jednym z nich, zachowywać się jak oni, ubierać jak oni, mieć narzeczoną albo żonę z tutejszej elity.

Taką jak Blanca.

Za każdym razem, kiedy przychodziła do jego gabinetu, silił się na poprawność i ukrywał zdenerwowanie, w jakie go wprawiała. W końcu był przede wszystkim lekarzem, dopiero potem mężczyzną. Ale kiedy Blanca wychodziła – taka kulturalna, taka piękna, taka elegancka – zawsze dawał sobie pięć minut, zanim poprosił następną pacjentkę. Jego pielęgniarka, dojrzała kobieta, której wystarczał jeden rzut oka z progu gabinetu, by uprzedzić jego polecenia, od razu domyśliła się, w czym rzecz. Była jego milczącą, dyskretną współniczką.

Gdyby przyjechał wcześniej, gdyby poznali się, kiedy oboje byli jeszcze wolni od zobowiązań, na potańcówce w Elefante Blanco albo w hotelu Canciller Ayala, gdzie w niedzielę po południu rozpoczynało się polowanie i tłumy młodzików bez obrączek na palcach nieudolnie próbowali zbliżyć się do wystrojonych dziewcząt, które pilnowały się nawzajem na drugim końcu sali, udając skromność.

Blanca przeszła ulicą Santa María, jakby zmierzała do jakiegoś konkretnego celu, jakby nie bolała jej kostka, jakby nie bała się, że może się poślizgnąć na cienkiej warstewce lodu, która utworzyła się pod stwardniałym śniegiem.

Przyspieszył kroku w obawie, że straci ją z oczu. Nie spuszczał wzroku z jasnych włosów szczupłej kobiety. Nagle zrobiła coś nieoczekiwanego.

Zatrzymała się na szczycie schodów przy pałacu Villa Suso. Od placu Machete dzieliło ją pięćdziesiąt stopni schodzących wzdłuż trzypiętrowego budynku.

Podszedł do niej od tyłu, ukradkiem, nie rozumiejąc, co zamierza. Środek schodów Świętego Bartłomieja był odśnieżony, ale po bokach piętrzyły się zwały sięgające aż do starej żelaznej poręczy.

Rozpostarła ręce niczym ramiona krzyża. Odwróciła się powoli, z zamkniętymi oczami. Tym razem nie wyglądała jak anioł: miała twarz obrzmiałą od ciosów, spuchnięte oko, rozciętą wargę i szyję pokrytą zaschniętą krwią.

Bezwładnie runęła do tyłu. Doktor puścił się biegiem, żeby ją powstrzymać. Zanim się poślizgnął, zdążył złapać ją mocno za nadgarstek. Toczyli się objęci w dół schodów. Zatrzymali się kilka stopni niżej, kiedy udało mu się wyhamować własnym ciałem.

Blanca nie rozumiała, co się stało. Czyż śmierć nie powinna być bardziej gwałtowna? Bardziej bolesna?

Wreszcie odważyła się otworzyć niezapuchnięte oko. Wystraszyła się, widząc tak blisko siebie twarz, która wydała jej się znajoma. Poznała go po rudych włosach i przyjaznej fizjonomii: to był ten nieśmiały mężczyzna o nienaganych manierach.

– Doktor Urbina? – jęknęła, zbита z tropu. – Co pan wyprawia?

– Uniemożliwiam pani rzucenie się ze schodów. Co pani chciała zrobić? Co pani chciała zrobić? – zawołał chrapliwym głosem.

Spokojnie, Álvaro. Nie może spostrzec, że się denerwujesz. Spokojnie, skarcił sam siebie.

Wstali skrępowani z powodu tej niestosownej bliskości pomiędzy lekarzem i pacjentką. Rozejrzeli się instynktownie, ale dopiero świtało, mieszkańcy tej części miasta jeszcze spali.

– Ktoś na panią napadł, została pani okradziona albo pobita? Ktoś panią... zhańbił? Muszę natychmiast zabrać panią do kliniki – nalegał zaniepokojony.

– Niech się pan nawet nie waży! – Blanca odruchowo złapała go za przedramię.

Álvaro Urbina zrozumiał dopiero po kilku sekundach. Spojrzał na nią przerażony.

– To nie była napaść, prawda? Zrobił to pani ktoś znajomy.

Blanca odwróciła wzrok, zamierzała zachować milczenie, jak zawsze. Ale nadal była w szoku po nieudanej próbie skończenia ze wszystkim tu i teraz. Może dlatego powiedziała więcej, niż powinna.

– Zna pan mojego narzeczonego, komu miałabym się poskarżyć? Mówiliby, że sobie na to zasłużyłam, i po części to prawda, on nie znał plotek na mój temat. – Blanca zaczęła wchodzić po schodach: robiło się późno. Mówiła bardziej do siebie niż do doktora, była zbyt zdenerwowana, żeby przerwać słowotok.

Álvaro szedł tuż za nią, zaniepokojony jej utykaniem.

– O czym pani mówi, Blanco?

– Pan o niczym nie wie? W takim razie wolę, żeby usłyszał to pan ode mnie, zanim dowie się pan od kogoś innego – odpowiedziała, przystając.

Dlaczego nie?, pomyślała wzburzona. Wyglądał na dobrego człowieka, w gabinecie ginekologicznym na pewno nasłuchiwał się najróżniejszych historii.

– W młodości popełniłam błąd. Na wiejskiej zabawie w Salvatierre zaczęłam flirtować z miejscowym chłopakiem, poprosił, żebym poszła z nim do domu po płaszcz. Wiał chłodny północny wiatr, zrobiło się zimno. Byłam naiwna, odprowadziłam go do gospodarstwa na obrzeżach wioski. Nie wydarzyło się nic niestosownego, czekałam na niego na zewnątrz. Ktoś nas jednak widział i rozpuścił plotkę, że wychodziliśmy razem ze stodoły, dowiedziała się o tym moja rodzina, mój ojciec, wszyscy. Nikt mi nie uwierzył, kiedy powiedziałam, że to był tylko spacer. Nie obchodziła ich prawda, to, że nie zrobiłam niczego złego. Za bardzo przejmowali się szumem, jaki powstał wokół tej sprawy, tym, że ja i reszta rodziny będziemy napiętnowani. Pójście z chłopakiem do stodoły jest najgorszym życiowym błędem, jaki może w tych stronach popełnić niezamężna dziewczyna. Ojciec był wściekły i potraktował mnie bardzo surowo. Zostałam ukarana, nigdy

więcej nie poszłam na żadną zabawę, nigdy więcej nie wzięłam udziału w obchodach ku czci Białej Panienci. Zaczęły krążyć na mój temat żarty, nazywano mnie „dziewicą Blancą”^[7], taka gra słów... Tutaj nadają ludziom przydomki ze znacznie błahszych powodów. Od tamtej pory na mojej reputacji ciąży wątpliwość, czy jestem dziewicą, czy nie. Javier nie znał tej historii, kiedy zaczął się do mnie zalecać, a ja nic mu nie powiedziałam. Uznałam, że o wszystkim wie, że naprawdę mu się podobam i że nie obchodzi go plotki. Miesiąc temu się dowiedział. Przyszedł na spotkanie i zapytał, o co chodzi z tą „dziewicą Blancą”... Stwierdził, że już za późno, żeby się rozstać, że rozesłał zaproszenia współnikom, że nie może się teraz wycofać, że skandal zaszkodziłby jego firmie i jego rodzinie. Byliśmy już zaręczeni i... wściekł się, pobił mnie. Wcześniej był czarujący. Co prawda nigdy czuły, ale uprzejmy, dobrze wychowany. Pomyślałam, że nie chce się ze mną żenić; w głębi duszy tak bym wolała, chociaż wiem, że jeżeli zerwie zaręczyny, już nigdy nie wyjdę za mąż. Ale...

– Jest pani przerażona – przerwał jej Álvaro Urbina; usłyszał wystarczająco dużo.

– Jestem obolała, nie czuję nic poza strachem, że znowu czymś się zdenerwuje i kolejny raz mnie pobije.

– Proszę za niego nie wychodzić – powiedział bez zastanowienia.

Zaczerwienił się po uszy; zazwyczaj nie był taki bezpośredni, ale wzbierała w nim żółć, odkąd usłyszał historię „dziewicy Blanki”.

– Jeżeli ojciec mnie wydziedziczy, będę nikiem, zostanę starą panną. Nie mam żadnego zawodu, mimo że chciałam się uczyć. Lubiłam książki, ale zakonnice twierdziły, że bardziej przyda mi się umiejętność wyszywania ślubnej wyprawy. Nie tego oczekiwałam od życia – powiedziała Blanca na fali zwierzeń.

Może brakowało jej przyjaciółki, której mogłaby się wypłakać. Te, które kiedyś miała, zniknęły po tamtej zabawie w Salvatierze.

– Któż ma to, czego oczekiwał? – westchnął z ponurą miną Álvaro.

– Pan też nie tego spodziewał się od życia, doktorze Urbina?

Podniósł kołnierz płaszcza, zmarzł, ale za nic w świecie nie chciał odejść z tej pustej ulicy, dopóki Blanca Díaz de Antoñana stała tak blisko, chłonąc każde jego słowo.

– Zaszedłem dalej, niż byliby w stanie sobie wyobrazić moi rodzice, gdyby kiedykolwiek się nad tym zastanawiali. Uciekłem przed biedą i ignorancją, przed życiem poświęconym bydłu i pracy w polu. Ale jak wszyscy, jestem

niewolnikiem wyborów, których dokonałem, być może zbyt wcześnie. Znam swoją żonę od kołyski, jesteśmy w podobnym wieku. Razem się bawiliśmy, w mojej wsi nie było dużo dzieci. Pewnie myślałem, że jest mi przeznaczona. Kiedy w wieku czternastu lat zacząłem naukę w seminarium w Vitorii, wszyscy uważali nas za parę. – Podniósł głowę i spojrzał w stronę masywnego budynku, w którym spędził kilka lat. – Wymienialiśmy listy, ale kiedy postanowiłem wyjechać z księdzem Luisem Marim na misję, ojciec Emilii zaczął się niecierpliwić. Nie widziałem jeszcze świata, myślałem, że skończę szkołę zawodową i wrócę do Vitorii jako robotnik. Ale odkryłem w sobie powołanie lekarskie, musiałem pomóc przy kilku nagłych porodach przyjmowanych w podłych warunkach higienicznych, a ojciec Luis Mari uznał, że jestem w tym zbyt dobry, żeby marnować się w fabryce. Księża opłacili mi studia, moja rodzina była dumna, ojciec Emilii także. Zięć z wyższym wykształceniem, który zabierze jego córkę do Vitorii, to najlepsze, co mogło mu się przydarzyć.

– Dlaczego ożenił się pan z Emilią? Z poczucia obowiązku?

Álvaro zacisnął zęby i uciekł wzrokiem. Wrócił z Ekwadoru dojrzały, bardziej wyrobiony, ona zaś była niemal analfabatką. Wesołą, nieco krzykliwą, zbyt spontaniczną, pozbawioną ogłady... Taka była zawsze, nie zmieniła się. Gdyby z nią zerwał, nigdy nie wyszłaby za mąż.

– Dla ludzi ze wsi – powiedział wreszcie – była moją narzeczoną, żaden chłopak nie chciałby być nagrodą pocieszenia. Obawiam się, że nasza obyczajowość jest zbyt surowa dla kobiet. Nie chciałem być nieodpowiedzialny, nie mogłem jej zostawić. Emilia nie ponosiła winy za to, że zobaczyłem kawałek świata i stałem się bardziej wyrafinowany.

– Jest pan człowiekiem z sumieniem.

Gdybyś wiedziała, pomyślał Álvaro.

– Proszę nie robić ze mnie świętego. Wielokrotnie grzeszyłem myślą i zaniedbaniem.

– Ale nie uczynkiem – powiedziała.

– Ale nie uczynkiem.

– Myślę, że to właśnie się liczy.

– Nie, moim zdaniem w tych stronach liczy się bycie dobrym człowiekiem i jednocześnie wyglądanie na dobrego człowieka. To właśnie powiedział Juliusz Cezar o swojej żonie, Pompei Sulli: „Żona cezara musi być ponad wszelkie podejrzenia”.

To zdanie było dla Blanki niczym policzek od rzeczywistości.

Przypomniało jej, dlaczego tu jest, wszystko, co wyznała doktorowi Urbinie. Może zbyt wiele. Na pewno. Jak mogła znowu być tak naiwna?

– Doktorze, nie chcę, żeby wspominał pan komukolwiek o tym, co pan dziś widział i słyszał, nie wolno panu nikomu o tym powiedzieć. Chroni mnie tajemnica lekarska, którą powinien pan uszanować – rzuciła ostrym tonem, zła bardziej na samą siebie niż na lekarza.

Zmartwiony Álvaro zrobił krok do tyłu.

– Nie musi się pani obawiać z powodu tego, co dziś zaszło, niczego nikomu nie powiem, nie będę jeszcze bardziej komplikował pani życia. Ma pani wystarczająco dużo problemów. Ale proszę pozwolić sobie pomóc.

– Pomóc? Nie może pan, to moja sprawa. Błagam, niech się pan w to nie miesza, proszę zapomnieć o całym zajściu i nie poruszać tego tematu, kiedy odwiedzę pana w gabinecie.

– Proszę nie odmawiać mi swojego towarzystwa. – Zdobył się w końcu na odwagę. – Chciałbym być pani przyjacielem, powiernikiem, ukojeniem. Pomóc pani. Może pani przychodzić do mojego gabinetu, będę leczył pani duszę, choć nie taka jest moja specjalizacja. Obiecuję dyskrecję.

– Zameżna kobieta i żonaty mężczyzna przyjaciółmi? Nie zna pan jeszcze tego miasta, mnie plotki zrujnowałyby życie, a panu karierę. Nie, doktorze. Nie mogę sobie na to pozwolić. – Blanca pokręciła głową. – Proszę nikomu nie mówić o tym, co pan widział.

Oddaliła się wietrzną uliczką zwaną Pasażem Zapalenia Płuc, utykając, z pochyloną głową. Lekarz patrzył za nią, drżąc z zimna i wściekłości.

Álvaro Urbina zabrał synów i żonę do parku Florida, gdzie ustawiono szopkę z figurami naturalnych rozmiarów. Ostatnio stale był zdenerwowany, Blanca nie pojawiła się w jego gabinecie, a od incydentu na schodach przy pałacu Villa Suso minął już niemal miesiąc. Bał się o nią. Czyżby ta bestia, jej narzeczony, znowu podniósł na nią rękę?

Wyciągnął Emilię i chłopców na spacer, w ulicznej budce przypominającej czarny wagon pociągu kupił im tutkę pieczonych kasztanów, przekąsił kilka *pintxos* w barze Dólar, po czym udał się na ulicę Dato, w porze, kiedy członkowie Koła Vitorii, najbardziej elitarnego klubu w mieście, przychodzili na popołudniową kawę, żeby przechodnie widzieli ich przez okna tego ekskluzywnego lokalu.

Emilia, pulchna brunetka o rumianych policzkach, bez przerwy trajkotała o bożonarodzeniowych zakupach. Pieczone prosię czy baranina? Nie mogła

się zdecydować. Álvaro z roztargnieniem kiwał głową, obserwując pary przekraczające próg klubu z bordowo-żółtymi kotarami, do którego nie miał jeszcze wstępu, choć liczył, że wkrótce się to zmieni.

Zesztywniał, kiedy rozpoznał przemysłowca, wysokiego bruneta o szerokich barach. Jego narzeczona, Blanca Díaz de Antoñana, wychodziła z klubu ucepiona jego ramienia, wymieniając dyskretne uśmiechy z innymi parami. Jej jasne włosy usztywnione lakierem były modnie uczesane, opadały grubymi lokami do linii brody.

Álvaro pociągnął Emilię za rękę, podeszli przywitać się z narzeczonymi.

Jego uwagi nie umknął nowy siniak pod okiem, źle ukryty pod warstwą sztucznie wyglądającego makijażu. Było mu jej żal, ale jeszcze bardziej żałował, że nie usłuchała jego prośby i nie odwiedziła go w gabinecie.

– Dzień dobry pani – powiedział, lekko chyląc głowę.

– Doktor Urbina, cóż za miła niespodzianka – odparła, jak zwykle powściągliwa. – Mam nadzieję, że pan i pańska urocza rodzina spędzacie mile święta.

– Tak właśnie jest, bez wątplenia. Tak właśnie jest. Zapraszam do mojego gabinetu, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Uśmiechnęła się pod bacznym spojrzeniem swojego przyszłego męża, który obserwował całą scenę, nie siląc się nawet na powitanie. Pożegnali się bez słowa. Doktor Urbina pomyślał: I to by było na tyle, nic więcej nie mogę zrobić.

Ale ze strony Blanki było coś jeszcze, spojrzenie, dodatkowa sekunda. Obietnica, „zobaczymy się”, milcząca prośba o pomoc. Zażyłość, jaka dotąd nie łączyła go z żadną kobietą, a już na pewno nie z własną żoną.

Przemysłowiec natychmiast przestał zwracać na niego uwagę. Nie zorientował się, że rodzina lekarza nie miała innego wyjścia, jak ruszyć w ślad za nimi zatłoczoną ulicą. Idący niespełna metr dalej doktor i jego żona słyszeli rozmowę narzeczonych.

– Znasz go? – zapytał Javier Ortiz de Zárate.

– Nie sposób go zapomnieć, to chyba jedyny rudy lekarz w Vitorii i okolicach.

– Rzeczywiście rzuca się w oczy z tymi czerwonymi włosami. On i jego dzieci. Pochodzi z dobrej rodziny?

– Nie wiem.

– To znaczy, że nie – uznał z pogardą, której nawet nie próbował ukryć.

W nocy Álvaro zamknął się w swoim gabinecie w mieszkaniu przy ulicy Honduras. Otworzył szufladę, gdzie trzymał pod kluczem zeszyt z rysunkami anatomicznymi, które robił na studiach. Na ostatnich stronach narysował twarz Blanki, tak jak ją zapamiętał, zaznaczając siniaki i obrażenia, które pozostawił jej arogancki narzeczonemu, a których on domyślał się jako lekarz.

Ta data wyryła mu się w pamięci, bo właśnie tamtej nocy podjął decyzję. Wbrew pozorom ta myśl go uspokoiła. Położył się po swojej stronie łóżka, starając się nie dotykać ciepłego ciała Emilii, i poczuł, że wreszcie uda mu się zasnąć.

Zanim zagłębił się w labirynt snu, przez chwilę z lubością powtarzał jak zaklęcie słowa, które dodawały mu otuchy.

Zabiję Javiera Ortiza de Zárate.

DOM POD SZNUREM

25 lipca, poniedziałek

Udało mi się zjawić na czas w barze, w którym umówiłem się z Estíbaliz. Lipiec karał nas palącym słońcem, zalewającym ulice dopiero co oczyszczone z tysięcy pogniecionych plastikowych kubków – pozostałości po nocnym świętowaniu. Służby meteorologiczne zapowiadały na najbliższe tygodnie falę upałów, na szczęście w Vitorii wysokie temperatury nigdy nie utrzymywały się zbyt długo.

Ruszyłem ulicą San Francisco, przeszedłem pod arkadami, które tego dnia wypełnili sprzedawcy czosnku. Powietrze przesiąkło przenikliwym zapachem siarki, chodnik pokrywała warstwa białych łusek. Rzesze emerytów w kraciastych koszulach i beretach wracały zadowolone do domów z długimi warkoczami czosnku przewieszonymi przez ramię. Tak było od zawsze – pamiętałem z dzieciństwa, że w dniu Świętego Jakuba dziadek specjalnie zabierał nas do Vitorii po zapas czosnku na cały rok.

Przekroczyłem próg przeszklonych drzwi baru Toloño. Lista *pintxos* była wypisana białą kredą na czarnych ścianach. Popularne, ale spokojne miejsce. Przynajmniej mnie uspokajało, było niczym ostoja, port, do którego często zawijałem w drodze do domu. Jadłem i wracałem do siebie z pełnym żołądkiem, nie musząc zawracać sobie głowy zakupami i gotowaniem.

Estíbaliz siedziała na stołku przy owalnej ladzie z jasnego drewna.

– Zamówiłam za ciebie – uprzedziła. – Koktajl z grzybów, gniazdo z przegrzebków i węgorków, faszerowany krab z pieca. Do tego sok winogronowy. Na siedząco czy na stojąco?

– Na siedząco i gdzieś na uboczu, lepiej, żeby nikt nie słyszał, o czym będziemy rozmawiać.

Wybraliśmy najbardziej odosobniony stolik w kącie w głębi baru. Esti pochłonęła swoje owoce morza w cieście filo, ja wygrzebywałem łyżką resztki grzybowego musu.

– Co z tym cyberatakiem? – chciałem wiedzieć.

– Ustał po paru godzinach, ale dotąd nie zlokalizowaliśmy źródła. Możesz już włączyć internet w komórce. I musisz powiadomić o mejlu, który wysłał ci Tasio Ortiz de Zárate, niech namierzą IP. Na razie o niczym nie powiedziałam, ale lepiej się pospiesz: informatycy myszkują w naszych komputerach. Powinni się dowiedzieć od ciebie.

– Wiem, wiem. – Westchnąłem, stukając w wyświetlacz komórki. Miałem na WhatsAppie dwadzieścia cztery wiadomości od różnych osób. Wszystkie pilnie mnie potrzebowały, postanowiłem jednak na razie nie zawracać sobie nimi głowy. – Nowa podkomisarz nie będzie zachwycona, że bez konsultacji z nią pojechałem odwiedzić Tasia w więzieniu.

– Daj jej trochę czasu, to jej pierwszy dzień. Ja też bym się bała, że popełnię błąd.

– Nie mam zamiaru, z powodu jej bierności mogą zginąć kolejne dwie osoby – obruszyłem się.

W tym momencie rozległy się jednocześnie dzwonki naszych komórek. Esti była szybsza, pierwsza odebrała swoją. Słuchając głosu rozmówcy, wbiła we mnie swoje brązowe oczy – miały dziwny wyraz.

– Jesteś przeklętym jasnowidzem – powiedziała pobladła, kiedy skończyła rozmawiać.

– O czym ty mówisz?

– Znalaziono dwa kolejne ciała, tu niedaleko, w Domu pod Sznurem.

Ostatnia część zdania sprawiła, że porcja węgorków, którą właśnie połknąłem, opadła ciężko na dno mojego żołądka i pozostała tam, uwierając mnie niczym wielki kamień w maleńkim buciku.

– Dobrze się czujesz? – zapytała zaniepokojona.

– Tak – odpowiedziałem mechanicznie. – To znaczy nie, nie czuję się dobrze. Zaczekaj chwilę.

Z miną pokerzysty ruszyłem do toalety, nie dając po sobie poznać, jak bardzo mi się spieszy. Na miejscu wyrzuciłem z siebie wszystkie *pintxos*.

Tylko nie to. Nie chciałem przeprowadzać wizji lokalnej, nie chciałem znowu oglądać nagich ciał dziewczyny i chłopaka, nieżyjących w pewnym stopniu z mojej winy. Obmyłem twarz i spojrzałem w oczy nieudacznikowi, który patrzył na mnie z lustra.

– Mięczak z ciebie – powiedziałem przyglądającemu mi się Krakenowi. – Nie robisz wystarczająco dużo. I kto jest teraz większym cwaniakiem? Ten łajdak czy ty?

Pół minuty później dotarliśmy pod numer 24 przy ulicy Cuchillería. Dom pod Sznurem pochodził z końca XV wieku, z czasów, kiedy królowie katoliccy wypędzili z Hiszpanii żydów. Jeden z wyznawców judaizmu, zamożny handlarz suknom Juan Sánchez de Bilbao, nie tylko przeszedł na chrześcijaństwo i pozostał w mieście, ale wybudował okazały dom, który mimo upływu stuleci przetrwał dumnie w nienaruszonym stanie i obecnie zaliczał się do najwspanialszych zabytków Vitorii.

Oryginalną nazwę zawdzięczał ornamentowi w postaci sznura od franciszkańskiego habitu okalającemu ogromny ostrołuk nad wejściem. Była to jedna z fasad najczęściej fotografowanych przez turystów. We mnie budziła inne, bardziej prozaiczne wspomnienia... Frytek z keczupem w papierowych rożkach, tłustych, parzących palce, które kupowałem o drugiej w nocy w Amairu, barze położonym naprzeciwko.

Z rożkiem w zgrabiątych dłoniach siadałem na schodku przed niskimi wąskimi drzwiami Domu pod Sznurem oddzielającymi dwa łuki. Potem dorosłem, zacząłem się interesować historią – zawdzięczam to Tasiowi – i odkryłem, że bogaty przechrzta kazał wstawić te drzwiczki o śmiesznych proporcjach, żeby chrześcijanie musieli schylać głowy, kiedy chcieli wejść do jego domu w celu dokonania jakiejś transakcji. Elegancka, subtelna zemsta. Nie wiem dlaczego, ale w najtrudniejszych momentach przychodziły mi do głowy takie banalne wspomnienia. Nie wiem dlaczego.

Tamtego przeklętego dnia nic nie wyglądało tu jednak tak jak zwykle. Policja odgrodziła już miejsce zdarzenia czerwono-białą taśmą. W górze ulicy czekały dwie karetki.

Przywitaliśmy się w progu z Ruizem, jednym z naszych policjantów, po czym weszliśmy przez ciężkie średniowieczne drzwi.

– Było włamanie? – zapytałem.

– Nie, zamek jest nietknięty. – Ruiz wzruszył ramionami.

Budynek należał do fundacji banku Caja Vital; dwa stojące przy wejściu biurka strzegły wstępu na parter, gdzie oszklone gabloty dziwnie kontrastowały z sufitami i kolumnami z masywnego drewna.

Sędzia Olano zszedł po schodach prowadzących do wspaniałego kwadratowego salonu zwieńczonego kopułą w kolorze głębokiego błękitu, z gwiazdkami wyrzeźbionymi pomiędzy potężnymi żebrami podtrzymującymi imponujący strop.

– Przyszli państwo na oględziny? – zapytał z powagą.

– Tak. Właśnie nas powiadomiono – odpowiedziała Esti, stając na

baczność.

– W porządku, w takim razie nic tu po mnie. Technicy robią zdjęcia, mogą podzielić się państwo spostrzeżeniami z lekarką sądową. Mój sekretarz przekaże państwu protokół do podpisu. Cóż za fatalny sposób na zakłócenie człowiekowi obiadu – mruknął do siebie zniesmaczony.

Wymieniliśmy z Estibaliz spojrzenia, po czym wstrzymując oddech, ruszyliśmy schodami w górę.

Technicy z laboratorium kryminalistycznego i doktor Guevara otaczali dwa nagie ciała ułożone na środku sali z głowami skierowanymi na północny zachód. Wokół zwłok umieszczono trzy *eguzkilore* przypominające mały Układ Słoneczny – wprost domagały się, by doceniono funkcję, jaką pełnią w całej scenografii.

– Na brodę Odyna... – szepnąłem oniemiały. – Zamordowano nordyckiego boga.

Faktycznie: leżący przed nami nagi mężczyzna wyglądał, jakby przybył prosto z Walhalli. Był dość wysoki, miał niesamowicie jasne włosy, błękitne oczy, które spoglądały w rozgwieżdżone niebo sklepienia, i ramiona pokryte tribalami.

– Chłopak wydał majątek ojca na tatuaże – powiedziała Esti. – Co o tym sądzisz, Unai?

Pochyliłem się nad ciałem Thora i powtórzyłem w myślach swoją modlitwę:

„Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”.

Dałem sobie chwilę, zanim przyjrzałem się zwłokom i odpowiedziałem.

– Myślę, że mimo paru atrybutów zakapiora znów mamy do czynienia z dzieciakiem z dobrej rodziny. Wydepilowana klatka piersiowa i nogi, ogolone owłosienie łonowe... Nigdy nie skrzywdził nawet muchy. Dbał o wygląd, a to kosztuje. Ale nie pasuje do partnerki, którą wybrał dla niego morderca. Nie sądzę, żeby mieli przyjemność poznać się za życia. Są jak ogień i woda.

Dziewczyna była niższa, miała króciutkie kasztanowe włosy. Wyglądała niepozornie, jak mniszka, jak jedna z tych osób, które przechodzą przez życie niezauważone, w przeciwieństwie do pseudozakapiora, który dotykał jej twarzy gigantyczną dłonią. Mogli mieć po dwadzieścia pięć lat albo po dwadzieścia dwa, albo po dwadzieścia siedem.

– Co mamy, pani doktor? – zapytałem, stając obok lekarki. Nie

spuszczałem wzroku z leżącej u moich stóp pary.

– Mówiąc w skrócie: podwójne morderstwo, identyczne jak to wczorajsze. Przesłałam już pana koleżance raport z sekcji zwłok wcześniejszych ofiar. Wszystkie szczegóły się zgadzają: wygląda na to, że śmierć tej dwójki także nastąpiła w wyniku uduszenia spowodowanego pożądeniem gardła przez pszczoły. Zostali przeniesieni do tej sali już po śmierci i ułożeni w takiej pozycji, zanim wystąpiło stężenie pośmiertne. Nie żyją od niespełna trzech godzin. Zabiorę ich na sekcję, jestem ciekawa, co wyjdzie w badaniach toksykologicznych. Jeżeli ubiegłej nocy imprezowali, może znajdziemy w ich organizmach jakiś narkotyk. Podobnie jak u poprzednich ofiar, brak jakichkolwiek śladów na dłoniach i pod paznokciami, mimo to kazałam je zbadać. Nie wydaje się, żeby stawiali opór, ale oni również mają na szyjach ślady jak po ukłuciu igłą. Nie odkryłam na zwłokach innych śladów przemocy, poza jednym: zaklejono im usta taśmą, którą następnie zerwano, prawdopodobnie przed przewiezieniem ich w to miejsce, kiedy morderca miał już pewność, że nie żyją. Mam natomiast dla państwa cenne znalezisko. Proszę spojrzeć.

Doktor Guevara podała nam przezroczystą plastikową torebkę z nieruchomą pszczołą w środku.

– Straciła żołądek i inne organy wewnętrzne, była więc jedną z tych, które doprowadziły do śmierci dziewczyny. Znam dyrektora Muzeum Miodu w Murguui, skonsultuję z nim kilka szczegółów. Prześlę państwu raport, kiedy będzie gotowy. Technicy zbadają również *eguzkilore*, inaczej *Carlina acaulis*, ale próbowaliśmy już z tymi z krypty w Starej Katedrze i trudno będzie ustalić ich pochodzenie. To pospolita roślina, rośnie na stokach, łąkach, pastwiskach... Morderca mógł zerwać je gdziekolwiek. – Ostatni raz rzuciła okiem na ciała. – Będę jeszcze państwu potrzebna?

– Myślę, że nie – odparła Estibaliz. – Ale proszę nas informować o wszelkich postępach, które uzna pani za istotne.

– Będę. Do widzenia.

Kiedy opuściliśmy Dom pod Sznurem, do środka weszli pielęgniarze, żeby zabrać zwłoki do prosektorium. Ciekawscy przechodnie nieznacznie zwalniali kroku; wprawdzie żaden nie miał odwagi się zatrzymać, ale rzucali ukradkowe spojrzenia w stronę wylotu ulicy Cuchillería odgródzonej policyjną taśmą.

Estibaliz przystanęła, żeby porozmawiać ze znajomą. Pożegnaliśmy się gestem „czekam na ciebie na dole”. Schodziłem ulicą San Francisco, nadal okupowaną przez sprzedawców czosnku, którzy mimo pory obiadowej trwali

na stanowiskach, kiedy podszedł do mnie niespiesznym krokiem elegancki brunet. Mario Santos, prawa ręka redaktora naczelnego „El Correo Vitoriano”, dziennikarz, którego – przyznam szczerze – darzyłem dużą sympatią.

Uśmiechnąłem się na jego widok i uścisnęliśmy sobie dłonie. Mógłbym go nazwać moim przyjacielem dziennikarzem. Potrafił zachować dyskrecję, jego artykuły były zawsze dobrze napisane. Elegancki, jeśli chodzi o styl, ale przede wszystkim o zachowanie. Nigdy niczego nie wyolbrzymiał, pomijał milczeniem moje opryskliwe komentarze, chociaż z łatwością mógłby mi zaszkodzić, wdając się ze mną w polemiki na konferencjach prasowych. Kilkakrotnie udowodnił, że *off the record* coś dla niego znaczy – ku mojej uldze. Z biegiem lat nabierałem do niego szacunku i chociaż był o kilka wiosen starszy, od czasu do czasu umawialiśmy się w centrum na kawę, w El Pregón albo w 4 Azules, żeby porozmawiać o wszystkim i o niczym – o ostatnim meczu Baskonii czy o budowie nowego centrum kultury – omijając sprawy dotyczące życia prywatnego. Był moim człowiekiem w prasie.

– Co u pana słyhać, inspektorze Ayala?

– Sam widzisz, Mario. Dużo pracy.

– I, jak sądzę, dużo zmartwień.

– Co opublikujecie?

Z nim od razu przechodziłem do rzeczy, nie tak jak w przypadku innych dziennikarzy, których zawsze trzeba było najpierw trochę wysondować. Łączyło nas coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy.

– Mamy niewiele informacji o tym, co stało się wczoraj, i żadnych o tym, co stało się dzisiaj. Dużo pogłosek, dużo telefonów. Naczelną szaleje, naciska na mnie, sam wiesz, jak to działa, ale sądzę, że sprawa jest bardzo poważna jak na Vitorię, nie chcę publikować niesprawdzonych informacji. Wczoraj całe miasto świętowało, dziś mamy Día del Blusa, niedługo zaczną się uroczystości ku czci Białej Panienci. Uważam, że nie należy wzbudzać paniki w tak szczególnym okresie. Możesz mi już coś zdradzić czy mam jeszcze poczekać?

– Daj mi trochę czasu, porozmawiam z przełożonymi. Tobie pierwszemu dam znać, zgoda?

– Trzymam cię za słowo. Jeżeli zadzwonią do ciebie z „El Diario Alavés”, możesz mnie ostrzec, zanim nas uprzedzą? – zapytał, wbijając we mnie swoje szarobure blisko osadzone oczka. Miał inteligentne spojrzenie, które spokojnie wszystko badało. – Nie wyobrażasz sobie, jacy byliśmy wściekli, kiedy

wczoraj w nocy wydali specjalny dodatek.

Zastanowiłem się chwilę, ale to było najlepsze wyjście.

– Zgoda, możesz na mnie liczyć.

„El Diario Alavés” miał skłonność do skandalizowania, jego sensacyjne nagłówki zawsze wywoływały kontrowersje. „El Correo Vitoriano” wykazywał się większą powściągliwością i powagą. Policja z czystego rozsądku była bardziej przychylna tej ostatniej gazecie. Niestety Lutxo, z którym przyjaźniłem się od dziecka, członek naszej paczki, był szefem kroniki policyjnej w „El Diario Alavés” i nieraz ścieraliśmy się z powodu konfliktu interesów, przede wszystkim dlatego, że próbował wykorzystywać nasze wspólne kolacje do zdobycia sensacyjnych materiałów, nie przejmując się tym, że przełożeni mogliby mnie oskarżyć o przekazywanie poufnych informacji. Byłem pewien, że i przy okazji tej sprawy dojdzie między nami do spięcia. I wbrew temu, co twierdziła Esti, wiedziałem to wcale nie dlatego, że jestem przeklętym jasnowidzem – po prostu dziesięć z dwudziestu czterech wiadomości na WhatsAppie wysłał mi właśnie Lutxo. Naszej przyjaźni groziły burze z gradem.

Pół godziny później dotarliśmy z Estíbaliz na komendę. Wjechaliśmy od razu na trzecie piętro i weszliśmy do gabinetu podkomisarz. Czekaliśmy dłuższą chwilę, podczas gdy ona odbierała kolejne telefony. Wreszcie zlitowała się nad nami i wyciszyła komórkę.

Kiedy skupiła już na nas całą uwagę, nasze spojrzenia na moment się skrzyżowały.

Widziałaś, co się porobiło? Cztery trupy, to ci wystarczy?, chciałem jej powiedzieć. Ale mieliśmy do wyjaśnienia wiele kwestii, lepiej było więc zacząć od początku.

– Pani podkomisarz – powiedziałem, siadając na krześle – wracamy z Domu pod Sznurem, gdzie znaleziono ofiary kolejnej podwójnej zbrodni, wcześniej jednak muszę panią poinformować o czymś, co wydarzyło się dziś rano. Kiedy hakerzy zaatakowali nasz system informatyczny i poszedłem wyłączyć komputer, odkryłem, że ktoś podający się za Tasia Ortiza de Zárate wysłał mi mejla, prosząc o jak najszybsze spotkanie w więzieniu. Pojechałem do zakładu Zaballa, żeby sprawdzić, czy to faktycznie on napisał tę wiadomość, i wy badać, czy może mieć jakiś związek ze sprawą. Właściwie chciałem ustalić, czy profil psychologiczny osadzonego odpowiada profilowi sprawcy nowych zbrodni, nad którym obecnie pracuję. Przygotuję dla pani szczegółowy raport z rozmowy przeprowadzonej w więzieniu. Na razie ja

streszczę: chociaż nie przyznał tego wprost, w jakimś stopniu stoi za atakiem informatycznym, wydaje mi się, że to miała być zasłona dymna, chciał zająć czymś zespół do spraw cyberprzestępczości, żebyśmy nie mogli zlokalizować adresu IP komputera, z którego wysłano mejla.

Zreferowałem jej naszą rozmowę, powiedziałem o masowo obserwowanym profilu na Twitterze, który rzekomo był jego, i o propozycji współpracy w śledztwie.

– Chce znowu zostać bohaterem Vitorii – dodałem. – Dlatego zamierza pomóc nam w ujęciu winnego.

– Jeżeli Tasio jest podżegaczem – przerwała mi Estíbaliz – a jeden z jego fanów przejął popełnianie morderstw, może on sam to wszystko zaaranżował, zastawił pułapkę na faktycznego sprawcę, żebyśmy go zatrzymali.

– Chcesz powiedzieć, że mógłby prowadzić grę ze swoimi współnikami?

– Niewykluczone. – Esti wzruszyła ramionami. – Traktuje ich instrumentalnie, podobnie jak swoje ofiary. Wszystkie zbrodnie były bezosobowe, stanowiły kolejne etapy serii. Może przekonał któregoś ze swoich fanów, na tyle podatnego na manipulację, że zgodził się zostać jego naśladowcą. Kogoś, kto odpowiadałby profilowi mordercy sprzed dwudziestu lat: dzięki temu kiedy dostarczy nam dowody obciążające nowego sprawcę, któryś z nich będzie pasował również do wcześniejszych zbrodni i Tasio wyjdzie na wolność. Byłby bohaterem, który pomógł policji, a na tym mu właśnie zależy.

– Ale dlaczego akurat teraz, skoro wreszcie wyjdzie na przepustkę? – dopytywała się Alba.

– Bo zależy mu nie tylko na odzyskaniu wolności – odpowiedziałem. – Przede wszystkim nie chce być pariasem, wrogiem publicznym numer jeden. Seryjnym mordercą, który wyszedł na przepustkę, bo odsiedział większość wyroku. Chce, żeby wszystko wróciło do stanu sprzed upadku. Chce odzyskać to, co było wcześniej, cytuję: „kilka godzin” przed zatrzymaniem. Chce znów mieć Vitorię u swoich stóp, jest żądny sławy, pochlebstw, pozycji społecznej. Nie chce się ukrywać, kiedy wyjdzie na wolność.

– To tłumaczyłoby, dlaczego przez dwie dekady nie sprzedał swojego mieszkania przy ulicy Dato – wtrąciła Estíbaliz. – Sprawdziłam dziś rano w księgach wieczystych. Mógłby to zrobić za pośrednictwem pełnomocnika, ale mieszkanie nadal jest zapisane na jego nazwisko, w ciągu ostatnich dwudziestu lat właściciel się nie zmienił.

– To może oznaczać, że kiedy opuści więzienie, ponownie tam zamieszka.

Wyobrażają sobie państwo, czym będzie dla niego każde wyjście na ulicę? Mieszkanie znajduje się w samym centrum miasta, przy najbardziej uczęszczanym deptaku Vitorii. Wszyscy będą na niego patrzeć, wszyscy dowiedzą się, że wrócił. A on nie zniesie roli czarnego charakteru w swoim rodzinnym mieście – powiedziałem.

Alba Díaz de Salvatierra niezadowolona przygryzła wargę, słuchając mojego wywodu. Wstała wyraźnie zła.

– Wie pan doskonale, że powinien był pan wcześniej mnie o wszystkim poinformować, nie mówiąc już o tym, że miał pan obowiązek przedyskutować ze mną stosowność spotkania z osadzonym. Proszę tu na mnie poczekać, powiadomię zespół do walki z cyberprzestępczością. Inspektorze Ayala, będziemy monitorować pański komputer aż do odwołania – oznajmiła, zapiinając niebieską dopasowaną marynarkę, po czym opuściła gabinet.

Kiedy patrzyłem, jak wychodzi, wymknęło mi się długie westchnienie. Przez moment wpatrywałem się w drzwi, które zamknęła za sobą podkomisarz. Byłem przybity, ale zmusiłem się do operatywności.

– W porządku, Esti. Kontynuujmy. Jakież to nowe wieści miałaś mi przekazać w Toloño, zanim nam przerwano?

– Zdobyłam listę wszystkich, którzy mają klucze do Starej Katedry. Dyrektor podał mi też pewien fakt, który może okazać się interesujący. Przed kilkoma tygodniami jedna z archeolożek zajmujących się oprowadzaniem turystów poprosiła o drobienie kluczy, bo nie mogła znaleźć swoich. Twierdziła, że ich nie zgubiła, że bardzo uważa i nie spuszcza ich z oczu podczas całej wizyty. Była przekonana, że ktoś je ukradł. To się stało podczas ostatniego wieczornego oprowadzania o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Godzinę później było już niemal ciemno. Pamiętam, że na trasie zwiedzania katedry jest mnóstwo mrocznych zakątków, ktoś zręczny mógł rzeczywiście ukraść jej kółko z kluczami.

– Mamy nazwiska zwiedzających z tamtego dnia?

– Tak, dyrektor przekazał mi listę. Problem w tym, że zapisują nazwisko tylko jednej osoby na rodzinę czy grupę znajomych i nie sprawdzają dowodu. Jeżeli ktoś przyszedł na zwiedzanie, żeby ukraść klucze, a potem zostawić w katedrze dwa trupy, należy liczyć się z tym, że nie podał prawdziwego nazwiska. To byłby błąd nowicjusza, nie pasuje do perfekcjonizmu, z jakim morderca dokonuje tych zbrodni.

– Tak czy siak, trzeba będzie sprawdzić tożsamość tych osób – nalegałem.
– A skoro już mowa o tożsamości, wiemy, kim były wczorajsze ofiary?

– Nasz system informatyczny nie działał przez cały rano, Unai. Nie mogliśmy posunąć się naprzód. Mamy setki zgłoszeń, trzeba je będzie sprawdzić, porównać zdjęcia zaginionych z wyglądem obu ofiar, ale myślę, że niedługo się dowiemy. Na razie, żeby nie tracić czasu, poszukam w bazie danych okolicznych pszczelarzy. Z tym że jest mnóstwo osób, które nie zajmują się pszczelarstwem zawodowo, nie prowadzą pasieki i nie sprzedają miodu. W dolinie Gorbea wielu mieszkańców traktuje hodowlę pszczół jako hobby; sporządzenie kompletnej listy zajęłoby nam całą wieczność. Nawet mój ojciec miał na wsi kilka uli, to znaczy jeszcze przed alzheimerem – szepnęła, ścisząc głos, jakby w ten sposób ta diagnoza była dla niej mniej bolesna.

Ojciec Esti był jeszcze młody, mimo to niedawno trafił na specjalistyczny oddział ośrodka opieki w dzielnicy Txagorritxu, gdzie zajmowano się takimi przypadkami.

– Mój starszy brat pewnie pozbył się uli – ciągnęła, obracając długopis w swoich wiewiórczych łapkach. – Ja zawsze bałam się pszczół, nigdy do nich nie podchodziłam. Przepraszam, jeśli wczoraj nie zareagowałam wystarczająco szybko. Pszczoły wyczuwają adrenalinę, którą wydzielamy w sytuacjach stresowych. Czują się zagrożone i żądla, dlatego pszczelarze muszą być spokojnymi ludźmi albo posiadać wystarczająco wysoką inteligencję emocjonalną, żeby panować nad nerwami, kiedy do nich podchodzą. Jako że jestem kłębkim nerwów, zaliczyłam sporo uządleń, zanim zrozumiałam, że lepiej nie zbliżać się do uli.

W tym momencie do gabinetu wróciła podkomisarz. Miała poważną minę, wyglądała na zmęczoną. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że przed nami jeszcze długi dzień.

– Technicy od cyberprzestępczości wzięli się już do pańskiego komputera, inspektorze. A teraz chciałabym, żeby podzielili się państwo ze mną swoimi pierwszymi wrażeniami dotyczącymi tych czterech zabójstw.

– Ogólnie rzecz biorąc, istnieją trzy możliwości – powiedziałem, podnosząc się z krzesła. Nie wiem dlaczego, ale lepiej mówi mi się na stojąco. – Albo jeśli pani woli, trzy teorie. Teoria A: Tasio był sprawcą wcześniejszych zbrodni, a teraz jest podżegaczem. Oznaczałoby to, że ma wpływ na kogoś spoza więzienia, co pasowałoby do Tasia, z którym spotkałem się dziś rano: piekielnie inteligentnego, przekonującego człowieka o wysokim poczuciu własnej wartości. Profil mesjanistycznego lidera.

– Jaki byłby motyw zbrodni? – zapytała podkomisarz.

– Chce zrobić kogoś innego, bo jego zdaniem sam został wrobiony. Teraz

siedzi w więzieniu i nie może być faktycznym sprawcą zbrodni.

– Zgoda – westchnęła. – Jak brzmi teoria B?

– Ta jest bardziej oczywista: mordercą jest jego brat.

– Jego brat Ignacio? – powtórzyła z niedowierzaniem podkomisarz. – Niemożliwe, to jeden z naszych, nieskazitelny przebieg służby i...

– Wiem, wiem – przerwałem jej. – Ale proszę przynajmniej pozwolić, że przedstawię pani tę ewentualność, jako że nie możemy jej wykluczyć. Otóż teoria B brzmiałaby następująco: Ignacio jest sprawcą zarówno zbrodni sprzed dwudziestu lat, jak i obecnych. Wrócił do zabijania akurat teraz, na kilka tygodni przed przepustką brata, żeby podejrzenia padły na Tasia i nie mógł wyjść na wolność. Nie wiem, może Tasio zagroził mu, że się zemści albo że go zabije, kiedy opuści więzienie. To bardzo znamienne, że seria morderstw została przerwana na dwadzieścia lat, a teraz znowu wróciły. Chociaż Ignacio nie pasuje do profilu zabójcy, nie możemy nie brać pod uwagę chronologii wydarzeń.

– Przejdźmy do teorii C. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat! – Podkomisarz skrzyżowała ręce na piersi.

– Ostatnia możliwość jest taka, że to dzieło naśladowcy, który nie ma kontaktu z Tasiem. Niezależnego mordercy, kogoś nowego, kto dołączył do rozgrywki między bliźniakami, ale nie ma z nimi nic wspólnego. To mi jednak nie pasuje. Ktokolwiek to zrobił, sceneria i wykorzystane rekwizyty są dopracowane w każdym szczególe, nie doszło do żadnych potknięć. Czegoś takiego nie da się uzyskać od razu, zazwyczaj pierwsze zbrodnie to czysta fuszerka, niemal wszyscy początkujący mordercy popełniają rażące błędy. Tak więc ten ktoś nie zabija po raz pierwszy, a z tego, co wiem, nie było wcześniej podobnych zbrodni, przynajmniej w Álavie.

– W porządku – ucięła podkomisarz. – Proszę poszukać zbrodni, gdzie ofiarami były pary pozostawione nago albo zmarłe w wyniku pożądlenia przez pszczoły. Zbrodni, które umknęły naszej uwagi, może dokonanych bardziej nieudolnie, mniej czysto.

– To robota dla ciebie, Kraken – szepnęła Estíbaliz.

– O co chodzi z tym Krakenem? – zapytała z zaciekawieniem Alba.

Spiorunowałem przyjaciółkę wzrokiem.

– Pan jest Krakenem? – nie dawała za wygraną; odniosłem wrażenie, że trochę zbladła.

– To ksywa, którą nadali mi w szkole. A co, to ma jakieś znaczenie?

– Wygląda na to, że ma. W związku z atakiem hakerów zaczęliśmy monitorować profil na Twitterze, o którym pan wspomniał. Sądzę, że Tasio zostawił panu wiadomość.

Wzięła komórkę i pokazała nam ostatni tweet na profilu Tasia, opublikowany zaledwie pół godziny wcześniej:

Bohater potrzebuje mentora, kogoś z doświadczeniem, kto wcześniej przebył podobną drogę. Od ciebie zależy, czy będzie to mentor jasny, czy ciemny, #Kraken

Ścisnąłem palcami nasadę nosa. To nie było śmieszne. To wcale nie było śmieszne.

– Mój Boże, co za bufon – mruknąłem sam do siebie.

– Będziemy musieli wrócić do zakładu karnego i porozmawiać z dyrektorką – powiedziała podkomisarz. – Trzeba sprawdzić, jak kontaktuje się ze światem zewnętrznym i zleca publikowanie tweetów. Powinniśmy też ustalić, czy doszło do złamania prawa i czy chroni go ktoś z kierownictwa więzienia.

– Zajmę się tym – przerwałem.

Wpadłem na pomysł, jak posunąć śledztwo naprzód, może nie był to ortodoksyjny sposób, ale prawdopodobnie bardziej skuteczny niż sondowanie dyrektorki więzienia Zaballa.

– Może pan jechać, ale nie chcę, żeby rozmawiał pan z Tasiem Ortizem de Zárate.

– Słucham? – zapytałem z niedowierzaniem. – To na razie jedyny trop, jaki mamy, a pani zabrania mi z nim rozmawiać?

– To niebezpieczne.

– Niebezpieczne? Dzielili nas podwójna szyba pancerna, w drzwiach stali strażnicy. Jest coś mniej niebezpiecznego niż spotkanie z Tasiem?

– Nie chodziło mi o pańskie fizyczne bezpieczeństwo. Mam na myśli manipulację psychologiczną.

– Uważa pani, że nie jestem na to przygotowany, że nie jestem profesjonalistą? – Podniosłem głos.

– Słyszał pan, co powiedziałam. Nie będę z panem o tym dyskutować. I proszę przesłać mi do wieczora szczegółowy raport z pańskiej rozmowy z osadzonym.

Estíbaliz spojrzała na mnie, wyczytałem z jej oczu: „Daj spokój, nie wygrasz”.

I miała rację, byłem związany liną, która mnie dusiła. Nie lubiłem, kiedy ograniczano mi swobodę ruchów podczas śledztwa. Ta absurdalna nieufność spowolni dochodzenie; jeżeli morderca zamierza co kilka godzin dokonywać kolejnych zbrodni, ja zaś spędzę to popołudnie w gabinecie, to tak, jakbym zostawił dziecko samo w łodziarni.

Usiadłem sfrustrowany i pozwoliłem jej dokończyć. Było mi już wszystko jedno.

– Na koniec – powiedziała podkomisarz, podając nam jakąś kartkę – mam dla państwa oficjalny komunikat zredagowany przez nasz zespół prasowy. Jedyne szczegóły, jakie upublicznimy, to przybliżony wiek ofiar i godzina odkrycia zwłok. Zgodnie z sugestią inspektora Ayali udzieliliśmy wskazówek, jak zadbać o bezpieczeństwo. Nie wyjdziemy poza ten komunikat, nie podamy więcej informacji. Wszelkie postępy w śledztwie pozostaną utajnione do czasu, aż wydam nowy rozkaz.

– Zgoda. Wyślę go mojemu człowiekowi z prasy – powiedziałem.

– Cokolwiek się wydarzy, bardzo proszę, żeby natychmiast mnie państwo informowali. Mogą państwo odejść.

Opuściłem gabinet nowej szefowej, czując się tak, jakby spuszczone mi łomot, łomot, od którego byłem cały obolały i który unieruchomił mnie na kilka najbliższych dni. Estíbaliz także była zamyślona. Znałem ją, wiedziałem, że jej umysł pracuje w takich chwilach na nieludzkich obrotach.

– Skoro już mowa o papierach... Powinniśmy dotrzeć do akt zbrodni sprzed dwudziestu lat. Tasio zdradził mi coś, co chcę sprawdzić.

– Już o tym pomyślałam i właśnie miałam ci powiedzieć. Chodźmy do mojego gabinetu. Poprosiłam Pancorba, żeby je dla mnie odszukał.

– Dlaczego Pancorba? – chciałem wiedzieć.

Pancorbo był inspektorem z drogowki, nie rozumiałem, jaki ma związek z naszą sprawą.

– Bo to on był partnerem Ignacia Ortiza de Zárate, kiedy doszło do tamtej katastrofy; wcześniej pracował w Wydziale Kryminalnym. Przeniósł się do drogowki tuż po podwójnym morderstwie przy średniowiecznym murze. Nim także musiało to wstrząsnąć.

– Pancorbo? – powtórzyłem.

Trudno mi było wyobrazić sobie tego bezbarwnego inspektora u boku tak

wybitnego policjanta jak Ignacio Ortiz de Zárate. Nie byli równymi partnerami.

– Tak, Pancorbo. – Weszła do swojego gabinetu.

Na jej biurku z białego laminatu znaleźliśmy zwykłą brązową teczkę zawierającą gruby plik kartek. Rzuciliśmy się na raport i spędziliśmy następną pół godziny pogrążeni w lekturze dokumentów. Wreszcie trafiliśmy na zdjęcia.

Chyba nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem.

Chciałem być.

Chciałem myśleć, że jestem. Ale na widok zdjęcia noworodków, chłopca i dziewczynki, nagich, z posiniałymi główkami, dotykających nawzajem swoich policzków, otoczonych trzema małymi *eguzkilore* ułożonymi na trawie porastającej dolmen... Miałem wrażenie, że ich widzę, że widzę osoby, którymi nigdy się nie stały, których nie mogłem poznać, które miały tysiąc imion, bo nie zdążyliśmy żadnych dla nich wybrać.

Być może minęło więcej czasu, niż zapamiętałem. Twarz Estíbaliz znalazła się nagle bardzo blisko mojej. Patrzyła na mnie zaniepokojona. Potrzebowała obu dłoni, żeby unieść moją głowę przygniatającą zdjęcie martwych noworodków. Widocznie zakryłem nią fotografię i tak już została, jakby przyciągnął ją magnes, niezdolna do wykonania żadnego ruchu, jak moje życie zostało na tamtej prostej wśród sosen.

– Wszystko w porządku, Kraken? Chcesz, żebyśmy na dziś już skończyli?

– Po prostu... Po prostu muszę napić się wody i trochę się odświeżyć – powiedziałem, wstając gwałtownie, i wyszedłem z gabinetu.

Chwilę później wróciłem spokojny i mentalnie przygotowany. Wiedziała, że Estíbaliz nigdy nie powie nikomu o mojej chwili słabości.

– W porządku, skupmy się na aktach – szepnąłem, a ona w milczeniu skinęła głową.

Kiedy skończyłem przerzucać dokumenty, spojrzałem na nią zdziwiony.

– Co jest? – zapytała.

– Akta dotyczące zabójstwa jednej z dwóch ostatnich ofiar, piętnastolatki, są niekompletne. Protokół z oględzin mówi o śladach nasienia i prawdopodobnej agresji seksualnej, a przynajmniej o stosunku płciowym na krótko przed śmiercią, do potwierdzenia podczas sekcji zwłok. Brakuje jednak wyników autopsji.

Esti spojrzała na mnie, przeszukała swoją część papierów i pokręciła

głową. Ona także go nie miała.

– Z ośmiu protokołów sekcyjnych brakuje akurat tego dotyczącego piętnastolatki. Dlaczego?

„Piętnastoletnia dziewczyna”, przypomniałem sobie słowa Tasia.

Wszystko to było dla mnie nowe i niepokojące... Nie miałem pojęcia, że jedna ze zbrodni sprzed dwudziestu lat miała podłoże seksualne, prasa nigdy o tym nie wspomniała. Ta informacja nie wyciekła do mediów.

Kto od nas wykradł raport z sekcji zwłok, żeby nikt nie odkrył, co naprawdę przytrafiło się tamtej dziewczynie?

Popatrzyłem na Esti, odpowiedziała mi wymownym spojrzeniem.

Nadszedł moment, by poznać osobiście Ignacia Ortiza de Zárate, prawego policjanta, który wydał własnego brata.

Nazajutrz rano znów włożyłem adidas i przemierzyłem Vitorię, spokojną i wyludnioną, jakby chciała się zdystansować do straszliwych zbrodni kalających jej ulice. Zmieniłem zwykłą trasę, nie miałem ochoty spotkać... Co za różnica? Pobiegłem wzdłuż torów tramwajowych przy alei Gasteiz i skręciłem w ulicę Basoa. Wpadłem na nią, wracając Cercas Bajas.

Nie chciałem się zatrzymywać. Nie tego dnia, kiedy czułem się spętany jej rozkazami.

Przyspieszyłem i odwróciłem głowę, kiedy mijaliśmy się przy Wieży Doñi Ochandy. To ona mnie zaczepiła.

– Izmaelu...

– Blanco... – odpowiedziałem krótko i pobiegłem dalej.

W ten sposób ustalił się charakter naszej podwójnej znajomości: inspektor Ayala i podkomisarz Díaz de Salvatierra w ciągu dnia.

Blanca i Izmael o świcie.

6

ULICA DATO 2

29 lipca, piątek

Co łączy ostatnie zbrodnie? Przejdź do sedna sprawy i stwórz profile ofiar, #Kraken

Taki tweet zaserwował mi Tasio w piątek na śniadanie. Liczba obserwujących jego profil w ciągu kilku godzin wzrosła prawie o trzydzieści tysięcy, a #Kraken stał się jednym z najpopularniejszych hashtagów. Mój mroczny mentor nie chciał stracić zainteresowania mediów, był na tyle próżny, że zamierzał prowadzić mnie za rękę podczas śledztwa.

Jednak bohaterem tamtego dnia był nie Tasio, ale jego brat Ignacio.

Szkoda, że odszedł z policji wkrótce po tym, jak Tasio trafił do więzienia. Aż do tego momentu ulubieńcem mediów był jego bliźniak. Ale zrobione podstępem i opublikowane na pierwszej stronie „El Diario Alavés” zdjęcie uczyniło z Ignacia bohatera, którego wszyscy podziwialiśmy.

Ignacio ukradkiem ocierał łzę, wchodząc do sądu, gdzie zaraz miał złożyć zeznania. Poważna mina, zaciśnięte szczęki. Starał się kontrolować w prawdopodobnie najgorszym momencie swojego życia. Pełna rezygnacji niezłomność mężczyzny, który potrafił dostrzec, że jego brat jest seryjnym mordercą, i oddać go w ręce wymiaru sprawiedliwości, poruszyła nas wszystkich.

Który policjant nigdy nie zadał sobie tego pytania? Gdyby osoba, którą najbardziej kochasz, okazała się mordercą, wydałbyś ją czy ukrył prawdę? A gdyby w czasie hiszpańskiej wojny domowej mój dziadek był sadystycznym katem? Podczas szkolenia w akademii Arkaute poznałem historie Argentyńczyków niemieckiego pochodzenia, którzy z przerażeniem odkrywali, że ich uroczy dziadkowie byli nazistowskimi zbrodniarzami wojennymi. Jak pogodzić te dwa różne oblicza, dwie tak rozbieżne rzeczywistości? Nadal jesteś w stanie uściskać dziadka, czule pocałować go w czoło, spojrzeć mu w oczy? Wydasz go? Zerwiesz z nim kontakty, przestaniesz kochać kogoś, kto się tobą opiekował, kto przez całe twoje życie

obdarzał cię miłością i czułością?

Ignacio poprowadził później serię programów kryminalnych, które pod koniec lat dziewięćdziesiątych cieszyły się ogromną popularnością. Był bardzo skrupulatny, nie szukał sensacji jak prowadzący z innych stacji telewizyjnych, zdobył renomę. Potem zniknął z mediów. Mówiono, że dzięki temu, co zarobił w telewizji, nie musi pracować do końca życia. Zapraszano go na każdą imprezę w jakikolwiek sposób związaną z Vitorią. Zazwyczaj brał w nich udział, zachowywał się bez zarzutu, dobrze wcielał w swoją rolę. Ale ostatnio o nim nie słyszałem, dlatego kiedy Estíbaliz zadzwoniła do mnie rano i powiedziała, co planuje, bez zastanowienia zgodziłem się jej towarzyszyć.

Podjechaliśmy samochodem na aleję Gasteiz: jakimś niebywałym zrządzeniem losu udało nam się zaparkować przed trójkątnym budynkiem sądu. Udaliśmy się do restauracji Zaldiaran, jedynej w całej baskijskiej stolicy, która mogła poszczycić się gwiazdką Michelin.

Moja towarzyszka zdobyła telefon Ignacia Ortiza de Zárate dzięki uprzejmości Pancorba i umówiła nas na spotkanie w jego mieszkaniu przy ulicy Dato dwie godziny później. Ponieważ jednak jestem chorobliwie ciekawskim facetem – z natury i z powodu skrzywienia zawodowego – nie chciałem przepuścić wydarzenia kulinarnego, którego twarzą był właśnie Ignacio. Festiwal Slow Food Álava zaczynał się o jedenastej rano; pojawiliśmy się na nim z Estíbaliz ubrani nieco bardziej elegancko niż zwykle, żeby za bardzo nie odstawać od reszty. Esti miała na sobie koktajlową sukienkę, czerwoną jak jej włosy, ja zaś dopasowany granatowy garnitur.

Weszliśmy do świątyni gastronomii przez szklane drzwi i ruszyliśmy wyłożonym boazerią korytarzem. Sala bankietowa pękała w szwach. Z uniesionych nad głowami setek komórek błyskały flesze niczym fajerwerki podczas fiesty w San Sebastián.

– Widzisz cokolwiek? – zapytała zrezygnowana Esti.

Rozdałem kilka eleganckich kuksańców i przepuściłem ją przed siebie; staliśmy na końcu sali.

– Tak, to chyba nasza gwiazda jest przedmiotem tej sesji zdjęciowej – odparłem, nie będąc do końca pewny.

Wyciągnąłem szyję i wtedy go zobaczyłem: pozował z pewną siebie miną grupie fotografów. Mój prawdziwy bohater z młodości dwadzieścia lat później. Ten, który ładnie się zestarzał, nie tamten wrak człowieka w więzieniu. Tasio wyglądał jak dziadek żebrak swojego brata bliźniaka.

Na twarzy Ignacia próżno by szukać śladu zmarszczek czy ciemnych

worów pod oczami. Miał starannie ostrzyżone włosy w tym samym ciemnoblond kolorze, który zapamiętałem, a nie srebrzyste strąki jak jego brat. Sprężyste, umięśnione, wyrzeźbione ciało trenującego sportowca. Drogi dopasowany garnitur ze spodniami *slim fit*. Wąski, dobrze dobrany krawat. Angielskie zamszowe buty, duży markowy zegarek. Idealnie gładka twarz, jakby ogolona przez jakiegoś starodawnego cyrulika.

Trudno było go nie podziwiać; musiał też robić duże wrażenie na kobiecie takiej jak Estibaliz. Może poczułem nawet ukłucie zazdrości, choć nie miałem do tego prawa.

Ignacio uśmiechał się, stojąc przed logo przedstawiającym ślimaka i napisem „Slow Food Álava”. Na stole obok rozmieszczono artystycznie całą serię lokalnych produktów gourmet. Z miejsca, gdzie stałem, dostrzegłem puszkę czarnych truflí z Álavy, słoiki miodu z Parku Krajobrazowego Gorbea, woreczki z rafii z fasolą pinto i butelki miejscowej txakoliny.

Ignacio opowiadał o wszystkich tych produktach z umiarkowanym entuzjazmem doświadczonego jubilera. Kilka razy puścił oko, przetykał swoje wystąpienie anegdotami, zaprosił kilku szczęśliwców z pierwszego rzędu, żeby skosztowali txakoliny, i sypiąc eleganckimi żartami, zgodził się zapozować do zdjęć z wybrańcami, którzy uśmiechali się głupkowato, poddani jego czarowi.

Kiedy zgasły flesze, Ignacio spojrział na zegarek, podziękował wszystkim obecnym i rozdając uśmiechy, ruszył do zejścia ze sceny.

Wtedy prasa zarzuciła go gradem niewygodnych pytań.

– Ignacio, dla „Europa Press”: co sądzisz o zbrodniach w Starej Katedrze i w Domu pod Sznurem? Myślisz, że twój brat miał z nimi coś wspólnego?

Wszyscy zamarliśmy: dziennikarka była zbyt bezpośrednia. Na chwilę zapadło milczenie. Wyraz twarzy Ignacia nie uległ jednak zmianie, nadal malował się na niej szczerý uśmiech, jakby to pytanie wcale nie padło.

– Mireio, dobrze wiesz, że nie będę się wypowiadał na ten temat. Nie jestem do tego upoważniony. A teraz, jeżeli mi państwo wybaczą...

– Ostatnie pytanie – wyrwał się jakiś chłopak mówiący z brytyjskim akcentem. – Dla „The Sunday Times”...

Wszyscy odwrócili się zaintrygowani w stronę angielskiego dziennikarza. To, że sprawą zaczynała się interesować europejska prasa, oznaczało, że znajdziemy się z Esti pod jeszcze większą presją. Nie wyglądało jednak na to, żeby obecność zagranicznych mediów zrobiła wrażenie na Ignaciu.

– Powtarzam – uciął, elegancko kiwając głową. – Nie mam nic do

powiedzenia. Nic nie wiąże mnie z tą okropną sprawą. Dziękuję państwu za zainteresowanie i obecność na imprezie tak ważnej dla naszej gastronomii. Życzę wszystkim miłego dnia.

Ignacio zdołał wreszcie zejść z podium, ale natychmiast otoczył go tłum: radiowe mikrofony, kamery telewizyjne i anonimowa publiczność, która chciała zrobić sobie z nim selfie.

– Esti – szepnąłem – przechwyć go i powiedz, żeby poszedł do męskiej toalety. W przeciwnym razie pożą go żywcem.

Wyszedłem z sali bankietowej i zapytałem o łazienkę. Musiałem poczekać kilka minut, zanim pojawił się Ignacio. Zamknął za sobą drzwi i oparł się plecami o ścianę. Zacisnął powieki, odchylając głowę i wydając z siebie długie westchnienie.

– Inspektor Ayala – przedstawiłem się, wyciągając do niego rękę. – Byliśmy umówieni o pierwszej u pana w domu, ale chyba trudno będzie panu stąd wyjść w jednym kawałku. Przyjechał pan samochodem?

– Nie, przyszedłem pieszo. – Ścisnął mocno moją dłoń. – Ludzie powariowali, od dnia Świętego Jakuba wszyscy zaczepiają mnie na ulicy i plotą trzy po trzy, ale nie sądziłem, że kulinarna impreza okaże się śmiertelną pułapką. Obawiam się, że powtórzy się sytuacja sprzed dwudziestu lat: znów nie dadzą mi żyć.

– Zaparkowaliśmy z koleżanką przed sądem. – Starłem się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Radiowóz? Tylko tego brakuje, żeby ktoś zobaczył, jak wsiadam do policyjnego samochodu. Niepotrzebne mi kolejne teorie spiskowe.

– Nie, to nie radiowóz.

W tym momencie były inspektor przejął dowodzenie.

– W porządku, jesteś wyższy i cięższy niż ja – powiedział. – Uprzedź swoją koleżankę, niech wyjdzie pierwsza i podjedzie pod restaurację. Kiedy znajdziemy się na zewnątrz, zasłoń mnie swoim ciałem i odwróć głowę od kamer, żeby cię potem nie rozpoznano. Na szczęście jesteś w cywilu. Spróbujemy uniknąć zdjęcia na pierwszą stronę, na które wszyscy dzisiaj polują.

– Zrozumiano.

Powiadomiłem Estíbaliz i pięć minut później zaryzykowaliśmy przedarcie się przez ludzką zaporę, która czekała na nas przed wejściem do Zaldiaran. Chroniłem własnym ciałem Ignacia, który przywykł już do ceny, jaką trzeba

płacić za sławę – wskoczyliśmy do samochodu, gdy tylko otworzyły się tylne drzwi.

– Nadal pan chce, żebyśmy pojechali do pana? – zapytała Estíbaliz na powitanie, ruszając w stronę niebieskiego mostu.

– Tak, zostawimy samochód na parkingu przy Nowej Katedrze i przejdziemy się na Dato.

Jakiś czas później dotarliśmy do budynku z numerem dwa przy ulicy Dato. Było powszechnie wiadomo, że bliźniacy Ortiz de Zárate odziedziczyli fortunę po rodzicach, którzy umarli, kiedy bracia mieli zaledwie po osiemnaście lat. Natychmiast sprzedali odlewnię żeliwa temu, kto zaoferował najwyższą cenę. Żaden z nich nie chciał przejąć fabryki po ojcu, poczuli w sobie inne powołanie, choć tak naprawdę w ogóle nie musieli pracować. Jeden chciał zostać policjantem, drugi archeologiem. Obaj byli najlepsi w swoim fachu.

Kupili mieszkania przy najbardziej reprezentacyjnej ulicy miasta noszącej imię Eduarda Dato. Na samym jej początku, tuż przy skrzyżowaniu z Postas. W kamienicach naprzeciwko. Jakby każdy chciał królować po swojej stronie ulicy. Lewa dla ciebie. Prawa dla mnie. Ignacio od strony placu Virgen Blanca, Tasio od strony Fueros. Nikt nie miał wtedy wątpliwości, że świat stoi przed nimi otworem.

Wjechaliśmy na trzecie piętro unowocześnieoną windą. Ignacio otworzył pancerne drzwi prowadzące do przestronnego mieszkania. Męski wystrój utrzymany w odcieniach szarości i ochry wyglądał na dzieło profesjonalisty. Zaraz po wejściu wyłapałem pewien niepokojący szczegół. Odnotowałem go i zarchiwizowałem w pamięci, żeby wrócić do niego później. Tymczasem spróbowałem skoncentrować się na strategicznym rozpoznaniu, które miałem przeprowadzić.

Nie lubię traktować rozmów ze świadkami i z podejrzanymi jako przesłuchań. Doświadczenie nauczyło mnie, że w mieście tak małym jak Vitoria ludzie zazwyczaj nabierają wody w usta, zasłaniając się nieszczęsnym prawem do milczenia. Dlatego zawsze przygotowywałem sobie listę tematów zaczynającą się od niewinnych pytań, a kończącą na najtrudniejszych kwestiach. Były niczym boje, których chwyciłem się po drodze, zanim przybiłem do portu docelowego.

Powtórzyłem w myślach trasę, jaką opracowałem sobie na to spotkanie, punkty, co do których chciałem mieć jasność, kiedy opuścę kryjówkę Ignacia: znajomi z tamtych czasów, medialność sprawy, zaginiony protokół z sekcji zwłok i przepustka Tasia.

- Dziękuję, że zgodził się pan nas przyjąć w swoim mieszkaniu.
- Na Boga, mów mi na ty, jest między nami zaledwie kilka lat różnicy.
- Pięć – wyrwało mi się.

Przyjął do wiadomości tę informację, na moment marszcząc brwi; musiał się domyślić, że znam szczegóły jego śledztwa.

– Niech będzie, pięć – powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku. Zapadła pełna napięcia cisza, staliśmy wszyscy troje w olbrzymim salonie, którego okna w białych, niedawno odmalowanych ramach wychodziły na ulicę Dato. – Macie ochotę na młode czerwone wino? Zarząd stowarzyszenia Slow Food współpracuje z wytwórnią win w Rioja Alavesa; dobrze sobie radzi na światowych rynkach. Chciałbym, żebyście go spróbowali.

– Nie, dziękuję. Wiesz, że jesteśmy na służbie – odparłem.

– Ja chętnie spróbuję – pospieszyła z odpowiedzią Esti.

Spiorunowałem ją wzrokiem. Oboje byliśmy kiepscy w przestrzeganiu zasad, ale przynajmniej staraliśmy się z tym kryć przy ludziach.

– Możecie usiąść. Ty w tym fotelu, a ty w drugim – powiedział, wskazując identyczne fotele z uszami, czarne, designerskie, ustawione po dwóch stronach eleganckiego stolika. – Pójdę po wino.

Zostawił nas samych i poszedł do kuchni po butelkę.

Po powrocie nalał Esti wina i usiadł na środku kanapy, jakby zależało mu na symetrycznym rozmieszczeniu uczestników spotkania. Wydało mi się to dziwne, przypominało perfekcyjnie zaprojektowaną scenografię.

Ignacio skosztował wina i odstawił kieliszek na stolik razem z innym, który przyniósł z kuchni. Pomyślałem, że miał być dla mnie, ale mi go nie podał. Przez chwilę przesuwiał oba kieliszki, pusty i pełny.

Parzyste przedmioty.

Wszystko w tym domu było parzyste, jakby mieszkały w nim dwie osoby, a nie jeden rozchwytywany kawaler.

– Czyli jesteś też członkiem zarządu Slow Food? – zapytałem z autentycznym zainteresowaniem. – Współpraca z miejscowymi dostawcami musi być niezwykle ciekawa.

– Rzeczywiście. Kupujemy bezpośrednio lokalne produkty: czarne trufle, ziemniaki z Montaña Alavesa...

– Miód też? – wtrąciła Estíbaliz, siłąc się na neutralny ton.

– Tak, akurat za ten produkt odpowiadam osobiście – rzucił niedbale. –

Świat pszczół jest fascynujący, nie sądzicie?

– Bez wątpienia – potwierdziła Esti. – W gospodarstwie moich rodziców zawsze stało kilka uli, produkowali miód na własny użytek i żeby sobie dorobić. W rejonie Gorbei niemal wszyscy znają się trochę na pszczelarstwie, to rodzinna tradycja.

Ignacio uśmiechnął się sam do siebie, jakbyśmy opowiedzieli dowcip, który tylko on zrozumiał. Opróżnił kieliszek i odstawił go obok jego sobowtóra. Wstał, podszedł do jednego z okien i patrzył przed siebie, opierając głowę o białą drewnianą framugę.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, przejdźmy od razu do rzeczy. Zadajcie pytania, które przyszliście mi zadać. Nie zamierzam utrudniać śledztwa.

Odetchnąłem z ulgą, w ten sposób mogłem pominąć kilka boi.

– Dziękujemy ci za tę bezpośredniość.

– Może i przestałem być policjantem, ale wciąż mam wyryte w mózgu schematy myślenia, których nauczyli mnie w akademii – powiedział niemal sam do siebie, nie spuszczać wzroku z fasady domu po drugiej stronie ulicy. – Na pewno zebrało wam się mnóstwo pytań bez odpowiedzi w związku ze śledztwem w sprawie czterech ostatnich morderstw i zbrodniami sprzed dwudziestu lat.

– W takim razie zaczynamy. Interesuje mnie aspekt medialny. Nie da się zaprzeczyć, że po pierwszych zabójstwach prowadzony przez Tasia program o archeologii zyskał olbrzymią popularność. Z tego, co wiem, wcześniej pozostawał raczej niezauważony w ramówce regionalnej telewizji. Ale odkąd Tasio zaczął snuć teorie na temat historycznego tła każdej ze zbrodni, stał się prawdziwą gwiazdą. Kto kierował stacją, kiedy twój brat...?

– Mój bliźniak – poprawił automatycznie Ignacio, jakbym czymś go obraził.

– W porządku, twój bliźniak. Pytałem, kto był dyrektorem stacji, kiedy twój bliźniak przeszedł do telewizji ogólnokrajowej. Musiało być mu nie do śmiechu: postawił na niego, a on odszedł, kiedy jego program zaczął bić rekordy oglądalności.

– Próbujesz znaleźć motyw?

– Na razie próbuję wyrobić sobie zdanie o wszystkich postaciach, które przewinęły się przez scenę. Możesz mi podać nazwisko?

– Inés Ochoa – mruknął. – To Inés Ochoa pociągała za sznurki w stacji.

– Znałeś ją?

– Zanim sam to sprawdzisz, wolę przedstawić ci swoją wersję wydarzeń. Inés Ochoa była i nadal jest dyrektorem programowym telewizji regionalnej. Uprzedzę twoje następne pytanie: tak, to ona zaproponowała mi poprowadzenie kroniki kryminalnej po zatrzymaniu mojego bliźniaka. W pierwszej chwili odmówiłem, nie chciałem nawet o tym słyszeć. Wiedziałem, że na moją głowę posypią się gromy, sprawa z aresztowaniem Tasia była zbyt świeża. Ale ona upierała się, że to najlepszy sposób, żeby wyjaśnić to, co się stało, że gazety i tak napiszą, co będą chciały. Pomyślałem, że jeżeli będę mógł decydować o zawartości, wyjdzie z tego przyzwoity program.

– Żałujesz? – zapytała Estíbaliz.

– Każdego dnia – szepnął przytłoczony.

– Czyli Inés Ochoa skorzystała na tamtych morderstwach?

– Początkowo oczywiście, dzięki mojemu bliźniakowi. Potem karta się odwróciła i straciła swoją gwiazdę. W końcu wymieniła ją na mnie. Jeden bliźniak zamiast drugiego. Bohater zamiast czarnego charakteru. Wskaźniki oglądalności i niepohamowany napływ reklamodawców zrekompensowały jej to, co mi zapłaciła.

– Widzę, że nie wspominasz jej zbyt dobrze – próbowałem go wy badać.

– Nie wspominam dobrze niczego, co wydarzyło się w tamtym okresie – odparł wymijająco.

– Wiesz, gdzie możemy ją znaleźć? – nalegałem.

– To pytanie nie było konieczne – stwierdził znużonym tonem. – Jesteś śledczym w służbie czynnej. W dwie minuty zdobędziesz jej zamiary bez mojej pomocy. Jeżeli chodzi ci o to, czy nadal jesteśmy w kontakcie, odpowiedź brzmi: nie. Zapytaj w stacji o Kamienną Damę. Ale uważaj, należy do tych, co to zawsze spadają na cztery łapy jak koty. I nie przekazuj jej ode mnie pozdrowień.

To co najmniej interesujące.

– Widzę, że w ciągu dwudziestu lat wiele się zmieniło – powiedziałem. – Bardzo byś nam pomógł i zaoszczędził sporo czasu, gdybyś sporządził dla nas listę waszych przyjaciół z tamtego okresu. Wspólnych i każdego z was. Kolegów po fachu, krewnych... Mógłbyś podać mi, powiedzmy... piętnaście nazwisk?

– Chcecie wznowić śledztwo.

– Nie będziemy ukrywać, że klucza do rozwikłania obecnych morderstw należy szukać w tamtych zbrodniach. Ty też wiesz to doskonale. Potrzebuję nazwisk rozsądnej liczby osób, żebyśmy byli w stanie je przesłuchać.

Zamyślony skinął głową, spoglądając na mnie niewidzącym wzrokiem. Blask, jaki roztaczała jego osobowość, zgasł już jakiś czas temu. Odkąd przekroczył próg swojej kryjówki.

– Słuszne posunięcie – zgodził się wreszcie. – Po południu prześlę wam listę, na waszym miejscu zrobiłbym to samo. Coś jeszcze?

– Uzyskaliśmy dostęp do akt starej sprawy. Brakuje protokołu z sekcji zwłok piętnastolatki – wtrąciła Estibaliz.

Ignacio wzruszył ramionami, nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego.

– Zapytajcie Pancorba. Mogę was zapewnić, że kiedy odchodziłem z policji, wszystkie raporty i protokoły były w swoich teczkach. Na pewno niczego nie brakowało.

– Podejrzewasz Pancorba? – chciała wiedzieć Esti.

– Nie, skąd – odparł pospiesznie z uśmiechem, który wyglądał na wystudiowany. – Nie chciałem bynajmniej sugerować, że to Pancorbo wykradł raport z autopsji tej dziewczyny. I nie dajcie się zwieść jego milczeniu i bezbarwnemu wyglądowi. Jest dużo bardziej inteligentny, niż mogłoby się wydawać, ale trzeba wielu godzin spędzonych na wspólnym śledztwie, żeby to ujawnił. Chodziło mi o to, że ja prawie od dwudziestu lat nie postawiłem stopy w komendzie. Przypuszczam, że dokumenty tysiące razy zmieniały miejsce. On prowadził ze mną tamtą sprawę, udało mi się ją rozwiązać tylko dzięki jego nieocenionej pomocy. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto umiałby wam powiedzieć, w którym momencie mógł się zawieruszyć ten protokół.

– Nie przywiązujesz większej wagi do tego raportu. Nie bierzesz pod uwagę możliwości, że jego zniknięcie nie było przypadkowe, że ktoś od nas mógł chcieć, żeby nie wyszło na jaw, co przytrafiło się dziewczynie?

– To była seria ośmiu zabójstw – powiedział cicho, jakby recytował litanie, którą powtarzał setki razy. – Miały miejsce przed dwudziestoma laty. Wybaczcie, jeżeli przez ten czas starałem się zapomnieć o szczegółach, a tym bardziej o okolicznościach, które towarzyszyły tamtej sprawie. To wrażenie *déjà vu* jest niezdrowe.

– Ale akurat przy tych zwłokach pojawiło się coś niepasującego do reszty. Nie mogłeś o tym zapomnieć. Twój brat znał tę dziewczynę?

– Z tego, co wiem, nie.

– Znał którekolwiek z dzieci, które zamordował?

– Z tego, co wiem, nie.

– Rodzinę którejś z ofiar?

Pokręcił głową.

– Z tego, co wiesz, nie – uprzedziła jego odpowiedź Estíbaliz.

– To były morderstwa rytualne. Nie doszukujcie się niczego więcej. Ja też traciłem cenny czas, starając się odkryć, czy istnieje jakiś związek między ofiarami, zamiast zapobiec ostatnim zgonom. – Wypowiedział te dwa ostatnie słowa, jakby jadł cytrynę, jakby go paliły. – To były morderstwa rytualne. *Eguzkilore*, pradawna trucizna, zwłoki ułożone głowami na północny zachód jak w prehistorycznych pogańskich pochówkach...

Wreszcie dochodziliśmy do sedna sprawy.

– Pasowało ci to do twojego bra... bliźniaka?

Ignacio ścisnął palcami nasadę nosa, jakby cierpiał na straszliwą migrenę.

– Kiedy Tasio pisał pracę magisterską, przeżywał mroczny okres. Uparł się, żeby zbadać wydarzenia z Zugarramurdi. No wiecie, jedenastu mieszkańców spalonych na stosie za czary w Logroño w tysiąc sześćset dziesiątym roku. Studiował w Nawarze, w tamtym czasie zadawał się z jednym chłopakiem, nie pamiętam teraz jego imienia, ale był od niego znacznie młodszy. Interesowały go różne dziwaczne rzeczy: pogaństwo, okultyzm, synkretyzm religijny i inne mroczne „izmy”. Było między nimi kilka lat różnicy, ich przyjaźń początkowo mnie dziwiła, do czasu aż Tasio opowiedział mi, jak się poznali. – Spojrzał na nas kątem oka, zastanawiając się, czy podać nam więcej szczegółów, czy zamilknąć.

Zachęciłem go wzrokiem, na szczęście postanowił mówić dalej.

– Od czasu do czasu Tasio popalał marihuanę i zażywał inne nielegalne substancje. Nie podobało mi się to, zawsze byłem bardziej przywiązany do przestrzegania zasad niż on, ale nigdy go nie pouczałem. Wolałem, żeby mi nadal ufał, chciałem wiedzieć, w co się pakuje. Zaczął eksperymentować, ten chłopak był jego stałym dostawcą, jednym z dilerów, którzy sprzedawali hasz w barach przy Cuchi. Polubili się, chociaż gość był jeszcze nastolatkiem, a Tasio kończył studia.

Przerwał, jakby trudno mu było odgrzebywać tamte wspomnienia.

– Mów dalej, proszę – zachęciłem go, bojąc się, że już nic więcej nie powie. – Wspomniałeś, że ten jego przyjaciel był zafascynowany pogaństwem...

– Owszem. Kiedyś pojechali w weekend do jaskini Akelarrenlezea czy Sorginen Leizea, jeśli wolicie. Jaskinia sabatu albo jaskinia czarownic, mieszkańcy wioski nie mogą dojść do porozumienia w kwestii nazwy. Chcieli odtworzyć rytuał sabatu, opierając się na opisach z tekstów, które Tasio czytał na zajęciach, głównie zeznań naocznych świadków procesu inkwizycji z siedemnastego wieku. Zabrali ze sobą najrozmaitsze pogańskie akcesoria: napary, naturalne barwniki do tatuowania symboli... Także *eguzkilore*, nie tylko ze względu na ich rolę ochronną, ale też dlatego, że ich korzenie zanurzone w wodzie destylowanej rzekomo działają jak afrodyzjak... Pojechali z dwiema dziewczynami, z którymi się wtedy spotykali, ja się wypisałem. Nie podobał mi się ten chłopak, był fanatykiem, obracał się w towarzystwie, które... Sami rozumiecie. Pracowałem w policji, byliśmy naturalnymi wrogami. Nie wiem, co wydarzyło się w tamten weekend w jaskini, ale na pewno wiązało się z zażywaniem narkotyków. Tasio wrócił roztrzęsiony, wręcz przerażony. Rozszerzone źrenice, zeszywniałe kończyny, bradykardia, palpacje, jego serce było jak górską kolejką. Siedziałem przy nim przez tydzień. Zamierzałem przesłuchać tego jego kolegę, ale Tasio mi zabronił. Nie chciał mi niczego powiedzieć, chociaż musiało się wydarzyć coś poważnego, bo przestali się kumplować. Nie wiem, czy odpowiedziałem na twoje pytanie. Człowiek nie chce widzieć tego, co ma przed oczami, dopóki to coś go nie stratuje.

Przyszedł czas na najtrudniejsze pytanie.

– Jak się czujesz z tym, że wkrótce wyjdzie z więzienia? Kontaktowaliście się przez te dwadzieścia lat? – zapytałem; trudno mi było zachować neutralny ton.

Pokręcił głową i spojrzał na mnie ze smutkiem, jakby rozmawiał z dzieckiem z podstawówki.

– Wydałem go. Myślisz, że jak to przyjął?

Rozmyślnie nie odpowiedziałem. Chciałem, żeby mówił dalej.

– Nie możesz tego zrozumieć – powiedział wreszcie. – Poznałem dwa życia. Jedno jako brat bliźniak mojej drugiej połówki. Drugie jako jedynak. Tamten dzień złamał nas na pół.

No nareszcie, teraz wyłania się Ignacio, którego pragnąłem zobaczyć, nie opakowanie, które chciał nam pokazać, pomyślałem.

– Jeżeli zgodnie z planem wyjdzie wkrótce na przepustkę, zobaczycie się, nawiążecie ponownie kontakt?

– To sprawa między mną a moim bliźniakiem. – Odwrócił się do nas

i przez chwilę stał nieruchomo, nie kryjąc skrępowania. – Nie chcę być nietaktowny czy niegrzeczny, ale musicie uszanować moją prywatność. Nie jestem skory do zwierzeń, a ta sprawa dotyczy najtrudniejszych momentów mojego życia. W tym tygodniu wszyscy oszaleli, w barach nie mówi się o niczym innym, nie wiem, czy chcę znowu przez to przechodzić. To dla mnie strasznie kłopotliwa sytuacja. Planuję wziąć udział w obchodach ku czci Białej Panienci, poumawiałem się na kolacje z przyjaciółmi i ze sponsorami marek, których jestem twarzą, chcę zobaczyć walkę z bykami, konną korridę... Bilety kupiłem już kilka miesięcy temu. Potem może wyjadę do swojego domku w Laguardii i spędzę tam resztę lata, aż sytuacja się uspokoi.

– I to jest właśnie ten moment, kiedy uprzejmie wskazujesz nam drogę do wyjścia – uprzedziłem jego słowa.

– Właśnie. Dziękuję, że oszczędziliście mi tej nieprzyjemnej sceny.

– Prezent od firmy – powiedziałem, wstając i podając mu wizytówkę. – Możesz wysłać mi listę na mejla?

Miałem nadzieję, że informatycy zabezpieczyli już mój komputer i że Tasio nie zdoła ponownie włamać się do skrzynki.

– Dostaniesz ją za dwie godziny, obiecuję, że będę współpracował z wami we wszystkim, o co mnie poprosicie – zapewnił kolejny raz.

Jakby chciał nas przekonać, że jest po naszej stronie.

Szliśmy z Esti ulicą Dato. Panował taki upał, że gotowaliśmy się w naszych galowych strojach, a Estíbaliz w dodatku męczyła się w szpilkach. Wyraz jej twarzy wskazywał, że zaraz ciśnie nimi w pomnik Wędrowca, trzymetrowego luda z brązu, który stał się symbolem miasta i najczęściej kupowaną pamiątką.

– Wejdz ze mną – poprosiłem, zatrzymując się przed ciastkarnią Goya. – Potrzebuję trochę cukru, żeby lepiej mi się myślało.

Weszliśmy do jednej z najstarszych cukierni Vitorii, słynącej ze swoich *vasquitos* i *nesquitas*, kwadratowych czekoladek wytwarzanych tu od 1886 roku, które łakomstwo naszych dziadków utrzymało na liście najlepiej sprzedających się słodczy na północy Hiszpanii.

– Pół kilo herbacianych ciasteczek. Tylko niech wszystkie będą z marmoladą – poprosiłem ekspedientkę, kobietę w średnim wieku o bordowych włosach, która jak zwykle zignorowała moje życzenie i zapakowała mi do pudełka to, co chciała.

Zrezygnowany wyszedłem ze sklepu z paczką ciastek. Ruszyliśmy ulicą San Prudencio w stronę parkingu przy Nowej Katedrze, gdzie zostawiliśmy

samochód. Minęliśmy salon optyczny Fernández de Betoño, szliśmy w milczeniu, dopóki tłum wokół nas trochę się nie przerzedził. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek słyszał naszą rozmowę.

– Dlaczego piętnaście, Kraken? – zapytała Estíbaliz prosto z mostu. – Dlaczego poprosiłeś go o listę piętnaściorga przyjaciół?

– Nikt nie ma piętnaściorga bliskich przyjaciół, więc część osób, które znajdują się na tej liście, nimi nie będzie. Zacznę od ostatnich nazwisk, tych, nad którymi najdłużej będzie musiał się zastanowić. Od razu zrezygnuję z rozmowy z pierwszymi na liście, będą o nim opowiadać w samych superlatywach. Zobaczymy, czy wszyscy zewrą szyki wokół Ignacia, czy może znajdziemy jakąś rysę na tym idealnym obrazie.

– A co myślisz o tym, co tam widzieliśmy? – zapytała. – Jako specjalista od profilowania. Co, do diabła, widzieliśmy tam w środku?

Westchnąłem i uporządkowałem w głowie wskazówki, na które zwróciłem uwagę. Nie było to proste, miałem do czynienia ze skomplikowaną psychiką, do której należało dodać ogromną traumę z przeszłości.

– Myślę, że Ignacio cierpi na coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Publicznie, wśród ludzi... błyszczący. Nie sposób oderwać od niego oczu, bije od niego charyzma. Ten szeroki uśmiech... Niemożliwe, żeby był udawany. Ale prywatnie, w domu... jest jakby pusty w środku. Szarzeje, smutnieje, nawet nie sili się na kurtuazyjny uśmiech. Zauważyłaś, że głos obniża mu się o pół tonu? Jakby nagle się postarzał. Zaobserwowałem u niego kilka nawyków, które wydają się niemal patologiczne, jak obsesja na punkcie podwójności. Zwróciłaś uwagę, że wszystko w tym mieszkaniu jest symetryczne? Rozkład pokoi po obu stronach korytarza, kanapy, stoły, ozdoby. Wszystkie obrazy to dwuczęściowe serie. Jakby był połową jednej całości i czekał, aż jego brat bliźniak zajmie przynależną mu część przestrzeni. I przez cały czas bezwiednie zerkał przez okno. Jakby to był jakiś tik albo rodzaj wsparcia psychologicznego, albo droga ucieczki, kiedy zanadto go przyciskaliśmy. Ale nie patrzył gdziekolwiek, patrzył na dom naprzeciwko. Wiesz, co tam jest?

– Kiedyś był Banco de Vitoria, teraz bank Santander.

– Nie, Esti. Chodzi mi o to, co jest obok banku Santander.

– Wejście do kamienicy jego brata. Przepraszam: bliźniaka – powiedziała z ironią.

– No właśnie. Zachowywał się tak, jakby czekał na jego powrót, jakby pilnował drzwi. A jakie są twoje wrażenia? – zapytałem, kiedy szliśmy przez park na tyłach Nowej Katedry.

– Takie, że to, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu, poruszyło tych dwóch bardziej, niż to okazują. Pytanie za milion euro: czy poruszyło ich na tyle, żeby chcieli kontynuować tę grę?

– Nie wiem, Estíbaliz. Moim zdaniem Tasio, którego widziałem w więzieniu, jest zdolny do wszystkiego, a już na pewno do tego, żeby zemścić się na bracie i posłać go za kratki. Ten facet jest dużo dziwniejszy niż jego pozłacana wersja, z którą dziś rozmawialiśmy.

Estíbaliz zatrzymała się przy fontannie na tyłach katedry, obok rzeźby krokodyla z ludzkimi dłońmi i stopami. Rozejrzała się, zdjęła szpilki i usiadła na murku.

– Wszystko w porządku? Wiem, że jesteś zmęczona, ale... chodzi o coś jeszcze?

– Zbliża się weekend, zostaję w Vitorii z Ikerem. Powinnam odwiedzić ojca w ośrodku... i trochę się stresuję.

– Masz wszystko pod kontrolą? – próbowałam ją wy badać.

– Mam wszystko pod kontrolą, Kraken. A ty masz? Martwi mnie to, jak zareagowałeś na te dziecięce zwłoki.

– To zawsze jest trudne. – Westchnąłem, poluzowałem węzeł krawata i usiadłem obok niej. – Wiedzieliśmy, że będziemy musieli oglądać nieprzyjemne sceny, wstąpiliśmy do dochodzeniówki. Po tylu latach powinniśmy umieć zachować zimną krew i trzymać nasze demony w lochach... Esti, czy uważasz, że jesteśmy gotowi na tę sprawę, myślisz, że nas nie przygniecie?

– Ja zadbam o ciebie, ty zadbasz o mnie. Razem jesteśmy nie do pokonania. Musimy się tylko skupić i trzymać nasze trupy w szafie.

Nie odpowiedziałem. Byliśmy słabi, byliśmy dwiema kulawymi ławkami, które muszą opierać się jedna o drugą, żeby się nie przewrócić.

Estíbaliz twierdziła, że pokonała swoje nałogi, a ja wierzyłem przyjaciółce, ale nie przetrwała jeszcze choroby ojca – szybko postępującego alzheimera – i konieczności zamknięcia go w specjalistycznym ośrodku. Powiedzmy, że mieliśmy pomarańczowy alarm.

– Zmieniając temat i podsumowując – powiedziała, po czym wstała i ze szpilkami w dłoni ruszyła w stronę parkingu. – Mamy coś, czego nie mieliśmy dzisiaj rano?

Westchnąłem i zmusiłem się, by ponownie skupić całą uwagę na podwójnych zbrodniach.

– Dwie nowe postacie, które z chęcią odwiedzę, kiedy tylko je namierzemy: Kamienną Damę Inés Ochoę i tajemniczego kompana Tasia, z którym odprawiał rytuały. Do tego związek Ignacia z narzędziem zbrodni: pszczołami. Skoro często kontaktuje się z pszczelarzami i zna to środowisko, teoretycznie potrafiłby zamknąć owady w pojemniku i wiedziałby, że można je rozwścieczyć za pomocą zapachu, który wywołuje u nich agresję. Nie zapominajmy, że informacja o pszczołach nie wyciekła jeszcze do prasy. Wreszcie mamy też kłamstwo: że nie pamięta o spermie na zwłokach dziewczyny. Świetnie udawał obojętność, kiedy poruszyłem temat sekcji.

– Albo od dwudziestu lat przygotowuje odpowiedź.

– Trzeba dokładnie zbadać bliźniaków: ich rodzinę, ich przeszłość, ich otoczenie – powiedziałem w zamyśleniu, uiszczając opłatę w parkomacie. – Nikt tego wcześniej nie zrobił, bo Ignacio ujął Tasia i zamknięto śledztwo.

– W takim razie czeka nas dużo pracy. Jedziesz jutro do Villaverde?

– Taki mam plan, jeżeli nic się nie wydarzy i nie będę potrzebny. Wiesz, że nie lubię zostawiać dziadka samego na tak długo. Ale jeżeli uważasz, że powinienem zostać na weekend w Vitorii, powiedz.

– Ja spędzę oba dni z Ikerem. Muszę załatwić tysiące drobiazgów przed tym przeklętym ślubem, nie wspominając już o dołującej wizycie u ojca. Będę zajęta. Nie będę miała czasu nad niczym się zastanawiać.

– To dobrze, odsuń od siebie demony.

– Ty odsuń od siebie swoje.

– Stale to robię.

Stale to robię, Esti. Tylko dzięki temu nadal jestem wśród żywych.

VILLAVERDE

Wyobraź to sobie tak, jakby historię chciał nam opowiedzieć sam morderca. Co stoi za rytuałami ostatnich zabójstw, #Kraken?

30 lipca, sobota

Nazajutrz o świcie wyruszyłem do Villaverde, malutkiej wioski liczącej siedemnastu mieszkańców, gdzie dziadkowie wychowywali mnie i Germana, kiedy zabrakło naszych rodziców, już całe wieki temu.

Lubiłem wcześniej rano wsiadać do samochodu i ruszać na południe; pokonywałem przełęcz, hamowałem na ostrych zakrętach szosy wijącej się przez bukowy zagajnik przed Bajauri, udając, że nie zauważam prostej wśród sosen, gdzie pewnego dnia zmieniło się moje życie.

Villaverde jest położone czterdzieści kilometrów od Vitorii, w gminie Montaña Alavesa, u stóp gór Sierra de Cantabria, nazywanych ostatnio również Sierra de Toloño. Miejscowi kwestionują mapy Álavy publikowane przez lokalne władze. Dorastałem pod ścianą buków, dębów i leszczyn, wyrastała przede mną, kiedy tylko otwierałem ciężkie drewniane drzwi trzystuletniego domu dziadków. Ściany z grubego na metr kamienia nie przepuszczały ostrego mrozu do naszej ogrzewanej ogniem, niskiej kuchenki.

Zaparkowałem pod balkonem, na którym dziadek uparcie wieszał doniczki z czerwonymi begoniami, choć za każdym razem, kiedy nadciągał wiatr z południa, biedne rośliny schły i musiał sadzić nowe. Ale on przywykł do tego, by co i rusz zaczynać od zera. Trzeba mu przyznać, że nigdy się nie poddawał, tak jak jego niemal stuletnie serce.

„Przestań chrzanić i wytrwaj”, mówił. I to właśnie robił. Trwał.

Uliczki leżącego na zboczu Villaverde były o tej porze wyludnione. Ciszę zakłócił nagle klakson furgonetki piekarza z Bernedo, który wjechał pod górę i zatrzymał się tuż przy mnie.

– Cześć, Unai. Ciabatta i paluch?

Już miałem sięgnąć po dwa ciepłe, pachnące wypieki, kiedy poczułem, że ktoś stanął za moimi plecami.

– Zamówiłem u ciebie też trzy nadziewane bułki – rozległ się zachrypnięty głos dziadka.

– Oto i one, smacznego – pożegnał się chłopak, zamknął tylne drzwi furgonetki i odjechał, zostawiając za sobą zapach świeżego pieczywa z Bernedo.

Odwróciłem się z uśmiechem. Dziadek dobrze wiedział, za czym najbardziej przepadamy ja i Germán. Świeże bułki ze smażoną kielbasą chorizo, przesiąknięte jej tłuszczem, były najlepszym zwieńczeniem poranka spędzonego na pracy w polu.

– Co jest dziś do zrobienia, dziadku?

– Do roboty, twój brat wstał wcześniej i już od dawna pracuje w leszczynie.

Dziadek wziął z sieni dwie kosy.

– W porządku, przebiorę się i idziemy.

Dwoma susami pokonałem schody i wszedłem do swojego dziecięcego pokoju. Włożyłem znoszone dżinsy, biały T-shirt i buty trekkingowe.

Szliśmy w milczeniu brukowanymi uliczkami wioski, każdy z kosą na ramieniu. Po drodze poprawiłem dziadkowi берет. Był zwalistym mężczyzną, szedł jak zawsze żwawym krokiem, pochylony do przodu, ubrany w swój niebieski roboczy kombinezon. Nie mówił wiele, nie potrzebował słów, żeby mieć rację – zwykle ją miał. Rację ludzi trzeźwo myślących.

– Przywiozłem ci ciastka od Goi, ale najpierw musisz mi pokazać wyniki badań – powiedziałem. – Jak wypadł cholesterol?

Wzruszył ramionami i spojrzał przed siebie.

– Nie sprawdzałem – skłamał.

– Jasne. To znaczy, że znowu masz wysoki. Będziesz musiał o siebie zadbać. Nie zostawię ci paczki z ciastkami, bo na pewno od razu byś wszystkie zjadł.

Wykrzywił usta, udając obojętność. Nie przestawał patrzeć przed siebie.

– Chociaż jednego trzeba będzie spróbować – zawyrokował i poprawił берет.

Uśmiechnąłem się do siebie.

– Tak, dziadku. Jednego.

Minęliśmy kościół i gumno, najwyżej położoną część wsi, gdzie niegdyś młócono i wietrzono zboże. Otaczające je stodoły zostały odnowione, mieszkańcy nie pozwalali, by popadły w ruinę. Po wyjściu z wioski przecięliśmy szosę i zeszliśmy z boczem do mostu na rzece Ega. Wzdłuż brzegu rosły gęsto leszczyny, nawzajem kradły sobie słońce. Gałęzie były tak długie, a chwasty tak wysokie, że ledwo mogliśmy się przez nie przedrzeć.

German, ubrany w niebieski kombinezon uszyty na miarę, zapamiętale ścinał gałęzie kosą.

Obaj z bratem byliśmy gotowi tyrać do upadłego, gdy tylko dziadek poprosił nas o pomoc. Przynajmniej tyle mogliśmy dla niego zrobić. Miał prawie sto lat, ale nadal nas wychowywał z bezpretensjonalną mądrością, którą, mam nadzieję, po nim odziedziczyłem.

– Będzie dzisiaj Martina? – zapytałem Germana, sprawdzając godzinę na komórce.

– Tak, zajrzy w południe i zostanie na obiad.

– Super – powiedziałem z uśmiechem.

Nasza mała rodzina była wdzięczna za kobiecy akcent, jaki wносиła do niej moja „bratowa”.

Martina była dziewczyną Germana od ponad czterech lat. Pracowała w ośrodku pomocy społecznej w dziale mediacji rodzinnej, niedaleko mojej komendy, więc często chodziliśmy razem na lunch. Miała łagodny, spokojny głos charakterystyczny dla osób nieświadomie emanujących czułością, oczka w kolorze kiwi i nierówno obcięte włosy, które powoli odrastały. Niedawno pokonała agresywnego raka, który pozbawił ją włosów i masy mięśniowej. Odwaga, z jaką mierzyła się z chemioterapią, była dla mnie jednym z bodźców do wyjścia z apatii, w której pograżyłem się po przejściu przez moje własne piekło dwa lata wcześniej.

Martina bez słowa skargi obcięła swoje długie czarne włosy i codziennie wyruszała mediować między obcymi ludźmi starającymi się o rozwód i walczącymi o prawo do opieki nad dziećmi. Była wykończona, kiedy przyjeżdżaliśmy z Germanem odebrać ją po pracy. To właśnie sprawiło, że przewyciężyłem cynizm i niechęć do życia i zacząłem znowu doceniać wszystko, co mam: zdrowie, przyjaciół, dziadka, brata, „bratową”, pracę, dzięki której mogę oczyszczać miasto z typów mających ochotę wyrządzić komuś krzywdę...

Odeгнаłem od siebie czarne myśli i skupiłem się na obcinaniu niskich gałęzi blokujących przejście. Cztery godziny później nie było już śladu po

nadziejanych bułkach i zielsku, które skoszone leżało przy brzegu. Wtedy dziadek wydobyl z kieszeni czerwone jablko.

– Pokaż mi tę egzeme, synu – zwrócił się do Germana.

Mój brat podwinął nogawkę spodni i pokazał mu zaczerwienione miejsce na łydce. Dziadek wyjął scyzoryk, przeciął jablko na cztery równe części i natarł nimi skórę Germana. Następnie związał ćwiartki sznurkiem i zakopał je w ziemi.

– Możesz już zacząć gnić – szepnął.

Dziadek uważał, że kiedy za kilka dni jablko zgnije, egzema zniknie ze skóry Germana. Prawdę mówiąc, stosował jabłka na wszystko: na kurzajki, oparzenia... Zbyt długo miałem do czynienia z naukami ścisłymi, żeby wierzyć w takie rzeczy, dziadek w rzeczywistości też był pragmatykiem i wiedział, że to bajki, trzeba jednak przyznać, że jego naturalny lek często skutkował.

Kiedy skończył swoje szamańskie praktyki, wyciągnął się pod drzewem, umościł wygodnie, a kilka minut później zaczął głośno chrapać.

Usiedliśmy z bratem na ziemi, opierając plecy o najstarszą leszczykę, wykończeni, ale rozluźnieni.

– Czytałem o tych podwójnych zbrodniach – rzucił Germán; wyrwał źdźbło trawy i włożył je do ust.

– A kto nie czytał – odpowiedziałem, spoglądając na góry.

– Śledztwo spadło na ciebie?

– Aha.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Jeszcze nie.

– Jeszcze nie? Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że może później, kiedy śledztwo utknie w ślepej uliczce, kiedy zaczną naciskać na mnie z góry, domagając się szybkich rezultatów, kiedy będę bardziej zestresowany... Że wtedy będę cię potrzebował. Będę potrzebował, żebyś przywdział sutannę spowiednika, żebyś mnie wysłuchał, bo tym, co będę miał do powiedzenia, mogę podzielić się tylko z tobą i Estíbaliz. Ale na razie nie. Jeszcze daję radę. Zaczekam, zgoda?

Germán przez chwilę się zastanawiał. Przeciągnął dłonią po ciemnych włosach.

– Jak chcesz, braciszku. – Westchnął. – Ale muszę ci coś powiedzieć, więc

lepiej zrobię to od razu.

Nie, Germán. Nie zaczynaj, pomyślałem, wywracając oczami.

– Masz tendencję do popadania w obsesję, wiem, że zgłosiłeś się do dochodzeniówki, bo wierzysz, że zbrodniom można zapobiec, że ty możesz im zapobiec. Tyle że to brzmi jak chorobliwa megalomania, Unai. Ktoś musi ci to powiedzieć: po tym, co przytrafiło się Pauli i dzieciom, nie jesteś już tym samym człowiekiem. Wygadywałeś wtedy różne bzdury, mówiłeś, że powinieneś być dostrzec znaki. Posłuchaj, wyżal mi się, jeżeli chcesz, jesteś moim starszym bratem, nie będę cię osądzał. Ale nie opowiadaj o tym publicznie, nawet kumplom z paczki. To nasi przyjaciele, ale ludzie gadają za twoimi plecami. Nie popadaj w obsesję na punkcie tej sprawy, zgoda? Opancerz się, w ostatnich dniach wszyscy w Vitorii mają nerwy na wierzchu, nawet znajomi będą mieli wobec ciebie najrozmaitsze oczekiwania. Ta sprawa wydobędzie z ludzi to, co najgorsze. W pewnym momencie nic już nie jest niewinne.

Nie, nic już nie jest niewinne.

Co mogłem powiedzieć?

Jestem wnukiem swojego dziadka, który – kiedy po wojnie został wójtem Villaverde – wszedł do domu kowala z pasem w dłoni i dał mu nauczkę, bo ktoś ze wsi doniósł, że bije swoją żonę.

To wydarzyło się w latach czterdziestych, kiedy nie mówiło się jeszcze głośno o przemocy domowej i nikt nie wzywał Gwardii Cywilnej, słysząc krzyki u sąsiadów, bo funkcjonariusze niezmiennie odpowiadali: „To sprawa między mężczyzną a jego żoną, nie możemy się wtrącać”. Dziadek myślał inaczej; kiedy pytałem go o tamten incydent, wzruszał ramionami, mruzczał: „To był tchórz, kto to słyszał, żeby bić kobietę”, i jak gdyby nigdy nic dalej pałaszował wędzony owczy ser, który zawsze zapijał szklaneczką riojy.

Nie żebym uważał się za bohatera, po prostu chciałem, żeby wszechświat funkcjonował, tak jak powinien. Żeby ludzie nie umierali, kiedy nie muszą, tylko tyle. Rozumiałem logiczny mechanizm stojący za naturalnym porządkiem rzeczy, łącznie ze śmiercią: wypadki, choroba, starość... Ale nie degeneraci próbujący okpić kostuchę, żeby przed czasem zapukała do drzwi niewinnych ludzi.

– Zgoda, dzięki, że nie bałeś się wygarnąć mi tego, czego nikt nie ma odwagi mi powiedzieć.

– Czasami sam to utrudniasz, Unai. Wiem, że dużo wycierpiałeś, ale świat nadal się kręci, ludzie już dawno zapomnieli o twoich dramatach, nie możesz

stać w miejscu.

– Wystarczy już, Germán. Wystarczy. – Powstrzymałem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Usłuchał mnie, należał do osób, które wiedzą, kiedy zamilknąć.

Mój brat był bystry, choć szczerze mówiąc, to za mało powiedziane. Zorientował się, że może zrekompensować fizyczne braki ironią i elokwencją i że jeśli wykorzysta pierwsze siedem sekund osłupienia i uraczy zdumioną żeńską publiczność paroma inteligentnymi, oryginalnymi żartami, które będą naprawdę śmieszne, reszta przyjdzie sama. Wygląd też miał znaczenie. Owszem, był niski, ale za to napakowany. Należał do najbardziej eleganckich i uwodzicielskich mężczyzn, jakich znałem. Umiał wiązać krawat na cztery różne sposoby, potrafił ochrzanić mnie za to, że źle dobrałem skarpetki.

Co tydzień odwiedzał fryzjera, podczas gdy ja w kwestii fryzury nigdy nie nadążałem za modą. Teraz strzygł się na hipstera: miał niemal wygolone skronie i zaczesaną do tyłu grzywkę. Nie ustrzegł się też przed brodą – była bardziej zadbana niż krzewy w ogrodach pałacu Buckingham.

Do tego był networkerem. Znał całą Álavę i całą Álava – gdzie liczba osób chorych na achondroplazję jest dość ograniczona – znała jego.

Czy kiedy byliśmy nastolatkami i koledzy przerastali go o pół metra, zdarzało mi się przywalić paru dupkom, którzy się z niego wyśmiewali (teraz nazywają to bullingiem)? Owszem, zdarzało mi się. I dla niego znowu bym to zrobił. A to poważna deklaracja ze strony kogoś, kto nigdy nie wdaje się w bójki. Nie cierpię przemocy, a do tego dochodzą względy praktyczne – zawsze możesz sam oberwać.

Nie bez znaczenia było także to, jak wychował nas dziadek, który zawsze traktował nas jednakowo i nie pozwalał Germanowi się nad sobą użalać.

Kiedy mój brat musiał wsiąść na traktor, w którym pierwszy stopień znajdował się pół metra nad ziemią, dziadek powiedział: „Przestań chrzanić i włącz”. Germán wspiął się po tylnym kole i precyzyjnie do kabiny.

Kiedy nie dosięgał stopami do pedałów kombajnu, dziadek pomógł mu zrobić przedłużacze z drewna bukszpanowego, które Germán przywiązywał sobie do butów. Po prostu zmuszał go, by znajdował sposoby na dopasowanie się do świata i normalnie funkcjonował.

Germán przywykł do normalnego traktowania w domu i rozciągnął to na swoje życie towarzyskie, wyrósł na faceta bez kompleksów, o tęgiej głowie i złotym sercu. Trudno mu było zdobyć pierwszą dziewczynę. Potem wszystko poszło już jak po maśle.

Jeśli chodzi o karierę, szybko zdał sobie sprawę, że piątki, które dostaje na prawie, sytuują go powyżej średniej, nie poniżej. Spodobało mu się to. Za pieniądze, które zarobiliśmy, pracując w wakacje przy żniwach, otworzył kancelarię przy placu América, a kilka lat później był już znanym prawnikiem i sprawiedliwym szefem lubianym przez swoich dwunastu pracowników. Powody jego sukcesu nie były dla nikogo tajemnicą: nowych klientów zawdzięczał długim godzinom spędzonym w kancelarii.

Musieliśmy tworzyć dziwne trio: dziadek ze swoim beretem, mój brat ze swoją błyskotliwą inteligencją i ja z moim... nie wiem czym. Nie analizowałem samego siebie. Nie wiem, co jest moim atrybutem ani z czego jestem znany.

Chociaż teraz już tak. Teraz jestem policjantem, który schwytał najsłynniejszego seryjnego mordercę w dziejach Vitorii i wylądował w szpitalu z kulą w trzecim zakręcie czołowym lewej półkuli.

Jutro odłączą mnie od aparatury.

Minęło dziesięć dni, a ja nadal jestem w śpiączce. Jako człowiek przezorny, zawnazę przygotowałem dokumenty z instrukcjami. Spisałem testament życia zaraz po wstąpieniu do policji. Wraziłem na piśmie wolę, żeby moje prochy zostały rozrzucone z San Tirso, kamiennego monolitu wyróżniającego się w naszym łańcuchu górskim, na wprost Villaverde.

Wiem, że to nie fair wobec dziadka i Germana kazać im się wspinać z urną po pionowej czterdziestometrowej skale. Pierwszy odcinek – licząc od krzaka rosnącego po południowej stronie do wysokości jakichś dziesięciu metrów – jest łatwy. Dalej droga się komplikuje, nie mówiąc już o zejściu. Najprościej byłoby zeskoczyć, ale odległość jest zbyt duża, można stoczyć się po skale na bukszpany. Od razu uprzedzam, że przed nimi trudne zadanie.

Ale je wykonają.

Znajdą jakieś przemyślne, logiczne wyjście.

Zrobią to.

PLAC MACHETE

Przeanalizuj różnice między najnowszymi i wcześniejszymi zbrodniami: dokąd prowadzi cię teraz morderca, #Kraken?

31 lipca, niedziela

Dotarłem do grill baru Matxete około dwudziestej drugiej. Na miejscu była już niemal cała paczka, świętowaliśmy urodziny Xabiego, najmłodszego z nas. Zarezerwowaliśmy na tę okazję jedną z sal o kamiennym sklepieniu.

Od razu zorientowałem się, że nie będzie łatwo: na mój widok przyjaciele przestali się przekrzykiwać.

– Hej, Xabi. Wszystkiego najlepszego – powiedziałem, siląc się na swobodny ton.

Uniósł kąciuki ust w sztucznym uśmiechu, po czym odwrócił wzrok.

Zająłem jedyne wolne miejsce, u szczytu stołu, pomiędzy Nereą i Martiną. Dziewczyna Germana uśmiechnęła się do mnie, by dodać mi otuchy.

Zamówiłem stek, żeby nabrać sił, i czekałem na ostrzał. Panowała napięta atmosfera, wszyscy zerkali kątem oka na komórki i sprawdzali najnowsze wpisy na Twitterze za każdym razem, kiedy ćwierkał niebieski ptaszek.

– Nic nam nie powiesz, Kraken? – otworzył ogień J.

Nie wziąłem mu tego za złe: jego szklanka była prawie pusta, mogłem się założyć, że to już trzeci drink.

– Nie naciskajcie go – uprzedziła mnie Martina, zawsze skora do mediacji.
– Wiecie, że nie może mówić o śledztwie.

– Powinien mówić, skoro sprawa dotyczy nas wszystkich – powiedziała Nerea, jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

Nerea była mała i okrągła jak otoczak. Jej twarz przypominała księżyc w pełni, nosiła tę samą grzywkę od czasu pierwszej komunii. Prowadziła odziedziczony po rodzicach kiosk obok baru La Ferre, u zbiegu Postas i placu Virgen Blanca, chociaż na ścianie w jej sypialni wisiał dyplom magistra

biologii. Nigdy nie zrobiła z niego użytku – nie ruszała się z Vitorii dalej niż na odległość dziesięciu kilometrów.

– Co jest, Nerea? – Westchnąłem, spoglądając jej w oczy.

Co masz mi do zarzucenia?

– Seryjny morderca zabija parami mieszkańców Vitorii, a zbrodniarz skazany dwadzieścia lat temu porozumiewa się z tobą na Twitterze. Bo to ty jesteś Krakenem, do którego pisze ten psychol, prawda?

Zrobiłem wymowną minę, nie było sensu zaprzeczać.

– Co się dzieje, Unai? – ciągnęła, dmuchając w grzywkę; robiła tak zawsze, kiedy coś ją martwiło. – Nie złapiecie go, nie powstrzymacie? Popadam w paranoję, umieram ze strachu, kiedy o szóstej rano wychodzę otworzyć kiosk. Nie możesz tego zakończyć?

Powiedziała to jednym tchem swoim piskliwym głosem. Nie zauważyła nawet, że złapała mnie za nadgarstek i wbiła mi paznokcie w żyły, w miejscu, gdzie podcinają je sobie samobójcy.

– Nereo, możesz oddać mi moją rękę?

– Przepraszam. – Wycofała się jak ślimak do muszli. – Po prostu... Po prostu jestem bardzo zdenerwowana. Wszyscy mówią tylko o tym. Każdy, kto przychodzi po gazetę, pyta o zbrodnie, jakbym była serwisem informacyjnym.

– To prawda z tymi racicami? – zapytał Asier, farmaceuta.

– Jakimi racicami? – zdziwiłem się.

– Racicami kozła. Na portalach społecznościowych twierdzą, że to zbrodnia okultystyczna, mówi się o olbrzymim pentagramie namalowanym na podłodze w Domu pod Sznurem, o zwłokach czarnych kotów zostawionych przy wejściu do Starej Katedry... Krążą przeróżne teorie i domysły, najczęściej jednak powtarzana jest informacja, że znaleźliście koźle racice przy stopach zamordowanych dzieciaków.

Lutxo, Nerea, Xabi... Wszyscy wpatrywali się we mnie z uwagą, czekając na odpowiedź.

– Wiem, że to nie jest normalna sytuacja, że niecodziennie po ulicach Vitorii krąży swobodnie seryjny morderca, wiem, że całe miasto zaczyna panikować tak jak dwadzieścia lat temu. Wszyscy przez to przeszliśmy, nie pamiętacie? To prawda, że powierzono mi tę sprawę, ale jeśli chodzi o wpisy na Twitterze, nie mogę wam nic powiedzieć. Nie zostałem upoważniony, żeby udzielać jakichkolwiek informacji na ten temat, doskonale o tym wiecie. Jesteście wystarczająco inteligentni, żeby to zrozumieć. Chcecie pomóc

w rozwiązaniu tej sprawy? Wierzę, że tak, dlatego proszę was, bądźcie dobrymi kumplami, niech śledztwo nie zdominuje naszych rozmów, pozwólcie mi się zrelaksować poza komendą, żebym nie miał na głowie innych zmartwień i mógł się skupić na dochodzeniu, kiedy wrócę do pracy. To nie będzie łatwe. Proszę was tylko, żebyście stanęli na wysokości zadania, jak było zawsze.

Nikt się nie odezwał, ktoś dojadł swojego okonia. Wreszcie lody przełamał Asier, zawsze pragmatyczny i nieco chłodny.

– Dla mnie okej. Nie chcę więcej słyszeć o zbrodniach, mam tego powyżej uszu.

– Dzięki, Asier. Wiedziałem, że mnie zrozumiesz – odpowiedziałem z ulgą.

Przez resztę wieczoru omawialiśmy nasze plany na świąteczne dni (niektórzy wchodzili w skład drużyn *blusas*): spróbowaliśmy je zgrać i wybrać imprezy, na które wybierzemy się razem.

Niedługo potem kelner przyniósł tort ze świeczkami w formie cyfr trzy i pięć. Xabi spowaźniał na widok płonącej przed nim liczby; wypełnił swój obowiązek, nadymając policzki i zdmuchując świece. Zacząłem fałszować „Sto lat”, ale Nerea zgasła mnie spojrzaniem.

– Co jest, to urodziny czy stypa?

– Chyba żartujesz, Unai. Xabi znalazł się właśnie w grupie ryzyka. Ma trzydzieści pięć lat i złożone alavskie nazwisko, a ty mu wieszczysz? – szepnęła mi z wściekłością do ucha.

Nie odpowiedziałem. Wszyscy czekali na moją reakcję, dojadłem więc stek, udając, że to niedziela jak każda inna.

Kolacja skończyła się, tak jak się zaczęła: w pełnym napięcia milczeniu. Lutxo próbował je rozładować, opowiadając pikantne anegdoty, które nie ukazały się w kronice towarzyskiej jego gazety. Robił tak za każdym razem, kiedy psuła się atmosfera. Zawsze wiedział, jak się zachować, stawiał czoło krępującym sytuacjom zreźniej niż toreador bykowi.

Kiedy się zegnaliśmy, Martina podeszła do mnie od tyłu i objęła mnie w pasie.

– Wszystko w porządku, Unai? – zapytała, opierając na moim ramieniu swoją głowę chochlika.

– Wszystko w porządku, Martino. Co w pracy? Wspólny obiad w tym tygodniu?

– Na sierpień wszyscy wyjeżdżają z Vitorii, spada więc liczba separacji.

Będę miała czas, żeby nadgonić z papierkową robotą. We wrześniu rusza lawina rozwodów. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Więcej pracy dla mnie i dla kancelarii Germana. Dlatego wykorzystamy zastój, żeby trochę zwolnić tempo i spędzić spokojnie sierpień w Vitorii. I oczywiście możemy pójść razem na obiad w tym tygodniu. Zadzwoń do ciebie, dobrze?

– W takim razie jesteśmy umówieni – pożegnałem się zadowolony i pocałowałem ją w czoło.

– I... głowa do góry, Unai. Dasz sobie radę, z tym i ze wszystkim innym.

Posłała mi całusa, przygładziła nierówne włosy i wyszła na brukowany plac.

Ja skoczyłem jeszcze do toalety; kiedy stałem na wprost ściany, opróżniając pęcherz, podszedł do mnie chłopak w białej czapce kucharskiej i podał mi zabazgraną papierową serwetkę.

– To ty jesteś Kraken, prawda? – zapytał.

– Będziesz musiał zaczekać, aż skończę, jeśli chcesz, żebym wziął od ciebie ten świstek – odpowiedziałem, zanim zapiąłem rozporek.

– Zaczekam – zapewnił, rozglądając się nerwowo na boki.

Gdy tylko umyłem ręce, podał mi serwetkę dłonią podejrzenie drżącą jak na chłopaka w jego wieku.

– Za dużo trawki – mruknął tytułem wyjaśnienia.

– Zanim cokolwiek powiesz, chciałbym, żebyś się przedstawił i wytłumaczył, skąd wiesz, że mówią na mnie Kraken.

– Nazywam się Roberto López de Subijana, pracuję tu w weekendy. Jestem sąsiadem Nerei, tej babki z twojej paczki. Nasi rodzice znają się, odkąd pamiętam. To ona powiedziała nam, że jesteś tym słynnym Krakenem z Twittera Tasia. Przygotowaliśmy z matką listę nazwisk, chcielibyśmy, żebyś się z nimi zapoznał i miał je na uwadze.

– Co to za ludzie? – zapytałem, spoglądając na listę dwunastu imion i nazwisk, obok których odnotowano wiek.

– Rodzina: moja siostra ma trzydzieści lat, wujek pięćdziesiąt pięć, babcia siedemdziesiąt pięć... Wszystkie osoby z tej listy są potencjalnymi ofiarami ze względu na wiek i złożone alavskie nazwisko.

Jeszcze nie wiadomo, czy nowe ofiary mają złożone alavskie nazwiska, chciałem powiedzieć wyłącznie po to, żeby podnieść go na duchu, żeby go uspokoić. Ale nie mogłem, naprawdę nie mogłem zdradzać szczegółów śledztwa, bo za kilka godzin znałoby je całe miasto.

- A dlaczego dajesz tę listę właśnie mnie?
- Kierujesz śledztwem, nie możesz zapewnić im ochrony?
- Musiałbym postąpić tak samo z kilkoma tysiącami innych mieszkańców Álavy, którzy tak jak twoi krewni spełniają te dwa warunki.
- Wszyscy umieramy ze strachu, babcia pojechała na wieś i nie chce wrócić do Vitorii nawet na wizytę u lekarza... Nie da się nic zrobić? Dlaczego nie aresztujecie współnika Tasia, nie możecie prześwietlić jego profilu?
- Roberto, prawda? Posłuchaj: robimy, co w naszej mocy, ale nie mogę ujawnić ci żadnych informacji.
- Rozumiem. Tak czy inaczej, zatrzymaj tę listę. Noś ją zawsze przy sobie, jeżeli któraś z tych osób zginie, to będzie twoja...
- Wystarczy, młody – przerwałem; nie chciałem usłyszeć, jak wypowiada słowa, które już i tak rozbrzmiewały w mojej głowie. – Dostyc tego. Chciałeś przekazać mi wiadomość i przekazałeś. Jaśniej się nie da. Każdy z nas zna kogoś, kto spełnia te warunki. I jeszcze jedno: nie rozpowiadaj po całej Vitorii, że to ja jestem Krakenem. Zaszkodziłbyś śledztwu. Twoja sąsiadka Nerea bezmyślnie się wygadała, ale to nie może się powtórzyć. Nie zmuszaj mnie, żebym zaczął cię wypytywać, co bierzesz i skąd to masz, jasne?

Chłopak zgodził się niechętnie. Wyszedłem na plac Machete, przed restauracją czekał na mnie już tylko Lutxo. Rzucił mi zaniepokojone spojrzenie. Plac zawdzięczał swoją nazwę maczecie, przed którą od czasów Królów Katolickich aż do późnych lat XIX wieku musiał składać przysięgę prokurator generalny Vitorii – miała obciąć mu głowę, jeżeli uczciwie nie wypełni tego, co ślubował.

Replika maczety znajdowała się na tyłach apsydy kościoła Świętego Michała Archanioła, za kratą, która przetrwała od 1840 roku. Relikwia, o której istnieniu wiedzieli nieliczni, była tak wyeksponowana, że – jak to często bywa – pozostawała niezauważona. Daremnie próbowała przyciągnąć uwagę: niewielu mieszkańców i turystów spoglądało w tamtą stronę.

To, co wisiało w tym momencie nad moją głową, ważyło więcej niż maczeta i boleśnie krajało moje sumienie. Chłopak miał rację: jaki sens ma moja praca, skoro nie mogę chronić ludzi, którzy słusznie czują się zagrożeni?

– Chodź, Unai. Odprowadzę cię do domu – powiedział Lutxo, klepiąc mnie po plecach.

Skinąłem głową. W milczeniu przecięliśmy brukowany plac i zeszliśmy schodkami łączącymi go z placem Virgen Blanca.

Lutxo był niezłym oryginałem znanym w całej Vitorii. Żyłasty, wysuszony, od wczesnej młodości ogolony na łyso. Jeśli chodzi o zarost, zostawiał sobie tylko pionową kreskę między dolną wargą a spiczastą brodą. Farbował ją na różne kolory, w zależności od stanu ducha – faktycznie wskazywała na jego samopoczucie. Ostatnio była biała. Nie siwa, ale w kolorze odblaskowej, sztucznej, nieskazitelnej bieli.

– Co robiłeś przez weekend? – zapytałem, żeby zmienić temat.

– Byłem w Nawarze, zaliczyłem kilka tras wspinaczkowych w Pirenejach.

– Zrobiłeś jakąś nową?

– Jedną siedem c plus.

– Mistrz – mruknąłem z uśmiechem. Ale Lutxo mnie nie słuchał i nie odpowiedział na mój uśmiech. – Co jest?

– To był dziwny weekend. Pojechał ze mną Iker, narzeczony twojej koleżanki, i wziął ze sobą szwagra.

Zielarza, pomyślałem, powstrzymując grymas niezadowolenia.

Brat Estíbaliz był dobrze znany policji. Zawsze uchodził za dziwaka, prowadził sklep zielarski o ezoterycznym wystroju. Już jako nastolatek popadał w tarapaty, handlując co najmniej podejrzanymi substancjami. Osobiście byłem przekonany, że Estíbaliz wstąpiła do policji po to, żeby uwolnić się od wybryków brata, kiedy już sama przestała balansować na granicy prawa. Podejrzywałem jednak, że Zielarz ma nadal zbyt duży wpływ na swoją młodszą siostrę.

Był od niej dwa lata starszy, poznałem go w czasach, kiedy nosił rude dredy i dilował maryšką z przewieszzonego przez ramię plecaka. Podczas gdy sypialnie jego nastoletnich rówieśników oblepiały plakaty z Samanthą Fox w trikini, nad jego łóżkiem wisiało powiększone zdjęcie Sacamantecasa. Chore. Zasypiać co noc pod wizerunkiem seryjnego gwałciciela i mordercy o twarzy prostaka – dla mnie było to przerażające.

Sacamantecas to nasz miejscowy Kuba Rozpruwacz, obowiązkowy punkt wszystkich kursów z profilowania kryminalnego, w których brałem udział. Juan Díaz de Garayo Ruiz de Argandoña, urodzony w 1821 roku w Eguilaz, małej wiosce leżącej w gminie Llanada Alavesa, zamordował, zgwałcił i okaleczył sześć kobiet, wśród nich cztery prostytutki. Został skazany na garotę i stracony w dawnym więzieniu mieszczącym się w starej prochowni.

Zdjęcie Sacamantecasa było jednym z wielu powodów, dla których nie lubiłem Zielarza, a może po prostu byłem zbyt opiekuńczy wobec swojej przyjaciółki. Zaniepokoiło mnie też, że Estíbaliz wcale nie spędziła weekendu

z narzeczonym. Dlaczego postanowiła mnie oszukać? Czemu to miało służyć?

– Otóż w drodze powrotnej przekonał nas, żebyśmy zbiegli do Zugarramurdi, i wylądowaliśmy w słynnej jaskini czarownic, Sorginen Leizea – wyjaśnił, kiedy schodziliśmy po kamiennych stopniach. – Zostaliśmy tam na noc, facet bez przerwy gadał o podwójnych morderstwach, nabił nam też głowy pogańskimi rytuałami. Twierdzi, że sprawca domaga się powrotu do dawnych czasów, jego zdaniem bardziej autentycznych. Dlatego miejsca zbrodni odtwarzają historię regionu. Mówi, że nieprzypadkowo zaczął właśnie od dolmenu Chatka Czarownicy. Opowiedział nam legendę o wiedźmie, która tam mieszkała, podobno miejscowi w rozmowach w wąskim gronie przyznają, że podczas pełni księżyca składają ofiarę bogini Mari, wrzucając do dolmenu drobne kamienie. Ale we wsi niechętnie o tym mówią. Kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku archeolodzy znaleźli tam dużą liczbę otoczków, ludzie nabrali wody w usta ze strachu przed represjami ze strony Kościoła, bali się przyznać, że prastare wierzenia przetrwały. Nieprzypadkowo też pierwsze z nowych ofiar odkryto właśnie w Starej Katedrze – jest symbolem tego miasta, nie tylko religijnym, to tam znajdują się ruiny załóżka Vitorii, pierwotnej osady Gasteiz. On twierdzi, że to ostrzeżenie dla wszystkich mieszkańców, że ciała są otoczone symbolami, które należy odpowiednio zinterpretować – wyrzucił z siebie jednym tchem; przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. – O jakich symbolach mówi?

Lutxo nie wiedział, że trucizną użytą przed dwudziestoma laty był cis ani że tym razem narzędziem zbrodni są rozwścieczone pszczoły. Nie wiedział też, że sygnaturą mordercy są trzy *eguzkilore* rozmieszczone wokół zwłok. I tak na razie powinno pozostać.

– Wiesz, że nie mogę wyjść poza oficjalny komunikat prasowy – odparłem, kiedy niespiesznie przecinaliśmy plac Virgen Blanca.

Na tym polegała strategia Lutxa: obdarowywał mnie rzekomo użytecznymi informacjami, a potem prosił, żebym podał mu więcej szczegółów niż innym dziennikarzom.

– Co się dzieje, Lutxo? Szef ciśnie cię bardziej niż zwykle?

Redaktora naczelnego „El Diario Alavés” otaczała aura tajemniczości. Nie udzielał się towarzysko, od kilkudziesięciu lat kierował gazetą z cienia, jego podwładni mówili, że jest postrachem redakcji. Twarda szkoła z dawnych czasów.

– Dzieje się to, że w grę wchodzi mój awans. Larrea przeszedł na emeryturę, zwolniło się stanowisko zastępcy redaktora naczelnego. Muszę zatrząść czytelnikami. Chcę tego stołka i potrzebuję twojej pomocy, Kraken.

Mam nadzieję, że coś mi dasz, bo jestem gotów na wszystko i jeśli niczego od ciebie nie dostanę, wyszę coś z palca – odpowiedział zdenerwowany.

Dotarliśmy już do mojej kamienicy. Marzyłem o tym, żeby wejść do mieszkania i zapomnieć o całym świecie, o stekach i o swojej paczce, ale Lutxo uznał, że nie skończyliśmy rozmowy – włożył stopę między framugę a ciężkie drewniane drzwi z okienkiem za metalowymi kratkami.

– Co zrobisz? Napiszesz artykuł na podstawie tych pogańskich bredni Zielarza? – Wzruszyłem ramionami.

– Zielarza? Masz na myśli brata Estíbaliz, Eguzkilore?

Już miałem oddalić się ciemnym korytarzem, ale kiedy usłyszałem to przezwisko, po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Eguzkilore? – powtórzyłem blady jak duch ze Świętej Kompanii^[8].

– To jego ksywa, mówią tak na niego od czasów szkoły. Dwadzieścia lat temu nosił długie dredy, nie pamiętasz? Ponieważ jest rudy, wyglądał jak *eguzkilore*, pomarańczowy oset. Dobre przezwisko, bardzo obrazowe. Wydawało nam się zabawne.

– Wierzę. Bardzo plastyczne – mruknąłem, starając się zachować twarz pokerzysty. – Lutxo, jestem straszliwie zmęczony, a przede mną długi tydzień. Na dzisiaj wystarczy, dobra?

Pożegnałem się. Stałem w ciemnym korytarzu i trząsałem się z zimna, mimo że był środek lata.

Ze wszystkich pytań, które w tamtym momencie wierciły mi dziurę w mózgu, dręczyło mnie zwłaszcza jedno, najbardziej niewygodne, najbardziej niepokojące.

Dlaczego Estíbaliz nie wspomniała wcześniej, że jej brata przezywają Eguzkilore?

Czyżby coś przede mną ukrywała?

ARMENTIA

Vitoria, 28 kwietnia 1970

Ku ogólnemu zaskoczeniu dzień Świętego Prudencjusza powitał mieszkańców Vitorii słoneczną aurą, choć patron Álavy słynął ze słabego pęcherza. Mówiło się, że pogoda nie ma żadnych względów dla organizowanego od pięciu wieków festynu: święty zawsze spuszczał deszcz na wiernych, którzy pielgrzymowali do Armentii, by oddać cześć relikwiom spoczywającym w bazylice pod jego wezwaniem.

Doktor Urbina wcześniej rano wyciągnął z domu żonę i synków i wspólnie dołączyli do procesji ludzi sunących Paseo de la Senda.

Kiedy mijali pałacyk Unzuetów stojący tuż za hotelem Canciller Ayala, rzucił okiem na wielkie frontowe okna, próbując odgadnąć, czy jego mieszkańcy już wyszli, czy nadal są w środku.

Zupełnie przypadkiem dowiedział się z gazet, że w pałacyku wybudowanym na początku XX wieku przez przodków przemysłowca zamieszkała po ślubie para nowożeńców – Javier Ortiz de Zárate i Blanca Díaz de Antoñana.

Okazało się, że ten duży kwadratowy dom w stylu francuskim, ze złowrogimi owalnymi świetlikami w szarym dachu, nadal należy do rodziny przemysłowca. Álvaro kolejny raz zadał sobie pytanie, jak wygląda życie Blanki w tych luksusowych starych murach. Mąż przestał ją bić, kiedy przekonał się, że plotki o „dziewicy Blance” były wymysłem wiejskich pleciug? Wybaczyła mu?

Kilka miesięcy wcześniej dowiedział się – również z gazet – że uroczysty ślub odbył się w Nowej Katedrze, że mszę odprawił Jego Eksceleńcja biskup Vitorii i że będące wydarzeniem roku przyjęcie zaszczyliły swoją obecnością najbardziej wpływowe osobistości baskijskiej stolicy.

Z pietyzmem przechowywał wycinki – jedyne zdjęcia Blanki, jakie posiadał. Nocą godzinami wpatrywał się w czarno-białe ziarniste fotografie, próbując odgadnąć, czy na pociągłej twarzy dziewczyny uśmiechającej się

powściągliwie spod ślubnego kapelusza maluje się szczęście, czy przerażenie.

Nie przyszła już więcej do jego gabinetu. Tracił zmysły, czekając na nią codziennie rano przy pałacu Villa Suso; uczeplił się nigdy niewypowiedzianej obietnicy spotkania istniejącej wyłącznie w jego wyobraźni.

Przez niemal godzinę kroczył pod rękę z Emilią, nie spuszczać z oczu synów, których mimo wściekle czerwonych włosów z trudem dostrzegał w tłumie. Chłopcy wykrzywiali buzię w podkówkę i kaprysili, domagając się, żeby kupił im anyżowe ciastka z dziurką nadziane na gałązkę wawrzynu. Álvaro Urbina co chwila wkładał dłoń do kieszeni marynarki w nerwowym odruchu, którego nie był świadom.

Tak, miał je.

Nie zapomniał o nich. Zawsze je zabierał, na wypadek gdyby niespodziewanie spotkał ją na ulicy.

Procesję otwierali najpobożniejsi pielgrzymi odmawiający zdrowaśki. Grajkowie z fletami i tamburynami umilali marsz tym, którzy zamykali pochód, przywracając mu charakter niegdysiejszych festynów ludowych.

Wreszcie dotarli na błonia bazyliki Świętego Prudencjusza, szeroką esplanadę porośniętą trawą, gdzie – jeśli pozwoliła na to pogoda – pielgrzymi rozkładali kraciaste obrusy i robili sobie piknik. Nadciągały szare chmury. Ludzie zerkali na niebo i pospiesznie wyciągali prowiant, by zdążyć przed deszczem.

Rodzina Urbinów rozłożyła się nieco z boku, w miejscu, skąd widać było zarówno bazylikę, jak i stragany z jedzeniem i napojami. Doktor ukradkiem rozglądał się dookoła, wyławiając wzrokiem każdą kobietę podobną do tej, która nigdy nie opuszczała jego myśli.

Jego żona Emilia, podekscytowana panującą wrzawą, przez cały czas trajkotała – może za głośno – o tym, jak drogie są w tym roku sprzedawane na targu gąski, szczęśliwa, że pierwszy raz w życiu mogła sobie na nie pozwolić.

Krótkimi rękami niezdarnie wyciągnęła z koszyka aluminiowe pojemniki ze ślimakami i jajecznicą z gąskami. Zabrali ze sobą również kilka paluchów, które zachowywały chrupkość dłużej niż bagietki, i wino Marqués de Riscal, na wypadek gdyby doktor spotkał jakiegoś znajomego i chciał go zaprosić na szklaneczkę.

Álvaro Urbina rozłożył plastikowe talerzyki kupione poprzedniego dnia w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, a kiedy wyciągał nóż, żeby pokroić bułki, wydało mu się, że widzi w oddali Javiera Ortiza de Zárate wchodzącego do bazyliki w towarzystwie biskupa Vitorii i dwóch innych

elegancko ubranych dżentelmenów.

Z nadzieją wyciągnął szyję, zapominając o nożu, który dzierzył w dłoni. Zapominając o niesfornych synach, którzy biegali w kółko podekscytowani i domagali się tych nieszczęsnych anyżowych ciastek. Zapominając o zapachu domowego sosu pomidorowego z szynką, który docierał z setek naczynek ze ślimakami otwieranych z dumą przez matki.

Była sama, miała na sobie białą, sięgającą kolan spódnicę, zwykłe espadryle i elegancki żakiet dopasowany kolorystycznie do torebki w stokrotki. Czekwała zamyślona przy jednym ze straganów.

Álvaro schował nóż do koszyka, poprawił marynarkę i powiedziawszy niczym robot: „Idę po ciastka”, zniknął w rozradowanym tłumie. Przeciął błonia, kierując się w stronę małych zielonych budek, gdzie objazdowi sprzedawcy serwowali poncz i churros z gorącą czekoladą. Z głośników dobiegała niedorzeczna muzyczna mieszanka: religijne kantyki i *Un rayo de sol*, piosenka śpiewana przez Los Diablos, w której rytm dziewczyny szalały na wiejskich potańcówkach.

Podszedł do niej, zdecydowany porzucić nieśmiałość i kurtuazję. Tak rzadko miał okazję ją widywać, po co więc udawać?

– Czyli jednak pani za niego wyszła – rzucił na powitanie. – Proszę mi powiedzieć tylko jedno, żebym mógł spać spokojnie: teraz jest lepiej niż dawniej?

Teraz jest lepiej..., pomyślała, zaciskając szczęki.

Nie wiedziała, jak mu o tym opowiedzieć. Jak opowiedzieć innemu mężczyźnie, co jej mąż robi z nią od nocy poślubnej. Przekonał się, że rzeczywiście jest dziewicą, ale to nie wystarczyło, żeby przestał ją bić. Nie wystarczyło.

Z miesiąca miodowego w San Sebastián wróciła otepiąta. Nikt w hotelu María Cristina nie podejrzewał, co dzieje się w apartamencie? Nikt ze sprzątającego pokój personelu nie powiedział nic o połamanym meblach?

Stara ciotka zadała to samo pytanie co doktor, kiedy przyjechała pomóc jej urządzić nowy dom i rozpakować ślubne prezenty.

– Jak poszło? – zapytała, nie patrząc jej w oczy.

Blanca nie odpowiedziała, świadoma, że ciotka nie jest jej sprzymierzeńcem.

– Będzie lepiej, z czasem się przyzwyczaisz – stwierdziła starsza kobieta w przypiływie szczerości, niespodziewanej u damy nawykłej do zachowywania

pozorów. – Nie sprzeciwiaj mu się, bądź dobrą żoną, spełniaj wszystkie jego prośby, niech dom będzie wysprzątny, kiedy wróci z pracy, niech przy jego fotelu czekają kapcie. Postaraj się, żeby nie pił, wtedy jest jeszcze gorzej.

Spojrzała na nią, mina ciotki mówiła: „Nie pytaj”. Blanca spuściła wzrok zawstydzona. Nigdy nie sądziła, że wujek bije żonę. Jakże ślepa była przez całe życie.

Po ślubie zyskała koleżanki, żony przyjaciół męża. Niektóre były nudne, inne wyniosłe, trafiło się też kilka wesołych, beztroskich i roześmianych. Nie miała jednak nikogo, komu mogłaby o wszystkim opowiedzieć, komu mogłaby zaufać.

A teraz stał przed nią ten lekarz, tak skory do pomocy. Jedyne osoba, z którą mogła szczerze porozmawiać. Tak by chciała, żeby to on, a nie Javier, zabrał ją do San Sebastián. Wiedziała, że wtedy tamta noc byłaby zupełnie inna. Ciepła, miła, intymna. Jak on.

– Myśli pan, że miałam inne wyjście, że to był mój wybór? Proszę powiedzieć to mojej rodzinie, mojemu ojcu.

Doktor Urbina westchnął. Zrozumiał, że sytuacja nie uległa poprawie.

– Niech pani nie próbuje powtórzyć tego, co chciała pani zrobić przy pałacu Villa Suso. Schody nie są wysokie, stopnie zahamowałyby upadek i zamiast umrzeć, skończyłaby pani z urazem kręgosłupa. Unieruchomiona na wózku inwalidzkim. Nie chce się pani do mnie zbliżyć, mimo to zamierzam panią chronić.

– Nie wiem, w jaki sposób, doktorze – odpowiedziała.

W tym momencie zaczęło padać. Dwa grzmoty zapowiedziały zbliżającą się burzę, deszcz lunął gwałtownie, jakby chciał podziurawić ziemię.

Blanca pospiesznie schroniła się pod okapem w przejściu między budkami. Doktor Urbina stanął przed nią w strugach deszczu, który ledwo zauważał.

– Proszę otworzyć torebkę i spojrzeć w inną stronę, jakbyśmy ze sobą nie rozmawiali.

– Słucham?

– Niech pani otworzy torebkę, Blanco. Proszę mi zaufać.

Zgodziła się nie do końca przekonana. Álvaro wyciągnął z kieszeni marynarki lekarstwa i szybkim ruchem włożył je kobiecie do torebki.

– Co pan wyprawia, doktorze?

– Białe tabletki są na ból. Dla pani. Proszę je brać po tym, jak on... Ale także wtedy, kiedy będzie pani przeczuwać, że panią uderzy. Będzie mniej

bolało. Maść jest na siniaki, szybciej znikną i będzie się pani mogła pokazać na ulicy, na zewnątrz jest pani chyba bezpieczniejsza niż w domu. Bordowe kapsułki są dla niego. Niech pani rozpuści ich zawartość w wodzie, proszek nie ma smaku ani zapachu. Podejrzewam, że pani mąż jest człowiekiem zapracowanym, że spędza całe dni w biurze, a do domu wraca dopiero wieczorem. Niech mu to pani poda, to go uspokoi, osłabi i uśpi. Niczego się nie domyśli, nie chcę narażać pani na niebezpieczeństwo. To nie jest środek powszechnie stosowany w Europie, ale pani może uratować życie.

Blanca spojrzała zaniepokojona na zegarek. W ciągu zaledwie kilku minut błonia opustoszały, tłum schronił się przed ulewą pod drzewami przy drodze i pod straganami. Jej mąż długo nie wracał ze spotkania z biskupem i przedstawicielami władz.

– Doktorze, dziękuję panu za troskę, ale właśnie w tym momencie naraża mnie pan na niebezpieczeństwo. Każdy, kto by nas zobaczył... – Rozejrzała się niespokojnie.

– Niech pani popatrzy w inną stronę, udaje, że ze mną nie rozmawia. Proszę posłuchać: martwię się, nie wiedziałem, że pani mąż był wdowcem. Przeczytałem o tym w dniu waszego ślubu w kronice towarzyskiej „El Diario Alavés”. Moja pielęgniarka powiedziała mi, że jego pierwsza żona była młoda, tak jak pani, i że często przychodziła do kliniki.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że często przychodziła do kliniki? Wszyscy wiedzą, że zginęła w wypadku w górach.

– Ja wiem tylko to, co powiedziała mi pielęgniarka – odparł lekarz, spoglądając na błonia w poszukiwaniu żony i synów. – Nie mam dostępu do karty tej pacjentki, ale słyszałem, że przychodziła do nas z połamanymi żebrami i innymi obrażeniami pasującymi do tego, co mąż robi pani.

Blancę zalał zimny pot. Kto jeszcze o tym wiedział? Czyżby jej własna rodzina ukryła przed nią tę informację, pozwoliła, żeby wyszła za tego brutala? Ojca nie obchodziło życie jedynej córki?

– To tylko domysły, doktorze. Z tego, co wiem, do tej pory nikt nie odważył się go o nic oskarżyć.

– Proszę go nie bronić. Zabije panią, któregoś dnia posunie się za daleko i zabije panią zbyt mocnym ciosem, jak swoją pierwszą żonę.

– I co ja niby mogę zrobić?

– Mówiłem to już pani ostatnio i powtórzę jeszcze raz. Ma pani mnie, proszę do mnie przyjść.

Spojrzał jej w oczy, a ona odważyła się wreszcie podnieść wzrok

i popatrzeć na stojącego przed nią mężczyznę.

Mokra dłoń doktora musnęła delikatną, suchą dłoń Blanki. Pierwszy raz od dawna oboje poczuli ciepło.

W tym momencie ktoś pociągnął lekarza za marynarkę. Odsunął się od Blanki i odwrócił głowę.

– Ojcie, matka wszędzie was szuka. Przez ten deszcz ślimaki są do wyrzucenia – przerwał im jego młodszy syn.

Uwagi doktora nie umknęło pełne nienawiści spojrzenie, jakie chłopiec rzucił kobiecie.

Nie on jeden. Na widok żony stojącej w ulewnym deszczu zbyt blisko tego rudego wiejskiego lekarzyny Javier Ortiz de Zárate, który niepostrzeżenie wyrósł za ich plecami, zacisnął pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kostki, w instynktownym odruchu, nad którym nie zawsze panował.

PASEO DE LA SENDA

Nie znajdziesz mordercy, dopóki nie odkryjesz motywu zbrodni.
A motyw, drogi #Kraken, jest zawsze osobisty.

1 sierpnia, poniedziałek

Była szósta rano w poniedziałek, w nocy śniły mi się całe pola *eguzkilore*. Postanowiłem rozpocząć tydzień od przebieżki po parku Florida. Pośród drzew lepiej mi się myślało – rozjaśniały mi umysł.

Zawsze kiedy biegałem o świcie, w moich słuchawkach rozbrzmiewały dźwięki pianina Ludovica Einaudiego. Vitoria należała wtedy do mnie, była taka, o jakiej marzyłem. Spokojna i bezpieczna. Czuwałem nad nią, zło nie bezcześciło jej zabytków, żaden morderca nie polował na dzieci i kobiety, na młodych ani starych. Ulice były tylko wyludnionymi chodnikami, czekającymi, aż wstanie dzień i mieszkańcy będą przemierzać je bez strachu. Bez napięcia, bez niepokoju.

Mój mroczny mentor nadal dedykował mi swoje zatrważająco trafne tweety. Czasami tylko jeden, czasami kilka dziennie. Jego jednokierunkowy monolog śledziły tysiące osób spragnionych postępów w śledztwie. Postępów, których nie było. Które kończyły się na dobrych chęciach.

Dlatego musiałem spokojnie się zastanowić. Pobiegłem truchtem w stronę starej altany koncertowej, ośmiobocznej konstrukcji z pomalowanego na biało metalu, gdzie w niedziele pod czujnym spojrzeniem czterech olbrzymich pomników przedstawiających gockich władców odbywały się potańcówki.

Tam ją spotkałem, rozciągała się na metalowych schodkach.

– Blanco...

– Izmaelu...

Zamierzałem kontynuować swoją krętą trasę pośród zieleni, ale przywołała mnie skinieniem dłoni. Podszedłem do niej z ociąganiem.

– Wyjaśnij mi coś – odezwała się spokojnie, poprawiając czarny warkocz.

– Dlaczego Izmael?

Truchtałem w miejscu; zanim odpowiedziałem, wziąłem głęboki oddech.

– Czy to nie oczywiste? Bo próbował upolować białego potwora. Dlaczego Blanca?

– No cóż. – Wzruszyła ramionami. – To odmiana imienia Alba^[9].

– Ale jednak nie to samo co Alba. Po co skłamałaś?

– Chciałam zachować anonimowość. Niedawno przeprowadziłam się do tego miasta, nie chcę poza komendą być podkomisarz Salvatierrą.

– Ale to ty pierwsza się przedstawiłaś, pierwsza podałaś mi swoje imię, pierwsza zapytałaś o moje.

– To była tylko grzecznościowa formułka. Czy o tej porze dnia nie możemy być po prostu Blanca i Izmaelem?

– Kręci cię takie rozdwojenie osobowości? – zapytałem poirytowany.

– Nie sporządzaj od razu mojego profilu. W twoich ustach brzmi to jak przejaw patologii.

– Bo tak jest. Nie bardzo podoba mi się ta gra. Za dwie godziny znowu się zobaczymy, jak zwykle zwiążesz mi ręce, zaczniesz torpedować wszystkie moje propozycje. Każesz mi siedzieć w biurze i pisać raporty, żebym przypadkiem niczego nie przyspieszył.

– Tak to odbierasz?

– Owszem, Blanco czy też Albo. Tak to odbieram. Do diabła, co z tobą nie tak? Nie zależy ci na tym, żeby go upolować? – zapytałem bezradnie, zaciskając dłonie na białej barierce mocniej, niż zamierzałem.

– Upolować? Chciałeś chyba powiedzieć „zatrzymać”.

– Wszystko jedno. W każdym razie tak właśnie to odbieram. Dlaczego nie popuścisz trochę cugli i nie dasz mi większej swobody? Powinnaś mi zaufać.

Blanca zastanawiała się chwilę, która dłużyła mi się w nieskończoność. Ku mojemu zaskoczeniu ustąpiła.

– Zgoda, nie będę cię już tak bardzo pilnować, ale potrzebuję rezultatów. Komisarz dzwoni do mnie praktycznie co godzina i pyta o postępy. Wyobrażasz sobie, jaka to presja?

Pochyliłem głowę, nie spojrzałem na to z jej punktu widzenia. Do tej pory widziałem tylko mur.

– Jeszcze jedno pytanie, zanim odbiegiesz i znikniesz między drzewami. Dlaczego nazywają cię Kraken? Na komendzie mówią, że to dlatego, że

potrafisz przycisnąć podejrzanych podczas przesłuchania, ale ty wspomniałeś, że to twoja szkolna ksywka.

Jaka spostrzegawcza, pomyślałem.

– Te przesłuchania to tylko taka miejska legenda. Faktycznie zazwyczaj wyciągam więcej informacji niż moi koledzy, ale chyba dlatego, że staram się podchodzić do świadków i do podejrzanych z innej... perspektywy. Moje metody nie są podręcznikowe. Nie jestem fanem kinezyki, uważam, że na podstawie wyłącznie mowy ciała otrzymujemy zbyt mgliste informacje, obserwator nigdy nie jest bezstronny, choćby nie wiem jak się zarzekał i za jak dobrego policjanta się uważał. Jeśli mam być szczery, moim zdaniem nie sposób wejść do pokoju przesłuchań, nie mając z góry wyrobionej opinii na temat winy danego osobnika. Nie przekonuje mnie też technika Reida zakładająca zastosowanie dziewięciu kroków, jak dla mnie zbyt sztywnych. W praktyce zwykła rozmowa jest znacznie bardziej konstruktywna i nieprzewidywalna. I nie wierz we wszystko, co mówi się o mnie na korytarzach. Unikniesz rozczarowań. Zaufaj mi, nie jestem wyjątkowym śledczym, pokładanie we mnie zbyt dużych nadziei nikomu nie wyjdzie na dobre. Przydzieliliście mi tę sprawę, bo mamy do czynienia z serią zabójstw i ekspert od profilowania może wnieść do śledztwa nowy punkt widzenia, ale nie jestem niezawodny. Bynajmniej. Jak widzisz, na razie wciąż umyka mi zbyt wiele niewiadomych.

– Przebieg twojej służby mówi co innego. I nie opowiedziałeś mi jeszcze, jak to jest z tym Krakenem...

– To żadna tajemnica. Nadano mi tę ksywkę, kiedy byłem nastolatkiem. Jak zapewne wiesz, krakena uważano za legendarnego stwora ze skandynawskiej mitologii, za coś w rodzaju gigantycznej ośmiornicy albo kałamarnicy. Dopiero kiedy w ostatnich latach na plażach całego świata zaczęły pojawiać się zwłoki dziwnych mięczaków, odkryto, że te stwory istnieją naprawdę. Trudno je badać, bo żyją na dużych głębokościach. Mam nadzieję, że nie będziesz doszukiwać się żadnych analogii w tym wszystkim, co ci powiedziałem. Rosłem po kawałku, jak ludzik lego ze źle dopasowanymi rękami, tułowiem i nogami. Przez jakiś czas moje ręce były monstrualnie wielkie w porównaniu z resztą ciała. Nie trwało to długo, kolejne wystrzelenie w górę przywróciło właściwe proporcje i zamieniłem się w boga seksu, na którego teraz patrzysz... – Puściłem do niej oko na potwierdzenie swojej teorii. – A może to tylko moje wymysły, a tak naprawdę ksywę przypisał mi jakiś pijany kumpel, choć równie dobrze mógł ją nadać komukolwiek innemu. W Vitorii zawsze ochrzczą cię jakimś pomysłowym

przydomkiem: Nakrętka, Kask, Sacamantecas...

– Dzięki, jeśli mam być szczerą, wolę twoje wyjaśnienie – przerwała z uśmiechem.

– Zamierzasz pobiec Paseo de la Senda? – zapytałem.

Nie chciałem się wychłodzić ani przerywać joggingu.

– Taki był mój plan, ruszajmy.

Pobiegliśmy w górę ścieżki, w jednakowym tempie, w milczeniu. Wyłączyłem Einaudiego – nie chciałem jeszcze budować wspomnień, takich, które potem się nie zacierają i wracają za każdym razem, kiedy słuchasz tego samego połączenia nut.

– Dlaczego zaczęłaś biegać? – zapytałem chwilę później. – Masz nowe buty, nowe legginsy, wszystko idealnie dobrane... Dopiero zaczynasz, to świeże hobby.

Spojrzała w górę, na zielony tunel utworzony nad nami przez drzewa.

– Byłam w ciąży, chcę odbudować masę mięśniową.

Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi; zacisnąłem szczęki, odpychając od siebie demony.

– Wow... Chwali ci się – zdołałem powiedzieć.

– Co dokładnie mi się chwali?

– Musisz być wykończona zajmowaniem się niemowlęciem, pewnie nie sypiasz po nocach. Teraz wróciłaś do pracy, a jeszcze martwisz się swoimi mięśniami. Ile ma, cztery, pięć miesięcy? – Obliczyłem w myślach. – Na pewno zaczyna ząbkować i strasznie się złości.

– Nie, to nie tak, jak myślisz. Byłam w ciąży do siódmego miesiąca. Dziecko... Dziecko miało wadę genetyczną. Zdiagnozowano u niego wrodzoną łamliwość kości drugiego typu – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad czerwonych, białych i niebieskich płytek, które układały się w fale pod jej stopami.

– Szczerze mówiąc, nie znam aż tak skomplikowanej terminologii medycznej.

– Mój syn nie był zdolny do życia. Rósł, każdego dnia jego kości łamały się w mojej macicy, bardzo cierpiał. Zrobili mi planowaną cesarkę, żył zaledwie kilka godzin. Nie znoszę patrzeć na swój brzuch, mierzi mnie, że wciąż mam ciało ciężarnej. Kiedy byłam w ciąży, wcale mi ono nie przeszkadzało i nie przeszkadzałoby nadal, gdyby mały przeżył. Ale teraz... chcę tylko o wszystkim zapomnieć, a nie widzieć je za każdym razem, kiedy

się rozbieram.

Zerknąłem kątem oka na mięśnie rysujące się pod jej obcisłą koszulką z lycry. Należała do osób obdarzonych przez los idealnie gładkim, muskularnym, płaskim brzuchem, bez cienia krągłości. Tylko ona widziała ciężowy brzuch, był w jej głowie, nie w świecie rzeczywistym.

Cóż my tu mamy? – zastanowił się specjalista od profilowania. Dysmorfofobia, być może przejściowa. Mam nadzieję. Dla jej dobra.

Już ci na niej zależy, Unai? Już się o nią martwisz? – pomyślałem zaskoczony.

Może i tak.

Może.

Nie powinienem, ale może.

– Dlatego poprosiłaś o przeniesienie.

– Mój mąż nalegał. Pracowałam na komisariacie w Laguardii od początku, odkąd skończyłam dwadzieścia cztery lata. Mąż pracuje w Vitorii, do późna... Nienormowany czas pracy, nie oszukujmy się. Widywaliśmy się nocami, wcześniej to nam wystarczało. Ale oboje ciężko przeżyliśmy śmierć małego. Sam wiesz, że takie przejścia albo łączą, albo rozdzielają, a ja nie chciałam, żeby nas rozdzieliły. On zamknął się w sobie, dziwnie się zachowuje. Stara się to ukryć, ale jest w kiepskim stanie. Teraz mieszkam tutaj, nie znam zbyt wielu ludzi, nie chcę, żebyś myślał, że ci się naprzykrzam, ani żebyś opacznie zinterpretował to, że co rano cię zagaduję. Po prostu nie znam tu zbyt wielu ludzi.

– Taka już jest Vitoria – powiedziałem, kiedy zakręcaliśmy, żeby wrócić tą samą drogą. – Przyjaźnie zawiązują się w szkole, komuś z zewnątrz trudno wejść do paczki. Panuje raczej endogamia. Poznajesz piętnastolatków, chłopaków i dziewczyny, niektórzy tworzą już pary. Ten chłopak z tą dziewczyną, ta dziewczyna z innym chłopakiem... Kiedy odwiedzasz ich dwadzieścia lat później, wciąż tworzą pary w kombinacjach, których byś się nigdy nie spodziewała, ale żadne z nich nie wyjrzało poza ten ich mikrokosmos, żeby sprawdzić, czy gdzieś na świecie nie ma innych potencjalnych partnerów. Nie, w Vitorii to się nie zdarza. Nieufnie podchodzimy do egzogamii. Wszyscy, którzy urodzili się dalej niż pięćdziesiąt kilometrów stąd, są „obcymi”, jak mawiała moja babka. Ciekawe słowo rodem z westernu, które słyhać tu w każdej wiosce. Para pielgrzymów idących do Santiago? „Obcy”, chociaż pochodzą z Cuenki. Sprzedawca materaców wypełnionych bawełną, których już nikt nie używa, w furgonetce

z tablicą rejestracyjną z Salamanki? „Obcy”, szepczą starsi ludzie, wzruszając ramionami.

– Wygląda na to, że teraz ja jestem „obca” – podsumowała, spoglądając na zegarek. – Powiedz mi lepiej, co z tobą. Czytałam raport w związku z twoim zwolnieniem lekarskim, nadal jesteś w żałobie czy już się z tym uporałeś?

– Sprawdziałaś mnie? – zapytał nieco skrępowany.

– Jestem twoją przełożoną, czego się spodziewałeś? Uprzedzono mnie, że jesteś bardzo dobry. Podobno lepiej działasz na własną rękę, rozwiązujesz najtrudniejsze sprawy, ale masz za sobą ciężki okres. Możesz mi odpowiedzieć? Doszedłeś już w pełni do siebie?

– Oczywiście, spójrz na mnie. – Zatrzymałem się dokładnie pod rysunkiem żółtej muszli sygnalizującej szlak Świętego Jakuba przebiegający przez Vitorię. – Co mam ci powiedzieć?

– Chcę wiedzieć, chcę usłyszeć o tym od ciebie, a nie przeczytać w raporcie psychologa czy protokole drogówki. Dlaczego po powrocie ze zwolnienia wyspecjalizowałeś się w profilowaniu kryminalnym?

Milczałem, nie miałem ochoty o tym mówić, to byłoby jednak nie fair. Ona otworzyła się przede mną bez znieczulenia, nieważne, czy jako przypadkowa towarzyszka podczas bieganina, czy jako moja bezpośrednia przełożona. Byłem w stanie zdobyć się na taką odwagę?

– Z powodu przyjaciela – przyznałem wreszcie.

– O czym teraz mówisz?

– O tym, dlaczego zostałem w Wydziale Kryminalnym i wyspecjalizowałem się w profilowaniu. Z powodu przyjaźni. Obiecuję, że kiedy znowu się spotkamy, o wszystkim ci opowiem. Jestem ci to winien. Ale nie dziś, nie mam ochoty poruszać tego tematu. Muszę się do tego psychicznie przygotować.

– Jasne, kiedy indziej. Umowa stoi – potwierdziła. – A tak przy okazji: obca woli rozdzielać spotkania służbowe i prywatne i nie rozmawiać o pracy, kiedy biegamy, myślę, że tak będzie lepiej dla naszej higieny umysłu.

– Zgadza się – przytaknąłem, chociaż zauważyłem, że na jej twarzy maluje się ten sam niepokój, który dostrzegłem wcześniej w biurze. – Ale teraz dodasz, że...

– Że za godzinę czekam na ciebie i na inspektor Gaunę w swoim gabinecie. Mamy ważne informacje w sprawie morderstwa w Starej Katedrze.

– Okej. Może ta zmiana imion nie była wcale taka zła – stwierdziłem

weselszym tonem.

Pożegnaliśmy się na placu Virgen Blanca.

– Izmaelu...

– Blanco...

Niedługo potem wykąpany, ogolony i wymasturbowany wsiadłem na rower i ruszyłem do komendy.

Kiedy wszedłem do gabinetu, Estíbaliz i podkomisarz Salvatierra czekały już na mnie przy stole, studiując z uwagą zawartość jakichś teczek.

– Mamy nazwiska wszystkich czterech ofiar, Ayala. Nasze obawy się potwierdziły, dwie pierwsze mają po dwadzieścia, a kolejne po dwadzieścia pięć lat – powiedziała podkomisarz, podając mi raport z danymi osobowymi.

– Są już wyniki autopsji? – zapytałem.

– Tylko tych ze Starej Katedry. Oboje zmarli z powodu uduszenia wywołanego reakcją na użądlenia kilkunastu pszczoł. Brak śladów napaści seksualnej, odcisków palców, włosów czy włókien. Mamy jedynie skład resztek kleju z polipropylenowej taśmy do pakowania, którą zabójca bądź zabójcy zatkali usta ofiar. Klej akrylowy, tak popularny, że nie będziemy w stanie ustalić jego pochodzenia. Podobno tego rodzaju taśmy są najczęściej stosowane, można je znaleźć niemal w każdym domu. Są do kupienia w sklepach gospodarstwa domowego albo w dużych sieciówkach, jak Leroy Merlin w centrum handlowym El Boulevard. Kolejna ciekawa informacja jest taka, że obu ofiarom wstrzyknięto w szyje flunitrazepam, dostępny pod nazwą handlową Rohypnol. Coś to państwu mówi?

– *Date rape*, pigułka gwałtu podawana podczas randki – uprzedziła mnie Estíbaliz. – W naszym kraju od lat nie było takich przypadków.

– Całe szczęście – dodałem.

Rohypnol jest środkiem uspokajającym dwadzieścia razy silniejszym od valium, który w latach siedemdziesiątych zrobił furorę w Miami ze względu na efekty, jakie powoduje po zmieszaniu go z alkoholem. Występuje pod licznymi nazwami: *rope*, *roach*, *rophie*, meksykańskie valium...

– To rzeczywiście ciekawe – zauważyła Estíbaliz. – Rohypnol wykryto również we krwi piętnastolatka zamordowanego przed dwudziestoma laty, w jego przypadku zmieszany z alkoholem.

– Korzystając z okazji, poinformuję panią, pani podkomisarz – wtrąciłem – że zaginał raport z sekcji zwłok piętnastolatki. Mógłby okazać się kluczowy

dla odkrycia mordercy w związku z obrotem, jaki przyjmuje śledztwo. Zapytaliśmy o niego Ignacia Ortiza de Zárata, ale udał, że nie przywiązuje wagi do jego zniknięcia. Poradził nam, żebyśmy zapytali Pancorba, który prowadził tamtą sprawę razem z nim.

– Proszę tak zrobić, umówić się z nim na spotkanie i przygotować sobie listę wszystkich wątpliwości, jakie mają państwo w związku z tamtym śledztwem. Jest naszym najbardziej wiarygodnym świadkiem.

– Zgadzam się – odparłem, chociaż to nie była prawda.

Jeszcze nie rozpracowałem Pancorba. Podczas rozmowy z Ignaciem odniosłem wrażenie, że ten celowo podkreśla, jakoby jego towarzysz był znacznie bardziej inteligentny, niż na to wygląda.

– A nazwiska ofiar? – zapytałem, zmieniając temat.

– Wszystkie złożone i typowe dla Álavy. Pierwszy człon patronimiczny, jak Martínez, López, Fernández, Sánchez, drugi toponimiczny, odpowiadający miejscowościom prowincji.

– To znaczy, że obecny sprawca postępuje według wzorca sprzed dwudziestu lat – podsumowałem.

– Nie do końca – wtrąciła Estíbaliz. – Zmienił narzędzie zbrodni.

– Ale nic poza tym, Gauna. Sygnaturą obecnego mordercy również są *eguzkilore* – odparłem, ciekaw jej reakcji.

– Jeszcze nie wiemy, czy to podpis. – Stanowczo pokręciła głową.

– To element pogański, folklorystyczny czy jak go tam nazwiesz, powtarzający się w miejscach zdarzenia, zabójca celowo ułożył kwiaty wokół ofiar, bo przecież nie potrzebował ich do popełnienia zbrodni. Tak właśnie podręczniki definiują „podpis”. I nie zapominajmy, że ten szczegół nie wyciekł jeszcze do prasy. W rzeczywistości to jedna z głównych wskazówek, że mamy do czynienia z tą samą osobą, a przynajmniej z kimś związanym z poprzednim sprawcą.

– Tak czy inaczej – przerwała nam polubownym tonem podkomisarz – to oczywiste, że jest w tej serii morderstw coś na pierwszy rzut oka niewytłumaczalnego: wyglądają na dzieło tego samego sprawcy, ale sprawca siedzi w więzieniu, więc nie mógł tego zrobić, przynajmniej fizycznie.

– Zgadzam się – przytaknałem.

– W takim razie idźmy po kolei. Zacznijmy od dwudziestolatki: Enara Fernández de Betoño, studentka optyki na madryckim Uniwersytecie Complutense. Jej ojciec od niemal trzydziestu lat prowadzi salon optyczny

przy ulicy San Prudencio ze swoim nazwiskiem w nazwie. Lekarka sądowa powiedziała mi, że to rodzina dobrze znana w Vitorii. W wakacje dziewczyna pracowała w salonie ojca, obsługując klientów. Tak też było w ostatnich tygodniach. Nie wyróżniała się specjalnie jako studentka, nie miała problemów z prawem ani z narkotykami, chociaż toksykologzy poza rohypnolem odkryli w jej krwi także antydepresanty. Będziecie musieli sprawdzić, czy ojciec o tym wiedział. Matka jest w drodze. Była na wycieczce w Stanach, jak się domyślam, ze swoim nowym facetem. Porozmawiajcie z koleżankami, kolegami, krewnymi dziewczyny... Chcę wiedzieć o niej wszystko, także to, czy знаła drugą ofiarę, czy byli parą, czy cokolwiek ich łączyło. Chcę wiedzieć, dlaczego morderca wybrał akurat ją.

– Gdzie mieszkała? – zapytałem.

– U rodziców, nad salonem optycznym, w samym środku ulicy San Prudencio.

– Jakie to proste.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „jakie to proste”?

– To, że jeżeli morderca chciał zabić kogoś z młodych mieszkańców Vitorii o złożonym alavskim nazwisku, nie utrudniał sobie życia poszukiwaniami w spisach ludności czy bazach danych: nad salonem optycznym widnieje nazwisko właściciela. Wystarczyło mu kilka dni, żeby odkryć, że ma córkę w odpowiednim wieku, która u niego pracuje. Mieszkają w centrum, przy deptaku; nie musiał nawet jeździć za nią samochodem, żeby poznać jej zwyczaje i harmonogram, czyli kiedy wychodzi i kiedy wraca. Zamordowano ją w dniu, gdy cała młodzież Vitorii wylega na ulice, nikt nie siedzi w domu. Prawdopodobnie zaczął ją, kiedy wychodziła.

– Myślisz, że to mógł być ktoś, kogo znała? – zapytała Estíbaliz.

– Ktoś znajomy, typ podrywacza albo przynajmniej facet, który nie wygląda groźnie i budzi zaufanie. Gdyby mordercą okazała się kobieta, łatwiej byłoby zrozumieć, że ofiara poszła z nią albo wsiadła do jej samochodu, ale ta teoria nie pasuje do wzrostu dwudziestopięciolatka zamordowanego w Domu pod Sznurem. Tak czy inaczej, która dwudziestolatka wsiada do samochodu nieznajomego?

– W Vitorii żadna – powiedziała moja koleżanka.

W tej kwestii zgadzaliśmy się wszyscy troje.

– Myślę, że zwabia ich do jakiegoś pojazdu, wykorzystuje ich ufność i wstrzykuje im środek uspokajający, a kiedy są już unieszkodliwieni, wywozi ich z Vitorii – ciągnąłem. – Prawdopodobnie do domu czy chaty w pobliskiej

wiosce, gdzie może działać swobodnie, bez świadków. Nie zapominajmy, że hoduje pszczoły albo ma do nich dostęp. W Vitorii trudno o takie warunki. W swojej kryjówce przystawia ofiarom do ust benzynę, żeby rozdrażnić pszczoły, które trzyma w puszcze albo w słoiku, niewykłuczone, że sam wkłada dla ochrony kombinezon pszczelarza. Wpuszcza ofiarom owady do ust, zakleja je taśmą i zatyka dłonią nosy. W ciągu paru minut dochodzi do uduszenia. Potem rozbiera zwłoki do naga, usuwa z nich wszystkie osobiste przedmioty, wrzuca je z powrotem do samochodu i umieszcza w uprzednio wybranej scenerii będącej dalszym ciągiem historycznej chronologii miasta. Lokuje ciała głowami na północny zachód i układa dłonie w charakterystycznym geście, nim wystąpi stężenie pośmiertne. Działa szybko i precyzyjnie. Musiał od dawna przeprowadzać próby i planować każdy krok, odwiedził Starą Katedrę i Dom pod Sznurem. Nie zostawia śladów, używa rękawiczek. Jest jak kameleon, mógł udawać robotnika z Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny albo pracownika banku, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Oba profile są dość podobne – stwierdziła Estíbaliz.

– Równie dobrze mógł udawać sprzątaczkę – wtrąciła podkomisarz. – Możliwości jest znacznie więcej. Proszę nie ograniczać się do pierwszej, najbardziej oczywistej opcji. Zapomniałam państwu powiedzieć, że jutro na cmentarzu Świętej Elżbiety odbędą się w półtoragodzinnym odstępie pogrzeby dwóch z czterech ofiar. Przejdźmy teraz do dwudziestolatka...

– Świętej Elżbiety? – przerwałem zdziwiony. – Przez całe życie byłem tylko na jednym pogrzebie na tym cmentarzu. Myślałem, że od dawna nie odbywają się tam pochówki, zawsze chodziłem na cmentarz Zbawiciela.

– Obie rodziny od ponad stu lat mają tam grobowce i nadal są w nich wolne miejsca – wyjaśniła Alba. – W takich wypadkach władze miejskie zezwalają na pochówek.

Do gabinetu wszedł Pancorbo, taktownie zapukawszy do drzwi.

– Zjawił się niejaki Peio, twierdzi, że jest chłopakiem Enary Fernández de Betoño. Podobno ma nam do powiedzenia coś ważnego w związku ze sprawą.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na siebie w milczeniu.

– Przyrowadź go – poleciła podkomisarz Salvatierra. – Panie inspektorze, pani inspektor, mam nadzieję, że uda się państwu wyciągnąć od niego jakieś przydatne informacje.

– Czeka u mnie w gabinecie, musiałem go uspokoić, jest bardzo zdenerwowany – oznajmił Pancorbo.

– W porządku, proszę do niego iść. Zobaczymy, co takiego ma nam do powiedzenia.

Chłopak – sto dwadzieścia kilo żywej wagi – siedział przy biurku Pancorba, grzebiąc w pudełku z chusteczkami. Uwagę zwracały nie tylko jego rozmiary, ale także piegi rozproszone na całej widocznej powierzchni skóry, jakby ktoś rozpylił mu po ciele i okrągłej twarzy melaninę. Miał czarne kręcone włosy, przylizane i błyszczące przy czaszce, podzielone na dwie symetryczne kaskady spływające do ramion drżących przy każdym szlochu. Był ubrany w rybaczeki moro i czarny T-shirt ze zdjęciem Waltera White’a, bohatera *Breaking Bad*, gotującego metę – prawdopodobnie jego idola.

– Cześć, Peio – odezwałem się pierwszy. – Podobno chcesz z nami porozmawiać.

– Pan jest Krakenem? – zapytał, czknąwszy trzy razy z rzędu.

– Najważniejsze, żebyś nam powiedział, co wiesz. – Usiadłem na krześle. – Wcześniej jednak przyjmij wyrazy współczucia z powodu śmierci Enary. Była twoją dziewczyną?

– Tak, od roku. A co, nie pasuję do niej? Za ładna i za bogata dla takiego gościa jak ja? – obruszył się.

– Nikt niczego takiego nie powiedział. Ja osobiście uwielbiam kontrasty – wtrąciła pojednawczo Estíbaliz. – Nie chcemy zabierać ci czasu, Peio. Mów.

– Rodzice Enary są w trakcie rozwodu. Trzy tygodnie temu jej matka odeszła do swojego nowego faceta, a raczej do swojego starego faceta. Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć.

– Postaraj się, bo ja już się pogubiłam. – Esti rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech.

– Chodzi o to, że jakiś miesiąc temu matka Enary była na zjeździe absolwentów. No wiecie, pierniki takie jak ona spotykają się dwadzieścia lat po skończeniu swoich elitarnych szkół.

– W porządku. Co to była za szkoła?

– Chyba Marianiści.

– Chyba czy na pewno?

– Tak, Marianiści. Tam spotkała swojego chłopaka sprzed dwudziestu lat i miłość odżyła. To supergość, o wiele lepszy niż ojciec Enary, zarozumiały, nieznośny burżuj, a w dodatku świrus.

– Optyk jest świrusem? – zdziwiłem się. – A dlaczego tak myślisz?

Wyjaśnij nam.

– Ma w domu pełno zwierzęcych gałek ocznych w formalinie, bardzo stylowe, jak z czasopisma. Każdemu, kto się napatoczy, opowiada, że wydał fortunę na te dziwactwa. Nadyma się, mówi, że takie medyczne antyki są bardzo cenione na rynku kolekcjonerskim... Pierdolenie. Ciężko się żyje z takim człowiekiem.

– Co się wydarzyło po tym zjeździe absolwentów?

– Matka Enary zebrała się na odwagę i wreszcie zostawiła tego palanta. Wyprowadziła się do swojego nowego faceta.

– Możesz podać nam jego nazwisko?

– Gonzalo Castresana. Chyba.

– W porządku. A co to ma wspólnego ze śmiercią twojej dziewczyny?

– Enara była zachwycona swoim ojczymem do tego stopnia, że ubzduriała sobie, że jej prawdziwym ojcem jest Gonzalo, nie optyk. To by się nawet zgadzało, bo jej matka i Gonzalo nie zaprzeczali. Podobno optyk pojawił się w ich życiu, kiedy byli parą, niedługo potem on i matka Enary zaliczyli wpadkę i musieli wziąć ślub. To było dwadzieścia lat temu. No i po tym zjeździe zaczęły się problemy. Enara pozdawała egzaminy na optyce i wróciła do domu rodziców, ale jej matka wyprowadziła się do Gonzala. Moja dziewczyna nigdy nie dogadywała się z ojcem, jest bardzo despotyczny, facet starej daty: kazał jej iść na optykę, a ona nienawidzi tych studiów. To znaczy nienawidziła.

– Nie chciała zostać optykiem?

– Widziałeś jej notatki? – odpowiedział, krzywiąc twarz.

– Nie, nie widziałem.

– Enara była przygnębiona, z trudem zaliczała egzaminy. Za dużo fizyki i chemii. Ojciec nieźle ją cisnął, żeby poszła w jego ślady i przejęła po nim salon optyczny cieszący się renomą w całej Vitorii.

– Peio, czy twoja dziewczyna coś brała? – zapytała Estíbaliz.

– Nie rozumiem pytania.

– Zadam je w inny sposób: w jej ciele znaleziono ślady antydepresantów, a także innych substancji, powiedzmy, że na granicy legalności. Nie będziemy ci robić z tego powodu problemów. To, co nam powiesz, zostanie w tym gabinecie, nie trafi do oficjalnych zeznań, ale proszę cię, nie kłam. Może jestem dla ciebie piernikiem, ale uwierz mi, wiem, czym jest nocne życie i co się wtedy wyprawia. Nic ci nie zrobię, nie będę cię osądzać, ale ta informacja

pomoże nam namierzyć zabójcę. Czy twoja dziewczyna kupowała dropsy?

– Nie, nie ma takiej opcji. Była święta, bez skazy. Zapytaj jej kumpele: wszystkie ci powiedzą, że to złota dziewczyna. Zbyt ufna, zbyt posłuszna... Dopiero dwa tygodnie temu pierwszy raz w życiu postawiła się ojcu.

– Wiedziałeś o antydepresantach? – nalegałem.

– Tak, to też sprawka jej ojca. Opłacał jej psychologa. Twierdził, że ma depresję i że leki jej pomagają, ale tak naprawdę robił to, żeby skoncentrowała się na studiach i jak najszybciej zaczęła pracować w salonie.

– Jak jej ojciec przyjął odejście żony?

– Do tego właśnie zmierzam. Zachowywał się jak pierdolony schizol: czasami był agresywny wobec Enary, oczywiście nigdy przy ludziach... a czasami tak spokojny i chłodny, że aż bała się, że coś knuje. To była prawdziwa wojna, codzienne kłótnie przez telefon, ojciec śledzący żonę i Gonzalę... W końcu tamci wyjechali, żeby od niego uciec, dopóki się nie uspokoi, ale zostawili Enarę z tym świrem.

– Z tego, co mówisz, wynika, że zachowuje się jak dwubiegunowiec.

– Otóż to: jest bardzo dwubiegunowy, ten skurwiel jest bardzo dwubiegunowy.

– Ostatnie pytanie, Peio – powiedziałem. – A jak traktował ciebie?

– A jak myślisz? Chciał dla niej jakiegoś lalusia, nie grubasa bez studiów i kasy.

– Pracujesz? – chciałem wiedzieć.

– Jasne, od siedemnastego roku życia koszę trawnik na polu golfowym w Urturi i jestem z tego dumny.

– I słusznie, stary. Chłopak, który w twoim wieku zarabia na życie, ma mój pełny szacunek – powiedziałem. – Wracając do twojej wizyty w komendzie: próbujesz nam powiedzieć, że twoim zdaniem ojciec ma coś wspólnego ze śmiercią twojej dziewczyny.

– Oczywiście, że ma coś wspólnego! – wybuchnął, zanosząc się szlochem. – Jak na przykład to, że to był on! Zabił pozostałe dzieciaki dla zmyłki, żeby ludzie myśleli, że sprawa ma związek z zabójstwami z dolmenu i całą tamtą historią. Idźcie, idźcie do jego domu i zobaczcie ten gabinet horroru. Ma nawet skalpele i lancety z dziewiętnastego wieku.

– Spokojnie, Peio. Masz. – Widząc, że chłopak zużył wszystkie chusteczki Pancorba, Estíbaliz wyjęła z kieszeni spodni nową paczkę.

Kilkakrotnie wydmuchał nos, my zaś cierpliwie czekaliśmy, aż się uspokoi

i będzie w stanie mówić.

– W przeddzień uroczystości Świętego Jakuba Enara powiedziała mu, że przeprowadzi się do matki i nowego ojca, jak tylko wrócą ze Stanów. Umierała ze strachu, optyk był zbyt spokojny, jakby jej nie słyszał albo nie chciał słyszeć. W takich momentach najbardziej się go bała. Tamtej niedzieli byliśmy umówieni na wieczór na drinka, ale ostatni raz kontaktowaliśmy się rano, rozmawialiśmy przez komórkę około dwunastej. Potem już nie miałem od niej żadnych wiadomości. Wieczorem nie przyszła, nie odbierała ode mnie telefonów. Kiedy zadzwoniłem do niej, bo się spóźniła, miała wyłączoną komórkę. Umówiliśmy się na siódmą. Byłem niezłe wkurzony, około dziewiętej poszedłem do niej do domu i dzwoniłem przez domofon, ale nikt nie odebrał.

– Gdzie się umówiliście?

– Przy cipie. To znaczy przy tej rzeźbie z dziurą przy General Loma, niedaleko placu Virgen Blanca.

– *Spojrzenie*, Peio. Rzeźba nosi nazwę *Spojrzenie* – sprostowałem z uśmiechem.

Nikt w Vitorii nie nazywa jej inaczej. To pionowy blok szarego marmuru wysoki na pięć i pół metra, z dziurą, przez którą widać figurkę Białej Panienci, a także wejście do mojej kamienicy.

– Człowiek uczy się całe życie. W każdym razie kilka razy wracałem do... do rzeźby, na wypadek gdyby Enara się zjawiała. Dzwoniłem do jej koleżanek, ale wszystkie poumawiały się ze swoimi chłopakami i żadna jej nie widziała. O dwunastej znużyło mi się łożenie i wróciłem do domu. Przez całą noc siedziałem w pokoju, dzwoniąc i wysyłając whatsappy. Spójrzcie. – Wyjął ze spodni sfatygowany telefon z popękany wyświetlaczem i pokazał nam niekończącą się serię wiadomości bez odpowiedzi.

– Nikt cię nie oskarża, Peio – odezwała się Esti słodkim głosem, jak matka kołysząca do snu małe dziecko.

– To tak na wszelki wypadek. Z powodu mojego wyglądu i w ogóle. Wiem z telewizji, że gliny zawsze podejrzewają chłopaka ofiary.

– Bez obaw, Peio, nie pasujesz do profilu mordercy – odpowiedziałem, jakby naprawdę był naszym konfidentem, a nie dzieciakiem przytłoczonym przez okoliczności.

– Nie? – zapytał zaskoczony.

– Masz moje słowo.

– Całe szczęście, bo już się bałam, że jej ojciec oskarży mnie, ale jak to mówią: kto szybko daje, dwa razy daje, wolałam, żebyście najpierw poznali moją wersję wydarzeń, dlatego przyszedłem – oznajmił wyraźnie uspokojony.

– Dobrze zrobiłeś. Co wydarzyło się później, w Día del Blusa? – ciągnęła przesłuchanie Estíbaliz.

– Następnego dnia rano dowiedziałem się z Twittera o morderstwach, nie mówiło się o niczym innym, kupiłem nawet gazetę. Pobiegnę do niej do domu. Salon optyczny był zamknięty z powodu święta, ale rozmawiałem z jej ojcem przez domofon. Zapytałem o Enarę, powiedziałem, że nie wiem, gdzie jest, ale to go nie poruszyło, jakby było mu wszystko jedno, jakby się nie martwił, a przecież lubi mieć wszystko pod kontrolą. Poprosiłem, żeby mi otworzył, chciałem wejść na górę, wolałam nie rozmawiać o tym, stojąc przed drzwiami na ulicy, ale mnie nie wpuścił, więc musiałem powiedzieć mu o wszystkim z dołu, że od poprzedniego dnia nie miałem żadnych wiadomości od jego córki. Że musimy iść na policję i zgłosić zaginięcie, bo jeśli tego nie zrobimy, ściągniemy na siebie podejrzenia.

– Tak mu powiedziałeś? – przerwała Estíbaliz.

– Owszem, przecież tak zawsze się mówi w serialach, nie? – burknął, wzruszając ramionami. – Optyk stwierdził, że to on jest jej ojcem i że sam wszystkim się zajmie, kim ja jestem, żeby chodzić na policję, mam się nie wtrącać w sprawy jego rodziny. Drań... To jego córka, a nic go nie obeszło, że spędziła całą noc poza domem. Ja wiedziałem, że spotkało ją coś złego. Enara nie chodziła sama nawet do damskiej toalety. To by było na tyle... Już wam chyba wszystko powiedziałem. Kiedy go zatrzymacie?

Bez słowa wymieniliśmy z Estíbaliz spojrzenia. Potem moja koleżanka wstała i podeszła do drzwi.

– Myślę, że twoje informacje bardzo pomogą nam w śledztwie. Chciałabym, żebyś zostawił nam swój numer telefonu i adres, na wypadek gdybyśmy musieli się z tobą skontaktować. Jeszcze raz ci dziękujemy, Peio.

Chłopak wstał, szurając krzesłem, spojrzał niewidzącym wzrokiem na biurko Pancorba zavalone wilgotnymi chusteczkami i uśmiechnął się do nas swoimi malutkimi oczkami, zaczerwienionymi od płaczu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, zwłaszcza jeśli przyskrzynicie tego burżuja.

W milczeniu odprowadziłem go do wyjścia, zerkając na niego kątem oka. Chciałem sprawdzić, czy jego rozpacz jest szczerą, czy też odgrywa jeden z odcinków *CSI*. Ale nie dostrzegłem w nim nic, co kazałoby mi podejrzewać,

że byłby zdolny zamordować czwórkę rówieśników zwinniejszych i wyższych niż on i dopracować wszystkie szczegóły zbrodni jedynie po to, by zrzucić winę na zbyt wymagającego teścia.

Wróciłem na drugie piętro, przeciąłem korytarz i otworzyłem drzwi gabinetu mojej koleżanki.

– Wrażenia? – zapytałem.

– Powiedziałałabym, że mówi prawdę. Jest trochę szurnięty, ale...

– Trochę? – Uśmiechnąłem się, unosząc brew.

– Zgoda, jest królem szajbusów i nie pasuje do panny z dobrej rodziny, takiej jak Enara. Może to był właśnie jej pierwszy akt buntu. Ale ma rację, ten dom to beczka prochu.

– Najbardziej znaczący w jego zeznaniach jest brak emocjonalnej reakcji ze strony zaborczego ojca na wieść, że jego córka zniknęła na całą noc. –

Oparłem ręce na biurku. – To mi nie pasuje, to mi wcale a wcale nie pasuje. Normalnie powinien był pobiec na policję i zgłosić zaginięcie; nie zdziwiłbym się też, gdyby naciskał, żebyśmy przesłuchali chłopaka jego córki. Esti, możesz sprawdzić datę zgłoszenia zaginięcia Enary?

– Tak, już idę. Zaczekaj tu – powiedziała, po czym ruszyła schodami do archiwum.

Dwie minuty później była z powrotem. W jej oczach malowało się zdumienie.

– To cholernie dziwne, Unai. Zgłoszenie o zaginięciu Enary Fernández de Betoño jest ostatnim, jakie otrzymaliśmy. Pamiętasz, jak pierwszego ranka wszyscy rodzice z Vitorii powariowali i zostaliśmy zalani prawie trzystoma zgłoszeniami? Sprawdziłam je, żadne nie dotyczy Enary. Ojciec skontaktował się z nami w zeszły piątek, dwudziestego dziewiątego lipca. Prawie tydzień po tym, jak zniknęła jego rozważna córeczka.

Spojrzelśmy na siebie w milczeniu. To był nasz sposób na dodanie sobie sił, kiedy domyślaliśmy się, co nas czeka.

– Pojedziemy nieoznakowanym samochodem. Weź ze sobą broń, Esti. – Sprawdziłem numer domu ofiary. – Wygląda na to, że czeka nas ciekawa rozmowa z tatą optykiem.

SAN ANTONIO

Przekleństwo śledczego: mieć rozwiązanie pod nosem i go nie widzieć. Uważaj, #Kraken, morderca to pyszałek. Musiałś go już poznać.

1 sierpnia, poniedziałek

– Jak minął weekend, Esti? – zapytałem, kiedy jechaliśmy w stronę San Prudencio.

– W porządku – rzuciła rozkojarzona.

– Nadgoniliście z Ikerem przygotowania do ślubu?

– Tak, załatwiliśmy kwiaty i wiązanekę. Przez cały weekend sprzeczaaliśmy się, czy wybrać jednak pomarańczowe gerbery, czy zostać przy białych kaliach, które nie mieszczą się nam w budżecie. – Westchnęła, znużona tematem. – Jesteśmy na tym etapie.

– Jasne... Kwiaty i wiązanka – powtórzyłem.

Wysiedliśmy z samochodu, udało nam się zaparkować w bocznej uliczce niedaleko salonu optycznego. Znajdował się przy ulicy San Prudencio, ale do części mieszkalnej budynku wchodziło się od strony San Antonio.

Podeszliśmy do wejścia i zadzwoniliśmy pod numer figurujący w raporcie. Nikt nie odebrał. Próbowaliśmy kilkakrotnie, zanim daliśmy za wygraną. Albo optyk wyszedł z domu, albo tego ranka nie miał ochoty z nikim się widzieć, co swoją drogą było całkowicie zrozumiałe.

– Sprawdźmy w salonie, może będziemy mieli więcej szczęścia – zaproponowała Estíbaliz.

Weszliśmy do sklepu; mężczyzna ubrany w biały fartuch, z głową w kształcie żarówki i błyszczącą opaloną łysiną, pospieszył, by nas obsłużyć.

– Chcieliśmy porozmawiać z właścicielem. – Rozejrzałem się dookoła.

Ojca Enary nie było w salonie. Klientów obsługiwało jeszcze troje innych pracowników, ale żaden z nich nie był sześćdziesięcioletnim Antoniem

Fernandezem de Betoño.

– Jeżeli są państwo z prasy, polecono nam nie udzielać żadnych informacji. Proszę zrozumieć, to bardzo trudny dzień dla naszego szefa – powiedział, zniżając głos.

– Nie jesteśmy z prasy – odparłem. – Jesteśmy z policji. Mógłby nam pan powiedzieć, gdzie możemy go znaleźć?

– Z policji? – powtórzył, przełykając ślinę. – No tak, oczywiście. W takim razie chyba mogę państwu powiedzieć. Tak naprawdę przez cały rano krąży między naszym magazynem a swoim mieszkaniem, wnosząc kartony.

– Kartony? – przerwała Estíbaliz.

– Tak, duże puste kartony, w których dostawcy tacy jak Luxottica czy Safilo przywożą nam oprawki. Pełno ich w magazynie, brakuje już miejsca.

Niektórzy tak mieli: wystarczyło, że przedstawiliśmy się jako policjanci, a oni od razu zaczęli się denerwować i opowiadać nam o sprawach, o które nikt ich nie pytał. Czasami były one nieistotne – zwykły słowotok – niekiedy jednak okazywały się dla nas nieoczekiwanym prezentem w postaci pakietu informacji, których zebranie kosztowałoby nas wiele zachodu.

– Proszę zadzwonić z domofonu, mieszka na drugim piętrze. Niewykluczone, że dziś państwa nie wpuści albo nie odbierze, ale mogą też państwo dostać się na schody przez magazyn. Zapraszam, jeśli państwo sobie życzą. – Poprowadził nas usłużnie, obserwowany przez przerażone koleżanki.

Wymieniliśmy z Esti spojrzenia i w milczeniu poszliśmy za mężczyzną.

Znaleźliśmy się w ciemnym magazynie, wąskiej klitce obstawionej regałami z etui na okulary we wszelkich kolorach i kształtach. Nasz przewodnik wyjął z kieszeni fartucha pęk kluczy i otworzył białe aluminiowe drzwi, które rzeczywiście prowadziły na schody budynku.

– Jeżeli będą państwo jeszcze czegoś potrzebować, czegokolwiek... – Wręczył mi swoją wizytówkę.

– Wielkie dzięki, Luis. – Podałem mu dłoń. Ścisnął ją zbyt mocno, z udawaną pewnością siebie, jakiej uczą na kursach sprzedaży. – Możliwe, że się z tobą skontaktujemy w celu uzyskania dodatkowych informacji.

– Lizus – szepnęła Estíbaliz, kiedy Luis odwrócił się do nas plecami.

– Mając takich pracowników, nie potrzebujesz wrogów. – Puściłem do niej oko, po czym ruszyłem schodami w górę. – Czyli optyk jest w mieszkaniu, ale nikomu nie otwiera.

– Zostaw go mnie. Nabieram ochoty na poznanie tego typka.

– Tylko nie spiesz się za bardzo, dobra?

– Hm... – mruknęła w odpowiedzi.

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, Estíbaliz wcisnęła dzwonek i wyjęła odznakę.

– Wydział Kryminalny Policji, wiemy, że jest pan w środku. Chcemy zadać panu kilka rutynowych pytań – powiedziała podniesionym głosem, który miał szansę przebić się przez solidne drzwi z drewna orzechowego.

Przyłożyłem ucho, z mieszkania dobiegł odgłos jakichś uderzeń. Ku naszemu zaskoczeniu chwilę później stanął przed nami nieco otyły sześćdziesięciolatek z siwymi wąsami i zadziwiająco spokojnym wyrazem twarzy.

– Zapraszam, nie sądziłem, że tak szybko państwo przyjedziecie.

– Proszę wybaczyć, że zjawiamy się w takim momencie, pewnie panu przeszkadzamy. To zajmie tylko kilka minut – powiedziałem, wyciągając do niego rękę. – Inspektor Ayala, a to jest inspektor Gauna. Przede wszystkim niech pan przyjmie nasze kondolencje z powodu śmierci córki.

– Może porozmawiamy w moim gabinecie – odparł spokojnym tonem i skinął, byśmy poszli za nim bardzo długim przedpokojem ozdobionym dziewiętnastowiecznymi rysunkami przedstawiającymi przekroje anatomiczne oka.

Pokój był obwieszony dyplomami ukończenia studiów i kursów z dziedziny optometrii, kontaktologii i terapii widzenia; przypominał gabinet lekarski. Regały wypełniały starodawne narzędzia medyczne oraz koszmarna kolekcja słoików z gałkami ocznymi różnej wielkości zakonserwowanymi w formalinie.

– To mój zbiór oczu kręgowców – wyjaśnił z dumą, nie zważając na moją przerażoną minę. – A na tym regale trzymam robaki, owady, mięczaki... To najbardziej wyczerpująca kolekcja w Europie przedstawiająca ewolucję oka.

– Lubi pan chronologię? – zapytała Estíbaliz, przyglądając się oku kałamarnicy.

– Powiedzmy, że lubię porządek – odparł, po czym usiadł na krześle za biurkiem i wskazał dłonią, byśmy także zajęli miejsca.

– Ma pan też oczy pszczoł?

– Nie cierpię tych antofilów, zawsze mnie żądł.

– Słucham?

– Antofile, „kochające kwiaty” – wyjaśnił. – Tak brzmi naukowa nazwa

tych dokuczliwych owadów. Pszczoły to nazwa zwyczajowa.

– Dziękujemy za wyjaśnienie – odparła Estíbaliz, choć byłem pewien, że już to wcześniej wiedziała. – Słyszeliśmy też o pańskiej kolekcji narzędzi medycznych.

– Tak: skalpele, lancety, metalowe strzykawki... Mam okazy ocalałe z Pompejów, z okresu średniowiecza, pierwszej i drugiej wojny światowej, replikę reliefu ze świątyni Kom Ombo przedstawiającego egipskie instrumenty medyczne...

Otworzył prawą szufladę olbrzymiego orzechowego biurka i założył niebieskie rękawiczki chirurga. Wyjął mały skalpel z rączką z masy perłowej i pokazał go nam, jakby to była uncja złota.

– Na niektórych narzędziach zachowały się jeszcze ślady krwi, które znacznie zwiększają wartość tych przedmiotów na rynku antyków. Uwierzą państwo? Krew człowieka, który żył w dziewiętnastym wieku. Fascynują mnie takie detale.

Estíbaliz rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Znałem ją: miała dość mrocznej przemowy optyka.

– Porozmawiajmy o pańskiej córce – przerwała.

– Tak – odparł neutralnym tonem. – Właśnie się tym zajmowałem.

– Zajmował się pan?

– Porządkami. Przejdźmy może do jej pokoju. Bo to właśnie robi policja, ogląda sypialnię ofiary, prawda?

W milczeniu poszliśmy za nim długim przedpokojem. Antonio nie zdjął niebieskich lateksowych rękawiczek, widocznie przywykł do noszenia ich przez dłuższy czas. Zauważyłem uchylone drzwi do łazienki. Ojciec Enary zatrzymał się przed dwiema identycznymi parami drzwi. Estíbaliz chciała otworzyć jedno z nich, ale powstrzymała ją dłoń w rękawicze.

– Nie, tu nie! – Podniósł głos. Zdenerwował się pierwszy raz, odkąd weszliśmy do jego mieszkania. – Pokój mojej córki był tutaj.

Jak szybko przyzwyczał się do słowa „był”, odnotowałem w myślach. Zazwyczaj rodzice potrzebują wielu dni, by zacząć się poprawiać i mówić o swoich zmarłych dzieciach w czasie przeszłym.

Otworzył drzwi. Naszym oczom ukazała się rama łóżka, ogołocoony z pościeli materac, puste ścienne półki i otwarte na oścież drzwi szaf, w których wisiały tylko wieszaki. Rozdzierający widok. Nie wiem dlaczego, ale po karku przebiegł mi dreszcz, jakby za moimi plecami wyrosła nagle

kostucha, która przyszła się upewnić, że do końca wykonała swoje zadanie.

– A jej przedmioty osobiste? – zdołałem wykrztusić, siląc się na profesjonalny ton.

– Już nie są jej potrzebne. To oczywiste. – Wzruszył ramionami. – Myślę, że przemebluję ten pokój, pousuwam półki i zamówię witryny, żeby przenieść tu swoją kolekcję oczu.

– No dobrze – odpowiedziała Estíbaliz, zaciskając szczęki. – Przejdźmy do pytań. Wie pan, czy pańska córka знаła niejakiego Alejandra Pereza de Arriluceę? Tak nazywał się chłopak, którego zwłoki znaleziono obok ciała Enary. – Zanim wyruszyliśmy do salonu optycznego, Esti przeczytała od deski do deski krótki raport podkomisarz Salvatierry.

– Nie mam pojęcia. Mają państwo dzieci?

Oboje pokręciliśmy głowami, chociaż moje „nie” było niepełne.

– Lepiej ich nie miejcie – stwierdził stanowczo.

– Zgodzi się pan z nami, że to dość radykalne stwierdzenie – rzuciłem, starając się zabrzmieć neutralnie.

– To tylko życzliwa rada. – Zdjął rękawiczki i schował je do tylnej kieszeni swoich zaprasowanych w kant spodni. – Widzą państwo, jeżeli któregoś dnia będziecie mieli dzieci, państwa punkt ciężkości ulegnie przemieszczeniu, państwa priorytety zostaną wywrócone na drugą stronę jak skarpetka. Latami będziecie dawać z siebie wszystko, potem dziecko dorośnie, spojrzycie sobie w oczy i odkryjecie, że jesteście parą nieznanomych, że tak naprawdę nie macie pojęcia, co dzieje się w głowie tej drugiej osoby, że nawet nie podejrzewacie, jaką krzywdę możecie sobie nawzajem wyrządzić. Nie potrzeba lancetów, wystarczy kilka słów, by zniweczyć dwadzieścia lat zaufania.

– Mówi pan o decyzji córki, by stanąć po stronie matki i jej nowego partnera? Ma pan do niej taki żal dlatego, że podała w wątpliwość pańskie ojcostwo? – wtrąciłem.

– Po co pan pyta, skoro, jak widzę, został pan już o wszystkim poinformowany?

– Chcielibyśmy poznać pańską wersję – powiedziałem pojednawczo.

– Nie mam żadnej wersji. Mam tylko pusty pokój, który chętnie zacznę od razu urządzać, jeżeli będą państwo tak mili i zostawią mnie samego.

– Proszę zrozumieć, wykonujemy naszą pracę. Nie zależy panu na złapaniu tego, kto zrobił to pańskiej córce?

– Szczerze mówiąc, w tej chwili ustalam od nowa swoje priorytety. Nalegam: niech państwo już sobie idą. Przede mną bardzo ciężki dzień, a dopiero się zaczął. Jako głowa rodziny muszę się zająć formalnościami, jakie pociąga za sobą śmierć córki.

– Oczywiście, już wychodzimy. Mógłbym jeszcze skoczyć do toalety? – zapytałem.

– Nie ma pan innego miejsca, gdzie...?

– To zajmie tylko chwilę – przerwałem. – Drzwi naprzeciwko, prawda?

Wyszedłem z pozbawionego życia pokoju, zanim zdążył wykopać mnie z mieszkania.

Zamknąłem drzwi na zasuwkę i przebiegłem wzrokiem podłogę. Kiedy szliśmy przedpokojem, wydało mi się, że widzę coś w rzucanym przez wannę cieniu.

Pochyliłem się, wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki własną lateksową rękawiczkę i podniosłem rolkę plastikowej taśmy izolacyjnej.

– Co z tobą zrobimy? – powiedziałem do siebie, oglądając ewentualny dowód.

Mogłem ją zabrać i powiedzieć o tym optykowi, ale miałem wrażenie, że choć nie wydaje się chętny do rozmowy o córce, jeszcze uda nam się z niego wyciągnąć jakieś informacje; dlatego wolałem go nie alarmować. Mogłem ją też zabrać, o niczym mu nie mówiąc. Podejrzywałem jednak, że używał do czegoś taśmy, a kiedy zadzwoniliśmy do drzwi, szybko wrzucił ją do łazienki; wróci po nią, gdy tylko się nas pozbędzie. A ja chciałem, żeby robił dalej to, co zaczął, i doprowadził to do końca.

Wreszcie oderwałem ostrożnie pięciocentymetrowy kawałek, włożyłem go do małej torebki dowodowej, spuściłem wodę, odkręciłem i zakręciłem kran, po czym pospiesznie opuściłem łazienkę.

Optyk i Esti czekali na mnie z poważnymi minami w otwartych drzwiach mieszkania.

– Dziękujemy panu za wszystko, Antonio. Jeżeli będzie chciał nam pan o czymś jeszcze powiedzieć, wie pan, gdzie nas szukać – oznajmiłem, kolejny raz podając mu dłoń.

– Wiem, wiem. A teraz, jeśli mi państwo wybaczą... – Poglądził swoje bujne siwe wąsy; odczytałem ten gest jako nieudolnie hamowane zniecierpliwienie.

W milczeniu wsiedliśmy do windy. Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

– To on – szepnęła z przekonaniem Estíbaliz.

– Jeszcze tego nie wiemy.

– To nie jest normalna reakcja – upierała się, krzyżując ręce na piersi.

– A właśnie że tak: jest na etapie zaprzeczenia. To pierwsza faza żałoby, choć może wydawać się dziwna. Widziałas to tysiące razy na szkoleniach, jest masa materiałów opisujących przypadki podobne do tego, czego świadkami byliśmy tam na górze.

– Ale nie aż tak skrajne. To nie jest normalne, Kraken. Usunął wszelkie ślady po córce zaledwie kilka godzin po tym, jak dowiedział się, że nie żyje. Kto robi takie rzeczy?

– Ojciec przyzwyczajony do sprawowania pełnej kontroli, którego żona odeszła kilka tygodni temu do dawnego chłopaka od Marianistów i którego córka najpierw zażądała testu na ustalenie ojcostwa, a potem została znaleziona naga i martwa w Starej Katedrze?

– Nie rozumiem cię – mruknęła Estíbaliz, rozpuszczając włosy i ponownie związuje je w kucyk. – Nie wydaje ci się podejrzany? Jest zorganizowanym, drobiazgowym maniakiem, fascynuje go mroczna strona śmierci, umie się posługiwać narzędziami chirurgicznymi... Pasuje do profilu psychopaty, który od początku kreślisz. I ma motyw, Unai. Ma motyw: zabił córkę z czystej nienawiści albo dlatego, że nie mógł nadal kontrolować swojej rodziny, albo żeby skrzywdzić swoją byłą żonę. Już wcześniej się z tym stykaliśmy: w taki sposób działają mordercy, w taki sposób rozumują. Cała ta inscenizacja rytualnych zabójstw służy odwróceniu uwagi, zrobieniu z córki jednej z ofiar podwójnych zbrodni ze Starej Katedry i Domu pod Sznurem.

Moje myśli koncentrowały się tymczasem na innych, bardziej naglących kwestiach. Wszystkie te argumenty... Nie dało się ich potwierdzić bez solidnych dowodów.

– Zaczekamy w samochodzie, będziemy pilnować wyjścia. Podobno przez cały ranek wnosił kartony, a przecież nie widzieliśmy ich nigdzie w mieszkaniu, musiał je gdzieś ukryć. Założę się, że schował je w samochodzie, który trzyma w garażu. Zadzwoni na komendę i spis wszystkie pojazdy zarejestrowane na jego nazwisko.

– Myślisz, że wywiezie kartony teraz? – zapytała Esti, kiedy wychodziliśmy na ulicę San Antonio.

– Później będzie się musiał zająć pogrzebem, przyjdą krewni. Myślę, że tylko teraz ma trochę czasu, żeby się wszystkiego pozbyć.

Chwilę później, kiedy z wnętrza samochodu obserwowaliśmy bramę

garażu, Estíbaliz otrzymała numery tablic rejestracyjnych aut należących do optyka: srebrzystego audi A4 i białego vana mercedes vito.

Po dwóch godzinach czekania w milczeniu Estíbaliz dała za wygraną.

– Wsiadam, Unai. Wsiadam, bo jest już pierwsza, a ja od rana nic nie jadłam. Wpadnę na *pintxos* do *perretxiCo*. Przynieść ci kanapkę albo coś innego na ząb? Zresztą czeka nas dziś dużo roboty. Jeżeli zaraz nie wyjdzie, wątpię, żeby zro...

– Ciii... – Wskazałem jej palcem. – Ruszaj.

Z garażu wyjechał wreszcie biały van z przyciemnionymi tylnymi szybami i tablicą rejestracyjną z numerem, który nam przekazano. Estíbaliz zaczekała, aż oddali się o kilka metrów, po czym ruszyła za nim, zachowując rozsądną odległość.

Samochód skierował się w stronę południowego wyjazdu z Vitorii, jechaliśmy za nim już prawie kilometr. Estíbaliz prowadziła w skupieniu, ja miałem parę spraw do przemyślenia.

– Słuchaj, Esti, ja i ty nadal się kryjemy? – wypaliłem niespodziewanie.

– Dlaczego pytasz mnie o to w tym momencie?

– To nic, że nie powiedziałaś mi prawdy o tym, co robiłaś w ostatni weekend. Ja też ci wszystkiego nie opowiadam, ale... czy mówisz mi o wszystkim, co ma związek z tą sprawą?

– Nie łąpię, Kraken. Lepiej wal prosto z mostu, okej? Aluzje nie są moją mocną stroną, twoją też nie.

– Świetnie, nie będę musiał kluczyć. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twojego brata nazywają Eguzkilore?

Zadając to pytanie, przyglądałem się jej twarzy, ale była dobrą pokerzystką.

– Darujmy sobie scenę, w której ja wściekam się na ciebie, bo nie ufasz mojej rodzinie, a ty mi tłumaczysz, że to nie może być przypadek i że mój brat jest podejrzany.

– Nie, nie chcę, żebyśmy to sobie darowali, chcę, żebyśmy o tym porozmawiali, żebyś to zakwestionowała.

– Zakwestionowała co, Unai? – Podniosła głos.

– To, że twój brat ma głowę nabitą pogańskimi praktykami, że prowadzi sklep zielarski i prawdopodobnie potrafi przyrządzić truciznę z cisu, że od najmłodszych lat fascynują go seryjni mordercy, jak Sacamantecas, że wychowywał się pośród uli i potrafi się obchodzić z pszczołami...

– Jak mam to zakwestionować? To prawda, tak jak prawdą jest to, że był karany za posiadanie narkotyków. Do tego właśnie zmierzasz?

– I za handel, Esti. Był też karany za handel narkotykami.

– No dobrze, za handel też. Ale już z tym skończył. Tylko dlatego jest bardziej podejrzany niż każdy inny mieszkaniec Vitorii?

– Statystycznie tak, ale akurat w tej sprawie nie to czyni go podejrzany. Nie możesz ignorować tyłu wskazówek. Nie wspominając o rohypnolu. Nie miałyby łatwego dostępu do tego narkotyku, nie znałyby skutków jego działania?

– Unai, przyznaję, że Eneko jest bardzo specyficzny, ale naprawdę myślisz, że rozmawiasz z siostrą seryjnego mordercy?

– Zróbmy tak: na razie nie powiem o niczym podkomisarz. Ale za to porozmawiam z twoim bratem. Ja, nie ty. Nie pójdziesz tam ze mną, nie uprzedzisz go, to by oznaczało utrudnianie śledztwa i groziłoby odsunięciem cię od sprawy.

– Pod warunkiem, że byś na mnie doniósł. Jak zaczęła się ta rozmowa...? Ach tak: pytałeś, czy nadal się kryjemy.

– Bo ja cię kryję, Esti. Uwierz mi, że cię kryję. Wiem, że przechodzisz teraz trudne chwile z powodu choroby ojca, Ziel... Eneko nie należy do moich ulubieńców, ale rozumiem, że on też to przeżywa. Mimo to muszę go sprawdzić, ty postąpiłabyś tak samo, gdyby to Germán był podejrzany. Chcę go tylko wykluczyć i zapomnieć o całej sprawie, jasne?

– Nie widzisz, że ten facet jest tysiąc razy bardziej podejrzany? – Wskazała brodą białego vana jadącego jakieś sto metrów przed nami.

Zaczął zwalniać, Estíbaliz zrobiła to samo.

– Zaraz się o tym przekonamy. Bardzo bym chciał, żeby to był on, żeby nie było kolejnych zabójstw. Ale widzę jedynie ojca w fazie zaprzeczenia. Może i dawał się we znaki rodzinie, ale nie byłby raczej zdolny zamordować dla zmyłki trojga młodych ludzi i w ciągu kilku tygodni zaplanować doskonałej imitacji zbrodni Tasia tylko po to, żebyśmy nie odkryli, że jego jedynym celem było zabicie córki.

– Tak czy inaczej, myślę, że zaraz rozwieją się nasze wątpliwości – powiedziała Estíbaliz.

Van zjechał z szosy na Peñacerradę i okrążył wysypisko w Gardelegi, gdzie trafiały odpady produkowane przez mieszkańców Vitorii. Kilka padlinożernych ptaków zataczało koła nad górami śmieci, podczas gdy

miejskie ciężarówki rozjeżdżały brudne wnętrzości miasta.

– Co on robi? – szepnęła Estíbaliz, również zjeżdżając w boczną drogę.

– Wygląda na to, że chce dotrzeć do najstarszej części wysypiska, tej, która jest już nieużywana.

Kilkaset metrów przed nami van wreszcie się zatrzymał. My także stanęliśmy, częściowo ukryci za zakrętem.

Antonio Fernández de Betoño wysiadł z furgonetki, otworzył tylne drzwi i zaczął wyładowywać duże kwadratowe pudła z brązowej tektury. Podniósł jedno z nich i pchnął plecami małą furtkę w płocie. Ku naszemu zaskoczeniu ustąpiła.

Wyjąłem ze schowka niewielką lornetkę marki Konus i przez nią śledziłem kolejne kroki optyka.

– Co on robi? – dopytywała się zniecierpliwiona Estíbaliz. – Nic stąd nie widzę.

– Na razie otwiera pudło, które przyniósł, i wyrzuca na gruzowisko jego zawartość: ubrania, buty na obcasie...

– Pozbywa się dowodów, Kraken. Musimy go natychmiast zatrzymać! – ponagliła mnie, otwierając drzwi samochodu.

– Nie, zaczekaj! – powstrzymałem ją.

Na kartonach widniały logo producentów z branży optycznej, to właśnie je miał na myśli pracownik salonu, kiedy mówił, że jego szef przez cały ranek wnosi na górę pudła z magazynu. Nasz podejrzanym wrócił do vana i zaczął wyładowywać inne, czarne kartony. Były mniejsze, nie mogły raczej dużo pomieścić. Chciałem zobaczyć, co jest w środku.

– Unai, jeżeli ty go nie zatrzymasz, ja to zrobię – naciskała Estíbaliz. – Daję ci dwie minuty.

– Nie zgadzam się, pani inspektor. Mądrzej będzie zaczekać i zobaczyć, czego próbuje się pozbyć, nie możemy zatrzymać człowieka tylko dlatego, że wyrzuca śmieci.

– Inspektorze Ayala! – szepnęła z wściekłością. – Minuta i czterdzieści sekund.

Skupiłem się na mniejszych pudełkach, które optyk w skupieniu wyciągał z samochodu. Wyraźnie mu się spieszyło.

– To nie są pudełka! – zawołałem. – To biurowe segregatory. Znowu wszedł na teren wysypiska, wraca do hałdy gruzu.

– Świetnie, w takim razie chodźmy to sprawdzić.

– Zaczekaj! Boże! Wyrzuca...

– Co?

– To chyba wycinki ze starych gazet.

Estíbaliz włączyła silnik i ruszyła w stronę miejsca, w którym zaparkował ojciec Enary. Teraz było nas widać.

Optyk aż podskoczył, kiedy zobaczył na drodze nasze auto, ruszył biegiem do vana, ale Estíbaliz zahamowała i wyskoczyła z samochodu.

– Stać, policja! – krzyknęła.

Wyjęła hk, swoją służbową półautomatyczną spluwę kaliber 9 mm, i wycelowała mu w głowę. Znałem dobrze Esti, wiedziałem, że na razie nie zamierza do niego strzelać, ale optyk słusznie postąpił, podnosząc ręce. Jeżeli nic jej nie rozpraszało, na cokuwartalnych ćwiczeniach na strzelnicy była nie do pokonania. Miała świetne oko, nigdy nie pudłowała.

Antonio Fernández de Betoño stał w miejscu spocony, drżały mu nawet wąsy.

– Nie strzelajcie! To tylko wykroczenie przeciwko środowisku, nie sądzę, żebym zasługiwał za nie na kulę.

– Lepiej niech się pan nie rusza, o wszystkim zadecyduje sędzia – powiedziała Estíbaliz, nie przestając do niego mierzyć.

Wbiegłem na teren wysypiska, założyłem rękawiczkę i podniosłem z ziemi gazetowe wycinki w kolorze sepii, które optyk zgubił w trakcie ucieczki.

Były w nich wiadomości dotyczące podwójnych morderstw w dolmenie, osadzie La Hoya, Słonej Dolinie... Cała dokumentacja dawnych zbrodni, a także najświeższe informacje o przepustce Tasia Ortiza de Zárate.

Podszedłem do optyka i pokazałem mu papiery. Przytaknął i spuścił głowę, pokonany.

– Antonio Fernandezie de Betoño, jesteśmy zmuszeni skonfiskować panu wszystkie te materiały, a także poprosić, by towarzyszył nam pan na komendę. Zostaje pan zatrzymany w związku z zabójstwem pańskiej córki i Alejandra Pereza de Arrilucei.

ZIELONY PIERŚCIEŃ

Stoisz już na pierwszym progu, przed wejściem do niezwykłego świata albo innymi słowy: do mózgu zabójcy rządzącego się swoimi zasadami, #Kraken

1 sierpnia, poniedziałek

Podjezany czekał zakuty w kajdanki w pokoju przesłuchań Komendy Głównej w dzielnicy Lakua. Estíbaliz przyglądała mu się uważnie przez szybę w korytarzu, marszcząc czoło. Antonio Fernández de Betoño sprawiał wrażenie oszołomionego, ale nadal otaczała go ta dziwna aura spokoju, która tak bardzo irytowała moją koleżankę.

Z zaciekawieniem oglądał kajdanki, jakby były jednym z jego dziewiętnastowiecznych narzędzi lekarskich. Jakby miał zaraz rozpracować zamek i beztrąsko opuścić pomieszczenie. Z tym swoim doprowadzającym nas do szału spokojem.

– Zostaw mnie z nim samego, Esti.

– Nie, jest mój. Ty nie jesteś przekonany, że to on, będziesz miękki.

– Rozmawiasz ze mną, Estíbaliz. Ze mną. Jeżeli ten gość jest winny, zapewniam cię, że zmuszę go, żeby zaczął śpiewać, natomiast ty nie dasz mu żadnych szans. Wbiłaś sobie do głowy, że to on, przyznaj.

Estíbaliz machnęła ręką i utkwiała we mnie spojrzenie swoich brązowych oczu. Jej wzrok mógłby zranić.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że zasadzasz się na mojego brata, jeżeli to miałeś na myśli.

Pokręciłem głową i oparłem czoło o szybę, nie spuszczać wzroku z optyka.

– To, co myślimy ty czy ja, nie zmieni prawdy o tym, kto to zrobił. A teraz... pozwól mi wejść samemu do pokoju przesłuchań. Przy tobie zamknie się na cztery spusty, od początku odnosiłaś się do niego zbyt wrogo.

Ma profil apatyka, nie będzie łatwo...

Nie będzie łatwo.

Estíbaliz bez słowa skinęła głową. Wszedłem do pomieszczenia.

– Jesteśmy tu po to, żeby wyjaśnił mi pan kilka drobiazgów, tak więc od razu przejdę do rzeczy – oznajmiłem, siadając naprzeciwko niego. – Nie do końca rozumiem, dlaczego próbował pan przed chwilą popełnić taką głupotę. Jeżeli chciał się pan pozbyć papierów, wystarczyło je spalić.

– Taki miałem zamiar – powiedział, patrząc mi w oczy. To mnie zdziwiło, winni popełnienia morderstwa nigdy nie patrzą w oczy, chyba że są prowokatorami, a optyk do takich nie należał. – Pierwszym przystankiem było Gardelegi, chciałem wyrzucić ubrania, złe wspomnienia po córce. Dla mnie to śmieci. Potem planowałem pojechać dalej, w stronę Treviño, jest tam takie miejsce, gdzie można grillować i rozpalać ogniska. W poniedziałek rano powinno być puste, ale ponieważ jest sierpień, nie miałem pewności, czy jakieś grupy nie rozbiły tam namiotów, i szczerze mówiąc... byłem tym wszystkim zmęczony, nie chciałem też, żeby krewni i pracownicy musieli na mnie długo czekać. Dlatego próbowałem pozbyć się wszystkich wycinków, wiedziałem, że jeżeli znajdziecie je podczas przeszukania domu, trudno będzie mi wyjaśnić, skąd wzięły się u ojca jednej z ofiar.

– Proszę spróbować.

Odwrócił zakute w kajdanki dłonie i przyjrzał się uważnie swoim paznokciom, jakby liczył na to, że doszuka się w nich czegoś szczególnego. Potem ciężko westchnął. Przygotowywał odpowiedź: albo była kłamstwem, albo miała związek ze zbyt odległą przeszłością i przypomnienie sobie szczegółów wymagało wysiłku.

– Miałem obsesję na punkcie tamtej sprawy sprzed dwudziestu lat – przerwał w końcu milczenie. – Jednym z noworodków zamordowanych w dolmenie Chatka Czarownicy był synek mojego kolegi. Zniknął z oddziału neonatologii kliniki Vitoria. Dla wszystkich było to traumatyczne przeżycie. Niedługo potem przyszła na świat moja córka. Mieliśmy takie samo ubezpieczenie i tego samego lekarza, urodziła się w tej samej klinice. Byłem przerażony, że nam ją porwą, że morderca zrobi z nią to samo. Wszyscy, którzy mieli wtedy dzieci, byli przerażeni. Czytałem na bieżąco gazety, zresztą jak całe miasto. Nie wiem, dlaczego zachowałem wycinki, pewnie jestem trochę jak Diogenes, trudno mi się pozbyć rzeczy, które zbieram.

– Będzie pan musiał podać mi nazwisko tego przyjaciela, żebym mógł potwierdzić pańską opowieść.

– W każdej chwili. Nie lubi o tym rozmawiać, wie pan, jacy jesteśmy my, mężczyźni. Rozstał się z żoną, nie poradzili sobie z tym.

– Założmy, że panu wierzę. – Zmusiłem się, żeby kontynuować przesłuchanie. – Potrzebne mi jeszcze tylko dobre alibi. Co robił pan dwudziestego czwartego lipca? Chłopak pańskiej córki mówił, że ostatni raz rozmawiał z nią wczesnym popołudniem, około pierwszej.

– Byłem ze swoją grupą *blusas*, weteranów. Przygotowaliśmy sobie razem obiad, zjedliśmy, trochę wypiliśmy, zagraliśmy w karty, a około dwudziestej wyszliśmy na miasto.

– Może mi pan spisać listę wszystkich osób, które były wtedy z panem? Od nich zależy, czy zostanie pan w areszcie, czy wypuścimy pana do domu.

– Proszę dać mi długopis, załatwmy to jak najszybciej. Jutro jest pogrzeb mojej córki. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że mnie tu przywieźliście. Zna pan to miasto.

Obserwowałem go, starając się przeniknąć do jego umysłu na podstawie nielicznych informacji, jakich dostarczyła mi jego mowa ciała. Nie udawał, chyba nawet się nie bał, że możemy go oficjalnie aresztować; przebywał w innym świecie, miał inne zmartwienia. To, że policja uważa go za mordercę, było dla niego nieistotne, podchodził do tego z niepokojącą beztrąską.

W tym momencie do pomieszczenia weszła Estíbaliz. Rzuciła mi ponaglące spojrzenie, które dobrze znałem. Formalnym tonem przeprosiłem na chwilę optyka i wyszedłem z pokoju przesłuchań.

– Komisarz jest wściekły. Chce nas widzieć – szepnęła mi na ucho, jakby podejrzany mógł nas usłyszeć.

– Teraz, w środku przesłuchania? – zdziwiłem się.

– Teraz!

Weszliśmy na trzecie piętro, do gabinetu z najpiękniejszym widokiem. Czekali tam na nas komisarz Medina i podkomisarz Salvatierra, oboje śmiertelnie poważni. Nie rozumiałem, skąd te groźne miny.

– Można wiedzieć, po jakiego diabła przesłuchują państwo Antonia Fernandez de Betoño? – zapytał komisarz prosto z mostu.

– Wykonujemy naszą pracę. Chłopak ofiary zjawił się dziś rano na komendzie, twierdzi, że sprawcą zabójstw jest jej ojciec. Złożyliśmy mu z inspektor Gauną wizytę i wysłuchaliśmy jego wersji wydarzeń. Ponieważ zachowywał się podejrzanie, pojechaliśmy za nim do wysypiska śmieci

w Gardelegi, gdzie pozbył się przedmiotów osobistych córki, a także mnóstwa wycinków dotyczących podwójnych zbrodni sprzed dwudziestu lat.

– I to go czyni winnym? Na Boga! – fuknął Medina, rozpinając guzik marynarki i rozluźniając krawat.

– Po prostu chcieliśmy sprawdzić jego alibi: twierdzi, że od południa był ze swoją grupą *blusas*. Kiedy tylko poda mi nazwiska...

– Oczywiście, że był z naszą grupą *blusas*, inspektorze Ayala! Oczywiście, że był! To jeden z moich najlepszych przyjaciół, trzymaliśmy się razem, odkąd wszedł do kuchni i założyliśmy fartuchy, żeby upiec labraksa. Niech go państwo wypuszczą, z łaski swojej, byle dyskretnie! Ten człowiek nie zasługuje na takie nieprzyjemności; zaledwie kilka godzin temu poinformowaliśmy go o śmierci Enary... Znaczą się, jego córki. Cieszę się, że przejawiają państwo inicjatywę, ale proszę nie popełniać więcej takich błędów w ocenie i skupić się na podejrzanych, którzy rzeczywiście pasują do profilu mordercy. I niech państwo nie nachodzą bliskich ofiar! Nie możemy sobie pozwolić na pomyłki, jesteśmy pod lupą zagranicznej prasy, każdy nasz błąd trafi na pierwsze strony gazet w krajach połowy świata. Nasze biuro prasowe wojuje już z „Le Monde”, z „Washington Post”, a nawet z australijskim „Sunday Telegraph”. Chcę postępów, nie pomyłek jak ta dzisiejsza. Mogą państwo odejść.

Wszyscy troje w milczeniu opuściliśmy gabinet. Estíbaliz spojrzała na mnie przygnębiona.

– Poinformuję optyka, że może wracać do domu.

Przytaknąłem spojrzeniem.

– Inspektorze Ayala, niech pan pozwoli na chwilę do mojego gabinetu – poleciła podkomisarz Salvatierra.

Bez słowa ruszyłem za nią korytarzem. Miałem wrażenie, że wszyscy rzucają nam ukradkowe spojrzenia: policjanci, inni inspektorzy... Czułem się jak złota rybka w akwarium. Niezwykła, fascynująca atrakcja.

– Proszę zamknąć drzwi.

– Z przyjemnością, pani podkomisarz – powiedziałem i pozbawiłem widowiska kolegów, którzy mijając gabinet, dyskretnie zaglądali do środka.

– Nie muszę panu mówić, że coś takiego nie może się powtórzyć. Nie mogą mi tu państwo sprowadzać podejrzanych, nie mając ku temu istotnych powodów – powtórzyła słowa komisarza, siadając za biurkiem. – Bardziej istotnych powodów – uściśliła.

Tego dnia rozpuściła swoje czarne włosy. Było jej ładnie w tej fryzurze, ujmowała jej lat, podobała mi się w niej znacznie bardziej, niż powinna. Przez chwilę ten drobiazg pochłaniał całą moją uwagę.

– W pełni się z panią zgadzam – przytaknąłem, próbując zebrać myśli.

– Przyznaje mi pan rację, jakbym była jakąś idiotką? – zapytała, pewnie zaskoczona moją niespodziewaną uległością.

– Skądże. Po prostu ani przez chwilę nie myślałem, że te zbrodnie były przypadkowe, dlatego optyk nie pasował mi do profilu mordercy. Powtarzam: kluczem są bliźniacy. Musimy zapomnieć o wszystkim, co nas rozprasza, i skupić się na nich.

– O tym właśnie chciałam z panem porozmawiać. Zadzwoniłam osobiście do kierowniczkę zakładu karnego, stanowczo zaprzeczyła, jakoby więzień miał jakiegokolwiek przywileje, na przykład dostęp do internetu. Zresztą podobnie jak reszta osadzonych. Kiedy powiedziałam, że kontaktuje się z kimś z zewnątrz, kto pisze tweety w jego imieniu, odparła, że będzie mogła ograniczyć mu widzenia, tylko jeśli sędzia wyda odpowiedni nakaz. Zrobienie tego bez nakazu byłoby nielegalne, naruszałoby prawa przysługujące mu w więzieniu.

– Jakie wywarła na pani wrażenie?

– Była bardzo grzeczna, ale wydaje mi się, że z jakiegoś powodu go chroni. Tak czy inaczej, niczego nie osiągniemy, idąc dalej tą drogą. Próbujemy więc innych sposobów. Kilka dni temu za pośrednictwem Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością poprosiliśmy o zamknięcie profilu scripttipsfromjail. Obsługa Twittera przychyliła się do naszego wniosku, prosząc o nakaz sądowy wymagany w takich przypadkach, ale uprzedzono nas, że cała procedura może potrwać kilka tygodni.

– Traci pani czas – stwierdziłem. – Nawet jeśli zamkną profil, to nic nie da.

– Dlaczego pan tak uważa, inspektorze?

Boże, jak bardzo mnie podniecało, kiedy mówiła do mnie „inspektorze”.

– Bo Tasio, a raczej jego współnik, używa hasztagu Kraken, który rozprzestrzenił się w mediach społecznościowych. Korzysta z niego każdy, kto chce opublikować komentarz w związku z podwójnymi zbrodniami. Nie sposób tego zatrzymać. Nie można zażądać od Twittera, żeby wykasował wszystkie wpisy z tym hasztagiem. Jeżeli zamkniemy konto Tasia, założymy nowe i użyjemy hasztagu Kraken, żeby przyciągnąć obserwujących. W kilku tweetach przekona ich, że to nadal on. Moglibyśmy zamknąć drugie konto, trzecie, ale jak słusznie pani zauważyła, procedura ciągnie się tygodniami.

Zawsze będzie krok przed nami. Jak powiedziałby mój dziadek: nie można zbudować tamy na morzu ani wstawić drzwi na polu. Proszę mi wierzyć, jestem ostatnią osobą, która chce, żeby słowo Kraken wyświetlało się na ekranach wszystkich komórek w Vitorii i w całej Hiszpanii, ale od początku rozumiałem jego grę. Nie zdołamy pokonać go na polu portali społecznościowych. A co z IP komputera, z którego wysłał mi e-mail?

– Tu też mam złe wiadomości. Informatycy nadal nad tym pracują, ale twierdzą, że nie da się go zlokalizować.

Nie da się go zlokalizować. No cóż, skoro nie ma innego wyjścia, będę musiał poprosić o pomoc ją.

– Wnioskuje z tego, że Tasio korzysta z usług niezłego hakera.

– Tak, dobrze pan wnioskuje. Szczerze mówiąc, świetnie pan wnioskuje. – Przypatrywała mi się uważnie swoimi ciemnymi oczami.

Chciała mi przekazać coś jeszcze? Była Albą czy też to Blanca walczyła o swoje miejsce w tym zamkniętym gabinecie?

Zmusiłem się, żeby spojrzeć na jej obrączkę: nie pasowała do jej dłoni. Przynajmniej nie ta obrączka.

– Musi mi pani pozwolić jeszcze raz porozmawiać z Tasiem Ortizem de Zárate. Mam wrażenie, że chętnie podzieli się ze mną szczegółami dotyczącymi sprawy. Nie powinniśmy lekceważyć tej linii śledztwa.

– Wie pan, czego się boję: że spróbuje pana zmanipulować.

– Nie dojdzie do tego, ale na wszelki wypadek będę sporządzał szczegółowe raporty z każdej wizyty. Inspektor Ruiz de Gauna dobrze mnie zna, chcę, żeby obie panie mnie monitorowały. Jeżeli cokolwiek w moim zachowaniu każe paniom sądzić, że więzień przeciąga mnie na swoją stronę albo że zaczynają występować u mnie objawy syndromu sztokholmskiego, proszę po prostu zakazać mi dalszych kontaktów z Tasiem. Obiecuję, że się podporządkuję.

Nigdy nie obnażyłem się aż tak przed przełożonym. Z jakiegoś powodu wierzyłem, że ma mocne plecy, które uniosą ciężar nas obojga.

Alba przybrała bardzo poważną minę, ścisnęła palce tak mocno, że aż strzyknęły. Podejmowała decyzję.

– Zgoda, niech się pan skontaktuje z zakładem karnym i poprosi o widzenie jeszcze dzisiaj. Zobaczymy, czy przyniesie mi pan coś, co pomoże nam ruszyć naprzód.

– Czuję, że już dziś będę coś dla pani miał. – Spojrzałem na zegarek. –

Proszę wybaczyć, ale za chwilę mam spotkanie z osobą, która przed dwudziestu laty należała do bliskiego otoczenia bliźniaków. Co prawda Ignacio sam podał mi jej nazwisko, więc nie robię sobie większych nadziei. Chcę się po prostu dowiedzieć, jacy byli kiedyś. Bo jacy są teraz... – westchnąłem – chyba zaczynam się domyślać.

– Jacy są teraz, Ayala? Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Teraz są dwoma silnymi mężczyznami pogńiewanymi na los, jaki spotkał ich przed dwudziestoma laty, którzy na swój sposób przeżyli tsunami, niezwykle inteligentnymi i sprytnymi. Pamięta pani cytat ze *Skazy*, filmu z Jeremym Ironsem?

– „Ludzie ze skazą są niebezpieczni, bo wiedzą, że potrafią przetrwać” – wyrecytowaliśmy równocześnie.

– No proszę, nie sądziłem, że... – mruknąłem, drapiąc się po karku.

– Że będę go znała? Nigdy nie trafił się panu podkomisarz kinoman?

– Przyznaję, że nie miałem tej przyjemności. – Zmusiłem się do wstania, by czar prysnął. – Powinienem już iść.

W środku było gorąco, za gorąco.

– Oczywiście. Do widzenia, inspektorze.

Kiedy pół godziny później zjawiłem się na umówionym spotkaniu, ze zdziwieniem odkryłem, że czekająca na mnie kobieta jest w zaawansowanej ciąży i buja w wózku roczne dziecko. Była jedną z ostatnich osób na liście Ignacia, ciekawiło mnie jej kobiece spojrzenie na świat bliźniaków.

Zasięgnąłem trochę informacji na jej temat. Była córką ordynatora oddziału dermatologii szpitala Świętego Jakuba i jedną z kandydatek ubiegających się o jego stanowisko.

Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, Aitana nalegała, żebyśmy spotkali się gdzieś w obrębie zielonego pierścienia Vitorii, kręgu utworzonego przez parki otaczające miasto, gdzie mieszkańcy przychodzili pospacerować, pojeździć na rowerze czy pobiegać.

Wybraliśmy zachodni park Zabalzana, leśną wyspę z kilkoma jeziorkami, którą przecinały liczne ścieżki. Bardzo dyskretne miejsce.

Aitana miała około czterdziestki i była nieco zbyt okrągła nawet jak na ciężarną. Farbowane na blond włosy wygładzone prostownicą, twarz opalona w solarium. Nie rozstawała się z papierosem, trzymała go w sztywnych palcach skierowanych ku niebu w geście symbolizującym zwycięstwo.

Przedstawiłem się, po czym ruszyliśmy ścieżką pomiędzy dębami i jałowcami. Aitana – zdenerwowana – próbowała uspokoić dziecko w wózku.

– Nazywa się Markel, wychowują go moi rodzice. Prawda jest taka, że spędzam większość czasu w szpitalu i prawie go nie widuję. Nie przepadam za dziećmi – powiedziała przepraszającym tonem, wydmuchując na chłopca obłok dymu.

– Właśnie widzę – stwierdziłem.

Przyznam, że zbiła mnie nieco z tropu: lekarka w ciąży paląca papierosy i obojętna wobec dzieci. Choć od razu było widać, że jest wykształcona i należy do klasy wyższej, coś mi w niej nie pasowało, wyglądała na bardzo pokaleczoną od środka.

– Ignacio uprzedził naszą paczkę, że zadzwoni do nas śledczy. Proponuję, żeby pan zadał mi pytania, które pan sobie przygotował, a ja udzielię odpowiedzi. Dziecko chyba jest głodne. Jeżeli nie przestanie płakać, będę musiała zabrać go do mojej matki, żeby dała mu jeść.

– Rozumiem – westchnąłem, zaciskając zęby. – Należała pani do najbliższego otoczenia Ignacia czy Tasia?

– Raczej Ignacia. Chodziliśmy ze sobą przez kilka miesięcy, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat. Wszyscy troje należeliśmy do jednej paczki, ale zawsze trzymałam się raczej z Ignaciem.

– Jacy oni byli?

– Ignacio to dżentelmen. Tasio był zapatrzony w siebie, robił to, na co miał ochotę. Kiedy dzięki programom telewizyjnym zdobył sławę, stał się jeszcze bardziej zarozumiały. Był podrywaczem, wszystkie najlepsze laski z Vitorii rzucały mu spojrzenia, kiedy wchodziliśmy do barów w centrum, co noc mógł zabrać do domu inną. Zresztą tak właśnie robił. Poza tym... Poza tym krążyły legendy o ich bliźniaczych upodobaniach.

– Legendy? – powtórzyłem.

Na szczęście Aitana wydawała się chętna do zwierzeń, jakby latami miała zakneblowane usta.

Szliśmy powoli ścieżką, szukając cienia między drzewami i świeżą roślinnością otaczającą jezioro, nad którym ścigały się ważki w pełni okresu godowego.

– Tak, erotyczne legendy. Mówiono, że lubią bliźniaczki, że przez łóżko Tasia przewinęły się wszystkie w promieniu stu kilometrów. Trójkąty, orgie z udziałem Tasia i Ignacia... Od dziecka wykorzystywali swoje podobieństwo,

żeby nabierać innych. Ignacio opowiadał, że wymieniali się na lekcjach. Nauczyciele u Braci Najświętszego Serca w końcu mieli dość ich gier i rozdzielili ich do różnych klas. Bardzo to przeżyli, jakby spotkała ich zniewaga, uważali się za braci syjamskich. Ignacio mówił, że miał wtedy dziesięć lat i nie mieściło mu się w głowie, że mógłby spędzić kilka godzin z dala od brata, uważał, że to fizycznie niemożliwe. Przez kilka tygodni chodził jak ogłuszony, rozchorował się, wymiotował i miał gorączkę, lekarz nie potrafił postawić diagnozy. Później Tasio wpadł na pomysł, jak mogą znowu wykorzystać swoje podobieństwo. Uczyli się tylko połowy przedmiotów. W dniu sprawdzianu wymieniali się i każdy zaliczał swój przedmiot dwukrotnie. Stosowali różne sztuczki: o ustalonej godzinie prosili o pozwolenie na wyjście do toalety, wymieniali się mundurkami, na których były wyszyte ich imiona, potem każdy wchodził do klasy brata, pisał test, po czym znowu się przebierali. Lubili doprowadzać tę grę do ekstremum, nasza paczka przywykła do ich żartów, chociaż niektórzy mieli dość tego, że zawsze robią nas w balona. Ale to byli oni, nie do powstrzymania, nietykalni. Ich ojciec należał do najbogatszych przedsiębiorców Vitorii, w domu zawsze nam mówili, żebyśmy byli dla nich mili, żebyśmy podtrzymywali przyjaźń, żebyśmy zapraszali ich na urodziny. Moich rodziców rozpierała duma, kiedy zaczęłam się spotykać z Ignaciem. To był szczyt towarzyskich aspiracji.

– Jakie zachowała pani o nich wspomnienia?

– O Tasiu takie same jak wszyscy. Że był egocentrycznym dupkiem. Potem okazało się, że do tego jest pomyłony i lubi zabijać dzieci. O Ignaciu, że musiało być mu strasznie trudno wydać brata bliźniaka. Bardzo to przeżył, wszyscy z naszej paczki wspierali go, jak mogli, ale to był temat tabu, jak to zwykle się dzieje w tym mieście. Mówi się o wszystkim poza tym, co naprawdę ważne. O tym, co ważne, nie mówi się nigdy. Matki wychowują nas w myśl zasady: „Im mniej wiesz, tym spokojniej śpisz”. Co znaczy ni mniej, ni więcej, tylko tyle, żebyś odwrócił wzrok i milczał jak tchórz. I to właśnie robimy, to nam najlepiej wychodzi. Wracając do Ignacia: potem trafił do telewizji. Jego decyzja wszystkich zaskoczyła. Był raczej nieśmiały, udawany ekstrawertyk silący się na towarzyskość, żeby spełnić oczekiwania brata. Ale stał się nowym bohaterem, ludzie zatrzymywali go na ulicy, by wyrazić mu swoje uznanie. W pewnym stopniu przejął osobowość Tasia, tyle że był bardziej powściągliwy. Zawsze zachowywał się jak dżentelmen, już to mówiłam. Po zerwaniu nie zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale od ponad dwudziestu lat należymy do tej samej paczki, więc widzimy się raz w tygodniu, na kolacjach czy przy innych okazjach.

– Rozumiem – powiedziałem; dotarliśmy do miejsca, gdzie kończyła się

ścieżka, a zaczynało miasto. – Chciałem tylko zyskać wyobrażenie o najbliższym otoczeniu bliźniaków. Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Zostawię pani swoją wizytówkę, proszę zadzwonić, jeżeli jeszcze coś sobie pani przypomni... I szczęśliwego rozwiązania.

Umówiłem się z Martiną na lunch w Rincón de Luis Mari: pochłoniłem kilka kanapeczek z szynką serrano i oderwałem się trochę od sprawy, słuchając anegdotek o rozwodach. Po obiedzie pojechałem do więzienia Zaballa.

Tasio czekał na mnie po drugiej stronie szyby w sali numer trzy. Tym razem w otwartych drzwiach stał strażnik, patrzył przed siebie, wbijając wzrok w jakiś niewidoczny dla mnie punkt.

– Najwyższy czas – przywitał mnie Tasio, przeciągając słowa, ochrypłym głosem wydobywającym się spod wąsów w kształcie odwróconego U. – Odrobiłeś pracę domową?

– Mam rozumieć, że zawarliśmy pokój po naszym ostatnim spotkaniu? – zapytałem.

– Jesteśmy skazani na porozumienie, Kraken. Wróciłeś do tej sali, a to znaczy, że czegoś ode mnie chcesz. A ja, rzecz jasna, chcę, żebyś rozwiązał tę sprawę, stąd moje codzienne starania, żeby naprowadzić cię na właściwy trop – powiedział ugodowym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem.

– Masz na myśli tweety, które mi wysyłasz i które czyta cały kraj oraz spora część zagranicy?

– Aha – przytaknął.

– Co znaczy dla ciebie dyskretne prowadzenie śledztwa? Nie uczyli cię tego na twoim korespondencyjnym kursie kryminologii?

– Jesteś na mnie zły. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Mogę nie być. A ty byś na tym skorzystał, gdybym poszedł właściwym tropem, jak zresztą sam słusznie zauważyłeś.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał, spoglądając na poślódkę od tytoniu paznokcie.

– Masz zwolenników, wielbicieli, którzy piszą do ciebie od dwudziestu lat.

– Tak ci powiedzieli? – Uśmiechnął się lekko, wypuszczając dym na ukos, w stronę podłogi.

To łechtало jego próżność, podobało mu się, że potwierdzam jego status gwiazdy.

– Opowiedz mi o każdym z nich.

– Nie mamy tyle czasu – odparł, wszedłszy w swoją rolę celebryty.

Miałem tego dosyć.

– Tasio, zaproponowałeś mi współpracę, daję ci szansę, możesz mieć swoje pięć minut sławy w mediach społecznościowych. Wyjaśnię ci, dlaczego chcę, żebyś opowiedział mi o swoich wielbicielach: istnieją punkty wspólne, zbieżne elementy zbrodni, o które zostałeś oskarżony, i tych z ostatnich dni. To oznacza, że albo sprawcą jest ten sam człowiek, albo miał związek ze śledztwem sprzed dwudziestu lat, albo zdradziłeś komuś szczegóły procesu i ten ktoś naśladuje pierwszego mordercę, żeby ściągnąć na ciebie podejrzenia. Ocknij się, Tasio, bo to dzieje się znowu, naprawdę. Jeżeli nie znajdziemy innych podejrzanych, opinia publiczna i moi przełożeni wezmą cię na celownik. Masz dużo do stracenia. To nie jest próba sił między mną a tobą. Ja jestem na zewnątrz, ty jesteś tu. Nie brakuje ci inteligencji, przestań blefować.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Tyle wystarczyło, żeby skapitulował.

– Zgoda – powiedział wreszcie, zgniatając połówkę papierosa w popielniczce. – Czego dokładnie chcesz?

– Daj mi wszystkie zachowane listy od osób, które kontaktowały się z tobą, odkąd trafiłeś do więzienia. Tak na dobry początek, żebym ci zaufał i dalej cię odwiedzał. Wszystko mi jedno, ile tweetów dziennie wyślesz, potrafię je ignorować, nie masz prawdziwej władzy, mogę sprawić, że będziesz jedynie głosem wołającym na pustyni. Rozumiesz to, prawda?

– Wiesz, że rozumiem. Dostaniesz te listy, dla mnie to śmieci. Przekażę ci wszystkie.

– Myślisz, że da się coś wyłowić z tych śmieci?

– Większość nadawców to szajbusy, fanatycy zbrodni, społeczni borderlinerzy. Nie spotkałbym się z nimi na zewnątrz, choćby mieli mi za to zapłacić. Ale wykonujesz swoją pracę, na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

– W porządku.

– Kraken... – odezwał się po chwili milczenia; jego twarz wyrażała niepokój. – Będzie coraz gorzej.

– Co masz na myśli?

– Im dłużej będziecie go szukać, tym trudniej będzie przewidzieć, gdzie zostawi zwłoki. Jesteśmy już przy późnym średniowieczu; moim zdaniem zostało jeszcze parę miejsc w obrębie starówki. Ale wszystko się skomplikuje,

kiedy zabójca dojdzie do dziewiętnastego wieku: im bliżej czasów współczesnych, tym więcej w Vitorii zachowanych pamiątek historycznych, więcej miejsc do wyboru, przyjdzie taki moment, że nie będziecie już w stanie niczego przewidzieć.

– Martwi cię to, Tasio?

– Chcę stąd wyjść, do jasnej cholery! – Podniósł głos. – Chcę stąd wyjść, a on znajdzie sposób, żeby znowu mnie zrobić. Jesteś ślepy? W tym tygodniu Vitoria zaczyna świętować, a on bezcześci wszystkie nasze rytuały, wszystkie nasze zwyczaje, nie widzisz tego? Fiesta zamieni się w pierdoloną kostnicę.

Nie jestem ślepy, Tasio, mam tylko nadzieję, że się mylisz.

– Powiedz mi jedno... – przerwałem mu. – I opanuj się trochę. Kiedy jesteś spokojny, budzisz większy strach.

Popatrzył na mnie tak, jakby chciał mi wydrzeć zębami flaki; zatrważające spojrzenie jak z powracających koszmarów.

– Pytaj – ustąpił wreszcie.

Zdobyłem się na odwagę. Pływałem od boi do boi, ale ten temat stanowił tabu. Wszystko albo nic.

Śmiało, Kraken.

– A jeśli to twój brat, jeśli to on zastawił na ciebie pułapkę? Nie mów, że przez te dwadzieścia lat nie przyszło ci to do głowy. Zostałeś kryminologiem, obsesyjnie drążyłeś tę sprawę, przez dwie dekady siedziałeś zamknięty w celi i analizowałeś wątki, motywy, podejrzanych, profile. Dlaczego nie próbujesz przekonać mnie do tego, co wydaje się oczywiste? Czy nie powinieneś zrobić mu tego, co on zrobił tobie? Nie powinieneś mi powiedzieć: „To jego sprawka, zazdrościł mi. Był policjantem, podłożył dowody, znał akta sprawy, zmanipulował raporty”? Ignacio mógł to czynić, miał w zasięgu ręki wszystko, co potrzebne. Wszystko, żeby cię zrobić. Powiedz mi, że mu nie groziłeś, nie przysięgałeś, że się zemścisz, gdy tylko odzyskasz wolność. Powiedz mi, że Ignacio nie musi się bać, że wkrótce wyjdiesz z więzienia i że spojrzycie sobie w oczy, bez kamer, bez krat.

Zaczerpnałem powietrza, obserwując jego reakcję. Tasio siedział jak słup soli.

Postanowiłem go jeszcze bardziej przycisnąć. Dozna katharsis czy jest jeszcze za wcześnie, żeby rozsypał się na drobne kawałki?

– Powiedz mi, że nie pomyślałeś, że to znowu może być on, że chce rzucić na ciebie winę, żebyś nie wyszedł z więzienia. Że znajdzie sposób,

żeby uznano cię za podżegacza. Wiele ryzykujesz, przypuszczając ataki hakerskie i prowadząc profil na Twitterze, pokazujesz, że jesteś wszechobecnym diabłem, który manipuluje ludźmi z zewnątrz, żeby odwalili za niego robotę. Powiedz mi, Tasio: jeżeli to prawda, że dwadzieścia lat temu ktoś zastawił na ciebie pułapkę, jak myślisz, ile czasu potrzebuje, by ponownie przekonać opinię publiczną o twojej winie? Naprawdę ani przez moment nie myślałeś, że to mógł być twój własny brat, któremu swoją drogą, bardzo dobrze żyje się w Vitorii bez ciebie?

Nie odpowiedział, spuścił wzrok. Irytująco powoli palił papierosa. Już miałem wstać z czarnego plastikowego krzesła, kiedy wreszcie się odezwał.

– Masz rodzeństwo, Kraken?

– Nie udawaj. Znasz moją szkolną ksywę, więc na pewno wiesz, czy mam rodzeństwo.

Nie mieszaj do tego Germana, Tasio. Nie widziałeś mnie jeszcze w trybie kamikadze.

– Ale nie jesteście identycznymi bliźniakami.

– Nie, nie jesteśmy.

– W takim razie nie możesz zrozumieć, co łączy mnie i mojego bliźniaka. Nie ma to nic wspólnego z braterską więzią między tobą a Germanem.

– Wypowiedziałeś jego imię. – Pohamowałem wściekłość, która zaczęła mi zaciskać szczęki.

Nie lubiłem, kiedy w zamaskowany sposób grożono moim bliskim: dziadek, Germán i Estíbaliz byli nietykalni.

Święci.

Nienegocjowalni.

Byli poza grą. Ta partia ich nie dotyczyła.

– Wiedziałem, że tak zareagujesz. To mój sposób na udowodnienie, że jestem krok przed tobą. Pozwól mi dokończyć.

– Oświeć mnie.

– Próbuję ci powiedzieć – i bardzo mi zależy, żeby to było od początku jasne – że nie będziemy tu rozmawiać o moim bliźniaku ani o rachunkach, jakie mam z nim do wyrównania po wyjściu z więzienia. To zbyt osobista sprawa, to, co wydarzyło się między nami, załatwimy między sobą. Jesteśmy jedynymi mieszkańcami planety, na którą nie masz wstępu, ty ani nikt inny. Zależy mi, żebyś to rozumiał, bo nie wrócimy więcej do tego tematu. Jeśli chcesz go objąć śledztwem, proszę bardzo. Wypełnij swój obowiązek,

liczyłem się z tym. Ale ja nie dam ci żadnych podstaw, żeby go sprawdzać.

A może jesteś taki sprytny, że wszystko, co do tej pory zrobiłeś, prowadziło właśnie do tego: żebym myślał, że sprawdzenie Ignacia to moja własna inicjatywa, żebym ja go oskarżył, a nie ty, bo wendeta z twojej strony byłaby zbyt oczywista.

– W porządku, Tasio. Zrozumiałem. Chcę, żebyś wrócił teraz do celi i zebrał wszystkie listy, jakie dostałeś. Byłoby dobrze, gdybyś trochę mnie wyręczył i przygotował własną listę podejrzanych. Przede wszystkim tych najbardziej prawdopodobnych, ale żadnego nie pomijaj. Niech twój kontakt od Twittera przekaże ci także listę najaktywniejszych użytkowników, autorów najżarliwszych komentarzy... Interesuje mnie wszystko, za czym w twoim subiektywnym odczuciu może stać jakiś poważnie zaburzony osobnik.

Chociaż bardzo mi przeszkadzało, że powoli tracę anonimowość z powodu tego przekłętego hasztagu, profil Tasia był tak naprawdę doskonałym lepem na muchy. Dlatego nie ponaglałem podkomisarz, żeby go zamknęła. Jeżeli morderca jest megalomanem, będzie krążył wokół wszystkich dostępnych informacji dotyczących zbrodni i śledztwa.

– Masz wsparcie w tej instytucji. Złożę wniosek o wydanie listów od twoich wielbicieli, a ty przyspiesz procedurę. Lada moment wybuchną petardy, oboje już czujemy zapach prochu.

– Miło mi, że mówisz moim językiem. – Wreszcie się uśmiechnął.

– Widzimy się wkrótce, Tasio – pożegnałem się i wstałem z krzesła. – Tym razem to ty masz pracę domową do odrobienia.

Powinienem był opuścić więzienie, ale jeszcze nie skończyłem. Musiałem zdobyć pewne informacje, których nie uzyskałbym oficjalnymi kanałami. Z udawaną beztroską podszedłem do budki strażnika.

– Już sobie idę, ale chciałbym jeszcze przywitać się z Josem Marim. Wiesz może, czy o tej porze zastanę go w kawiarni?

– Sprawdź sam.

Imię José Mari nosiło dziesięć procent mieszkańców Álavy powyżej czterdziestego piątego roku życia. Trudno było nie trafić.

Wszedłem do budynku wskazanego przez strażnika i odszukałem salę, gdzie personel spotykał się przy kawie czy kanapce. O piątej po południu nie było tu zbyt tłoczno. Jak gdyby nigdy nic stanąłem przy barze i przez chwilę obserwowałem siedzące przy stolikach grupki. Wybrałem samotnego, chudego jak patyk funkcjonariusza, który dopijał puszkę napoju

izotonicznego, wpatrując się z uwagą w wiszący pod sufitem telewizor z wyłączonym dźwiękiem.

Strażnicy więzienni nie są dobrym źródłem informacji. Najczęściej niczego nam nie zdradzają. Bez względu na to, po której stronie krat się znajdujesz, najgorszą rzeczą, jakiej możesz się dopuścić w więzieniu, jest donosicielstwo. Tego się nie robi. Wiedziałem, że będę musiał spróbować bardziej kreatywnej strategii.

Zaczekałem, aż podejdzie do lady, żeby zapłacić, i wtedy go zagadnąłem.

– Może wiesz, czy jest tu jakiś automat z kawą? – zapytałem. – Barman zupełnie mnie olał.

Podniósł głowę znad komórki.

– Jesteś tu nowy? Nie widziałem cię wcześniej.

W ciągu dwóch sekund odnotowałem kilka szczegółów: brak obrączki, zdjęcie ładnej, młodej dziewczyny na wyświetlaczu telefonu. Sądząc po wieku, mogła być jego córką albo bratanicą, sądząc po pozie – nie była.

– Nie pracuję tu, przynajmniej na razie. – Uśmiechnąłem się. – Przyjechałem złożyć wniosek o przeniesienie, może mi się poszczęści. Pracuję w zakładzie karnym w Basauri, ale chciałbym zacząć tutaj. Mam dziewczynę w Vitorii, nie jesteśmy długo ze sobą, ale... Sam rozumiesz.

– Jasne, stary. Jasne, że cię rozumiem, mam nadzieję, że coś ci się trafi i będziemy pracować razem. Automat jest przy wyjściu. Chodź, zaprowadzę cię.

Wyszliśmy z budynku. Na szczęście w pobliżu nie było innych strażników.

– Jak... Jak ci się tu pracuje? – zapytałem z zaciekawieniem, wrzucając monetę do maszyny.

– Powoli przyzwyczajam się do zmian, to gigantyczne więzienie, pod pewnymi względami jest szczególne – odpowiedział zdawkowo.

– Wierz mi, wszystkie są szczególne. Byłem w Ávili i Logroño. Słuchaj, a jak to jest mieć za kratkami celebrytę?

– Mówisz o Tasiu? – Rozejrzał się na boki.

– Tak. Prasa nie zalała wam za skórę?

– Na razie dajemy radę. Tutaj uchodzi za boga. Ma ochronę, jest legendą. Niektórzy mówią, że to sympatyczny gość, chociaż twardy, od czasu do czasu demonstruje swoją władzę. Społeczność więzienna darzy go szacunkiem, ale niektórzy się go boją. Wystarczy na niego spojrzeć: z tym błędnym wzrokiem wygląda jak szaleniec, z tych, co to pokroją cię na małe kawałeczki i wrzuca

do sałatki. Jest jak Charles Manson, laski piszą do niego listy, prosząc o spotkanie sam na sam. Pozwala się kochać, chociaż zwykle kończy się na jednym razie. Jest bardzo aktywny, jeśli chodzi o kobiety, w zasadzie należy do naszych najaktywniejszych więźniów.

– Zalety sławy.

– Nie da się ukryć. – Wzruszył ramionami.

– A te wszystkie wpisy na Twitterze? – ciągnąłem, obracając w palcach plastikowy kubek: parzył jak diabli. – Nie wierzę, że on je zamieszcza, to na pewno fałszywy profil.

Strażnik rozejrzył się, by mieć pewność, że nikt go nie słyszy.

– Mam pewną teorię. To ten przystojniaczek, ten młody geniusz.

– Jaki młody geniusz?

– No ten, o którym pisały wszystkie gazety w związku z internetowym przekrętem z kartami kredytowymi. Dzieciak haker, nie pamiętasz?

– Coś mi się kojarzy. Jak skończyła się ta historia? – Próbowałem wysilić pamięć: rzeczywiście kilka miesięcy temu coś na ten temat czytałem, ale cyberprzestępczość to nie moja działka.

– Chłopak zaczął swoją błyskotliwą karierę przestępczą w wieku szesnastu lat, ograbiając każdego, kto udostępnił mu dane swojej karty bankowej. Korzystał z fałszywej strony internetowej sprzedającej piłkarskie koszulki podpisane przez zawodników z pierwszej ligi. Policję zalała fala zgłoszeń kradzieży i w końcu udało się go złapać, ale łatwo nie było, haker okazał się sprytny. Kiedy go przyskrzynili, był już pełnoletni, więc przywieziono go tutaj. Gdybyś go widział. Wyglądał jak dwunasto-, trzynastolatek, to jeden z tych chłopaków, co to późno się rozwijają, bez owłosienia na jajach i twarzy. Brunet, niebieskie oczy, cherubinek z okładki. Z tą swoją twarzą aniołka równie dobrze mógł zacząć wyśpiewywać byle co na YouTube i odniósłby taki sam sukces. Ale widać pociągała go ciemna strona mocy.

– A mówisz mi o tym, bo...

– No właśnie, do rzeczy: kierowniczką więzienia przydzieliła mu jako opiekuna Tasia. I słusznie. Świeże mięso jest tutaj w cenie, pedały zjadłyby go na śniadanie, wiesz, o czym mówię. Tasio zajął się nim, wziął go pod swoje skrzydła i nikt nie tknął chłopaka przez sześć miesięcy, które u nas spędził. Profil na Twitterze pojawił się zaraz po tym, jak go wypuścili, dlatego myślę, że maczał w tym palce, że są w kontakcie i że znaleźli sposób, żeby się komunikować.

– Mówisz, że jak nazywał się ten chłopak?

– Nie pamiętam, to było jakieś zwyczajne nazwisko. Pamiętam natomiast jego hakerską ksywkę: MatuSalem. Tak, teraz sobie przypominam: MatuSalem od Maturana. Nazywał się Maturana, jak ta wieś nad zalewem, ale chciał, żeby mówiono do niego MatuSalem, pisane przez wielkie „s”, jak to miasteczko czarownic. Dzieciak był trochę dziwny, miał w sobie coś mrocznego. Przypominał gotów czy jak im tam.

Gdy tylko znalazłem się na parkingu przed więzieniem, zadzwoniłem do swojej starej znajomej.

Czasami nie ma się wyboru, trzeba szukać pomocy... nieoficjalnymi kanałami.

Moja współpracownica miała sześćdziesiąt sześć lat, białe włosy ufarbowane na fioletowo i talent do hakowania. To dzięki niemu sfabrykowała akt ślubu po tym, jak władze miejskie odmówiły jej prawa do wdowiej renty i chciały odebrać mieszkanie, które przez czterdzieści lat dzieliła ze swoim zmarłym parterem.

Odkryłem jej fałszerstwa podczas operacji mającej na celu ujęcie zbiegłego oprawcy, który zatrzymał się w jednym z wynajmowanych przez nią pokoiów. Poinformowałem ją o sytuacji i to dzięki jej pomocy i odwadze udało mi się dopaść gościa, który w ubiegłym roku podwyższył liczbę śmiertelnych ofiar przemocy domowej.

Posługiwała się pseudonimami Golden Girl, Złota Dziewczyna, Urrezko Neska... Na forach *black hack* była prawdziwą legendą, wiele osób wręcz wątpiło w jej istnienie. Do emerytury pracowała w zatrudnianej przez Cisco Systems firmie zajmującej się bezpieczeństwem w sieci. Ten, kto lekceważył jej informatyczne umiejętności, dając się zwieść jej wiekowi i wyglądowi sympatycznej stukniętej babci, popełniał olbrzymi błąd.

– Musisz sprawdzić, kto włamał się do mojej skrzynki, i zlokalizować dla mnie jedno konto na Twitterze.

– To mi się podoba, od razu przechodzisz do rzeczy, jakby zaraz miał się skończyć świat – odparła Golden Girl swoim głosem czcigodnej staruszki.

– Może się skończy. Słyszałaś o MatuSalemie?

– Lubisz wysoko stawiać poprzeczkę, co? Ten dzieciak to pierwszozigowiec, będzie ciężko. Co masz?

Przekazałem jej dane, o które mnie poprosiła. Golden Girl miała nosa, jakiego zyskuje się z wiekiem, z daleka wyczuwała, czy sprawa jest pilna

i ważna.

– I jeszcze jedna przysługa: chcę pracować na swoim laptopie, a jestem pewien, że MatuSalem znalazł sposób, żeby się do niego włamać, albo zrobił lustrzaną kopię. Wolałbym, żeby nie widział, co robię. Załóż mi parasol ochronny, począwszy od tego wieczoru. Dasz radę?

– Chcesz mnie obrazić? Sprawa jest aż tak poważna? – zapytała.

– Dosyć. Trzeci wiek znowu mnie olśni?

– Wiesz, że Złota Dziewczyna jest na każde twoje skinienie, Kraken. Zadzwoń, kiedy namierzę tego szczeniaka.

KLINIKA VITORIA

Vitoria, czerwiec 1970

Doktor Urbina przeglądał medyczne wademekum w swoim gabinecie, kiedy do drzwi zapukała Felisa, jego pielęgniarka. Zdziwiony spojrzął na zegarek. Przyjął już ostatnią pacjentkę zapisaną na popołudnie i zbierał się do wyjścia.

– Doktorze, ktoś do pana – powiedziała pełnym energii głosem. – Wpuścić ją czy umówić na inny dzień?

– Kto to taki, Feliso?

Felisa miała zapadniętą prawą gałkę oczną. Wyjaśniła kiedyś lekarzowi, że to efekt nieudanej operacji zatok, w wyniku której straciła część kości szczękowej. Czarne włosy poprzetykane siwymi nitkami zawsze starannie układała w loczki. Była przy kości, jak niemal wszystkie kobiety mające za sobą kilka porodów i menopauzę.

– Pani Ortiz de Zárate.

Stronice ciężkiego podręcznika przeleciały między jego palcami, nawet nie zauważył, jak zamknęła się czerwona, obleczona w skórę okładka.

Odchrząknął, żeby przeczyścić gardło, i ponownie otworzył księgę.

– Proszę ją wpuścić, i tak zamierzałem zostać dziś do wieczora.

Pielęgniarka rzuciła mu spojrzenie przepojone dyskretną mądrością nabytą przez niemal ćwierć wieku pracy w szpitalach.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że już sobie pójdę, prawda?

– Może pani wracać do domu, Feliso. Ja tu wszystko pozamykam – odpowiedział pospiesznie.

Pielęgniarka wyszła i w jego gabinecie pojawiła się wreszcie Blanca.

Bardzo się zmieniła. Może dlatego, że miała na sobie letnią przewiewną sukienkę w psychodeliczny wzorek, a może dlatego, że wreszcie na jej twarzy nie malowały się cierpienie i napięcie. Pierwszy raz od dawna, odkąd została jego pacjentką, wydała mu się radosna.

– Blanca! Nawet pani nie wie, jak bardzo się cieszę, że panią widzę. Jest już lepiej? Wie pani, co mam na myśli. – Przy niej nauczył się czegoś, czego nie robił przy nikim innym: mówić wprost, patrzeć w oczy, wykorzystywać każde spotkanie, jakie zesłał mu los.

– Przyszłam podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Te ostatnie miesiące były znacznie bardziej... znośne.

Odruchowo ściszyła głos, chociaż za zamkniętymi drzwiami gabinetu nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Skorzystała pani z tego, co pani dałem?

– Tak, miał pan rację, kiedy powiedział pan, że być może uratuje mi to życie. Nie potrzebuję już maści ani białych tabletek, ale kończą mi się bordowe kapsułki. Dzięki nim wieczorami ogarnia go senność. Kładzie się spać zaraz po powrocie do domu. Uważa, że to przez nawał pracy w firmie, niczego nie podejrzewa.

Doktor otworzył szufladkę biurka, którą trzymał zamkniętą na klucz.

– Już zamierzałem wpaść na panią gdzieś na mieście, niby to przypadkiem. Zaoszczędziła mi pani mnóstwa spacerów – powiedział ze śmiechem.

– Możesz mówić mi na ty, Álvaro, przynajmniej podczas takich intymnych rozmów. Myślę, że nikt nie zna mnie teraz tak dobrze jak ty.

Słowo „intymny” bardzo mu się spodobało, może za bardzo. A jeszcze bardziej to, że Blanca znała i pamiętała jego imię.

Przeciągnął palcami po rudych brwiach, próbując skupić myśli; starał się na nią nie patrzeć. Blanca wyglądała na zachwyconą tym gestem: uśmiechnęła się do niego otwarcie, śmiało, jak mała dziewczynka.

– Masz tu drugi słoiczek, powinien wystarczyć na jakieś dwa miesiące. – Podał jej lek.

Biorąc go, umyślnie musnęła jego dłoń; zamarli, każde po swojej stronie biurka, nie wiedząc za bardzo, co powinni zrobić. Nie chcieli rezygnować z tego dotyku; na samą myśl o takiej bliskości obojgu wrywały się jęki podczas samotnych nocy.

– Álvaro, nie chcę, żebyś myślał, że przyszłam tylko po kapsułki. Przyszłam, bo chciałam cię zobaczyć – odważyła się wyznać.

Miała dość płacenia za coś, czego nie zrobiła, dość odgrywania roli, której oczekiwali od niej wszyscy znajomi; nie obchodziło ich, że Javier może ją zabić podczas jednego ze swoich napadów furii.

Dość podporządkowywania się twardym, surowym, silnym mężczyznom.

Dość smutku i przerażenia. Kiedyś była wesołą dziewczynką, co się z nią stało? Dość bycia jedynie nazwiskiem, workiem bokserkim, zbiornikiem na nasienie męża. To miał być jej pierwszy akt buntu i chciała, żeby stało się to właśnie z Álvarem Urbiną.

Choć ten jeden jedyny raz, powiedziała sobie. Choć ten jeden jedyny raz nie myśleć, co powiedzą inni. Czyż nie wywalczyłam sobie tego własną krwią, łzami, które wylałam?

Álvaro spojrział na nią pytająco; z jej oczu wyczytał, że już podjęła decyzję.

Wstał bez słowa, powoli podszedł do drzwi i zamknął je na zasuwkę. Odwrócił się i zostawił na wieszaku biały fartuch.

Blanca usiadła na kozetce i rozpięła po kolei guziki z przodu sukienki. Została w samych butach na wysokiej drewnianej podeszwie, w których dorównywała wzrostem Alvarowi. Lekarz ujął jej dłoń i niespiesznie zaczął obsypywać ją pocałunkami, poczynając od opuszki palca wskazującego.

Posuwał się dalej, przebiegł ustami ścięgno prostownika i wspinał się wzdłuż żyły w górę ręki. Nieco skręcił, żeby zabawić dłużej w zagłębieniu łokcia. Po jakimś czasie dotarł do ramienia. Pokonał obojczyk, a kiedy przebiegł językiem mięsień czworoboczny, erekcja stała się już niemal bolesna.

Wtedy Blanca zrozumiała różnicę między byciem i niebyciem przygotowaną na przyjęcie mężczyzny – kiedy Álvaro w nią wszedł, jak zwykle delikatny i czuły, zapragnęła na zawsze zostać w tym aseptycznym gabinecie i już nigdy nie wracać do życia mężatki.

SAN VICENTEJO

On wskazuje kierunek, ty tam podążasz. Zawsze z tyłu, zawsze z tyłu, #Kraken

1 sierpnia, poniedziałek

Zapadła noc, ale dla mnie dzień jeszcze się nie skończył. Przesiadłem się do swojego outlandera i ciemnymi drogami, które przemierzyłem tysiące razy od czasu, gdy byłem dzieckiem, ruszyłem w stronę Villaverde. Pokonałem przełęcz i wjechałem na teren gminy Condado de Treviño. Pola ściętego zboża otaczały niemal wyludnione wioski z małymi romańskimi kościołkami opierającymi się upływowi czasu. Na wysokości San Vicentejo wyrósł przede mną czarny masyw moich gór. Przyspieszyłem, może dziadek jeszcze nie położył się spać. Przed Bajauri szosa zaczynała się wić pod utworzonym przez buki sklepieniem. Pokryte liśćmi zbocze, z którego schodziły wysokie pnie, rankiem wyglądało baśniowo, nocą zaś – upiornie.

W Villaverde złotawe światło rzucane przez nieliczne latarnie doprowadziło mnie pod balkon dziadka.

Zagwizdałem, wchodząc po schodkach z laptopem pod pachą. Dziadek odpowiedział mi w ten sam sposób. Zastałem go w kuchni, obierał migdały. Potem moczył je w wodzie z anyżówką Las Cadenas i cukrem, prażył i pakował, żebyśmy mogli zabrać je z Germanem do Vitorii. „Na ciężkie dni”, mówił, po czym wzruszał ramionami i zabierał się do innej pracy.

– Co słyhać, dziadku?

– O tej porze, w dodatku w poniedziałek? Czego tu szukasz, dzieciaku?

Usiadłem naprzeciwko niego na wiklinowym krześle naprawianym setki razy.

– Mogę zaanektować strych dla potrzeb śledztwa? Mam mnóstwo materiałów graficznych, nie chcę ich trzymać u siebie w Vitorii.

Dziadek nigdy nie mówił „tak” ani „nie”.

– Chodźmy popatrzeć – mruknął, po czym wyprostował zgarbione plecy i ruszył ku starym schodom, tak wydeptanym przez buty dwunastu pokoleń, że stopnie dopasowywały się w środkowej części do stopy niczym maleńkie drewniane doliny.

Trzecie piętro domu zostało zachowane w surowym stanie: wzdłuż sufitu biegly ciemne drewniane belki pociągnięte smołą, kamiennych ścian nie pokryto tynkiem. Było tu nadal kilka skór lisów i dzików z czasów, kiedy powojenny głód zrobił z dziadka kłusownika. Nikt nie miał pojęcia, jak przez tyle lat zdołał utrzymać je w tak dobrym stanie – nie raczył odpowiedzieć tym, którzy go o to zapytali.

Były tu także moje kartony, pamiątki, których nie chciałem wyrzucać, przedmioty z duszą, na których widok ścisnęło mi się serce; nie miałem ochoty ich oglądać, ale instynkt podpowiadał mi, że powinienem je zachować.

– Mógłbyś rozłożyć stół do ping-ponga, a ja w tym czasie czegoś poszukam?

– Oczywiście, synu.

Legendarny stół pingpongowy stanowił element filozofii normalności, w której duchu dziadek wychowywał mnie i Germana.

Kiedy byliśmy nastolatkami, Germán ledwo sięgał głową do blatu, moim nieproporcjonalnym rękoma zaś brakowało miejsca, żeby swobodnie manewrować paletką. Czułem się zniewolony, uprawiając sporty w zamkniętych pomieszczeniach. Ale dzięki temu nauczyliśmy się, że aby zrekompensować nasze fizyczne braki, musimy się skupić na strategii. A także, że nie wolno rezygnować ani dać się ograć: świat nie będzie szedł nam na rękę tak jak rodzina, już wtedy to przeczuwaliśmy, dlatego w każde wakacje do upadłego pojedynekowaliśmy się przy stole. Kiedy padaliśmy wycieńczeni, dziadek przynosił stary bukłak z winem i pozwalał nam pociągnąć po łyku.

Zdejmowałem pudełka jedno po drugim, aż trafiłem na stojący na samym dole karton podpisany moją młodzieńczą ręką: „Tasio”.

– Boże, jak to było dawno! – powiedziałem nieświadomie na głos, spoglądając na pudło niemal z nabożeństwem.

Dziadek rozłożył już stół na środku strychu. Otworzyłem karton i zacząłem wyciągać z niego gazety i kasety wideo.

– Myślisz, że dałoby się podłączyć tu na górze magnetowid i stary telewizor?

Wzruszył ramionami: uwielbiał archaiczne wyzwania elektroniczne.

– Spróbujemy – powiedział, kryjąc uśmiech.

Poszedł w ką i spod kilku warstw pokrytego pajęczyną plastiku wydobyl magnetowid i telewizor, zastapione przed laty nowszymi modelami.

Ja w tym czasie rozložylem na olbrzymim stole zdjecia, które dawno temu wycinalem z pierwszych stron gazet.

Co pomyslalaby sobie Estibaliz, gdyby odkryla dowody mojej obsesji na punkcie Tasia? Mnie tez by zatrzymala, tak jak optyka? Trafilbym na jej liste podejrzanych?

Mialem zdjecia Tasia zrobione w momencie, kiedy zostal zatrzymany; Ignacia, kiedy wchodzil do sadu, zeby zlozyc zeznania; wszystkich miejsc, w ktorych znaleziono dziecięce zwłoki: korytarza w dolmenie, magazynu w osadzie La Hoya, klepiska w Slonej Dolinie i zelaznych kolców bramy w sredniowiecznym murze wychodzacej na uliczke Las Carnicerias.

O mały włos nie zwymiotowalem, kiedy przypomnialem sobie zdjecia zwłok. Dwadzieścia lat temu myslalem wyłacznie o bliźniakach i o historycznej trasie wyznaczonej przez miejsca zbrodni. Ale teraz bylem oficerem śledczym, nie widzem niezdrowo podekscytowanym podwójnymi morderstwami; beznamietne fotografie zrobione przez technikow kryminalistyki doskonale oddawaly okrucienstwo, z jakim potraktowano ciała dzieci, które nie powinny byly lezec na ziemi, nagie, otrute.

– Prowadzisz sprawe tych dwóch szczwanych lisow, prawda, synu? – dobiegl mnie zza pleców głos dziadka.

Skinalem głową, nie musiałem się odwracac.

Podszedł do stołu i wziął do ręki zdjecia Tasia i Ignacia, którzy wówczas byli nie do odróżnienia.

– Który z nich był tym potulnym? – zapytał.

– Żaden nie wydawal się potulny. Niepokorne, aroganckie, bogate dzieciaki.

– Jednak zawsze któryś ma przewagę nad drugim. Kiedy z jednej owcy rodzą się dwa jagniątka, jedno prowadzi drugie tam, gdzie chce. To drugie jest potulne. Zawsze. Który z nich dominuje?

– Nie są owcami, dziadku. Owce są bezdennie głupie, a ten gość to najinteligentniejszy facet, jakiego kiedykolwiek spotkałem. – Wskazałem zdjecie Tasia. – Nie sądzę, zeby to on był tym pokornym. W życiu!

– W takim razie, ten drugi. Jeden dominuje nad drugim, na pewno. Pamiętasz, co zawsze ci powtarzam: wszystkie dobre pytania zaczynają się od

„a co, jeśli...”.

To była gra, do której dziadek zmuszał mnie od dziecka, jego sposób na przekazanie mi zdrowego rozsądku rodu Lopezów de Ayala.

– Zgoda, zagram. „A co, jeśli...?” – Nie potrafiłem jednak dokończyć pytania, nie czułem się jeszcze gotowy.

– Chyba nie stchórzysz?! Wypowiedz na głos to, co nocami spędza ci sen z powiek. W sobotę przewracałeś się z boku na bok niczym ranny dzik.

Westchnąłem. W porządku.

– A co, jeśli tak naprawdę dominującą rolę odgrywał Ignacio, zastawił na Tasia pułapkę i zrzucił na niego winę, posługując się spreparowanymi przez siebie dowodami?

– Potrzebujesz więcej „jeśli” – ponaglił mnie dziadek.

– A co, jeśli Ignacio zrobił to z zazdrości? Może chciał odebrać Tasiowi rozgłos i sukces, kiedy zdominowany zyskał większą sławę niż dominujący.

Dziadek z zadowoleniem poklepał mnie po plecach.

– Myślę, że masz już punkt wyjścia. Ja się teraz położę, na wszelki wypadek podłączyłem ci magnetowid. Dobranoc, synu.

– Dobranoc, dziadku – szepnąłem, zbyt pochłonięty myślami, żeby słyszeć jego zmęczone kroki na schodach.

Otworzyłem laptop i połączyłem się z internetem. Golden Girl wysłała mi na komórkę lakoniczną wiadomość o treści „droga wolna”, zacząłem więc szukać informacji o rodzicach bliźniaków: firmie ich ojca, rodzinie ich matki. Adresów, dat urodzenia i śmierci, szpitali, szkół, uniwersytetów, klubów, których byli członkami...

Szacowni rodziciele często gościli w rubrykach kronik towarzyskich: zaręczyny, ślub, zdjęcia matki, Blanki Díaz de Antoñany, eleganckiej blondynki, eterycznej jak syreny z baskijskiej mitologii albo nordyckie elfy. Najwyraźniej to po niej bliźniacy odziedziczyli kształt twarzy i patrycjuszowski profil. Przemysłowiec był mężczyzną o szerokich ramionach, wszystkie zdjęcia z lat siedemdziesiątych przedstawiały go z wyniosłą, pełną napięcia miną, jakby myślał wyłącznie o firmie, a obecność fotografa nic go nie obchodziła.

Przodkowie Javiera Ortiza de Zárate byli ludźmi majątynymi i ustosunkowanymi, ale niektórych otaczała mroczna sława. Don Enrique Unzueta, ojciec prapradziadka bliźniaków, na początku XIX wieku opuścił małą wioskę w Álavie, by zostać właścicielem ziemskim na Kubie, przez jakiś

czas był nawet burmistrzem Hawany. Trzykrotnie żonaty, w tym dwa razy z własnymi bratanicami. Po powrocie do ojczyzny otrzymał tytuł markiza, na Kubie jednak wślawił się przede wszystkim jako handlarz niewolnikami, jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych. W ciągu przeszło dwudziestu lat nie tylko sprowadził na karaibskie wybrzeża tysiące Afrykanów, ale też przetańił nowe szlaki i zaczął ściągać siłę roboczą z Chin, by uniknąć ataków angielskiej floty – Wielka Brytania potępiała już wówczas handel niewolnikami. Wielki przedsiębiorca w sektorze obrotu ludźmi. Okropne.

Trafiłem na film dokumentalny o dawnej kubańskiej hacjendzie Álava, gdzie trzymał niewolników na handel. Obecnie żyły tam trzy tysiące osób, w siedemdziesięciu procentach Afrykanie i Mulaci. Co czwarty z nich nosił nazwisko Unzueta – najwyraźniej facet hojnie obdarzał względami niewolnice. Co roku 21 sierpnia świętowano tam rocznicę wyjazdu pana z Álavy. Widać nie zostawił po sobie najlepszych wspomnień.

Kiedy zebrałem już wystarczająco dużo informacji, wyłączyłem laptop i wzięłem się do oglądania taśm, na które nagrywałem wszystkie historyczne i archeologiczne programy Tasia.

– No dobra – zachęciłem sam siebie. – Zaczynamy.

Włożyłem pierwszą kasetę. Przeżyłem *déjà vu* na widok Tasia siedzącego w swoim gabinecie i opowiadającego o miasteczku widmie.

Program był poświęcony mitowi Ochate. Przez całe dzieciństwo nasłuchiwałem się przeróżnych ponurych legend: wioska została wyludniona w wyniku kolejnych epidemii cholery, tyfusu i czarnej ospy, jej ruiny nawiedzali przybysze z kosmosu, w okolicy co noc ściągali zafascynowani neopogaństwem turyści i reporterzy z czasopism ezoterycznych, by nagrywać dźwięki o niezidentyfikowanym źródle. Tasio występował w roli archeologa naukowca, przytaczał dane podważające zmyślane informacje, które uczyniły Ochate najszynniejszą wioską widmem w Hiszpanii. Opowiedział też o ciekawym odkryciu pewnego topografa, który mierzył teren za pomocą specjalistycznych przyrządów. Okazało się, że ruiny kościoła Świętego Piotra w Ochate i kościółki z dwóch sąsiednich wiosek – San Vicentejo i Burgondo – tworzą trójkąt równoramienny: świątynie w San Vicentejo i Burgondo dzieliły dwa kilometry, a od nich do ruin w Ochate było dokładnie po tysiąc dwanaście metrów.

Potem skupił się na kościółku w San Vicentejo, romańskiej perełce od lat budzącej zainteresowanie ekspertów. Opisał znaki na murze i dziwne oko opatrności, ciekawostkę architektoniczną w postaci wykutego w kamieniu otworu umieszczonego na tympanonie nad apsydą.

Oglądając materiał nakręcony przed małym kościółkiem, dostrzegłem pewien szczegół, który wydał mi się znajomy. Rzuciłem się do magnetowidu, żeby zatrzymać obraz – dziadek nie zdołał wskrzesić długo nieużywanego pilota. Coś tam było. Nie widziałem tego dokładnie, nawet Tasio nie zwrócił na to uwagi, kiedy przeprowadzał wywiad ze starym kamieniarzem, który odrestaurował kościółek pod koniec lat osiemdziesiątych.

Zgasilem wszystkie światła, zbiegłem po schodach, upewniłem się, że dziadek chrapie w swoim pokoju, i ruszyłem samochodem w stronę San Vicentejo leżącego przy szosie na Vitorię.

Wioskę tworzyło zaledwie kilka domów. Zjechałem zboczem na polanę, pośrodku której wznosił się kościółek. Wysiadłem z samochodu, wieś wyglądała na opustoszałą. Słysząc było jedynie typowe nocne dźwięki, na niebie wolnym od odbłasku sztucznych światel królowały galaktyki, które eksplodowały przed miliardami lat.

Wyjąłem ze schowka niewielką latarkę i obszedłem świątynię, kierując światło na wapienne kamienie. Z tyłu, nad apsydą, znalazłem to, co zobaczyłem w programie nagrany dwadzieścia lat temu: kamienną rzeźbę leżącej pary, mężczyzny i kobiety czule dotykających swoich policzków.

PROSTA WŚRÓD SOSEN

Kluczem do nowych zbrodni jest to, czym różnią się od wcześniejszych. Co szepczą ci zmarli, #Kraken?

2 sierpnia, wtorek

Tej nocy niewiele spałem, łóżko wydawało mi się za małe, mieszkanie – mikroskopijne. Zapraǳnałem zaczerpnąć powietrza, wyszedłem na balkon, ale miałem wrażenie, że do moich płuc nie dostaje się wystarczająco dużo tlenu. Byłem podniecony nowym odkryciem: czasami – ale tylko czasami – człowiek wie, że jest na właściwym tropie, że dostrzega pewną prawidłowość, i nagle pojawia się pewność.

Było jeszcze ciemno, kiedy zbiegłem po schodach. W żyłach buzowała mi adrenalina, czułem ją, tak jakbym siedział w środku gigantycznego głośnika podczas koncertu perkusyjnego.

Żeby się wyładować i zmotywować, pokonałem kilka stromych uliczek w starej części miasta i w bojowym nastroju dotarłem w okolice Ciudad Jardín. Vitoria była o tej porze pusta, mógłbym biec środkiem drogi pod prąd i nikt by na tym nie ucierpiał.

Spotkałem ją na terenie kampusu. Czekala na mnie: ja ociekałem już potem, ona dopiero zaczynała rozgrzewkę.

– Pobiegnijmy wzdłuż willi przy ulicy Álava – zaproponowałem, łapiąc oddech. – Jestem ci winien pewną historię.

– Historię twojego przyjaciela – powiedziała, zwalniając.

– Aha.

Przygotowałem się psychicznie na to, że będę musiał się przed nią obnażyć. Byłem jej to winien.

Byłem jej to winien.

Skinęła głową, stopniowo zwalnialiśmy. Idąc szybkim krokiem, mijaliśmy najwspanialsze domy w mieście wzniesione w latach dwudziestych ubiegłego

wieku w stylu eleganckich willi z Biarritz. Ich ceny rynkowe oscylowały w okolicach dwóch, trzech milionów euro, jednak niewiele osób sprzedawało, a jeszcze mniej kupowało. Wysokie żywopłoty nie pozwalały zajrzeć do środka, widać było jedynie czerwone, niekiedy zielone dachy, białe ściany i wykończenia z drewna, równie solidnego jak majątki mieszkających tu rodzin.

– Nazywał się Sergio – zacząłem. – Należał do mojej paczki ze Świętego Wiatora, szkoły męskiej, do której chodziłem. Przyjaźniliśmy się od pierwszej klasy podstawówki, od kiedy mieliśmy po sześć lat. To był dobry chłopak, nieśmiały, małomówny grubasek słabo grający w piłkę. Nikt nie rozumiał, jakim cudem na początku liceum jako jeden z pierwszych znalazł sobie dziewczynę, kiedy szkoła stała się koedukacyjna i do naszego ściśle męskiego ekosystemu wtargnęły koleżanki. Sara miała ciemne loki... Była zupełnie inna niż Sergio, bardzo gadatliwa, bardzo władcza, bardzo rezolutna.

– Nie przerywaj – zachęciła mnie.

– Wbrew wszelkim przewidywaniom okazali się jedną z najtrwalszych par w naszej paczce. Dość szybko się pobrali. Sara pochodziła z Bajauri, zawsze kiedy mieli wolne, jeździli do jej dziadków. To niedaleko mojej wsi. Mówiła, że chce odwiedzić wszystkie miejscowości w Álavie, co weekend namawiała Sergia, żeby wsiedli do samochodu i pojechali do którejś z nich. Ale on był domatorem jakich mało, w sobotni wieczór lubił iść na drinka, w niedzielne południe na *pintxos*, a potem podrzemać przed telewizorem, oglądając maratony amerykańskich seriali.

Zwolniłem, żeby zaczerpnąć powietrza; ledwo żyłem. Uznałem, że to nawet lepiej – zmęczenie odwracało moją uwagę od bólu, jaki sprawiało mi przywoływanie tamtych wspomnień.

– Trzy lata temu Sarę dopadł atak astmy. Akurat w sobotni wieczór. Byli sami w Bajauri, inhalatory zostawili w Vitorii, a w tamtej okolicy niemal nie ma zasięgu. Zrozpaczony Sergio biegał od domu do domu, w końcu znalazł telefon stacjonarny i zadzwonił pod sto dwanaście. Karetka przyjechała dopiero po czterdziestu minutach. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak się wtedy bał. Sara była już sina, nie dało się nic zrobić.

– To straszne – szepnęła Alba.

– Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. Martwiliśmy się o Sergia, baliśmy się, jak zareaguje. To ona trzymała lejce w ich związku, on po prostu dawał się prowadzić. Ale Sergio w ogóle nie zareagował. Nie widzieliśmy, żeby płakał ani podczas wystawienia zwłok, ani na mszy żałobnej, ani w czasie pogrzebu na cmentarzu w Bajauri. Jakby nie dotarło do niego, że Sara nie żyje.

– Faza zaprzeczenia?

– I to jakiego. Kilka dni po pogrzebie, kiedy jak co czwartek spotkaliśmy się całą paczką na kolacji w Tximiso, Sergio poinformował nas, że zamierza odwiedzić wszystkie trzysta czterdzieści siedem miejscowości Álavy. Zacznie od Ugalde na północnym zachodzie, po skosie zjedzie na południowy wschód do Arai i skończy na Oyonie. Co weekend planował zaliczać kilka nowych. Uznaliśmy, że to dobry pomysł, chcieliśmy się nim zaopiekować, chcieliśmy go wspierać. W pierwszy weekend wybraliśmy się z nim całą grupą. Udało nam się odwiedzić pięć miejscowości: Ugalde, Llodio, Zubię... To był początek trwającej wiele miesięcy rutyny.

Spojrzałem na Albę, słuchała mojej opowieści, nie spuszczać ze mnie wzroku, uważnie obserwując moją twarz.

– Któregoś dnia wpadłem do niego do mieszkania. Wyglądało jak z mumifikowane. Wszędzie były zdjęcia Sary, czułem na karku jej wzrok, w przedpokoju, w kuchni. Sergio wyniósł z salonu telewizor i powiesił na ścianie mapę Álavy, zaznaczał czarnymi pinezkami miejsca, które już odwiedził. Minęła pierwsza rocznica, udawał, że się nie zorientował, nawet nie zamówił za nią mszy. W tym czasie już tylko kilkoro z nas towarzyszyło mu podczas niedzielnych wycieczek. Woleliśmy inaczej spędzać weekendy. Paula, moja żona, nalegała jednak, żebyśmy nie zostawiali go samego.

– Twoja żona.

– Tak, moja żona – powtórzyłem; dawno już nie wypowiadałem tego jakże pospolitego słowa. – Jak mówiłem, z upływem miesięcy mapa Sergia zapełniała się czarnymi pinezkami, każdej niedzieli odwiedzał średnio pięć miejscowości. Wreszcie zostało już tylko kilka, w gminie Rioja Alavesa, w południowo-zachodnim rogu mapy: Oyón, Moreda, Yécora, Laguardia i Viñaspre. Nigdy nie zapomnę tych nazw. Dla nas to był szczególny tydzień. Od dwóch lat staraliśmy się o dziecko. W końcu musieliśmy zwrócić się o pomoc do kliniki. Dla Pauli to było piekło, przekłeta kolejka górską, a ja czułem się całkowicie bezradny, bo jedyne, co mogłem zrobić, to wspierać ją w czasie tej gehenny. Wreszcie usłyszeliśmy dobrą wiadomość. Kilka tygodni później cieszyliśmy się podwójnie: spodziewaliśmy się bliźniąt. Z trzech embrionów przeżyły aż dwa. Nie powiedzieliśmy o tym nikomu ze znajomych, byliśmy przerażeni, baliśmy się, że je stracimy. Ale to były zarazem najlepsze miesiące mojego życia. Mieliśmy nasz sekret, nie chcieliśmy się nim dzielić, patrzyliśmy ufnie w przyszłość. Nikt o niczym nie wiedział poza dziadkiem i moim bratem Germanem.

Skinęła, zachęcając mnie, żebym mówił dalej. Niebo w kolorze indygo,

charakterystycznym dla vitorskiego brzasku, powoli zaczynało się rozjaśniać.

– Paula była bardzo wysportowana – ciągnąłem. – Uprawiała wspinaczkę z Estíbaliz. Miała umięśniony brzuch, w pierwszych miesiącach nie było po niej widać, że jest w ciąży. W dwunastym tygodniu dzieci były już rozwinięte, idealne... Chcieliśmy poznać ich płeć, dziadek odnawiał kołyski moją i brata; byliśmy z Paulą wulkanami energii. Zależało nam, żeby jak najszybciej przygotować pokój dla naszych dzieci, by dzięki temu wszystko stało się bardziej realne. W czternastym tygodniu pojechaliśmy na konsultację, brzuch Pauli powoli rósł, mięśnie zaczynały wiotczeć. Wyniki USG przeszły nasze najśmielsze oczekiwania: chłopiec i dziewczynka. Bliźnięta dwujajowe. Byliśmy tak podekscytowani, rozgorączkowani i poruszeni, że musieliśmy o tym wreszcie powiedzieć. W weekend mieliśmy ze wszystkimi rozmawiać. Podarowałem Pauli jej pierwszą ciążową sukienkę. To działa się naprawdę. Wreszcie działa się naprawdę.

Alba w milczeniu skinęła głową, wiedziałem, że moje wspomnienia za bardzo przypominają jej własne.

– Tamtej niedzieli Sergio był wyjątkowo małomówny, bardziej niż zwykle – ciągnąłem. – Myślę, że wysyłał sygnały, które zignorowałem. Paula starała się wciągnąć go do rozmowy, a ja bez przerwy zadawałem sobie pytanie: „Co zrobisz w następną niedzielę, kiedy zabraknie już wiosek do zwiedzania?”. Ale nie miałem odwagi poruszyć przy nim tego tematu, był zbyt wycofany. Chodził wolniej, dotykał ścian budynków, patrzył na portyk kościoła w Oyonie, jakby kamienie szeptały mu słowa, których ja i Paula nie słyszeliśmy. Moja żona zaproponowała, żebyśmy w drodze powrotnej zahaczyli o Logroño i wpadli na *pintxos* do któregoś z barów przy ulicy Laurel. Sergio uprosił nas jednak, żebyśmy pojechali z nim do Bajauri. Podróżowaliśmy samochodem Sary, starym seatem sto dwadzieścia siedem, którego nie chciał oddać na złom. Poszliśmy z nim na cmentarz, stanął przed niszą żony i zrobił coś... coś, co teraz jest dla mnie całkowicie czytelne, ale wtedy nic mi nie mówiło poza tym, że mój przyjaciel bardzo cierpi... Padł na kolana z rozłożonymi rękami jak na obrazie *Rozstrzelanie powstańców madryckich* Goi. To był gest poddania, ale ja nie potrafiłem go zinterpretować. Paula podbiegła, żeby go podnieść, próbowała go pocieszyć, ale Sergio jej nie widział, nawet nie płakał. Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie wrócić do Vitorii.

– I wróciliście?

– Nie, nie wszyscy dotarliśmy do Vitorii, choć taki był plan – powiedziałem. – Wsiadliśmy do samochodu, Sergio za wszelką cenę chciał prowadzić, uparł się, nie zdołaliśmy mu tego wyperswadować. Ja

wylądowałem na fotelu pasażera, Paula siedziała z tyłu. Panowało krępujące milczenie, żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Podróż nie trwała długo. Kiedy wyjechaliśmy na prosty odcinek szosy obrośnięty sosnowym lasem, Sergio przyspieszył do stu dziesięciu kilometrów na godzinę i gwałtownie skręcił. Rozbiliśmy się o jedną z najgrubszych sosen, po prawej stronie, zaraz za przecinką. Nie wiem, czy ją kojarzysz, zawsze rzucała się w oczy. Sergio zginął na miejscu, w ostatniej chwili rozpiął pas i kierownica wbiła mu się w ciało. Seat nie miał z tyłu pasów, nie wiem, jak mogliśmy być tacy głupi, nigdy sobie tego nie wybaczę. Paula wyleciała przez przednią szybę i uderzyła głową w sosnę, połowa jej ciała zawisała na moim lewym ramieniu. Tylko ja miałem zapięte pasy. Byłem przytomny, ale nie mogłem się ruszyć, siedziałem w tej rzeźni do czasu, aż przyjechało pogotowie. Karetka odwiozła nas do Vitorii. Oni nie żyli, podobnie jak moje dzieci. Ja miałem tylko uraz kręgosłupa szyjnego i kilka zadrapań od odłamków szyby.

– Ja... Przykro mi.

– Wiem. Pozwól mi skończyć, skoro doszedłem już do tego miejsca, muszę opowiedzieć ci wszystko. Nie pamiętam, czy straciłem przytomność, podobno byłem tam sam przez jakieś czterdzieści minut. Ale nagle ujrzałem dziadka, trzymał strzelbę, akurat polował w lesie. Podbiegł, gdy tylko zobaczył wypadek, zaczął mnie uspokajać, powiedział, żebym nie patrzył na Paulę, żebym patrzył tylko na niego, żebym oddychał powoli, że zaraz przyjedzie karetka. Było mi zimno w głowę, dziadek zdjął swój beret – czego nigdy nie robi – i sam mi go włożył. Kiedy do szpitala przyjechał mój brat, zapytałem go o dziadka, powiedział, że jest w drodze do Vitorii. Wybrał się na weekend do uzdrowiska w Fitero w Nawarze, daleko od prostej wśród sosen. Dziadek raz w roku jeździ tam leczyć reumatyzm. Kiedy zjawił się w szpitalu, nie wspomniał ani słowem o tym, że pomógł mi w lesie, ja też nic nie powiedziałem. Ale myślę, że... Uznasz to za szaleństwo. Nie jestem religijny, nie wierzę w cuda ani w bilokację, ale myślę, że jakaś część dziadka była tam wtedy ze mną, jakiś fragment jego świadomości, nie wiem, jak to wytłumaczyć. Nie odstępował mnie na krok, aż wypisano mnie ze szpitala. Nie mówił dużo, po prostu był. Porzucił dla mnie swoje zajęcia w Villaverde. Czasami na mnie patrzył i wtedy obaj wiedzieliśmy, co wydarzyło się na prostej wśród sosen. Nikomu o tym nie mówiłem, nie wiem, dlaczego zwierzam się teraz tobie.

– Ktoś ci to musi powiedzieć. Zakładam, że brałeś pod uwagę możliwość, że odgięciowy uraz kręgosłupa szyjnego spowodował hipoksję, przyczyną halucynacji mogło być niedotlenienie mózgu.

– Powtarzam to sobie co noc. Tyle że...

– Co?

– Dziadek przyszedł bez beretu. Nigdy nie widziałem go bez nakrycia głowy, z odsłoniętymi siwymi włosami. Germán też był zdziwiony, nawet go o to zagadnął.

– I...?

– Kiedy wypisali mnie ze szpitala, oddali mi ubrania moje i Pauli i... był tam też beret dziadka. Wyłumacz mi, co robił beret marki Elosegui, jakie zawsze kupuje dziadek, w starym seacie sto dwadzieścia siedem.

– Istnieje tysiąc wyjaśnień... Jesteś śledczym. Nie brakuje ci wyobraźni ani zdrowego rozsądku – powiedziała, ale nawet ona nie wierzyła w swoje słowa.

– Nie byłem sam, Albo. On był ze mną, nie zostawił mnie samego. Nigdy mnie nie zostawiał i mam wrażenie, że nigdy tego nie robi.

– Któregoś dnia odejdzie, to musi być już bardzo stary człowiek, umrze przed tobą, takie jest prawo życia.

– Nie, nie rozumiesz. Należę do niezwykle długowiecznej rodziny. Moja cioteczna babka ma sto dwa lata i wcale nie zamierza umierać. Wuj mojego dziadka, wujek Gabriel, zmarł w wieku stu czterech lat, w latach sześćdziesiątych, kiedy średnia długość życia w tym kraju wynosiła sześćdziesiąt kilka. Możesz mi nie wierzyć, ale tak wyryto na jego grobie na cmentarzu w Villaverde. Żył o czterdzieści procent dłużej niż jego rówieśnicy. Dziadek będzie jednym z pierwszych znanych nam superstulatków, ja będę miał dziewięćdziesiąt lat, a on sto pięćdziesiąt i wciąż będzie piekł mi kasztany.

Alba spojrzała na mnie niemal z czułością. Nie wierzyła mi.

Jak miała mi wierzyć, przecież nie znała dziadka.

– Po pogrzebach wypisali mnie ze szpitala i wróciłem z dziadkiem do Villaverde. Dużo myślałem o Sergiu, o tym, jak bronił się przed żalobą, jak w patologiczny sposób starał się ją opóźnić, o tym, że bez zastanowienia pociągnął za sobą przyjaciół, tych, którzy byli mu podporą, tylko dlatego, że nie chciał stawić czoła życiu pozbawionemu celu, który wyznaczyła mu Sara. Nie był wyłącznie samobójcą, zabił jednocześnie trzy inne osoby, co uczyniło z niego masowego mordercę. Postanowiłem sobie, że za wszelką cenę wyciągnę lekcję z tego doświadczenia. Nie oszczędzałem się, świadomie przeszedłem wszystkie pięć etapów żałoby: zaprzeczenie, gniew, targowanie, depresję i akceptację. Wszystkie. Każdy z nich był bolesny, ale w żadnym momencie nie pomyślałem sobie, że moje życie skończyło się tam, na prostej

wśród sosen tylko dlatego, że mój przyjaciel i moi najbliżsi zginęli w tamtym wypadku. Ja nie zginąłem. Miałem jednak przeświadczenie, że można było zapobiec samobójstwu Sergia, a tym samym śmierci Pauli i bliźniąt. To właśnie wtedy postanowiłem zostać w dochodzeniówce i wyspecjalizować się w profilowaniu. Ale coś się zmieniło, od tamtej pory nie mogę patrzeć na zwłoki. Jesteś moją przełożoną, więc nie powinienem ci o tym mówić, ale... dostaję mdłości, fizycznie źle to znoszę.

– Przywykniesz na nowo, większość z nas w którymś momencie przechodzi coś takiego.

– Nie chcę przywyknąć. Właśnie o to chodzi, traktuję to jak pokutę, cenę, jaką muszę płacić za źle wykonaną pracę, za to, że nie zdążyłem na czas.

Mówiłem za dużo. Mówiłem za dużo i miałem tego świadomość. A rozmowę kontroluje ten, kto mówi mniej. Na tym polegała jedna z moich taktyk podczas przesłuchań, a teraz sam świadomie wpadałem w pułapkę.

Nie mogłem przestać, nie chciałem przerywać w połowie tego całkowitego obrażenia się przed Albą.

– Zapisalem się na kurs profilowania kryminalnego, zacząłem studiować mowę ciała i motywy zachowań, niekiedy tak przewidywalne i przejrzyste, jakby każdy z nas miał nad głową komiksowy dymek. Rzecz w tym, że nikt nie zadaje sobie trudu, żeby podnieść wzrok i przeczytać, co krzyczymy. Wiesz, co to jest rezylencja?

– Umiejętność wydobycia czegoś pozytywnego ze złych doświadczeń.

– Od tamtej pory ciężko pracowałem, żeby stać się lepszym śledczym, starałem się, by to doświadczenie uczyniło mnie też lepszym człowiekiem. Ale nie jestem świętym. To ma też swoją mroczną stronę, nie ufam już przyjacielom, nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś zaufał komukolwiek ze swojego otoczenia. Nie dlatego, że uważam, że celowo chcą mnie skrzywdzić. Byliśmy z Paulą jedynymi osobami, które po prawie dwóch latach nadal wspierały Sergia, jedynymi, które niemal w każdą niedzielę towarzyszyły mu podczas jego wycieczek, ale Sergio nie pomyślał o nas, kiedy uderzył w tamtą sosnę. Jego instynkt samobójczy, potrzeba, by skończyć ze swoim życiem, były po prostu silniejsze niż choćby odrobina człowieczeństwa czy wdzięczności wobec najlepszych przyjaciół. Niczego się nie domyślaliśmy, początkowo mówiłem sobie, że nie dało się tego przewidzieć. Ale potem przejrzałem statystyki dotyczące metod samobójców. Większość chce umrzeć gwałtownie, rzucając się w próżnię. Sergio mieszkał na drugim piętrze, a pracował w lokalu na parterze. Nie miał w Vitorii miejsca, z którego mógłby skoczyć, nie opuszczając swojej strefy komfortu. Są też tacy, którzy

okaleczają się białą bronią: oszczędzają twarz i zawsze się wcześniej rozbierają. Sergio cierpiał na belonofobię, strach przed igłami, bał się również widoku krwi. Zatem podcięcie sobie żył odpada. Zostaje powieszenie. Sergio nie umiał robić węzłów, nie miał zdolności manualnych, wykazywał lateralizację skrzyżowaną i nie bardzo wiedział, gdzie jest prawa, a gdzie lewa strona. Nie radził sobie z wykonywaniem konkretnych poleceń, unikał wszelkiej pracy fizycznej.

– Do czego zmierzasz?

– Zmierzam dokądś, dokąd jeszcze nie dotarłem. Chcę zostać tak dobrym profilerem, żeby być pewnym, nie oszukując samego siebie, że gdyby Sergio stanął dziś przede mną, poddałbym go obserwacji jako potencjalnego samobójcę. I na pewno nie pozwoliłbym mu usiąść za kółkiem. Dlatego teraz lubię swoją pracę bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Mordercy, przestępcy, oprawcy są przewidywalni i to mi odpowiada. Paradoksalnie czuję się przy nich pewnie, bo zawsze spodziewam się najgorszej reakcji i zazwyczaj mnie nie zawodzą.

– W takim razie bardzo się różnimy. Ty wierzysz w prewencję, ja jestem raczej fatalistką.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Jestem głęboko przekonana, że jeżeli morderca postanowił cię zabić, nic na to nie poradzisz – wyjaśniła, nieświadomie bawiąc się zawieszonym na szyi gwizdkiem, z którym zawsze biegała. – Znajdzie sposób i odpowiedni moment. Wszyscy kroczymy przez życie nieprzygotowani. Zdradzieckie pchnięcie nożem w brzuch na ulicy albo w bramie? Szklanka napoju z trucizną, zamiana białego wina na przemysłowy płyn do mycia naczyń? Płatny zabójca, który podziurawi cię kulami, kiedy czekasz na czerwonym świetle? Kabel ładowarki zaciskający się wokół twojej szyi? Generalnie zwykły obywatel nie jest w stanie uniknąć śmierci, jeżeli ktoś postanowił go zabić. Lubię zgłębiać sprawy, którymi się zajmujemy, analizować miejsca zbrodni i zastanawiać się, jak uszłabym z życiem, gdybym to ja została zaatakowana. Nie oszukuję się jednak: nieważne, jak będę przygotowana, motywacja napastnika zawsze będzie górą.

– Właśnie dlatego wierzę w prewencję – obstawałem przy swoim. – Stąd moja obsesja, żeby go ująć, zanim popełni kolejne morderstwo.

– Nie możemy zapewnić ochrony wszystkim trzydziestoletnim mieszkańcom Vitorii o złożonym alavskim nazwisku. To cztery tysiące

sześćset trzydzieści dwie osoby. Mimo naszych zaleceń dotyczących bezpieczeństwa morderca odkryje jakąś lukę. Liczył się z tym. Znajdzie sposób, żeby dokonać egzekucji.

– Podkomisarz nie powinien tak rozumować – obruszyłem się. – To ogranicza moje pole działania.

– Ścigasz mordercę, który od dawna planował swoje zbrodnie, to oczywiste. Nie sądzę, żeby udało ci się zapobiec kolejnej, ale myślę, że możesz wyjaśnić wcześniejsze, a to paradoksalnie powstrzyma następne.

– Nie jestem pewien, czy to był komplement, czy nagana. Tak czy inaczej, łamiemy naszą umowę.

– Mam tego świadomość, Kraken. – Spojrzała na zegarek. – Pędzę, zanim złamię kolejną obietnicę. Widzimy się za dwie godziny.

Pobiegła susami pronatora w dół ulicy, jej białe legginsy zniknęły mi z oczu. Świtało, zapowiadał się upalny dzień.

Patrząc, jak się oddala, poczułem się jeszcze bardziej samotny niż zwykle. Gdyby to była jakaś inna babka, zaprosiłbym ją na pokrzepiające śniadanie, z gatunku tych wyrefinowanych.

Czasami po prostu tak się dzieje. Tracisz głowę. Tracisz głowę, chociaż tego nie chcesz, dla kogoś, dla kogo nie powinienesz. Nie ma to nic wspólnego z twoją wolą, zamiarami ani tym, czy to odpowiednia osoba. Winę ponoszą pewnie feromony, jakiś ulotny czynnik, nienamacalny, ale rzeczywisty. I teraz to właśnie się działo. Bo chociaż byłem niby taki wyemancypowany i niezależny, to nasłuchiwałem tupotu jej butów, odgłosu jej truchtu, który potrafiłem rozpoznać, kiedy zbliżała się wyludnionymi ciemnymi ulicami naszej cichej Vitorii. Bo znowu budziłem się z silną erekcją, jak nastolatek, bo musiałem walić konia, kiedy po bieganiu spuszczałem (wybaczcie to słowo) na siebie wodę pod prysznicem, bo wiedziałem, że wkrótce znów stanę się seksualnym snajperem szukającym miłości przy barze. Dawałem sobie jakieś dwa tygodnie.

Złożenie wniosku o przeniesienie nie wchodziło w tym momencie w rachubę. Prowadziłem najważniejszą sprawę w swojej karierze, wiedziałem – byłem o tym do bólu przekonany – że morderca nie odpuści. Dlaczego miałbym zostawiać temu skurwielowi wolną rękę?

Nie przypuszczałem wówczas, że ten skurwiel też nie zamierza zostawiać wolnej ręki mnie.

ANIOŁ Z CMENTARZA ŚWIĘTEJ ELŻBIETY

Zaczął się drugi akt: próby, sprzymierzeńcy, wrogowie. Najbardziej subiektywny etap wyprawy bohatera. Zaufaj pierwszemu wrażeniu, #Kraken

2 sierpnia, wtorek

Był to jeden z tych dni, kiedy skwar daje się we znaki już od świtu, powietrze stało, jakby ktoś zamknął miasto w szklanym słoiku i wystawił go na słońce. Ci, którzy zapowiadali tylko falę upałów, okazali się zbyt ostrożni w swoich prognozach.

Ukryci w nieoznakowanych samochodach policjanci od rana filmowali żałobników przed cmentarzem Świętej Elżbiety w dzielnicy Zaramaga.

Estíbaliz czekała na mnie przy żelaznej bramie, ubrana po cywilnemu, w ciemnych okularach. Wkrótce zjawił się optyk Antonio Fernández de Betoño w towarzystwie kilku przedstawicieli władz miasta. Ledwo zaszczycił nas spojrzeniem; siedł nieporuszony niczym przewodnik modnych ostatnio wycieczek po cmentarzu.

Za nim podążali krewni eskortujący jakąś kobietę, prawdopodobnie jego byłą żonę. Podtrzymywana przez liczne przyjaciółki ukrywała rozpacz za okularami przeciwsłonecznymi, tak dużymi, że ledwo pozwalały dostrzec jej twarz. Płakały także koleżanki Enary. Peio siedł sam, wciśnięty w za mały garnitur, z włosami zebranymi w kucyk, wrzucając do każdego mijanego kosza mokrą chusteczkę. Wyglądał na załamanego i zdezorientowanego.

Ja i Esti szliśmy w milczeniu, obserwując wszystko z uwagą.

Cmentarz powstał na początku XIX wieku, kluczenie między starymi grobami było jak podróż w przeszłość, posągi modlących się dzieci i płaczące Maryje szeptały do ucha opowieści, po których strach jest zasnąć.

– Wczoraj w nocy obejrzałem na wideo pierwsze programy Tasia Ortiza de Zárate. Opowiadał o kościołach, o archeologii...

– Znalazłeś coś? – przerwała mi szeptem. Staaliśmy przy rodzinnym grobowcu optyka w rozsądnej odległości od żałobników.

– Możliwe, Esti. Możliwe. Kiedy wrócimy na komendę, opowiem ci na spokojnie o swoim odkryciu. Ale najpierw powiedz mi, co pamiętasz z Ochate?

– Tej wioski widma? Pojechaliśmy tam, kiedy byłam mała, wszyscy tam jeździli po tym, jak w okolicy rzekomo pojawiło się UFO. Pamiętam, że kiedy się zbliżaliśmy, po ciele przeszedł mi dreszcz. Nie wiem, czy to rzeczywiście epidemie wyludniły to miejsce, ale faktem jest, że w powietrzu unosiło się coś... jakby złowieszczego. Pamiętam, że po podwójnych zbrodniach z dolmenu i La Hoi mieszkańcy Treviño mówili, że znowu widzieli nocą dziwne światła w pobliżu słynnej wieży w Ochate.

– Pojechaliście tam... całą rodziną?

Estíbaliz zsunęła na nos ciemne okulary i wbiła we mnie twarde spojrzenie.

– Tak naprawdę pytasz, czy mój brat ma jakikolwiek związek z Ochate. Nie baw się tak ze mną, Kraken, nie sonduj mnie, nie jestem jednym z twoich świadków, jestem twoją przyjaciółką. Jeżeli znalazłeś jakieś dowody na to, że mój brat ma coś wspólnego ze zbrodniami, powiedz mi to wprost.

– Jeszcze nic nie mam, ale w tamtej okolicy, w promieniu zaledwie kilku kilometrów, wystąpiło kilka zjawisk, które być może mają związek ze zbrodniami. Imię twojego brata pada zawsze, gdy jest mowa o pogaństwie i ezoteryce. Ta sprawa nie daje mi spokoju, tak samo jak tobie. Po prostu chcę go raz na zawsze wykluczyć.

– Albo oskarżyć.

– Nie, wcale nie, ale wkrótce złożę mu wizytę. Wolę, żebyś o tym wiedziała, chociaż nie chcę, żebyś go uprzedzała, już ci to mówiłem. Wyklucz go i będziemy mogli pójść innym tropem, zgoda?

Estíbaliz burknęła coś w odpowiedzi. Oddaliłem się jedną z alejek. Stare gazety podawały, że na tym cmentarzu w 1989 roku została pochowana matka Tasia i Ignacia. Chciałem odszukać jej grobowiec.

Minąłem jedno z najsłynniejszych epitafiów cmentarza: „Proszę pamiętać, że ja nie chciałem”.

A któż chciał, przyjacielu, a któż chciał, odpowiedziałem w myślach lokatorowi grobu.

W końcu znalazłem miejsce, którego szukałem. Drzwi były w bardzo złym stanie, jednak mimo upływu wieków granitowy grobowiec rodziny Unzuetów

wciąż wyglądał imponująco.

Poczułem na karku nieprzyjemne mrowienie. Zirytowany wstrząsnąłem ramionami, ale dziwne wrażenie nie minęło, nie wiedziałem, co je spowodowało. Dopiero kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem posąg.

Wieńczący kopułę kamienny anioł wbijał we mnie spojrzenie. Miał złożone skrzydła, był ubrany w klasyczną tunikę, w jednej ręce trzymał trąbkę, drugą wznosił ku jasnemu letniemu niebu.

Zrobiłem kilka kroków w lewo, ale anioł podążył za mną wzrokiem. Wiedziałem, że to tylko złudzenie optyczne, przeszkadzało mi nie jego spojrzenie, lecz wewnętrzny dyskomfort, jakbym cierpiał na niestrawność albo miał zaraz dostać zawału.

– Trzeba mieć odwagę, żeby tak przed nim stać. Nie boi się pan, że anioł pana wskaże? – zapytał czyjś głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem mniej więcej sześćdziesięcioletniego mężczyznę w roboczym kombinezonie z herbem miasta. W jednej ręce trzymał konewkę, drugiej nie miał. Jego twarz, ogorzała wskutek długiego przebywania na świeżym powietrzu, przypominała pergamin.

– Powinienem bać się posągu? – zapytałem z ulgą.

Obecność robotnika sprawiła, że zimny dreszcz, który przebiegał moje ciało, nagle ustąpił.

– Widzę, że nie zna pan legend tego cmentarza. Nie wie pan, że to słynny anioł z panteonu Unzuetów, który opuszcza rękę i wskazuje tych, którzy umrą w najbliższej przyszłości?

Wydało mi się, że gdzieś już słyszałem tę historię, ale najwyraźniej nie poświęciłem jej należytej uwagi.

– Proszę mi ją opowiedzieć, brzmi ciekawie.

– Raczej budzi strach. Niech pan pójdzie ze mną, i proszę nie stawać na wprost anioła, ludzie patrzą na to krzywym okiem. – Odciągnął mnie swoją jedyną ręką. – Jak pan widzi, przy cmentarzu stoją bloki, mieszka w nich dużo ludzi. Ludzi, którzy widzą ze swoich balkonów i z pokoi cmentarne alejki, groby, grobowce. Dzięki Bogu nie chowa się tu już tak często zmarłych, wszyscy lądują teraz na cmentarzu Zbawiciela. Wyobraża pan sobie, jak wpływa na samopoczucie codzienne patrzeć na ludzi oplakujących swoich bliskich?

Przeszliśmy kilka metrów i zatrzymaliśmy się. Czuję, że chociaż temu poczciwinie brakuje jednej ręki, doskonale wywiązuje się ze swoich

obowiązków. Po drodze wyrwał parę wybujałych chwastów, najwyraźniej nie przeszkadzało mu poranne słońce, które parzyło nam plecy.

– I pan to mówi? Przecież pan tu pracuje.

– Było ciężko, zanim otwarto drugi cmentarz. Nie wybrałem sobie tej roboty, po prostu nie znalazłem niczego innego, kiedy przyjechałem tu z mojej wsi. Znałem się tylko na rolnictwie, ale że byłem najmłodszy z czterech braci, nie starczyło dla mnie ziemi. Zresztą po tym, jak młocarnia pozbawiła mnie ręki, we wsi uznano, że nie nadaję się do pracy na polu, nie mogłem prowadzić traktora ani kombajnu. Co miałem robić? Teraz już przywykłem, praktycznie rzecz biorąc, jestem ogrodnikiem, ale nie można zapominać, że to cmentarz, *ilherri*. Jeśli zna pan baskijski, będzie pan wiedział, co to znaczy: „miasto zmarłych”; to oni są mieszkańcami tego miasta, ja tylko utrzymuję je w dobrym stanie. Przechowuję narzędzia w komórce w głębi, możliwie jak najdalej od grobów, wolę trzymać się od nich z daleka.

– A co z tą legendą o aniele? – zapytałem, starając się wrócić do początku rozmowy.

– Nie jest zbyt przyjemna, ale ją panu opowiem. Mówi się, że pewna dziewczynka mieszkająca w bloku naprzeciwko któregoś dnia zobaczyła ze swojego pokoju, jak anioł opuszcza kamienną rękę i wskazuje mężczyznę, który akurat przechodził ulicą prowadzącą na cmentarz. W tym momencie na chodnik wjechała ciężarówka i potrafiła tego człowieka; zginął na miejscu. Rozhisteryzowana dziewczynka opowiedziała o wszystkim matce, ale ta jej nie uwierzyła. Jakiś czas później dziecko znowu zobaczyło, jak kamienny anioł opuszcza rękę i wskazuje mężczyznę czytającego gazetę na tamtej ławce. Chciała zejść na dół i go ostrzec, ale nie zdążyła, bo z grobowca Ataurich, o, tego tutaj, oderwał się ogromny krzyż i przygniótł biedaka. Dziewczynka miewała odtąd ataki paniki, matka bardzo się o nią martwiła. Najgorsze stało się jednak jakiś czas później, kiedy nad miastem przeszła burza, z tych, co to nas od czasu do czasu nawiedzają, z grzmotami i błyskawicami. Dziewczynka była w swoim pokoju i wyjrzała przez okno na cmentarz. Tego dnia anioł odwrócił się i wskazał ją. Zaczęła krzyczeć, zawołała matkę, żeby opowiedzieć jej, co widziała. Matce udało się ją uspokoić i mała wreszcie zasnęła, ale następnego ranka... Proszę zgadnąć. Dziewczynka leżała martwa w łóżku. Nie wiadomo, czy umarła z przerażenia, czy w wyniku ataku paniki.

– Interesująca legenda. – Spojrzałem kątem oka na anioła. – Pan wierzy w takie opowieści z zaświatów?

– Osobiście nie przepadam za zmarłymi, ale żywi są jeszcze gorsi, jak ci

bliźniacy, przez których pełno tu dziś krewnych opłakujących tych dwoje dzieciaków... Wiedział pan, że są potomkami handlarza niewolników, który spoczywa w tym grobowcu?

– Tak, coś o tym słyszałem.

– Wrodzili się w ojca swojego prapradziada. Ci chłopcy to były diabły wcielone. Gdyby pan widział, co zrobili, kiedy chowano tutaj ich matkę, nie miałby pan wątpliwości, że w żyłach tej rodziny płynie zła krew, która przechodzi z rodziców na dzieci.

Znieruchomiałem, wreszcie trafiłem na naocznego świadka tamtych czasów.

– Co dokładnie zro...? – zacząłem, ale wtedy nadbiegła Estíbaliz z komórką w dłoni.

– Musisz to zobaczyć, Kraken! – powiedziała zdyszana, zatrzymując się przede mną.

– Mógłby pan nas na chwilę zostawić? – Odwróciłem się do ogrodnika, ale on już zniknął między grobami, jakby nigdy go nie było.

Spiorunowałem Esti wzrokiem.

– Chyba straciliśmy ważnego świadka. Co tym razem? – zapytałem.

Nie udało mi się ukryć poirytowania.

Spojrzała na mnie uważnie, łapiąc oddech. Wyglądała na zadowoloną, dostrzegłem w jej oczach błysk zwycięstwa albo ulgi, którego kilka minut wcześniej w nich nie było.

– Świadka? Tego ogrodnika? Zostaw go, musisz to zobaczyć – powtórzyła. – To wszystko zmienia, trzeba porozmawiać z bliźniakami, z jednym i drugim. Od dwudziestu lat ukrywają przed nami prawdę.

– O co chodzi, Esti? – zapytałem, udając ciekawość.

W głowie wciąż rozbrzmiewały mi słowa starszego mężczyzny.

– Sam zobacz! – Podsunęła mi pod nos swoją komórkę. – I chodźmy kupić gazetę.

– Kolejne wydanie specjalne „El Diario Alavés”? Co wypisują tym razem?

Spojrzałem na wyświetlacz i skamieniałem.

Przeczytałem tytuł, ale w pierwszej chwili go nie zrozumiałem. Nie miałem pojęcia, o chodzi, co próbuje nam przekazać to lapidarne zdanie:

ZBRODNIA PRZY ŚREDNIOWIECZNYM MURZE

TO EFEKT ZAZDROŚCI BRACI O NIELETNIĄ DZIEWCZYNĘ?

– Lepiej spójrz na zdjęcia, Kraken. Tym razem nie ma wątpliwości, to już nie są czyste spekulacje. Gazeta publikuje zdjęcia. Zamordowana piętnastolatka miała romans zarówno z Tasiem, jak i z Ignaciem. Oszukali nas, obaj twierdzili, że jej nie znali. Ignacio skłamał nam wręcz w żywe oczy, że nie pamięta, co było w raporcie z jej sekcji zwłok. Jak może jej nie pamiętać?

– Zaczekaj, zaczekaj... – Powstrzymałem ją ruchem dłoni. – Za dużo informacji naraz, Esti. Daj mi minutę.

– Zgoda. Popatrz na zdjęcia, popatrz na te dwa dwudziestopięcioletnie aniołki wykorzystujące piętnastolatkę.

Kliknąłem w link do artykułu. Nie było wątpliwości, zdjęcia nie wyglądały na fotomontaż. Ignacio Ortiz de Zárate ubrany w policyjny mundur i Lidia García de Vicuña szepczący sobie czułe słówka, ukryci za drzewem przy Paseo de la Senda niczym para potajemnych kochanków. Na kolejnym zdjęciu to Tasio obejmował Lidię w talii, roześmiani wchodzili nocą do kamienicy numer jeden przy wyludnionej ulicy Dato.

MONTE DE LA TORTILLA

Vitoria, lipiec 1970

Blanca pierwszy raz prowadziła samochód. Rozklekotany citroen ds należący do Álvara nie onieśmiał jej tak bardzo jak olbrzymia zielona isotta fraschini męża. Wiedziała, że Javier nigdy by się nie zgodził, żeby za kierownicą jego auta usiadła kobieta. W razie potrzeby woził ją jego wierny sekretarz Ulises. Mężczyzna utykał, jedno ramię miał wyższe od drugiego – twierdził, że przez niefortunny cios w czasie bójkki wycięto mu nerkę. Zdaniem Blanki przypominał gawrona. Ponury typ, który odpowiadał na jej pytania kraknięciem. To on jej pilnował, kiedy spotykała się z nowymi koleżankami, jakby była małą dziewczynką, która może się zgubić, jeśli znajdzie się sama w mieście.

Álvaro był inny. Po zbliżeniu, do którego doszło między nimi w jego gabinecie, uznali, że nie powinni spotykać się w Vitorii. Robili więc krótkie wypadki samochodem na Monte de la Tortilla, niewielkie wzniesienie położone zaledwie kilometr na południe od centrum miasta, z którego w słoneczne dni można było zobaczyć góry gminy Llanada Alavesa.

Jak wiele młodych par, które nie mieszkały razem, wjeżdżali samochodem na wzgórze, zasłaniaли szyby rękami i kochali się na siedzeniach ze skaju. Potem nadzy, błyszczący od potu, słuchali w Radiu Vitoria koncertu życzeń. Zawsze ktoś prosił o *Let It Be* Beatlesów, którzy grozili już rozstaniem, i *El cóndor pasa*, andyjską melodię dziwnego duetu o nazwie nie do wymówienia.

– Nie możemy tego dłużej ciągnąć – powiedziała Blanca.

Leżała na tylnym siedzeniu, spoglądając w sufit.

– Dlaczego? To najlepsze, co zdarzyło mi się w życiu. Dla ciebie nie? – odpowiedział Álvaro z fotela pasażera, wciągając białe slipy.

– Ależ tak, oczywiście, że tak. Przecież wiesz. Właśnie o tym mówię, nie powinniśmy robić tego dłużej w samochodzie na środku wzniesienia. Któregoś dnia zjawi się policja i zatrzyma nas za sianie zgorszenia. Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Co więc sugerujesz?

– Mówiłam ci już, że w zeszłym tygodniu zmarła moja ciotka. Nie byliśmy ze sobą bardzo zżyte, ale jestem jej jedyną siostrzenicą i zostawiła mi w spadku jedno ze swoich mieszkań. Jest kompletnie wyposażone, chociaż na mój gust zbyt zagracone. Powiedziałam Javierowi, że chciałabym zmienić wystrój salonu na bardziej nowoczesny, żeby móc zapraszać tam koleżanki, kiedy znudzi nam się siedzenie w klubie. Spodobał mu się ten pomysł, uspokaja go myśl, że kiedy on jest w pracy, ja będę siedzieć zamknięta w czterech ścianach, z dala od ludzkich spojrzeń.

– To znaczy, że masz mieszkanie? – zainteresował się Álvaro.

– Tak, jedynym problemem jest lokalizacja. Ulica General Álava dwa, to ten modernistyczny budynek na rogu z San Antonio. Samo centrum. Ktoś mógłby zobaczyć, jak wchodzimy do środka. Ale ja chwilowo mam pretekst w postaci remontu, a ty zawsze możesz powiedzieć, że odwiedzałeś w okolicy jakąś pacjentkę. Nigdy nie powinniśmy razem wchodzić ani wychodzić, musimy odczekać co najmniej pół godziny. Zawsze miej ze sobą swoją torbę lekarską, udawaj, że to wizyta domowa. Jeżeli telefon w twoim gabinecie zadzwoni cztery razy i ucichnie, to znaczy, że tego dnia mogę się z tobą zobaczyć i czekam na ciebie w mieszkaniu.

– Cztery dzwonki – upewnił się Álvaro.

Spodobał mu się ten pomysł.

– Cztery dzwonki – powtórzyła Blanca. – Dużo ryzykujemy. Gdyby Javier się dowiedział... Nie mam pojęcia, do czego by się posunął, chociaż mogę się domyślić. Chcesz... Sądysz, że powinniśmy to ciągnąć, dalej kusić los?

Álvaro w samych slipach i skarpetkach przelazł na tylne siedzenie. Miał mokre włosy – był gorący lipcowy dzień i w samochodzie panował upał.

– Wiesz, że nie potrafię racjonalnie myśleć, kiedy jesteś przy mnie. Byłem szarym człowiekiem wiodącym szare życie, nie zamierzam wracać do tego koloru. Jeżeli ty chcesz to kontynuować, ja też chcę. Będzie jeszcze czas, żeby żałować – powiedział, ściągając bieliznę i wsuwając się między nogi Blanki.

Przekreślił się i zanurzył twarz w jasnych włosach pokrywających jej łono, podczas gdy ona lizała jego nabrzmiały członek.

POSAŃG Z ULICY DATO

Musimy porozmawiać. Nie daj się zatruć niczym, co o mnie usłyszysz, #Kraken

2 sierpnia, wtorek

Ktoś już poinformował Tasia, ktoś z więzienia przekazał mu wiadomość, bo kiedy wszedłem do sali numer trzy, był rozdygotany. Chodził od ściany do ściany, potrącając krzesło. Pomyślałem, że jego czaszka zaraz eksploduje, rozpadnie się na tysiąc kawałeczków, tak mocno zaciskał szczęki. Nie od razu mnie zauważył. Z pewnym zniecierpliwieniem czekałem, aż wreszcie usiądzie.

– Teraz już na pewno nie mogę wrócić do Vitorii, nawet gdybym udowodnił, że nie jestem mordercą. Uważają mnie za deprawatora nieletnich, nigdy mi tego nie wybaczą – powiedział przez słuchawkę, wbijając wzrok w swoje paznokcie.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim się w to wpakowałeś. Byłeś dorosłym mężczyzną, celebrytą, ona miała piętnaście lat. Naprawdę myślałeś, że ta bomba nie wybuchnie ci w rękach?

– Nie rozumiesz. Ona była inna, wyjątkowo dojrzała jak na swój wiek. Chcieliśmy poczekać dwa lata i siedem miesięcy, aż osiągnie pełnoletniość, i ujawnić nasz związek. Wybaczyliby mi. Kiedy Lidia skończyłaby już osiemnaście lat, wybaczyliby mi różnicę wieku.

– Jasne – odpowiedziałem. – Tak jak wybaczyli ojcu twojego prapradziadka, że ożenił się ze swoimi dwiema bratanicami. O to w tym chodzi? O to, że możesz sobie pozwolić na wszystko wyłącznie z racji pochodzenia, dlatego że urodziłeś się w tej, a nie innej rodzinie?

– Czyżby coś mi umknęło i wróciliśmy do walki klas? – Podniósł wzrok. – Będziesz się teraz wywyższał, bo sam jesteś wnukiem rolników?

Nawet nie podjąłem rękawicy. Tego dnia Tasio stracił całą swoją władzę i strzelał na oślep.

– Uważaj. Wiesz równie dobrze jak ja, że właśnie obroniłeś tytuł narodowego antybohatera. Może jeszcze ci nie powiedziano, co wyprawia się w tej chwili na Twitterze: obserwujący twój profil masowo dezertują. Wcześniej śledzenie twoich tweetów było uważane za działalność wywrotową, teraz ludzie się tobą brzydzą. Pojawił się nowy *trending topic*: TwinMurderers. Bliźniaczy mordercy, tak was nazywają. A to i tak najłagodniejsze z określeń krążących w sieci: gwałciciele dziewczynek, zbrodnie, zabójcy nieletnich...

Zmrużył oczy niezadowolony.

– Albo wyjaśnisz mi wreszcie wszystko, co chcę wiedzieć, albo przestanę tu przychodzić i słuchać twoich teorii – ciągnąłem. – Decyzja należy do ciebie, stary. Dobrze się zastanów. Muszę dziś jeszcze odwiedzić sporo osób.

Tasio był starym wyjadaczem, potrafił w porę przyznać się do porażki.

– Zgoda, w końcu po coś tu przyjechałeś – ustąpił wreszcie. – Co chcesz wiedzieć?

– Opowiedz mi, co łączyło was z Lidią Garcíą de Vicuña. Was obu. Jestem pewien, że w najbliższych dniach nasłucham się różnych wersji tej historii, więc może na początek dowiem się, jaka jest prawda.

– Prawda... – zaczął i zapalił papierosa, którego natychmiast zgasił w popielniczce. – Prawda jest taka, że Lidia spotykała się najpierw z Ignaciem, ale była dla niego tylko kolejną zabawką. Mój bliźniak zwykle sztywno przestrzegał zasad, zdziwiło mnie, że umawia się z tak młodą dziewczyną. Potem jednak mi ją przedstawił, przedstawił mi ją i... Zgodnie z legitymacją szkolną Lidia miała piętnaście lat, ale mentalnie była starsza od nas. To, co łączyło mnie i ją, było inne, nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Straciłem głowę, dla niej byłem gotów zaryzykować wszystko. Postanowiłem utrzymać nasz związek w tajemnicy, żeby jej nie zaszkodzić...

– Nie zaszkodzić? Została zamordowana, Tasio.

– To prawda. To niestety prawda. Zniknęła któregoś dnia, w środku tego medialnego tsunami, w którym uczestniczyłem, moje programy telewizyjne miały coraz większą oglądalność, morderstwa dzieci sterroryzowały całe miasto. Ludzie okrzyknęli mnie bohaterem, bo próbowałem doszukać się w miejscach zbrodni historycznych tropów. Pamiętam ostatni program, który nagrałem. Jej ciało znaleziono przy średniowiecznym murze, obok zwłok piętnastoletniego chłopaka, w porównaniu z nią jeszcze dzieciaka. Byłem w szoku, ale musiałem udawać. Nie mogłem powiedzieć nikomu, nawet swojemu bliźniakowi, że pragnę jedynie wyszarpać sobie wnętrzności.

Dyrektorka stacji naciskała, żebym jak najszybciej nagrał ten przekłety program, w którym miałem przeanalizować, dlaczego morderca wybrał akurat to miejsce. Pozostałości po średniowiecznej Vitorii, restauracja blanków... Nawet nie pamiętam, co mówiłem, wiem, że nagranie zostało przerwane, bo przyszła policja i zatrzymała mnie na oczach całej ekipy. Zapytałem o Ignacia, nic z tego nie rozumiałem. Dowiedziałem się, że to on wydał rozkaz.

– Pomyślałeś wtedy, że to zemsta. Że dowiedział się, że podprowadziłeś mu dziewczynę – zarzuciłem pętlę z nadzieją, że wsadzi w nią głowę.

No dalej, daj mi jakiś punkt wyjścia do dalszego śledztwa.

– Mylisz się. Ignacio nie miałby odwagi jej zabić. Przecież do znudzenia studiowałeś profile morderców. Ignacio do nich nie pasuje, jest...

Jest beta, czy nie to właśnie chcesz mi powiedzieć? Bo jako alfa nie dopuszczasz myśli, że osobnik beta, taki jak twój brat, mógłby sam wykonać brudną robotę?

– Po dwudziestu latach nadal go bronisz?

– Uwierz mi, jestem sam na tym tonącym statku i staram się ratować własną skórę. Nie bronię go, ale jeżeli pozwolę ci myśleć, że to był on, znowu będziesz tracił czas i nie odkryjesz tożsamości prawdziwego mordercy. Powiedz mi, geniuszu, kto wysłał zdjęcia do prasy, komu jest na rękę ich opublikowanie? Mnie, Ignaciowi? Na Boga, przecież to dla nas obu nóż w plecy. Jesteśmy skończeni! Ten, kto za tym stoi, wznosi dziś toast dom perignonem.

– Masz wrogów, to może być krewny jednego z dzieci, które zamordowałeś, ktoś z ich otoczenia, komu nie spodobało się, że znowu jesteś gwiazdą. Zostałeś skazany za osiem zabójstw, niedługo wyjdiesz na przepustkę. Naprawdę myślisz, że ludzie na ulicy będą klaskać na twój widok tylko dlatego, że zrobiłeś w więzieniu karierę? Przychodzą mi do głowy setki powodów, dla których chcieliby uprzykrzyć ci życie.

Spojrzał na mnie bliski rozpacz.

– Chcę tylko, żebyś widział nie to, co widzi większość. Jesteś moją jedyną szansą na bezpieczne wyjście na wolność, potrafiś to zrozumieć?

Widzę, że nie zdołam cię skłonić, byś wyrażał się źle o swoim bracie, zmienmy w takim razie temat, w przeciwnym razie wyjdę stąd z pustymi rękami, pomyślałem.

– Wobec tego zajmijmy się czymś, co ma związek z widzeniem nie tego, co widzi większość. Rozmawiam teraz z archeologiem. Pamiętasz program poświęcony trójkątowi utworzonemu przez kościółki w Ochate, San Vicentejo

i Burgondo?

– Tak, oczywiście. Nie miał dużej oglądalności, dopiero zaczynaliśmy i nie wiedzieliśmy jeszcze, jaki kierunek nadać tym programom, ale temat był bardzo ciekawy, zgodny z linią, którą chciałem przyjąć.

– Co masz na myśli? – zachęciłem go, by mówił dalej.

– No bo widzisz, abstrahując od UFO i rzekomych biblijnych plag, jestem przekonany, że ta okolica była dla zamieszkujących ją ludzi ważną enklawą mistyczną, telluryczną. Chociaż jako naukowiec nie wierzę w takie rzeczy, myślę, że dla ówczesnych mieszkańców i budowniczych tych kościołów to miejsce miało w sobie coś wyjątkowego, było w przeszłości ośrodkiem spotkań pewnych grup.

– Przeprowadziłeś wywiad ze starszym mężczyzną, kimś w rodzaju mistrza kamieniarskiego, który odnawiał kościółek w San Vicentejo, ale w programie nie pada jego nazwisko, a na wszystkich ujęciach, kiedy rozmawiacie, stoi odwrócony plecami. To kwestia montażu?

– Nie chciałem, żeby ktokolwiek rozpoznał go na nagraniu. Zależało mi na zachowaniu dyskrecji, starsi ludzie, których zapraszaliśmy do programu, często nas o to prosili. Dlaczego pytasz mnie o to wszystko?

Bo jedna z płaskorzeźb wiernie odzwierciedla ułożenie ofiar, przekłety, chory narcyzie, i chcę wiedzieć, czy to ty skopiowałeś ten pomysł, czy też prawdziwy morderca ma nad nami większą przewagę, niż sądzimy.

– To ja zadaję pytania. Zdecyduj się, czy chcesz mi pomóc w śledztwie, Tasio – odparłem zmęczony tym przeciąganiem liny. – Pamiętasz, jak się nazywał, czy nie?

Westchnął głęboko, zrezygnowany.

– Tak, pamiętam. Niech no się zastanowię, nazywał się... Tiburcio. Tiburcio Sáenz de Urturi, pochodził z Ozaety. Zapamiętałem, bo zawsze myślałem, że nie pasuje do swojego profilu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie był zwykłym murarzem, tylko znawcą średniowiecznych budowli. Dużo wiedział o ówczesnej symbolice, okazał się kopalnią wiedzy na temat kościółka. Kimś w rodzaju uczonego ignorantą, genialnego prostaka, że się tak wyrażę.

– Wiesz, gdzie go znajdem?

– Pytasz mnie o to dwadzieścia lat później? Jeśli jeszcze żyje, może nadal mieszka w swojej wiosce, a może trafił do jakiegoś domu opieki. Pewnie nie

ma wielu osób o takim imieniu i nazwisku. Założę się, że zdobędziesz jego adres, zanim zapalisz silnik swojego samochodu.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – powiedziałem, podnosząc się z krzesła. – Powiedz mi, co zrobisz ze swoim profilem na Twitterze? Wszyscy będą cię teraz hejtować.

– Wiesz, że nie mam żadnego profilu na Twitterze, ale gdybym go miał, nadal wysyłałbym ci wiadomości i próbował wskazać właściwy kierunek w śledztwie. Tak właśnie bym zrobił, Kraken.

Bez słowa skinąłem głową i wyszedłem z pokoju widzeń.

Gdy tylko wsiadłem do samochodu, zadzwoniłem do Estíbaliz. Wysłaliśmy dwóch policjantów na ulicę Dato, mieli przekazać Ignaciowi, żeby w związku z ostatnimi wydarzeniami złożył nam wizytę na komendzie.

– Co powiedział Ignacio? – zapytałem, gdy tylko odebrała.

– Ignacio nie powiedział nic. Nie ma go w domu, a przynajmniej nie daje znaku życia, nie odbiera też komórki ani żadnego innego telefonu. Jadę z dwoma policjantami do jego domku w Laguardii. Jeżeli i tam go nie znajdziemy, trzeba będzie porozmawiać z sędzią Olano, żeby wydał nakaz aresztowania.

– Jeszcze zdążymy, Esti. Chyba nie mamy wystarczających argumentów, żeby przekonać sędziego.

– Uważasz, że okłamanie nas w kwestii relacji z jedną z ofiar to mało?! – krzyknęła mi do ucha, tracąc cierpliwość.

– Myślę, że jest nam winien wyjaśnienia, ale dysponujemy jedynie zdjęciami, na których widać, jak czule się przytulają. To nie dowód na popełnienie morderstwa.

– Czemu tak bronisz tych bliźniaków, Unai? Nawet teraz nie wydają ci się podejrzani?

– Zrozumiesz, kiedy dziś po południu opowiem ci o wszystkim w moim gabinecie. Teraz jedź szukać Ignacia, jeśli go znajdziesz, mocno go przyciśnij. Mnie czeka jeszcze kilka spotkań.

Około godziny później dotarłem do centrum Vitorii. Przez olbrzymie drzwi wszedłem do budynku przy ulicy General Álava i wjechałem na ostatnie piętro, gdzie od zarania dziejów mieściła się redakcja „El Diario Alavés”.

Chłopak z recepcji spojrział na mnie spanikowany, musiał mnie rozpoznać, pewnie widział mnie kiedyś z Lutxem albo hasztag Kraken miał znacznie

większy zasięg, niż przypuszczałem.

– Szukam Lutxa.

– Siedzi przy swoim biurku – powiedział zakłopotany. – Jeśli pan chce, mogę go uprzedzić.

– Nie musisz go uprzedzać. Na pewno ucieszy się na mój widok.

Ruszyłem przejściem między biurkami. Dziennikarze podnosili głowy i odprowadzali mnie wzrokiem.

Lutxo siedział na samym końcu, rozmawiał przez telefon z prędkością stu słów na minutę, jego komórka niemal dymiła. Był u szczytu popularności. Szczęśliwy, triumfujący.

Zauważył mnie dopiero po chwili: może to pełna wyczekiwania cisza, jaka nagle zapadła wokół nas, skłoniła go do podniesienia głowy.

– Słuchaj... Zadzwońę później. Mamy pożar w redakcji – powiedział do rozmówcy, gdy mnie zobaczył. – Szybki jesteś, Kraken.

– To ty jesteś szybki, Lutxo.

– Przejdźmy do tego pokoju, jest pusty. – Wskazał mi dłonią drogę, wstając z krzesła.

Jego koledzy wbili wzrok w ekrany komputerów, udając, że w skupieniu pracują nad artykułem dla swojego działu, żeby zdążyć przed zamknięciem wydania o dziewiętnastej.

Lutxo zatrzasnął za sobą drzwi. Z dużych okien roztaczał się widok na dachy starówki, nad którymi górowała wieża kościoła Świętego Michała.

– No dalej, wyrzuć to z siebie, przyjacielu – wypalił. – Tylko nie krzycz za głośno, tutaj ściany mają uszy.

– Przyjacielu? Wyciąłeś mi niezły numer, p r z y j a c i e l u. Opublikowałeś to, co opublikowałeś, nie pytając mnie, jakie to może mieć konsekwencje dla śledztwa. Powiedz, na jakich zasadach opiera się teraz nasza współpraca, p r z y j a c i e l u?

– Współpraca, Unai? Co niby nazywasz współpracą? Nie dałeś mi nic, absolutnie nic.

– Bo nic nie mamy, do jasnej cholery! – krzyknąłem, zapominając, gdzie jestem i z kim rozmawiam.

– No to teraz już macie. Lepiej weź się do roboty, Vitoria i pół świata czekają na rezultaty. Ja już swoje zrobiłem.

Odwróciłem się do niego plecami i próbowałem się uspokoić, spoglądając

na kontury dachów.

– Niech ci będzie. Nie przyszedłem tu, żeby zrobić ci scenę. Przyszedłem jako inspektor prowadzący śledztwo. Gazeta, dla której pracujesz, opublikowała artykuł podpisany twoim nazwiskiem, zawierający zdjęcia mężczyzny skazanego za zabójstwo w towarzystwie jednej z ofiar. Jak trafiły w twoje ręce?

– Wiesz, co zawsze mówimy o naszych źródłach.

– Nie pierdol, Lutxo. To przeklęte źródło może być kluczem do powstrzymania zbrodni, nie obchodzi cię, że morderca będzie dalej zabijał? Kto to był? Eguzkilore?

– Eguzkilore? – zapytał zdumiony. – Gdzie tam. To znaczy z tego, co wiem, raczej nie.

– Z tego, co wiem? Czyli nie wiesz? Nie wiesz, kto ci je przysłał, o to chodzi?

Zrobił bezradną minę i pogładził się po białej bródce.

– Trudno cię oszukać, Unai.

– W takim razie nie próbuj. To proste. Nie próbuj. Kto przekazał ci te zdjęcia?

Przerwało nam pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzał posępny mężczyzna w eleganckim garniturze. Na jego widok Lutxo stanął na baczność.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku, szefie. Mój gość już wychodził – odpowiedział, prosząc mnie spojrzeniem, żebym się nie odzywał.

Wreszcie miałem okazję zobaczyć mitycznego i tajemniczego redaktora naczelnego „El Diario Alavés”, człowieka o dużych wpływach, który w ostatnich dekadach pokazywał się tylko nielicznym. Wyglądał zbyt normalnie i zbyt bezbarwnie, zważywszy na mroczną legendę, jaką obrosła jego postać.

Opuściłem salkę konferencyjną, unikając wzroku Lutxa, i zszedłem z siódmego piętra schodami – tak szybciej mi się myślało. Aktualności rządziły, przynajmniej dla reszty świata, ale ja uparcie chciałem zobaczyć coś więcej niż tytuł.

Czas, potrzebowałem jedynie czasu. Czasu na znalezienie czegoś konkretnego.

Rozległ się dzwonek komórki, spojrzałem na nazwisko na wyświetlaczu i postanowiłem odebrać.

– Dzień dobry, inspektorze. Masz chwilę?

– Nie bardzo. Co zamierzacie napisać w „El Correo Vitoriano”?

Mario Santos przez moment się zastanawiał, po czym odpowiedział, jak zwykle opanowany:

– Jesteś w centrum? Może udałoby nam się spotkać. Ja też mam dziś masę spraw na głowie, naczelny chodzi po ścianach.

– Widzimy się za pięć minut w Usokari, jeśli ci pasuje – zaproponowałem.

– Jeszcze nie jadłem obiadu.

Chwilę później, kiedy kończyłem piąte *pintxo*, do baru wszedł Mario i zajął krzesło naprzeciwko mnie. Wybrałem najbardziej ustronny stolik, pod oknem wychodzącym na ulicę Arca.

– Domyślam się, że czytałeś specjalne wydanie „El Diario Alavés” – powiedział na powitanie.

– Wiedziałeś o tym?

Jego mogłem o to zapytać, nie bałem się, że cokolwiek przede mną ukryje.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie. W redakcji od dwudziestu lat krążyły plotki. Wiadomo było, że obaj lubili młodsze. Kiedy oskarżono Tasia, Ignacio sprytnie zagrał medialną kartą, godząc się na poprowadzenie programu dla telewizji. W ten sposób zamknął wszystkim usta, ale w pewnych kręgach zawsze podejrzewano, że ta piętnastoletnia dziewczyna była jedną z ich przyjaciółek. Wtedy przymykało się oczy na niektóre sprawy. Zanim go aresztowano, Tasio był nietykalny, tak jak później Ignacio. „El Correo Vitoriano” nie chciał powtarzać plotek ani przeprowadzać wywiadów z ludźmi, którzy nie mieli oporów przed ich rozpowszechnianiem. Po co było dalej grzebać w tym bagnie, kiedy na stole sekcyjnym leżały zwłoki ośmiorga dzieci. Liczyło się to, że morderstwa ustały.

Mieszał spokojnie swoją kawę z mlekiem, czekając, aż dojem przekładaniec z tortilli.

– Tym razem musimy zareagować, rozumiesz to, prawda? Przyjeliśmy znacznie mniej agresywny ton, ale nasi czytelnicy czekają na gazetę, liczą, że dowiedzą się z niej czegoś więcej. Nie chcę jednak zamieszczać niczego, co byłoby sprzeczne z wersją oficjalną.

– Nie mogę ci zabronić opublikowania tych zdjęć, i tak są już powszechnie dostępne. Powiem jedynie, że śledztwo podąża także w innych kierunkach.

– Myślałem, że to wystarczy, żebyście skupili się na otoczeniu bliźniaków – stwierdził, dopijając kawę.

Mario rzadko opowiadał się po którejkolwiek ze stron – spojrzałem na niego zaskoczony.

– Twój szef aż tak cię przyciska?

– Staram się go hamować, ale, rzecz jasna, zamierza opublikować historię zabójstwa w afekcie na całą stronę. Zadzwoiłem do ciebie prywatnie: nie chcę robić niczego, co mogłoby zdenerwować oficjalne źródła. Dla mnie to długoletnia współpraca, świat nie skończy się jutro, nie skończy się też na tej sprawie, nie chcę palić za sobą mostów, pisząc coś, co poróżniłoby nas z policją.

– Wierz mi, to duża ulga trafić na dziennikarza, który myśli tak jak ty. Będę cię na bieżąco informował, zadzwonię do ciebie, jeżeli będę miał coś, co można by opublikować, zresztą jak zwykle.

– Na to liczę, inspektorze. – Spojrzał na zegarek.

Zapłacił przy barze za swoją kawę i moje *pintxos* i wyszedł. Postanowiłem zajrzeć do lodziarni Di Breda przy ulicy Dato i zakończyć obiad porcją lodów śmietankowych. Była to jedyna rzecz, która mogła osłodzić mi ten dzień.

Kiedy wychodziłem z Usokari, odebrałem nieoczekiwany telefon. Dzwoniła Aitana, ciężarna eks Ignacia.

– Inspektorze Ayala, jest coś, o czym chciałabym z panem porozmawiać, coś, czego panu nie powiedziałam – szepnęła swoim ochrypłym głosem nałogowej palaczki.

– To ważne? – zapytałem.

– Dla mnie bardzo. Myślę, że dla pana także. Czytał pan gazetę?

A kto nie czytał?

– Czy to ma jakiś związek z bliźniakami?

– Tak, oczywiście.

– Wiem, że proszę panią o zbyt wiele, ale dziś już raczej nie znajdę czasu na spotkanie. Czy mogłaby pani opowiedzieć mi o tym przez telefon albo przynajmniej z grubsza wyjaśnić, o co chodzi?

Dała sobie kilka sekund na zastanowienie.

– Zgoda. – Usłyszałem, jak wypuszcza dym. – Tasio i Ignacio się mną wymienili.

– Zechciałaby to pani wytłumaczyć?

– Przez dwadzieścia siedem lat nikomu o tym nie mówiłam. Wymienili się mną. To była jedna z ich gier, zawsze się przechwalali, że potrafią się

wymieniać dziewczynami, tak żeby się nie połapały. Kiedy zaczęłam chodzić z Ignaciem, nie wierzyłam, że jest do tego zdolny, przynajmniej wobec mnie. Mieliśmy dopiero po osiemnaście lat, ale łączyło nas coś poważniejszego niż Tasia i jego przygody na jedną noc. W tamtym czasie zmarła ich matka, Ignacio bardzo to przeżył, a ja przez cały czas byłam przy nim. Po prostu... nie sądziłam, że Ignacio zgodzi się zrobić mi coś takiego. Dlatego z nim zerwałam.

– Co dokładnie się wydarzyło? – zapytałam, idąc ulicą Dato.

– Któregoś dnia Ignacio zadzwonił i powiedział, żebym przysła do niego do domu. Wie pan, do pałacyku Unzuetów, w którym się wychowali. Zwykle zapraszał mnie, kiedy wiedział, że przez kilka godzin będziemy sami. Korzystaliśmy z okazji i kochaliśmy się jak szaleni w jego pokoju. Tamtego dnia poprosił mnie przez domofon, żebym przysła prosto do jego sypialni. Była pograżona w półmroku, Ignacio leżał na łóżku. Pieściliśmy się w milczeniu, czułam, że jest jakiś dziwny: chwilami reagował jak nie on, w jego ruchach było coś obcego... Mimo to kochałam się z nim. Dopiero kiedy skończyliśmy i zaczęliśmy rozmawiać, zorientowałam się, że to nie jest Ignacio.

– Na jakiej podstawie...? Niech pani nie myśli, że to chora ciekawość, po prostu muszę o to zapytać.

– Żaden problem, to nie jest dla mnie tak intymna kwestia, jak mogłoby się wydawać. Kiedy tylko otworzył usta, wiedziałam, że to Tasio. Miał inny głos, mówił szybciej, bardziej beztroskim tonem, bardziej jak Tasio. To było przerażające: odkryć, że leżę naga w łóżku z innym facetem.

– Co pani zrobiła?

– Zaczęłam krzyczeć, że nie jest Ignaciem, on się roześmiał i przyznał mi rację, powiedział, że miał na mnie straszną ochotę i jego brat się zgodził, że mają wobec siebie długi i w ten sposób je egzekwują. Uciekłam, wzięłam ubranie i wybiegłam. Przez kilka dni chodziłam roztrzęsiona. Ignacio nawet się nie bronił, kiedy z nim zerwałam. Powiedział tylko, że wiedziałam, z kim się umawiam, kiedy zaczęliśmy się spotykać, jakby wszyscy poza mną spodziewali się tej wymiany.

Wzięłam głęboki oddech, nie miałem już ochoty na lody śmietankowe od Bredy. Nie miałem ochoty na nic. Zrobiłem kilka kroków i usiadłem na ławce przy odlanym z brązu posągu toreadora. Przynajmniej on wyglądał na kogoś, komu można zaufać.

– Nie zgłosiła pani tego na policję?

– Na policję? – Roześmiała się, jakbym opowiedział jej kiepski dowcip. – Co miałam zgłosić? To, jak było miło? Gwałt, przy którym aktywnie współpracowałam?

– Pani Aitano, oszukano panią, żeby przespała się pani z kimś, z kim nie zamierzała się pani przespać.

– Wiem, powtarzam to sobie każdego dnia, kiedy wstaję z łóżka. Powtarzam to sobie, bo tak kazał mi psycholog, trzymam się jego zaleceń. Jestem gotowa świadczyć przeciwko nim. Milczałam od osiemnastego roku życia, bo byli nietykalni, ukrywałam, jak bardzo się nimi brzydzę, kiedy umawialiśmy się całą paczką. Nie chcę już dłużej milczeć.

– Dlaczego nadal się pani z nimi spotykała? Dlaczego aż do dziś broniła pani Ignacia?

– A co, miałam odciąć się od przyjaciół? Mieszka pan w tym mieście, wie pan, jak jest.

– W porządku. Co pani zamierza?

– Nawet jeżeli doszło do popełnienia przestępstwa, to uległo ono przedawnieniu. Ale opowiedzenie panu o tym było dla mnie ważnym krokiem. Czuję... ulgę, a nie wstyd, jak do tej pory. Po prostu myślę, że wreszcie zrobiłam to, co powinnam. To mi chyba wystarczy.

– Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale bardzo mi pani pomogła. Dziękuję za szczerość – powiedziałem.

Toreador z brązu rzucił mi spojrzenie. Przysięgłbym, że jemu też zrobiło się niedobrze.

Kiedy dotarłem na komendę, Estíbaliz jeszcze nie było, udałem się więc do gabinetu Pancorba.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co zapamiętałeś ze śledztwa w sprawie morderstwa przy średniowiecznym murze.

– Jasne, pytaj – powiedział, jakby od dawna czekał na tę rozmowę.

– W pochwie piętnastolatki znaleziono nasienie Ignacia czy Tasia?

– Tasia.

– Czy właśnie dlatego Ignacio kazał aresztować brata?

– Jeśli chodzi o chronologię wydarzeń, to na pewno było detonatorem.

– To znaczy?

– Wiedziałem, że Ignacio kręci z jakąś bardzo młodą dziewczyną, ale nie

myślałem, że jest nieletnia, nie wyglądała na piętnaście lat. Wydawała się dojrzała, szczerze mówiąc, nie przyszło mi do głowy, że Ignacio może być aż tak głupi albo aż tak zdeprawowany. Był niezwykle dyskretny, bardzo się starał, żeby tego nie odkryto, ale wiesz, jak to jest między kumplami z pracy. Kiedy spędzasz z kimś tyle czasu, dostrzegasz jego zmiany humoru, orientujesz się, kiedy kłamie, kiedy jest daleko myślami...

– Tak, wiem. Wszyscy tak mamy – uciałem skrępowany.

– Kiedy dostaliśmy wyniki sekcji zwłok, był bardzo wzburzony, widziałem, że jest wściekły, chociaż nic nie powiedział. Nigdy by się nie przyznał, trafiłby do więzienia za wykorzystywanie nieletniej. Potem znaleziono truciznę z cisu i wszystko potoczyło się już bardzo szybko.

– Jak to znaleziono truciznę?

– Ignacio miał klucze do mieszkania Tasia przy Dato. Weszliśmy tam, kiedy jego brat nagrywał program w siedzibie stacji telewizyjnej. To ja znalazłem w jego gabinecie plastikową torbę z liśćmi cisu. Była dobrze ukryta za wiszącym na ścianie glinianym *eguzkilore*. Tyle wystarczyło, żeby Ignacio kazał go aresztować. Oczywiście później okazało się, że odciski zdjęte z torby należą do Tasia i że trucizną wykrytą w ciałach ośmiu ofiar jest cis. Piętnastolatkom podano wcześniej narkotyki, najprawdopodobniej po to, żeby nie stawiali oporu i wypili trujący napar.

– A rodzice dziewczyny? Dlaczego nie powiedzieli nic prasie? Dlaczego aż do dziś nie wyszło na jaw, że Tasio uprawiał z nią seks, zanim zginęła? Zważywszy na to, jaką prowadzono na niego nagonkę, rodzice również powinni byli dorzucić swoje trzy grosze.

– Na pewno wiedzieli, że Lidia spotyka się z którymś z bliźniaków, może nawet wiedzieli, że z obydwoma. Nie mówili nic z obawy przed napiętnowaniem. Ich córka nie żyła, była męczennicą, ofiarą. Tasio trafił do więzienia, a skandal nie wyszedł na jaw. Rozumiem ich, nie chcieli rozgrzebywać tej sprawy.

– Tak, ja też jestem w stanie ich zrozumieć – przyznałem. – Powiedz mi jedną rzecz: po tym wszystkim, co się stało, nie podejrzewasz, że to Ignacio wykradł raport z sekcji zwłok dziewczyny, żeby nie pomyślano, że kierował się względami osobistymi?

– Chcę być wobec niego sprawiedliwy. Nie jestem mu niczego winien, podobnie jak on mnie, ale chcę być sprawiedliwy wobec dawnego kolegi. Łatwo byłoby dać się ponieść oburzeniu, którym kipią dziś wszystkie bary w tym mieście, i zacząć się na nim wyżywać. Ale jeśli chcę być dobrym

policjantem, muszę przyznać, że nie mam zielonego pojęcia.

– Bardzo mi pomogłeś, Pancorbo. Wielkie dzięki.

– Jestem do twojej dyspozycji – szepnął.

Kiedy wychodziłem, wpatrywał się w ekran komputera, na którym z pewnością niczego nie widział.

Niedługo potem zwołałem naradę, podkomisarz Salvatierra i Estíbaliz czekały na mnie w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Zaczęła moja koleżanka.

– Nadal nie namierzyliśmy Ignacia, dom w Laguardii jest zamknięty na cztery spusty. Mimo to nie zdołaliśmy przekonać sędziego Olano, żeby wydał nakaz aresztowania. Damy mu jeszcze kilka godzin, powinniśmy wykorzystać ten czas na znalezienie obciążających go dowodów.

Przyszła moja kolej: streściłem im rozmowy z Tasiem, Aitaną i Pancorbem.

– Uważam, że powinniśmy zrobić krok w tył i przyjrzeć się temu, co wydarzyło się od dnia poprzedzającego Día del Blusa, jak widzowie, którym jest wszystko jedno, czy mordercą okaże się któryś z bliźniaków, czy ktokolwiek inny.

– Co ma pan na myśli, inspektorze? – zapytała Alba.

Zatrzymałem na niej wzrok o parę sekund za długo. Zauważyłem, że jest zmęczona – tak jak ja.

– Seria zabójstw popełnionych na zimno i z premedytacją, których anonimowe ofiary muszą spełniać jedynie dwa kryteria – wieku i nazwiska – łączy się ze zbrodnią, którą próbują nam teraz sprzedać jako zabójstwo w afekcie. Ale jego ofiara także spełnia te dwa kryteria, dlatego uważam, że to tylko montaż.

– Mów jaśniej, Unai. – Estíbaliz zmarszczyła czoło.

– Ktoś za tym stoi i nie jest to żaden z bliźniaków: gdyby ostatnia zbrodnia była zabójstwem w afekcie, to czemu miałyby służyć wcześniejsze ofiary? Skąd zgodność wieku, skąd charakterystyczne nazwiska? Ta dziewczyna od początku miała być jedną z ofiar.

– Zgoda, ale to nie oczyszcza z podejrzeń żadnego z bliźniaków – zauważyła Esti.

– Założmy, że mordercą jest Tasio. Teoria, jakoby od początku chciał zabić swoją dziewczynę, eks swojego brata, i dla zmyłki zamordował wcześniej siedmioro innych dzieci, nadając wszystkiemu pogańską otoczkę, nie ma większego sensu. A na dodatek zostawił ślady własnego nasienia. To trochę

nieprofesjonalne.

– Ale za to pasuje do Ignacia – powiedziała Estíbaliz. – Wyobraźmy sobie, że Ignacio chciał zabić swoją byłą za to, że przespała się z jego bratem. Zaplanował wszystko od początku. Zabił siedmioro innych dzieci, inscenizując morderstwa z historią w tle, pozwolił, żeby jego dziewczyna poszła do łóżka z Tasiem, aby podczas sekcji zwłok znaleziono jego nasienie. Żeby zrzucić winę na brata, w jego gabinecie, w torbie z jego odciskami, którą znalazł Pancorbo, podłożył dowód wskazujący na użycie trucizny z cisu... Teraz wszystko się zgadza.

– W porządku, mogło tak być, ale to, co stało się dzisiaj? Moim zdaniem to największy błąd, jaki popełnił morderca w ciągu tych dwudziestu lat. Ten, kto wysłał zdjęcia do gazety, śledził bliźniaków, jeszcze zanim zginęła dziewczyna, trzymał dowody przez dwie dekady i akurat dziś postanowił pokazać je światu. To nie jest sprawka Tasia ani Ignacia. Zdjęcia nie tylko im szkodzą: pogrążają ich. Nie ma sposobu, żeby wyszli z tego obronną ręką, teraz obaj są pedofilami, nikt im tego nie wybaczy. Dlatego jestem pewien, że oni tego nie zrobili. Jest ktoś trzeci, komu zależy na tym, żeby ich oskarżyć i skończyć z nimi raz na zawsze. Najpierw zajął się Tasiem, teraz chce, żebyśmy wszyscy myśleli, że mordercą jest Ignacio. Musimy być o krok przed nim, nie o krok za nim.

– Co wobec tego pan sugeruje, inspektorze? – zapytała Alba.

– Trzeba oczywiście zlokalizować Ignacia, dowiedzieć się, co robił dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego lipca i sprawdzić jego alibi, ale powinniśmy także nadal badać otoczenie bliźniaków, środowisko, w którym obracali się od dnia narodzin do dwudziestego piątego roku życia. Musimy odkryć prawdziwy motyw, bo ktoś bardzo inteligentny i bardzo cierpliwy uważa, że ma powody, żeby ich zniszczyć. To chyba morderca o najbardziej złożonym profilu, z jakim kiedykolwiek się zetknąłem: dwudziestoletni okres wyciszenia wskazuje, że mamy do czynienia z psychopatą zdolnym przez długi czas kontrolować swoje emocje. Nie sądzę, że popełni błąd, że uda nam się go zaskoczyć. Myślę, że na razie odsłonił przed nami zaledwie początek swojego planu.

TXAGORRITXU

Nie daj się wciągnąć w jego grę, nie zmieniaj strategii na tym etapie. Uporządkuj pierwsze tropy. Trzymaj się ich, #Kraken

3 sierpnia, środa

Była szósta rano, kiedy wyszedłem pobiegać. Nazajutrz miały się rozpocząć uroczystości ku czci Białej Panienci, ulice nie będą już tak puste, jak bym chciał. Tak naprawdę wolałbym, żeby były niemal wyludnione.

Niemal.

Tym razem jednak nie dostrzegłem nigdzie jej czarnego warkocza. Skupiłem się więc na bieganiu, pokonałem stałą trasę i godzinę później byłem z powrotem na placu Virgen Blanca. Już miałem wejść do kamienicy, kiedy przypomniałem sobie o pewnej zaległej sprawie. Ruszyłem do kiosku na rogu Postas – moja przyjaciółka Nerea wykładała właśnie gazety.

– Dzień dobry – przywitałem się, stając za jej plecami.

Aż podskoczyła, zanim odwróciła się w moją stronę.

– Kraken! To znaczy Unai. Ale mnie wystraszyłeś! – Przyłożyła dłoń do piersi.

– Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać. O Krakenie, o strachu... O tym, że nie umiesz trzymać buzi na kłódkę i bez mojej zgody robisz ze mnie celebrytę.

– O czym ty mówisz? Wcale o tobie nie rozmawiałam... No może trochę, jak wszyscy – powiedziała, dmuchając w grzywkę.

Podszedłem jeszcze bliżej, niemal dotknąłem lady. Kiosk miał zaledwie dziewięć metrów kwadratowych. Klasyczna taktyka zastraszenia. Byliśmy przyjaciółmi, bardzo ją lubiłem, ale należało uświadomić jej kilka rzeczy.

– Nereo, musisz przestać to robić. Rozumiem, że klienci zadają pytania. Cała Vitoria nie mówi o niczym innym, ale to nie znaczy, że masz pokazywać komórkę z moim zdjęciem każdemu, kto tu zagląda, i rozpowiadać, że to ja

jestem Krakenem... Zdajesz sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo mnie narażasz?

– Niebezpieczeństwo? – Wzruszyła ramionami. – Odrobina sławy nikomu nie zaszkodzi, niejeden byłby zadowolony, a ty się obrażasz.

Przysunąłem się jeszcze bliżej, chociaż moja koszulka była mokra od potu.

– Nic nie rozumiesz. To nie jest plotka z tabloidu. Nie przyszło ci do głowy, że mogłaś rozmawiać z mordercą i go do mnie doprowadzić, pokazując mu moje zdjęcie? Naraziłaś mnie na niebezpieczeństwo. Może powiedziałaś to komuś, kto powiedział to komuś, kto powiedział to komuś. Jeżeli coś mi się stanie, będziesz potrafiła spać spokojnie?

Przełknęła ślinę.

– Unai, przepraszam. Nie pomyślałam. Mówisz poważnie?

– Niestety tak, mówię poważnie. Moja praca to nie zabawa, a te morderstwa nie są symulacją. To, co zrobiłaś, nie jest przestępstwem, ale niewiele brakuje, żebym przestał uważać cię za przyjaciółkę. Jeżeli nadal będziesz pokazywać ludziom moje zdjęcie, przekroczyś czerwoną linię i możesz zapomnieć o naszej przyjaźni, do końca życia się do ciebie nie odezwę.

– Kurczę, przepraszam... – wyjąkała czerwona jak burak. – Nie miałam pojęcia.

– Wiem, Nereo, wiem. Ale musisz przestać.

Spuściła głowę zawstydzona.

– Masz moje słowo. Od tej pory nie puszczę pary z ust.

Będzie ciężko, pomyślałem. Ale przynajmniej wiedziałem, że spróbuje. W gruncie rzeczy nie była zła, po prostu brakowało jej silnej woli.

Pożegnałem się i pobiegłem do domu.

Tego ranka wybrałem się do ośrodka opieki w dzielnicy Txagorritxu. Po szybkim przeszukaniu elektronicznych rejestrów znalazłem Tiburcia Saenza de Urturi z Ozaety, osiemdziesięciosiedmioletniego wdowca niemającego już żadnych krewnych na tym świecie.

Nie zawiadomiłem o tym Estíbaliz, nie chciałem psuć jej dnia. Miałem świadomość, jak trudne są dla niej wizyty u ojca przebywającego na oddziale dla osób z alzheimerem. Estíbaliz pochodziła z nieco dysfunkcyjnej rodziny, nigdy o tym nie mówiła, ale wiedziałem, że jej ojciec bywał agresywny wobec swoich dzieci. Wiadomość o jego chorobie przyjęła zarówno z ulgą, jak

i z niepokojem.

Dom opieki znajdował się niedaleko komendy, mimo to postanowiłem podjechać tam samochodem. Zaparkowałem na terenie ośrodka otoczonego sosnami i innymi drzewami ocieniającymi ławki, na których rozmawiali lub drzemali pensjonariusze.

Wszedłem do budynku i udałem się wprost do recepcji. Pokój Tiburcia był na drugim piętrze. Wjechałem windą poruszającą się równie wolno jak mieszkańcy tego emeryckiego mikroświata.

Kiedy drzwi wreszcie się rozsunęły, ujrzałem przed sobą trzy korytarze. Pchnąłem jedno z metalowych drzwi z okienkiem, żeby zapytać o drogę pielęgniarską.

Chłopak w jasnoniebieskim uniformie prowadził pusty wózek inwalidzki. Już miałem do niego podejść, kiedy zza moich pleców dobiegł szept:

– Kraken... – usłyszałem niski głos.

Odwróciłem głowę spanikowany – nieźle się wystraszyłem. Przede mną stał mężczyzna w kapciach i dresie drużyny Deportivo Alavés. Nie wyglądał na starca. Rozpoznałem go po rudych włosach przemieszanych na skroniach z siwizną. Patrzył na mnie brązowymi oczami, identycznymi jak oczy jego córki. Wydało mi się, że widzę w nich łobuzerski błysk. Odniosłem wrażenie, że w ciele chorego pacjenta kryje się inteligentna – albo momentami inteligentna – istota, która walczy, żeby wydostać się na powierzchnię.

– Pan Ruiz de Gauna, prawda? – zapytałem, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji: nie mogłem sobie przypomnieć imienia ojca Estíbaliz. Powinienem?

– Kraken... – powtórzył.

Widocznie pamiętał mnie z czasów, kiedy mieliśmy z Esti po kilkanaście lat i czasami nasze paczki razem wybierały się w góry.

– Halo! Nie wolno panu tu przebywać, jeżeli nie jest pan krewnym któregoś z pacjentów! – zawołała szczupła, przewyższająca mnie wzrostem pielęgniarka.

Podeszła do ojca Estíbaliz i posadziła go z powrotem na wózku.

– Szukam pokoju dwieście trzydzieści osiem, ale obawiam się, że to nie tutaj. Może mi pani wskazać drogę?

Rzuciłem ojcu koleżanki ostatnie spojrzenie. Patrzył niewidzącym wzrokiem, odniosłem jednak wrażenie, że tylko udaje przy pielęgniarce.

– Opuści pan to skrzydło i pójdzie niebieskim korytarzem, który ma pan

przed sobą – odpowiedziała kobieta.

Posłusznie zastosowałem się do jej instrukcji i wkrótce odnalazłem pokój, którego szukałem.

Zastukałem do drzwi. Minęła dłuższa chwila; zapukałem ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie. Wreszcie doczekałem się odpowiedzi.

– Kogóż to przyniosło?

Miał zdarty, bezdźwięczny głos, jakby cierpiał na przewlekłe zapalenie płuc. Odważyłem się otworzyć drzwi. Moim oczom ukazał się staruszek skulony na wózku inwalidzkim. Białe rzadkie włosy, wystające kości policzkowe, wychudła twarz, niegdyś sympatyczna, teraz wyniszczona upływem czasu. Jego skóra zachowała ciemną karnację właściwą ludziom, którzy całe życie przepracowali w polu. Był wystrojony w garnitur i krawat, jakby na kogoś czekał albo był honorowym gościem jakiejś organizowanej przez miasto gali.

– Don Tiburcio?

– Kto pyta? – rzucił niecierpliwie.

– Inspektor Unai López de Ayala. Myślę, że pańska wiedza na temat kościółka Niepokalanego Poczęcia w San Vicentejo mogłaby pomóc w śledztwie, które prowadzę.

– Coś się stało z kościółkiem? – zapytał lekko zaniepokojony.

– Nie, proszę się nie martwić, stoi na swoim miejscu i świetnie się trzyma. Czy pamięta pan Tasia Ortiza de Zárate?

– Archeologa z telewizji? Tak, jak miałbym go zapomnieć. Wulkan energii, wiercił mi dziurę w brzuchu, dopóki nie zgodziłem się wystąpić w tym jego przeklętym programie. Dobry chłopak, kto by powiedział, że tak skończy... Należał do jednej z tych rodzin, które... No wie pan, które były tu od zawsze, nikt nie przypuszczał, że może spotkać ją coś złego. Ja osobiście... wierzę raczej w równość, przez wielkie R. Ale proszę tak nie stać, niech pan przy mnie usiądzie – zachęcił, wskazując małe drewniane krzesło pod oknem wychodzącym na płaski dach z białego kamienia.

– Powiedziano mi, że to pan przeprowadził ostatni remont kościółka w San Vicentejo i że jest pan kimś w rodzaju mistrza kamieniarskiego, jakich się już dziś nie spotyka, a do tego specjalistą od ikonografii.

– Tak, można powiedzieć, że moja rodzina wywodzi się z pradawnej gałęzi budowniczych... – odpowiedział mechanicznie, jakby wyjaśniał to już wcześniej tysiące razy.

– Gdyby mógł mi pan udzielić lekcji w tej materii, byłbym bardzo wdzięczny.

– Lekcji? – Uśmiechnął się do siebie jak psotny chłopiec. – Młodzieńcze, niech pan otworzy szafę.

Posłuchałem, nie rozumiejąc, do czego zmierza. Pod trzema garniturami staruszka stała ozdobiona muszelkami szkatułka.

– No już, niech mi pan poda kasetkę.

Uniósł wieczko i wyjął ze środka ciężki żelazny klucz, podobny do tego, jakim co miesiąc wymieniali się nieliczni mieszkańcy Villaverde, żeby wejść na dzwonnice i uderzyć w dzwony na Anioł Pański.

– To kopia. Dostałem ją podczas remontu od przedstawiciela rodziny, do której należy kościółek. Byli tak zadowoleni z renowacji, że pozwolili mi do niego wchodzić, kiedy zechcę. Nie zaglądam tam, odkąd przestałem prowadzić. Chłopcze, nie ma pan przypadkiem samochodu z dużym bagażnikiem? – zapytał z szelmowską miną.

Pół godziny później byliśmy w San Vicentejo.

Don Tiburcio uśmiechał się, kiedy wiozłem go outlanderem szosą biegnącą między dębami, bukami i sosnami. Roślinność stawała się coraz gęstsza i bardziej zielona, przynosząc odrobinę chłodu w ten letni poranek.

Zaparkowałem na uboczu, wyładowałem wózek inwalidzki i wwiozłem staruszkę na pokrytą błyszczącą trawą polanę, pośrodku której wznosiła się mała romańska świątynia.

– Doskonale, chłopcze. Ten kościół to unikat. Co dokładnie chce pan wiedzieć o tej niezwykłej perełce architektury?

Dopchałem wózek na tyły świątyni, ustawiłem go na wprost owalnej apsydy i pokazałem staruszkowi leżącą parę, która kilka metrów nad naszymi głowami czule dotykała swoich policzków.

– Może mi pan o nich opowiedzieć? Wyjaśnić, co wyraża ta płaskorzeźba?

Na jego pokrytej zmarszczkami twarzy odmalowało się zdziwienie. Rzucił mi spojrzenie, którego nie umiałem zinterpretować, jakby próbował mnie rozszyfrować albo zasufladkować.

– Akurat o nich?

– Tak. Czy coś symbolizują? – nalegałem.

Spoglądał na mężczyznę i kobietę jak na parę starych znajomych, których witał po latach niewidzenia albo z którymi się żegnał – trudno było to stwierdzić.

– Oczywiście, że coś symbolizują. Są duszą tego, co ta budowla próbuje przekazać ludzkości. Wszystko dookoła jest podporządkowane ich historii. To ikonograficzne przedstawienie hermetycznej pary, alchemicznego małżeństwa. Podobny symbol można zobaczyć jedynie w kościele Świętego Bartłomieja nad rzeką Lobos.

– Czy to nie jest dawna świątynia templariuszy?

– Owszem. Ten kościółek bez wątpienia także należał do jakiegoś zakonu rycerskiego. Wszyscy badacze zgadzają się w tej kwestii. Ale jego kamienie kryją w sobie więcej tajemnic. Proszę spojrzeć na niego jak na księgę. W tysiąc sto sześćdziesiątym drugim roku, w którym najprawdopodobniej został wzniesiony, prosty lud nie miał dostępu do ksiązek, dlatego odczytywał wizerunki. My, potomkowie tamtych chłopów, utraciliśmy tę umiejętność po części dlatego, że nie dysponujemy wszystkimi informacjami. Postaram się jednak, żeby zobaczył pan to, co widzę ja, to nie takie trudne. W zasadzie historia jest prosta, prymitywna. Opowiada o archetypicznej parze, o Adamie i Ewie, o grzechu pierworodnym i jego konsekwencjach. Jak pan widzi, to nic innego jak ilustracja Księgi Rodzaju. Wejźmy do środka, opowieść zaczyna się na ścianie prezbiterium.

Podał mi olbrzymi klucz, który wyjął z kieszeni marynarki. Popchnąłem wózek pod drewniane drzwi. Zamek ustąpił ze zgrzytem.

W malutkiej świątyni – dłuższy bok miał jakieś piętnaście metrów – zmieściły się zaledwie cztery drewniane ławki. Światło wpadało przez trzy wąskie okienka, mikroskopijne wnętrze o ścianach z kamienia w kolorze ochry wyglądało przytulnie.

Don Tiburcio wyszeptał jakieś słowa, których nie usłyszałem, coś w rodzaju osobistej modlitwy. Potem sam zaczął obracać koła wózka i objeżdżać kościół, jakby fakt, że znalazł się w tym świętym miejscu, dodał mu sił.

– Wystarczy, że przebiegnie pan wzrokiem po konsolach apsydy. Pierwsza rzeźba przedstawia młodą, pozbawioną zarostu twarz. To Adam. Kolejna konsola to kwiat przypominający śmigło, widać na niej kobiecą głowę w czepku – Ewę. Para pierwszych rodziców przechodzi przez różne etapy życia. Kolejne płaskorzeźby są uszkodzone, nie sposób ich odczytać. Nie wiem, co symbolizują, niczego do nich nie dodałem podczas renowacji. Tutaj mamy kolejny kwiat, otwierającą się rozetę zwróconą ku słońcu. I jeszcze jeden, znowu jak śmigło albo swastyka, a na końcu dwie istoty wyłaniające się z kwiatu.

Na chwilę zapomniałem o oddychaniu: wszystkie te konsoly wyglądały jak

eguzkilore, słoneczne kwiaty.

– Co symbolizują te rośliny?

– Eden, gdzie żyła para, zanim została wygnana z raju. To symbol uniwersalny, a zarazem bardzo intymny. Pan, młody człowieku, nigdy nie czuł się wygnany ze swojego własnego raju? Każdemu z nas kiedyś zostaje odebrany.

Przybrałem minę pokerzysty, odsuwając od siebie wspomnienie prostej wśród sosen. Nie wiedziałem, czy mam do czynienia z mistrzem templariuszy, czy ze zwykłym erudytą, na wszelki wypadek wolałem udawać, że jestem człowiekiem bez przeszłości.

– Na ostatniej konsoli widać pszczołę, symbol czystości. Z pszczelego wosku wytwarzano paschały zapalane w Wielką Sobotę dla uczczenia zwycięstwa nad śmiercią.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Musiałem nad sobą zapanować, nie chciałem, żeby zdradził mnie głos.

– W takim razie zwierzęta i rośliny z tej opowieści...

– Odgrywają rolę moralizatorską, podobnie jak nagość pary. Mówimy o początkach ludzkości, o czymś świętym. To opowieść o pierwszych rodzicach i konsekwencjach grzechu pierworodnego, dlatego w kościele jest pełno męskich i kobiecych twarzy, młodych i starych: ilustrują różne etapy życia mężczyzny i kobiety. Wreszcie oboje grzeszą i zostają ukarani, upadają w dosłownym znaczeniu, jak na płaskorzeźbie, którą widzieliśmy na zewnętrznej ścianie apsydy. Leżą przy schematycznie przedstawionym drzewie poznania dobra i zła. Mogą to być jabłoń, cis... W średniowieczu rozróżniano gatunki drzew, nie umiem powiedzieć, jakie przedstawiono tutaj. Ale nie są sami, mają siebie nawzajem, stąd te dłonie na policzkach.

Przypomniałem sobie zdjęcia ofiar podwójnych zbrodni: naga, pocieszająca się czule para wpisana w trójkąt równoramienny, a dookoła Eden w postaci *eguzkilore*, słonecznych kwiatów. Elementy roślinne i zwierzęce pełniące funkcję moralizatorską, wykorzystane jako narzędzie zbrodni: cis, symbol nieśmiertelności, i pszczoła, symbol czystości.

Pierwszy raz świadomie odczytałem powieść, którą autor pisał dla wtajemniczonych: każde podwójne morderstwo stanowiło kolejny rozdział.

O jakim zakończeniu myśli zabójca? Zamierza kontynuować serię, zabić trzydziestolatków, sześćdziesięciolatków, starców? Wyeliminować nawet najbardziej wiekowych mieszkańców Álavy? Według spisu ludności w prowincji żyje dwunastu mężczyzn i pięćdziesiąt osiem kobiet w wieku

powyżej stu lat. Im akurat można by zapewnić ochronę, zwłaszcza dwunastu mężczyznom, bez nich nie byłoby par, zresztą zaledwie kilku z nich ma złożone alavskie nazwisko i dokładną liczbę lat odpowiadającą planom zabójcy. Ale dojście do tego punktu oznaczałoby śmierć czterdziestu dwóch ofiar, a moje sumienie nie mogło sobie pozwolić na dźwiganie takiego ciężaru.

Pomogłem staruszkowi wyjechać z kościółka. Mimo głośnych narzekań drewna udało mi się zamknąć ciężkie drzwi. W drodze powrotnej do Vitorii zerkałem kątem oka na don Tiburcia, który opuścił szybę i muskał ręką powietrze niczym dyrygent. Może zegnał się z tą drogą, może czuł, że to jego ostatnia podróż samochodem. Dotychczas nie zastanawiałem się, jak wygląda życie osób w tym wieku, znajdujących się na pierwszej linii frontu, jak mawia mój dziadek.

Zaparkowaliśmy przed ośrodkiem. Wyładowałem wózek, don Tiburcio czekał na fotelu pasażera z cierpliwością, jaka przychodzi z wiekiem. Podniosłem go i posadziłem na wózku – był lekki jak piórko.

– Myśli pan, że jest jeszcze ktoś, kto mógłby wiedzieć to wszystko o kościółku?

– Z żyjących ludzi? Bo mnie przekazano te informacje... – Westchnął zafrasowany, próbując policzyć w myślach. – Bardzo dawno temu.

– Tak, raczej z żyjących.

– Przychodzi mi do głowy tylko chłopak, który pomagał mi przy renowacji, gruby rudzielec, okropny niezguła – powiedział bez zastanowienia, aczkolwiek chyba zaraz pożałował, że podzielił się ze mną tą informacją.

– Rudzielec? Pamięta pan, jak się nazywał?

– Nie, nie pamiętam, minęło tyle lat. Poza tym niczym się nie wyróżniał, był małomówny i spokojny. Ale zawsze uważałem, że jest bardzo bystry, chłonał moje słowa, kiedy zaczynałem opowiadać o symbolach, tak jak dzisiaj panu. Więc opowiadałem. Pamiętam za to, że nie miał żadnych przyjaciół i że ojciec musiał go nieźle łać, bo był cały posiniaczony. Kiedyś na wsiach często się to zdarzało, rodzice byli bardziej surowi, niekiedy trafiali się prawdziwi sadyści. Wydaje mi się, że chociaż harował jak wół, wynosząc gruz i odwalając najcięższą robotę, z chęcią przychodził do pracy.

– Myśli pan, że jego nazwisko może figurować w jakimś dokumencie? – przerwałem.

Staruszek celowo unikał konkretów, wiedziałem, że do niczego mnie nie doprowadzi.

– Ależ skąd, to ja zostałem zatrudniony przez lokalne władze, które miały umowę z właścicielami. On był niepełnoletni, pracował na czarno, dawałem mu wypłatę w kopercie. Zawsze wyglądał jak żebrak, pewnie oddawał pieniądze na dom, nic sobie nie zostawiał. Muszę teraz pana przeprosić, jestem zmęczony podróżą, nie sądzę, żebym był w stanie dłużej odpowiadać na pańskie pytania. – Kiwnął na pielęgniarkę.

Pożegnał się ze mną uściskiem ręki, mocnym jak za dawnych czasów. Mojej uwagi nie umknął fakt, że jego mały palec oderwał się od reszty, obejmując grzbiet mojej dłoni.

Może się zapomniał, może nieświadomie powielił wielokrotnie powtarzany rytuał, a może chciał mi powiedzieć to, o czym i tak wiedziałem już od kilku godzin.

Bez słowa skinąłem głową i wsiałem do samochodu.

Wiedziałem, że mistrz będzie chronił swojego pomocnika, że nie zdołam go skłonić, by naprowadził mnie na jakikolwiek wiarygodny trop.

W porządku, mamy niezidentyfikowanego ducha o rudych włosach, pomyślałem zadowolony w drodze na komendę. A to o wiele więcej, niż mieliśmy wczoraj.

MURAL Z CAMPILLO

Dochodzisz już do najgłębszej groty, #Kraken?

3 sierpnia, środa

Pokonywałem nierówne schody prowadzące do budynku komendy, kiedy ktoś zadzwonił do mnie z zastrzeżonego numeru.

Przez kilka sekund spoglądałem na wyświetlacz komórki, wahając się, czy odebrać. W mojej pracy nigdy nie wiadomo, czy taki telefon okaże się błogosławieństwem w postaci cynku, czy też początkiem długiego łańcucha nowych problemów.

– Rzuć wszystko i natychmiast przyjeżdżaj pod Campillo.

– Golden, to ty? – Rozpoznałem głos starej damy.

– Skwer Etxanobe, namierzyłam go, Kraken. A kiedy mówię „namierzyłam”, mam na myśli to, że go tam teraz spotkasz. Kto by powiedział, że to właśnie policjant zleci mi najtrudniejsze hakerskie zadanie, jakiego kiedykolwiek się podjęłam. To, co potrafi ten dzieciak, przerasta możliwości mojego mózgu, w życiu się tak nie namordowałam.

– Mów jaśniej, Golden. Nic nie rozumiem.

– Twój dzieciak jest nie do namierzenia, dosłownie, nigdy nie miałam do czynienia z czymś takim. Ale życie nauczyło tę starą wiedźmę, że trzeba patrzeć szerzej. On posługuje się kilkoma fałszywymi tożsamościami. Ma nick, który jest podobny do innego nicka, który jest podobny do innego nicka. Tyle że to młody chłopak, nie pustelnik. To znaczy, że ma przyjaciół, że wychodzi z domu, że się udziela, tak jak jego rówieśnicy.

– Gdzie się udziela?

– Należy do Brygady Pędzla Malowanego Miasta^[10].

– Tych wolontariuszy, którzy malują murale na starówce?

– Bingo, Kraken. Dziś zabezpieczają powłoką antygraffiti mural na ścianie

domu kultury Campillo przy skwerze Etxanobe. Ten z grą w karty.

– *Zwycięstwo Vitorii* – przypomniałem sobie; to był jeden z moich ulubionych murali.

– Właśnie.

– Wiszę ci przysługę, Golden.

– Żebyś wiedział. Zastanawiam się nad jakąś wymyślną zapłatą, która na pewno nie spodoba się twojemu szefostwu. Dlaczego wszystko, co zabawne, jest nielegalne?

Uśmiechnąłem się i przerwałem połączenie.

Pobiegłem ulicą Fray Zacarías i niespełna kwadrans później dotarłem do domu kultury Campillo znajdującego się w pobliżu średniowiecznego muru i Starej Katedry.

Wszedłem na teren najwyżej położonego skwerku w mieście i zobaczyłem, że ścianę od strony ulicy Santa María pokrywa siedmiopoziomowe metalowe rusztowanie. Sześć osób uwijało się z pędzlami w dłoniach na różnych wysokościach. Próbowałem odgadnąć, która z nich to tajemniczy MatuSalem.

Wtedy go zauważyłem.

Ubrany na czarno chłopiec pociągał pędzlem włosy jednej z trzech postaci.

Wolnym krokiem ruszyłem w stronę muralu. U stóp rusztowania stała jakaś dziewczyna, wyglądało na to, że nadzoruje pracę wolontariuszy. Podeszedłem do niej i wyjąłem odznakę.

– Inspektor Ayala. Nic nie mów, wejdę na rusztowanie i porozmawiam z jednym z wolontariuszy, ale nie chcę go wystraszyć, dlatego zachowuj się normalnie – powiedziałem szeptem, rozmyślnie powoli wymawiając słowa, żeby dobrze mnie zrozumiała.

Dziewczyna – z afro na głowie, ubrana w spodnie we wszystkich kolorach tęczy – w pierwszej chwili zaniemówiła, zaraz jednak w milczeniu skinęła głową.

Zacząłem wspinać się po stopniach z boku rusztowania. Kilkoro wolontariuszy przyglądało mi się ze zdziwieniem. Dotarłem na szczyt drabinki i wszedłem na pomost. Chłopiec w skupieniu pociągał lakierem ścianę. W pewnym momencie podniósł głowę – wystraszył się, widząc, że zmierzam w jego kierunku. Przebiegł kilka metrów dzielących go od drugiego końca pomostu. Chciał zejść po drabince, ale w porę złapałem go za rękę.

– Porozmawiamy, MatuSalem. Chcę tylko porozmawiać.

Zacisnął szczęki, nie podobało mu się, że jakiś dorosły wydaje mu rozkazy,

albo po prostu nie lubił policjantów. Wyglądał niepozornie, był niziutki, chudy, nie ważył nawet pięćdziesięciu kilo. Ale faktycznie przypominał prerafaelickiego aniołka. Miał skośne niebieskie oczy i gładką twarz, tak doskonałą, że ludzie na pewno oglądali się za nim na ulicy, podziwiając piękno w czystej postaci.

– Ty jesteś tym słynnym Krakenem.

– Buszowałeś po moim twardym dysku, jakbyś był u siebie w domu. Zakładam, że to pytanie retoryczne.

Chociaż stał przyparty do muru na wysokości trzeciego piętra, bez przerwy zerkał na bok, jakby się zastanawiał, czy nie zeskoczyć.

– Jesteś... gliną. Nie mogłeś mnie namierzyć.

– Nie tylko ty masz informatyczne supermoce, MatuSalem. Niech to będzie dla ciebie wskazówka, że mnie nie doceniasz.

– No dobra, ale czy mógłbyś udawać, że jesteśmy starymi kumplami i ucinamy sobie przyjacielską pogawędkę? Patrzą na nas moi koledzy od pędzla, nie chcę przez ciebie stracić jednego ze swoich najbardziej towarzyskich wcieleń – wycedził przez zęby, nie przestając się rozglądać.

– Brzmi sensownie. Jak się zapewne domyślasz, przyszedłem porozmawiać o Tasiu. Jeśli chcesz, darujmy sobie tę część, kiedy udajesz, że nie wiesz, o czym mówię, potem wszystkiemu zaprzeczasz, a kiedy okazuje się, że mam dowody, z dumą do wszystkiego się przyznajesz. Już raz cię przytknęliśmy, już przez to przechodziłeś, zresztą ja też.

– Kurna, ale jesteś szybki! W porównaniu z innymi dorosłymi... – Podrapał się po karku.

– Po prostu nie mam zbyt dużo czasu. Kilka metrów od tej ściany giną ludzie, a twój były kolega z celi Tasio jest integralną częścią tej tragikomedii.

Chłopak nie patrzył w oczy, nigdy nie koncentrował na niczym wzroku, był więźniem własnego genialnego umysłu, który odgradzał się od zewnętrznego świata.

– To nie Tasio zabija, nie zabijał też wtedy, i wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie utrzymuje kontaktu z żadnym naśladowcą przebywającym na wolności – wyszeptał wreszcie. – Mnie też się nie podoba, że ktoś morduje dzieci i pary dwudziestolatków. Ale to nie Tasio. Dwadzieścia lat temu ktoś go zrobił, i to nieźle. Ma wystarczająco dużo problemów z przeżyciem w kiciu.

– Dlaczego go bronisz? Jesteś przestępcą gospodarczym, lubisz

intelektualne wyzwania, grasz na nosie władzom, omijając prawo, a przy okazji zgarniasz forszę, która pozwala ci wieść dostatnie życie. Ale nie należysz do osób wykazujących empatię wobec innych przestępców, tym bardziej wobec socjopaty mającego na koncie kilka morderstw. No dalej, Maturana. Powiesz mi prawdę?

– Prawdę? Bronię go, bo on bronił mnie, kiedy nie bronili mnie ci, którzy powinni – szepnął z wściekłością. – Pierwszego dnia w kiciu pedophile chcieli urządzić mi przyjęcie powitalne. Taki dzieciak jak ja to dla nich wygrana na loterii. Wszystkim stanęły, kiedy wszedłem wieczorem do stołówki. Wiedziałem już, że nie wyjdę stamtąd jako prawiczek, pytanie brzmiało, czy będzie co po mnie zbierać, kiedy już każdy wsadzi mi w dupę. Tasio ich powstrzymał, nawet sobie nie wyobrazasz, jak to zrobił. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić, bo jesteś psem i nie masz za grosz wyobraźni. Napędził im takiego strachu, że zaczęli się modlić do Matki Boskiej Fatimskiej. Zawdzięczam temu gościowi życie, w dosłownym znaczeniu, nie tobie ani pieprzonym służbom bezpieczeństwa, was tam nie było, żeby mnie bronić. Więc lepiej mi tu nie pierdol, bo Tasio jest dla mnie jak ojciec chrzestny, będę chylić przed nim czoło, dopóki jaja nie zwisną mi ze starości.

W porządku, Kraken. Obierz inny kierunek, doszedłeś do ściany.

– Nie jestem tu w twojej sprawie, chociaż na pewno coś by się na ciebie znalazło, wiem, że by się znalazło. Trafiłeś do kicia za przekręt z kartami kredytowymi, a pierwszym, co zrobiłeś po wyjściu, było wyświadczenie przysługi więźniowi skazanemu za zamordowanie ośmiu osób. Jak widać, odsiadka nie pomogła ci w odcięciu się od przestępczej przeszłości. Załóż się, że teraz też robisz coś nielegalnego, mógłbym uprzykrzyć ci życie, dobrze o tym wiesz, ale zamiast tego proponuję ci układ. Potrzebna mi lista najbardziej podejrzanych użytkowników obserwujących profil Tasia na Twitterze.

– I to wszystko? – zapytał zdumiony. – Czołówka komentatorów z Twittera?

– Wchodziłeś w interakcję z każdym z nich, jestem pewien, że w twoim wybitnym umyśle rozlega się czasem alarm. Mnie czy naszym informatykom przejrzanie wszystkich profili zajęłoby dużo czasu, ale ty je znasz, od miesięcy podajesz się za Tasia. Wiesz, kto ociera się o chorą fascynację i kto jest prawdziwym świrem. Potrzebne mi nie tylko nazwy profili, ale też adresy IP, chcę, żebyś zlokalizował dla mnie najbardziej podejrzanych użytkowników, i to jak najszybciej. Sprawdź ich w naszych rejestrach, na bank zrobiłeś sobie kopię przy okazji cyberataku na komendę. Zawiadom

mnie natychmiast, jeżeli okaże się, że któryś z nich był już karany. To jak, umowa stoi?

– Nie zamierzam być konfidentem policji. Nie mam jeszcze dwudziestu lat, nie chcę zaczynać tak wcześnie. Ci, których znałem, mieli przechlapane, jedna ze stron zawsze w końcu się wścieka i obrywa się kapusiowi. – Założył ręce na piersi.

– Nie będziesz konfidentem, nie powiem o tobie przełożonym, nikt się nie dowie. Przydasz mi się bardziej, jeżeli twoje nazwisko nie pojawi się w żadnym raporcie. Tak pracuję, już wiesz, że mam również innych nieoficjalnych pomocników, niemal tak dobrych jak ty. Ale ty, młody... Ty jesteś wyjątkowy.

Moje słowa nie zrobiły na nim wrażenia, wybujałe ego nie było jego słabą stroną. Nie... Nie dotknąłem jeszcze czulej struny i miałem tego świadomość. MatuSalem nie był do końca przekonany.

– W ten sposób mógłbyś się zrewanżować Tasiowi. Jesteś pewien jego niewinności. Pomagając mi w badaniu innych tropów, oczyszczających go z zarzutów, sprawisz, że szybciej wyjdzie na wolność. Decyduj się, muszę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć – przycisnąłem go.

– Wiesz, o czym jest ten mural? – zapytał, wskazując postać kobiety, na którą nakładał lakier.

– O trzech osobach grających w karty. Co to ma do rzeczy? – zapytałem zdezorientowany.

– Jest o oszustwach, Kraken. I o ich pokonywaniu, i o wierności. Moja postać to właśnie Wierność. Pokażę ci, musisz to zobaczyć – powiedział i zaczął schodzić po drabince.

Poszedłem za nim. Stanęliśmy pomiędzy trzema namalowanymi postaciami.

– Mural został zainspirowany szesnastowiecznym obrazem zatytułowanym *Oszust*. Wielka dama symbolizująca Vitorię gra w karty z mężczyzną, który nie tylko oszukuje, ale szczyci się tym, pokazując wszystkim swoje karty. Spójrz.

Rzeczywiście. Gotyckie litery umieszczone przy znajdującej się nad naszymi głowami damie układały się w napis „Victoria”. Taką nazwę nadał naszemu miastu król Sancho IV. Mężczyzna chował za plecami dwie karty: z jednym psem i z trzema psami. Obok niego widniał napis: „Fraudulentus”.

– Postać służącej, którą mi przydzielono, symbolizuje mieszkańców Vitorii. Ostrzega swoją panią przed oszustwem. Możesz odczytać napis? –

Wskazał miejsce nad naszymi głowami; musiałem wychylić się trochę za rusztowanie, żeby go dojrzeć.

– *Fidelitas* – przeczytałem na głos.

Odwróciłem się w stronę chłopaka, ale nie było go już na rusztowaniu, zniknął.

Zakląłem i zeskoczyłem z wysokości drugiego piętra. Przebiegłem przez metalową furtkę w płocie otaczającym skwer i wyjrzałem na ulicę Santa María, ale dzieciak był już przy pałacu Montehermoso, kilkaset metrów dalej.

– A niech to! – krzyknąłem bezradnie, rezygnując z pościgu.

Najlepszy haker w mieście zrobił mnie w konia, a ja pozwoliłem mu uciec, nie dowiedziawszy się, po czyjej stronie postanowił grać.

GENERAL ÁLAVA 2

Vitoria, lipiec 1970

Javier Ortiz de Zárate wszedł do sypialni, rozwiązał krawat i usiadł na narzucie zakrywającej małżeńskie łożo. Od kilku dni był w złym nastroju: wiedział, że ten nędznik Apaolaza podpisze umowę z niemiecką firmą wbrew temu, co twierdził, kiedy rano rozmawiali w jego gabinecie. Jeżeli do tego dojdzie, on sam straci piętnaście procent kapitału w aktywach. Piętnaście procent.

Ale było coś jeszcze, było coś jeszcze... Zbyt wiele zebrań wspólników organizowanych za jego plecami, zbyt wielu handlowców odkładających prezentacje jego produktów wciąż pod tymi samymi, niezbyt wyszukаныmi pretekstami. Może powinien wysłać Ulisesa i kilku znajomków, żeby rozpytali pracowników odlewni. Mówiono o nim, że jest nieufny, ale to właśnie dzięki temu doszedł tu, gdzie jest.

– Blanca! – krzyknął niecierpliwie z pokoju. – Co jest, dzisiaj nie jemy?

Usłyszał szybkie kroki żony wchodzącej po schodach. Wsunęła głowę przez drzwi, nie mając odwagi wejść do środka.

– Benita już nakryła do stołu, możemy usiąść do obiadu, kiedy zechcesz – powiedziała niemal obojętnym tonem.

Javier zapatrzył się w puste miejsce, jakie zostało po niej, kiedy zbiegła na dół schodami.

Co było nie tak z tą głupią kobietą, dlaczego nie dała mu dzieci? Za chuda, od początku to wiedział. Mając takie biodra, nigdy nie urodzi mu potomka. Tak samo było z Marią Luisą, jego pierwszą żoną. Miał chyba w sobie jakiś magnes, który przyciągał te niepłodne mulice. Już rozmawiał o tym parę razy z Joaquinem Garrido-Stokerem, swoim prawnikiem, ale wyglądało na to, że niewiele da się zrobić. Żeby unieważnić małżeństwo z powodu oszustwa, musiałby udowodnić, że Blanca jeszcze przed ślubem wiedziała, że jest wybrakowana. Zdaniem Joaquina potrzebne były wyniki badań. Kazał Ulisesowi przejrzeć jej papiery. Okłamał też teścia, żeby pozwolił im

przeszukać jej paniński pokój w rodzinnym domu. Niczego nie znaleźli. Nie było sensu dalej szukać. Gdyby Blanca wiedziała, że jest bezpłodna, zanim za niego wyszła, po co miałyby trzymać orzeczenie ginekologa? Na pewno by się go pozbyła.

Jedynym rozwiązaniem, jakie widział, była męska rozmowa z lekarzem Blanki i nakłonienie go, by rozwiął jego wątpliwości, chociaż gardził doktorem Urbina. Nie rozumiał, dlaczego żona wybrała tego wiejskiego ginekologa, skoro mógł jej opłacić innego, znacznie lepszego lekarza. Od Ulisesa wiedział, że dość często bywa w jego gabinecie; może poddawała się jakiejś terapii, żeby móc zajść w ciążę. W końcu był to jej obowiązek, i tak nie miała nic lepszego do roboty.

Javier skończył już czterdzieści dwa lata, a jeszcze nie doczekał się potomka. Wiedział, że śmieje się z niego cała Vitoria, że wielu podaje w wątpliwość jego męskość. Nie chciał o tym teraz myśleć, może po kolacji znowu spróbuje... Ostatnio był bardzo zmęczony, źle się czuł, coś leżało mu na żołądku, a sole owocowe nie przynosiły żadnej ulgi.

Spojrzał na swoje dłonie i ze zdziwieniem odkrył, że drżą. Jego kwadratowe paznokcie były sine. Nagle poczuł, że ściska mu się żołądek: z ust chlusnęła mu ciemna krew, plamiąc narzutę i dywan.

Zaniewidział, ból przeszywający gardło nie pozwolił mu zaczerpnąć powietrza. Runął do tyłu nieprzytomny.

Doktor Urbina przyjmował przedostatniego przedstawiciela firmy farmaceutycznej, kiedy zadzwonił telefon. Zamilkł po czwartym dzwonku. Lekarz ukrył uśmiech: po południu nie miał umówionych pacjentek, będzie mógł zajrzeć do mieszkania przy General Álava i spędzić kilka godzin z Blaną.

Jednak telefon zadzwonił ponownie i tym razem nie ucichł. Álvaro zdziwiony podniósł słuchawkę.

– Gabinet doktora Urbiny, słucham.

– Javier jest w klinice. – Po drugiej stronie rozległ się głos Blanki.

Dorwał mnie, uznał Álvaro; nie wiedział, skąd przyszła mu do głowy ta straszliwa myśl. Dorwał mnie.

– Wybaczysz mi, Jorge? – zwrócił się do sprzedawcy. – Mam pilny telefon. Jutro przekażę ci zamówienie.

– Jak... Jak się dowiedział? – wykrztusił do słuchawki, kiedy został sam w gabinecie. – Ktoś nas widział? Twój kierowca?

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. Javier trafił do kliniki z powodu zatrucia. Jest w bardzo ciężkim stanie. Nie mogę długo rozmawiać. Przyjechała policja, czekają na parterze, w jednej z salek oddziału ratunkowego, chcą zadać mi kilka pytań. Dzwonię z budki telefonicznej na ulicy, powiedziałam im, że muszę zawiadomić rodzinę. Broń Boże do mnie nie schodź. Nie mogą zobaczyć nas razem. Powiedz mi jedną rzecz, Álvaro, nie mam dużo czasu, a to jest nasza ostatnia rozmowa: kapsułki, które podawałam mu przez ostatnie miesiące, to tylko środki uspokajające czy dałeś mi je, żeby stopniowo go truć?

Słowa te sprawiły, że Alvarowi Urbinie zaschło w gardle, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł ruszyć szczęką.

– Álvaro, na Boga! Otruliśmy go? Mogą nas oskarżyć o próbę popełnienia morderstwa?

– Niczego... Niczego nie znajdą. Choćby nie wiadomo jak dokładnie szukali. To, co ci dałem, jest nie do wykrycia nawet podczas sekcji zwłok. Bądź spokojna, Blanco, nic nam nie zrobią.

Ze słuchawki dobiegły nerwowy szloch, szczekanie psa w oddali i wreszcie zimny głos Blanki.

– Żegnaj, Álvaro. Nie będziemy się już spotykać ani rozmawiać. Policja myśli, że to ja albo któryś z jego współników. Nie chcę cię więcej widzieć, nawet jeśli dzięki tobie zostanę wdową. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Nie, Blanco. Zaczekaj... Spotkajmy się w mieszkaniu. Blanco!

Ale po drugiej stronie linii już nikogo nie było.

Lokalna prasa dyskretnie odniosła się do całego zdarzenia. Zaledwie kilka linijek bez zdjęcia na samym dole kroniki kryminalnej:

Wczoraj w południe przemysłowiec Javier Ortiz de Zárate w ciężkim stanie trafił do kliniki Vitoria. Nie wiadomo jeszcze, co dokładnie mu dolega. Nieoficjalne źródła informują o otruciu lub zażyciu toksycznych substancji, które omal nie doprowadziły do niewydolności wielonarządowej. Przemysłowiec nie został jeszcze wypisany do domu, ale szybko wraca do zdrowia na pierwszym piętrze wspomnianego szpitala.

Álvaro kolejny raz przeczytał krótką notatkę wyciętą z gazety; chciał się upewnić, że nie umknął mu żaden szczegół. Od telefonu Blanki minęły już cztery tygodnie. Nie miał o niej żadnych wiadomości, dowiedział się natomiast od pielęgniarek, że przemysłowiec wrócił do domu, spędziwszy

w klinice dziesięć dni.

Codziennie sprawdzał nekrologi w gazetach i słuchał Radia Vitoria. Powtarzał sobie, że gdyby zmarł najbogatszy mieszkaniec Vitorii, wszyscy by o tym wiedzieli.

Co wieczór wstrzykiwał sobie niewielką dawkę morfiny, która pozwalała mu zasnąć, dzięki czemu następnego dnia mógł jako tako funkcjonować. Trudno mu było skupić się na pacjentkach, kilkakrotnie o mały włos nie dopuścił się zaniedbania. Skrupulatnie odmierzał dawki, żeby się nie uzależnić. Morfina sprawiała, że jego życie stawało się na kilka godzin bardziej znośne.

Któregoś popołudnia został wezwany do porodu, okazało się jednak, że to fałszywy alarm. Pograżony w zadumie wracał pieszo ulicą Dato. Nagle odkrył, że stoi przed numerem 2 przy General Álava. Nie pamiętał, jak się tu znalazł. Pierwszy raz zdał sobie sprawę, że doznał zaćmienia umysłu. Ogarnął go niepokój.

Spacerujące pod rękę pary oglądały się za nim ukradkiem, widząc, że nie rusza się z miejsca. Potrząsnął głową, próbując wyjść z transu. Włożył rękę do wewnętrznej kieszonki marynarki – nadal nosił przy sobie klucze do kamienicy i mieszkania Blanki.

Lekko oszołomiony wszedł schodami na drugie piętro. Otworzył drzwi, wstrzymując oddech. Może Blanca nadal tu przychodziła, kiedy chciała pobyć sama, może czekała każdego popołudnia, licząc na to, że on przyjdzie, gdy przyjmie już wszystkie pacjentki. Może zostawiła mu wiadomość, która czekała na niego od tygodni. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł?

Może...

Cisza panująca między wytapetowanymi tkaniną ścianami tak paliła mu skronie, że zapragnął jak najszybciej zaznać ulgi.

Usiadł na podłodze, opierając się o ścianę w niemodnym waniliowym kolorze, odwrócony plecami do najruchliwszej ulicy znienawidzonego miasta. Zdjął krawat i zacisnął go mocno na pokrytym piegami bicepsie.

Otworzył nieporęczną skórzaną torbę niepasującą do tego eleganckiego wnętrza i wyjął fiolkę z morfiną. Dzięki sfalszowanemu zezwoleniu na zakup dużych dawek opiatów farmaceuta z ulicy Postas sprzedawał mu wszystko, o co prosił; w klinice musiały się tłumaczyć.

Powoli wstrzyknął sobie lek na zapomnienie, rozkoszując się chłodnym płynem, który przenikał mu do żyły. Sufit rozmazywał się, jakby nadeszło bezgłośnie trzęsienie ziemi.

Wreszcie, po długiej podróży, ogarnęła go upragniona ciemność.

PARK KRAJOBRAZOWY GORBEA

Gra toczy się teraz o wyższą stawkę, #Kraken?

3 sierpnia, środa

Szedłem przez starówkę w stronę komendy, nadal pomstując na MatuSalema, kiedy zadzwoniła Estíbaliz.

– Unai, musisz przyjechać. Jestem w gospodarstwie Ignacia, między Murguía a Altube. Doszło do podpalenia.

– Nie miał domu w Laguardii? Chyba tam byłaś wczoraj?

– To inny. Ponieważ ciągle nie mogliśmy go namierzyć, przeszukałam kataster, porównałam go z księgami wieczystymi i odkryłam, że ma również dom i ziemię u podnóża Gorbei. Oficjalnie właścicielem jest jedna z jego agencji eventowych. Pomyślałam, że może tam go znaleźć i uda mi się z nim porozmawiać, ale nic z tego. Nadal nie odbiera komórki. Kiedy przyjechałam na miejsce, polana za domem stała w płomieniach. Ochotnicza straż z Murguía już gasi pożar.

– Zaraz będę – odpowiedziałem i przerwałem połączenie.

Wkrótce jechałem drogą na Echávarri-Viña, pośród dębów, których zielone korony ocieniały asfalt.

Olbrzymi odrestaurowany dom stał na obrzeżach Parku Krajobrazowego Gorbea położonego w północnej części prowincji. Kiedy dotarłem na miejsce, strażacy dogaszali pojedyncze płomienie pełzające po trawie na tyłach budynku.

Dom otaczał bukowy zagajnik, w sąsiedztwie nie było żadnych innych zabudowań. Wzniesiono go w tradycyjnym stylu: dwuspadowy dach, balkon z drewnianą balustradą na ciosowej fasadzie, ostrołukowe drzwi i chroniący wejście *eguzkilo*, jak we wszystkich baskijskich gospodarstwach.

– Co się stało, Esti? – zapytałem na powitanie.

Zdjąłem skórzaną kurtkę – ze spalonej ziemi buchał żar.

Dwóch strażaków pokazało nam na migi, żebyśmy się cofnęli. Niebawem po pożarze zostały jedynie zapach dymu i czarne pogorzelsko.

– Mówiłam ci już przez telefon: to podpalenie. Dokonane w konkretnym miejscu, myślę, że ogień podłożył sam Ignacio.

Rozejrzałem się dookoła. Otoczenie domu było zadbane, właściciel na pewno wydawał majątek na utrzymanie posesji.

– Po co Ignacio miałby podpalać własny dom?

– Moim zdaniem nie zamierzał spalić domu, wiedział, że szybko przyjedzie straż. Chciał spalić to, co było na tej polanie.

– Nie wygląda na to, żeby było tu dużo do spalenia, Esti.

Potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od pogorzelska.

– Zaraz ci coś pokażę, niech tylko pozwolą nam podejść.

Zaczekaliśmy cierpliwie, aż strażacy skończą schładzać spaloną ziemię, po czym zwróciliśmy się do mężczyzny, który zdawał się dowodzić ekipą.

– Można już wejść? Chcielibyśmy obejrzeć teren. – Estibaliz wskazała dłonią pogorzelsko.

– Nie radzę państwu chodzić po spalonej ziemi, jest jeszcze bardzo gorąca.

– Strażak pokręcił głową. Otarł czoło rękawem – na jego twarzy perlił się pot.

– Miałby pan dla nas dwie pary butów strażackich? – nie dawała za wygraną Esti.

– Niewykluczone. Sprawdzę w wozie, może coś się znajdzie, chociaż nie sądzę, żebyśmy mieli państwa rozmiary.

Chwilę później wrócił z dwiema maseczkami, o które nie prosiliśmy, i ogromnymi butami, za dużymi nie tylko na Estibaliz, ale też na mnie. Tak zabezpieczeni ruszyliśmy na środek pogorzelska.

– Czego dokładnie szukasz?

– Widzisz tam resztki desek?

– Tak. Co to było twoim zdaniem?

– Niech zbadają je jeszcze technicy, ale ze śladów, jakie zostawił ogień, wnioskuję, że stały tu cztery małe drewniane konstrukcje, które prawie w całości uległy spaleni.

– Nie nadążam za tobą, a wierz mi, że się staram. – Podrapałem się po karku.

Po plecach spływał mi pot, byliśmy w samym środku piekła.

– Myślę, Unai, że to były ule. Ule Layensa z drewna sosnowego, prosty model z dwunastoma ramkami. Myślę, że Ignacio miał cztery czynne ule i że spalił je, żebyśmy ich nie znaleźli.

Spojrzałem na nią zdumiony.

– A pszczoły?

– To okrutny sposób, żeby się ich pozbyć, ale najprawdopodobniej otępił je podkurzaczem. Dowódca strażaków też uważa, że to było podpalenie i że pożar rozprzestrzenił się od środka polany. Zazwyczaj nikt nie wypala tak trawy. Zielsko i tamte długie łodygi padły skierowane w stronę źródła ognia. Wszystko wskazuje na te cztery miejsca, nawet kamienie z murku ogrodzającego teren. Są czarniejsze od strony, z której nadciągnęły płomienie. Poza tym zastosowano jakiś środek przyspieszający rozprzestrzenianie się ognia – widzisz te plamy w kształcie koncentrycznych kół? Trzeba będzie zbadać teren i poszukać śladów benzyny, nafty, oleju opałowego albo napędowego... Tu, w górach, w każdym gospodarstwie są takie rzeczy.

– Nafty? Po co ktokolwiek miałyby trzymać w domu naftę?

– Możesz mi nie wierzyć, ale starsi ludzie z tych stron nadal sądzą, że to dobry lek na artretyzm, a kiedy byłam mała, babcie używały jej do tępienia wszy. Zastosowanie któregoś z tych środków tak podwyższyłoby temperaturę, że po pszczołach nie zostałby ślad. Ale może się nam poszczęści i znajdziemy jakąś nieżywą w pobliżu pogorzeliska. Gdyby było ich więcej, moglibyśmy przyjąć hipotezę, że spalono cztery ule. Pamiętasz prezentację Slow Food? Ignacio powiedział nam, że tylko negocjuje z pszczelarzami. Dlaczego nas okłamał?

– Jeżeli masz rację i Ignacio celowo spalił ule, żebyśmy ich nie odkryli, to znaczy, że albo jest mordercą, albo wie, że tym razem narzędziem zbrodni są pszczoły, a to byłoby zastanawiające, bo ta informacja nie wyciekła do prasy i nie jest powszechnie znana. Trzeba jak najszybciej zdobyć nakaz przeszukania domu. Jeżeli miał ule, musi mieć też jakieś akcesoria pszczelarskie. Ty znasz się na tym lepiej ode mnie, ale zakładam, że potrzebował profesjonalnego sprzętu do obsługi pasieki.

– Na pewno. Szpatułek, skrobaków, ochraniaczy na nogi... Nie sądzę, żeby je spalił, wie, że zostałyby ślady. Zgadzam się z tobą: musimy porozmawiać z sędzią Olano i zdobyć nakaz. Chociaż, jeśli mam być szczerą, nie wydaje mi się, żeby Ignacio zniszczył ule, ale zostawił tuż obok cały sprzęt. Był policjantem, wie, że nie da się wyeliminować wszystkich śladów organicznych z kombinezonu, który często się nosi.

– W takim razie, co proponujesz?

– Chodźmy stąd, i tak nie mamy tu już nic do roboty.

Podeszła do nissana i wyciągnęła ze schowka mapę Álavy.

– My przeszukamy kontenery na śmieci przy drogach Parku Krajobrazowego Gorbea, inne patrole niech sprawdzą A sześćset dwadzieścia cztery w stronę Amurrio i trasy na Villarreal i Miñano... Roześlemy ludzi we wszystkich kierunkach. Pożar objął bardzo mały obszar, kiedy przyjechałam, wciąż się rozprzestrzeniał, a to oznacza, że wybuchł niespełna godzinę temu. Może Ignacio nadal ma w samochodzie jakieś materiały, które nie powinny trafić w nasze ręce, albo coś, co wiąże go ze zbrodniami. A może właśnie tu przywozi ofiary i tu je morduje. To odludne miejsce, hoduje pszczoły, jest gdzie schować samochód. Podam patrolom jego numer rejestracyjny i każę sprawdzić, czy ma inne auta zarejestrowane na którąś ze swoich firm.

– Zgoda. Ty prowadzisz, lepiej znasz okolicę.

Jeździliśmy leśnymi drogami, zatrzymywaliśmy się przy każdym napotkanym kontenerze i grzebaliśmy w śmieciach w poszukiwaniu jakiegoś podejzranego pakunku. Trafiliśmy na taki dopiero dwie godziny później.

Kontener stał przy polu namiotowym. W dużym czarnym worku na śmieci znaleźliśmy: podkurzacz, kwadratowy kapelusz z siatką, dwa znoszone kombinezony i białe buty na gumowej podeszwie z cholewami zapinanymi na suwak.

PROCESJA LAMPIONÓW

Teraz moc złoczyńcy zostaje skanalizowana w postaciach jego podwładnych... Uważaj, #Kraken

4 sierpnia, czwartek

Dla wszystkich vitorczyków był to najważniejszy dzień w roku. Celedón, kukła w berecie uosabiająca mieszkańców Álavy, przecinała niebo, dzierżąc w dłoni parasol, spuszczana na bloczkach z wieży kościoła Świętego Michała. Odpalana o osiemnastej raca oficjalnie rozpoczynała uroczystości ku czci Białej Pani. Miałem dzień wolny – wolny od siedzenia w biurze i od zebrań. Wstałem wcześniej rano i wyszedłem pobiegać.

Natknąłem się na Blancę, a może Albę, na ulicy Siervas de Jesús. Nie wiedziałem, czy było to przypadkowe spotkanie – od paru dni zastanawiałem się, czy i ona zmienia swoją trasę, żebyśmy na siebie wpadli. Miałem nadzieję, że tak, ale nie mogłem być pewny.

– Biegiesz dziś w jakimś konkretnym kierunku czy możesz improwizować? – zapytałem na powitanie.

Poprzedniego dnia widok MatuSalema na rusztowaniu przy Campillo natchnął mnie ciekawym pomysłem.

– Mogę sobie pozwolić na improwizację. Co proponujesz? – Podjęła rękawicę.

– Pokażę ci swoje ulubione murale. Pasuje? – Wytrzymałem jej spojrzenie dłużej, niż wypadało.

– Pasuje, biegniemy – odparła, nie odrywając wzroku od moich brązowych oczu. Nie było w nich zbyt wiele do zobaczenia, uznałem to jednak za dobry znak.

Potruchtaliśmy do placu Fuente de los Patos. Alba lubiła współzawodnictwo, od czasu do czasu się ze mną ścigała. Kończyliśmy sprint zdyszani – nie muszę chyba mówić, jak bardzo mnie to podniecało.

Brukowanymi ulicami najstarszej części miasta dotarliśmy do placu Burullería. Olbrzymi mural przedstawiał średniowieczne tkaniny o skomplikowanej osnowie charakterystycznej dla ówczesnego rzemiosła.

– Nosi tytuł *Nić czasu*.

– Ładna nazwa – stwierdziła Blanca. Łapała oddech pochylona, opierając dłonie na kolanach, długi mokry warkocz kleił jej się do pleców. – Chociaż... to przecież tylko stare tkaniny.

– Nie oceniaj go tak nisko, zalicza się do trzydziestu najlepszych murali na świecie – powiedziałem lekko urażony; graffiti nie zrobiło na niej wrażenia.

Dalej, Kraken, postaraj się bardziej, rzuciłem wyzwanie samemu sobie.

– W takim razie pokażę ci mój ulubiony.

Podbiegliśmy truchtem do średniowiecznego muru. Kazałem jej wyjrzeć na wewnętrzny dziedziniec. Ten mural miał w sobie coś szczególnego. Nie tylko ze względu na to, co przedstawiał – *Najkrótszą noc*, noc świętojańską – ale z powodu niebieskiego tła, które podkreślało wesoły, kolorowy korowód średniowiecznych vitorczyków.

– To przesilenie letnie, pogańskie święto. Widzisz ogniska, pochod...? Każdy szczegół ma tu znaczenie. Spójrz na bramę w murze, jest inna niż teraz, tak musiała wyglądać w średniowieczu. Czysta magia, Albo – powiedziałem bez zastanowienia. Kiedy zakładałem ręce na piersi, podziwiając mural, musnąłem jej ramię – spostrzegłem, że kontempluje go w identycznej pozycji.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że jesteśmy sobie znacznie bliżsi, niż powinni być podkomisarz i inspektor. Pod każdym względem.

Co z tego wyniknie?

– Nie mówiłam ci, Unai, ale to także mój ulubiony mural. Pewnie dlatego, że lubię fajerwerki.

Unai, powiedziała do mnie „Unai”. Nie Izmael, Kraken, Ayala.

– W takim razie przyjdź dziś w nocy obejrzeć procesję lampionów z mojego dachu – wyrwało mi się. – Mieszkam przy samym placu, w kamienicy obok restauracji Virgen Blanca. Miałabyś ochotę? Atmosfera jest naprawdę magiczna, niemal oniryczna. Na placu panuje cisza, słychać jedynie modlitwy wiernych. Gra świateł jest niesamowita, połączenie różnokolorowego blasku bijącego z witrażowych lampionów, podświetlonego na niebiesko pomnika Bitwy pod Vitorią i ciepłego światła rzucanego przez stare latarnie robi wrażenie nawet na najzatwardziałym agnostyku.

– Niezła reklama. – Uśmiechnęła się. – Uważaj, bo nabieram ochoty, żeby

przyjąć twoje zaproszenie.

– To wyjątkowy moment, naprawdę. Zastanów się. Procesja zaczyna się o dziesiątej, ale musiałabyś przyjść o wpół do, później będzie za duży tłum.

– Okej, pozwól, że...

Twój mąż, wiem. Musisz się zastanowić, gdzie będzie o tej porze twój mąż i czy uda ci się go okłamać, żeby się ze mną spotkać.

A jednak przyszła: punktualnie o wpół do dziesiątej usłyszałem dzwonek domofonu. Z mieszanką niedowierzania i podniecenia czekałem, aż wejdzie na trzecie piętro.

– Jesteś. – To błyskotliwe spostrzeżenie było jedynym, co przyszło mi w tamtym momencie do głowy.

– Zdaje się, że miałeś mi pokazać coś wyjątkowego – odpowiedziała.

Nigdy nie widziałem jej w innym stroju niż ten, w którym biegała, i ten, w którym przychodziła do pracy. Krótkie legginsy i T-shirt albo dopasowany kostium. Miałem wrażenie, że tej nocy Alba – albo Blanca, lichy ją wie – była przebrana za samą siebie: rurki, obcisła bluzka, rozpuszczone włosy, delikatny makijaż.

– No właśnie, chodźmy na czwarte piętro, sąsiada nigdy nie ma w domu.

Poszła za mną jak posłuszna współpracowniczka. Wyjąłem z pomieszczenia gospodarczego drabinę i ustawiłem ją pod klapą w suficie wychodzącą na dach budynku.

– Wejdiesz za mną? – zapytałem, choć wiedziałem, że to zrobi.

Wylazłem na spadzisty dach i usiadłem na pomarańczowych dachówkach. Wdrapała się za mną po drabinie, w otworze pojawiła się najpierw jej głowa, a za nią tułów. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– To na pewno nie jest niebezpieczne?

– Byłem tu tysiące razy i nic mi się nie stało. Wystarczy odrobina ostrożności.

– Na to jest już chyba za późno – mruknęła do siebie.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli konkretnie ten moment, czy ogólnie całą naszą niestosowną relację.

Podciągnęła się na rękach i usiadła obok mnie.

– Zauważyłaś tę szczególną atmosferę, jaka już daje się wyczuć na placu? – zapytałem, wskazując przed siebie. – Niedługo zacznie się procesja. Na podeście schodów prowadzących do kościoła Świętego Michała ustawiono

ołtarz. Kiedy wszystkie lampiony znajdą się u jego stóp, zostanie odprawiona krótka msza. Zazwyczaj blokują wstęp na taras widokowy, gdzie znajduje się marmurowa nisza z figurką Białej Panienci i gdzie...

Gdzie się poznaliśmy, urwałem, nie kończąc zdania.

– Gdzie zazwyczaj się rozciągamy – poprawiłem się.

– Pamiętam – odparła i wiedziałem, że ma na myśli to samo co ja.

Czasami pamięć wbija pinezki w nieistotne momenty z przeszłości i utrwala je na zawsze, chociaż „na zawsze” to bardzo dużo czasu.

– Co leży u stóp Matki Boskiej? – zapytała.

Spojrzałem we wskazanym przez nią kierunku, ale z tej odległości i przy tak słabym świetle widać było jedynie białą rozmazaną plamę.

– Nie wiem, wygląda jak prześcieradło albo sukno. Może zaznaczono miejsce, gdzie zostaną złożone kwiaty.

– Może – zgodziła się.

Plac pod nami zapełniał się ludźmi, ustawiali się pod kościołem, tworząc przejście dla procesji.

– Dziwne wrażenie. – Alba objęła rękami kolana. – Jesteśmy w samym centrum miasta pełnego świętujących ludzi, widzimy wszystko i wszystkich, ale nikt nie widzi nas.

– Spokojnie, niemożliwe, żeby ktokolwiek zobaczył nas z ulicy. Chyba że z budynków naprzeciwko, ale przy tak słabym świetle widać tylko dwa cienie, nikt by nas nie rozpoznał.

– Rozumiem, mimo to w pewnym sensie czuję się wyeksponowana. Chociaż wiem, że nikt się nie dowie.

Znowu byłem pewien, że nie mówi tylko o tej chwili, ale ogólnie o nas, o tym, jak dużo może stracić i jak mało zyskać.

– Pamiętasz piosenkę *Lau teilatu*, „cztery dachy”, zespołu Itoiz, którą kiedyś puszczali tu na wszystkich wiejskich potańcówkach? – zapytałem.

– Jasne, kto się przy niej nie zakochał. – Uśmiechnęła się.

– Kto nie uprawiał przy niej seksu. Dobrego seksu nastolatków, kiedy nie myśli się o tym, co było wcześniej, co jest teraz ani co będzie później.

– Autentycznego i nieodpowiedzialnego seksu. Rozumiem, że odpowiedź brzmi: robiło to całe nasze pokolenie. – Wybuchnęła śmiechem, w którym zabrzmiała nuta nostalgii.

– Czuję się tak, jakby to o nas była ta zwrotka *Lau teilatu*. Przypomina mi

się za każdym razem, kiedy tu przychodzę: „Na czterech dachach, pośrodku księżyc i ty, spoglądasz w górę...”. Zgrałem ją dla ciebie.

Wyjąłem komórkę z tylnej kieszeni dżinsów i podłączyłem słuchawki. Jedną włożyłem do ucha jej, drugą sobie. Zjednoczyła nas muzyka, którą słyszeliśmy tylko ja i ona, odcięci od wiernych sunących w milczącej procesji kilka metrów pod nami. Od czasu prostej wśród sosen nie czułem się z nikim tak związany emocjonalnie.

– „I znowu będziemy szczęśliwi na zabawie w jakiejś wiosce” – przetłumaczyła z baskijskiego.

– Gdyby to była prawda, gdybyśmy rzeczywiście spotkali się na zabawie w jakiejś wiosce – odważyłem się powiedzieć. – Co roku jeżdżę do Laguardii na tamtejsze uroczystości, dlaczego nigdy cię nie widziałem? Powiedz, jest już za późno? Ty jesteś mężatką, ja wdowcem, oboje pochowaliśmy dzieci, których nie mieliśmy możliwości wychować. Jest już za późno, Blanco?

– Nie wiem. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek zadam sobie to pytanie, ale teraz...

Zamilkła, przerwała w połowie. Miałem nadzieję, że dokończy zdanie, ale nie była na to gotowa. Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd przeprowadziła się do Vitorii. Zaledwie kilka dni, odkąd zaczęliśmy razem biegać, odkąd pierwsze morderstwa stały się naszym wspólnym zmartwieniem.

Czas kalendarzowy niekiedy nie ma nic wspólnego z czasem mentalnym i emocjonalnym, który każdy przeżywa po swojemu.

– Może wrócimy tu w noc Perseidów? Nie masz pojęcia, jakie to niesamowite uczucie: leżeć na dachu o trzeciej nad ranem, w środku sierpnia... Zobaczymy, co powiesz na widok deszczu gwiazd. W zeszłym roku naliczyłem czterdzieści trzy.

– Nie wierzę ci. – Spojrzała na mnie podejrzliwie. – Nie wierzę, że można je stąd zobaczyć. Wokół jest za jasno.

– Owszem, można. W sierpniu Vitoria pustoszeje, w domach nie pali się tyle świateł, od razu widać różnicę. Jeżeli dwunastego niebo będzie bezchmurne, około czwartej nad ranem zobaczymy łyzy Świętego Wawrzyńca. Uwierz mi, Albo.

Zastanowiła się chwilę, a w każdym razie była na tyle uprzejma, by udąć, że się zastanawia.

– Unai... Wiesz, że nie będę mogła – powiedziała wreszcie, opierając brodę na kolanach.

Wiem, tego dnia o tej godzinie będziesz spała u boku swojego męża. Po prostu marzyłem, że nie będę sam.

– Wiem też, kiedy nie należy naciskać na damę.

– W takim razie bardzo ci dziękuję – powiedziała z ulgą.

– Posłuchaj, nadchodzi procesja. – Wyjąłem jej z ucha słuchawkę.

Przy okazji musnąłem dłonią jej twarz, jej włosy utkane z cieni. Nie poruszyła się, przyjmując to dotknięcie.

Od strony ulicy Prado nadciągali członkowie bractw. Byli ubrani na biało, wokół szyi mieli zawiązane czerwone chustki. Szli parami, niosąc witrażowe niebiesko-złote gwiazdy. Za nimi pojawiły się zielono-czerwono-żółte lampiony, a na końcu – czerwono-niebieskie. Z góry procesja wyglądała jak Święta Kompania, tyle że piękniejsza, bardziej kolorowa i uroczysta niż galisyjski pierwowzór.

– Wiesz co? Kiedy tu jestem, czuję się jak wartownik. Lubię wierzyć, że mogę ich wszystkich ochronić – powiedziałem w przyływie szczerości.

Pokręciła głową zaniepokojona.

– Jako szefowa powinnam się cieszyć z twojej obsesji. Wiem, że odkąd zaczęły się podwójne morderstwa, nie myślisz o niczym innym.

– Odkąd wróciły – poprawiłem ją.

– Zgoda, odkąd wróciły. Wierzę w twoją hipotezę. Choć jako osoba, której zaczyna na tobie zależeć, wolałabym, żebyś się tak nie angażował psychicznie i emocjonalnie. Nie ochronisz sam całego miasta. Pamiętaj, co ci powiedziałam: jeżeli morderca postanowił dalej zabijać, jedynym sposobem, żeby go powstrzymać, jest wykrycie jakiegoś błędu we wcześniejszych zbrodniach. Ale nie uda nam się zapobiec kolejnym morderstwom. Są zbyt dopracowane, nie mamy co liczyć na improwizację.

– To najgorszy zimny prysznic, jaki kiedykolwiek dostałem od dziewczyny. Myślisz, że możemy jeszcze raz posłuchać *Lau teilatu* i wprawić się w mistyczny nastrój?

Wybuchnęła perlistym śmiechem, identycznym jak tamtego ranka, kiedy ją poznałem, kiedy próbowała udawać kogoś innego – albo być sobą. Któż to wie?

Nagle zrobiła coś, na co już nie liczyłem. Usiadła mi między nogami, opierając się o moją pierś. Objąłem ją i złożyłem głowę na jej lewym ramieniu. Bardzo podobała mi się ta bliskość.

Potem przyszła kolej na dalsze milczące pieszczoty. Przez cały czas nie

zamieniliśmy ani słowa. Po co, wolałem nie słuchać jej wymówek, miała tyle powodów, żeby to przerwać, że musiałbym przyznać jej rację. A wcale nie chciałem. Nie tej nocy, nie tutaj, na górującym nad Vitorią dachu. Moja dłoń przesuwająca się po jej obcisłych spodniach, bliski pęknięcia rozporek, jej oddech tuż przy moim uchu. Moje usta na jej szyi, mokrej od potu, jak wtedy, kiedy biegała.

Gdyby nie to, co wydarzyło się później, spłonęlibyśmy na tych dachówkach.

Najpierw rozległ się rozdzierający krzyk jakiegoś mężczyzny. Potem wybuchła panika, ucichły modlitwy, zapanował chaos.

Oszołomieni wychyliliśmy się z Blancą z dachu, niczego nie rozumiejąc, jak ktoś wypędzony z rajy przez dzwonek budzika.

Mignęły nam sutanny księży, opuścili ołtarz i biegli w stronę niszy z figurką Białej Paniarki. Zniknęło białe prześcieradło, zamiast niego zobaczyliśmy ciasny krąg histerycznie gestykułujących ludzi otaczający coś, co leżało na kamiennej posadzce.

Spojrzeliliśmy na siebie, pytając się w milczeniu, co powinniśmy zrobić. Odpowiedzi udzielił nam dzwonek komórki.

– Podkomisarz Salvatierra. Tak, słucham?

Znowu była moją szefową, przejęła dowodzenie, czar prysnął i wszystko, co wydarzyło się przed chwilą na tym dachu, wydawało się teraz nie na miejscu. Straszliwie nie na miejscu.

Alba wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia czyjś zdenerwowany głos. Kiedy się rozłączyła, była kimś zupełnie innym.

– Inspektorze Ayala, na tarasie kościoła Świętego Michała Archanioła, pod niszą Białej Paniarki, znaleziono nagie zwłoki dwojga młodych ludzi – poinformowała mnie neutralnym tonem. – Powiedziałam, że jestem w pobliżu, zejdę teraz na dół i obejrzę miejsce zdarzenia. Pan powinien zawiadomić swoją koleżankę. Sędzia, lekarka sądowa i technicy są już w drodze, zaraz też przyjedzie policja, żeby rozpedzić tłum i odgrodzić taras. W miarę możliwości powinniśmy zapobiec robieniu zdjęć komórkami, nie chcemy, żeby szczegóły zbrodni wyciekły do prasy, to utrudniłoby nam śledztwo. Idę.

Odsunęła się, otworzyła włącznik i nie czekając na mnie, zaczęła schodzić.

– Ja też zejdę.

– Nie powinniśmy zjawiać się tam jednocześnie. Na placu zebrało się całe

miasto, ktoś znajomy zobaczy, że wychodzimy z tej samej kamienicy, a nikt na komendzie nie może podejrzewać, że byliśmy razem.

– W porządku, powiedziałaś już, że jesteś w pobliżu, zejdz pierwsza i dostań się na miejsce schodami. – Chciałem jeszcze choć przez chwilę mówić do niej na ty. – Ja odczekam dwie minuty, przyjdę od prawej strony, podcieniami przy barze Toloño. Powiem, że byłem w tłumie oglądającym procesję lampionów.

– Tak zrobimy – zgodziła się, po czym zbiegła po schodach.

Zadzwońłem do Estíbaliz i powiedziałem jej, co się wydarzyło. Jadła kolację z narzeczonym w restauracji La Riojana przy ulicy Cuchillería, uzgodniliśmy, że spotkamy się na tarasie przed kościołem Świętego Michała. Dwie minuty później odważyłem się wyjść na plac. Procesja stała w miejscu, członkowie bractw niosący lampiony zdezorientowani czekali na dalsze instrukcje.

Ludzie potworzyli przygodne grupki, na ich twarzach malowało się zaniepokojenie, mówili wszyscy naraz. Zabolalo mnie, że jeden człowiek może mieć aż taką władzę, żeby zepsuć podniosłą i ważną dla Vitorii uroczystość, zamieniając ją w horror.

Torując sobie drogę w tłumie, z trudem dotarłem do niewielkiego, nierzucającego się w oczy łuku. Czterema susami pokonałem schody i znalazłem się na miejscu zbrodni.

Alba już tam była, przezornie stanęła po lewej stronie. Wydawała rozkazy dwóm umundurowanym policjantom.

Zaczęliśmy rozpędzać tłum. Zgodnie z przepisami powinniśmy rozciągnąć taśmę w odległości pięćdziesięciu metrów od miejsca zdarzenia. Uświadomiłem sobie, że nie sposób będzie uniknąć zdjęć – wszędzie błyskały flesze komórek. Zabrałem się do odganiania ciekawskich, którzy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w nagie ciała.

Kiedy wreszcie udało nam się odgrodzić taras taśmą i mogłem skupić całą uwagę na ofiarach, przykląknę na szarym kamieniu i w myślach powtórzyłem swoją modlitwę:

„Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”.

Odmawiałem ją już trzeci raz w ciągu zaledwie kilku dni. Ile jeszcze razy będę musiał recytować te słowa?

Za to kiedy spojrzałem na obraz, który namalował dla nas morderca, pierwszy raz potrafiłem go z łatwością zinterpretować.

Naga para, najprawdopodobniej trzydziestolatków, leżała u stóp Białej Pani, dotykając nawzajem swoich policzków, zabita przez symbolizującą czystość pszczołę, ukarana za grzech pierworodny, wpisana w równoramienny trójkąt utworzony przez trzy *eguzkiloré* – oko opatrności.

Oko, które widzi wszystko.

PORANNY RÓŻANIEC

Vitoria, sierpień 1970

Álvaro Urbina obudził się o szóstej rano. Emilia uparła się, żeby poszli na poranny różaniec, a on nie miał siły zaprotestować. Od kilku tygodni żył pogrążony w apatii, nie wstrząsnęło nim nawet to, że omal nie przedawkował morfiny. Chciał, żeby Blanca go wtedy znalazła, kiedy leżał z walącym sercem na podłodze w mieszkaniu jej zmarłej ciotki. Teraz było mu już wszystko jedno. Zima czy lato, wesele czy pogrzeb.

Teraz było mu już wszystko jedno.

Dał się unieść fali wiernych, którzy podążali za *blusas* niosącymi do kościoła Świętego Michała figurę Białej Paniienki. Procesję otwierało dwóch mężczyzn dzierżących olbrzymie białe chorągwie. Księża w czarnych sutannach i ministranci w wykrochmalonych komzach intonowali pieśni i odmawiali modlitwy z zapalem, który o tej wczesnej godzinie działał mu na nerwy.

Wracał z kościoła zamyślony, ze wzrokiem wbitym w ziemię, trzymając żonę pod rękę, kiedy zobaczył buty na wysokiej drewnianej podeszwie. Natychmiast je rozpoznał. Przełknął ślinę, a kiedy podniósł głowę, ujrzał Javiera Ortiza de Zárate i Blancę Díaz de Antoñanę.

Ku jego zaskoczeniu przemysłowiec obdarzył go szerokim uśmiechem. Po zatruciu, w wyniku którego trafił na ostry dyżur, nie było już śladu. Blanca również posłała mu kurtuazyjny uśmiech, choć jej spojrzenie ostrzegało go przed czymś, czego nie potrafił odgadnąć.

Jego fachowe oko natychmiast odkryło, że żona Javiera wygląda inaczej. Widział to wcześniej u setek swoich pacjentek. Miała pełniejsze piersi i spuchnięte kostki, pod delikatną skórą widoczną w wycięciu dekoltu dostrzegł nabrzmiałe niebieskie żyły, a obrączka, której tak nienawidził, ścisnęła jej palec.

– Doktor Urbina! Jakże się cieszę, że pana widzę! – powiedział jowialnym tonem mąż Blanki, poklepując go przyjacielsko po ramieniu. – Żona pewnie

przekazała panu dobre wieści podczas ostatniej wizyty. Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc, już niemal straciłem nadzieję.

Álvaro zareagował błyskawicznie, przywdział maskę lekarza i uśmiechnął się z wystudiowaną powściągliwością.

– Przekazała, proszę przyjąć moje gratulacje. Ciąży zawsze wnosi radość do domostwa nowożeńców.

– W przyszłym tygodniu mam umówioną wizytę u doktora Urbiny – wtrąciła Blanca, nie spuszczać wzroku z męża. – Widzimy się w pańskim gabinecie, doktorze. A teraz proszę nam wybaczyć, właśnie szliśmy na lody do La Italiana, może już otworzyli. Ostatnio jadłabym wyłącznie tortille z chorizo z baru Naroki i piła koktajle mleczne z Casa Quico.

– Proszę o siebie dbać. Dobrze, że się pani nawadnia. Pani organizm zatrzymuje teraz dużo płynu, lepiej, żeby nie zemdląła pani podczas nadciągających upałów. I na Boga, proszę nosić obuwie na płaskiej podszwie – odpowiedział, wczuwając się w swoją rolę.

Javier uśmiechnął się zadowolony. Pożegnali się z doktorem i odeszli.

Kilka dni później Blanca zjawiła się z samego rana w jego gabinecie. Zamknęła za sobą drzwi. Álvaro wypuścił pióro, które trzymał w dłoni, i chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziła:

– Jesteś lekarzem, wiesz, że nie da się sprawdzić, czy dziecko jest twoje, czy Javiera.

– Blanco... Powinna pani... – Próbował jej przerwać, ale ona już usiadła na krześle po drugiej stronie biurka.

Spoglądając na stos podręczników leżących na jednym z końców wielkiego blatu, wyrecytowała jednym tchem:

– Policja przestała nas nachodzić. Uznali, że mógł przez przypadek zażyć jakąś nieznaną substancję toksyczną, ale Javiera nie zadowolilo to wyjaśnienie. Przysłałam ci ostrzec: powinniśmy być bardzo ostrożni. Problem w tym, że to ty musisz poprowadzić moją ciążę, Javier zacznie coś podejrzewać, jeżeli nagle zmienię lekarza. Dwóch z jego współników zostało pobitych przez niezidentyfikowanych mężczyzn. Nie złożyli doniesienia na Javiera, wszystko pozostało w rodzinie, ja dowiedziałam się od ich żon, z którymi się przyjaźnię. W obu przypadkach upozorowano napad rabunkowy: szło za nimi kilku zakapturzonych mężczyzn, zażądali oddania pieniędzy, a potem rzucili się na nich, pobili ich i pocięli nożem. Javier podejrzewał, że to któryś z nich próbował go otruć, słyszałam, jak mówił o tym Ulisesowi,

swojemu kierowcy, mimo to się boję, o siebie i o ciebie. Gdyby dowiedział się, co zrobiliśmy, nie wiem, do czego mógłby się posunąć. Co prawda pragnie tego dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie, szanuje mnie, odkąd zaszłam w ciążę...

W tym momencie zza białego parawanu wyszła pielęgniarka Felisa. Ruchem dłoni przerwała Blance.

– Dość. Wystarczy już tego. Pozwoli pan, że sobie pójdę, proszę się nie martwić, nic nikomu nie powiem. Ale wolę nie usłyszeć niczego więcej, nie chcę mieć przez państwa problemów.

Wymienili z doktorem pełne powagi spojrzenia. Álvaro złapał się palcami za nasadę nosa i zacisnął powieki. Potem westchnął i wskazał dłonią drzwi.

– Proszę wyjść, Feliso. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, później będę chciał z panią porozmawiać.

Pielęgniarka bez słowa opuściła gabinet, zamykając cicho drzwi.

– Boże, to jeszcze dodatkowo wszystko komplikuje! Dłużej tego nie wytrzymam. – Blanca zakryła dłońmi twarz.

– Myślę, że możemy jej zaufać. Zresztą obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego, niż zdać się na jej dyskrecję. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebym prowadził twoją ciążę i przyjął poród. Co będzie, jeśli twój mąż się zorientuje, co... co nas łączyło?

Użył czasu przeszłego; zacisnął usta, by ukryć, jak bardzo go to boli.

– Mówiłam ci: dla niego najważniejsze jest teraz dziecko, myślę, że boi się jakiegokolwiek zmiany, chce, żebyś to ty się wszystkim zajął. Musimy jakoś wytrzymać te kilka miesięcy. Będiesz wyłącznie moim lekarzem, ograniczymy się do koniecznych wizyt, a po porodzie już więcej się nie zobaczymy. Otoczę opieką tego chłopca albo tę dziewczynkę niezależnie od tego, kto jest ojcem. Ty wrócisz do swoich dzieci, ja wychowam swoje i zapomnimy o tym, co się wydarzyło. Tak będzie dla wszystkich najbezpieczniej.

Álvaro dał sobie chwilę na zastanowienie. W końcu skapitulował zmęczony całą tą sytuacją.

Niech ci będzie, Blanco. To koniec.

– Poprowadzę ciążę, jeżeli taka jest wola pani i pani męża – powiedział wreszcie oficjalnym tonem. – Wypiszę pani skierowanie na badanie krwi, byśmy mieli pewność, że wszystko jest w porządku. Spróbujemy ustalić przybliżony termin rozwiązania. Proszę wejść za parawan i rozebrać się od

pasa w dół. Znajdzie tam pani prześcieradło do okrycia.

Po wyjściu Blanki do gabinetu weszła Felisa. Pierwszy raz, odkąd doktor Urbina zaczął pracę w klinice, usiadła na krześle przeznaczonym dla pacjentek.

– Wolałabym się o tym nie dowiedzieć, zwłaszcza w taki sposób, doktorze. Przeżyłam wojnę domową, nawet pan sobie nie wyobraża, ile przemocy się naoglądałam, pan był wtedy jeszcze dzieckiem i pewnie poznał jedynie głód. Moja praca tutaj polega na tym, żeby widzieć, słyszeć i milczeć, ale czasami milczenie, zamiast pomóc, jeszcze pogarsza sytuację. Mówiłam już panu, że zajmowałam się pierwszą żoną don Javiera, kiedy przychodziła do doktora Mediny. Mówiłam panu, jakie obrażenia widziałam na jej ciele, mówiłam, że lekarz nie zareagował. Zresztą nigdy nie reagował. Ale to nie wszystko. Przyszła do kliniki, bo nie mogła zająć w ciążę. Doktor ją zbadał, byłam przy tym. Miała macicę wielkości groszku, wada wrodzona. Biedaczka nie była niczemu winna, ale doktor Medina upierał się, że jej obowiązkiem jako żony jest powiedzenie mężowi prawdy. Wyznaczyliśmy jej kolejną wizytę na następny tydzień, ale nie przyszła, zdziwiło mnie, że nie odwołała spotkania, taka kulturalna, sumienna kobieta. A potem w jednej ze starych gazet leżących w poczekalni zobaczyłam nekrolog. Zaczęłam o nią rozpytywać. W czasie weekendu spadła w przepaść przy wodospadzie Gujuli. Wie pan, jakie to nieprawdopodobne? Ona wszystkiego się bała, wystarczyło, że ktoś podniósł głos, kulila się, słysząc hałas. Zna pan ten typ kobiet, co to boją się bez pozwolenia oddychać, żeby przypadkiem komuś nie przeszkadzać? Są jak szczeniaki wygrzmoczone przez pana kijem, które pytają wzrokiem, czy mogą pogryźć znalezionej na drodze kość. Taka właśnie była, nie wyobrażam jej sobie wychylającej się nad stumetrową przepaścią.

– Co próbuje mi pani powiedzieć, Feliso?

– Że wilka ciągnie do lasu, że jej mąż zawsze sływał z twardej ręki, ale ponieważ należy do rodziny, do której należy, wszystko uchodzi mu płazem. I że Javier Ortiz de Zárate to nie jest człowiek, któremu można bezkarnie grać na nosie. Już wystarczająco dużo panu powiedziałam, wolałabym teraz odejść, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Jedna wizyta w miesiącu. Szczupłe ciało Blanki powoli nabierało kształtów, brzuch rósł w miarę upływu ciąży. Jesienią krępująca neutralność w relacjach między doktorem Urbina a jego pacjentką ustąpiła miejsca ciepłej sympatii, jaka łączyła ich na początku znajomości. Paraliżujący strach stopniowo stawał się jedynie mrocznym wspomnieniem, o którym woleli nie pamiętać. Patrzyli w przyszłość. Wyłącznie w przyszłość, czekając na poród.

Pewnego ranka w gabinecie doktora Urbiny zadzwonił telefon. Cztery dźwięki. Potem cisza.

Czekam na ciebie, mówiła bezgłośnie Blanca po drugiej stronie odwieszanej słuchawki.

Czekam na ciebie.

Po południu Álvaro udał się na ulicę General Álava. Na wszelki wypadek rozejrzał się na boki, a kiedy miał pewność, że nie widzi go nikt znajomy, wyjął klucze, których dotąd się nie pozbył, i wszedł do kamienicy.

Blanca czekała na niego naga w łóżku, jak za dawnych czasów. Nie padły żadne słowa, nie rozmawiali o swojej sytuacji, tego popołudnia liczyły się tylko dwa ciała szukające schronienia przed swoimi lękami, pocieszające się nawzajem, żeby jakoś wytrwać.

Nazajutrz wieczorem Álvaro wracał do domu po przyjęciu ostatniej pacjentki. Zerwał się zimny, dokuczliwy wiatr. Kiedy schodził aleją Generalísimo, wydawało mu się, że słyszy za plecami szepty. Kupili nowe dziewięćdziesięciometrowe mieszkanie przy ulicy Honduras w dzielnicy El Pilar. Wysokie wieżowce z szarego betonu otaczały drzewa i trawniki, za którymi budowano przyszlą szkołę imienia Świętego Wiatora.

Dotarłszy do końca alei, zaniepokojony obejrzał się przez prawe ramię. O tej porze panował raczej mały ruch, on jednak wciąż miał wrażenie, że słyszy dochodzący z bliska odgłos kroków. Nikogo nie dostrzegł, mimo to na wszelki wypadek skręcił w ulicę, przy której znajdowało się kilka otwartych o tej porze barów. Ostatni klienci dopijali wermut przed udaniem się do domów na kolację.

Przeciął ostatnią oświetloną ulicę i wszedł na zwirową wysadzaną krzewami alejkę prowadzącą do jego bloku.

Znowu usłyszał za plecami hałas; tym razem naprawdę się wystraszył.

– Kto tam jest? – krzyknął zaalarmowany, odwracając głowę.

W świetle jedynej stojącej w pobliżu latarni zobaczył tylko cienie drzew. Przyspieszył kroku, niemal wbiegł pod podcienia, z których wchodziło się do budynku.

Zza kolumn wychynęło trzech potężnie zbudowanych mężczyzn z chustkami na twarzach odsłaniającymi tylko oczy. Jeden z nich wyciągnął długi nóż o wąskim, dwudziestocentymetrowym ostrzu. Zrobił to powoli, bez pośpiechu i zdenerwowania charakterystycznych dla kieszonkowców czy narkomanów.

Pozostali dwaj mężczyźni stanęli po bokach lekarza. Álvaro wzywał pomocy, ale nikt nie przyszedł mu na ratunek. Wydało mu się, że rozpoznaje przyczajony dwadzieścia metrów dalej cień: opierał się o betonową ścianę, nadzorując to, co miało się za chwilę wydarzyć.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO MICHAŁA

Czy złoczyńca może być również oszustem albo naśladowcą?
Otwórz oczy, #Kraken

4 sierpnia, czwartek

To była niezwykle pracowita noc. Ktoś wrzucił zdjęcie ofiar na Twittera i wszyscy użytkownicy bawili się w śledczych, próbując je zidentyfikować. Anonimowa masa ochrzciła ostatnie morderstwa mianem „zbrodni u Białej Panienci” i przypisała im nowy hashtag, #ZBP, który rywalizował z #TwinMurders i #Kraken o pozycję światowego *trending topic*. Także czołowe zagraniczne gazety, od włoskiego „Corriere Della Sera” po argentyński „Clarín”, odniosły się do ostatnich wydarzeń na swoich profilach. Trzecie podwójne morderstwo w ciągu niespełna dwóch tygodni sprawiło, że znów mówiono o nas w wiadomościach telewizyjnych na całym świecie.

Wysuwano różne teorie. Dla wielu było oczywiste, że mordercą jest Ignacio. Chociaż nie przekazałem tej informacji Santosowi, a tym bardziej Lutowi, wszyscy wiedzieli, że policja nie zdołała ustalić miejsca jego pobytu.

Jego starzy przyjaciele okazali się mało dyskretni: rozgłosili wszem wobec, że Ignacio nie przyszedł na wspólną kolację. Wiadomo było, że jego komórka nie odpowiada, a sprzedawcy ze sklepów mieszczących się na parterze kamienicy przy ulicy Dato chętnie rozpowiadali, że od kilku dni nie pojawia się w domu.

Wiele osób żądało ode mnie wyjaśnień za pośrednictwem tweetów: „Gdzie jest Ignacio, #Kraken? Dlaczego nie aresztowałeś tego pedofila?”.

Prawda była taka, że nikt z rodziny ani ze znajomych nie zgłosił jego zaginięcia, a ponieważ nie otrzymaliśmy jeszcze wyników analizy sprzętu pszczelarskiego, nie mieliśmy podstaw do wydania nakazu aresztowania.

Inni wskazywali na Tasia, który zgodnie z początkowo wysuwaną teorią miał dokonać zbrodni rękami współnika. Już kilka dni wcześniej zaczęto zbierać podpisy pod spontanicznie powstałą petycją, której celem było nie

dopuszczyć, by 8 sierpnia więzień wyszedł na przepustkę. Nieważne, że miała trwać niespełna tydzień – wszyscy uważali, że ucieknie, i krytykowali nas za to, że nie podjęliśmy odpowiednich środków. Dla użytkowników portali społecznościowych byliśmy bandą niekompetentnych patałachów – zwłaszcza ja. Musiałem przyznać im rację.

Po złożeniu raportu Medinie podkomisarz Salvatierra zwołała pilne zebranie w swoim gabinecie. Jej zmęczona twarz wskazywała, że szef nieźle ją przycisnął.

Worki pod oczami, wykrzywione usta, twarde spojrzenie. Na tych ciepłych plecach, które kilka godzin wcześniej opierały się o moją pierś, spoczywał teraz ciężar całego świata. Nie weszło jeszcze słońce, kiedy zjawiliśmy się z Estíbaliz na komendzie, spięci i przybici.

– Właśnie zidentyfikowaliśmy obie ofiary – poinformowała nas podkomisarz, kiedy usiedliśmy przy jej biurku, po czym podała nam dwa raporty.

– Tak szybko? – zdziwiła się Esti.

– Przecież rodzice czy krewni nie zdążyli nawet zgłosić zaginięcia – powiedziałem zaskoczony.

– Zostali rozpoznani na portalach społecznościowych. A odpowiadając na pytanie, które zaraz mi państwo zadadzą: tak, oboje mieli po trzydzieści lat. Ich znajomi podnieśli alarm, kiedy zobaczyli wrzucone do sieci zdjęcia. To oni skontaktowali się z rodzinami. Nikt nie wiedział, gdzie są. Nad ranem po internecie krążyło już kilka zdjęć ich twarzy. Przyjaciele zaczęli niepokoić się wczoraj wieczorem, kiedy żadne z nich nie stawiało się na umówionym spotkaniu i nie odbierało komórki. Skoro tylko w sieci rozeszła się wiadomość, że znaleziono kolejne dwa ciała, wystarczyła niespełna godzina. Skontaktowali się z nami zarówno matka trzydziestolatka, Matea Ruiza de Zuazo, jak i rodzice dziewczyny, Irene Martínez de San Román. Na ich prośbę postanowiliśmy nie czekać do rana i od razu pozwoliliśmy im zidentyfikować zwłoki, nie było sensu trzymać ich dłużej w niepewności. Niestety w obu przypadkach potwierdzono tożsamość ofiar. Pozostaje nam zaczekać, aż wyniki autopsji poświadczą to, co już wiemy: śmierć przez uduszenie spowodowana wpuszczonymi do ust pszczołami, obecność rohypnolu we krwi i niewiele więcej.

– Kim są tym razem ofiary? – zapytała Estíbaliz.

– Jak już wspomniałam, mężczyzna nazywał się Mateo Ruiz de Zuazo. Wykładał marketing w Basque Culinary Center, codziennie dojeżdżał z Vitorii

do San Sebastián. Mieszkał sam, ale regularnie odwiedzał matkę w dzielnicy El Pilar, wpadał do niej na obiad albo na kolację. Nie był karany, jego matka twierdzi, że nigdy nie miał problemów z narkotykami, nigdy nie dostał nawet mandatu. Normalny facet, bezkonfliktowy, zdrowy, wysportowany. Chodził po górach. Bardzo towarzyski, bardzo otwarty i znowu: bardzo ufny. Ostatni raz kontaktował się ze znajomymi wczoraj rano, umówili się przez WhatsAppa, że dołączy do nich po odpaleniu racy. Podobno nigdy nie przychodził na plac, bo nie znosił zapachu cygar^[11]. Matka powiedziała, że jego ojciec dużo palił i zmarł na raka płuc. Syn wykazywał taką stanowczość tylko w tej jednej kwestii.

– W porządku, ten sam profil co zawsze. A co z dziewczyną? Też to samo?
– zapytała Estíbaliz.

– Obawiam się, że tak. Irene Martínez de San Román, szczególnie bolesny przypadek, bo dopiero wczoraj skończyła trzydzieści lat. Trudno uwierzyć, że zginęła z powodu jednego dnia. Jej matka bez przerwy powtarza, że trzydzieści lat temu trzeba było przyspieszyć poród, bo dziecko ułożyło się w poprzek i nie mogło już rosnać, że planowo powinna urodzić się piętnastego sierpnia i że gdyby lekarze trzymali się ustalonego terminu, teraz jej córka by żyła.

– To niesamowite, czego czepiają się rodzice, kiedy tracą dziecko – stwierdziła Estíbaliz.

Wymieniliśmy z Albą spojrzenia, słowa Esti poraziły nas niczym prąd. Popatrzyliśmy na nią, ale ona wpatrywała się w raport nieświadoma naszego cierpienia. Nie mogła nas rozumieć, była jak żołnierz, który nie brał nigdy udziału w bitwie – zbyt dziewicza.

– Irene była umówiona ze swoją paczką na wpół do szóstej, mieli popatrzeć, jak spuszcza ją Celedona. Jej nieobecność wzbudziła niepokój koleżanek, od tamtej pory ciągle do niej wydzwaniały, próbując ją namierzyć. Skontaktowały się z jej rodzicami, ale oni także nie wiedzieli, gdzie jest ich córka. Kiedy w internecie rozeszła się wiadomość o kolejnych morderstwach, zamierzali właśnie udać się na komisariat. Jak niemal wszyscy w ostatnich dniach, mieli obsesję na punkcie podwójnych zbrodni i bali się, że ich córka może być na... No wiedzą państwo, na liście potencjalnych ofiar. Staram się nie powielać sformułowań używanych w prasie, telewizji i internecie: lista skazanych, wybranych...

– Ta sama historia. Zastanawia mnie, jaki człowiek jest w stanie porwać dwudziesto-, dwudziestopięcio- i trzydziestolatków – przerwała jej Estíbaliz.

– Mnie z kolei zastanawia, jak to możliwe, że są tak łatwym celem – dodałem. – Wyniki autopsji nie wskazują, że doszło do walki czy szarpaniny. To ktoś niezwykle kontaktowy, kameleon, który wie, jak zwabić ofiary na swoje terytorium, nie budząc obaw ani podejrzeń.

– To psychopata, przestań mówić o nim tak, jakbyś go podziwiał – zganiła mnie Estíbaliz.

– Ja jedynie opisuję jego cechy, pani inspektor. Staram się postawić na miejscu sześciorga młodych ludzi, którzy zapłacili życiem za to, że uwierzyli w czyjąś życzliwość.

Esti posłała mi przepaszające spojrzenie. Była zmęczona, podobnie jak ja. Nie powinniśmy teraz ze sobą walczyć.

– Choć raz Twitter okazał się pomocny – zmieniłem temat i zerknąłem na Albę.

Pokręciła głową wyraźnie zmartwiona.

– Wcale nie okazał się pomocny, wręcz przeciwnie. Na zdjęciach krążących po internecie każdy może zobaczyć szczegóły, które staraliśmy się ukryć, na przykład *eguzkilorre*. W związku z tym pojawiła się już cała masa neopogańskich teorii. Eksperti od baskijskiej mitologii nieproszeni komentują zbrodnie, dla stacji telewizyjnych to prawdziwa żyła złota, mają temat na kilka tygodni. To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne, komisarz sprawdza już, jakie kroki możemy podjąć, żeby usunąć z obiegu te zdjęcia. Jedną z opcji byłoby włączenie ich do śledztwa przez sędziego Olano. Zyskaliśmy za to kilka godzin, a może nawet dni przewagi.

– Zanim znowu zabije – wtrąciła Estíbaliz. – Vitoria świętuje, przed nami pięć dni totalnego chaosu, tysiące ludzi na ulicach. Nie ogłosimy przecież stanu wyjątkowego. To może być prawdziwe piekło. Ludzie się boją. Co dokładnie chce osiągnąć morderca, zabijając właśnie teraz? Żeby odwołano uroczystości?

– Pewne jest, że dokonuje zamachu na nasze rytuały, nasze zwyczaje, nasze historyczne zabytki. Ten gość nienawidzi wszystkiego, co ma związek z Vitorią – odpowiedziałem.

– Z tym akurat się zgodzę – stwierdziła Alba. – Miejsce zbrodni kolejny raz wpisuje się w chronologię miasta. Nisza Białej Paniienki pochodzi z osiemnastego wieku. Nie kieruje się też osobistymi pobudkami, wszystko wskazuje na to, że wybiera ofiary na podstawie dwóch kryteriów: wieku i nazwiska.

– Owszem, ale nie powinniśmy zapominać o okolicznościach

towarzyszących zabójstwu Lidii, dziewczyny bliźniaków – zauważyła Estíbaliz, zakładając ręce na piersi. – Chyba że znowu pomijamy głównych podejrzanych.

– Wciąż nic na nich nie mamy, absolutnie nic – przypomniałem.

– Poza ulami spalonymi przez Ignacia, że nie wspomnę o zdrowym rozsądku – zaperzyła się moja koleżanka.

– Będą musieli dać mi państwo coś więcej, i to jak najszybciej. – Alba wstała z krzesła na znak, że spotkanie dobiegło końca. – Tak dalej być nie może. Nie może. Spoczywają na nas oczy połowy świata, wszyscy oczekują od nas, że nie dopuścimy do kolejnych zbrodni. Komisarz walczy nie tylko z naciskami hiszpańskich mediów, o podwójnych zbrodniach pisze także zagraniczna prasa, jej korespondenci będą relacjonować na żywo uroczystości ku czci Białej Pani. Nie wyobrażają sobie państwo, jak natrętni potrafią być dziennikarze BBC, Europa Press i Reutersa, kiedy chcą poświęcić czemuś więcej miejsca. Niech się państwo prześpią choćby kilka godzin. Czeka nas ciężki dzień. Chcę, żeby byli państwo w jak najlepszej formie fizycznej i umysłowej. Oczekuję postępów we wszystkich wątkach śledztwa. Proszę jeszcze raz wszystko sprawdzić, może coś państwu umknęło. Od tej chwili będę oceniać rezultaty, nie starania. Przy okazji chciałam państwa poinformować, że rozpoczniemy kampanię mającą na celu odwiedzenie ludzi od zbliżania się do dziewiętnastowiecznych zabytków, choć to praktycznie cała dzielnica Ensanche, najbardziej oblegana podczas świąt.

– Muszę się z paniami czymś podzielić – wtrąciłem, starając się przewyciężyć zmęczenie. – Chodzi o trop, na który niedawno wpadłem. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie było okazji o tym wspomnieć. Równie dobrze mogę to zrobić teraz.

– O co chodzi, Ayala? – zapytała szefowa, ponownie siadając za biurkiem.

Opowiedziałem im o płaskorzeźbie z San Vicentejo i zwiedzaniu kościółka z don Tiburciem. Słuchając o oku opatrności, hermetycznej parze i moralizujących zwierzętach, Alba uniosła brew. Kiedy wspomniałem o rudowłosym pomocniku, Estíbaliz rzuciła mi krzywe spojrzenie.

– Niczego nie masz – zbagatelizowała moje odkrycie. – Tak naprawdę trafiłeś na tego człowieka wyłącznie dzięki Tasiowi. Czy to go jeszcze bardziej nie obciąża?

– Gdyby go obciążało, nie podałyby mi jego nazwiska. Wymigałyby się, tłumacząc, że po tylu latach go nie pamięta, i nic bym nie wskórał, nie odnalazłbym go – próbowałem ją przekonać.

– Czyli jakie są dokładnie twoje wnioski? – zapytała zdeorientowana.

– Don Tiburcio Sáenz de Urturi jest masonem, prawdopodobnie wielkim mistrzem albo wielkim sekretarzem. Nie patrzcie tak na mnie, to żaden sekret, że w Vitorii działa co najmniej jedna loża, imienia Manuela Iradiera. Zaczęli się spotykać kilkadziesiąt lat temu w pewnym gospodarstwie w Respaldzie, niedaleko Amurrio.

– Chcesz powiedzieć, że morderca też jest masonem?

– Nie, gdyby należał do loży, gdyby był jednym z braci, don Tiburcio na pewno by o tym wiedział i nie zdradziłby mi tych wszystkich informacji. Myślę, że mordercą może być ten chłopak, który pomagał mu przy renowacji. Opowieści don Tiburcia zrobiły na nim wielkie wrażenie, odtworzył je w historycznych sceneriach, na przykład, żeby zrzucić winę na Tasia, znanego archeologa. Ale miejsca zbrodni, z którymi mieliśmy dotąd do czynienia, to jego własna interpretacja. Stanowią jego *mind map*, mapę kognitywną, przedstawienie tego, jak powinien zostać rozwiązany jego świat, jego problemy, jego traumy, jakiegokolwiek by one były. Nie zapominajcie, że mordercy kierują się logiką kosztów i korzyści: wszystko, co robią, ma dla nich sens, począwszy od podpisu, a skończywszy na modus operandi. Cały podjęty trud, każda czynność są warte zachodu, jeżeli przynoszą oczekiwany efekt.

– W takim razie twoim zdaniem to jest czy nie jest zbrodnia masońska? – dociekała moja koleżanka.

– Powtarzam: nie, chociaż morderca czerpie ze średniowiecznej ikonografii kościółka w San Vicentejo. Myślę, że ten, kto odsłonił przed nim symbolikę średniowiecznych kamieniarzy, nieświadomie, niechcący zasiał ziarno zbrodni, z którymi mamy teraz do czynienia.

– Unai, z całym szacunkiem: uważam, że powinien pan odpocząć. Zależy mi na pańskiej pomocy, jest pan doskonałym profilerem. Proszę się przespać. Niektóre noce są tak długie, że mamy wrażenie, że zaczęły się wieki temu. Dziś jest właśnie taka noc – powiedziała Alba i wstała zza biurka, kończąc zebranie.

Na wpół moja szefowa, na wpół moja prawie kochanka.

Skinęliśmy głowami i pożegnaliśmy się bez słowa. Kiedy pierwsze promienie słońca zalewały chodniki, komendę opuściło troje zombie niemających ochoty ani siły na rozmowę.

Powlokłem się jak zółw na plac Virgen Blanca. Imprezowicze wracali do domów, brakowało jednak atmosfery radości, zabawy i beztroski, pijanych

mężczyzn flirtujących z latarniami.

Ludzie przemierzali się grupami. Dziewczyny wracały parami, trójkami, czwórkami. Wszyscy z nosem w komórcie.

W najmniejszym stopniu nie przypominało to świąt Białej Panienki, jakie znałem przez prawie czterdzieści lat swojego życia.

Przekląłem umysł, który uzyskał tak wielką władzę, że był w stanie zmienić życie tylu ludzi niemających nic wspólnego z jego pobudkami. Przeraziła mnie łatwość, z jaką chorobliwe dążenia jednej osoby sparaliżowały całe miasto.

Przede wszystkim jednak przekląłem gościa, który przerwał to, co właśnie zaczynaliśmy z Albą na tamtych czterech dachach.

PROMENADA MIRACONCHA

Działa zbyt szybko. Poszukaj błędów; jeżeli dotąd żadnego nie popełnił, przysięgam, że będę zmuszony skapitulować wobec jego inteligencji, #Kraken

5 sierpnia, piątek

Obudziłem się i zszedłem do baru Mentirón na kawę z mlekiem i croissanta. Jeszcze na wpół spałem, zrobiłem to z przyzwyczajenia. Nie myślałem, że ta przekłeta sprawa zaburzyła także i moje własne rytuały.

Kelnerka o ciemnych, zebranych w kok włosach i grubo pomalowanych brwiach przyniosła mi kawę, którą zamówiłem. Postawiła na stoliku także biały porcelanowy spodek, spod którego wystawała jakaś kartka.

– Ty jesteś Kraken, prawda?

– Uwierzysz mi, jeśli zaprzeczę? – odpowiedziałem znużonym tonem; miałem już dosyć tego tematu.

– Nie, wiem to z zaufanego źródła. – Odsunęła z oka kosmyk włosów.

– Jak się domyślam, to lista twoich krewnych i znajomych mających trzydzieści pięć lat. – Spojrzałem zaspanym wzrokiem na karteczkę z logo baru.

– Chcę tylko, żebyś na nią zerknął. To ludzie z krwi i kości, ludzie, na których mi zależy, nie nazwisko podane w dzienniku telewizyjnym, o którym za kilka dni się zapomni, bo będą nowe ofiary.

– Wszyscy ci ludzie byli z krwi i kości, żaden nie był nazwiskiem – odpowiedziałem, jakbym rozmawiał z małym dzieckiem.

– W takim razie zamknij wreszcie bliźniaków, obu, w osobnych celach. Nie wiem, na co czekacie.

Ścisnąłem palcami nasadę nosa. Może budzik jeszcze nie zadzwonił i to był tylko jeden z tych snów, w których powracały moje najgłębsze lęki. Ale wtedy kawa nie pachniałaby tak apetycznie jak ta, która stała przede mną na stoliku.

– Masz świadomość, że odbierasz mi ochotę, żeby jeszcze kiedykolwiek przyjść tu na śniadanie?

– Może tak będzie lepiej. Wszyscy na ciebie patrzą, odstraszasz klientów. Wystarczy, pomyślałem.

Jednym haustem wypilem wrzącą kawę – poparzone gardło będzie mnie bolało przez cały ranek – i w paru kęsach pochłonałem przekłętą croissant. Zostawiłem na metalowym spodeczku kilka euro i wstałem gotów opuścić strefę nieprzyjaciela.

Już wyciągałem dłoń w stronę klamki, kiedy kelnerka złapała mnie za rękę. Odwróciłem się zaskoczony.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Na liście, którą ci dałam, jest mój chłopak. Mam nadzieję, że będziesz o nim pamiętał. Spodziewamy się dziecka. Nie możesz pozbawić go ojca jeszcze przed urodzeniem. Potrafisz zrozumieć, jak bardzo się denerwuję?

Jej słowa zapiekły mnie niczym kwas wpuszczony do żył.

– Chcesz rady? – zapytałem zniecierpliwiony. – Niech wyjedzie z Vitorii. Natychmiast, niech nie będzie go tu przez najbliższe dni, dopóki...

Dopóki nie zginie inny trzydziestopięciolatek, zamierzałem powiedzieć. Ale jak przyznać się na głos do własnej porażki, jak wyznać obcej osobie, że ja sam nie wierzę, że to już koniec?

Zbladła, przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami.

– Masz rację. Do diabła z pracą i z jego szefem. W grę wchodzi jego życie. Dzięki, Kraken.

Wypadła z baru jak burza, z komórką w ręku.

Pół godziny później, kiedy siadałem za biurkiem, na moim telefonie wyświetlił się numer, którego nie miałem zapisanego w kontaktach.

– Inspektorze Ayala, tu Antonio Garrido-Stoker z kancelarii adwokackiej Garrido-Stoker w San Sebastián. Dzwonię w imieniu mojego klienta, pana Ignacia Ortiza de Zárate.

– Słucham – odpowiedziałem, starając się ukryć zdziwienie.

– Od trzeciego sierpnia mój klient przebywa w moim domu przy ulicy Duque de Baena, tuż przy promenadzie Miraconcha. Polecił mi skontaktować się z panem osobiście i umówić na wideokonferencję, jeżeli to możliwe, jeszcze tego ranka. Rozumie pan, że zważywszy na ostatnie wydarzenia, zależy mu, by jak najszybciej wyjaśnić jego sytuację.

– Ignacio jest u pana? – zapytałem.

– Tak. W tej chwili stoi obok mnie.

– W porządku. Rozumiem, że spotkanie będzie dotyczyło kwestii prawnych. Chciałbym, żeby uczestniczyły w nim również moja bezpośrednia przełożona podkomisarz Alba Díaz de Salvatierra oraz inspektor Estíbaliz Ruiz de Gauna, która prowadzi ze mną tę sprawę.

Przez chwilę słyszałem dobiegające z San Sebastián szepty.

– Mój klient mówi, że liczył się z taką możliwością. Odpowiada państwu, żebyśmy połączyli się za pół godziny?

– W porządku, w takim razie za pół godziny.

Natychmiast poinformowałem o wszystkim szefową i Esti; w kilka minut uzgodniliśmy strategię, jaką przyjmiemy w rozmowie z adwokatem Ignacia.

O ustalonej godzinie czekaliśmy wszyscy troje przed moim laptopem na połączenie z prawnikiem. Z trudem kryliśmy podekscytowanie. Informatycy przeskanowali komputer, a ja ukradkiem zadzwoniłem do Golden Girl: chciałem się upewnić, że MatuSalem nie nagra rozmowy i nie przekaze informacji Tasiowi.

Wreszcie się połączyliśmy. Na ekranie pokazał się Ignacio, w garniturze i pod krawatem, elegancki, jakby to miało być biznesowe spotkanie. Siedzący obok niego mężczyzna, słynny Garrido-Stoker junior, przypominał bardziej rekina z Wall Street niż młodego wilka z legendarnego rodu prawników znanych we wszystkich sądach na północy Hiszpanii. Ciemne kręcone włosy miał zaczesane do tyłu na żel, zakola podkreślały wysokie czoło, a jego marynarka na pewno zachwycałaby mojego brata Germana.

Garrido-Stokerowie byli rodziną zaprawionych w bojach, doświadczonych prawników reprezentujących wielkie fortuny. Przeciętna, a nawet wysoka pensja nie starczyłaby na pokrycie honorarium adwokatów z ich kancelarii. Grali w innej lidze.

Za ich plecami rozciągał się widok na leżącą w dole zatokę Concha, zza równo przyciętego żywopłotu wзираła wyspa Santa Clara.

– Podkomisarz Salvatierra – zaczęła Alba. – Chciałam panów poinformować, że ta wideokonferencja zostanie zarejestrowana jako element toczącego się śledztwa. Czy wyrażają panowie zgodę na nagranie?

Ignacio i prawnik wymienili szybkie spojrzenia.

– Nie ma problemu – powiedział adwokat. – Jeżeli nie mają państwo nic przeciwko temu, nasza kancelaria również ją nagra. To rutynowa procedura.

– Ma pan moją zgodę – odparła Alba. – Czy może nam pan wyjaśnić obecną sytuację pańskiego klienta i powody, dla których chcieli się panowie z nami skontaktować?

– Naturalnie. Domyślam się, że czeka dziś państwa dużo pracy, a wszystkim nam zależy na postępach w śledztwie. Mnie i mojego klienta łączy długotrwała relacja, jego ojciec był klientem mojego ojca. Don Ignacio Ortiz de Zárate zgłosił się do naszej kancelarii trzeciego sierpnia. Postanowił opuścić swoje mieszkanie w Vitorii po tym, jak jedna z gazet opublikowała oszczercze materiały na jego temat. Nie muszę dodawać, że podjęliśmy już stosowne kroki prawne. Z drugiej strony świadomi, że wkrótce może dojść do kolejnych zbrodni, uznaliśmy za zasadne udzielić mu schronienia w naszej prywatnej rezydencji, skąd prowadzimy tę rozmowę. Zważywszy na charakter naszej pracy i powagę spraw, z jakimi zwracają się do nas klienci, dom jest doskonale strzeżony, w całym budynku znajdują się kamery monitoringu, także na zewnątrz, w ogrodzie i innych strefach rekreacyjnych. Chciałbym jasno podkreślić, że don Ignacio sam poprosił, żebyśmy pilnowali go dwadzieścia cztery godziny na dobę: odkąd wszedł do tego domu, z nikim się nie kontaktował ani przez komórkę, ani przez telefon stacjonarny. Nie łączył się także z internetem z komputera ani żadnego innego urządzenia, jak wkrótce sami się państwo przekonają. Dziś rano wysłaliśmy kurierem nagrania, na których widać wszystkie jego ruchy od dnia, w którym się u nas zjawił, państwa technicy będą mogli potwierdzić, że to nie jest montaż i że na filmie nie brakuje ani jednej minuty. W ten sposób chcemy udowodnić, że mój klient nie mógł być sprawcą morderstw, do których doszło ubiegłej nocy.

Na kilka sekund oniemieliśmy, żadne z nas nie wiedziało, jak zareagować.

– Ten gość to szczywany lis – szepnęła Estíbaliz, przerywając milczenie.

– Po prostu uprzedziłem wydarzenia, pani inspektor – powiedział Ignacio, przysuwając się do kamery, tak jak jego brat przysuwał się do szyby, kiedy odwiedzałem go w więzieniu. – Myślę, że wszyscy tu obecni bierzemy udział w zakrojonej na szeroką skalę grze, w której państwo także są pionkami, choć pewnie nie zdają sobie z tego sprawy. Mam nad państwem dwadzieścia lat przewagi, mogłem wszystko dokładnie przemyśleć. Nie zamierzam być bierną stroną w tej sprawie. Zapłaciłem już niezwykle wysoką cenę za coś, co nie ma ze mną nic wspólnego. Niestety było do przewidzenia, że morderca będzie dalej zabijał. Nie zamierzam pozwolić, żeby przypisano te zbrodnie mnie.

Alba rzuciła Estíbaliz karcące spojrzenie. Moja koleżanka zacisnęła usta i nie odpowiedziała.

– Chcielibyśmy zadać pańskiemu klientowi kilka pytań. Rozumiem, że

przez ostatnie dni przygotowywali panowie jego obronę. Pomógłby nam w śledztwie, gdyby zechciał wyjaśnić kilka kwestii, które czynią go podejrzanym – powiedziałem ugodowym tonem.

Nie miało sensu iść na noże z tym rekinem.

– Proszę pytać – zgodził się adwokat.

– Trzeciego sierpnia, nazajutrz po ukazaniu się wspomnianych zdjęć, na terenie znajdującej się niedaleko Murguui posiadłości należącej do firmy pańskiego klienta doszło do próby podpalenia. Powiedział pan, że tego samego dnia don Ignacio pojawił się w pańskim domu w San Sebastián. Czy wiedział o tym, co się stało?

– Tak, on sam podpalił ściernisko. Twierdzi, że miał kontrolę nad ogniem, odjechał, kiedy płomienie już dogasły. Panuje susza, a tego dnia wiał silny wiatr, wiem to, bo w wiadomościach mówili o dużej liczbie pożarów w całym Kraju Basków. Mój klient nie ponosi winy za to, że jedna iskra roznieciła tak duży ogień. Oczywiście mogą go państwo oskarżyć o przestępstwo przeciwko środowisku; nasza kancelaria zajmie się jego obroną.

– Technicy badają pogorzelnisko, może jednak już teraz udałoby nam się wyjaśnić, czy na spalonym terenie znajdowały się cztery ule tworzące małą pasiekę – zaryzykowałem.

– To nie ma nic do rzeczy. Pozwoli pan, że mój klient nie odpowie na to pytanie.

Czyżby Pancorbo dał ci cynk, że narzędziem zbrodni są pszczoły, a ty nie chcesz wpakować go w kłopoty, dlatego nie możesz nam zdradzić, że o wszystkim wiesz? – miałem ochotę go zapytać.

Ale nie zapytałem, to były tylko podejrzenia, nie zamierzałem pokazywać zbyt wielu kart temu doświadczonemu szulerowi.

– W zeszłym tygodniu nie zadaliśmy pańskiemu klientowi tego pytania, teraz jednak uważamy, że jest ono zasadne – przejęła pałeczkę Estíbaliz. – Gdzie przebywał dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego lipca?

– Był w swoim domu w Laguardii, a potem wrócił do mieszkania w Vitorii – odpowiedział szybko adwokat.

Było oczywiste, że spodziewali się tego pytania.

– Jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić? – dopytywała Esti.

– Obawiam się, że nie. To był spokojny dzień, z nikim się nie umawiał ani nikogo nie spotkał. Brak alibi nie świadczy o jego winie.

– Ma pan świadomość, że ta odpowiedź stawia go w trudnej sytuacji?

– Zgodziłem się go bronić, bo jestem przekonany o niewinności mojego klienta. Ta komplikacja nie stanowi dla mnie problemu.

– W porządku, przejdźmy wobec tego do najdelikatniejszej kwestii. Pański klient znał Lidię Garcíę de Vicuñę? – kontynuowała Esti.

– Mój klient na razie nie udzielił odpowiedzi na to pytanie. Rodzice ofiary nigdy nie złożyli żadnej skargi. Nawet po ukazaniu się zdjęć, które niczego nie dowodzą.

– Nie zgodzimy się z panem w tej kwestii. – Estíbaliz pokręciła głową. – Dowodzą przynajmniej tego, że się znali i że łączyła ich pewna zażyłość, wbrew temu, co pański klient powiedział mi i inspektorowi Ayali. Można by to podciągnąć pod utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości.

– Zamierzają państwo podjąć kroki prawne w tej konkretnej kwestii? – chciał wiedzieć adwokat.

– Zastrzegamy sobie takie prawo. Jeżeli do tego dojdzie, zostanie pan natychmiast poinformowany – wtrąciła Alba.

– Ignacio – zwróciłem się bezpośrednio do bliźniaka. – Tasio przyznał się do związku z Lidią, powiedział mi, że z początku spotykała się z tobą, ale była dla ciebie tylko kolejną przygodą. On natomiast traktował ją poważnie, chciał z nią spędzić resztę życia. Twój brat...

– Bliźniak – skorygował odruchowo Ignacio.

– Twój bliźniak planował poczekać, aż za dwa lata i siedem miesięcy Lidia osiągnie pełnoletniość, i ujawnić ich związek. Był gotów zaryzykować mimo wysokiej ceny. Wiedziałaś o tym?

Obserwowałem go. Denerwował się, przyjemny wietrzyk, który wiał w San Sebastián, najwyraźniej zaczął mu przeszkadzać, bo bez przerwy zakładał za ucho jasny kosmyk.

Postanowiłem mówić dalej, byłem ciekaw, dokąd nas to doprowadzi.

– On uważa, że postanowiłeś go aresztować w dniu, kiedy dostałeś raport z autopsji, obecnie uznany za zaginiony, wskazujący, że to jego nasienie znaleziono w ciele ofiary. Spreparowałeś obciążające go dowody, podłożyłeś liście cisu pasujące do trucizny, która była narzędziem zbrodni. Jeżeli wszedłeś do jego mieszkania jako członek rodziny będący w posiadaniu kluczy, nie ma problemu, ale przeszukanie w towarzystwie innego inspektora policji bez nakazu sądowego oznaczałoby złamanie kilku przepisów. Nie rozumiem, dlaczego sędzia nie podał w wątpliwość twojego postępowania. Co masz nam do powiedzenia w tej kwestii? Tak właśnie było, Ignacio? Odkryłeś, że twoja nastoletnia dziewczyna i twój brat cię zdradzili, i dlatego

go aresztowałeś? – naciskałem.

Twarz Ignacia stężała wykrzywiona grymasem bólu. Zacisnął pięści i zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Zaczął coś wykrzykiwać, ale adwokat był szybszy i wyłączył mikrofon, żebyśmy nie mogli nic usłyszeć.

Chwilę później połączenie zostało przerwane. W osłupieniu wpatrywaliśmy się w czarny ekran.

Spojrzeliliśmy na siebie w milczeniu; pół minuty później adwokat ponownie zadzwonił.

– Państwo wybaczą – powiedział z uśmiechem, który wyglądał na szczery.
– Obawiam się, że wystąpił jakiś problem techniczny. Możemy wrócić do miejsca, w którym skończyliśmy.

– Tak, oczywiście, problem techniczny. Skończyliśmy na tym, że Tasio Ortiz de Zárate przyznał się do relacji z nieletnią i twierdzi, że pański klient również je z nią utrzymywał – stwierdziła Estíbaliz.

– Mój klient nie odpowie na razie na te nieuzasadnione oskarżenia. Jeżeli podjęliby państwo kroki prawne w tej kwestii, kancelaria zajmie się jego obroną.

– Jeśli o nas chodzi, myślę, że wyjaśniliśmy w zasadzie wszystkie sprawy – podsumowałem. – Powiedz mi tylko jeszcze jedno, Ignacio, mam nadzieję, że tym razem nic nie przerwie połączenia. Za trzy dni Tasio wyjdzie z więzienia. Uciekłeś do San Sebastián i ukryłeś się w bunkrze także ze strachu, że spróbuje cię dopaść?

Na to pytanie Ignacio był przygotowany. Spojrzał na mnie wnikliwie przez kamerę, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Mój klient nie odpowie na to pytanie.

– Odpowiedz, Ignacio: boisz się, że twój bliźniak będzie chciał się na tobie zemścić?

– Myślę, że pora zakończyć to spotkanie. Jak już państwu powiedziałem, do południa otrzymają państwo nagrania zaadresowane na nazwisko inspektora Unaia Lopeza de Ayali. Paczka zawiera płytę CD. Codziennie będziemy wysyłać państwu nagranie z ostatnich dwudziestu czterech godzin na potwierdzenie, że mój klient przebywa na terenie posesji. Zasadniczo nie zamierza jej opuszczać do wyjaśnienia sprawy. Miałbym do państwa jeszcze jedną prośbę: proszę się pospieszyć. Przeciągający się areszt domowy jest uciążliwy dla każdego, nawet jeśli towarzyszą mu tak piękne widoki jak te w San Sebastián. Mój klient miał własne życie, moje zadanie polega na tym, żeby mu je przywrócić.

– W porządku – uprzedziła mnie Alba. – Dziękuję, że zechcieli panowie współpracować z nami w tej naglącej sprawie. Jeżeli pojawią się jakieś nowe kwestie do omówienia, skontaktujemy się z pańską kancelarią.

– Będę pani wdzięczny – odparł prawnik. – Życzę miłego dnia.

Połączenie zostało przerwane, tym razem ostatecznie.

– Wnioski? – Alba odwróciła się w naszą stronę.

– Można go wykluczyć jako sprawcę zbrodni – stwierdziłem.

– Nie da się go wykluczyć jako podżegacza. – Estíbaliz pokręciła głową. – Mógł opłacić zabójcę, który zabił ofiary w ten sam sposób, żeby zyskać alibi i oczyścić się z podejrzeń.

– To zbyt pokrętne – pomyślałem na głos.

– Wszystko w tej sprawie jest zbyt pokrętne – odparowała.

– Wiemy przynajmniej, że przebywa sto kilometrów stąd i jest pod stałą obserwacją. To dobra wiadomość. Tak czy inaczej, masz rację: cały ten prawniczy podstęp nie wyklucza go definitywnie jako sprawcy zbrodni, ani tych sprzed dwudziestu lat, ani tych sprzed kilku dni – musiałem przyznać.

– I nie zapominajmy, że nie ma alibi na dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego lipca – zauważyła Esti.

– To, że był sam, nie oznacza, że jest podejrzany – upierałem się.

– Daj spokój! Sam nie wierzysz w to, co mówisz. To megatowarzystki gość. Aż do przedwczoraj wszyscy zapraszali go na oficjalne uroczystości, ale akurat w Día del Blusa i poprzedzający go wieczór z nikim się nie umówił, nawet ze znajomymi?

– Może pomny tego, że go ostatnio zdradzili, nie chciał podać nam nazwisk, bo boi się, że skłamią albo go wrobią.

– Na tym zakończymy zebranie – przerwała podkomisarz. – Wszystkich nas czeka pracowity ranek. Jeżeli pojawi się coś nowego, proszę mnie natychmiast poinformować.

Przytaknęliśmy, Estíbaliz także wstała.

Kiedy zostałem sam w gabinecie, otworzyłem pocztę, żeby sprawdzić e-maile.

Wśród kilkudziesięciu wiadomości czekających na przeczytanie wyróżniała się jedna – nadawcą był Fromjail.

Kliknąłem. Tasio wzywał mnie, zniecierpliwiony:

Kraken, myślę, że znalazłem coś, co cię zainteresuje. Chciałbym, żeby to był mój ostatni wkład w śledztwo.

Odwiedź mnie natychmiast, obawiam się, że nie mamy czasu do stracenia.

WIEŻOWCE PRZY ULICY HONDURAS

Vitoria, październik 1970

Facet z nożem stanął za plecami doktora, zanim ten zdążył się odwrócić i rzucić do ucieczki.

– Nie waż się krzyczeć – szepnął.

Álvaro wypuścił z dłoni ciężką torbę lekarską. Upadła na ziemię z głośnym hukiem. Powoli uniósł ręce nad głowę na znak, że się poddaje. Poczul na szyi ostrze noża, z boku po lewej stronie, kilka centymetrów od tętnicy.

– Nie będę stawiał oporu, oddam wam wszystkie wartościowe przedmioty.

Facet był ubrany na czarno, tak jak jego kompani. Wiedzieli, co robią. Żadnych znaków charakterystycznych, które pomogłyby w ich rozpoznaniu – tylko ten najpotężniejszy cierpiał na brachycefalię, miał spłaszczoną tylną część głowy.

– Najpierw zegarek. Powolutku – powiedział najwyższy z napastników i podszedł bliżej.

Álvaro posłusznie wykonał polecenie, starając się opanować drżenie dłoni.

– Teraz portfel – ponaglił go ten z nożem. – Szybciej, nie zamierzamy tracić całej nocy.

Poczul ogromną ulgę, kiedy przypomniał sobie, że niedawno wyjął z niego wycinek ze zdjęciem Blanki, który przez kilka miesięcy nosił złożony za wyściółką. To była pierwsza trzeźwa refleksja, uczeplił się jej, by pokonać obezwładniające go przerażenie.

Kiedy już myślał, że napastnicy skończyli swoją robotę, posypały się ciosy. Trafiały wyłącznie w klatkę piersiową, żaden w twarz. Wytrzymał na stojąco dwa uderzenia w kąt mostka. Osilek bił, dwaj pozostali trzymali doktora. Trzeci sierpowy, wymierzony w żebra wolne, sprawił, że zgiął się wpół.

Kiedy leżał na ziemi, zaczęli go kopać. Zakrył obiema rękami głowę i zwinął się jak płód, żeby zminimalizować obrażenia. Kopniaki w plecy bolały trochę mniej, po tych w jądra zaparło mu dech, zamroczyło go, poczul

mdłości.

Facet z nożem pochylił się i przyłożył mu ostrze do twarzy. Álvaro pomyślał, że to już koniec, że nie będzie miał trzydziestu lat na spłacenie kredytu, który zaciągnął na znajdujące się nad ich głowami mieszkanie.

Napastnik wbił mu nóż w lewe udo, przeszywając flanelowe spodnie, piegowatą skórę, kilka naczyń krwionośnych i dziesięciocentymetrową warstwę mięśni.

– Nie dotykaj tego, co nie twoje, konowale – powiedział cień, który z dala przyglądał się całej scenie, po czym wraz z pozostałymi zniknął za kolumnami.

Chociaż było ciemno i w tym momencie nie bardzo ufał swoim zmysłom, mógłby przysiąc, że rozpoznał pokraczny chód kierowcy Javiera Ortiza de Zárate.

Kiedy został sam, skupił się na zatamowaniu krwotoku z uda. Przeczółgał się za krzewy przy ścieżce i otworzył torbę, której rzekomym złodziejom nie chciało się zabrać. Zabandażował udo, ściskając je tak mocno, jak zdołał. Leżał w krzakach przez dobre dwie godziny, wyszedł dopiero wówczas, kiedy uznał, że Emilia poszła spać. Jego żona była bardzo strachliwa, gdyby powiedział jej, że jacyś mężczyźni okradli go i pobili pod domem, już nigdy nie wyszłaby sama na osiedle.

Żył teraz w strachu, szukał pretekstów, żeby nigdy nie chodzić w pojedynkę, nie wypuszczał też samych żony i dzieci. Czuł niechęć do miasta i jego ulic, odrzucał propozycje majątniejszych kolegów, którzy zapraszali go na lampkę wina do knajpek przy ulicy Dato i na przekąski do baru Txapela, choć kusił go zapach smażonych kalmarów, kiedy w niedzielę wracał z mszy w kościele Świętego Mateusza.

Unikał ulic prowadzących do alei General Álava.

Na wizytę w piątym miesiącu ciąży Blanca przyszła z mężem.

Álvaro spuścił głowę. Czuł się jak ten obity pies, o którym opowiadała mu kiedyś pielęgniarzka, nie miał siły na konfrontację z Javierem Ortizem de Zárate.

Dostał już za swoje.

W taki właśnie sposób przemysłowiec sprawował władzę nad ludźmi, nad firmą, nad miastem.

– Co u pana słyhać, doktorze? Czy wszystko dobrze? – Uścisk jego dłoni wydał się lekarzowi zbyt mocny.

– Tak, wszystko dobrze – odparł Álvaro. Ani razu nie spojrzał na Blancę, która stała w milczeniu, potulna wobec przytłaczającej władzy męża. – Co... Co pana tu sprowadza?

Przemysłowiec usiadł, nie czekając na zaproszenie. Blanca stanęła przy nim ze swoim nabrzmiętym brzuchem.

– Chciałem się osobiście upewnić, że wszystko w porządku. Z ciążą mojej żony, ma się rozumieć.

– Tak, oczywiście. Wyniki ostatniego badania krwi są prawidłowe, chociaż dziwią mnie niektóre wskaźniki. Jeżeli pan pozwoli, zbadam teraz pańską żonę – powiedział struchlały ze strachu.

Wstał, starając się nie utykać na nogę, w którą wbito mu nóż.

– Naturalnie, doktorze. Proszę ją zbadać.

Javier spojrzał mu w oczy. Jego słowa zabrzmiały prowokująco. Jakby rzucił mu zawołane wyzwanie. Lekarzowi nie podobała się ta gra, ogarnęło go obrzydzenie, poczuł mdłości.

– Doño Blanco, posłuchamy teraz bicia serca. Proszę usiąść na kozetce i rozpiąć dolną część bluzki.

Blanca bez słowa wykonała polecenie.

– Niech się pani położy na lewym boku. Spróbuję wyczuć bicie serca pani dziecka – powiedział, macając podbrzusze pacjentki między pępkiem a łonem.

Badał jej brzuch, by zlokalizować płaskie, twarde miejsce – plecy dziecka. To, które znalazł, wydało mu się zbyt małe.

Skoncentrował się na tym obszarze. Zapomniał o świdrującym spojrzeniu Javiera i próbował wyłowić przez słuchawki dźwięk przypominający rytmiczne uderzenia.

I tak odkrył dwa osobne serca bijące znacznie szybciej niż serce ich matki.

– Spodziewa się pani bliźniaków – zdołał wydukać.

– Bliźniaków? – powtórzył Javier gromkim głosem. – Bliźniacy! Jak moi wujowie. Miałem wujów bliźniaków. Wuja Ignacia i wuja Anastasia... To dziedziczne, prawda? Słyszałem, że ojciec, którego wujowie są bliźniakami, ma większe szanse na spłodzenie parki...

Tak naprawdę statystyki wskazywały, że to kobieta dziedziczy skłonność do ciąży mnogiej, jeżeli w jej rodzinie były bliźnięta, Álvaro przemilczał jednak tę informację i z przekonaniem przytaknął. Pewność Javiera co do ojcostwa była jego ubezpieczeniem na życie.

– To prawda, don Javierze. Wygląda na to, że odziedziczył pan ten szczególny rodzinny spadek. Zdaje się, że ma pan już imiona dla swoich dzieci... – pogratulował przemysłowcowi, nie mając odwagi poklepać go po twardych jak skała plecach. – Oczywiście jeżeli to będą dwaj chłopcy.

Javier spojrzał na niego oburzony.

– A co innego miałyby być, doktorze? Proszę mi nie psuć humoru złymi wróżbami. To będą mężczyźni, jak ich ojciec.

– Naturalnie, naturalnie – mruknął pod nosem lekarz, nie chcąc się wdawać w dyskusję.

Kiedy przemysłowiec i jego żona opuścili wreszcie gabinet, dostał ataku paniki. Zaniepokojona Felisa podała mu środek uspokajający i kazała leżeć na kozetce, dopóki serce nie zacznie mu bić normalnie.

Kilka dni później w jego gabinecie rozległy się cztery dzwonki telefonu.

Skąd mogła wiedzieć, co go spotkało?

Nie poszedł do mieszkania przy General Álava. Przez następne tygodnie żył jak w letargu, odliczając dni do porodu.

W dniu kolejnej wizyty zdenerwowany czekał na Javiera i Blancę. Wstrzyknął sobie niewielką dawkę morfiny, ale narkotyk nie podziałał na niego uspokajająco.

Punktualnie o dwunastej do jego gabinetu weszła Blanca w czarnopomarańczowo-brązowej sukience z szerokimi rękawami; fałdy materiału ukrywały jej krągłe kształty.

– Mój mąż nie mógł mi towarzyszyć. W ostatniej chwili okazało się, że musi pojechać do huty w Sestao. Będziemy sami.

– Rozumiem, wykonam w takim razie badanie – odpowiedział, unikając jej wzroku.

– Nie przyszedłeś do mieszkania, kiedy zadzwoniłam... Porzuciłeś mnie, prawda?

Ja cię porzuciłem...? – pomyślał. Czuł się bezradny.

– Myślę, że on wie. Może wiedzieć – odparł.

Miał już wszystkiego dosyć. Wstał, zamknął drzwi na zasuwkę, stanął przed Blancą i spuścił spodnie.

– Co... Co ty wyprawiasz? – zapytała zmieszana tym nagłym obnażeniem.

– Dwa miesiące i pięć dni temu, dwadzieścia cztery godziny po naszym

ostatnim spotkaniu w mieszkaniu twojej ciotki, napadło na mnie przed moim domem trzech osobników. Okradli mnie, pobili i zostawili mi tę bliznę. Ich szef wszystkiemu się przyglądał. Myślę, że to był twój kierowca. Nie zgłosiłem tego; odkąd twój mąż trafił do szpitala, wolę nie mieć do czynienia z policją.

Blanca zasłoniła dłońmi usta, nie mogła oderwać wzroku od czerwonej blizny na udzie Álvara. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Niewykluczone, że to samo zrobi tobie, kiedy już urodzisz mu bliźniaki. Na miłość boską, Blanco! Twój mąż chyba o nas wie i po porodzie będzie chciał dokończyć to, co zaczął.

Oparła łokcie na biurku, zamknęła oczy i potrząsnęła głową, starając się uspokoić.

– Nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego – kontynuował Álvaro, podciągając spodnie i zapinając pasek. – Dopełnię obowiązku, odbiorę waszych synów albo wasze córki i więcej się nie zobaczymy. Zastanawiam się, czy po porodzie... nie uciec do Ameryki.

– A twoja żona, twoje dzieci?

– Należę do związku lekarzy, mam ubezpieczenie na życie. Wdowy i sieroty po lekarzach dostają wysoką rentę. Jeżeli coś mi się stanie, Emilii wpadnie spora sumka, będzie mogła wrócić z chłopcami na wieś, do swojej rodziny. Może nie będzie jej stać na luksusy, ale niczego im nie zabraknie, a na wsi będzie im lepiej beze mnie.

– A co z twoimi dziećmi? – nalegała Blanca. – Umiałbyś je porzucić?

Nie miała na myśli dwóch rudzielców, których widziała kilka razy, ale ich wspólne potomstwo.

– Moimi dziećmi? Moi synowie to kapryśne bachory rozpuszczone przez życie w mieście. Nic tylko proszą, proszą i proszą. A ja... nie należę do wylewnych ojców, jestem skryty, trudno mi okazywać uczucia. Traktują mnie jak portfel. Na wsi będzie im lepiej, od dawna tak myślę, bez domów towarowych, wesołych miasteczek, sklepów z zabawkami. A Emilia... Spójrz na nią. Nie potrafi się przystosować; żony moich kolegów śmieją się z niej za plecami, nie zapraszają jej na kawę. Nic dziwnego, rzuciła szkołę, zanim nauczyła się dodawać, jest zbyt gadatliwa... W Vitorii nigdy nie zazna szczęścia. Wiem, że ty nie zechcesz ze mną wyjechać, dlatego cię o to nie pytałem. Niektórzy potrafią przyjmować ciosy, uczą się obrywać, na tym polega ich siła. Ale nie potrafią uciec, paraliżuje ich już sama myśl o nieznanym. Sądzę, że ty właśnie należysz do takich osób.

Blanca milczała zmieszana.

– Widzisz...? Nie mów mi, że powinienem był ci to zaproponować. Mam dość bycia bitym psem. Już dłużej nie mogę.

Dalsza część wizyty przebiegła rutynowo. Doktor Urbina sprawdził ostatnie wyniki swojej pacjentki, posłuchał bicia dwóch małych serduszek i zalecił doñi Blance odpoczynek.

ZUGARRAMURDI

Czekam, #Kraken

5 sierpnia, piątek

Tasio czekał na mnie w tej samej salce co zwykle. Po jego stronie blatu leżało kilka starych kopert i odręcznie zapisanych kartek. Dostrzegłem w jego spojrzeniu coś nowego, błysk, który optymista zinterpretowałby jako nadzieję.

– Taras widokowy kościoła Świętego Michała, osiemnasty wiek. Rozważacie pilnowanie kolejnych potencjalnych scenerii?

Pracujemy nad tym, tylko co to da? – pomyślałem.

– Co takiego znalazłeś, Tasio? – Zignorowałem jego pytanie. – Rozumiem, że to coś ważnego. Nawet nie wiesz, jaki dzień mnie dzisiaj czeka.

– Właśnie dlatego od razu cię wezwałem. Wiem o twoim spotkaniu z moim... współpracownikiem, wiem też, że zleciłeś mu to samo zadanie co mnie. Porównaliśmy nasze wyniki i natrafiliśmy na coś, czym chciałbym się z tobą podzielić, chociaż mam świadomość, że z przyczyn osobistych może być ci ciężko przyjąć to do wiadomości. Zachowaj otwarty umysł i myśl jak śledczy, zgoda?

– Naprawdę prosisz mnie, żebym zachował otwarty umysł? – Miałem ochotę się roześmiać. – Siedzę przed tobą gotów cię wysłuchać, podczas gdy wszyscy inni uważają cię za mordercę pedofila.

Przeszył mnie wzrokiem. Kiedyś takie spojrzenie by mnie onieśmieliło, ale tego dnia Tasio wydawał się mniej mroczny niż zwykle.

– Na wstępie powinienem ci wyjaśnić, że przed laty miałem kolegę o ezoterycznych ciągach. Potem przestaliśmy się przyjaźnić, ale kiedy trafiłem do więzienia, napisał do mnie kilka listów, w których okazywał mi wsparcie i wyrażał uznanie dla tego, co jego zdaniem było próbą utrzymania płomienia pogaństwa na tych ziemiach. Zignorowałem go, nie odpowiedziałem na żaden z jego listów. Wśród wielbicieli seryjnych

morderców są osoby o różnych profilach. Jedne chcą po prostu zbliżyć się do niebezpieczeństwa, inne podziwiają cię, bo miałeś odwagę zrealizować swoje fantazje, wiele kobiet zaleca się do ciebie i proponuje ci seks, ot tak, po prostu. Niektóre cierpią na kompleks pielęgniarstwa: pragną naprawiać wadliwych osobników, to dla nich emocjonalny wyzwalacz. Mają za sobą związki z alkoholikami, narkomanami, przewlekłe lub śmiertelnie chorymi... Czasem próbują się zbliżyć także do więźniów skazanych za morderstwo. Ostatnia grupa, na szczęście nieliczna, jest najbardziej niebezpieczna. To ci, którzy naprawdę chcieliby zabijać, a kontakt z mordercą jest dla nich pierwszym krokiem w stronę świata przestępczego. On był jednym z nich. Na podstawie... kilku spięć, do których doszło między nami, zacząłem myśleć, że to naprawdę groźny świr.

– Mów dalej, na razie nic mi nie powiedziałeś.

– Cierpliwości, Kraken. Zaraz dojdziemy do portu. MatuSalem znalazł na Twitterze użytkownika posługującego się jego ksywą. Nie wiedziałem, że obserwuje mój profil ani że jest jedną z osób najczęściej komentujących moje tweety. Wczoraj w nocy to on pierwszy wrzucił zdjęcie ofiar zbrodni u Białej Panienci, co oznacza, że był w pobliżu miejsca zdarzenia.

– Chyba nie byłby na tyle głupi, żeby w taki sposób ściągać na siebie uwagę?

– W tych zbrodniach jest mnóstwo elementów wizualnych. Nagłaśnia je, żebyśmy podziwiali jego dzieło.

– Ciekawe, to samo mówi się o tobie.

Zignorował mój komentarz.

– Rzecz w tym, że ten osobnik był wcześniej karany za handel narkotykami, dlatego go sprawdziliśmy.

– Widzisz? Teraz mnie zaintrygowałeś.

– Ku mojemu zdziwieniu, kiedy MatuSalem odkrył jego pełne nazwisko, okazało się, że to brat twojej koleżanki – powiedział, uważnie obserwując moją reakcję.

– Słucham? – wybąkałem.

Może to była dobra wiadomość: wreszcie mieliśmy dowody łączące Eneka ze sprawą. A może zła, ze względu na Estíbaliz.

– Nazywa się Eneko Ruiz de Gauna, z tego, co wiem, używał różnych ksyw. Ja znałem go jako Eguzkilore i Zielarza, zresztą nadal posługuje się tym ostatnim przezwiskiem, jego nick na Twitterze to właśnie Zielarz. Nie będę

przed tobą ukrywał, że dwadzieścia lat temu Eneko dostarczał mi narkotyki. Chociaż był jeszcze dzieciakiem, łączyło nas zainteresowanie pogańską tradycją tych ziem, spędzaliśmy razem sporo czasu. Teraz prowadzi sklep na parterze Wieży Doñi Ochandy.

– Wiem, że prowadzi sklep w Wieży Doñi Ochandy – przerwałem mu zmieszany. – Ale... masz jakieś dowody?

– Będą na twoim mejlu, jeszcze zanim opuścisz więzienie.

– W porządku, Tasio. Skoro kiedyś go znałeś, skoro uważasz, że byłby zdolny popełnić te morderstwa, opowiedz mi o nim. Co takiego się wydarzyło, że nagle przestaliście się przyjaźnić? Muszę to wiedzieć.

– Doszło do pewnego incydentu w Zugarramurdi. – Odwrócił wzrok. – Nieprzyjemnego incydentu.

– Tym bardziej powinienes mi o nim opowiedzieć.

– Eneko był fanatykiem ezoteryzmu. A także zagorzałym zwolennikiem zażywania narkotyków, które traktował jako drzwi do innego postrzegania świata, w stylu kreatywnych eksperymentów Aldousa Huxleya z lat pięćdziesiątych z pejotlem i meskaliną. Nie wiem, czy czytałeś *Drzwi percepcji*, to była jego lektura do poduszki. Mnie także ciekawiło Zugarramurdi, z antropologicznego punktu widzenia, ale Eneko zdecydowanie przegiął. Prawdę mówiąc, powinienem był się tego spodziewać. Pojechaliśmy tam z dwiema dziewczynami, Eneko odprawił coś w rodzaju pradawnego rytuału, wzorując się na zeznaniach osób spalonych w Logroño za czary. Moim zdaniem te teksty nie mają żadnej wartości, większość zeznań wydobyto pod przymusem albo w wyniku tortur. Skazani byli przerażeni, chcieli pokazać, że współpracują ze świętą inkwizycją, i najczęściej mówili to, co w ich mniemaniu powinni byli mówić. Ich deklaracje odzwierciedlają siedemnastowieczne fantazje i wyobrażenia, nie rzeczywistość. Ale Zielarz traktował to wszystko dosłownie, rozmieścił *eguzkilore* i kazał nam wypić jakąś miksturę. Rozebraliśmy się, położyliśmy na ziemi i złapaliśmy w parach za ręce. Potem zaczął się koszmar.

– Jaki koszmar?

– Nie wiem, co nam dał, w każdym razie to coś sparaliżowało nam ciała i wywołało halucynacje. Pewnie przyczyniła się do tego także mroczna atmosfera jaskini, tak czy siak, to było najstraszniejsze doświadczenie w całym moim życiu. Zachowałem przytomność, za to nie mogłem poruszyć żadną kończyną. Przed oczami przesuwały mi się cienie, czułem czyjąś obecność, choć wiedziałem, że jesteśmy sami, niemożność poruszania się

sprawiła, że byłem bezbronny, zjawy wydawały mi się groźne... Przyznam szczerze, że byłem przerażony. Bałem się, że paraliż obejmie także płuca, że się uduszę. Trwało to kilka godzin. Zielarz pierwszy odzyskał władzę w członkach, a my nadal leżeliśmy nadzy, nie mogąc się ruszyć, i patrzyliśmy, jak przechadza się między nami, śpiewając te swoje pieśni. Przysięgam, że w tamtej chwili miałem ochotę...

– Go zabić?

Wziął głęboki oddech, nie wpadł w moje sidła.

– To on niemal nas zabił. Kiedy wreszcie udało nam się wstać, ubraliśmy się i odwiozłem dziewczyny do miasta swoim samochodem. Nie chciałem już mieć z nim nic wspólnego. Dlatego nie odpisywałem na jego listy.

Podniósł koperty na wysokość moich oczu. Pokazałem je palcem przez pancerną szybę.

– One też będą mi potrzebne.

– Są twoje. Nie chcę ich. To dowód na to, jak spaczony może być ludzki umysł.

Spojrzałem na zegarek, robiło się późno. Podniosłem się z krzesła.

– Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś. Wychodzisz za dwa dni, będziesz tu, kiedy wrócę?

– Pytasz, czy ucieknę? – zapytał z uśmiechem.

– Chcę tylko wiedzieć, co mam robić, jeżeli będziesz mi jeszcze potrzebny... nieoficjalnie.

– Nie spieprzę wszystkiego teraz, kiedy już odsiedziałem większość kary za coś, czego nie zrobiłem; mam dopiero czterdzieści pięć lat, mogę jeszcze cieszyć się czymś na kształt życia, kiedy wyjdę ostatecznie na wolność – powiedział, jakby uraziły go moje wątpliwości.

– Domyślałem się, że nie takiego wyjścia oczekiwałeś.

– Nie, nie takiego. Nic nie jest takie, jak oczekiwałem. Na razie cała Vitoria nienawidzi mnie za tę sprawę z Lidią. Nie sądzę, żebym mógł spokojnie spacerować ulicami, o czym marzę od dwudziestu lat. Ale wracając do twojego pytania, Kraken: doskonale wiesz, jak do mnie dotrzeć, jeśli będę ci potrzebny. Nie takie rzeczy robiłeś.

Po tych słowach wstał, skinął na strażnika pilnującego sali widzeń i zniknął za drzwiami.

Wyszedłem z więzienia i zadzwoniłem do swojej koleżanki. Umówiliśmy się przed Nową Katedrą. Wołałem przeprowadzić tę rozmowę bez świadków.

Spotkaliśmy się przy placu Lovaina. Oboje mieliśmy poważne miny. Grupki *blusas* nadal podrygiwały na ulicach w rytm wesołych dźwięków bębnów.

– Wydaje się niestosowne, że mimo tego, co wydarzyło się w nocy, ludzie dalej świętują – stwierdziłem. – Zastanawiam się, czy nie lepiej by było, gdyby po prostu odwołano wszystkie imprezy.

– Może taki jest właśnie sens zwyczajów, wiejskich zabaw, świąt kalendarzowych. Życie toczy się dalej mimo katastrof, śmierci, wojen... Może to nauka, jaką chcieli przekazać nam przodkowie: *show must go on*. Cokolwiek się wydarzy, należy celebrować noc świętojańską, Boże Narodzenie, Wielkanoc, urodziny, rocznice – odpowiedziała w zamyśleniu. – Idziemy, Kraken?

Przy ulicy Magdalena znajdował się ukryty skwerek, przeważnie pusty. Rostała na nim czterdziestodwumetrowa sekwoja o tak grubym pniu, że potrzeba było pięciu osób, żeby go objąć. Estibaliz pokazała mi ten zakątek kilka lat temu, kiedy słowo „kolega” zaczęło znaczyć dla nas coś więcej niż tylko kumpel z pracy, kiedy stała się dla mnie kimś więcej niż tylko przyjaciółką mojej zmarłej żony.

Usiedliśmy obok siebie na naszej ławce. Hałasy ulicznej zabawy niemal tu nie docierały, były przytłumione niczym odległe wspomnienie. Nie wiedziałem, jak zacząć tę rozmowę.

– Esti, wracam od Tasia. Nie spodoba ci się to, co mi powiedział, ale woląłem najpierw porozmawiać o tym z tobą, zanim poinformuję podkomisarz.

– Boże, to najgorsze w historii wprowadzenie do złych wiadomości. Wal.

W porządku.

– Pamiętasz ten incydent w Zugarramurdi, o którym wspomniał nam Ignacio Ortiz de Zárate, kiedy byliśmy u niego w mieszkaniu?

– Aha.

– Dzisiaj Tasio opowiedział mi swoją wersję tej samej historii. Zażyli narkotyk, który sparaliżował ich na kilka godzin, a tajemniczym chłopakiem, który im go podał, był twój brat, Esti.

– Słucham?

– Wiedziałaś, że twój brat przyjaźnił się z Tasiem?

– Eneko ma własne życie. Nie znałam wszystkich jego przyjaciół, tym bardziej kiedy był nastolatkiem.

– Już wtedy był z niego niespokojny duch. Zażywał narkotyki i dilował. Dobrze o tym wiedzieliśmy.

– To wszystko, co masz?

– Nie, mam jeszcze gościa o przezwisku Eguzkilore, jak podpis, którego używa morderca. Mam człowieka, który poświęcił życie ezoteryce. Mam wielbiciela, który pisał do Tasia do więzienia, a teraz jest jednym z najaktywniejszych użytkowników obserwujących jego profil na Twitterze. Mam kogoś, kto znajdował się wczoraj w miejscu zdarzenia kilka minut po tym, jak odkryto zwłoki, i kto pierwszy wrzucił do internetu zdjęcie zamordowanej pary.

Estíbaliz zacisnęła szczęki.

– A ty wiedziałaś o tym i nic mi nie powiedziałaś – ciągnąłem. – Wiedziałaś, że to jego profil.

– To żaden argument. Więcej osób wrzuciło zdjęcia, a jakoś ich nie podejrzewasz.

– Esti, uzbierało się za dużo poszlak. Lutxo powiedział mi, że w zeszły weekend twój brat uparł się, żeby jechać do jaskini w Zugarramurdi, że opowiadał im o podwójnych zbrodniach, że był podejrzanie podekscytowany tym tematem.

– Eneko już taki jest: popada w skrajności. Wszystko albo nic. Wysławia się zbyt ekspresyjnie, nie oddziela tego, co myśli, od tego, co mówi... To trudny człowiek, ale...

– Pozwól mi skończyć. Jest mi równie ciężko jak tobie. Na mojej liście zostało jeszcze kilka punktów: potrafi się obchodzić z pszczołami, wychowaliście się w domu, przy którym była pasieka, sama mi powiedziałaś, że to on się nimi zajmował, bo ty byłaś zbyt nerwowa i cię żądliły.

– Nic z tego nie czyni go seryjnym mordercą.

– Miał też styczność z różnymi narkotykami i zna ich działanie. Z łatwością mógłby zdobyć rohypnol. Teraz prowadzi sklep w samym centrum, na parterze Wieży Doñi Ochandy. Nietrudno byłoby mu przewieźć stamtąd zwłoki do Starej Katedry, do Domu pod Sznurem i na taras kościoła Świętego Michała, firmowa furgonetka z logo znanym w całym mieście nie wzbudziłaby niczyich podejrzeń. I wreszcie: jest rudy. Albo był. Tak jak pomocnik masona. Don Tiburcio podejrzewał, że jest bity przez ojca. Przepraszam, że poruszam ten temat, ale jest zbyt dużo zbieżności, żebyśmy mogli je zlekceważyć. Wiesz, czy twój brat pracował któregoś lata w San Vicentejo?

– Nie mogę tego potwierdzić, ale też wykluczyć. Imał się różnych prac już jako młody chłopak. To jeździł do Laguardii na winobranie, to naprawiał dachy w wioskach. Nie nadążam za twoim rozumowaniem, Unai. Naprawdę nie nadążam. Poważnie myślisz, że popełnił tamte zbrodnie? Miał wtedy zaledwie piętnaście lat.

– W wieku piętnastu lat twój brat był już wzrostu dorosłego mężczyzny, a pierwsze ofiary to niemowlęta, pary pięcio- i dziesięciolatków oraz dwoje piętnastoletnich, niezbyt wysokich dzieciaków. Śmiało mógł ich zabić. Kto by podejrzewał, że piętnastoletni chłopak trzyma w szachu cały kraj?

Estíbaliz znowu pokręciła głową.

– Nic na niego nie masz, żadnego materialnego dowodu, żadnego odcisku, niczego, co wskazywałoby, że faktycznie był w miejscach, gdzie znaleziono ciała. Wszystko, o czym mi powiedziałeś, to po prostu seria zbiegów okoliczności, które uparcie przeinaczasz, żeby pasowały do twojej wersji wydarzeń.

Westchnąłem i przywarłem plecami do oparcia ławki.

– Zaczynaj myśleć jak profiler i podaj mi motyw – nalegała. – Ciągłe powtarzasz, że motyw zbrodni jest zawsze osobisty, bardzo intymny. Jaki motyw miałyby mój brat, żeby zabić tyle dzieci, a teraz mordować ludzi w naszym wieku, co?

– Moim zdaniem rudy chłopak nasłuchiwał się opowieści masona i przesiąkł całym tym okultyzmem, zaprojektował scenerię odtwarzającą symbolikę kościółka w San Vicentejo i poprzez etapy życia człowieka przedstawia swoją własną drogę inicjacji. To, co widzimy w każdym z miejsc zbrodni, jest fizycznym odzwierciedleniem perfekcyjnie dopracowanych obrazów, które ma w głowie.

– A próba wrobienia bliźniaków? Jak to się ma do twojej teorii?

– Twój brat chciał się zemścić na Tasiu. Może miał do niego żal, że nie chciał więcej uczestniczyć w jego okultystycznych zabawach. Pojechali do Zugarramurdi z dwiema koleżankami. Jeżeli jedna z nich była dziewczyną twojego brata, musiała być nieletnia. Eneko wiedział o romansie Tasia, dlatego zamordował Lidię Garcíę de Vicuñę. To był doskonały sposób, żeby rzucić na niego podejrzenie i poróżnić bliźniaków.

– Dla mnie to się nie trzyma kupy, Kraken. Twoja hipoteza jest za słaba. Musiałby śmiertelnie nienawidzić bliźniaków, żeby chcieć zniszczyć im życie w tak wyszukany sposób. Minęło zbyt wiele lat, za dużo zachodu jak na taki słaby motyw.

Zawahałem się. Słowa Estíbaliz sprawiły, że ogarnęły mnie wątpliwości.

– Ty też nie jesteś przekonany, prawda? – Złapała mnie za brodę. – Patrzę ci w oczy i widzę w nich cień wątpliwości, brak stuprocentowej pewności. Unai, wiem, że nie spodoba ci się to, co teraz powiem, źle znosisz krytykę i na pewno się wkurzysz. Tasio Ortiz de Zárate zrobił ci wodę z mózgu. Byłeś łatwą ofiarą, ale syndrom sztokholmski nie pozwolił ci tego dostrzec. Nie powinni byli cię przydzielać do tej sprawy, Tasio zawsze chorobliwie cię fascynował. Pamiętasz, że to z jego powodu wstąpiłeś do policji, bo jako dwudziestolatek myślałeś, że potrafiłbyś rozwikłać tamtą sprawę? Paula mi o tym powiedziała, akurat to twoje dziwactwo niespecjalnie jej się podobało. Ty tego nie dostrzegasz, ale Tasio sprawił, że czujesz się wybrany i idziesz tam, dokąd cię prowadzi. Miał dwadzieścia lat, żeby wszystko przemyśleć. Naprawdę sądzisz, że cokolwiek z tego, co wydarzyło się w ostatnim tygodniu, było przypadkowe?

– Nie mieszaj do tego Pauli – ostrzegłem. – Nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– Ty nie mieszaj do tego Eneka, on też nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– A jednak wygląda na to, że ma, Esti. Wygląda na to, że twój brat ma z tą sprawą coś wspólnego.

– Naprawdę tego nie widzisz? Dwadzieścia lat później sytuacja się powtarza. Stoję przed wyborem, czy wydać własnego brata, tak jak Ignacio wydał swojego. Ale ja nie jestem Ignaciem, nie zrobię tego, nie dam się zwieść pierwszym poszlakom. Sprawdzę inne tropy, tak powinna postąpić siostra.

Wstałem i spojrzałem w górę, by dać odpocząć oczom. Napotkałem bujną koronę sekwoi.

– Pozwól, że przez weekend jeszcze raz wszystko przemyślę. To musi się trochę odleżeć. Odkładałem ten moment, ale obawiam się, że byłbym kiepskim śledczym, gdybym dłużej zwlekał. Pójdę porozmawiać z twoim bratem. Tylko porozmawiać. Powinienem poinformować o tym podkomisarz. Wiem, że postąpiłabyś tak samo, gdyby to Germán był podejrzany, musiałabyś tak postąpić, nie możemy dać się zaślepić prywatnym sprawom.

Estíbaliz także wstała, spojrzała na ziemię i kopnęła daleko okrągły kamyk.

– Dać się zaślepić prywatnym sprawom... To ciekawe, Kraken. Ciekawe, że akurat ty to mówisz.

Odeszła szybka jak łasica.

Czyżby wiedziała o tym, co łączyło mnie i Albę?

PAŁACYK UNZUETÓW

Vitoria, luty 1971

Vitorczycy długo będą wspominali tamtą zimę: pierwszego lutego ich miasto nawiedziła śnieżycą stulecia.

Pług nie nadążały z odśnieżaniem głównych ulic miasta. Pracownicy DKV wstawali godzinę wcześniej niż zwykle, wychodzili przed domy z łopatami i odkopywali swoje seaty 600 i renaulty 12 spod dziewięćdziesięciocentymetrowej warstwy śniegu. Potem, uzbrojeni w butelki z mocnym alkoholem, kawałkami twardego plastiku cierpliwie zdrapywali lód z szyb.

Doktor Urbina siedział w swoim gabinecie, czytając podręcznik o chorobach piersi, zadowolony, że ma wolny poranek: wszystkie jego pacjentki odwołały wizyty, bo nie były w stanie dotrzeć do kliniki. Felisa już trzeci raz przekładała instrumenty medyczne, zestresowana beczynościami.

Z lektury wyrwał go dzwonek telefonu. Rozkojarzony podniósł słuchawkę.

– Gabinet doktora Urbiny, słucham?

– Panie doktorze! – ryknął Javier Ortiz de Zárate. – Musi pan jak najszybciej do nas przyjechać! Moja żona zaczęła rodzić.

Trzydzieści dwa tygodnie, obliczył. Nie musiał sprawdzać daty, od miesiący nie myślał o niczym innym.

– Już dzisiaj? Dobry Boże! To trochę za wcześnie, nawet jak na bliźniaki. Proszę przywieźć ją natychmiast do kliniki, zaraz każę przygotować salę – ponaglił, starając się zapanować nad nerwami.

– Nie zrozumiał mnie pan! – krzyknął przemysłowiec. – Powiedziałem, żeby jak najszybciej pan do nas przyjechał: Paseo de la Senda jest nieprzejezdne, na ulicach zalega metr śniegu, pługi jeszcze nie odśnieżyły tej części miasta.

– Proszę się nie martwić, sam wezwę karetkę. Ratownicy są przygotowani na takie sytuacje.

– Już dzwoniłem, wszystkie karetki wyjechały. Podobno bez przerwy ktoś się przewraca albo grzęźnie w śniegu. Musi pan przyjechać i zająć się moimi synami! – znowu podniósł głos.

Dobrze, pomyślał Álvaro. Dobrze.

– Jak... Jak się czuje położnica? – zapytał już bardziej formalnym tonem.

– No... rodzi i strasznie się drze.

– Odeszły jej już wody?

– Może pan mówić jaśniej? Nie jestem obeznany w tych sprawach. Myślałem, że ona się wszystkim zajmie.

– Czy zauważył pan wokół niej przezroczysty płyn? – zapytał doktor zniecierpliwiony.

– Przezroczysty? A gdzie tam, ma wokół siebie pełno krwi, przesiąkło nią całe łóżko. To normalne przy porodzie, prawda?

Doktor Urbina skoczył na równe nogi.

– Postaram się dotrzeć do pańskiego domu z pielęgniarką. Proszę nie zostawiać żony samej. Już wychodzimy z kliniki.

Włożył palto, wrzucił do torby narzędzia niezbędne przy odbieraniu porodów i spojrzął na Felisę, która wystraszona zakładała śniegowce.

Pokonanie kilometra dzielącego klinikę od pałacyku Unzuetów zajęło im niemal godzinę. Na niektórych odcinkach Paseo de la Senda musieli torować sobie drogę w śniegu. Felisa najwyraźniej przywykła, by radzić sobie w takich sytuacjach: mimo zaawansowanego wieku energiczna kobieta parła naprzód pewnym krokiem. Doktor Urbina pomyślał, że pewnie wychowała się w jakiejś wiosce w górach; zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o swojej pielęgniarce.

Wreszcie dotarli do końca ulicy. Przemysłowiec czekał na nich przy głównej bramie.

Do pałacyku wchodziło się od strony Paseo de la Senda. Gęsty żywopłot, teraz przygnieciony śniegiem, krył ogród przed oczami ciekawskich przechodniów.

Kierowca odgarniał łopatą grube zwały śniegu ze ścieżki prowadzącej do budynku. Doktor Urbina podniósł kołnierz palta i minął go ze spuszczonym wzrokiem, próbując zapanować nad dreszczem, który przeszył go na widok tego człowieka.

Wbiegł po schodach wiedziony krzykami Blanki. Leżała na łóżku

w sypialni, na wpół nieprzytomna, w kałuży krwi. Widać już było główkę pierwszego dziecka.

Spojrzała na niego z ulgą. Włosy kleiły jej się do spoconej twarzy. Nie miała siły mówić, przygotowywała się na kolejny skurcz.

Felisa weszła chwilę po doktorze, taszcząc jego torbę. Na widok Blanki odwróciła się do przemysłowca i powiedziała stanowczym tonem:

– Don Javierze, ojcowie nie powinni być obecni podczas porodu. Proszę się nie martwić, przyniosę panu dzieci, kiedy tylko się urodzą. W przypadku bliźniąt poród może potrwać nawet kilka godzin. Niech pan lepiej zejdzie do kuchni i poprosi o napar z lipy albo lampkę koniaku.

– Nie, zostanę! Chcę mieć pewność, że z moimi synami jest wszystko w porządku, myśli pani, że wystraszę się na widok odrobiny krwi?

– Jestem pewna, że nie, ale od tej zasady nie ma wyjątków, proszę pana. Ojcowie nie mają wstępu do sali porodowej, a kiedy poród odbywa się w domu, moim obowiązkiem jest trzymać ich z daleka od położnicy. Dla dobra pańskich dzieci. Chyba nie chce pan, żeby urodziły się niedotlenione, dlatego że wszyscy będziemy zdenerwowani.

– Nie chcę, a pani ma zadbać o to, żeby urodziły się zdrowe. Żadnej fuszerki, tu chodzi o moich synów!

– Wobec tego zgodzi się pan ze mną, że lepiej będzie, jeżeli zaczeka pan w przedpokoju – podsumowała Felisa i zamknęła drzwi, nie dając mu szansy na odpowiedź.

Kiedy podeszła do łoża, doktor Urbina już udzielał Blance instrukcji, jak ma przeć.

On także był przerażony, nigdy nie godził się odbierać przedwczesnych porodów w warunkach domowych. Istniało zbyt duże niebezpieczeństwo, że jedno z dzieci przyjdzie na świat martwe albo matka wykrwawi się na śmierć. Widział jednak spojrzenie Javiera. Milczące ostrzeżenie, groźbę, której nie musiał wypowiadać na głos. Miał świadomość, co się z nim stanie, jeżeli któreś z dzieci nie będzie zupełnie zdrowe.

Tego dnia zablizniona rana na udzie dokuczała mu bardziej niż zwykle, prawdopodobnie z powodu wilgoci, jaką pozostawił w powietrzu śnieg. Mocny ból był nie do zniesienia, nigdy nie utykał tak bardzo jak tego ranka.

Nie miał odwagi swobodnie rozmawiać z Blancą, bał się, że jej mąż podsłuchuje pod drzwiami, porozumiewali się więc niemym językiem spojrzeń. Kiedy nadszedł właściwy moment, ścisnął jej dłoń.

Zrozumiała, nie puściła jego ręki, choć brakowało jej sił.

Pierwszy urodził się chłopczyk o pociągłej twarzy, szczupły, z jasnymi włosami po matce. Doktor Urbina odessał mu z ust płyn owodniowy i podał noworodka Blance.

Położnica leżała uśmiechnięta z dzieckiem na piersi. Chciało jej się spać, najchętniej zamknęłaby oczy i wreszcie odpoczęła, czując ciepło prezentu, którym obdarował ją Álvaro: ich pierworodnego syna.

– Blanco, musi pani dalej przeć. – Głos Álvaro udającego, że jest tylko doktorem Urbina, wyrwał ją ze snu i przywrócił do rzeczywistości. – Zostało jeszcze drugie dziecko.

Felisa owinęła Ignacia Ortiza de Zárate w kocyk i wróciła do położnicy. Dwadzieścia minut później przyszedł na świat Tasio, taki sam jak jego brat.

Álvaro zacisnął i odciął pępowinę.

Ułożyli bliźniaków po obu stronach Blanki. Felisa i doktor Urbina wymienili pełne ulgi spojrzenia. Dzieci głośno płakały, miały prawidłowo napięte mięśnie i puls powyżej stu. Lekarz dał im po osiem punktów w skali Apgar – obiecujący wynik w przypadku bliźniąt, w dodatku wcześniaków.

Usłyszawszy płacz noworodków, Javier zaczął się dobijać do drzwi.

– Wszystko dobrze? Dlaczego nie mogę zobaczyć swoich synów? – wołał zdesperowany.

– Wpuścimy pana, kiedy tylko skończymy zabiegi przy pańskiej żonie! – krzyknęła Felisa, nie odstępując matki.

– Niech się pani zajmie dziećmi, Feliso, ja dopilnuję, żeby urodziła łożysko – powiedział doktor Urbina lekko zaniepokojony.

Czuł, że coś jest nie tak.

Odebrał wiele bliźniąt: Blanca już nie powinna mieć skurczy.

– To nieprawdopodobne – szepnął, kiedy zrozumiał, co się dzieje. – Feliso, proszę tu przyjść, chyba jest jeszcze trzecie dziecko.

– Trzecie? Jak to możliwe? – spytała cicho pielęgniarka.

Nie chciała za nic w świecie, żeby pan domu wpadł w szal, słysząc tę wiadomość.

– Jego bracia ułożyli się w taki sposób, że nie udało mi się wykryć bicia trzeciego serca w czasie ciąży. Dziecko znajduje się w innym pęcherzu płodowym. Wygląda na to, że też jest ułożone główką do dołu, jak dobrze pójdzie, nie trzeba będzie robić cesarskiego cięcia – powiedział z nadzieją

w głosie.

Martwił go stan matki, straciła dużo krwi, nie chciał ryzykować operacji poza szpitalem.

Przysunął się do ucha Blanki, mówił powoli, żeby go zrozumiała.

– Blanco, będziesz miała trojaczki. Musisz jeszcze przez chwilę przeć, ostatnie dziecko już prawie wyszło. Jeszcze trochę. Zaraz będzie po wszystkim, obiecuję.

Odważył się pocałować ją w czoło – Felisa udała, że niczego nie widzi.

Kilka minut później na świat przyszedł trzeci chłopczyk, którego nikt się nie spodziewał i dla którego nikt nie wybrał imienia.

Álvaro wyciągnął jego małą główkę i oniemiał, zapomniał, że jest lekarzem, że znajduje się w pałacyku wzniesionym przez handlarza niewolnikami i że zniecierpliwiony mąż wściekle wali w drzwi.

Podniósł noworodka połączonego z matką pępowiną i pokazał go Blance; nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Chłopczyk nie przypominał swoich braci.

Blanca i Álvaro patrzyli z przerażeniem na gęstą rudą czuprynę noworodka, taką samą jak włosy doktora Urbiny, podczas gdy Javier Ortiz de Zárate groził z przedpokoju, że wyważy drzwi.

DOM Z MIGRENA

To jeden z najgorszych etapów podróży bohatera: ciemna noc duszy. Wiem, przed tobą najtrudniejsza decyzja. #postępwiście, #Kraken

8 sierpnia, poniedziałek

Nie byłem w najlepszym humorze. Przez cały weekend zastanawiałem się, co zrobić z bratem Estibaliz, i w końcu postanowiłem postąpić zgodnie z etyką zawodową. Chociaż to była bolesna decyzja. Chociaż mogłem stracić Esti.

Nie chciałem spędzać weekendu w Vitorii, zaszyłem się więc w Villaverde, uciekając przed gwarną, surrealistyczną atmosferą, w której czułem się jak Marsjanin. Uciekając przed krępującym spotkaniem z przyjaciółmi. Uciekając przed bezsennymi nocami w świętującym mieście.

Na szczęście fala upałów dała nam chwilę wytchnienia, w niedzielę temperatura spadła prawie o piętnaście stopni, co wszyscy przyjęliśmy z ulgą.

Germán i Martina wpadli do dziadka na obiad; przywieźli mi tort Białej Panienci, przysmak z musu truskawkowego, bitej śmietany i skarmelizowanej masy bezowej, którego co roku musiałem koniecznie skosztować. Byłem im wdzięczny za to subtelne wsparcie. Martina oznajmiła nam, że wreszcie skończyła chemioterapię, a kolejną kontrolę ma dopiero za pół roku.

– Dlaczego nie wyjedziecie gdzieś w sierpniu na kilka dni, żeby to uczcić?
– zachęciłem ich. – Gdzieś w góry, gdzie będzie naprawdę zimno i gdzie nie dotrą fale upałów rozpuszczających asfalt.

Chciałem, by znaleźli się daleko od horroru, jakim stało się codzienne życie w Vitorii, daleko od uroczystości ku czci Białej Panienci, od wiszącego nad nami wszystkimi niebezpieczeństwa.

– Może cię posłuchamy, Unai – zgodził się Germán, rozważając moją propozycję. – Jedź z nami.

Nie mogę, dobrze wiesz.

– To niezły pomysł – skłamałem. – Pogadamy o tym po świętach.

Wiedziałem, że tego poniedziałkowego poranka nie powinienem biegać. Że ulice będą należały nie do mnie, a do pijanych imprezowiczów i par, które w ostatniej chwili zdecydowały się na seks. Nie mogłem jednak znieść myśli, że znaleźliśmy się z Albą w sytuacji patowej, a jeszcze bardziej oschłości, z jaką ze względu na stanowisko odnosiła się do mnie na komendzie.

Włożyłem cienką bluzę z kapturem – było jeszcze ciemno i na zewnątrz panował chłód. Wyszedłem z domu gotów na spotkanie z jutrzenką – we wszystkich tego słowa znaczeniach^[12].

Pobiegłem trasą prowadzącą przez zamknięte dla ruchu uliczki w centrum, okrążyłem średniowieczny migdał, ale w końcu oddaliłem się od hałasu bębnow i skręciłem w Paseo de la Florida na obrzeżach parku. Grube pnie drzew kryły przed niedyskretnymi spojrzeniami leżące na trawie pary, które poznały się zaledwie pół godziny wcześniej, a już obdarzały się prawdziwą miłością.

Po półgodzinie biegania poczułem się jak żaloszny idiota, w moim wieku nie przystoją takie wariactwa. Zniechęcony zawróciłem przy Domu z Migreną, na początku alei Fray Francisco de Vitoria. Podpierające balkony białe atlanty ze zbolalymi minami trzymały się rękami za głowę. Mnie też bolała głowa od ciągłego myślenia, ciągłego analizowania, które nie prowadziło do żadnych wniosków.

Wtedy właśnie ją zobaczyłem. Miasto było jeszcze pogrążone w mroku, niebo w kolorze indygo zwiastowało rychły świt. Alba biegła ze słuchawkami w uszach. Zignorowała grupkę mężczyzn, którzy na jej widok zagwizdali i krzyknęli coś, czego nie rozumiałem. Potem dostrzegła mnie.

– Czego słuchasz? – zapytałem, dołączając do niej.

– *Wonderwall* w wersji Eda Sheerana – odpowiedziała i podała mi słuchawkę.

You're my wonderwall, pomyślałem.

– Dlaczego akurat tego?

– Odpręża mnie. Ten tydzień będzie decydujący, Kraken.

Zatrzymałem się – miałem wszystkiego dosyć. Ona także wyhamowała, odciągnięta do tyłu przez biały kabel słuchawek. Stała naprzeciwko mnie pod jednym z potężnych kasztanowców. Nie wiem, ile miał lat.

– Nie chcę być teraz Krakenem! Nie chcę rozmawiać teraz o sprawie, nie chcę, żebyś pytała mnie o moje traumy ani o moją żonę, nie chcę wiedzieć nic

o twoim mężu. Chcę mieć coś więcej niż te kilka minut każdego ranka, kiedy jesteśmy naprawdę sobą. – Niemal krzyknąłem, zaskoczyła mnie ta pełna wściekłości, niezaplanowana przemowa.

– Wiesz, co znaczy *wonderwall*, kretynie? – zapytała, chwytając się pod boki.

– To rodzaj terapii stosowanej w niektórych brytyjskich szpitalach psychiatrycznych – wyrecytowałem. – Ściana, na której chorzy wieszają zdjęcia członków rodziny, przyjaciół albo miejsc, dla których warto żyć.

– Nie o to mi chodziło. *Wonderwall* to osoba, na której punkcie masz bzika, o której bez przerwy myślisz – powiedziała zirytowana, wbijając mi palec w pierś, jakby mówiła o mnie.

Potem zarzuciła mi na głowę kaptur bluzy i naciągnęła swój.

– To ma być sugestia, żebym cię pocałował? – zapytałem zdezorientowany.

Wybacz, ale jesteś moją szefową i muszę wiedzieć, że tego właśnie chcesz, nie dopowiedziałem.

– Zna cię pół Vitorii, nie możemy całować się na środku ulicy – odpowiedziała z głębi kaptura.

– Jasne.

Jasne.

– Wobec tego ścigamy się w kapturach do mojego domu – zaproponowałem. – Szybko, ludzie, którzy o tej porze włączą się po ulicach, są zbyt nawaleni, żeby zwrócić uwagę na parę nawiedzonych biegaczy.

Alba nie odpowiedziała, puściła się biegiem w stronę centrum. Była niezłą sprinterką, musiałem się wysilić, żeby ją dogonić i dotrzymać jej kroku. Pokonanie ośmiuset metrów zajęło nam cztery minuty dwadzieścia sekund.

Niemal równocześnie dotarliśmy do drzwi. Wyjąłem klucze i skupiłem się na tym, żeby za pierwszym razem trafić w dziurkę – na zewnątrz było jeszcze ciemno, nie chciałem wyjść na oferwę. Alba ruszyła mrocznym korytarzem ku schodom, ale ja wiedziałem, że muszę ją powstrzymać.

– Nie. Tutaj! – Czuję ogień między nogami.

– Tutaj? – powtórzyła z powątpiewaniem, nadal ciężko oddychając po sprincie.

– Nie przejmuj się, że narobimy hałasu, średnia wieku moich sąsiadów wynosi sto lat, są głusi jak pnie.

Zrobiliśmy to gwałtownie – zbyt gwałtownie – bez czułości, jak

zdesperowani żołnierze, wściekli, bo będą wysłani na front i wiedzą, że czeka ich śmierć. Może właśnie tak się czuliśmy: byliśmy obrażeni na nasze życie.

Wsunęła mi dłoń za legginsy, łapiąc mocno za nabrzmiąły członek. Ja szukałem palcami drogi pośród wilgoci.

– Sprawdźmy, jak bardzo elastyczny jest ten materiał – powiedziała prowokująco.

Masturbowaliśmy się wzajemnie dłońmi uwięzionymi w legginsach, nie przestając patrzeć sobie w oczy, niemal z wściekłością, jakbyśmy byli to sobie winni, jakbyśmy odbierali stary dług.

Myślałem, że eksplodują mi gonady. Już wcześniej zdarzał mi się przygodny seks, ale ten z Albą był inny, przypominał nasze rozmowy, otwarte i bez znieczulenia, bez udawania i przejmowania się, żeby dobrze wypaść. Taka jestem i tak to robię, nie obchodzi mnie, czy ci się to podoba, wydawała się mówić.

Ale mnie się podobało, Boże, jak bardzo mi się podobało. Jej niedelikatność, brak czułości doprowadzały mnie do szaleństwa.

Alba nie prosiła o pozwolenie, po prostu brała to, czego ode mnie potrzebowała, żeby doprowadzić się do orgazmu, i była wystarczająco silna, by zaczekać, aż i ja wezmę od niej to, czego chcę.

Ustawiłem ją jak do rewizji osobistej, podniosłem jej ręce nad głowę, złapałem ją za dłonie i przygwoździłem do drzwi – wyglądała niemal jak ukrzyżowana. Kolanem rozsunałem jej nogi. Stała zwrócona twarzą do zakratowanego okienka wychodzącego na pogrążony w ciemnościach plac Virgen Blanca, przez który przewalały się setki vitorczyków niemających pojęcia o rżnięciu, które zaraz zacznie się za tymi masywnymi drewnianymi drzwiami.

– To za to, że nazwałaś mnie kretynem – szepnąłem jej do ucha z pretensją w głosie, spuszczać jej legginsy.

Niech sobie nie myśli, że może mnie obrażać.

Ugryzłem ją w płatek płonącego ucha i przeciągnąłem ręką po rozsuniętych udach. Wierzchem dłoni pieściłem spowitą mrokiem skórę. Potem wpasowałem dłoń w jej krocze i przesuwalem tak długo, aż popłynęły z niego soki, które chciałem wycisnąć. Wtedy z powrotem odwróciłem dłoń i palcami utorowałem sobie drogę do środka. Poczulem, jak pulsuje, nie chciałem dłużej czekać, żeby w nią wejść. Alba odchyliła głowę do tyłu, nie bardzo mogła się ruszać, bo znów przytrzymałem jej dłonie, tworząc z niej krzyż na drewnianych drzwiach. Złapałem ją za brodę i odwróciłem – natknąłem się na

usta, które szukały pocałunków, wydając jęki równie głośne jak moje.

– O kurwa, ale ty się ruszasz, Unai. – Wydało mi się, że warknęła.

Nie wykazaliśmy się bohaterstwem, nie wytrwaliśmy zbyt długo, musieliśmy mieć na siebie zbyt dużą ochotę, bo doszliśmy niemal jednocześnie. Potem był już tylko mój urywany oddech przy jej uchu i mój żelazny uścisk krakena miażdżący ciało kobiety, która w ciągu niespełna dwóch tygodni wywróciła mój świat do góry nogami i z którą przed chwilą uprawiałem w starej sieni pierwszoligowy seks.

– Nigdy nie bzykałam się z takim widokiem – powiedziała z półuśmiechem.

Wcisnęła się w moje ramiona, jakby prosiła, żebym objął ją jeszcze mocniej.

– Ja miałem jeszcze lepszy: oprócz placu widziałem twoje plecy – odpowiedziałem radośnie, kładąc głowę na jej ramieniu.

– Świta – zauważyła, jakbym mógł tego nie dostrzec.

– Wiem, już czas na jutrenkę.

– Nie wpuścisz mnie do mieszkania?

Czar prysnął.

– Gdybyś się bardzo upierała, wpuściłbym cię, ale wolałbym, żebyś tego nie robiła – odparłem lekko skrepowany, zwalniając uścisk.

Po co kłamać?

– Nie ma sprawy. – Przybrała zimny ton, jakby nie obeszła jej moja odpowiedź.

Podciągnęła legginsy i nie zwracając na mnie uwagi, poprawiła sportowy stanik, koszulkę i bluzę.

Nawet się nie odwróciła. Włożyła kaptur, wyszła z pochyloną głową na plac oświetlony już pierwszymi promieniami słońca i puściła się biegiem niczym fanatyczna sprinterka, która nawet w święta nie rezygnuje z codziennej rutyny.

Drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem, huk przez dłuższą chwilę odbijał się echem po klatce schodowej. Stałem w mrocznej sieni ze spuszczoneymi do kolan legginsami i wpatrywałem się w pustkę.

Ale z ciebie idiota, Unai.

Wszedłem schodami na trzecie piętro, otworzyłem drzwi i rozejrzałem się po mieszkaniu. Jak mogłem ją wpuścić? Żeby zobaczyła, w jakim punkcie

życia tak naprawdę się znajduję?

A w jakim punkcie się znajdujesz? – zadałem sobie pytanie, pierwszy raz od dawna.

Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo jestem okaleczony.

Że nadal tkwię w przeszłości.

Wszędzie były ramki ze zdjęciami Pauli. W przedpokoju, przy telewizorze, na szafce nocnej po prawej stronie łóżka... Usiadłem na narzucie i sięgnąłem po inną oprawioną fotografię. USG 4D moich dzieci. Wypukłości w kolorze sepia zapowiadające mój nos i usta Pauli, rączki, które miały złapać mnie za palec po porodzie.

Poczułem się okropnie, brudny, spocony, pachniałem szybkim seksem i wymieszaną śliną. Odkręciłem prysznic i wtedy zrozumiałem. Germán miał rację: wcale nie pogodziłem się z tym, co się stało. Oszukiwałem sam siebie. Wszedłem z kabiny mokry i namydlony, nawet nie pomyślałem o ręczniku. Wróciłem przygnębiony do salonu i pierwszy raz spojrzałem na mieszkanie cudzymi oczami: to było sanktuarium, sanktuarium mojej żony i moich dzieci.

Przerażony opadłem na kanapę, mocząc tapicerkę. Myślałem, że w tym domu doszedłem do siebie, dopóki nie popatrzyłem na niego jak zawodowy profiler.

Stworzyłem sobie swój własny *wonderwall*, swoją własną ścianę, w której szukałem schronienia, przekonując sam siebie, że Paula i dzieci wciąż są przy mnie.

Nie należę do osób, które w przypiływie szału zaczynają ciskać przedmiotami – tym bardziej że sam na nie zarobiłem, i to wykonując pracę o podwyższonym ryzyku – ale przyznaję, że w tamtym momencie byłem bliski zamienienia się w siejącego spustoszenie furiata. Spojrzałem jednak na rodzinę, którą kiedyś miałem, i zrozumiałem, że na to nie zasługuje.

Powstrzymałem więc złość i łzy, wyjąłem spod łóżka pusty karton i schowałem do niego wszystkie zdjęcia z mojego dawnego życia. Musiałem iść naprzód. Przekroczyć granicę. Zapomnieć. Pozwolić im odejść.

Zakleiliśmy pudełko taśmą i napisałem grubym markerem: „Paula i maluchy”. Ogoliłem się, wykapałem, ubrałem, zjadłem śniadanie, zszedłem z pudełkiem na parking i schowałem je do bagażnika outlandera. Zamierzałem zawieźć je do Villaverde, by pokryło się kurzem na strychu w domu dziadka.

Dotarłem na komendę w wisielczym humorze, zamyślony i apatyczny. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Poszedłem prosto do swojego gabinetu i zabrałem się do uzupełniania zaległych raportów.

Estíbaliz wychyliła zza drzwi swoją długą rudą grzywkę, po czym niepewnie weszła do środka. Natychmiast zauważyła, że cięży mi coś jeszcze poza naszą różnicą zdań na temat jej brata.

Podeszła do mnie w milczeniu, otwarcie badając mnie wzrokiem. Zna mnie tak dobrze, że postanowiła nie dolewać oliwy do ognia.

– Widziałeś tę akcję z Tasiem? – zapytała.

– Co to jest „ta akcja z Tasiem”?

– Za pięć minut wyjdzie z więzienia. Na miejscu są już wszystkie hiszpańskie stacje telewizyjne plus kilka europejskich i amerykańskich. Przyjechali chyba nawet z RPA.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Nie wiem, kto ci dzisiaj nadepnął na odcisk, ale może się trochę rozkręcisz, oglądając relację na żywo. – Odsunęła mnie pupą od biurka, pochyliła się nad moim laptopem i wpisała adres strony. – SuperTasio dwadzieścia lat później. Nie ty jeden zasłużyłeś sobie na to, żeby go zobaczyć. Minęło dużo czasu, wszyscy są ciekawi, jak teraz wygląda.

– Gdybyś wiedziała... – odpowiedziałem beznamiętnie.

Wpatrywaliśmy się w stronę internetową ogólnokrajowej stacji telewizyjnej. Transmisja była na żywo, przed wejściem do makrowięzienia tłoczyła się chmara kamerzystów, dziennikarzy z połowy krajów świata uzbrojonych w mikrofony i manifestantów z transparentami żądającymi głowy Tasia. Ledwo zostawili przejście dla więźnia.

Tasio jak zwykle okazał się panem sytuacji: udało mu się wszystkich zaskoczyć.

Za białymi vanami CNN i BBC pojawiła się kilkumetrowa czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami. W tym samym momencie z więzienia wyszedł zakapturzony mężczyzna. Był wysoki, miał na sobie drogi garnitur, ale nie dało się zobaczyć jego twarzy osłoniętej kapturem grubej kurtki od Barboura.

Rozległy się gwizdy, dziennikarze próbowali zagrozić mu drogę do wolności, ale Tasio budził respekt nawet z zasłoniętą twarzą. Rozdał parę kuksańców, a gdy znalazł się na wysokości limuzyny, otworzyły się tylne drzwi.

– Trzeba przyznać, że facet ma klasę – stwierdziła z niezadowoleniem Estíbaliz.

– Nawet nie wiesz jaką. – Zerknąłem na nią kątem oka. – A teraz, Esti, chciałbym dokończyć raport. Porozmawiamy później.

Natychmiast załapała, że wolę być sam, i zniknęła równie niepostrzeżenie, jak się pojawiła.

Nie miałem ochoty z nią rozmawiać, nie w dniu, kiedy postanowiłem przesłuchać jej brata Eneka, chociaż wcale mi się to nie uśmiechało.

Podczas przerwy na lunch nie chciało mi się iść do centrum, przekąsiłem coś w barze przy alei Gasteiz i w końcu do niej zadzwoniłem.

Do swojej szefowej, nie do Alby. Wolałem załatwić to przez telefon, niż iść do jej gabinetu, gdzie musiałbym spojrzeć jej w oczy.

Tak więc wyjąłem komórkę z kieszeni i wybrałem jej numer, gapiąc się na pokryte roślinnością ściany centrum kongresowego Europa.

– Jesteś sama? – zapytałem.

– Nie, ale możemy rozmawiać, inspektorze Ayala – odparła neutralnym tonem. – Jeżeli to coś pilnego, proszę mówić.

– Mamy podejrzanego – powiedziałem, starając się skupić na sprawach zawodowych. – Wskazał mi go sam Tasio Ortiz de Zárate, zanim wyszedł na przepustkę.

– A pan wierzy w to, co mówi panu Tasio Ortiz de Zárate?

– Pani podkomisarz, myślę, że tym razem to może być właściwy trop.

– Wobec tego proszę mi opisać tę osobę.

– Mężczyzna, trzydzieści pięć lat – podsumowałem. – Towarzyszył Tasiowi Ortizowi de Zárate podczas jego wypraw śladami pogan, obecnie jest właścicielem sklepu ezoterycznego mieszczącego się na parterze Wieży Doñi Ochandy. Na razie pod każdym względem pasuje do profilu, który opracowałem.

– Chce go pan od razu zatrzymać, mam dla pana zdobyć nakaz sędziego? Jeżeli tak, wie pan, że będę potrzebowała jakichś mocniejszych dowodów.

– Proszę pozwolić mi najpierw z nim porozmawiać. Istnieją... pewne okoliczności, które powinienem wyjaśnić, ale poinformuję panią, kiedy skończę. Czuję... Czuję, że jesteśmy bliscy rozwiązania tej sprawy. Przynajmniej chcę tak myśleć.

– Ja również tego pragnę, inspektorze Ayala – powiedziała; w jej głosie nie było już ani śladu po ciepłe, które poznałem.

Rozłączyła się, ja zaś ruszyłem ulicą Badaya w stronę Cercas Bajas.

Nie podejrzewałem nawet, jaką lawinę uruchomiłem tym jednym telefonem.

WIEŻA DOÑI OCHANDY

8 sierpnia, poniedziałek

W zbudowanej na planie kwadratu średniowiecznej Wieży Doñi Ochandy mieściło się teraz Muzeum Nauk Przyrodniczych. Odrestaurowana w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, była wierną kopią wielu innych, które w dawnych czasach wznoszono na terenie Álavy, jak wieże Mendozów czy Varonów.

Złote litery umieszczone obok masywnych drewnianych drzwi informowały, że znajdują się tu sklep zielarski i księgarnia prowadzone przez Eneka Ruiza de Gaunę.

Przez ciemne szyby wystawy można było dojrzeć szklane kule, amulety, saszetki z ziołami, a także używane książki o templariuszach, baskijskiej mitologii i ufologii.

Wszedłem do sklepu, moje pojawienie się zapowiedziały umieszczone pod sufitem bambusowe dzwonki. Na drzwiach wisiał *eguzkilore*, jak we wszystkich gospodarstwach w północnej Hiszpanii. Tu jednak był umieszczony po wewnętrznej stronie, jakby to świat zewnętrzny potrzebował ochrony przed tym, co znajdowało się w środku.

Lokal wypełniały świece używane w obrzędach santerii, ręcznie opisane torebki z ziołami, naszyjniki chroniące przed złym urokiem i setki starych książek ułożonych na podłodze w stosy sięgające drewnianego sufitu. Powietrze było ciężkie od zapachu kadzidła, dało się wyczuć również woń marihuany.

Wspiąłem się po stromych schodkach, szukając zaplecza. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek wcześniej odwiedził ten supermarket tajemnej wiedzy.

– Słynny Kraken – powiedział ktoś za moimi plecami. Miał nieprzyjemny głos przypominający krakanie kruka.

– Słynny Eguzkilore. – Odwróciłem się w jego stronę.

– Już mnie tak nie nazywają, podobieństwo zniknęło – stwierdził, wzruszając ramionami, i zaciągnął się skrętem.

Miał rację. Rude dredy Eneka należały do przeszłości. Rozprawiło się z nimi postępujące łysienie, została wygolona głowa i odsłonięty kark z wytatuowanym *eguzkilore*.

Był mojego wzrostu, muskularny, nosił fioletowe lniane spodnie. Miał wystające kości policzkowe i zaczerwienione białka charakterystyczne dla ludzi, którzy poświęcili życie sprawie i napalili się zbyt wielu dziwnych substancji. Jednak jego brązowe oczy były czujne, zawsze czujne.

– Wejdz, nie chcę, żeby klienci zobaczyli, że odwiedza mnie glina.

Rozejrzałem się, szukając któregoś z tych rzekomych klientów, ale sklep był pusty.

– Przyszedłeś po mandragorę?

– Po co? – zapytałem zdezorientowany.

– Odebrać zlecenie.

– O czym ty mówisz, stary?

Przyglądał mi się przez chwilę, marszcząc czoło.

– O niczym, glino. Nieważne.

Rozsunął błyszczącą złotą kotarę i weszliśmy do dziwnej klitki, jeszcze bardziej zagraconej niż sklep. Rozgrzebane podwójne łóżko, na ścianach tysiące zdjęć przedstawiających różne zjawiska paranormalne, drewniany stół zawalony fakturami, które zakrywały wyryte w blacie runy, kilka siedmioramiennych menor z palącymi się świecami stanowiącymi jedyne źródło światła. W głowie tego gościa było miejsce dla wszystkich wyznań.

– To moje biuro. Tutaj możemy spokojnie porozmawiać. Po co przyszedłeś? Podziękować mi za pomoc w identyfikacji ostatnich ofiar? – Usiadł na stole, dopalając skręta.

– Niezupełnie – odparłem; krążyłem po słabo oświetlonym pokoju, starając się znaleźć coś interesującego pośród oblepiających ściany zdjęć. – Jeden z tropów prowadzi do trójkąta tworzonego przez San Vicentejo, Burgondo i Ochate. Orientujesz się w tych sprawach, na pewno znasz Ochate.

– Jak każdy z tych stron. Stanowi część dziedzictwa kulturowego kilku pokoleń mieszkańców Álavy.

– Jaki wpływ miało na ciebie?

– Jestem przekonany, że na tym obszarze koncentrują się różne moce. Byłem w składzie grup, które nagrywały tam EVP. Udało nam się uzyskać kilka niezłej jakości. Potem ludzie stracili zainteresowanie i grupy się rozpadły – odpowiedział.

Odniosłem wrażenie, że próbuje mnie zbyć.

– Powiedz mi: pracowałeś przy renowacji kościółka w San Vicentejo?

– O czym ty mówisz? Przeszedłbyś wreszcie do rzeczy. Nadal nie wiem, co tu robisz – obruszył się.

Trudno, nie połączę cię z San Vicentejo, pomyślałem zniechęcony.

– Powiedzmy, że znalazłem związek pomiędzy tobą, Tasiem Ortizem de Zárate i Zugarramurdi – powiedziałem, zmieniając strategię.

Spuścił wzrok i odwrócił wygoloną głowę, jakby chciał uciec przed złym wspomnieniem.

– Byłem wtedy dzieckiem. Nie wiem, czego nagadał ci ten świr, ale nie było tak strasznie, jak mówi.

– Jakoś trudno mu o tym zapomnieć.

– On nigdy nie rozumiał mojego zaangażowania w przywrócenie dawnych zwyczajów. Kiedyś byliśmy czarownikami, teraz jestem zwykłym zielarzem. To dość dołujące, że ludzie tacy jak ja, bardziej wyczuleni na to, czego nie widać gołym okiem, stracili swoją władzę. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego ci się zwierzam, tak więc jeżeli nie masz do mnie więcej pytań, pozwól, że grzecznie pokażę ci drzwi. Nie wyrzuciłem cię od razu wyłącznie przez szacunek dla mojej siostry.

– Szacunek? Gdybyś ją szanował, nie wciągnąłbyś jej w swoje ciemne interesy.

– Co jest, ruchasz ją? – Staął na wprost mnie.

– O czym ty mówisz, cymbale? Ja próbuję się nią opiekować, ty sprowadzasz ją na złą drogę i ciągniesz na dno.

– Uważaj, nie było cię, kiedy tłukł nas ojciec. Ochraniałem ją.

– Ochraniałeś? Dlatego wciągnąłeś ją w narkotyki?

– Znieczulały ją, dodawały jej sił. Nie upraszczaj, jesteś laikiem, dla ciebie to tylko nielegalne substancje.

– Nie pleć andronów, zrobiłeś z niej specjalistkę od autodestrukcji.

W tym momencie poczułem, że ktoś stoi za moimi plecami. Obejrzałem się i zobaczyłem Estíbaliz.

Popatrzyła na mnie z wściekłością, zacisnęła wargi tak mocno, że aż zbielały.

– Tym dla ciebie jestem, Kraken? Jak bardzo się obaj mylicie! Jak bardzo się mylicie!

Odwróciłem się. Esti zniknęła w dole schodów. Pobiegnęłam za nią, ale była szybsza, kiedy wyszedłem z księgarni, rozglądając się na wszystkie strony, już jej nie było. Ruszyłem uliczką Las Carnicerías, zajrzałem na Herrería, a kilka minut później na Zapatería, ale napotkałem jedynie świętujące grupki i *blusas* przygotowujących się do parady.

– Zaczekaj, Esti! – krzyknąłem w próżnię, chociaż nie miałem pojęcia, dokąd poszła.

Wybrałem numer jej komórki. Raz, dwa razy, trzy.

Nikt nie odebrał. Wiedziałem, że nie tyle jest na mnie zła, ile czuje się zawiedziona.

Zawróciłem więc w stronę Wieży Doñi Ochandy z zamiarem dokończenia rozmowy z Enekiem.

Szklane drzwi były uchylone, tak jak je zostawiłem, wybiegając za Estíbaliz.

– Eneko! – krzyknąłem, kiedy znalazłem się w środku. – Wiesz, gdzie mogła pójść twoja siostra?

Nikt nie odpowiedział.

Zdziwiony wszedłem po schodkach i odsunąłem grubą złotą kotarę prowadzącą do biura Eguzkimore.

Eneka Ruiza de Gauny tam nie było.

Zniknął, zostawiwszy otwarty sklep, a w nim zdezorientowanego policjanta.

32

IZARRA

Vitoria, luty 1971

Álvaro Urbina spojrział oszołomiony na drzwi sypialni. Wrzaski Javiera wyrwały go z osłupienia.

– Wiem, że zrobił pan coś złego moim synom! Proszę mnie wpuścić!

– Ale jak to możliwe? – wybąkała Blanca, nie wierząc własnym oczom.

– Z trojaczkami często tak bywa: dwa identyczne i jeden inny – wyjaśniła szeptem Felisa. – Można wydostać się stąd jakoś inaczej niż głównym wejściem?

– Tak, za tymi drugimi drzwiami jest garderoba, stamtąd przejdzie pani do gabinetu. Boczne schody prowadzą do tylnego wyjścia – odpowiedziała Blanca, zaskoczona pytaniem pielęgniarki.

– Proszę posłuchać, są... Są małżeństwa, które wychowałyby to dziecko jako własne, znam taką jedną parę z Izarry – wyszeptała Felisa. – Nie mówię o legalnej adopcji. Doktorze, pan wie, że w klinice czasami obchodzimy procedury, zdarzają się sytuacje, których nie sposób przewidzieć. Bywa, że na oddział ratunkowy przychodzą panny z dobrych domów, które przez dziewięć miesięcy ukrywały ciążę przed rodziną. W takich przypadkach oddajemy noworodki małżeństwom, które pragną dziecka, ale Bóg nie zesłał im tego błogosławieństwa. Jedno z nich od dawna czeka na nasz telefon. Doktor Medina zawsze tak robił, a ja... sami państwo rozumieją: widzę, słyszę i milczę. Jeżeli don Javier zobaczy tego chłopca, rudego jak pan, doktorze Urbina, pozabija nas wszystkich: swoją żonę, troje dzieci, pana, a jeśli się zagalopuje, także i mnie. Zabiorę go teraz do siebie do domu. Proszę dać mi jutro wolne, postaram się dotrzeć do wsi, gdzie mieszkają ci ludzie, i oddam im malca. Nigdy więcej nie wrócimy do tego tematu. Nigdy, doktorze. Nikt nie spodziewał się trzeciego dziecka, dwaj pozostali chłopcy mają jasne włosy jak ich matka, don Javier może ich wychować jako swoich synów.

Álvaro spojrział na Blancę, która bezskutecznie próbowała objąć omdlałymi ramionami troje dzieci.

Wziął na ręce rudzielca i uważnie mu się przyjrzał. Tak samo wyglądali po urodzeniu jego starsi synowie, wiedział, że kiedy mały dorośnie, będzie podobny do niego.

– Blanco, ty jesteś ich matką – powiedział i pochylił się nad nią, odgarniając jej włosy z twarzy. – Musisz podjąć decyzję.

– To także twoi synowie, wszyscy trzech – odparła słabym głosem.

– Zabije nas. Twój mąż nie dopuści, żeby chłopcy przeżyli, jeżeli zobaczy wszystkich trzech.

Zamknęła oczy. Nie chciała myśleć, marzyła o tym, by zasnąć, ale wiedziała, że nie może, że los dwojga dzieci zależy od tego, czy przedstawi je światu jako synów Javiera.

– Dobrze, niech pani go zabierze – powiedziała wreszcie, zanosząc się płaczem. Zmęczenie wzięło jednak górę nad łzami: opadła wyczerpana na mokrą poduszkę.

Felisa owinęła małego rudzielca w jeden z kocyków, które Blanca przygotowała dla jego braci. Opróżniła torbę doktora i włożyła do niej noworodka.

Zniknęła szybko w bocznych drzwiach sypialni, zostawiając Álvara samego z tymi, którzy mogliby być jego rodziną: wyczerpaną pierworódką i dwoma jednojajowymi bliźniakami.

W tym momencie do pokoju wpadł Javier: wyłamał zamek i otworzył drzwi z takim rozmachem, że klamka uderzyła w ścianę.

Szukał wzrokiem swoich dzieci. Doktor zagroził mu drogę.

– Wszystko poszło dobrze: dwaj chłopcy, stan zdrowia doskonały, zważywszy na okoliczności. Wstępne badanie potwierdza dobre rokowania. Może pan podejść do matki i zobaczyć synów. Poród kosztował ją dużo wysiłku, pozwólmy jej odpocząć. I proszę zamknąć te drzwi, to bardzo ważne, żeby się teraz nie wyziębili.

Javier spojrzął na niego nieufnie i podszedł do łóżka. Noworodki spały otulone niebieskim kocykiem, trochę za małym, żeby dobrze okryć dwoje dzieci. Nie odważył się ich dotknąć, ale podniósł kocyk, żeby sprawdzić, czy nie są zdeformowane i czy nie brakuje im żadnej kończyny.

– No... dobrze. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. W pokoju panowała taka cisza, że obawiałem się najgorszego.

– Wykonywaliśmy tylko naszą pracę, dla dobra pańskich synów.

– A gdzie jest pielęgniarka? Nie widziałem, żeby wychodziła – mruknął,

rozglądając się po sypialni.

– Pobiegła do kliniki po potrzebne drobiazgi – skłamała. – Pańska żona wymaga teraz podstawowej opieki ambulatoryjnej.

– Ale dlaczego nie wyszła po ludzku, głównym wyjściem?

– Nie chciałym pana urazić, ale był pan zbyt zdenerwowany, nie mogliśmy wpuścić pana w takim stanie. To był kluczowy moment, od którego zależał stan pańskich dzieci. Wołała wyjść od tyłu, proszę ją zrozumieć, to starsza kobieta, budzi pan w niej duży respekt.

– Dobrze już, dobrze. Rozumiem – burknął, nie przywiązując większej wagi do zniknięcia Felisy. – Resztę może zrobić sama?

– Tak, to będą pielęgniarские zabiegi. Zajmie się matką i chłopcami, cała trójka powinna teraz odpoczywać. Niech się prześpią kilka godzin, a kiedy tylko odśnieżą drogi, przewieziemy ich do kliniki, żeby zaopiekowali się nimi lekarze. Wcześniaki powinny pozostać przez jakiś czas na oddziale dla noworodków, aż przybiorą trochę na wadze, a ich płuca będą w pełni rozwinięte.

– Ale wszystko z nimi w porządku? – dopytywał się Javier nie do końca przekonany. – Są jacyś tacy mali.

– To normalne przy ciąży mnogiej i przedwczesnym rozwiązaniu, ale mają prawidłowy wzrost jak na bliźniaków.

– Niech panu będzie – mruknął wreszcie. – Koniec końców, dobrze się pan spisał, sprowadził pan na świat moich dwóch synów. Kto by pomyślał.

– Na to wygląda.

I co teraz, Javierze? Co teraz?

– Rozumiem, że nie ma już potrzeby, żebyśmy się widywali. Może pan opuścić mój dom. Kierowca odwiezie pana do kliniki.

Doktor zrobił krok do tyłu, próbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Pański samochód może i jest duży, ale nie sądzę, żeby zdołał pokonać zaspę.

– Pół godziny temu przejechały pługi, ulice są już odśnieżone. Nie ma pan wyjścia, proszę nie dać się prosić. Odprowadzę pana.

Álvaro rzucił szybkie spojrzenie Blance i dwóm chłopcom leżącym na jej piersi. Spali niczego nieświadomi.

Już nigdy ich nie zobaczył.

Tydzień później w kronice kryminalnej „El Diario Alavés” pojawiła się krótka wzmianka o zaginięciu doktora Álvaro Urbiny zamieszczona przez zrozpaczoną małżonkę Emilię Aranguren.

Nikt już nigdy nie widział go w Vitorii.

Zaledwie półtora miesiąca później jego miejsce zajął lekarz z Bilbao – zarząd kliniki uznał, że Álvaro Urbina już się nie pojawi.

Nowy ginekolog należał do trzeciego pokolenia szacownej rodziny baskijskich medyków. Był młody, towarzyski, czarujący, miał opinię dobrego specjalisty. Kiedy nazwisko doktora Goiriego zastąpiło na drzwiach gabinetu nazwisko doktora Urbiny, już mało kto w Vitorii pamiętał jego poprzednika.

WĘDROWIEC

9 sierpnia, wtorek

To był tylko seks, zła decyzja, letnia przygoda, wypadek przy pracy. Nic poza tym. Pójdę dziś do jej gabinetu, powiem, że nigdy więcej, nigdy więcej. Niech wróci do swojego oziębłego, milczącego męża, niewidzialnego człowieka, pana X, powiedziałem sobie, kiedy obudziłem się jak zwykle skoro świt.

W kółko rozmyślałem o tym samym. Oszukiwałem się, udawałem, że wcale mi nie zależy i wcale mnie nie wkurza, że śpi z innym, że bierze prysznic z innym, że robi zakupy i pranie z innym, że nosi obrączkę symbolizującą obietnice, które złożyła innemu.

Że wcale nie pragnę stać się niewidzialny, niesłyszalny, nienamacalny, wejść do jej łóżka, robić to z nią, aż zaśnie ciepła i wyczerpana, nawet jeżeli potem miałbym wrócić do swojego pustego mieszkania.

Bo tym razem to ja byłbym tym innym.

Pieprzonym przyjacielem z przywilejami, a jednocześnie bez żadnych przywilejów. Bez prawa do leniwych niedzielnych śniadań w łóżku, do przedstawienia jej mojej paczce, do obściskiwania się z nią na ostatnim seansie w kinie przy ulicy San Prudencio.

Wiem, że nie powinienem tego robić o tej porze, że to nierozsądne, ale wysłałem jej wiadomość.

„Wysłaś dziś pobiegać?”

„Tak”.

„Gdzie jesteś?”

„Co za różnica. To gdzie się widzimy?”

„W ogrodach na tyłach pałacyku Unzuetów, boczna furtka jest otwarta”, zaproponowałem.

Kiedy zobaczyłem emotikon w postaci uniesionego w górę kciuka, błyskawicznie wziąłem prysznic, ubrałem się i pędem wybiegłem z domu.

Zjawiła się tam przede mną, przy otaczającym posesję żywopłocie czekał na mnie cień z założonymi rękami. Była w nie najlepszym humorze.

– Czego chcesz, kolejnego szybkiego numerku, żeby sobie ulżyć? – wypaliła na mój widok.

– O czym ty mówisz? To nie był żaden szybki numer.

– Nie? A jak nazwiesz posuwanie mnie od tyłu w sieni twojej kamienicy? Nawet nie pozwoliłeś mi wejść na górę, żeby wziąć prysznic. Nie chcę przy tobie zasypiać, Unai. Nie oczekiwałam od ciebie żadnych deklaracji.

– Nie chcesz przy mnie zasypiać? – wykrzyknąłem ze złością. – Bardzo ci dziękuję, czuję się zaszczycony. Powiedz, ty zaprosiłabyś mnie do swojego mieszkania?

Zbladła, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– No dalej, chodźmy się pobzykać w twojej sieni, gdziekolwiek mieszkasz, a potem zaprosisz mnie do siebie na górę, zgoda? Będę mógł położyć się w łóżku obok ciebie i twojego męża. Nie czekał wczoraj na ciebie, licząc na poranny numer.

– Myślisz, że kochałam się z nim, mając w sobie twoją spermę? Nic nie rozumiesz, Kraken. Nic nie wiesz o mnie i o moim małżeństwie.

– Do kurwy nędzy, nie mów do mnie Kraken! Mam dość tylu różnych wcieleń.

– Czyżby? W takim razie przestań się zachowywać jak bezmózgi głowonóg.

– Nie waż się mnie osądzać. To ty masz męża. Nie baw się mną. Albo jesteś, albo cię nie ma, nie chcę być twoim kochankiem. Ta rola mi... uwłacza.

– To przestań patrzeć na mnie tak, jak patrzysz na mnie na komendzie! – wykrzyknęła.

– Co jest nie tak z moim spojrzeniem?

– To, że nie mogę przestać o nim myśleć, Unai – szepnęła ze złością, przysuwając się do mnie. – Nie mogę przestać o nim myśleć.

Bezsilność w jej głosie mnie rozbroiła.

– Ja też nie mogę, Albo. – Westchnąłem. – Ja też nie mogę przestać myśleć o tym, jak na mnie patrzysz. Nie powinniśmy byli się w to pakować, nie jesteśmy dziećmi. W grę wchodzi też inni ludzie, nie chcę, żeby ktokolwiek ucierpiał.

Żeby ktokolwiek ucierpiał...

Co za ironia. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co nas wszystkich czeka.

Żeby ktokolwiek ucierpiał.

– Chciałem cię prosić o wybaczenie i powiedzieć, że byłoby mi bardzo miło, gdybyś do mnie przyszła – odważyłem się wyznać.

– Spóźnimy się do pracy. – Spojrzała na zegarek.

– Wiem, że to wymyka się nam spod kontroli, ale... po prostu razem zaśnijmy, zgoda? Nigdy nie zapraszałem nikogo do tego mieszkania. Przeprowadziłem się tam, kiedy zostałem wdowcem, ponad dwa lata temu. Chcę zasnąć przy tobie w moim łóżku, choćby na pół godziny. Tego właśnie pragnę, Albo. Nie jesteś dla mnie szybkim numerkiem, jasne?

– Wiesz, ile ryzykuję?

– Wiem, że dużo więcej niż ja.

Stała w milczeniu oparta o pień drzewa.

– Chodźmy, zaraz zrobi się widno – zgodziła się wreszcie.

Znowu pobiegliśmy do mojej kamienicy, tym razem jednak pozwoliłem jej wejść na trzecie piętro. Nawet jej nie pocałowałem ani nie wziąłem za rękę. Nawet nie zdjąłem z niej ubrania – w sypialni odwróciliśmy się do siebie plecami i każde rozebrało się samo. Kiedy miałem pewność, że leży w pościeli, wszedłem do łóżka i przytuliłem ją od tyłu. Spaliśmy objęci do czasu, aż budzik w komórce obwieścił, że cenne minuty dobiegły końca.

Alba ubrała się bez słowa. Oboje udawaliśmy, że ja jeszcze śpię, jakbyśmy zawarli nieme porozumienie. Uklękła na parkiecie po mojej stronie łóżka, siłą odwróciła mi głowę i w milczeniu się do mnie przytuliła.

Potem zaplotła włosy w warkocz i wyszła, ja zaś wpatrywałem się zamyślony we wgłębienie, jakie zostawiło na prześcieradle jej ciało.

Od dawna nie widziałem takiego wgłębienia.

Pamiętam, że tego sądnego dnia jechałem do pracy z poczuciem ulgi: uroczystości dobiegały końca. Jeżeli morderca synchronizował swoje zbrodnie z kalendarzem świąt naszego miasta, po obchodach ku czci Białej Panienci czekała nas chwila oddechu, może aż do września, do FesTValu albo średniowiecznego jarmarku, odpowiednio na początku i pod koniec miesiąca.

Jeszcze tylko jeden dzień wzmożonych patroli na ulicach, a potem będziemy mogli skupić się na poszukiwaniach Eneka Ruiza de Gauny.

Jeśli chodzi o mnie i Estíbaliz, nie można powiedzieć, żebyśmy radzili

sobie z tą sytuacją. Żadne z nas nie było dobre w udawaniu. Oglądanie przez cały dzień jej pełnej wyrzutów miny wystawiało na próbę naszą przyjaźń.

Eneko nie odbierał od niej telefonów, mimo to nie chciała zgłosić jego zaginięcia. Po pierwsze, dlatego że zniknął dobrowolnie, prawdopodobnie ukrywał się gdzieś na wsi czy w jakiejś jaskini. Po drugie, dlatego że wolała nie wystawiać zwierzyń, nie skupiać na bracie uwagi policji.

Rano zadzwonił do mnie Germán: usłyszałem w jego głosie niepokój, którego nie starał się ukryć.

– Co robiliście wczoraj wieczorem? Wyszliście na miasto? – zapytałem.

– Tak, spotkaliśmy się z całą paczką. Było dziwnie, wszyscy mówią teraz o jednym. Zresztą ty akurat wiesz to najlepiej.

– W takim razie porozmawiajmy o czymś innym. – Oderwałem wzrok od ekranu komputera.

– Zrobiłem sobie dzisiaj wolne, dla podtrzymania tradycji umówiliśmy się z Martiną w Deportivo Alavés na tortillę z chorizo. Jeszcze nie wróciła do domu, wczoraj zabalowała, miała ochotę poszaleć. Pewnie przyjdzie prosto na lunch. Dzwonię, żeby zapytać, czy nie chcesz się do nas przyłączyć.

– Jestem wzruszony, że tak się o mnie troszczysz, braciszku – powiedziałem z uśmiechem, przeciągając się – ale przede mną ciężki dzień. Może jutro, kiedy obniżymy stopień zagrożenia.

– Nie daj się prosić, Unai. Jutro będzie już po świętach. Może byś tak trochę pożył?

– I mówi to ktoś, kto od świtu przesiaduje w kancelarii.

– Dobrze już, dobrze. Przynajmniej próbowałem. Uważaj na siebie, widzimy się w sobotę w Villaverde.

– W takim razie do soboty. Smacznej tortilli.

– Bądź spokojny, na pewno będzie pyszna.

O siedemnastej udaliśmy się z Estíbaliz na ulicę Dato. Ostatnia parada *blusas* cieszyła się największą popularnością – 9 sierpnia przypadał tak zwany dzień flejtucha.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie rozległy się dźwięki ulicznej orkiestry. Pierwsza grupa *blusas* – Bereziak – ruszyła z ulicy Postas starą podrasowaną ciężarówką, specjalnie ozdobioną na tę okazję, z której rozsypywano mąkę na podążających po obu stronach gapiów.

Po kilku minutach ludzie wypełniający ulicę Dato byli biali od stóp do

głów. Mąka pokrywała też chodnik, a nawet pnie magnolii i masywne drewniane ławki.

Trudno było się nie zarazić panującą wokół radością. Przed najbardziej charakterystycznymi zabytkami Vitorii rozstawiliśmy policjantów, zarówno w cywilu, jak i umundurowanych. Chcieliśmy trochę uspokoić ludzi, by czuli się bezpieczni na ulicach własnego miasta.

Przebieg uroczystości relacjonowało więcej stacji telewizyjnych i gazet niż zazwyczaj. Wyglądało na to, że obchody ku czci Białej Panienci nagle zaczęły budzić powszechne zainteresowanie. Reporterzy krążyli po mieście z mikrofonami, ciągnąc za sobą kamerzystów, przeprowadzali wywiady z każdym, kto zechciał się z nimi podzielić swoją teorią – często niedorzeczną – na temat tożsamości mordercy. Ulice centrum były zastawione vanami różnych mediów zaparkowanymi w niewłaściwych miejscach. Drogówka miała dodatkową robotę.

Po Bereziakach przyszła kolej na grupy Bisnietos de Celedón, Jatorrak i Desiguales. Trwająca zaledwie czterdzieści pięć minut parada pokryła warstwą bieli ulicę Dato i najwyraźniej wprawiła ludzi w dobry humor.

Przez cały ten czas nie zamieniliśmy z Estíbaliz ani słowa. Zawróciliśmy, podczas gdy widzowie rozchodzili się ulicami General Álava i San Prudencio.

Kiedy dotarliśmy do placu Arca, zobaczyłem coś, co zjeżyło mi włosy na głowie.

U stóp rzeźby Wędrowca leżało białe prześcieradło. Ludzie wymijali je z obu stron, starając się go nie podeptać.

– Widziałaś to? – zapytałem, czując suchość w gardle.

– Mam nadzieję, że to tylko makabryczny żart *blusas*. Wygląda to tak, jakby pod prześcieradłem leżały dwa ciała.

– Ogrodzimy ulicę taśmą, zanim je podniesiemy, ale trudno będzie ukryć to przed ludźmi.

– Musimy spróbować. – Estíbaliz odwróciła się i wezwała patrol.

Wkrótce odcięliśmy wszystkie ulice prowadzące na plac: Dato, San Prudencio i Arca, na wysokości księgarni i baru J.G.

Z niepokojem wpatrywałem się w dwa ludzkie kształty pod prześcieradłem.

– Oby to były manekiny, Esti. Zaczynam wątpić, że chodzi o dwóch żartownisiów, przez cały ten czas się nie poruszyli.

Rzuciła okiem na prześcieradło i potwierdziła spojrzeniem, że obawia się tego samego co ja.

– W takim razie bierzemy się do roboty. Jeżeli to zwłoki, trzeba będzie wezwać sędziego, lekarza sądowego i techników.

Estibaliz podała mi rękawiczki. Podnieśliśmy prześcieradło, chwytając je za róg znajdujący się najdalej od olbrzymich stóp Wędrowca.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyliśmy, był *eguzkilor* i łysa, pokryta mąką głowa mężczyzny. Biały pył zakrywał rysy jego twarzy – przypominała czekający na zamalowanie kontur.

Moja koleżanka ze zdumieniem spoglądała na zwłoki.

– To niemożliwe – wyszeptała.

– Co jest, Esti?

– To niemożliwe – powtórzyła; ujęła głowę mężczyzny dłońmi w rękawiczkach i obróciła ją, odsłaniając kark.

Na tylnej części szyi niezabielonej mąką widniał wytatuowany *eguzkilor*.

– To mój brat! – wrzasnęła, przywierając do zwłok. – To mój brat!

Jej krzyk rozniósł się po placu. Stojący za taśmą ludzie także zaczęli się histerycznie wydzierać.

Złapałem ją za rękę i unieruchomiłem.

– Nie wiemy tego, Esti. Nie wiemy. Musisz się odsunąć, to zwłoki. Trzeba poczekać na sędziego i lekarza.

– To on, Unai! To on. Nikt inny nie ma takiego tatuażu, to mój brat – zaskowyczała roztrzęsiona i zaczęła całować go w czoło.

Do jej mokrej od łez twarzy kleiła się mąka.

– Estibaliz, musisz się odsunąć. Nie wolno ci ruszać zwłok. Chodź, jestem przy tobie – szepnąłem jej do ucha, łapiąc ją za brodę. – Chodź, Esti. Skup się, spójrz na mnie. Oddychaj głęboko.

Zmusiłem ją, żeby spojrzała mi w oczy i oddychała razem ze mną, nieświadomy, że stojący za taśmą ludzie podnoszą wysoko komórki i robią zdjęcia, które w kilka sekund obiegą świat.

Czułem się jak bohater makabrycznego *reality show*. Jakbym niósł na ramieniu kamerę i nie mógł jej wyłączyć.

Sędzia Olano szybko dotarł na miejsce; potwierdził zgon mężczyzny i kobiety. Lekarka zaprotokołowała szczegóły, na pierwszy rzut oka identyczne jak przy wcześniejszych zbrodniach, oprócz pokrywającej zwłoki mąki.

Odprowadziłem Estibaliz do radiowozu. Patrzyła błędnym wzrokiem i nie

odpowiadała na moje pytania.

Zatelefonowałem do jej narzeczonego, wyjaśniłem mu sytuację i poprosiłem, żeby po nią przyjechał.

Sam też zamierzałem opuścić to przeklęte miejsce, uciec przed spojrzeniem olbrzyma z brązu, ale wtedy zadzwonił mój brat.

Wiem, że nie powinienem odbierać w takiej chwili, że nie powinienem dopuścić do głosu emocji, jednak potrzebowałem jego wsparcia.

– Przed chwilą widziałem wszystko na Twitterze. To naprawdę brat Estíbaliz? – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Jeszcze tego nie wiemy. Pojadę teraz z lekarką do zakładu medycyny sądowej w Pałacu Sprawiedliwości. Mam nadzieję, że tam uda nam się zidentyfikować zwłoki.

– Jak się trzyma Esti?

– Myślę, że będzie mnie nienawidzić do końca życia. Byłem przekonany, że to Eneko jest mordercą.

Germán zaniemówił na kilka sekund.

– Jak to?

Miałem świadomość, że powiedziałem za dużo, ale, do diabła, to był Germán. Mój brat.

– Obaj wiemy, że nie powinienem ci tego mówić, ale tak właśnie było. Trop, którym szedłem, doprowadził mnie do niego. Teraz już nic mi nie pasuje. Nic nie mam, wróciłem do punktu wyjścia, a Estíbaliz nigdy mi tego nie wybaczy.

Germán jeszcze przez dłuższą chwilę przyswajał sobie to, co powiedziałem.

– Posłuchaj, Unai. Nie zablokuj się teraz, poruszaj się małymi kroczkami, tak jak uczył nas dziadek. Skupiaj się za każdym razem tylko na jednej rzeczy i zakończ ten cholerny dzień najlepiej, jak potrafisz. W końcu po coś masz te szerokie bary, dasz radę, jasne?

– Jasne – odpowiedziałem, spokojniejszy.

– Wiem, że nie powinienem zawracać ci teraz głowy swoimi problemami, ale trochę martwię się o Martinę. Nie pojawiła się na lunchu i nie odbiera telefonu.

– Jeżeli wczoraj balowała przez całą noc, to może po prostu zasnęła – powiedziałem bez większego przekonania.

W mojej głowie rozległ się dzwonek alarmowy: odkrycie zwłok Eneka tak mnie zszokowało, że nie zwróciłem uwagi na kobietę.

– Wiesz dobrze, że to nie w jej stylu. Może zdarza jej się czasem zaszaleć, ale nigdy nie nawala. Poza tym nie wierzę, żeby spała do osiemnastej. Byłem u niej w mieszkaniu, nikogo nie ma.

– Pewnie przenocowała u jakiejś koleżanki. Nie szła dziś do pracy? – Przełknąłem ślinę.

Próbowałem ukryć przed Germanem rosnący niepokój, nie chciałem, żeby wyczuł w moim głosie strach. Bo to było niemożliwe, zbyt nieprawdopodobne. Zbyt... Po prostu niemożliwe.

– Nie, zrobiliśmy sobie wolne. Może masz rację, pewnie śpi u Nerei. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciał pogadać, dobra?

– Tak zrobimy. Pojadę teraz do Pałacu Sprawiedliwości zidentyfikować zwłoki. Potem porozmawiamy.

Zdałem sobie sprawę, że się zaplątałem i powtarzam to, co już mówiłem. W skali od jednego do dziesięciu stopień mojego otępienia niebezpiecznie ocierał się o dziewięć.

Pół godziny później spotkałem się z lekarką sądową w sali sekcyjnej.

Pokryte mąką zwłoki Eguzkilorle leżały na łożu z nierdzewnej stali.

– A ciało kobiety? – zapytałem, rozglądając się niespokojnie po pomieszczeniu.

– Jeszcze go nie przywieźli – odpowiedziała doktor Guevara, w skupieniu wybierając narzędzia. – Zacznę od mężczyzny.

Obmyła mu głowę niewielkim prysznicem, mąka powoli spływała z twarzy i szyi. Podeszedłem, żeby mu się przyjrzeć.

– Słyszałam, że to brat inspektor Ruiz de Gauny – powiedziała lekarka, stając obok mnie. – Może pan to potwierdzić?

– Tak, to on. Bez cienia wątpliwości. Mogłaby pani unieść mu głowę? Denat ma na karku charakterystyczny tatuaż.

Doktor Guevara złapała Eneka za szyję i obróciła na bok jego głowę. Przy okazji polała ją wodą. Naszym oczom ukazał się tatuaż przedstawiający *eguzkilorle*.

– Miał trzydzieści pięć lat? – zapytała.

– Tak, obawiam się, że figurował na liście...

– Prawdopodobnych ofiar – dokończyła.

– Proszę mi powiedzieć: czy zauważyła pani te same charakterystyczne szczegóły co przy poprzednich zbrodniach? – zapytałem, próbując się skoncentrować.

Ale czekałem, czekałem, aż otworzą się drzwi i wreszcie przywiozą zwłoki kobiety.

– Na pierwszy rzut oka na to wygląda. Proszę spojrzeć na ten mały otwór z boku szyi wskazujący na ukłucie igłą. Potrzebne będą dokładne badania, ale obawiam się, że metoda była ta sama co zwykle.

– Możliwe, że będzie miał we krwi pozostałości innych narkotyków – uprzedziłem. – Był karany za handel środkami odurzającymi i słynął z zamiłowania do wszelkich nielegalnych substancji.

– Będę to miała na uwadze. Tak czy inaczej, nie sądzę, że wpłynęło to na przyczynę śmierci. Błony śluzowe w gardle są opuchnięte, podobnie jak u wcześniejszych ofiar. Nie przewiduję niespodzianek.

– Jego ojciec ma ograniczoną samodzielność ze względu na alzheimera, matka nie żyje, a brat od lat nie utrzymuje kontaktów z rodziną, jego jedyną krewną jest więc inspektor Ruiz de Gauna. Zadzwonię do niej, żeby oficjalnie zidentyfikowała zwłoki.

W tym momencie do sali weszło dwóch pracowników zakładu medycyny sądowej. Ostrożnie umieścili na stole sekcyjnym drugie ciało.

Lekarka westchnęła i podeszła do zwłok. Podążyłem za nią. Z tego, co pamiętam, cały się trząsałem.

– Zobaczmy, co tu mamy – szepnęła i zaczęła zmywać mąkę z twarzy i krótkich włosów ofiary.

Oczyściła czoło, otwarte powieki, nos i usta kobiety.

Na moment straciłem równowagę i musiałem przytrzymać się stołu, na którym leżał Eneko Ruiz de Gauna.

Ostatnią ofiarą mordercy była Martina, dziewczyna mojego brata.

PARK EL PRADO

9 sierpnia, wtorek

Lekarka spojrzała na mnie zdziwiona: usiadłem na stole z nierdzewnej stali. Nawet się nie zorientowałem, że dotykam świeżo umytych, jeszcze wilgotnych zwłok Eneka.

Oszołomiony zeskoczyłem na podłogę; zmoczyłem sobie dżinsy na pupie.

– Dobrze się pan czuje, inspektorze?

– Ta kobieta... to... Martina López de Arroyabe. Dziewczyna mojego brata.

Twarz lekarki zastygła.

– Jest pan w stu procentach pewny?

– Niedawno pokonała raka, może pani sprawdzić: ma paznokcie przyciemnione po chemioterapii, nogi spuchnięte wskutek zatrzymywania płynów i odrastające brwi – wyrecytowałem profesjonalnym tonem, wbijając wzrok w biały kwadratowy kafelek.

Stanowił mój punkt oparcia, w ten sposób powstrzymywałem się przed wymiotowaniem.

Był idealnie wpasowany i nie różnił się niczym od innych.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie są toalety? – wydukałem, kiedy nie mogłem już dłużej wytrzymać.

Ciążył mi żołądek, jakby jego ściany drapał jakiś duży kamień, który sprawiał, że zginałem się wpół.

– Wejdzie pan schodami i skręci w lewo. Chce pan, żebym z panem poszła?

Nie odpowiedziałem; wbiegłem na górę, powstrzymując torsje.

Wszedłem do toalety, pochyliłem się nad sedesem z otwartą deską, ale nie byłem w stanie wymiotować. A tylko tego pragnąłem: wymiotować, a potem zasnąć na sto lat i zapomnieć o tym, że spieprzyłem życie swojemu bratu.

Niewiele zapamiętałem z pobytu w toalecie. Wiem, że osunąłem się na błyszczące płytki, że do policzków uderzyła mi krew, że w środku panował upał. Może to było piekło, a ja byłem diabłem.

Bo czyż nie to właśnie robi szatan?

Krzywdzi wszystkich, których spotka na swojej drodze.

Byłem jak pocałunek śmierci, wszyscy, którzy szli ze mną przez życie, umierali. Moi rodzice, moja żona, moje dzieci, dziewczyna Germana, nawet brat mojej najlepszej przyjaciółki zginął z mojej winy.

Nie słyszałem, kiedy weszła. Wiem, że ktoś rozsunął mi ramiona, którymi obejmowałem kolana, mocno złapał mnie za brodę i zmusił do podniesienia wzroku.

– Unai – szepnęła Alba, pochylając się nade mną. – Chodźmy stąd. Od ponad dwóch godzin siedzisz w damskiej toalecie. Wezwała nas doktor Guevara, twoje krzyki słychać było w całym Pałacu Sprawiedliwości. Dostałeś ataku paniki, na dole czeka karetka, żeby zabrać cię do szpitala.

– Nie chcę jechać do szpitala. Nie muszę – odpowiedziała mechanicznie jakaś część mnie.

– Owszem, musisz. Trzeba podać ci środki uspokajające i ustabilizować twoje parametry życiowe. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej. – Jej głos był łagodny, nadzwyczaj łagodny, jakby przemawiała do dziecka, które niczego nie rozumie.

– Nie chcę środków uspokajających. Muszę... – Powoli wracałem do rzeczywistości. – Muszę zadzwonić. Powinienem powiedzieć o wszystkim bratu, zanim dowie się w inny sposób.

– Unai, w tej chwili nie jesteś w stanie wykonać tego telefonu. Na dole czeka pogotowie. Będę przy tobie, jeśli chcesz. – W jej głosie brzmiała niema prośba, której nie chciałem się podporządkować: „Pozwól się sobą zaopiekować, teraz ja przejmuję dowodzenie”.

– Zgoda, Albo. – Podniosłem się bardziej niezdarnie, niż pozwalała mi na to duma. – Masz rację, chodźmy stąd. Chyba potrzebna mi pomoc.

Wsiedliśmy do jednej z panoramicznych wind, szklanej kosmicznej kapsuły, którą powoli zjechaliśmy z drugiego piętra, obserwowani dyskretnie przez przechodzących korytarzami urzędników.

– Lepiej się pan czuje, inspektorze Ayala? – zapytała, kiedy wysiedliśmy.

Przestała mi mówić na ty: otaczali nas ludzie, Alba znowu stała się podkomisarz Salvatierrą.

Obróciłem się i spojrzałem jej w oczy. Nie pierwszy raz ją okłamywałem i – jak tak dalej pójdzie – nie ostatni.

– Myślę... że potrzebuję czegoś na uspokojenie. Dziękuję, pani podkomisarz, że pofatygowała się pani osobiście. Musi pani wiedzieć, że doceniam ten gest.

– Nie mogę jechać z panem do szpitala, inspektorze. W związku z ostatnimi wydarzeniami komisarz zwołał pilne spotkanie, już od jakiegoś czasu czeka na mnie na komendzie.

Tak naprawdę chciała powiedzieć: „Nie mogę aż tak ryzykować i wsiąść z tobą do karetki”.

– Proszę się nie martwić, myślę, że dotrę o własnych siłach. Dziękuję za pani pomoc tam na górze, w toalecie – powiedziałem i podszedłem do ratowników medycznych, którzy czekali na mnie na grzejącym bezlitośnie słońcu, gotując się w swoich odblaskowych kamizelkach.

Obejrzałem się ukradkiem: Alba nadal patrzyła na mnie przez przeszklone drzwi Pałacu Sprawiedliwości. Odwróciła się jednak, żeby odebrać telefon, i odeszła na bok, by zapewnić sobie odrobinę prywatności.

– Czekacie na inspektora Ayalę? – zapytałem jednego z młodych mężczyzn siedzących w tylnej części karetki.

– Tak, już zszedł?

– Wygląda na to, że czuje się lepiej. Inspektor Ajuria, pracujemy razem. Jeżeli nie zejdzie w ciągu najbliższych dziesięciu minut, możecie wracać.

– W porządku, zaczekamy. – Ratownik wzruszył ramionami.

Nie doszedłem jeszcze w pełni do siebie i trudno mi było utrzymać równowagę, zdołałem jednak wymknąć się z pola widzenia Alby. Przeciąłem ulicę i ruszyłem do parku El Prado.

Mijałem pary z wózkami zmierzające do wesołego miasteczka, dzieci wracające stamtąd z różową watą cukrową, strzelające z procy świecącymi wiatraczkami.

Miałem dosyć całej tej jasności. Mój świat był znacznie mroczniejszy, a za chwilę miałem zgasić połowę świata kogoś innego. Kogoś, na kim bardzo mi zależało. Kogoś, kto był dla mnie wszystkim.

Znalazłem oddaloną ławkę w cieniu i wybrałem numer brata.

– Unai, jak się czujesz? Co z Estíbaliz? – zapytał.

– Gdzie teraz jesteś? Chciałbym, żebyśmy się spotkali... Muszę... Muszę z tobą porozmawiać – zdołałem wydukać.

Ale Germán zbyt dobrze znał wszystkie odcienie moich najczarniejszych dni.

– Unai... Co się dzieje? Co się stało? – zapytał wystraszony.

– Spokojnie, Germanie. Spokojnie – próbowałem go uciszyć; czułem się bezsilny. – Chcę tylko, żebyśmy jak najszybciej się spotkali i porozmawiali w cztery oczy. To nie jest rozmowa na telefon. Gdzie jesteś?

Przenikliwy umysł mojego brata w kilka sekund odczytał prawdę między wierszami.

– Powiedz mi, że to nieprawda, Unai! – zawołał łamiącym się głosem. – Powiedz mi, że to nie są zwłoki Martiny.

Wstałem z ławki. Próbowałem uspokoić go na odległość, choć wiedziałem, że to daremny trud.

– Opanuj się i powiedz mi, gdzie jesteś. Zaraz przyjadę, nie chcę, żebyś był sam.

– Nie! Nie! – wykrzyknął spanikowany. – Powiedz, że to nie ona! Powiedz to, na Boga!

Westchnąłem zrezygnowany.

– Nie chciałem, żebyś dowiedział się w taki sposób. Przykro mi, tak bardzo mi przykro. Ale musisz mi powiedzieć, gdzie jesteś.

Pozwoliłem mu płakać, sam ledwo hamowałem łzy. Zamknąłem oczy, zakryłem dłonią usta. Powstrzymałem się dla niego, dla mojego brata. Musiałem być twardy, na wypadek gdyby się załamał.

Byłem mu to winien – kiedy owdowiałem, zrobił to samo dla mnie.

Wypełnienie wszystkich formalności związanych ze śmiercią Martiny zaprzętnęło moje myśli na kilka kolejnych godzin. Żeby oszczędzić sobie dzwonienia po znajomych, wybrałem numer Nerei – byłem pewien, że za moment ta wiadomość obiegnie nie tylko naszą paczkę, ale i pół Vitorii.

Porozmawiałem z dziadkiem, poprosiłem, żeby zajął się Germanem przez pierwsze dni. Niespełna godzinę później był już w Vitorii, z moim bratem. Nie wiem, jak mu się to udało. Jego zaradność kolejny raz wprowadziła mnie w podziw – też chciałbym taki być.

Też chciałbym taki być.

Potem skontaktowałem się z Albą, udając, że dzwonię ze szpitala. Zapytałem, czy mogę wrócić do domu i odpocząć. Wiedziałem, że się zgodzi, byłem zdołowany i nie miałem siły na rozmowy.

Miałem siłę jedynie na to, żeby dowlec się do domu. Była jedenasta w nocy, Celedón szykował się, by za godzinę znów poszybować do nieba z placu Virgen Blanca, kończąc najgorsze święto Białej Paniienki w całej historii miasta.

KRZYŻ NA GORBEI

10 sierpnia, środa

Nie odprawiono za niego mszy, Eneko nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z Kościołem, przewróciłby się w grobie, gdybyśmy pochowali go na katolickim cmentarzu.

Zgodnie z zaleceniem lekarzy z domu opieki Estíbaliz nie powiedziała ojcu o śmierci jego starszego syna. Ponieważ nie było nikogo innego, kto mógłby o tym zdecydować, postanowiła skremować zwłoki i zanieść prochy pod krzyż na górze Gorbea, jednej z siedzib bogini Mari.

Cudacy, którzy towarzyszyli jej, kiedy wносиła urnę, budzili strach nawet o dwunastej w południe: alternatywni klienci sklepu zielarskiego, palacze trawy, goci i starsze panie z różnokolorowymi włosami ubrane w białe tuniki, recytujące niezrozumiałe modlitwy.

Esti szła na czele wyprawy, eskortowana przez swojego narzeczonego Ikerą. Byli ubrani jak do wspinaczki: obcisłe spodnie, czarne koszulki z lycry, a przy pasach woreczki z magnezją.

Wiedziałem, że wdrapią się na krzyż, chociaż jest to zabronione. Ale w tym momencie byłem jedynym stróżem prawa w okolicy. Estíbaliz rzucała mi wyzwanie: „Aresztujesz mnie? Przeszkodzisz mi w tym?”.

Nie odbierała ode mnie telefonów, odkąd dzień wcześniej uniosła białe prześcieradło u stóp Wędrowca.

O pogańskim pogrzebie dowiedziałem się od Lutxa, który rozmawiał z Ikerem. To on poinformował mnie, że Esti nie chce mnie widzieć. Miałem świadomość, że straciłem najlepszą przyjaciółkę, a być może także partnerkę z policji.

Mimo to przyszedłem. Należę do osób, które stawiają czoło konsekwencjom swoich czynów. Jeżeli mam przy okazji oberwać, to niech oberwę. Tym bardziej kiedy na to zasłużyłem.

Szedłem więc w bezpiecznej odległości za piekielnym orszakiem wspinającym się pod górę.

Stopniowo drzewa się przerzedzały, naszym oczom ukazała się naga skała i dwudziestometrowy żelazny krzyż przypominający wieżę Eiffla, który od stu lat wieńczył szczyt często zdobywany przez wspinaczy z północy półwyspu.

Kiedy podeszliśmy bliżej, wydarzyło się coś tak dziwnego, że musiałem przetrzeć oczy, by upewnić się, że to nie złudzenie.

– To Eneko, to jego aura! – wrzasnęła jedna z leciwych kobiet, zaciągając się skręconym ręcznie papierosem o niewiadomej zawartości. – Jest czerwony! Wszyscy widzicie? Wszyscy widzicie, że krzyż się rusza?

Chociaż brzmiało to niewiarygodnie, krzyżująca czarownica miała rację: krzyż był czerwony i się ruszał, drżał jak obraz w zepsutym telewizorze.

Przełknąłem ślinę i wraz z innymi podszedłem pod czteronożną żelazną wieżę.

Wszystko stało się jasne, kiedy stanąłem wystarczająco blisko: krzyż pokrywały biedronki. Tysiące małych czerwonych owadów poruszały się rozdrażnione upałem. To dlatego wydawało się, że pomnik ożył.

Chmara żyjatek nie zniechęciła Estíbaliz. Włożyła urnę z prochami brata do plecaka i zaczęła się wspinać. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Podszedłem do Iker i poprosiłem go wzrokiem, żeby jej towarzyszył.

Skinął głową i ruszył za nią. Wkrótce oboje stali na ostatnim przęśle, dwadzieścia metrów nad naszymi głowami.

Nie czekając na modlitwy i pieśni, Esti otworzyła urnę i rozsypała prochy; część spadła na biedronki, które rozleciały się na wszystkie strony.

Pomyślałem, że Eneko na pewno doszukałby się w tym wszystkim jakiegoś mistycznego znaczenia albo uznałby to za niezaprzeczalny dowód na transmutację dusz. Tymczasem jedynym empirycznie stwierdzonym faktem było to, że nie ma go z nami i nie może podzielić się z nikim swoją teorią. Zadbaj o to morderca, któremu udało się wywieść mnie w pole.

Schodziliśmy w milczeniu. Esti maszerowała z narzeczonym na czele orszaku, ja trzymałem się z tyłu pogrążony w czarnych myślach.

Nie zauważyłem, kiedy zwolniła, żeby na mnie poczekać. Szliśmy przez buczynę, rozłożyste gałęzie zasłaniały słońce, zapewniając nam odrobinę chłodu. Dzień był upalny, płonęła nie tylko ziemia, ale również moja głowa.

Iker obejrzał się zaniepokojony, ale Estíbaliz wskazała mu brodą, żeby się nie zatrzymywał. Zwolniliśmy kroku, tak by pozostali wyprzedzili nas o kilka metrów. Przystanęliśmy na mieniącej się zielenią polanie.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, Esti. Dalej, wyrzuć to z siebie.

Spojrzała na mnie. Była wściekła, jej wymizerowana twarz świadczyła o nieprzespanej nocy, a włosy wyglądały na bardziej czerwone niż zwykle.

– Jeżeli powiem ci wszystko, co myślę, pewnie już więcej się do mnie nie odezwiesz – wysyczała.

– Powiedz to. Może się okaże, że wreszcie jesteśmy zgodni w tej kwestii...

– To twoja wina! – wybuchnęła, waląc mnie w klatkę piersiową. – Mój brat nie żyje z twojej winy! Ty go w to wpakowałeś, morderca zagrał ci na nosie.

Spróbowałem ją obezwładnić. Estibaliz potrafiła być wredna, walczyła jak dzika kotka. Była o wiele szybsza ode mnie, przypominała wiewiórkę nafaszerowaną kofeiną. Objąłem ją od tyłu i przywarłem do niej ciałem, żeby powstrzymać ciosy.

– Mówisz, że zagrał mi na nosie? – szepnąłem jej do ucha. – O nie, moja droga. On nie tylko zagrał mi na nosie. Zabił dziewczynę Germana, zabił twojego brata... To coś więcej niż makabryczny żart. Wciągnął nas oboje do swojej gry, mamy z nim teraz osobiste porachunki.

– Kraken, jeżeli mnie nie puścisz, zrobię ci krzywdę.

– Wiem.

– Sam tego chciałeś! – Podniosła kolano i zaczęła z całej siły kopać mnie piętą, zdzierając mi skórę z uda i goleni.

Na koniec wbiła mi but w stopę. Puściłem ją, wyjąc z bólu.

– Kurwa, Esti! Zostawisz mi blizny! – wykrzyknąłem, spoglądając na otarcia na nodze.

Odwróciła się, zanim ruszyła w dół zbocza.

– Ty też zostawiłeś mi blizny, Kraken. Też mi je zostawiłeś.

Złapałem ją za nadgarstek, nie pozwalając jej odejść.

W tym momencie zorientowałem się, że nasze wrzaski przyciągnęły wszystkich znajomych Eguzkilore: otoczyli nas i nagrywali komórkami.

– Połamię kości każdemu, kto zrobi nam zdjęcie, rozumiano? – krzyknąłem wkurzony. – Żadnych komórek! Mam powyżej uszu tych wszystkich telefonów!

Rozwścieczony podszedłem do jednego z gotów, żeby wyrwać mu komórkę, ale on cofnął się i podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie gorączkuj się tak, stary. Każdemu zdarza się gorszy dzień. Jeśli o mnie chodzi, możesz być spokojny, nie wrzucę niczego do internetu – powiedział z błogim uśmiechem.

– Dobra, koniec przedstawienia. Moglibyście teraz wszyscy wrócić na parking i pozwolić nam porozmawiać?

Gromadka gapiów zaczęła się rozchodzić.

– Wszystko w porządku, Iker. Zaraz cię dogonię! – zawołała Esti do narzeczonego.

Kiedy zostaliśmy sami, przysunąłem się do niej, żeby przypadkiem nikt nas nie usłyszał.

– Musimy postanowić coś w związku ze sprawą. Przysługuje ci kilka dni wolnego z powodu śmierci brata. Wykorzystasz je?

– Za nic w świecie.

– Powiedz, chcesz dalej to ciągnąć czy masz już dosyć?

– Teraz jeszcze bardziej zależy mi na tym, żeby go złapać. Tobie nie? – zapytała głosem tak pełnym wściekłości, że brzmiał prawie jak nie jej.

– Nawet nie wiesz... nie wyobrażasz sobie... jak bardzo.

– Wobec tego nie ma na co czekać, czas wreszcie przyskrzynieć Tasia.

– Naprawdę myślisz, że to on?

– Na miłość boską, Kraken! Podał ci nazwisko mojego brata, wyszedł z więzienia, a następnego dnia zabił jego i dziewczynę Germana. Widzisz zależność czy mam ci narysować szczegółowy wykres?

Niewykluczone, pomyślałem. Niewykluczone, że powinienem pogodzić się z faktami i przyjąć do wiadomości, że Tasio rzeczywiście jest diabłem, za którego wszyscy go mają.

O pogrzebie Martiny wolę nie mówić. Pewne sprawy... lepiej zachować dla siebie. Są zbyt bolesne, żeby o nich opowiadać.

Pamiętam, że rodzice Martiny, jej koledzy z pracy, przyjaciele, dziennikarze, gapie i przedstawiciele władz miasta opuścili już cmentarz, a Germán nadal stał przed kwadratową gładką płytą. Wygrawerowanie i zamontowanie zamówionej przeze mnie tablicy z napisem „Zawsze będziemy cię pamiętać”, nazwiskiem, zdjęciem oraz datami – narodzin i śmierci – zajmie kilka tygodni.

Dziadek i ja trwaliśmy u jego boku, staliśmy w upalnym słońcu, nie ruszając się z miejsca. Po osłoniętym beretem czole dziadka spływały grube krople potu, moja czarna koszula, kupiona przed laty na inny pogrzeb, kleiła mi się do pleców.

– Teraz wszyscy trzej jesteśmy wdowcami – powiedział dziadek dwie

godziny później; staliśmy wciąż w tym samym miejscu.

– Może jesteśmy przekłęci – stwierdziłem.

– Nie opowiadaj bzdur, to tylko życie. Niezły z niego drań – odparł Germán.

– Pozostaje nam tylko nadal udowadniać, że na nie zasługiwaliśmy – dodał dziadek.

To bardzo trudne, pomyślałem. Jestem złym facetem, który nie zasłużył na rodzinę.

– Chodźcie, dzieci. Pora wracać i coś zjeść. Wyglądacie jak dwa duchy. Pojedziemy na obiad do Unaia. Przywiozłem *txitxikis*^[13] ze sklepu mięsnego Paca.

Wiem, że Germana pokrzepiła już sama wzmianka o jego ulubionym daniu. Nie powinien siedzieć sam w mieszkaniu, gdzie wszystko przypominało mu Martinę, a przy nas mógł się wypłakać. W ciągu swoich dziewięćdziesięciu czterech lat życia dziadek setki razy uczestniczył w pogrzebach i przeżywał żałobę; dobrze było podporządkować się jego racjonalnym decyzjom logistycznym i na kilka godzin poczuć się dzieckiem.

Jeśli mam być szczery (a przysięgam, że staram się być), muszę wyznać, że za sprawą śmierci Martiny odzyskałem nieco wiarę w gatunek ludzki. Wszyscy wokół okazywali mi solidarność, zadzwonił do mnie każdy, czyj numer figurował na mojej liście kontaktów.

Każdy.

Ludzie pytali o mnie i mojego brata, próbowali dodać mi otuchy. Z przerażeniem odkryłem, że ból także łączy, być może bardziej niż radość, o której – jak przystało na niewdzięczników – szybko zapominamy.

Jeden telefon szczególnie mnie poruszył: od Maria Santosa, dziennikarza z „El Correo Vitoriano”. Do tej pory zachowywaliśmy ostrożny dystans, nasze relacje sprowadzały się do symbiozy: on dostawał informacje do swojej gazety, ja zaś miałem pewność, że dzięki jego wyważonemu stylowi nasze posunięcia nie zostaną niewłaściwie zinterpretowane. Tego dnia było jednak inaczej.

– Czy to odpowiedni moment na rozmowę, inspektorze? – zapytał, kiedy odebrałem.

– Równie odpowiedni i równie nieodpowiedni jak każdy inny. Potrzebujesz czegoś ode mnie?

– Tak naprawdę nie dzwonię dziś do ciebie jako dziennikarz, Unai. –

Pierwszy raz zwrócił się do mnie po imieniu. – Wydanie jest już zamknięte, artykuł napisany i wysłany. Chciałem złożyć ci kondolencje z powodu tego, co spotkało dziewczynę twojego brata.

– To... – wydukałem zaskoczony – to bardzo miłe z twojej strony, Mario. Wierz mi.

– Nie wyobrażam sobie, przez co teraz przechodzisz. Nikt nie jest przygotowany na śmierć tak młodej osoby. Nie wiem, jak rodziny są w stanie dalej żyć, naprawdę nie wiem – wyszeptał zachrypniętym ze wzruszenia głosem.

– Los sobie z nas zadrwił. Wszyscy poniekąd sądziliśmy, że jesteśmy przygotowani na odejście Martiny. Miała złośliwego raka, walczyła jak lwica, ale chwilami... Nie wiem, czy miałeś kiedykolwiek do czynienia z tą chorobą. Czasami było ciężko, myśleliśmy, że zostało jej kilka tygodni, ale zawsze dochodziła do siebie, chociaż na pozór nie miała już siły walczyć. Dochodziła do siebie. Dlatego to prawdziwa ironia losu, że zamordowano ją akurat teraz, kiedy wreszcie z tego wyszła.

– To zbyt okrutne, żeby mogło być prawdziwe, Unai. Wierzę w ciebie, przyjacielu, mam nadzieję, że wreszcie go złapiecie i położycie kres tym tragediom.

Też mam taką nadzieję, przyjacielu, pomyślałem.

SALBURUA

11 sierpnia, czwartek

Z samego rana podkomisarz wezwała nas do swojego gabinetu. Była bardzo poważna. Złożyła nam kondolencje i poprosiła, żebyśmy zeszli z nią na parking. Otworzyła drzwi nieoznakowanego samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytała ze zdziwieniem Estíbaliz, siadając na tylnym fotelu.

– Do parku Salburua. Musimy się trochę przewietrzyć, chyba zgodzą się państwo, że w biurze panuje straszny zaduch.

To nie był dobry znak. Sprawa musiała być poważna, skoro Alba nie chciała, żeby koledzy z komendy zobaczyli nasze miny, kiedy będziemy opuszczać jej gabinet.

Siedząc na miejscu obok kierowcy, starałem się przygotować na to, co mnie czeka, nie byłem jednak w stanie odgadnąć, o co może chodzić.

Wkrótce dotarliśmy nad mokradła w parku Salburua. Muszę przyznać, że wszechobecna zieleń podziałała na mnie orzeźwiająco, ta wycieczka to był dobry pomysł. Przez chwilę szliśmy w milczeniu pustą ścieżką. Wreszcie Alba skręciła w boczną dróżkę.

– Ostatnie wydarzenia zmusiły mnie do spotkania się z państwem w tym miejscu – zaczęła. – Nie będę ukrywać, że kolejne zbrodnie wywołały panikę na komendzie i sprawiły, że góra wywiera na nas coraz większą presję. Proszę nie myśleć, że jestem niewrażliwa na tragedię, jaka państwa spotkała, po prostu wolę od razu przejść do niepokojącej mnie kwestii, bo zaraz po powrocie na komendę muszę udzielić odpowiedzi komisarzowi.

– Proszę mówić – powiedziała Estíbaliz.

– Po pierwsze, pani inspektor, chciałam podziękować, że wróciła pani do pracy, nie wykorzystawszy przysługującego jej urlopu. Moje pytanie brzmi: czują się państwo na siłach, żeby kontynuować śledztwo? Szefostwo ma poważne wątpliwości, czy będą państwo w stanie dalej zajmować się tą sprawą. Oboje bardzo przeżyliście śmierć bliskich. Zarówno opinia publiczna,

jak i sędzia Olano wezmą pod lupę każdy państwa krok.

– A co pani o tym myśli, pani podkomisarz? – zapytałem, patrząc jej prosto w oczy. – Jest pani naszą bezpośrednią przełożoną, chciałbym poznać pani zdanie.

– Szczerze, Unai? – Zdziwiło mnie, że zrezygnowała z oficjalnego tonu przy Estíbaliz.

– Będę wdzięczny.

– Myślę, że niczego nie macie. Od samego początku wykluczyłeś głównych podejrzanych, czyli bliźniaków, za to osoba, którą aż do przedwczoraj podejrzewałeś, stała się jedną z ofiar mordercy. Trudno o większą pomyłkę.

– Dostałem nauczkę – próbowałem się tłumaczyć. – Raz jeszcze przeanalizuję wszystko, co do tej pory ustaliliśmy.

– Może przydałaby się świeża para oczu, może nie jesteście w stanie już niczego więcej zobaczyć. To bardzo skomplikowana sprawa. Niby bezbłędnie prowadzicie śledztwo, tyle że nie przynosi ono widocznych rezultatów. Wybaczcie mi szczerą, ale musieliście coś nieźle sknocić, skoro wczoraj oboje byliście na pogrzebach.

– Nie rozumiesz, że o to właśnie mu chodziło? Żebyś odsunęła nas od sprawy – odpowiedziałem, hamując się, żeby nie podnieść głosu. – Dlatego zamienił to w osobiste porachunki.

– I o czym to świadczy?

– Że morderca nas śledzi i że postanowił odsunąć nas od dochodzenia właśnie teraz, dlatego zadał ten śmiertelny cios. A to oznacza, że byliśmy blisko, wie, że coś odkryliśmy i że możemy go upolować.

– Bardzo bym chciała, żeby to była prawda, bardzo bym chciała panu wierzyć. – Wróciła do urzędowego tonu. – Tym razem morderca wybrał ulicę Dato w dzielnicy Ensanche, a więc jesteście już w dziewiętnastym wieku. Nie sposób przewidzieć, gdzie umieści kolejne zwłoki, ma do dyspozycji dosłownie całą Vitorię, i to właśnie najbardziej niepokoi komisarza Medinę. Zróbmy tak: postaram się dla państwa o jeszcze jeden tydzień. Jeżeli nie zrobicie żadnych postępów, będę zmuszona odebrać wam tę sprawę.

Alba wysadziła nas na parkingu komendy. Oboje byliśmy przybici, nie mieliśmy ochoty na rozmowę.

– Musimy jeszcze raz przejrzeć wszystkie zeznania i przesłuchać świadków, których pominęliśmy z braku czasu – powiedziała Esti, kiedy

zostaliśmy sami.

– Zgoda, ale będę też dalej grzebał w przeszłości bliźniaków. Na pewno mamy rozwiązanie pod nosem, po prostu coś nam umknęło.

– Co teraz zamierzasz? – zapytała.

– Wrócę na cmentarz Świętej Elżbiety. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

Zgodziła się i wkrótce znaleźliśmy się w cichym mieście umarłych.

– Czego konkretnie szukasz?

– Jedyne żywego mieszkańca tego miejsca. Tędy, powiedział mi, że ma schowek na narzędzia przy południowej ścianie.

Czuliśmy się nieswojo, lawirując między grobami. Może nie powinniśmy byli zaczynać od cmentarza: oboje mieliśmy jeszcze świeżo w pamięci pogrzebowe rytuały. Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że to ostatnie miejsce, w którym chciałbym teraz być.

Wtedy go zobaczyłem, stał na drabinie i podcinał niesforne gałęzie dużego cyprysa.

– No proszę, znowu pan! Widzę, że spodobało się panu na cmentarzu.

– Mógłby pan na chwilę zejść? Ostatnim razem się nie przedstawiłem. Inspektor Ayala, a to inspektor Gauna. Chciałbym dokończyć rozmowę, którą zaczęliśmy kilka dni temu.

Mężczyzna przez moment mierzył mnie wzrokiem. Poprawił beret i odpowiedział pokornym tonem:

– Naturalnie, już do państwa schodzę.

Podszedł, przywitał się uprzejmie z Estíbaliz, po czym spojrzał na mnie wyczekująco.

– Zaczął mi pan opowiadać, że był pan świadkiem zajścia z udziałem bliźniaków Ortiz de Zárate w dniu pogrzebu ich matki. Mógłby pan nam dokładnie opisać, co się wydarzyło?

– Oczywiście. Takich rzeczy się nie zapomina, chociaż doszło do nich dawno temu.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, o ile się nie mylę – podpowiedziałem.

– No właśnie, bardzo dawno. Na pogrzeb wielkiej pani przyszło dużo ludzi, ważne osobistości i dziennikarze, podobnie jak to było tydzień temu. Potem wszyscy się rozeszli, zostali tylko jej synowie ze swoimi dziewczynami, chyba

to były ich dziewczyny, bo trzymali się za ręce. Synowie byli identyczni, obaj ubrani w garnitury, z czarnymi opaskami na ramieniu. Nie potrafiłbym ich odróżnić.

– I co takiego się stało, że zapamiętał pan ten dzień?

– Oczywiście, że zapamiętałem, jakbym mógł nie zapamiętać? Chwilę później zjawiał się jakiś dzieciak, chłopak w ich wieku, nie miał jeszcze dwudziestu lat. Był ubrany tak, jakby wybierał się na wiejską potańcówkę, w dzinsy i białą koszulkę. Gruby rudzielec z poczochranymi włosami, wyglądał jak żebrak. Nie wiem, co im powiedział, ale na pewno nie zasłużył sobie na to, co mu zrobili.

– A co mu zrobili? – zapytała Estíbaliz.

– Stłukli go, tu, na cmentarzu, przed grobowcem Unzuetów, na oczach anioła. Podejźmy tam, wtedy państwo zrozumieją. – Wskazał kierunek piłką do cięcia gałęzi, którą wciąż trzymał w swojej jedynej dłoni.

Poszliśmy za nim pomiędzy ukwieconymi nagrobkami i stanęliśmy na wprost złowrogiego anioła. Poczujęm się nieswojo: odszedłem na bok, pociągając za sobą Esti.

– Widzi pani ten grób naprzeciwko? W tamtym czasie stał pusty. Dawniej była tu zbiorowa mogiła na sześć trumien, ale miasto kazało mi ją opróżnić, bo upłynął czas jej użytkowania. Stałem schylony za tamtym nagrobkiem i wszystko widziałem. Zastanawiałem się, czy nie pobiec zawiadomić policji.

– Powinien był pan to zrobić – szepnęła Estíbaliz.

– Nie chciałem zostawiać tego chłopaka, bałem się, że go zabiją. Wymierzili mu kilka ciosów. Kiedy upadł na ziemię, jeden z bliźniaków zaczął go kopać, a drugi go podjudzał. Nie wiem, co między nimi zaszło, w każdym razie kiedy tamten przestał się ruszać, nasypali mu ziemi do ust i wrzucili go do pustego grobu. Krzyknęli coś w rodzaju: „Nie pokazuj się więcej w Vitorii, pieprzony wsioku”, chociaż on pewnie tego nie słyszał.

– Twierdzi pan, że bliźniacy zabili tutaj jakiegoś chłopaka?

– Nie, nie zabili, zostawili go półżywego. Stali nad nim przez dłuższą chwilę, kłóćąc się między sobą, po czym odeszli.

– Wezwał pan kogoś? Policję, pogotowie? Czy gdzieś można znaleźć informację o całym zajściu? – dopytywała się Estíbaliz.

– A gdzież tam, dobra kobieto – powiedział ze smutnym uśmiechem. –

Kiedy młodzi odeszli, pobiegłem sprawdzić, czy chłopak żyje. Leżał skatowany, z ustami pełnymi ziemi i zmasakrowaną twarzą. Patrzył na mnie

tak... jakby się spodziewał, że ja też go pobiję, jakby nie oczekiwał od nikogo niczego innego. Nie wyobrażam sobie, co przeżył tam w dole, niemal się udusił obserwowany bacznie przez anioła Unzuetów. Wygarnąłem mu ziemię, chociaż jedną ręką było mi trudno. Przyniosłem wody z węża i wypłukałem mu usta z błota i krwi, aż wreszcie zaczął normalnie oddychać. Chciałem wezwać karetkę, ale mi nie pozwolił. Wpadł w szal, powiedział, że nikt nie może się o niczym dowiedzieć, że to mu tylko zaszkodzi.

– Zostawił go pan tam? – zapytałem.

– Ależ skąd, zaproponowałem, żeby przenocował w mojej budce. Czułem, że nie ma dokąd pójść. Zgodził się, ukrywał się tu kilka dni. Codziennie przynosiłem mu jedzenie, zupę czosnkową i ziemniaki z chorizo, żeby nabrał sił. Wierzcie mi, był bardzo kulturalny, trochę gapowaty, ale nie przysparzał mi żadnych problemów.

– Mógłby nam pan podać jego imię, powiedzieć, jak nazywał się ten chłopak?

– Nie było sposobu, żeby to z niego wyciągnąć. Za każdym razem odpowiadał: „Proszę nie pytać, błagam”. Moim zdaniem bał się, że bliźniacy wrócą na cmentarz, żeby sprawdzić, co się z nim stało, i zmuszą mnie, żebym im wszystko wyśpiewał.

– Pamięta pan jeszcze jakiś szczegół, który pomógłby nam go odnaleźć?

– Cały czas powtarzał, że został wygnany, że tak się czuje. Mówił różne dziwne rzeczy, których nie rozumiałem, ale nie chciał mi nic wyjaśnić. Że wygnała go własna rodzina, że szukał jej przez całe życie, a teraz oni wypędzają go z Vitorii. Najdziwniejsze było to, że... Coś państwu powiem: zawsze wydawało mi się, że to nie obite ciało przysparzało mu największych cierpień. Nie skarżył się, że bołą go plecy czy twarz. Najbardziej dręczyło go to, co powiedzieli mu ci synkowie tatusia.

– Mógłby pan opisać ich dziewczyny? – przerwała Estíbaliz, jak zwykle konkretna.

– Jedna z nich z daleka przyciągała wzrok. Pulchniutka blondynka z długimi prostymi włosami, babka jak się patrzy. Omal nie dostałem zawału na jej widok, nie zwróciłem uwagi na tę drugą.

– Wie pan, co zamierzał chłopak? Dokąd się udał po opuszczeniu pana budki?

– Mówił, że pojedzie do Pampeluny, że już nigdy nie wróci do Vitorii. Któregoś ranka poszedł na dworzec autobusowy przy ulicy Francia. Pamiętają go państwo, ten ładny budynek, który potem wyburzono? Po powrocie ukrył

bilet w komórce, no i... Co tu dużo gadać, człowiek się nudzi, a zmarli nie są najlepszym towarzystwem, pomyszkowałem więc trochę i zobaczyłem, że to bilet do jakiejś wsi... Nie pamiętam już nazwy, ale to był autobus La Burundesa, firmy, która obsługuje trasę do Amurrio. Okłamał mnie, pewnie bał się, że tamci wrócą i zaczną o niego wypytywać. Udałem więc głupiego i kiedy odchodził, życzyłem mu dużo szczęścia w Pampelunie.

Estíbaliz pokazała mu na komórce mapę północno-wschodniej części Álavy.

Ogrodnik wyjął z kieszeni kombinezonu okulary do czytania i pochylił się nad wyświetlaczem.

– Mógłby pan spróbować sobie przypomnieć? Apodacta, Letona, Murguía, Lezama...? – próbowała go naprowadzić.

Staruszek zmarszczył czoło i w skupieniu spoglądał na mapę. Wreszcie wycelował w ekran grubym palcem.

– Izarra! Oczywiście, chłopak kupił bilet do Izarry – oznajmił triumfalnie.

Spojrzałem na Estíbaliz. Lepiej niż ja znała tę okolicę. Izarra to małe miasteczko liczące najwyżej pięciuset mieszkańców, a tamtejszy komisariat podlega komendzie w Vitorii, jednak nie sposób będzie zidentyfikować tego człowieka, nie mając żadnego nazwiska.

Pożegnaliśmy się z ogrodnikiem i w pośpiechu opuściliśmy cmentarz – nie mieliśmy ochoty przebywać dłużej w otoczeniu kamieni i grobów.

– I co teraz? – zapytała Esti. – Niewiele da się wyłuskać z tego zeznania.

– Ignacio raczej nie przyzna, że dwadzieścia siedem lat temu omal nie zabił jakiegoś nieznanego chłopaka, tym bardziej że nikt tego nie zgłosił. Zresztą na pewno nie pozwoliliby mu na to jego adwokat. Ale spróbuję wyciągnąć coś od jego byłej dziewczyny. Odkąd Ignacio popadł w niełaskę, wydaje się bardziej skłonna do opowiadania o swoich nieszczęściach. Zadzwońię do niej, może jeszcze dziś uda mi się z nią spotkać. Spróbuję też skontaktować się z Tasiem, co prawda wraca do więzienia dopiero za dwa dni, ale szefowa nie dała nam dużo czasu. Zresztą... niepokoi mnie jedna sprawa. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale od wyjścia na przepustkę nie aktualizuje profilu na Twitterze ani nie wysyła mi wiadomości.

– Nic dziwnego, zważywszy na to, co się na niego zważyło. Na portalach społecznościowych wszyscy twierdzą, że jest winny, wreszcie panuje zgodność w tej kwestii.

– Nie pierwszy raz. Po wcześniejszych zbrodniach też wszyscy się na nim wyżywali, a mimo to codziennie publikował po kilka tweetów. – Wzruszyłem

ramionami.

– Wiadomo tylko, że po wyjściu z więzienia zamknął się w swoim mieszkaniu przy Dato. Jeśli mam być szczerą, gdybym to ja wyszła na pięciodniową przepustkę pierwszy raz po dwudziestu latach, miałabym w dupie Twittera i inne portale społecznościowe. Zająłabym się życiem.

Zająć się życiem: wszyscy tego chcemy i nigdy tego nie robimy, pomyślałem. Ale nie powiedziałem tego na głos, nie miałem prawa uczyć nikogo, jak powinien żyć.

Mnie za to portale społecznościowe dały trochę wytchnienia. Z całego świata przysyłało mi kondolencje z powodu śmierci Martiny. Ludzie zwracali się do mnie za pośrednictwem hasztagu #Kraken, jak do obsługi klienta działającej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale przynajmniej przestali nazywać mnie nieudacznikiem, choć wciąż naciskali, żebyśmy zatrzymali Tasia, zanim popełni kolejne morderstwa.

Wyjąłem komórkę i wysłałem na adres Fromjail krótki e-mail: „Tasio, chcę się z tobą zobaczyć”. Wiedziałem, że MatuSalem na pewno monitoruje skrzynkę i przekaże moją wiadomość Tasiowi, który spędził ostatnie dwadzieścia lat za kratkami i nie wiedział, co to znaczy nie rozstawać się z komórką z dostępem do internetu.

Chwilę później przyszła odpowiedź od MatuSalema:

Boję się, Kraken. Tasio nie skontaktował się ze mną, odkąd wyszedł z więzienia. Nie tak się umawialiśmy. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, żebyś mi uwierzył, ale Tasiowi przydarzyło się coś złego.

TUNEL CHOCHLIKA

11 sierpnia, czwartek

Miałem właśnie zadzwonić do Alby, ale mnie uprzedziła.

– Unai, chciałabym z tobą porozmawiać. Prywatnie.

– Ja też mam pani coś do powiedzenia, pani podkomisarz – odparłem, nie wiedząc, czy rozmawiam z nią jako kochanek, czy jako inspektor. – Gdzie?

– Lepiej, żeby nie widziano, jak wchodzę do twojej kamienicy. Znasz jakieś publiczne miejsce, gdzie o tej porze nie ma zbyt wielu ludzi?

– Tunel Chochlika – odpowiedziałem natychmiast. – Ludzie starają się go unikać, tam najczęściej dochodzi do kradzieży i napaści na kobiety. To jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w mieście, ale dla nas będzie bezpieczne.

– Gdzie to dokładnie jest?

– To przejście podziemne pod torami, na końcu ulicy Rioja. Z drugiej strony wychodzi na Paseo de la Universidad, na pewno trafisz.

– Wobec tego widzimy się za dwadzieścia minut. – Przerwała połączenie.

Wkrótce potem spotkaliśmy się w ciemnym Tunelu Chochlika. Na wszelki wypadek zszedłem schodami od strony ulicy Ferrocarril. Alba już na mnie czekała, oglądała graffiti przedstawiające dziewczynę o niebieskich oczach i zielonych włosach puszczającą bańki mydlane.

Pokonałem kilkumetrowy mroczny tunel i wyszedłem z drugiej strony. W sierpniowy poranek nie było tu żywego ducha, na pokrytej rozgrzanym asfaltem ulicy Rioja panowała martwa cisza.

– Co się dzieje? Ty pierwsza – powiedziałem na powitanie, próbując przełamać lody.

– W kółko myślę o tym, co wydarzyło się w dniu procesji lampionów – szepnęła, nie odrywając wzroku od graffiti. – Myślisz, że ktoś widział nas na twoim dachu?

– Też się nad tym zastanawiałem. – Westchnąłem. – O tej porze było już ciemno, tłum na placu patrzył na lampiony. Ale może morderca chciał

zobaczyć reakcję ludzi, był w pobliżu zwłok i przypadkiem nas zobaczył. Nie da się tego wykluczyć. Myślałem, że to Eguzkilore. Wiedział od siostry, gdzie mieszkam, kręcił się w okolicy, kiedy podniesiono prześcieradło – był jedną z osób, które sfotografowały ciała. Ale, jak wiesz, nie miałem racji. Dostałem bolesną nauczkę, że nagromadzenie przypadków niekoniecznie musi prowadzić do prawdy.

– Dlaczego nagle atakuje ludzi z twojego otoczenia? Nie daje mi to spokoju. Co takiego zrobiłeś, że zwrócił się przeciwko tobie? Co się zmieniło? – dopytywała się. – Jesteś specjalistą od profilowania. Powiedziałeś, że morderca uprzedmiotawia ofiary, że dla niego to tylko obiekty spełniające wymóg wieku i nazwiska, ale tym razem chciał wyrządzić nam krzywdę, dużą krzywdę.

I udało mu się, Albo. Nie masz pojęcia, jak wstrząsnęło mną to, co zrobił Martinie. Nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

– Mówiłem ci już – odpowiedziałem tonem profesjonalisty. – Nieświadomie trafiliśmy w jego czułą strunę. Coś odkryliśmy, wiedział, że jeśli pójdziemy dalej tym tropem, zdołamy do niego dotrzeć. Najprostszym sposobem na pozbycie się nas było uderzenie w naszych bliskich. Chciał, żebyś odsunęła nas od tej sprawy.

– Nie, to wcale nie był najprostszy sposób na pozbycie się ciebie. Dlatego zadzwoniłam.

– O czym ty mówisz? – Oparłem się o ścianę i rozejrzałem na boki.

– Unai... jestem przerażona – powiedziała powoli, nie patrząc mi w oczy. – Chcę cię ratować. Kiedy kończysz czterdzieści lat?

A więc o to jej chodziło.

– Skoro mnie o to pytasz, to znaczy, że wiesz – rzuciłem poirytowany.

– Jutro, w dzień Perseidów, prawda? Dlatego mnie zaprosiłeś, chciałeś, żebym spędziła z tobą urodziny?

– Wiem, że nie możesz przyjść, wystarczyła mi jedna odmowa.

– Nie zmieniaj tematu. Chcę cię chronić. Nie boisz się, że tym razem morderca przyjdzie po ciebie?

– Och, nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał, żeby po mnie przyszedł! – palnąłem bez zastanowienia. Nakręcałem się, chociaż nie powinienem, tym bardziej w miejscu publicznym; nieważne, że było wyludnione. – Przynajmniej odkryłbym, kto to taki.

– I może byłąby to ostatnia rzecz, jaką byś zrobił. Jutro masz urodziny,

trafisz na listę skazańców.

– To co mam twoim zdaniem zrobić? Wyemigrować? Ukryć się pod kamieniem? Sama to powiedziałaś: jeżeli morderca podjął taką decyzję, znajdzie sposób, żeby dopaść swoją ofiarę. Tym bardziej ten morderca. Jestem na to przygotowany. Będę udawał, że nie czuję się urażony twoim brakiem zaufania.

Spojrzała na mnie z wściekłością, rozgniewana.

– Nie rozumiem, jak działa twoja głowa. Każdemu innemu mężczyźnie byłoby przyjemnie, że się o niego martwię, a ty postanowiłaś poczuć się urażony.

– Będzie mi przyjemnie, jeśli zostawisz swojego męża i wybierzesz mnie!
– wybuchnąłem; nie mogłem się pohamować. – Nie chcę być twoją letnią przygodą.

– Myślisz, że ryzykowałabym utratę pracy i narażała swoją reputację dla żalosnej letniej przygody?

– Żalosnej? Żalosnej, mówisz? To chyba nie z tobą spędziłem te ostatnie dni, bo dla mnie to nie było bynajmniej żalosne.

– Tak tylko mi się powiedziało. Nie sposób z tobą rozmawiać, kiedy się nakręcasz, Kraken. Przysięgam, że ci nie wybaczę, jeżeli zginiesz – powiedziała, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

Wszedłem pobiegać, nie obchodziło mnie, że jest bardzo gorąco i mogę się odwodnić. Musiałem się rozluźnić, na chwilę przestać myśleć. Nie chciałem kompletnie oszaleć.

Oszaleć z poczucia winy, że zginęła Martina.

Oszaleć z zazdrości o pana X, niewidzialnego męża Alby.

Oszaleć z bezsilności w obliczu zagadki, która z każdą kolejną zbrodnią coraz bardziej się gmatwała.

Morderca przemawiał do mnie językiem bardziej skomplikowanym niż ten, którym ja się posługiwałem, nie rozumiałem go, jakbym należał do jakiegoś gorszego gatunku, był na niższym etapie ewolucji i nie dorównywał mi poziomem inteligencji.

Czułem się jak idiota.

Brakowało mi elementów układanki.

Brakowało mi danych.

Kiedy się uspokoiłem – po półgodzinie biegania interwałowego, które

wyssało ze mnie siły – zadzwoniłem do Aitany, dermatolożki, dawnej dziewczyny Ignacia. Zdziwiła się, że znowu chcę ją zobaczyć, ale zgodziła się na spotkanie w parku Zabalgana.

Wziąłem prysznic i przebrałem się za poważnego inspektora.

Jak zwykle paliła, tym razem jednak przyszała bez wózka. Zbyt obcisła czarna sukienka opinała jej pokaźny brzuch.

– Co u pani słyhać, Aitano?

– Cieszę się, że panu o wszystkim opowiedziałam. Pierwszy raz czuję się silna, nie obwiniam się już o to, co mi zrobili.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Ale... obawiam się, że jeszcze raz muszę zakłócić pani spokój.

– Oczywiście. O co chodzi? – spytała zaciekawiona, zapalając kolejnego papierosa.

– Mamy świadków, którzy widzieli panią w towarzystwie bliźniaków na pogrzebie ich matki, doñi Blanki Díaz de Antoñany.

Jej twarz stężała. Nie odpowiedziała, szła, patrząc przed siebie.

– Tego dnia, kiedy wszyscy opuścili już cmentarz i przed grobowcem Unzuetów została tylko wasza czwórka, bliźniacy pobili jakiegoś chłopaka. Była pani przy tym, słyszała pani ich rozmowę. Proszę mi powiedzieć: dlaczego to zrobili? Dlaczego go skatowali i zepchnęli do zbiorowej mogiły?

– Ja nic o tym nie wiem, panie inspektorze – powiedziała cicho, po czym wyrzuciła papierosa na ziemię i zgmiotła go butem.

– Nie zostaniesz oskarżona o współudział, jeżeli tego właśnie się obawiasz. Chłopak nie zgłosił pobicia, minęło dwadzieścia siedem lat i sprawa uległa przedawnieniu – zapewniłem, przechodząc na „ty”.

– Powtarzam, że nic nie wiem.

Zaszedłem jej drogę.

– Aitano, wiem, kiedy kłamiesz. Masz taki tik, gasisz niewypalonego papierosa i zapalasz kolejnego. Robiłaś to już kilka razy podczas naszego pierwszego spotkania, pamiętasz? Kiedy wyrażałaś się o Ignaciu w samych superlatywach.

– Możliwe, ale nie chcę o tym mówić. Mam prawo o tym nie mówić.

– Nie, nie masz, jeżeli utrudniasz śledztwo. A jeśli ci obiecuję, że to, co powiesz, nie znajdzie się w żadnym raporcie? Że nigdzie nie pojawi się twoje nazwisko? Że będzie tak, jakby to spotkanie się nie odbyło? Może nie

wyraziłem się jasno: to jedyny trop, jaki mamy. Przecież ty też chcesz, żeby to się skończyło, niezależnie od tego, czy mordercą jest Tasio, Ignacio, czy ktokolwiek inny. Od ponad dwudziestu lat milczysz z powodu tego, co ci zrobili, nie sądzisz, że najwyższy czas poczuć się do odpowiedzialności i podjąć ryzyko? Być może dzięki temu przestaną być bezkarni. Czyż nie z tym nie mogłaś się pogodzić, nie to zrujnowało ci życie?

Aitana zamknęła oczy, zrozumiałem, że się poddaje.

– Straszny upał. – Powachlowała się dłonią. – Usiądźmy na jakiejś ławce, jestem bardzo zmęczona. Przez pana urodzę przed terminem.

– Bardzo bym tego nie chciała, naprawdę.

Poprowadziłem ją do najbliższej ławki ukrytej pod rzucającym cień drzewem. Czekałem cierpliwie, wiedziałem, że już podjęła decyzję, że odtwarza wspomnienia, które być może latami uparcie od siebie odsuwała.

– Nie wiem, dlaczego pyta mnie pan o tamtą sprawę, to wszystko było bardzo dziwne, niemal surrealistyczne. Po pogrzebie podszedł do nas chłopak w naszym wieku. Brudny, w ciuchach z bazaru, myśleliśmy, że to jakiś żebrak. Biedak faktycznie był w opłakanym stanie. Zwrócił się do Tasia, powiedział, że musi z nimi porozmawiać, że on też jest synem ich matki. Ponoć pani Blanca wyjawiała mu, że jest owocem jej związku z innym mężczyzną. Tasio i Ignacio rzucili się na niego, żeby zamknąć mu usta, nie pozwolili, żeby obrażał ich matkę nad jej własnym grobem, zawsze byli dumni, że są synami swojego ojca, a także potomkami Unzuety, handlarza niewolników.

– I tak po prostu go pobili?

– Pan nie rozumie, to było zwyczajnie śmieszne. Nie tylko powiedział, że jest ich bratem, upierał się, że są trojaczkami. Proszę sobie wyobrazić: z jednej strony Tasio i Ignacio, tacy szczupli i eleganccy, z drugiej ten chłopak, otyły, z włosami koloru marchewki i okrągłą twarzą, który twierdzi, że są trojaczkami. Chyba nie mógł im bardziej ubliżyć. Zdeptał ich największą świętość, poruszył zakazany temat. Byli jednojajowymi bliźniakami, zawsze czuli się wybrani, inni. A tu zjawia się ten obdartus i oznajmia, że jest jednym z nich. To nie trzymało się kupy, było oczywiste, że to jakiś kiepski oszust, padlinożerca, który przyszedł po spadek. Cała ta historia była naciągana, zniewagę stanowił już sam fakt, że chciał, by w nią uwierzyli. Zresztą wykazał się brakiem taktu, przychodząc w takim momencie, tuż po pogrzebie matki, którą obaj uwielbiali. Proszę nie myśleć, że ich usprawiedliwiam. Zdziwiło mnie wręcz, że potrafią być tak brutalni. Odkąd się znamy, nigdy nie wdawali się w bójki, potrafili ich zręcznie unikać. Jak mówię: myślę, że po prostu ten

chłopak w niewłaściwym momencie uderzył w zakazaną strunę.

– Potrzebuję konkretów. Muszę go odnaleźć, możesz podać mi jakieś szczegóły, które pomogą mi go zidentyfikować?

– Przedstawił się jako Venancio, ale nie podał swojego nazwiska. Bliźniacy wyśmiali jego imię, w Vitorii nie nosił go wtedy żaden osiemnastolatek. Ja się nie odzywałam, mój dziadek nazywa się Venancio, dlatego zapamiętałam. Niczego więcej nie wiem, poza tym, że wyglądał na naszego rówieśnika, czyli musiał się urodzić jakoś w siedemdziesiątym pierwszym, jak bliźniacy. Nie wiem, czy to wystarczy, żeby go zidentyfikować.

Wreszcie miałem imię i datę, punkt zaczepienia, od którego mogłem zacząć poszukiwania.

No dobra, pomyślałem. Mam nad czym pracować.

Tak, mam nad czym pracować.

DROGA TRZECH KRZYŻY

12 sierpnia, piątek

Wszystkie moje nadzieje wyparowały, kiedy zamknęliśmy się z Esti w jej gabinecie, by poszukać tajemniczego Venancia.

Sprawdziliśmy księgę stanu cywilnego i policyjną bazę danych, ale natrafiliśmy tylko na niejakiego Venancia Martíneza urodzonego w Izarze w 1972 roku, który zginął w wypadku samochodowym w wieku dwunastu lat.

Rozszerzyliśmy poszukiwania na całą Álavę – również bez rezultatu.

– Może rudowłosey duch podał bliźniakom pierwsze imię, jakie przyszło mu do głowy – powiedziała Estibaliz zza drugiej strony biurka.

– To wielce prawdopodobne. Ale na razie nie mamy żadnej innej konkretnej informacji – odparłem roztargniony.

– Siedzenie w gabinecie jest gorsze niż śmierć od łaskotek. Jeżeli natychmiast stąd nie wyjdę, eksploduję.

– Spokojnie, myślę, że jutro trzeba będzie wysłać list gończy za Tasiem – stwierdziłem, rozpierając się na krześle.

– Czyżbyś nie wierzył, że stawi się w więzieniu? Proszę, proszę, kto by pomyślał.

– Ufam swojemu informatorowi. Jest naprawdę wystraszony. Wiem, że Tasiowi coś się stało, albo może od początku miałaś rację i to on wszystko zaaranżował, zamordował twojego brata i Martinę, żeby zaśmiać nam się w twarz, i już nigdy więcej go nie zobaczymy. – Wstałem i wyjrzałem przez pancerną szybę w oknie; nie chciałem dać po sobie poznać, jak bardzo czuję się bezradny. – Najbardziej frustrujące jest to, że podkomisarz każe nam czekać do jutra. Tracimy cenny czas.

Alba podeszła sceptycznie do obaw MatuSalema. Od razu sprawdziła, że bransoletka dozoru elektronicznego umieszczona na kostce Tasia wysyła sygnał z jego mieszkania przy ulicy Dato, w którym zaszył się po opuszczeniu więzienia – dopóki tam przebywał, nie mogliśmy interweniować. Skontaktowała się też z patrolem pilnującym wejścia do kamienicy, ale nikt

nie widział, żeby ktokolwiek podobny do Tasia opuszczał budynek. Musiał być u siebie.

Nalegałem, że porozmawiam z nim osobiście, ale Alba była temu przeciwna: powiedziała, że nie chce wywoływać medialnego cyrku ani żeby Tasio oskarżył nas o nękanie.

Może miała rację i to ja się myliłem, może Tasio rzeczywiście chciał spędzić kilka dni sam w domu, odciąć się od portali społecznościowych, zapomnieć o tym, kim jest, i o medialnym więzieniu, którym wkrótce znowu się stanie.

– Dziś nie możemy nic zrobić, sam to powiedziałaś, Kraken. Ale jeśli Tasio jutro nie wróci do więzienia... Och, przyjacielu! Zaczniemy polowanie. Mam taką ochotę dorwać tego bydlaka i zostać z nim na chwilę sama...

– Uważaj, Esti. To nie jest osobista zemsta. Wiesz dobrze, że ci z góry będą obserwować przez lupę każdy nasz krok.

Podniosła się, stanęła przy mnie i oparła mi głowę na ramieniu.

– Wiem – powiedziała, wydawszy z siebie głębokie westchnienie.

Wiedziałem, że jest równie sfrustrowana jak ja.

Chwilę później znów usiedliśmy, by kontynuować poszukiwania.

Nienawidziłem takich jałowych dni, tropów prowadzących donikąd, bezużytecznych świadków, kręcenia się w kółko, uliczek, które kończyły się murem. Wiedziałem, że nawet jeśli go przeskoczę, po drugiej stronie nic nie będzie.

I tak w koło Macieju. Papiery, porównywanie informacji, nazwiska, daty. Żadnych rezultatów.

Kto by pomyślał, że rozwiązanie zagadki znajduje się u mnie w domu, ukrywane latami przez kogoś z mojej rodziny.

Był piątek, a ja kończyłem czterdzieści lat. W innych okolicznościach urządziłbym całonocną imprezę. Jednak kiedy moi przyjaciele dzwonili do mnie z życzeniami, żaden nawet nie zapytał, czy przewiduję jakąś wspólną kolację. Jeszcze się nie pozbieraliśmy po śmierci Martiny. Tak naprawdę nie miałem ochoty nikogo widzieć.

Po pracy ruszyłem outlanderem do Villaverde. Wiedziałem, że Alba nie przyjdzie na mój dach popatrzeć na Perseidy przecinające niebo, a ja nie lubię na nikogo czekać. Tak to już jest ze stłamszonym poczuciem własnej wartości: z łatwością unosi się dumą.

Pojechałem więc na wieś, żeby spędzić urodziny z dziadkiem i Germanem. Podjąłem pewne środki ostrożności: miałem przy sobie służbową broń, z którą nie zamierzałem się rozstawać.

Na wypadek gdyby morderca postanowił mnie śledzić i zjawić się na mojej hucznej imprezie urodzinowej.

Dotarłem na miejsce jeszcze za dnia. Zagwizdałem, wchodząc po schodach, ale na pierwszym piętrze nikogo nie było. Zdziwiony wdrapałem się na strych: dziadek siedział przed zdjęciami ze sprawy sprzed dwudziestu lat rozłożonymi na stole do ping-ponga.

– Coś się stało?

– Nic, synu. Nic. Chciałbym ci pomóc, ale nie wiem jak.

Po prosu oddychaj, dziadku. Tak mi pomagasz, pomyślałem.

– Chodźmy na drogę Trzech Krzyży. – Poklepałem go po rozłożystych plecach. – Dziś w nocy spadną łązy świętego Wawrzyńca, a niebo jest bezchmurne.

– W takim razie ruszajmy. – Podniósł się z niskiego wiklinowego krzeselka i sięgnął po jedną z lasek z drewna bukszpanowego, których używał do chodzenia po górach.

– Nie powinniśmy poczekać na Germana? – zapytałem.

– Twój brat nie przyjedzie, dzwonił i mówił coś tam o pracy. Jeżeli nadal będzie przesiadywał dniami i nocami w kancelarii, pojedę do Vitorii i osobiście go stamtąd wywlokę, choćbym miał go ciągnąć za nogę.

Każdy, kto słyszałby dziadka, pomyślałby, że przesadza; byłem chyba jedyną osobą, która z doświadczenia wiedziała, że mówi poważnie.

Po śmierci Martiny Germán zamknął się w kancelarii zavalony górą zaległych spraw. Uznałem, że dam mu kilka dni. Potem będę musiał interweniować, o ile nie uprzedzi mnie dziadek, a on był znacznie bardziej skuteczny niż ja.

– No to idziemy – powiedziałem niezbyt entuzjastycznym tonem.

Dziadek wziął z komórki dwa puste worki z rafii pachnące ziemią i kartoflami, na których mieliśmy się położyć.

Wspinaliśmy się drogą Trzech Krzyży, prowadzącą w linii prostej z wioski w górę, która w pewnym momencie rozchodziła się na cztery strony świata.

O tej porze nie jeździły już tędy traktory. Otaczały nas snopy skoszonego zboża i pola leżące odłogiem czekające na obsianie w przyszłym roku. Zatrzymaliśmy się na rozstaju dróg i położyliśmy na rozpostartych na ziemi

workach. Wokół rozlegało się monotonne cykanie świerszczy. Nie słyhać było żadnych innych dźwięków.

– Unai, nie ruszaj się i nie rób hałasu – szepnął nagle dziadek.

Posłuchałem go lekko wystraszony. Wstał i ostrożnie sięgnął po laskę.

– To wąż, leży zwinięty, widzisz? Tam, na drodze – wskazał.

– Nie rusza się, chyba jest martwy.

– Martwy? A gdzie tam. Wąż to najsprytniejsze zwierzę w całych górach – powiedział i mocno stuknął laską w ziemię.

Wąż rozwinął się z niesamowitą szybkością i ani się obejrzelśmy, jak zniknął w przydrożnych zaroślach.

– Myślę, że bliżej nie podpełźnie. Robi się ciemno i chłodno, pewnie schowa się pod jakimś kamieniem.

Nie byłem do końca przekonany, czujnie obserwowałem wszystkie poruszające się wokół cienie. Odprężyłem się dopiero parę godzin później, kiedy udało mi się zapomnieć o wężu.

Rozpoznaliśmy kilka gwiazdozbiorów: Oriona, Kasjopei, Wolarza, Wielkiej Niedźwiedzicy, który dziadek uparcie nazywał Wozem... Około trzeciej nad ranem wreszcie zaczęły spadać meteory.

Przelatywały szybko, niektóre pojedynczo, inne trójkami, z taką prędkością, że nie nadążałem z liczeniem. Trwało to bardzo krótko, zaledwie kilka sekund, musiałem uważać, bo wystarczyło mrugnąć, żeby je przegapić. Może tak samo jest ze wszystkimi dobrymi rzeczami w życiu... Takimi jak leżenie z dziadkiem na ziemi, która pewnego dnia przyjmie nas obu na swoje łono.

– Mam dla ciebie prezent, synu. Zawsze na nie patrzysz, więc pomyślałem, że mógłbyś nosić je przy sobie. – Ochrypły głos dziadka rozdarł na pół otaczającą nas ciszę.

Podał mi mały drewniany przedmiot. Pomacałem go po ciemku, ale nie potrafiłem odgadnąć, co to takiego.

– Dziękuję, dziadku. Co to jest?

– Zarys gór od strony Villaverde. Od przełęczy El Toro po San Tirso. Wyrzeźbiłem je w bukszpanie, żeby ci się nie połamały.

Poszukałem wzrokiem nielicznych, widocznych w oddali latarni Villaverde i nie podnosząc się z ziemi, popatrzyłem pod światło na miniaturowe górskie pasmo.

Dziadek przez całe życie amatorsko strugał w drewnie różne przedmioty, na przykład łyżki do zupy czy dwuzębne widelce, ale wykonanie tak małej i tak precyzyjnej rzeźby przy jego słabym wzroku musiało go kosztować mnóstwo wysiłku.

– Zrobiłem tu dziurkę – powiedział, starając się, by jego głos nie zdradził, jak bardzo jest dumny ze swojego dzieła. – Gdybyś chciał je nosić jako breloczek. Nie musisz, jeśli nie chcesz.

Wyjąłem klucze z kieszeni spodni, muskając przypiętą do paska spluwę. Wzruszony przyczepiłem do nich miniaturowe góry. Nikt nigdy nie zdoła przebić tego urodzinowego prezentu, nieważne, jak dobrze by mnie znał i jak długo będę żył. Nikt.

Następnego ranka obudził mnie zapach bułki z Bernedo, którą dziadek opiekał w piecu opalonym drewnem. Zostało nam jeszcze kilka słoików dżemu jeżynowego z ubiegłej jesieni. Jedliśmy śniadanie w milczeniu, każdy z nas błądził po własnym labiryncie. Nieświadomie spałaszowaliśmy prawie całą bagietkę.

– Synu, chcę ci coś pokazać. Wydaje mi się, że chyba mógłbym ci pomóc.

– W czym, dziadku?

– Jak to w czym? W pracy.

Spojrzałem mu w oczy, które z biegiem lat przybrały mlecznoszarą barwę, i zrozumiałem, że on także to przeżywa. Że śmierć Martiny uderzyła jak grom z jasnego nieba w nas wszystkich, nawet w niego. Że on również cierpi z mojego powodu i boi się, że będę kolejną ofiarą.

– Dziadku, nie zaprzataj sobie głowy tą sprawą. Pracujemy nad nią, ja nad nią pracuję, nic mi się nie stanie...

– No już, idziemy – przerwał mi, wstając z kuchennego krzesła.

– Dokąd?

– Na strych, chcę ci pokazać jedno zdjęcie.

Zdziwiony ruszyłem za nim schodami. Poprowadził mnie do stołu pingpongowego.

Ze wszystkich wycinków gazet wybrał ten ze zdjęciem przedstawiającym kobietę opartą o ogromny samochód.

W notatce z kroniki towarzyskiej wymieniono nazwisko matki bliźniaków, Blanki Díaz de Antoñany. Przeczytałem ją, ale nie zawierała żadnych cennych wskazówek; informowała krótko o wystawie starych samochodów, która

odbyła się w Vitorii w 1985 roku.

– Widziałeś, co to za auto?

– Tak, jest bardzo duże. Znasz się na samochodach lepiej niż ja. Co to za model?

– Isotta Fraschini, rocznik tysiąc dziewięćset dwadzieścia pięć. Wiem, bo jeden z dowódców wojskowych jeździł takim, kiedy w trzydziestym szóstym dostałem przydział do kampusu. To auto jest identyczne, widziałem je w Villaverde, tę kobietę również.

– Jak to? – zapytałem oniemiały.

– Wiele lat temu ta kobieta przyjechała do Villaverde tym samochodem. Takich rzeczy się nie zapomina, ledwo mieścił się w uliczce Fermín, musiała go zostawić przed magazynem przy szosie. Zapytała o twoją cioteczną babkę i poszła z nią porozmawiać. Ciotka nie puściła pary z ust, kiedy we wsi zagadywano ją o wizytę takiej osobistości. Przez tydzień nie mówiło się o niczym innym.

– Cioteczną babcię? Nie wiedziałem, że się znały.

– Nikt nie wiedział. Może sam ją o to zapytasz?

A żebyś wiedział.

– Gdzie ona teraz mieszka? Pójdiesz ze mną do niej? Zawsze dobrze dogadywałeś się ze swoją szwagierką.

– Oczywiście, że z tobą pójdę, synu. – Poprawił beret szczęśliwy, że może mi pomóc. – Pewnie jest w swoim warzywniku, ostatnio zbierała paprykę. Zobaczymy, jak tam dziś u niej z głową.

– Myślisz, że będzie pamiętać? Minęło wiele lat – zaniepokoiłem się.

– Ma pamięć starych ludzi, tak jak ja. Nie przypomni sobie, co jadła wczoraj na śniadanie, ale pamięta, że w dniu, w którym biskup Vitorii przyjechał odwiedzić szkołę i zrobił sobie zdjęcie ze wszystkimi mieszkańcami wsi, ja akurat handlowałem na czarnym rynku w Laguardii. To owszem, pamięta. To było chyba w czterdziestym siódmym, twoja babcia męczyła mnie, żebym zabrał ją do Vitorii do kina na tę całą *Gildę*. Zapamiętałem, bo potem zrobiło się modne wstępowanie na gildę w niedzielę po mszy, serwowały ją wszystkie bary z przekąskami w Vitorii i w Logroño. Nazwano ją tak, bo podobno była równie pikantna jak film: ostra papryczka, oliwka i anchois. Zjadło się w życiu trochę tych gild!

Patrzyłem oniemiały, jak schodzi na dół. To była najdłuższa wypowiedź dziadka w tym roku. Robił się gadatliwy, kiedy był wyjątkowo zadowolony,

kiedy coś go cieszyło. Tylko wtedy przekraczał swoje zwyczajowe siedem słów.

Zeszliśmy ulicą San Andrés, najdłuższą w całej wiosce, i dotarliśmy do ścieżki wiodącej na cmentarz. Wąska dróżka po prawej stronie prowadziła do warzywnika, do którego wchodziło się przez zniszczoną drewnianą furtkę, prawdopodobnie z odzysku po jakiejś przeprowadzce.

Ponieważ była uchylona, weszliśmy do ogródka i ruszyliśmy wąskim pasem ubitej ziemi, starając się nie deptać grządek, na których rosły sałata i cukinia.

W kilku strategicznych miejscach – najbardziej nasłonecznionych – stały spodeczki z mlekiem. Moja cioteczna babka należała do osób, które nadal wierzą, że mleko przyciąga żmije; zwalczała je, wysypując do niego truciznę.

Pochylała się nad górką ziemi, rozgrzebując ją niewielką motyką.

– Chcecie zielonej papryki? – zapytała wysokim dziecięcym głosem charakterystycznym dla stulatków. Wyczuła widać naszą obecność. – Sporo się zmarnuje, nie nadażam z pieczeniem i wekowaniem. W przyszłym roku już jej nie posadzę.

Moja mająca sto dwa lata cioteczna babka Felisa bynajmniej nie wybierała się na tamten świat. Czas płynął dla niej inaczej niż dla reszty śmiertelników.

Pamiętam, że podczas czuwania przy zwłokach ciotecznego dziadka Sixta, który zmarł w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, z niedowierzaniem wpatrywała się w trumnę i bez przerwy powtarzała: „Przecież był jeszcze taki młody...”. Trzymała w szafie nowe, nieużywane ubrania, mówiła, że będzie je nosić, „kiedy będzie starsza”.

– Feliso – uprzedził mnie dziadek. – Unai ma do ciebie kilka pytań. Może będziesz pamiętać.

– Oczywiście, synu – odpowiedziała odruchowo, nie przerywając pracy.

– Ciociu, znała ciocia Blancę Díaz de Antoñanę, żonę magnata przemysłowego Javiera Ortiza de Zárate?

Na chwilę przerwała kopanie, poprawiła okulary zakrywające oko zapadnięte wskutek Bóg wie jakiego urazu, po czym wróciła do wyrywania chwastów, jakby nic innego się nie liczyło.

– A kto jej szuka? – zapytała, odwracając się do nas plecami.

– Tak naprawdę chodzi o jej synów, Ignacia i Tasia Ortizów de Zárate. Ale podobno przed laty szukała cioci w Villaverde, a później rozmawiałyście. Może mi ciocia powiedzieć, po co przyjechała?

– Minęło dużo czasu, synu. Już prawie o tym zapomniałam.

– O czym ciocia zapomniała? Mogłaby ciocia mówić konkretniej? – spróbowałem ją przycisnąć, choć wiedziałem, że rozmawiam z głazem.

Trudno jest cokolwiek wyciągnąć od starszych ludzi ze wsi. Przeżyli wojnę i czterdzieści lat dyktatury. Przywykli do tego, by milczeć i udzielać wymijających odpowiedzi. Ostrożność mają w genach.

– Unai, synu, nie poszedłbyś na cmentarz? – wtrącił się dziadek. – W poniedziałek wiał wiatr z południa, kwiaty u babci uschły, wyrzuciłbyś je?

Kiedy na niego popatrzyłem, poprawiał sobie beret.

Wszedłem pod górę ścieżką z ubitej ziemi i spojrzałem przez żelazne kraty furtki prowadzącej na nasz cmentarzyk. Zaledwie jedna ściana z dwudziestoma nowymi niszami otoczona świętą ziemią, której żaden rozumny mieszkaniec Villaverde nie odważyłby się podeptać. Ziemią kryjącą szczątki naszych przodków, które zebrano na kupę i zakopano, kiedy zabrakło miejsca. Postanowiono wybudować cementowe nisze, jednak po paru latach cmentarzowi znowu groziło przeludnienie.

Babcia spoglądała na mnie z oprawionego zdjęcia, jak zwykle prosiła mnie milcząco, żebym opiekował się dziadkiem. Tym razem zauważyłem w jej twarzy coś nowego, tym razem prosiła, żebym uważał również na siebie.

Zrezygnowany wróciłem do warzywnika ciotecznej babki.

Nigdy nie odkryłem, co powiedział jej dziadek ani jak ją przekonał, żeby ze mną porozmawiała; kiedy go o to pytałem, wzruszał ramionami, jakby nie miało to większego znaczenia.

Kiedy przyszedłem, Felisa siedziała na starym plażowym leżaku. Odłożyła motykę i była skłonna do rozmowy.

– Teraz sobie przypomniała – szepnął mi do ucha dziadek.

Rozłożyłem drugi wyblakły leżak i usiadłem obok niej.

– Dlaczego Blanca Díaz de Antoñana chciała z ciocią porozmawiać?

– Żeby odszukać dziecko. Jej mąż zmarł i nic jej już nie groziło.

– A co jej miało grozić?

Westchnęła i spojrzała na góry.

– Mąż doñi Blanki był oprawcą, przez całe małżeństwo żyła w strachu.

– Była ofiarą przemocy domowej? – zapytałem zaciekawiony.

Ciotka zmrużyła jedno oko, nie rozumiała, co mam na myśli.

– Garbował jej skórę, Feliso? – przetłumaczył dziadek.

– I to jak. Był paniczem Vitorii, mógł robić, co chciał, nikt z nim nie zadzierał.

– Powiedziała ciocia, że szukała dziecka. O jakie dziecko chodziło? To musiało być w osiemdziesiątym dziewiątym, skoro jej mąż zmarł niedługo przed tym, jak pojawiła się w Villaverde.

– Nie pamiętam dat, synu. Mieszają mi się w głowie. Lepiej pozwól mi mówić, szybciej skończymy – przerwała mi, wygładzając fałdy spódnicy.

– Dobrze, ciociu. Niech mi ciocia z łaski swojej opowie o tej wizycie.

– Pracowałam jako pielęgniarka u jej lekarza, doktora Urbiny. W klinice Vitoria zajmowałam się także pierwszą żoną don Javiera Ortiza de Zárate. Biedna Blanca przyjechała do Villaverde, bo wykryto u niej raka i chciała uporządkować wszystkie sprawy, zanim odejdzie z tego świata.

– A czego chciała od cioci? – zapytałem, korzystając z okazji, że przerwała, by nabrać powietrza.

To było najbardziej chałupnicze przesłuchanie w całej mojej karierze.

– Chciała poznać nazwisko rodziny, zamierzała odszukać chłopca.

– Jakiego chłopca?

– To stara sprawa, chodziło o adopcję.

Spojrzała na dziadka. Ten założył ręce na piersi i skinął głową, zachęcając ją, by mówiła dalej.

– Minęło już chyba wystarczająco dużo czasu i mogę o tym opowiedzieć – szepnęła sama do siebie.

– Proszę, niech ciocia opowie. Myślę, że zacznam rozumieć, co się stało. Czy doña Blanca urodziła trojaczki i oddała rudego chłopca do adopcji?

Zdziwiła się, słysząc moją szaloną teorię, tę samą, którą przy grobie matki opowiedział bliźniakom rudzielec.

– A skąd ty o tym wiesz, synu? Ci, którzy byli wtedy przy porodzie, nie żyją albo są tu obecni.

– Wie ciocia, na czym polega moja praca. Prowadzę śledztwo i ta sprawa jest dla mnie ważna, bardzo ważna. Mogłaby mi ciocia podać datę, żebym poszukał dokumentów?

– Nie ma żadnych dokumentów, synu. Ja i doktor Urbina zrobiliśmy to, żeby ocalić ją i chłopców przed tą bestią, jej mężem. Wtedy ostatni raz widziałam doktora. Biedak nie przemyślał dobrze, z kim zadziera.

– Co ciocia ma konkretnie na myśli? Dlaczego doktor Urbina przystał na

nielegalną adopcję? Dla zysku, wzięliście pieniądze za to dziecko?

– Pieniądze? Nikt nie myślał wtedy o pieniądzach, chodziło o nasze życie.

– Nie rozumiem.

– Przecież to oczywiste – parsknęła zniecierpliwiona.

– Unai, twoja ciocia chce ci powiedzieć, że doña Blanca miała romans z doktorem Urbina i że trojaczki były dziećmi lekarza, a nie tego łajdaka – wyjaśnił spokojnie dziadek, jakby tłumaczył mi, że seks przypomina zapyłanie kwiatów przez pszczoły.

O kurde, pomyślałem. Wobec tego bliźniaki nie są ani Ortizami de Zárate, ani potomkami Unzuetów. Niełatwo przyjąć to do wiadomości w wieku osiemnastu lat, zwłaszcza gdy w grę wchodzi spadek.

– Komu oddała ciocia dziecko?

– Takiemu jednemu małżeństwu z Izarry.

Wreszcie coś się zgadzało, wreszcie miałem dowód na to, że moja cioteczna babka nie bredzi i że jej wspomnienia są wiarygodne.

– Pamięta ciocia ich nazwisko? – Przysunąłem się bliżej i złapałem ją za rękę.

– Lopidanowie, ci od miodu.

– Ci od miodu – powtórzyłem bezmyślnie.

– Sprzedawali miód na jarmarkach, dobrzy ludzie, wiesz, synu? Dobrzy ludzie, bardzo pragnęli dziecka. Byli sąsiadami poprzedniego lekarza, po znajomości wpisał ich na listę oczekujących. Doktor Medina czasami oddawał bezpłodnym małżeństwom niechciane dzieci. A ja... Rozumiesz, jak to jest: widziałam, słyszałam i milczałam. Naprawiało się jedno życie, niszczyło inne.

– Czy chłopiec miał na imię Venancio?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ja tylko zawiozłam rudego noworodka do gospodarstwa, myślałam, że zapewnię mu lepsze życie od tego, które czekałoby go w Vitorii. Tam by długo nie pożył, mówię ci. Był zbyt podobny do doktora Urbiny i jego synów z prawego łoża. Całe miasto by się zorientowało. Wtedy wszyscy się znali, nie to co teraz, kiedy jeżdżę do przychodni w Pilar, nikogo nie rozpoznaję. – Westchnęła zrezygnowana. –

Synu, naprawdę nie chcesz trochę zielonej papryki? Sixto nie może na nią patrzeć, mówi, że smażę ją w zbyt głębokim oleju.

Ciotka wróciła do terażniejszości, gdzie wszystko było dla niej nieco bardziej mgliste. Drżała jej broda, wystraszyłem się, że za bardzo nadwyrężyłem jej umysł. Kiedy zaczęła mówić o zmarłym mężu, dziadek

ostrzegł mnie wzrokiem, żebym zostawił ją w spokoju.

– Niech będzie, daj mi ze dwie torby. Rozdzielę ją między znajomych, na pewno chętnie wezmą – powiedziałem, wstając.

Pół godziny później wracaliśmy do domu objuczeni główkami sałaty, cukinią, zieloną papryką, cebulą i paroma kilogramami śliwek, których od dziecka nienawidzę. Ale w tych dniach śliwy w całej wiosce uginały się od wprost nieprzyzwoitej ilości dojrzałych owoców, nie mogłem zrobić kroku, żeby któryś z sąsiadów nie zaproponował mi – a raczej niemal nie wcisnął – dwudziestu kilo śliwek, tak miękkich, że w torbie robiła się z nich marmolada.

– Przydało ci się to na coś, synu? – zapytał dziadek po powrocie do domu, kiedy bezskutecznie próbowaliśmy upchnąć warzywa w lodówce.

– Jeszcze jak! Dzięki temu mam materiał do dalszego śledztwa.

– To właśnie musisz robić, prowadzić dalej śledztwo, złap wreszcie tego szczwanego lisa, żebyśmy mogli spać spokojnie. Jeżeli pozwolisz, ja od czasu do czasu będę zaglądał na strych, przejrzę zdjęcia i inne papiery dotyczące tamtej sprawy, może uda mi się jeszcze jakoś pomóc – powiedział, udając, że myje pod kranem cukinię.

– Oczywiście, dziadku. Bardzo chcę, żebyś mi dalej pomagał. – Przełknąłem ślinę, kryjąc wzruszenie.

Dziadek nie lubił okazywania czułości, widok poruszonego wnuka wprawiał go w zażenowanie.

Wracałem do Vitorii podekscytowany, pierwszy raz od dawna w dobrym humorze. Chciałem jak najszybciej dotrzeć na komendę i opowiedzieć o wszystkim Estíbaliz.

Przyjechałem przed południem, przyjaciółka czekała już na mnie w moim gabinecie.

– Jak ci minęły urodziny, Unai? Wczoraj nic nie mówiłam, nie chciałam...

– Tak, wiem, składać mi kondolencji z powodu czterdziestki i trafienia na tę przekłętą listę. Było tak spokojnie, jak chciałem, pojechałem do dziadka. Idealne urodziny. Denerwujesz się? – zapytałem na widok jej drgających kolan.

– Za niespełna pół godziny upływa termin.

– Termin?

– Czas, kiedy Tasio powinien wrócić do więzienia. Dziennikarze

wszystkich gazet w kraju czekają przy wejściu do Zaballi, jest też zagraniczna prasa. Komentują wszystko na żywo na Twitterze.

– Mamy nowy hashtag?

– Oczywiście! A nawet kilka: Tasiowchodzi, Tasioodślaniatwarz, Tasiomissing... Wszystkich bardzo ciekawi, czy tym razem się pokaże, jak obecnie wygląda.

– Niczego nie tracicie, słowo.

– To niezdrowa ciekawość w najczystszej postaci, mógłbyś ją uszanować. – Puściła do mnie oko.

Z uśmiechem skinąłem głową. Wracaliśmy do normalności. Może obojgu uda nam się po tym pozbierać. Może.

– Zrobiłem spore postępy dzięki świadkowi, którego nigdy bym nie podejrzewał o posiadanie takich informacji. Lepiej usiądź, zaczynają się zakręty.

– Zobaczymy.

– Wiesz, że mam stuletnią cioteczną babkę?

– Tę, co to nigdy nie choruje?

– Właśnie. Ciotka Felisa. Siostra mojej babki, szwagierka dziadka. Była pielęgniarką aż do emerytury, przez kilkadziesiąt lat pracowała w klinice Vitoria.

– Okej, na razie wszystko rozumiem.

– A jeśli ci powiem, że historia, którą opowiedział rudzielec pobity przez bliźniaków, jest prawdziwa?

– Ta o ubogim bracie?

– Aha.

Zanim odpowiedziała, kilkakrotnie związała i rozpuściła włosy.

– Będziesz musiał narysować mi drzewo genealogiczne, żebym zrozumiała, bo czuję, że się pogubię.

– Moja cioteczna babka pracowała jako pielęgniarka u niejakiego doktora Urbiny na początku lat siedemdziesiątych, kiedy urodzili się bliźniacy. Twierdzi, że jej szef miał romans z ich matką Blancą Díaz de Antoñaną i że przemysłowiec Javier Ortiz de Zárate był niebezpiecznym typem, który znęcał się nad żoną. Asystowała przy porodzie: Blanca urodziła bliźniaków – na zdjęciach w starych gazetach wyglądają na podobnych do matki – i trzeciego syna, rudego tak jak doktor Urbina. Ciotka mówi, że na prośbę matki i doktora

oddała dziecko małżeństwu z Izarry.

– Powiedziała: z Izarry?

– Owszem. Już dwa różne źródła wymieniły tę miejscowość. Wiem, że nie powinniśmy dać się zwieść zbiegom okoliczności, mam tę lekcję świeżo w pamięci – powiedziałem, choć były to dla mnie bolesne słowa – ale zgadza się nie tylko nazwa wsi. Dziadek powiedział mi, że Blanca Díaz de Antoñana niedługo po śmierci męża szukała w Villaverde mojej ciotecznej babki. Nie bała się już, co będzie, jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, chciała wiedzieć, co stało się z jej trzecim synem. Ciotka podała jej nazwisko ludzi, którym go oddała. Byli na liście oczekujących na nielegalną adopcję sporządzonej przez poprzedniego ginekologa, doktora Medinę.

– Ta informacja wydaje się wiarygodna. Kilka lat temu, kiedy prasa zaczęła ujawniać przypadki skradzionych dzieci i nielegalnych adopcji, do których dochodziło w latach siedemdziesiątych w całym kraju, klinika Vitoria była wielokrotnie pozywana.

– Wiem, nie mówiłem o tym ciotce, na pewno nie dowiedziała się też tego z gazet czy telewizji. Już od dawna nie śledzi wiadomości. Dała mi do zrozumienia, że lekarz, którego zastąpił doktor Urbina, uczestniczył w tym procederze i że ludzie, którym oddała dziecko, byli jego znajomymi. Mieli na nazwisko Lopidana, podobno sprzedawali miód. Musimy jak najszybciej przeszukać bazę danych.

– Kolejna ciekawa zbieżność z naszą sprawą – zauważyła Esti.

– Powinniśmy ostrożnie podchodzić do tego rodzaju zbieżności, ale tym razem mamy nie tylko miód i Izarrę, mamy także całą historię. I co najważniejsze: mamy motyw.

– Motyw rudzielca, niejakiego Venancia.

– Tak, miał powody do zemsty. Nie tylko nie dostał swojej części spadku po matce, ale jego bracia pobili go niemal na śmierć i wygnali z Vitorii. Myślę, że to wystarczy, żeby ich znienawidzić i chcieć zrujnować im życie – pomyślałem na głos.

– Może pójdźmy do podkomisarz i o wszystkim jej opowiedzmy? Chętnie przekażę jej, że robimy postępy, przynajmniej raz nie będę się czuła jak kompletny nieudacznik. – Wstała z krzesła.

– Zgoda, ja też myślę, że powinniśmy ją poinformować.

Kiedy weszliśmy do jej gabinetu, Alba jak zwykle rozmawiała przez komórkę odwrócona plecami do drzwi.

– Dziś będę na kolacji, nie martw się – szepnęła.

Ton, jakim zwracała się do rozmówcy, nie pozostawiał miejsca na wątpliwości: rozmawiała z mężem.

Kontrolował ją? Był dla niej czuły? Żądał, żeby wróciła wcześniej z pracy? Często zdarzały się takie sytuacje?

Zdałem sobie sprawę, że nie chcę stworzyć sobie w głowie jego wizerunku, bolało mniej, kiedy był taki eteryczny, taki niewidzialny. Dla mnie nie miał ciała ani kształtu, nie zajmował miejsca w przestrzeni. Gdybym zaczął się zastanawiać, jaki rodzaj relacji łączy go z Albą, najprawdopodobniej nie potrafiłbym przestać o tym myśleć i czułbym się jeszcze gorzej.

Estibaliz wzięła na siebie chrząknięcie na tyle ostentacyjne, żeby nasza szefowa odłożyła przekłętą komórkę i poświęciła nam uwagę.

– Cieszy mnie, że wrócili państwo do pracy. Mamy coś nowego?

– Wygląda na to, że tak – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Wpadliśmy na nowy trop. Jak już wcześniej mówiliśmy, postanowiliśmy wziąć pod lupę przeszłość i otoczenie bliźniaków, uważamy bowiem, że jeżeli to nie oni popełnili te zbrodnie, mordercą musi być ktoś, kto miał na tyle ważny motyw, żeby przez ostatnie dwadzieścia lat planować, jak uwikłać ich w tę sprawę.

– Na razie brzmi logicznie. Proszę usiąść, będzie nam wygodniej.

Zajęliśmy z Esti miejsca przy biurku.

– Mamy powody przypuszczać, że bliźniacy mieli...

W tym momencie zadzwoniła komórka Alby, jako dzwonek ustawiła sobie *Lau teilatu*; ten drobiazg przykuł mnie do krzesła.

Spojrzałem na nią: zaczerwieniła się po uszy.

– Podkomisarz Salvatierra – odezwała się urzędowym tonem, kiedy zobaczyła na wyświetlaczu, kto dzwoni.

Jakaś kobieta szybko przekazywała informacje; Alba pozwoliła jej skończyć.

– W porządku – powiedziała po dłuższej chwili – podejmiemy odpowiednie środki. Zaraz wyślemy tam patrol, pójdzie do jego mieszkania i zorientuje się w sytuacji. Zadzwoń do pani, kiedy tylko się czegoś dowiem. Proszę, żeby nie rozmawiała pani z prasą do czasu, aż sprawdzimy, co naprawdę się stało. Niech im pani powie, że śledztwo jest w toku i nie może pani udzielać żadnych informacji.

Rozłączyła się, usiadła za biurkiem i marszcząc czoło, zaczęła wydawać polecenia.

– Tasio nie zjawił się w więzieniu o ustalonej godzinie, bransoletka na jego kostce wskazuje, że przebywa w swoim mieszkaniu przy ulicy Dato. Proszę jak najszybciej jechać tam z patrolem i sprawdzić, czy nadal tam jest, czy coś mu się stało, czy też po prostu nam uciekł.

CIS DOÑI LOLI

Izarra, marzec 1989

Blanca Díaz de Antoñana wiedziała, że po niedawnej śnieżycy droga do Izarry stała się niebezpieczna, ale nie mogła czekać, aż stopnieje śnieg. Od ostatniej wizyty u lekarza miała wrażenie, że świat kręci się zbyt szybko, ona zaś porusza się zbyt wolno. Musiała zamknąć tysiąc spraw, dni były dla niej za krótkie. Żeby wytrzymać ból, sama zwiększała sobie dawki leku, który przepisał jej onkolog.

Zwolniła Ulisesa. Wprawdzie kierowca i tak miał wkrótce przejść na emeryturę, ale stanowił tę część spadku po zmarłym mężu, od której chciała się jak najszybciej uwolnić. Wyjęła z sejfów Javiera kilka milionów peset i wręczyła je szoferowi, udając, że to dowód wdzięczności. Tak naprawdę znaczyło to jednak: „Wynoś się stąd, teraz, kiedy nie ma już Javiera, nie chcę, żebyś się tu kręcił”. Stary kierowca ochoczo przyjął pieniądze, spakował swoje rzeczy do małej walizki i odszedł jeszcze tego samego dnia, kulejąc, z jednym ramieniem wyżej od drugiego.

Jakże łatwe okazało się odprawienie cienia, który na rozkaz Javiera śledził ją przez te wszystkie lata! Jakże lekka się czuła, spacerując ulicą Dato czy General Álava bez tego garbatego kruka deptającego jej po piętach!

Zachowała mieszkanie po ciotce, choć w ostatnich latach rzadko do niego zaglądała ze strachu, że Javierowi wyda się to podejrzanym. Gotów byłby pomyśleć, że ma kochankę.

Usiadła za kierownicą swojego samochodu, ufała mu, był masywny, silnik nigdy nie sprawiał problemów. Ruszyła na północ, w stronę przełęczy Altube. Izarra była oddalona o dwadzieścia kilometrów od Vitorii, wkrótce powinna dotrzeć na miejsce. Jej synowie pojechali ze znajomymi na jednodniową wycieczkę do San Sebastián. Odkąd zrobili prawo jazdy, rzadko przebywali w domu, a ona potrzebowała samotności. Po tylu latach spędzonych za złotymi kratami więzienia bardzo jej potrzebowała...

Do rozpadającego się domostwa Lopidanów dotarła dzięki wskazówkom kasjerki z dworca kolejowego. Podróż kosztowała ją sporo wysiłku – leki

zażyła kilka godzin wcześniej, teraz ból sprawiał, że zaczynała tracić zdolność jasnego myślenia.

– Mieszkają na zachodnim brzegu rzeki, w starej części miasteczka. To ten dom między dwoma strumykami, obok cisu doñi Loli. Nie wiem, czy ich pani zastanie, zdaje się, że dziś jest dzień targowy – powiedziała przez szybę okienka otyła kasjerka; zmierzyła Blancę wzrokiem, po czym utkwiała go w kołnierzu jej futra z soboli.

– Wie pani, czy mają dzieci? – odważyła się zapytać, widząc, że dworzec jest pusty i nikt nie może ich usłyszeć.

– Dwoje pięcioletnich, chłopca i dziewczynkę. Urocze, bystre dzieciaki – powiedziała kobieta, zachwycona, że ma z kim porozmawiać.

– A nie mają też przypadkiem osiemnastoletniego syna? Taki rudy chłopak... – dopytywała się zdeorientowana.

Może w Izarze mieszkało więcej Lopidanów, może się przeprowadzili.

– A, Nancho! Wychowali go, ale on nie jest ich synem, to wyrobnik, który pracuje w ich pasiece.

– Mieszka z nimi?

– Tak, zdaje się, że ma swój kącik w piwnicy – potwierdziła kobieta, zadowolona, że będzie miała o czym opowiadać, kiedy w południe wróci do domu na obiad: bogata paniusia z miasta wypytyująca o Nancha... Sprawa była oczywista.

Blanca uznała, że wiele więcej się nie dowie. Pożegnała się, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę mostu.

Stary rozpadający się dom stał na uboczu. Wyglądało na to, że jego mieszkańcom nie wiedzie się najlepiej. Budynek wydawał się co prawda dość duży, ale jeden z okapów dwuspadowego dachu był całkowicie zniszczony, w drzwiach z zasuszonym *eguzkilore*, który miał chronić mieszkańców przed złem, brakowało paru desek. Wystające spod śniegu dachówki, niegdyś czerwone, poczerniały, ściany wymagały pobielenia wapnem, na rogach i przy framugach odłaziła farba, szyby nielicznych okien były popękane albo zastąpione deskami. Śnieg sprawiał, że budynek wyglądał nieco schludniej, ale już z drogi czuć było smród brudu i śmieci.

Blanca wysiadła z samochodu, podnosząc poły białego futra, żeby nie pobrudzić go błotem, w jakie zamienił się rozpuszczony śnieg.

Podeszła do rozwalonego płotu, ale nikogo nie dostrzegła.

– Jest tu kto? – odważyła się zawołać.

Odczekała trochę, nasłuchując odpowiedzi.

– Kogo tam niesie? – rozległ się po chwili szorstki, młodzieńczy głos.

– Szukam Lopidanów, to tutaj?

Kiedy go zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach.

To on, to on. Spokojnie, Blanco. Spokojnie, skarciła samą siebie.

W dziurawych drzwiach pojawił się niewysoki, gruby chłopak w niebieskim kombinezonie umazanym smarem. Miał pomarańczowe włosy, niemodnie ostrzyżone, jakby czas zatrzymał się dla niego na latach siedemdziesiątych, i długą grzywkę, która zasłaniała mu oko i część pulchnej, obsypanej trądzikiem twarzy.

Blanca jednak dostrzegła tylko spokojne ruchy i nieśmiałe spojrzenie Álvara Urbiny, młodzieńczą wersję mężczyzny, którego tak bardzo kochała.

Wzruszona zakryła dłonią usta.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Chłopak podszedł do niej zaniepokojony. – *Aitas*^[14] pojechali z miodem na targ w Bilbao, wrócą wieczorem. Chce pani, żebym coś im przekazał?

– Jesteś synem Lopidanów?

Nancho zacisnął zęby i skrępowany odwrócił wzrok. Przykro mu było, że nie może tego potwierdzić.

– Czego pani chce? *Poczeba* pani czegoś? – zapytał, zamiast udzielić odpowiedzi.

– Ty jesteś Nancho, prawda? Nazywam się Blanca Díaz de Antoñana i na pewno zdziwi cię to, co zaraz ci powiem. Nie mam zbyt wiele czasu, więc od razu przejdę do rzeczy. Szukam rudego chłopaka, którego pielęgniarka, niejaka Felisa, oddała osiemnaście lat temu Lopidanom. Rozumiem, że ty nim jesteś, jednak jeśli się mylę, powiedz mi, a będę dalej szukać swojego syna.

Chłopak odruchowo cofnął się o krok. Ta dama w bieli szukała jego, Nancha? Podniósł głowę i odważył się na nią spojrzeć. W niczym go nie przypominała: była dość szczupła, miała pociągłą twarz i zmarszczki wokół ust, z daleka pachniała pieniędzmi. Co mogła mieć z nim wspólnego ta obca?

– Proszę pani, ja wiem tylko to, co *łopowiadają* o mnie ludzie w miasteczku, wystarczy mi, że muszę znosić ich drwiny. Jeżeli przyszła pani po to, żeby się ze mnie naśmiewać...

– Nie, synu! – przerwała mu wystraszona Blanca. – Nie przyszłam się z ciebie naśmiewać, w żadnym razie! Chcę, żebyś potwierdził, że to ty byłeś

tym noworodkiem, którego oddano Lopidanom, bo ja jestem matką, która do tego dopuściła. Chcę uporządkować wszystko, zanim odejdę, dlatego cię odszukałam. Wpuścisz mnie?

– Lepiej wyjdźmy na drogę, tu za bardzo śmierdzi jak na pani nos, poza tym powala sobie pani futro. Pójdźmy pod cis, chodzę tam zawsze, kiedy *aita*^[15] nie zleca mi żadnej pracy – powiedział chłopak, oblewając się rumieńcem. Nigdy nie rozmawiał z tak elegancką kobietą, nie wiedział za bardzo, jak się do niej odnosić.

Blanca chętnie się zgodziła. Spoglądała na syna z dumą, ale i z niepokojem: spędził całe życie w tym chlewie?

Szli w milczeniu błotnistą ścieżką, wymijając kupki śniegu. Nancho ze spuszczonym wzrokiem, Blanca nie przestając mu się przyglądać.

– To tutaj – powiedział, kiedy znaleźli się kilka metrów od olbrzymiego cisu. – Często tu przychodzę i rozmyślam. Wie pani, że nasi przodkowie czcili to drzewo?

– Dobrze się uczysz? Lubisz historię? Twój brat Tasio się nią pasjonuje, chce zostać archeologiem, to łebski chłopak, na pewno daleko zajdzie.

– Mój brat?

– Tak, masz dwóch braci bliźniaków. Oni są podobni do mnie, ty wdałeś się w ojca.

– Ojca? – odważył się zapytać, przełykając ślinę. – Ma pani na myśli mojego prawdziwego ojca?

Mam ojca innego niż *aita*? Może ten będzie mnie lepiej traktował.

– Tak, twój prawdziwy ojciec nazywał się Álvaro Urbina, był moim lekarzem w klinice Vitoria. Zniknął zaraz po porodzie. Zawsze podejrzewałam, że to sprawka mojego męża, ale nie miałam dowodów. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałam, ale przed tobą nie chcę niczego ukrywać. Oddaliśmy cię, bo byłeś za bardzo podobny do doktora, a mój mąż miał ogromne wpływy w Vitorii, nie dopuściłby, żebyś przeżył.

– Zaraz, chwileczkę. Chce pani powiedzieć, żeście mnie oddali tej rodzinie, bo byłem rudy, a moich braci wychowała pani?

Znowu te czerwone włosy. Nienawidził ich, nienawidził być inny, chłopaki z Izarry przezywali go Kaczan, kiedy chcieli zabawić się jego kosztem. A teraz dowiaduje się, że to z ich powodu pozbyła się go ta kobieta. Przez całe życie zastanawiał się, co takiego zrobił, że porzucili go rodzice, tymczasem powodem było nic innego jak te przekłete włosy.

Blanca zaczerwieniła się ze wstydu. Jej syn miał powody, żeby się złościć.

– Oddanie cię było zbrodnią, wina leży wyłącznie po mojej stronie, nie twojego prawdziwego ojca. Mam zbyt wiele zbrodni na sumieniu, nie mogę już dłużej dźwigać ich ciężaru. Przyjechałam, żeby cię stąd zabrać, oddać ci twoją część spadku. Lekarze wykryli u mnie złośliwego raka, nie zostało mi dużo czasu. Wrócę w przyszłym tygodniu z moim prawnikiem. Na razie nie mów nic rodzicom. Przyjadę po ciebie i porozmawiam z twoim ojcem. Chcę, żebyś zamieszkał w Vitorii ze mną i z twoimi braćmi, w naszym domu przy Paseo de la Senda. Tam, gdzie jest twoje miejsce. Kiedy potwierdzimy formalnie, że jesteś moim rodzonym synem, dostaniesz swoją część spadku. Musisz dać mi swój dowód osobisty, żebyśmy mogła jak najszybciej rozpocząć formalności.

– Nie mam dowodu, *aita* nie chciał mi wyrobić, dlatego nie wyjeżdżam samochodem poza Izarrę, bo nie mogą dać mi prawa jazdy, chociaż umiem prowadzić, odkąd skończyłem dziesięć lat – powiedział, wskazując starego renaulta zaparkowanego przy drodze.

Blanca z przerażeniem spojrzała na chłopaka.

– Jak to nie masz dowodu? Powiedz mi, synu: chodzisz do szkoły?

– Nie pozwolili mi. Chciałem, ale *aitas* kazali mi zajmować się pasieką. Nauczyłem się czytać ze starych gazet, które przynosi Hermógenes, ta, co zakręca włosy *amatxo*^[16]. Mam przyjaciela – powiedział z dumą – to syn nauczyciela z Izarry, pożycza mi książki, które już przeczytał, chowam je pod kamieniami przy ulach, żeby nie znalazł ich *aita*; on nie lubi książek, mówi, że tylko mącą w głowie i robią wodę z mózgu.

– Byłeś kiedykolwiek w Vitorii?

– Po czosnek na Świętego Jakuba i raz podczas świąt Białej Paniienki, *poszłem* do wesołego miasteczka z... – Chciał powiedzieć „rodzeństwem”, ale nawet oni nie lubili, żeby ich tak nazywał. – Z Idioą i Andonim, dziećmi *aitas*. Wieczorami nie pozwalają mi wychodzić, mówią, że to dobre dla pijusów.

– Jeżeli chcesz stąd wyjechać, zabiorę cię na stałe do Vitorii. Musisz poznać swoich prawdziwych braci, Ignacia i Tasia. Najpierw powinnam z nimi porozmawiać, opowiedzieć im o tobie, nie wiedzą jeszcze o twoim istnieniu.

– Proszę pani... – przerwał jej zatroskany; w głowie miał chaos. – A co z *aitas*? Jak oni to przyjmą?

– Powiedz mi, Nancho: rodzice dobrze cię traktują?

– Pozwalają mi jeść z nimi przy stole i mam gdzie spać – odpowiedział zawstydzony, lekceważąco wzruszając ramionami.

– Dobrze cię traktują, synu? – nalegała Blanca.

Ujęła w dłonie jego twarz i uważnie jej się przyglądała.

Wokół ukrytego za grzywką oka zobaczyła ślady starych siniaków. Zabolą ją bardziej, niż gdyby to ją pobito.

Co za życie miałeś, mój synu.

– To nasza sprawa, proszę pani. Nie będę mówił źle o aicie. – Nancho odepchnął jej rękę.

– W miasteczku słyszałam, że nie traktują cię jak syna, że jesteś dla nich wyrobnikiem, zwierzęciem pociągowym.

Nancho oblał się rumieńcem. Było tak, odkąd przyszło na świat jego rodzeństwo, kiedy już nikt się tego nie spodziewał. Wcześniej rodzice wychowywali go jak własnego syna, pozwalali mówić do siebie *aita* i *ama*^[17]. Jego życie zmieniło się w dniu, kiedy *amatxo* wróciła od lekarza, wykrzykując, że jest w ciąży.

– Przyszła pani, żeby mi to wytykać, żeby się ze mnie wyśmiewać? – wybuchnął, próbując odegnać złe wspomnienia. – Proszę posłuchać, i bez tego mam dość problemów, w dodatku jestem do tyłu z robotą. Jak ojciec się dowie, że nie dostarczyłem na czas skrzynki miodu do sklepu Aurory, zło mi skórę.

Blancę również poniosły nerwy: co ci nędznicy zrobili z jej synem?

Podeszła do chłopaka, był nieco niższy od niej. Złapała go za brodę i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy.

– Synu, przeszłam przez to samo co ty, zaczęło się jeszcze przed twoimi narodzinami. Chcę, żebyś zapamiętał sobie to, co ci teraz powiem: kiedy ktoś cię bije, to nigdy nie jest twoja wina. Nigdy. Zrozumiałeś? On będzie mówił, że jest, żebyś nie odszedł, żeby móc cię dalej bić, ale to nigdy nie jest twoja wina.

– To nigdy nie jest moja wina – powtórzył.

– Pozwól się przytulić, synu.

– Że co? – wyjąkał oszołomiony.

– Pozwól się przytulić, pragnę tego od osiemnastu lat. – Nie czekając, aż zdezorientowany chłopak udzieli jej pozwolenia, uścisnęła go resztką sił, jakie zachowała na to spotkanie.

Nancho poddał się ciepłu białego futra i kobiety, która miała je na sobie.

Wreszcie Blanca zwolniła uścisk. Odsunęła się i śnieżnobiłą dłonią delikatnie musnęła rozpalony policzek chłopaka. Nancho zamknął oczy, czuł się jak w niebie. Wiedział, że zapamięta ten dotyk do końca życia. Jego pierwsza pieszczota. Pierwsza pieszczota od kogoś, kto naprawdę go kochał.

– Powiedz mi: jak twoi rodzice stoją z pieniędzmi? – Blanca starała się zapanować nad wzruszeniem.

– O szmalu się nie mówi, to niekulturalne. Tego akurat mnie nauczyli – odpowiedział, unosząc się dumą.

Blanca odwróciła głowę i spojrzała na walący się dom.

Zobaczymy, czy pozwolą ci odejść, jeśli im zapłacę. Nie powinni za bardzo protestować.

Odkąd dowiedziała się, że umiera, nie obchodziło jej, co powiedzą ludzie. Do diabła z proboszczem od Świętego Antoniego, do diabła z Andresą Apaolazą, żoną burmistrza, do diabła z socjetą Koła Vitorii.

Do diabła z nimi wszystkimi.

Była niedziela, cała rodzina Lopidanów wyszykowała się na mszę odprawianą o dziesiątej w kościele Świętego Józefa.

Nancho jak zawsze usiadł w ostatniej ławce po stronie dla mężczyzn – tak kazał mu *aita*. Nie był ochrzczony, nie mógł więc przyjmować komunii.

Przez cały tydzień czekał zdenerwowany na powrót Blanki Díaz de Antoñany. Mijały kolejne dni, a elegancki samochód nie podjeżdżał pod jego dom. Może zmieniła zdanie, kiedy go poznała, może naprawdę miała dobre zamiary, ale potem się rozmyśliła, kiedy zobaczyła, że jest tylko... że jest tym, kim jest.

Włożył jedyne przyzwoite ubranie, jakie miał: džinsy za tysiąc peset^[18], białą, prawie nową koszulkę, którą wygrał w konkursie Coca-Coli, kurtkę odziedziczoną po aicie i adidasy, które pobielili pastą matki. Wyprasował wszystko z samego rana: chciał się dobrze prezentować, gdyby to akurat dziś Blanca przyjechała po niego ze swoim prawnikiem. Wahał się, czy powinien zaprasować džinsy w kant.

Po mszy *aitas* poszli z dziećmi do baru przy placu, gdzie zamówili oliwki i po małym piwie. Towarzyszył im, wypatrując po drodze samochodu Blanki.

Podszedł do lady i zamyślony zaczął przerzucać „El Diario Alavés”. Przełknął ślinę, kiedy zobaczył nagłówek, który zmroził mu krew w żyłach.

Z początku pomyślał, że to jakiś niesmaczny żart.

Kiedy się uspokoił, kiedy zrozumiał, że to prawda, w skupieniu przeczytał nekrolog na całą stronę informujący o śmierci Blanki Díaz de Antoñany, urodzonej w Vitorii, zmarłej w sobotę 18 marca 1989 roku, wdowy po don Javierze Ortizie de Zárate, matki pogrążonych w smutku Ignacia i Anastasia.

Ogarnęła go rozpacz, gdy zobaczył, że msza żałobna i pogrzeb na cmentarzu Świętej Elżbiety odbędą się jeszcze tego dnia w południe. Zegar wiszący na ścianie baru wskazywał jedenastą trzydzieści.

Ukradkiem podszedł do stolika, przy którym *aitas* popijali piwo i gawędzili ze znajomymi. Na trójkątnym talerzyku zostawili dla kelnera kilka banknotów i monet. Nancho wykorzystał moment, kiedy *aita* wstał, żeby przywitać się z sąsiadem, i zabrał czterysta peset. Tyle powinno mu wystarczyć.

W tym momencie ojciec odwrócił głowę, ale Nancho wypadł z baru i pobiegł na stację. Cały się trząsł ze strachu przed konsekwencjami i z żalu, że ta kobieta, która przez ostatnie noce schodziła na ziemię pod postacią białego anioła, żeby go ocalić, teraz była martwa.

Kupił bilet w jedną stronę od osłupiałej kasjerki i wbiegł na peron. Kilka minut później przyjechał pociąg, który w pół godziny dowiózł go do Vitorii. Tyle czasu nie wystarczyło, żeby poukładał myśli.

Nie miał pojęcia, co powinien robić. Wiedział tylko, że musi zdążyć na pogrzeb matki i porozmawiać z braćmi. Oni skontaktują się z prawnikiem, który na pewno znał zamiary nieboszczki.

Kiedy już usadowił się w pociągu na zniszczonym bordowym siedzeniu, obejrzał dokładnie swoje ubranie. Ucieszył się, że choć raz dobrze się prezentuje.

Niedługo potem pociąg zatrzymał się na dworcu w Vitorii. Nancho wszedł do wyłożonej czerwonym marmurem hali. Podbiegł do planu miasta, żeby zlokalizować cmentarz, którego nazwę przeczytał w nekrologu.

Zdesperowany przebiegał wzrokiem ulice, nie mogąc odnaleźć tego, czego szukał.

– Zgubiłeś się, chłopcze? – zapytała staruszka siedząca na ławce pod mapą.

– Szukam cmentarza Świętej Elżbiety, to daleko stąd?

– No cóż, będziesz musiał przemierzyć pół miasta, ale na pewno nie zabłądzisz. Pójdiesz ulicą Dato – wskazała laską wyjście – przetniesz plac Virgen Blanca i skręcisz w Zapatería. Dotrzesz do samego końca, do placu Fuente de los Patos, i pójdiesz dalej Portal de Arriaga, cały czas prosto, aż do

cmentarza.

Nancho starał się zapamiętać nazwy nieznanymi mu ulic, żeby więcej nie musieć pytać o drogę.

– Ile mi to zajmie? – Spojrzał na zegar wiszący pod trzema ogromnymi oknami.

Było już wpół do pierwszej.

– Szybkim krokiem pół godziny. Wszystkie ulice powinny być już odśnieżone.

– Dziękuję, proszę pani. Niech Bóg pani wynagrodzi – powiedział i wybiegł na ulicę Dato, gdzie vitorczycy całymi rodzinami wchodzili do barów, szukając schronienia przed zimnem.

Tak się spieszył, że dwa razy upadł. Na placu Virgen Blanca poślizgnął się akurat wtedy, gdy mijał grupkę dziewczyn w jego wieku. Wybuchnęły śmiechem, kiedy wywinął orła. To było bardzo upokarzające. Kolejny raz przeklął własną niezdarność i z rozpaczą stwierdził, że jego biała koszulka jest cała brudna od błotnistej śniegu.

Wstał i pobiegł przez zabytkową część Vitorii. Niecałe pół godziny później dotarł na cmentarz.

Zdążył: przed wejściem stało mnóstwo ogromnych, nowiutkich samochodów zaparkowanych w podwójnym rzędzie.

Odnalazł grupę eleganckich żałobników i cierpliwie czekał, aż skończy się pogrzeb i ci obcy ludzie rzucający mu ukradkowe spojrzenia wrócą do swoich ciepłych, wygodnych domów.

Jemu było wszystko jedno, od tak dawna sypiał w piwnicy, że nie czuł już zimna ani wilgoci.

Wreszcie, kiedy zniknął ostatni czarny płaszcz, zobaczył swoich braci. Prawdziwych, rodzonych braci.

Trzymali się za ręce z prześlicznymi dziewczynami ubranymi równie elegancko jak oni.

Z trudem opanował wzruszenie; przez chwilę przyglądał im się urzeczony.

Nie było jeszcze za późno, wciąż mógł zmienić swoje życie, mieć rodzinę, która naprawdę by go kochała, a nie garbowała mu skórę.

Podszedł do nich i przedstawił się, ukrywając zdenerwowanie.

ULICA DATO 1

13 sierpnia, sobota

Po telefonie od podkomisarz sędzia Olano natychmiast wydał nakaz rewizji mieszkania Tasia. Zabraliśmy z Esti piętnastokilowy taran, na wypadek gdyby trzeba było wyważyć drzwi, i ruszyliśmy radiowozem na ulicę Dato, gdzie czekali już dziennikarze i tłumek gapiów.

Uciążliwe zbiegowiska, jakie ostatnio zawsze nam towarzyszyły, utrudniały pracę. Przed wyjściem z samochodu Estibaliz naciągnęła na twarz kominiarkę i podała mi drugą. Nie miałem ochoty jej zakładać, wiedziałem, że i tak wszyscy poznają mnie po wzroście, w końcu jednak ustąpiłem.

Pomiędzy sklepem Barboura i francuską drogerią znajdowały się zielone metalowe drzwi ze złoceniami i z szybkami pozwalającymi zajrzeć do środka. Zanim wyważyliśmy je taranem, wcisnęliśmy guzik domofonu, zabawny przycisk ze złocistego mosiądzu wypolerowanego przez lata użytkowania. Wiedzieliśmy, że nikt nam nie odpowie.

– Inspektorze, parę słów dla EFE: sądzi pan, że Tasio Ortiz de Zárate uciekł? – zapytał jeden z dziennikarzy, podtykając mi do ust mikrofon.

Odepchnąłem go i ponownie wcisnąłem guzik domofonu.

Do gapiów przyłączali się coraz to nowsi przechodnie, nagrywali nas komórkami rozbawieni i podekscytowani. Jakbyśmy stanowili atrakcję, którą warto sfilmować, żeby pokazać ją potem w domu, w barze, w pracy.

– Kraken, czy Tasio zabawił się twoim kosztem? Myślisz, że to on zabił dziewczynę twojego brata? – zapytała jakaś drobna dziennikarka, podsuwając dyktafon.

To szum, przekonywałem sam siebie. To tylko szum.

– Proszę pozwolić nam pracować – odpowiedziała wreszcie poirytowana Estibaliz. – Jeżeli nikt nie odbierze, wezwiemy dwa radiowozy, policjanci odgrodzą teren taśmą, żebyśmy mieli spokój. Bo tak się nie da – szepnęła do mnie.

Wtedy otworzyło się przed nami niebo, a raczej drzwi – wyszła przez nie

nobliwa staruszka z laseczką i włosami upiętymi w kok.

Na widok kominiarek i tarana cofnęła się o kilka kroków, zaraz jednak zrozumiała, co się dzieje.

– Wpuści nas pani? – zapytałem, podnosząc kominiarkę.

Wszyscy obecni natychmiast skorzystali z okazji i oślepiłi mnie fleszami.

– Oczywiście, proszę wchodzić – odparła zaskakująco ochryplym głosem.

Wspaniale, nie musieliśmy wyważać drzwi na oczach tylu reporterów. Babuleńka wpuściła nas do środka, wyszła na ulicę i z uśmiechem pomachała do kamer. Kiedy zamknęła drzwi, gwar dobiegający z zewnątrz ucichł. Zapanował błogosławiony spokój.

Wjechaliśmy windą na czwarte piętro i zadzwoniliśmy do mieszkania po lewej stronie korytarza.

– Tasio! – krzyknąłem, waląc w drzwi. – Możesz otworzyć? Jesteś tam?

Nikt nie odpowiadał; Estíbaliz straciła cierpliwość, złapała za tylny uchwyt tarana i na trzy uderzyliśmy w pancerne drzwi.

Zaszczękały mi zęby, ale drzwi ani drgnęły. Dopiero po kilku natarciach zamek ustąpił i mogliśmy wejść do mieszkania.

Zaczęliśmy je systematycznie przeszukiwać, sprawdzaliśmy na przemian kolejne pomieszczenia.

Obeszliśmy wszystkie pokoje; chociaż meble świadczyły o zamożności właściciela, po dwudziestu latach wyglądały staromodnie.

Nie wiedziałem, co powinienem myśleć, kiedy zobaczyłem w salonie rodzinne zdjęcia Tasia i Ignacia, zawsze razem, objętych, od dziecka identycznie ubieranych. Sfotografowałem te, na których byli ich rodzice. Pomyślałem, że może mi się przydadzą.

Weszliśmy do sypialni, pootwieraliśmy szafy i szuflady. Nikt nie zabrał garniturów, które Tasio nosił, zanim trafił do więzienia. Moją uwagę zwróciło nieposłane łóżko, nie pasowało do porządku pasującego w pozostałych pomieszczeniach. W koszu na śmieci znaleźliśmy resztki zamówionego do domu jedzenia. Wyobraziłem sobie rozpacz, jaką musiał czuć Tasio: przez dwadzieścia lat marzył o tym, żeby cieszyć się swoim miastem, a, koniec końców, musiał ukrywać się w mieszkaniu i nie mógł nawet zejść na *pintxos* do któregoś z barów przy Dato.

Wyglądało na to, że spędził dużo czasu w swoim gabinecie – słynnym gabinecie, w którym znaleziono torebkę z liśćmi cisu ukrytą za *eguzkilore*. Na błyszczącym blacie nie było ani drobinki kurzu, gliniany *eguzkilore* trafił do

kosza na śmieci, w rogu biurka piętrzyły się książki poświęcone archeologii Álavy.

– Mieszkał tu przez ostatnie dni, technicy monitorujący bransoletkę elektroniczną potwierdzają, że nigdzie nie wychodził – zauważyła Estíbaliz. – Boże, bransoletka! Musimy ją znaleźć. Sygnał wskazuje, że nadal jest gdzieś w tym mieszkaniu.

– Sygnał wskazuje, że jest w tym mieszkaniu razem z Tasiem – sprostowałem zaniepokojony. – Mam nadzieję, że nie zamurowali go w ścianie ani nic w tym rodzaju.

– Nie opowiadaj takich makabrycznych historii – szepnęła Esti.

Na wszelki wypadek weszła jednak do łazienki i odsunęła zasłonę prysznicza.

– Zaczekaj – powiedziała w zamyśleniu. – Muszę coś sprawdzić.

Poszedłem za nią do sypialni.

Odkryła skłębioną kołdrę: pod nią leżały bransoletka z lokalizatorem i nadajnik przypominający małą czarną papierośnicę.

– Dzwon do wydziału dozoru elektronicznego. Ten cwaniak nam zwiął – powiedziała, łapiąc się pod boki.

– Albo ktoś zmusił go do ucieczki. Przyjrzyj się dobrze.

Zapaliłem lampkę nocną, żeby lepiej widzieć, założyłem lateksową rękawiczkę i poprosiłem Esti, żeby obejrzała z bliska czarną plastikową bransoletkę podobną do zegarka elektronicznego. Pasek został równo przecięty nożykiem albo innym ostrym narzędziem.

– Wygląda jak krew. Zadzwoń po techników, trzeba pobrać próbki. Mają DNA Tasia od dwudziestu lat, od kiedy w ciele dziewczyny znaleziono jego nasienie. Możemy poprosić także o próbkę krwi Ignacia, żeby sprawdzić pokrewieństwo. Ślady są po wewnętrznej stronie bransoletki, moim zdaniem ktoś go zranił, przecinając ją od zewnątrz.

– Albo sam to zrobił – zaprotestowała moja koleżanka.

– Gdybyś to ty miała na kostce mocno zaciśniętą opaskę, nie uważałabyś, żeby się nie skaleczyć? Trzeba być strasznym ciamajdą, żeby samemu zranić się nożykiem, a Tasio nie wygląda na ciamajdę.

– Tak czy inaczej, musimy zadzwonić w kilka miejsc i poinformować podkomisarz. Dyrektorka więzienia czeka na nasz telefon. Tu już raczej nic się nie kroi.

– Dobrze powiedziane – mruknąłem zafrasowany.

– Dobrze powiedziane.

Naciągnąłem na twarz niewygodną kominiarzkę, świadom, że wyglądam w niej okropnie. Zabezpieczyliśmy taśmą wyważone drzwi i ruszyliśmy schodami na dół.

– Niezależnie od tego, co wydarzyło się tam na górze, jak, do licha, Tasio zdołał wyjść z kamienicy, wszystko jedno, czy o własnych siłach, czy nogami do przodu? Patrol pilnujący wejścia niczego nie zauważył – powiedziałem, kiedy zeszliśmy na parter.

– Chyba że nie wyszedł drzwiami kamienicy z numerem jeden. Podsunąłem mi pewien pomysł. Sprawdzę na Google Maps. – Wyjęła komórkę i zaczęła stukać w wyświetlacz z ponaddźwiękową prędkością.

Ustawiła widok 3D: naszym oczom ukazał się kwartał budynków widziany z lotu ptaka. Miał kształt trapezu wyznaczonego przez ulice General Álava, równoległą Postas oraz plac Fueros. Nas interesowały jednak niewidoczne trzewia: labirynt utworzony przez wewnętrzne patia. Odkryliśmy, że ulice Postas i General Álava są połączone przejściem wychodzącym z jednej strony na pocztę, a z drugiej na przeszklony budynek, w którym niegdyś mieścił się urząd skarbowy.

– Jasna cholera! – wykrzyknęła Estíbaliz. – Facet uciekł przez Galerię Ítaca.

Galeria Ítaca to niezbyt długi pasaż handlowy mieszczący się na parterze budynku. Teoria Esti trzymała się kupy, mimo to nie byłem do końca przekonany.

Obeszliśmy się: za schodami znajdowały się drzwi ukryte pośród pokrywającej ściany boazerii.

Estíbaliz szarpała je, dopóki nie ustąpiły. Wyszliśmy na wewnętrzne patio.

W rogu dostrzegliśmy przeszklone drzwi zakryte brązowym papierem pakowym. Były lekko uchylone: popchnąłem je ramieniem i znaleźliśmy się na zapleczu lokalu do wynajęcia. W skąpym świetle, które wpadało do środka, wyglądał jak wszystkie nieczynne sklepy, opuszczone w pośpiechu z powodu braku pieniędzy. Biała lada z melaminy z połamanymi szufladami, kilka porzuconych w kącie wiklinowych koszy, plakaty przedstawiające kwiaty i bukiety poprzypinane pinezkami do ścian pomalowanych na żółto farbą strukturalną.

– Z tego, co pamiętam, kiedyś była tu kwiaciarnia, prawda? – zapytałem.

– Trzeba zbadać wszystkie zamki, może znajdziemy jakieś odciski – stwierdziła Esti, pochylając się nad klamką drzwi wejściowych.

Były zabezpieczone od zewnątrz łańcuchem zamkniętym na kłódkę, ale kiedy je popchnąłem, ustąpiły bez większego oporu. Łańcuch opadł na marmurową podłogę z metalicznym dźwiękiem i zwinął się niczym kobra.

– Wygląda na to, że masz rację. Trzeba zawiadomić właściciela lokalu. Ktoś przeciął łańcuch, prawdopodobnie nożycami do metalu. – Zamknąłem drzwi. – Powinniśmy też poinformować prezesa wspólnoty mieszkaniowej: w tej chwili każdy może wejść do kamienicy od strony galerii jak do własnego domu.

– Chętnie wyszłabym tą galerią, niech ci wszyscy dziennikarze czekają tam sobie na nas w nieskończoność – powiedziała Esti z chytrym uśmiechem.

– Hm... Podoba mi się twój plan. Ale musimy być odpowiedzialni. Jeżeli nie wyjdziemy od strony Dato, ktoś się domyśli, że odkryliśmy drugie wejście. Gdyby Tasio albo ten, kto go uprowadził, śledził nasze kroki, dalibyśmy mu ceną przewagę. A ja nie zamierzam dawać już najmniejszej przewagi gościowi, który za tym wszystkim stoi.

– Szkoda – westchnęła.

Wróciliśmy do sieni i założyliśmy kominiarki. Grzecznie wyszliśmy na ulicę Dato, gdzie niecierpliwie czekała na nas prasa.

– Mogą nam państwo potwierdzić, że Tasia nie ma w mieszkaniu? – krzyknęli chórem wszyscy dziennikarze.

Pochyliliśmy głowy i utorowaliśmy sobie drogę do samochodu, niemal odpychając łokciami kamerzystów, którzy nie chcieli nas przepuścić.

– Więzień zbiegł? Mogą to państwo potwierdzić? – nie dawali za wygraną niektórzy, w nadziei, że udzielimy jednak jakichś informacji.

Zatrzasnęliśmy im przed nosem drzwi radiowozu i wróciliśmy na komendę, gdzie czekała na nas podkomisarz Salvatierra. Z założonymi rękami krążyła po swoim gabinecie jak lwica zamknięta w klatce.

– A więc Tasia nie ma w mieszkaniu – stwierdziła, kiedy weszliśmy.

– Znaleźliśmy bransoletkę przeciętą prawdopodobnie nożykiem z łamanym ostrzem albo innym podobnym narzędziem oraz plamę przypominającą krew. W mieszkaniu są już technicy, szukają odcisków palców i innych śladów – przyznałem z ociąganiem.

– Pierwsze wrażenia?

– Moim zdaniem albo ktoś go uprowadził, albo Tasio chciał, żebyśmy tak myśleli, i dlatego zostawił ten ślad krwi – odparłem, siadając na krześle.

– Przekonałam sędziego, żeby wydał list gończy. Wzmocnimy kontrole na

lotniskach, stacjach kolejowych i dworcach autobusowych. Sprawdzimy też firmy wynajmujące samochody. Zawiadomiliśmy już straż na granicy z Francją i Portugalią oraz w Melilli. Mają tu państwo komunikat dla prasy. Jest bardzo ogólny. Tasio albo ten, kto go uprowadził, na pewno go przeczyta. Martwi mnie jedna rzecz, nie wiem, czy zwrócili państwo na to uwagę: Tasio ma czterdzieści pięć lat, prawda?

– Myśli pani, że może być kolejną ofiarą?

Alba rzuciła mi ukradkiem jedno z tych swoich spojrzeń parzących jak rozżarzone żelazo.

– Wcześniej będzie jeszcze inna podwójna zbrodnia, której powinni państwo zapobiec: zabójstwo czterdziestolatków. Sprawa coraz bardziej się komplikuje.

Na tym nie kończyły się nasze problemy.

Godzinę później odebrałem telefon od ostatniej osoby, którą spodziewałem się usłyszeć tego dnia.

Dzwonił Garrido-Stoker, adwokat Ignacia.

– Inspektor Ayala?

– Tak, o co chodzi?

– Mam złe wieści. Od dwudziestu czterech godzin nie mam kontaktu z moim klientem, don Ignaciem Ortizem de Zárate.

– Co takiego? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Przecież był w pańskim domu, monitorowany przez kamery. Jak to się mogło stać?

– Ja także nie potrafię sobie tego wyjaśnić, tym bardziej że przez ostatnie dni wspólnie opracowywaliśmy ewentualne linie obrony. Zamierzam zgłosić jego zaginięcie na policji. Chociaż na nagraniu widać, że opuszcza posiadłość o własnych siłach, jego zachowanie wydaje się podejrzane. Mam wrażenie, że spotkało go coś niedobrego. Nie skontaktował się ze mną, żeby udzielić mi wyjaśnień, nie odbiera ode mnie telefonów i nie odpisuje na moje mejle. Dopuszczam możliwość, że mnie oszukał, wyprowadził w pole; każdy jest do tego zdolny, nawet najbliższe nam osoby. Zapewniam pana, że zważywszy na mój zawód, nie jestem skłonny za kogokolwiek ręczyć, ale jeżeli chce pan znać moje zdanie w tej sprawie, zarówno jako prawnika, jak i przyjaciela Ignacia, musiało się wydarzyć coś nieoczekiwanego, co skłoniło go do opuszczenia posesji.

Teraz Ignacio, pomyślałem, próbując przetrwać usłyszane informacje.

– Co dokładnie widać na nagraniu? – zapytałem i zmusiłem się do

skupienia myśli.

– Wczorajszy ranek spędziłem w kancelarii. Jak zwykle zjedliśmy razem śniadanie, potem Ignacio zszedł do siłowni w piwnicy, gdzie przez jakieś czterdzieści pięć minut pedałowal na rowerku i ćwiczył z ciężarkami. Codziennie robi sobie taki trening. Kiedy skończył, wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Potem ktoś do niego zadzwonił albo wysłał mu wiadomość, bo spojrzal na wyświetlacz komórki. Jak już panu mówiłem, na czas pobytu w moim domu zamierzał odciąć się od świata. Wziął telefon i z uwagą mu się przyglądał, ale na nagraniu nie widać, co jest na ekranie. Potem podniósł komórkę do ucha i przez chwilę z kimś rozmawiał. Z jego mowy ciała wnioskuję, że to, co usłyszał, musiało go bardzo zdenerwować: chodził wzduż łózka, łapiąc się za głowę. Rozłączył się, otworzył szufladę szafki nocnej, wyjął z niej portfel i paszport, wyszedł z domu, przeciął ogród i opuścił teren mojej posesji. Kamery na zewnątrz willi nagrały, jak oddala się w stronę centrum San Sebastián. Zaraz wyślę państwu płyty.

– Co pan o tym myśli, mecenasie?

– Widzę dwie możliwości: albo otrzymał wiadomość z nieznanego numeru, z którego chwilę później do niego zadzwoniono, albo zadzwonił ktoś, kogo miał zapisanego w książce telefonicznej, ale czyjego telefonu się nie spodziewał.

Jest mało prawdopodobne, żeby Tasio miał komórkę dwadzieścia lat temu, więc to nie on do niego dzwonił, pomyślałem.

– Mogę liczyć na pana dyskrecję w kontaktach z prasą? Dobrze pan wie, że bez względu na to, co spotkało pańskiego klienta, środki przekazu wymyślą tysiąc teorii, a po ukazaniu się zdjęć Ignacia z nastolatką opinia publiczna raczej mu nie sprzyja. Bardzo by nam zależało, żeby nie wyciekła informacja, że miejsce pobytu Ignacia jest nieznane. Na razie nie potwierdzono oficjalnie wcześniejszych spekulacji. Dałby nam pan pole manewru.

– W pełni się z panem zgadzam, inspektorze.

– Wobec tego do usłyszenia. Gdyby dowiedział się pan czegoś nowego albo Ignacio spróbował się z panem skontaktować, proszę mnie natychmiast powiadomić. Szybka reakcja będzie w tej sprawie kluczowa.

– Rozumiem. Tak zrobię – odparł prawnik.

Poszedłem do gabinetu Estíbaliz, która wpatrywała się w skupieniu w monitor komputera. Podniosła głowę; z tego, jak zmarszczyła czoło na mój widok, wywnioskowałem, że muszę mieć nietęgą minę.

– Jakie wieści mi przynosisz, Kraken? Wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny.

– Obawiam się, Esti, że to rzeczywiście prawdziwa wojna – odparłem; to, co przed chwilą usłyszałem, jeszcze nie do końca do mnie dotarło.

– Mów, nie trzymaj mnie w niepewności.

– Ignacio także zniknął. Odebrał jakiś telefon albo wiadomość i ku zdumieniu prawnika bez słowa wyjaśnienia opuścił swoją kryjówkę w San Sebastián. To było wczoraj rano. Teraz brakuje nam już dwóch czterdziestopięcioletnich bliźniaków. Tasio mógł wywabić brata, żeby go zabić, albo zaprosić go do mieszkania, i to Ignacio zdjął mu bransoletkę i pomógł uciec – myślałem na głos.

– Pytanie brzmi: co w tym momencie mamy? Dwóch podejrzanych, dwie ofiary czy mordercę i ofiarę?

PRZEŁĘCZ AIURDIN

Izarra, marzec 1989

Była środa, minęły trzy dni. Autobus podskakiwał na szosie przecinającej przełęcz Aiurdin, omijając kupki śniegu zalegające na niektórych odcinkach.

Nancho niespokojnie wyglądał przez okno. Kiedy siedział, bolało go zebro, rozejrzał się jednak dookoła i doszedł do wniosku, że nie uda mu się odbyć podróży na stojąco: kierowca na pewno zwróciłby mu uwagę, a pozostali pasażerowie kazaliby usiąść. Zacisnął zęby i zajął jedno z wolnych miejsc.

Miał dosyć zaciskania zębów, co mu jednak pozostało?

Dotarł do gospodarstwa wczesnym popołudniem. Jego rodzeństwo pewnie wróciło już ze szkoły, a *aitas* będą w domu, jeżeli nie dostali żadnej roboty. Było mu przykro, że zniknął w taki sposób, musieli odchodzić od zmysłów.

Pierwszej nocy po pobiciu, którą spędził w komórce jednorękiego z cmentarza, długo nie mógł zasnąć przekonany, że *aita* zawiadomił policję i że go szukają. Wymyślał coraz to nowsze usprawiedliwienia, choć miał świadomość, że nie brzmią zbyt wiarygodnie.

Nie chciał wracać do Vitorii, nie chciał mieć nic wspólnego z tymi bogaczami, którzy najpierw narobili mu nadziei, a potem wrzucili go do pustego grobu. Niech idą do diabła, nic go z nimi nie łączy, należy do rodziny, która opiekowała się nim od urodzenia. Postara się być dobrym synem, zręczniejsz obsłużyć ule, zajmować się Idoią i Andonim zawsze, kiedy poproszą go o to *ama* i *aita*.

Kiedy wszedł na podwórze przed domem, dzieci grały w *cromos*^[19].

– Cześć, Idoia! Twój brat wrócił, nie uściskasz mnie?

Dziewczynka spojrzała na niego z niechęcią i wróciła do gry. Często traktowała go jak powietrze. Nancho myślał, że to dlatego, że nie umie postępować z kobietami, a tym bardziej z małymi dziewczynkami, ale musiał przyznać, że także Andoni za nim nie przepadał. Nie chciał go słuchać, kiedy kazał mu iść spać, a gdy zostawali sami, kopał go w pizsczele. *Ama* za bardzo go rozpieszczała, zawsze go usprawiedliwiała, kiedy drapał Nancha po twarzy

nieobciętymi paznokciami.

Wszedł po schodach, z piętra dobiegały głosy. Zapukał do drzwi sypialni rodziców. Wyglądało na to, że się kłócili, zresztą jak zwykle.

– *Aita*, mogę wejść? – zapytał cicho.

– Mówiłem ci tysiące razy, że nie jestem twoim *aitą*! – krzyknął ojciec, wstając z łóżka. Zdjął roboczą koszulę, był w samych spodniach i starym białym podkoszulku. – Jak śmiesz wracać do tego domu po tym, jak w niedzielę okradłeś nas i zniknąłeś? Co jest, chcesz *wziąć* więcej pieniędzy? O to ci chodzi?

– Nie, *ai*... Venancio – powiedział, pochylając głowę. Ze wstydu zrobił się czerwony jak burak. – Wszystko wam wyjaśnię, zwrócę wam te czterysta peset, ja...

– Gdzie byłeś? Przyznaj się, piłeś i szwendałeś się po okolicy? Co, czyżby paniczekowi znudziła się praca w pasiece? – Podeszedł do chłopaka, owijając wokół pięści skórzany pasek.

Nancho spojrzał na niego spod oka i przełknął ślinę. Nie cierpiał tego paska, metalowa sprzączka zostawiała ślady na plecach, musiał potem tygodniami grubo się ubierać, żeby w Izarze nie wyśmiewali się z niego na widok sińców.

Venancio nie był zbyt krzepki, ale Nanchowi nigdy nie przyszło do głowy, że jest już wystarczająco duży i silny, żeby mu się postawić. Tym razem również tego nie zrobił. Upadł na podłogę, skupiając spojrzenie na *amie*, która siedziała na łóżku i niewidzącym wzrokiem wyglądała przez małe okienko. Wiedział, że się za nim nie wstawi: nigdy tego nie robiła. Nie miał jej tego za złe, ona też czasem obrywała. Wstała, minęła go bez słowa i cicho zeszła po schodach – przeczuwała, że tego wieczoru Nancho nie będzie w stanie zrobić kolacji ani zająć się dziećmi.

Szukał w myślach jakiegoś miłego wspomnienia, którego mógłby się uczepić. Naraz przypomniał sobie, co powiedziała mu jego prawdziwa matka, tamten biały anioł: „To nigdy nie jest twoja wina”.

To nigdy nie jest moja wina, pomyślał.

Pierwszy raz w życiu było mu wszystko jedno. Wybuchnął głośnym śmiechem, wyzwolony.

Nigdy nie czuł się tak dobrze.

Zdezorientowany Venancio przestał okładać go pasem.

– Co jest, do jasnej cholery? Przygłup jakiś z tego dzieciaka...! Masz

czelność przychodzić pijany do tego domu? – krzyknął.

Teraz był naprawdę wściekły. Uderzył go mocniej, tak jak jego ojciec bił batem mąły, kiedy nie chciały iść dalej kamienistą drogą.

Nancho przestał się śmiać, zrozumiał, że ta bestia nie przestanie go okładać, jeśli nie zamilknie, jednak wreszcie poczuł w sobie siłę. Siłę, żeby zmienić swoje życie. Nigdy nie myślał, że to może zależeć od niego.

Leżał nieruchomo, żeby wystraszyć ojca. Po chwili Venancio przestał go bić. Pomyślał, że chłopak może wcale nie jest taki wytrzymały, jak myślał. Trącił go nogą, wołał się nad nim nie pochyłać: zawsze budził w nim odrazę. Kiedy przyniosła go tamta pielęgniarka, jego żona nalegała, że przyda im się pomoc w gospodarstwie. Dawne dzieje.

Venancio nie bardzo wiedział, co robić, zostawił go więc leżącego przy łóżku i zszedł na kolację. Później pomyśli, jak go ukarać, żeby więcej nie podwędzał mu forsy i nie uciekał pić.

Nancho spoglądał na sufit, który swego czasu był biały. Poczuł się wygnany. Z jednej rodziny, z drugiej, z Vitorii, z Izarry. Zewsząd. Jak Adam i Ewa z historii, którą opowiedział mu don Tiburcio, ukarani za popełnienie haniebnego grzechu.

Odczekał, aż w kuchni na dole ucichnie odgłos łyżek uderzających o talerze. Uśmiechnął się w ciemnościach. Tak po prostu, bo chciał, bo nikt nie mógł mu tego zabronić. Czuł się z tym wspaniale.

Pierwszy raz nie odpędził od siebie mrocznych myśli, które nachodziły go za każdym razem, kiedy skąpy Venancio obrzucał go wyzwiskami, kiedy jego leniwa żona kazała mu robić kolację i zlecała tysiące innych zadań, kiedy ich rozpuszczone dzieciaki nie zwracały na niego uwagi.

Zazdrościł bliźniakom, chciał być jak oni, urodziwi, obrzydliwie bogaci, mieć jedną z tych pannic jak malowanie. I postanowił, że będzie taki jak oni: będzie kimś, kogo nie obchodzi, że omal nie zabił drugiego człowieka, bo wie, że nikt go za to nie ukarze.

Właśnie tego pragnął Nancho: władzy, żeby robić wszystko, na co przyjdzie mu ochota, z nikim się nie licząc.

Chwilę później usłyszał czyjeś zmęczone kroki wspinające się po trzeszczących schodach, które tyle razy naprawiał. Instynktownie zeszytywniał, okazało się jednak, że to tylko *ama*.

Weszła do ciemnego pokoju i pochyliła się nad nim.

Może chociaż jej na mnie zależy, pomyślał; było mu wstyd, że ułożył sobie

w myślach taki nikczemny plan.

– Nancho, mam migrenę, wstańże wreszcie i połów spać dzieciaki – powiedziała, nie zapalając światła. – Wyszędłbyś już z pokoju, chcę *ubrać* nocną koszulę. Pytałam się Venancia, odpracujesz te czterysta peset, będziesz naprawiał dachy z Josem Marim, tym, co to mieszka przy szosie.

– Dobrze, *ama* – odparł.

Czuł się jednak inaczej, uśmiechał się w mroku, bawiło go, że ona niczego nie widzi.

– Nie nazywaj mnie tak, nie jestem twoją matką – powtórzyła mu kolejny raz.

– Nie martw się, *ama*, ostatni raz cię tak nazwałem – odpowiedział niemal wesołym tonem i z trudem wstał z podłogi.

Potem wróć, pomyślał.

W ciągu następnej godziny – ostatniej, jaką spędził w tym gospodarstwie, zanim starł je z powierzchni ziemi – umył zęby dzieciakom, które narzekały na smak pasty, włożył im pizamy, które wkrótce z nich zedrze, i zgodził się, żeby spały w jednym łóżku, bo bały się Sacamantecasa, o którym usłyszały w szkole.

Kiedy wreszcie dom pogrążył się w ciszy, poszedł do pasieki i zabrał podręczniki, których postanowił nauczyć się na pamięć. Nikt nie nazwie go już nigdy głupim wsiakiem.

Pojedzie do miasta, będzie ich naśladował, będzie taki jak oni.

Później otworzył czerwone metalowe pudełko po herbatnikach, gdzie ojciec trzymał grube zwoje banknotów po pięć tysięcy peset każdy, których wolał nie wpłacać na książeczkę oszczędnościową. Spakował swoje rzeczy do dużego górskiego plecaka, który nosił, kiedy całą rodziną wspinali się pod krzyż na Gorbei, wziął z szopy beczułki z olejem napędowym i spokojnym krokiem ruszył w stronę uli.

42

MURGUÍA

13 sierpnia, sobota

Twitter eksplodował, kiedy wyszło na jaw, że Tasio nie wrócił do więzienia. Wiele osób podeszło do sprawy z humorem: nowym *trending topic* tego ranka stało się #widziałemTasia. Ludzie widzieli faceta przypominającego Tasia w najróżniejszych miejscach. Niektórzy wrzucali nieostre zdjęcia albo prymitywne fotomontaże zrobione za pomocą Photoshopa. Jedne były śmieszne, inne makabryczne.

#widziałemTasia w dzielnicy Zaramaga, #widziałemTasia wcinającego *pintxos* na ulicy Laurel w Logroño, #widziałemTasia z Elvisem nad Loch Ness.

Cholernie zabawne.

Dwóch bliźniaków zaginionych w akcji, policja pilnująca granic, poszukiwania na szeroką skalę obejmujące prowincje Álava i Guipúzcoa.

Najgorsze było poczucie, że nie można nic więcej zrobić, że straciliśmy bohaterów tej sztuki, którzy – choć nie zdawali sobie z tego sprawy – prawdopodobnie byli kluczem do rozwiązania zagadki.

Estíbaliz okazała się bardziej praktyczna niż ja. Nie umiała siedzieć z założonymi rękami, zanurkowała więc w księgach stanu cywilnego okolicznych wiosek i przez cały ranek nie wychyliła głowy na powierzchnię, próbując wyczytać coś między wierszami.

– Znalazłam niejakiego Venancia Lopidanę urodzonego w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku w Llodio, zmarłego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym w Izarze. Co ciekawe, jego żona, pochodząca z Izarry Regina Muñoz, żyła dokładnie w tych samych latach. Oboje mieli po czterdzieści pięć lat. Skoro zmarli tego samego dnia, nie mogła to być śmierć naturalna – powiedziała triumfującym tonem, wsuwając rudą głowę przez drzwi mojego gabinetu.

– Czyli mamy osiemnastoletniego Venancia, który nie pojawia się w żadnej księdze, i czterdziestopięcioletniego Venancia Lopidanę, który zginął wraz

z żoną w czasie, kiedy Blanca Díaz de Antoñana szukała syna i kiedy bliźniacy pobili rudzielca podającego się za ich brata.

– Jeśli wierzyć opowieści twojej ciotecznej babki...

– Mojej ciotecznej babki, ogrodnika z cmentarza i Aitany Garmendii. Ich świadectwa się pokrywają, uzupełniają i są zgodne co do czasu wydarzeń, a to oznacza przynajmniej tyle, że do nich doszło. Inna sprawa, czy mają cokolwiek wspólnego z morderstwami. Niewykluczone, że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło: bliźniacy mają brata oddanego do nielegalnej adopcji, który upomniał się o swoją część spadku i którego pobili, ale na tym koniec. Chłopak śmiertelnie się wystraszył, może ukrywa się teraz w lasach porastających Gorbeę, pasie owce i nadal nie ma dokumentów.

– Myślisz, że młody Venancio nie miał dokumentów?

– Może właśnie dlatego nie ma na jego temat żadnych informacji. Adopcji dokonano nielegalnie, nie podpisano żadnych papierów. Noworodek oddany matce, która wcześniej nie była w ciąży. Pewnie rodzice nie wiedzieli, jak to zalegalizować, dlatego nie wyrobili mu dokumentów.

– Co za ignoranci! Wracając do daty śmierci Lopidanów: moglibyśmy sprawdzić w starych gazetach, czy w Izarze nie doszło w tym czasie do jakiegoś śmiertelnego wypadku – zaproponowała.

– Moglibyśmy. A w zasadzie powinniśmy, ale proponuję, żebyśmy zamiast tego pojechali do Izarry i popytali sąsiadów. To małe miasteczko, ludzie na pewno ich znali, znajdziemy kogoś, kto chętnie udzieli nam informacji.

Pochodziliśmy trochę po Izarze, żeby poznać okolicę. Tory dzieliły miasteczko na dwie części; prawa wyglądała znacznie bardziej nowocześnie, znajdowały się tu trzypiętrowe bloki i nowe sklepy.

Przeszliśmy kładką nad torami i znaleźliśmy się w części przypominającej wieś, z uroczymi biało-czerwonymi, świeżo odnowionymi domkami. Szukając kościoła, trafiliśmy na plac, gdzie mieszkańcy przychodzili z wnukami, żeby spędzić popołudnie na świeżym powietrzu.

– Dzień dobry, pani jest stąd? – zapytała Estíbaliz mniej więcej sześćdziesięcioletniej kobiety, która goniła malca uciekającego na trójkołowym rowerku, próbując nakarmić go słodką bułką.

– Tak, jestem stąd. Zgubiliście się? – zapytała i zatrzymała się, żeby złapać oddech.

– Nie do końca, szukamy kogoś z rodziny Lopidanów.

– Uf... W tym akurat nie mogę państwu pomóc. Jako młoda dziewczyna

wyjechałam na studia do Vitorii, wróciłam tu dopiero po przejściu na emeryturę, ale może mój ojciec ich zna. Nazywa się Casto, proszę go zapytać.
– Wskazała jednego z dwóch starsuszków, którzy siedzieli na ławce pogrążeni w myślach.

– Don Casto? – zapytałem.

– Po prostu Casto, nie jestem burmistrzem – powiedział, zanosząc się śmiechem.

Miał wysuniętą brodę, która nadawała mu wygląd potomka Habsburgów.

– Spędził pan w Izarze całe życie?

– Ano całe. Wyjechałem tylko raz, kiedy wezwano mój rocznik do bitwy pod Villarreal.

– Czyli musi być pan w wieku mojego dziadka. – Kiedy przesunął się, żeby zrobić mi miejsce, usiadłem obok na ławce. – Proszę mi powiedzieć, znał pan Lopidanów?

– Tych od uli?

– Tak, właśnie tych. Venancia Lopidanę i jego żonę.

– Dobry Boże! Że też ktoś jeszcze o nich pyta! Toż to wachają kwiatki od spodu, od nie pamiętam jak dawna...

– Wie pan, czy został tu ktoś z ich rodziny, z kim mógłbym porozmawiać?

– A gdzie tam, wszyscy czworo zginęli w tamtym pożarze.

Wymieniłem szybkie spojrzenie z Estíbaliz.

– Czworo? – powtórzyłem.

– Tak, Regina, ten raptus Venancio i dwoje dzieci, które urodziły im się, kiedy byli już starszawi. Chłopczyk i dziewczynka.

– Nie miałem pojęcia, że był jakiś pożar. Gdzie dokładnie?

– Tu, w ich gospodarstwie. – Obrócił się i wskazał za siebie. – Nic się nie ostało. Dom leżał w gruzach przez kilka lat, potem na jego miejscu wybudowano hotel Doña Lola. Nazwano go tak od cisu doñi Loli, który rośnie tu od zawsze i teraz jest jednym z tych drzew, co to są pod ochroną. Niektórzy przyjeżdżają z daleka, żeby go sfotografować, a potem jadą robić zdjęcia gdzie indziej, mało kto zagląda do miasteczka.

– A pamięta pan rudego chłopaka, który z nimi mieszkał?

– Nancho, ten od uli.

– Właśnie.

– Raz skosił mi pole, dałem mu spodnie, trochę za ciasne, bo chłopak był przy kości, ale Lopidanowie nie kupowali mu żadnych ubrań. Z tego, co pamiętam, uciekł jeszcze przed pożarem. Venancio kipiał ze złości, rozgłosił to w całym miasteczku. Nic dziwnego, podsyłał chłopaka każdemu jako wyrobnika, a sam brał jego dniówkę.

– Wie pan... czy przeprowadzono śledztwo w sprawie pożaru? Czy to było podpalenie, czy przyjechała policja?

Wzruszył ramionami.

– Przyjechać przyjechała. Wszystkich rozpytywali... Potem odjechali, a w miasteczku mówiło się, że ogień powstał od iskry, że mieli jakieś zepsute instalacje, ale Venancio był takim kutwą, że żałował pieniędzy. Drogo zapłacił za swoje sknerstwo.

– Bardzo panu dziękuję, Casto. Miło było z panem chwilę pogawędzić.

– Do zobaczenia. – Zaśmiał się ze swojego żartu, jakby był pogodzony z tym, że w jego wieku każde spotkanie jest tym ostatnim.

Jeszcze tego samego popołudnia złożyliśmy wniosek o dostęp do raportu z 1989 roku w sprawie pożaru w Izarze. Już wówczas tamta część Álavy podlegała komendzie w Vitorii, po przeprowadzce do nowej siedziby w dzielnicy Lakua stare akta trafiły do archiwum na parterze.

Wkrótce przyniesiono dokumenty do gabinetu Estíbaliz. Rzuciliśmy się na nie z zachłannością godną ćpunów lub zmartwychwstałych.

Sędzia wszczął postępowanie w związku z raportem straży pożarnej z Murguúi, która znalazła ślady wskazujące na to, że mogło dojść do podpalenia.

Na miejscu zdarzenia zjawili się technicy kryminalistyki, którzy sfotografowali dom i ofiary.

Raport informował, że w małżeńskim łóżu na drugim piętrze znaleziono częściowo zwęglone nagie włoki mężczyzny i kobiety w wieku czterdziestu pięciu lat. Zostały zidentyfikowane jako Venancio Lopidana i Regina Muñoz.

W drugiej sypialni, na pierwszym piętrze, odkryto ciała dwojga pięciolatek. Chociaż włoki były w gorszym stanie z powodu bliskości parteru, gdzie wybuchł pożar, udało się ustalić, że byli to Idoia i Andoni, dzieci zmarłej pary.

Brano pod uwagę dwie hipotezy.

Według pierwszej ogień podłożył Venancio Lopidana, po czym

zamordował całą rodzinę i popełnił samobójstwo.

Po przesłuchaniu mieszkańców Izarry wyszło na jaw, że dopuszczał się w domu przemocy, chociaż żona nigdy nie zgłosiła tego na policję, i że często wpadał w szał, gdy dochodziło do zatargu z którymś z sąsiadów. Sprzeczki dotyczyły na ogół umiejscowienia słupków wyznaczających granice należącej do niego ziemi i drobnych długów w tamtejszym barze. Nikt nie lubił robić z nim interesów, mieszkańcy twierdzili natomiast, że wytwarzał doskonały miód.

Zgodnie z tą niepotwierdzoną hipotezą Venancio zabił dzieci i żonę z powodu problemów z dłużnikami, a później popełnił samobójstwo.

Drugi trop wskazywał na instalacje elektryczne w złym stanie. Pożar wybuchł na parterze, w miejscu, gdzie składowano olej napędowy, który mógł przyspieszyć rozprzestrzenianie się ognia wywołanego przez iskrę. Według tej hipotezy ofiary nawdychały się we śnie spalin, straciły przytomność i spłonęły.

Zwłoki przewieziono do Baskijskiego Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie przeprowadzono autopsję. Zważywszy na stan, w jakim znajdowały się ciała poddane działaniu wysokiej temperatury, trudno je było nawet zidentyfikować.

Ponieważ nikt nie zgłosił się po zwłoki, sprawa została zamknięta.

Wziąłem głęboki oddech, zanim spojrzałem na zdjęcia. Widok zwęglonych ciał zawsze był dla mnie szczególnie przykry. Tym razem jednak opłaciło się to nieprzyjemne doświadczenie: kiedy zobaczyłem zwłoki Venancia i jego żony, a raczej to, co z nich zostało, zyskałem pewność, że wreszcie podążamy w dobrym kierunku.

Wreszcie do przodu.

– Popatrz, Esti. – Pokazałem czarne dłonie. – To mógł być początek serii.

Znowu ten sam gest: dłoń na policzku partnera. Venancio i jego żona spłonęli właśnie w tej pozycji. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie buczyne na zakręcie przed Bajauri – potrzebowałem jakiegoś świeżego wspomnienia, które wymazałoby to, co przed chwilą zobaczyłem, żeby zwęglony Venancio nie wcisnął się tej nocy do moich sennych koszmarów.

– Poszukaj zdjęć dzieci, może będzie jakieś zbliżenie na głowy – rozkazała mi Esti, wstrzymując oddech.

Nie chciałem oglądać fotografii chłopca i dziewczynki, wolałem myśleć, że to nie będzie konieczne. Wiem, czasem zachowuję się jak dziecko.

Otoczyłem się pięcioma warstwami obojętności i rozłożyłem wachlarz zdjęć.

Odszukaliśmy te wykonane pod najlepszym kątem: dzieci, śpiące jedno przy drugim, dotykały nawzajem swoich policzków, jedno lewą, drugie prawą dłońią.

– Może tak to się zaczęło – pomyślałem na głos. – Może to była jego pierwsza zbrodnia. Potem stał się bardziej wyrafinowany, stworzył scenerię, którą znamy. Ale podstawowe elementy są te same: nagie pary gładzące się po twarzach, pszczoły, cis... Ciekawe, czy młody Nancho wpuścił im do ust pszczoły, czy otruł ich cisem... Zwłoki były zwęglone, to normalne, że sekcja zwłok niczego nie wykazała.

– Może nie musiał tego robić, może wystarczyło wzniesienie ognia z użyciem łatwopalnej substancji. Przez kolejne lata analizował swoją pierwszą zbrodnię i przy następnych wykorzystał już broń, którą dobrze znał: truciznę z cisu i pszczoły.

– Zwróciłaś uwagę na wiek?

– Jaki wiek?

– Dzieci nie przyszły na świat jednocześnie, ale była między nimi niewielka różnica, w momencie śmierci oboje mieli po pięć lat. Venancio i jego żona zginęli jako czterdziestopięciolatekowie. Brzmi znajomo?

– Niech to diabli – szepnęła Estíbaliz.

– Tak czy inaczej, chętnie porozmawiałbym z jakimś naocznym świadkiem tamtego pożaru.

Ponownie przejrzałem akta i odszukałem nazwisko dowódcy strażaków: María Jesús Letona.

– A to ci niespodzianka! Dwadzieścia pięć lat temu kobiety raczej nie dowodziły ekipami strażackimi – stwierdziła Estíbaliz.

– To ona sporządziła raport, bo odkryła ślady wskazujące na podpalenie, tyle że policja nie wykazała większego zainteresowania tą sprawą. Jeżeli jeszcze żyje i uda nam się ją namierzyć, mogłaby powiedzieć nam coś ciekawego.

– Poszukajmy jej w bazie danych. – Estíbaliz zerwała się z krzesła i zaczęła grzebać w komputerze.

Ona też chciała jak najszybciej oderwać się od potworności, które leżały przed nami na stole.

– Tadam! Sześćdziesiąt lat, nadal mieszka w okolicach Murguúi, w bazie

figuruje jako ilustratorka bajek dla dzieci. To dopiero zmiana! Zadzwoń i złożymy jej wizytę.

Kamienny domek Marii Jesús leżał na obrzeżach miasteczka, od strony Parku Narodowego Gorbea. Kiedyś musiał być tu młyn wodny – zachowała się jeszcze pionowa drewniana oś i ważący kilka ton kamienny dysk, który swego czasu bez przerwy się obracał, dniem i nocą popychany prądem rzeki Ugala, teraz przypominającej strumyczek.

Maria Jesús czekała na nas pod wielkim dębem rosnącym przy wejściu do małego warzywnika, równie zadbanego jak jego właścicielka.

Sześćdziesięciolatka miała delikatne białe włosy, krótkie jak u polnej myszy, spokojny uśmiech charakterystyczny dla osób, które żyją bez pośpiechu, nie patrząc co chwila na komórkę, a na oczach markowe antyrefleksyjne okulary – widać na bajkach dla dzieci da się nieźle zarobić.

– Dzień dobry pani. Dziękujemy, że zgodziła się pani od razu nas przyjąć. – Estíbaliz z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. – Inspektor Gauna, a to mój kolega, inspektor Ayala.

– Możecie mówić do mnie Txusa. Chcecie się napić herbatki z macierzanki? Sama zbierałam w górach zioła. Omal nie spadłam w przepaść. – Roześmiała się. – Nie możecie odmówić, prawie kosztowała mnie życie.

– Wobec tego niech będzie herbata – odparłem wesoło.

Nie weszliśmy do środka, w cieniu dębów było tak przyjemnie, że usiedliśmy przy zielonym metalowym stoliku na tyłach domu.

Txusa podała nam złocistą herbatę, pachniała tak intensywnie, że miałem wrażenie, jakbym pochłaniał po trochu górski szczyt.

– Co was tu sprowadza po tak długim czasie? Powiedziała mi pani przez telefon – zwróciła się do Estíbaliz – że chcecie ze mną porozmawiać o pożarze w gospodarstwie Venancia Lopidany w osiemdziesiątym dziewiątym.

– Tak. Przyznam szczerze, że zdziwiłam się, widząc w raporcie imię kobiety.

Txusa odstawiła kubek na stół lekko poirytowana.

– Wy też będziecie mnie pytać, co robiła kobieta na czele ekipy strażackiej?

– Wręcz przeciwnie – pospieszyła Esti z wyjaśnieniem. – Zyskała pani mój szacunek. Domyślam się, że dwadzieścia pięć lat temu trzeba było mieć jaja, żeby dowodzić grupą mężczyzn.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu lubiłam tę pracę, chciałam pomóc w zwalczaniu plagi pożarów, w tamtych czasach letnie miesiące były straszne, bez przerwy dostawaliśmy wezwania. Ale po zbrodni na śpiących wszyscy uznali mnie za wariatkę, w ratuszu przestano się ze mną liczyć. Podczas kolejnych akcji powtarzały się przypadki niesubordynacji, które naraziły na niebezpieczeństwo całą ekipę. Czułam się bezradna, postanowiłam więc rzucić tę pracę i zapomnieć. Teraz ilustruję bajki dla dzieci. To dużo spokojniejsze zajęcie.

– Powiedziała pani „zbrodnia na śpiących”?

– Tak, tak ją nazwałam. Wiedziałam, że to było celowe podpalenie, już w momencie, kiedy zjawiliśmy się na miejscu, by dogasić ostatnie płomienie. Pożar rozprzestrzenił się bardzo szybko z powodu zapasów oleju napędowego. Moją uwagę zwróciło kilka dziwnych szczegółów, dlatego sporządziłam raport i zawiadomiłam komendę policji w Vitorii, żeby przysłała techników. Dla nich to nie było jednak tak oczywiste jak dla mnie, zlekceważyli moje argumenty. Nie miałam siły dłużej z nimi walczyć. W remizie potraktowali mnie jeszcze gorzej, koledzy uznali, że oszalałam, i udało im się sprawić, że odeszłam z pracy. Zdaniem jednych przyczyną pożaru był zniszczony kabel, inni uważali, że Venancio Lopidana popełnił samobójstwo, pociągając za sobą całą rodzinę. Ale było kilka szczegółów, które na zdrowy rozum nie pasowały do żadnej z tych wersji: padał śnieg, a piżamy dzieci i rodziców leżały na podwórku, pod oknami, jakby ktoś wyrzucił je z sypialni. Policja uznała, że to jakieś stare ubrania – dom był zapuszczony, wszędzie panował bałagan – ale moim zdaniem ktoś ich rozebrał. Kto w Izarze śpi nago podczas śnieżycy?

– Nie widzieliśmy piżam na zdjęciach dołączonych do raportu – wtrąciła Estíbaliz.

– Prosiłam techników, żeby sfotografowali je jako dowód, ale mnie nie słuchali, powiedzieli, że to ich praca, że mam się nie wtrącać. Dla nich to były tylko brudne ubrania. Leżały jednak dokładnie w miejscach, nad którymi znajdowały się okna obu sypialni. Nie chcę się wymądrzać, ale... Facet rozlał i podpalił olej napędowy, wszedł na pierwsze piętro, żeby rozebrać śpiące dzieci, w osobliwy sposób ułożył ich dłonie, wyrzucił piżamy przez okno, potem udał się na drugie piętro, zdjął koszulę nocną żonie, sam się rozebrał, pozbył ubrań, położył do łóżka, umieścił dłoń żony na swoim policzku i czekał na śmierć... to najdziwniejsze samobójstwo, o jakim w życiu słyszałam.

– Ma pani rację – przyznałam.

– Venancio był ćwokiem, prostakiem, tacy ludzie potrafią najwyżej wziąć

dubeltówkę, wystrzelać rodzinę, a na końcu włożyć sobie lufę do ust. Tak się to zazwyczaj robi, bez niepotrzebnych komplikacji, bez silenia się na oryginalność. Po co udawać, że to pożar, skoro i tak przeniesiesz się z całą rodziną na tamten świat?

– Proszę nam powiedzieć: znała pani Nancha, rudego chłopaka, który mieszkał w gospodarstwie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Venancia też znałam tylko z targu, w czwartki przyjeżdżał do Murguii sprzedawać miód, ale zjawiał się sam, ewentualnie z żoną. Nie wiedziałam nic o jego życiu, nie wiedziałam nawet, gdzie dokładnie mieszka w Izarze ani że ma dwoje małych dzieci. Był dla mnie tylko sprzedawcą ekologicznej żywności. Dlaczego pytacie? To ważne?

– Jeszcze tego nie wiemy. – Estíbaliz podniosła się z miejsca. – Musimy dalej badać tę sprawę, w każdym razie dziękujemy za te wszystkie informacje. Jeżeli przypomni pani sobie jeszcze jakiś ważny szczegół, zna pani mój numer.

Z ociąganiem opuściliśmy tę zieloną oazę. Dostaliśmy w prezencie kilka torebek macierzanki, której zapach towarzyszył nam w drodze powrotnej do Vitorii.

– Txusa wydaje się nie mieć wątpliwości – mruknęła Estíbaliz, prowadząc samochód. – Ani samobójstwo, ani wywołany przypadkiem pożar.

– Co znowu prowadzi nas do niefigurującego w rejestrach Nancha Lopidany.

– Szukałam go we wszystkich miejscach, które przysły mi do głowy. Pytanie brzmi: jak odnaleźć ducha bez dokumentów?

Może nadszedł czas, by poprosić o pomoc kawalerię, pomyślałam.

POMNIK BITWY POD VITORIA

16 sierpnia, wtorek

Wstałem o tej samej porze co zwykle. Wydało mi się, że budzi mnie dzwonek domofonu, że to Alba chce wejść na górę, żeby zasnąć w moim łóżku, żeby się poprzytulać, po cokolwiek. Ale to musiał być sen, bo chociaż leżałem nieruchomo, nad słuchując pukania do drzwi, nic takiego się nie wydarzyło.

Co ty wyprawiasz, Unai? – pomyślałem.

To nie miało większego sensu, jak wszystkie ważne rzeczy w życiu.

Wziąłem komórkę i wysłałem jej wiadomość.

„Biegasz?”

„Tak”.

„Nad strumykiem przy Paseo del Batán za dwadzieścia minut”.

„Do zobaczenia”.

Kiedy dotarłem na miejsce, Alba czekała przy małej rzeczce obok kępy topoli. Było ciemno, nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy.

– Musimy porozmawiać, prawda? – uprzedziłem jej słowa.

Stanąłem obok niej, opierając się o ławkę.

– Prawda. Nie możemy tak dalej tego ciągnąć, Unai. Spotykać się o świcie, w mało uczęszczanych miejscach, jak jakieś dzieciaki... Twoje mieszkanie odpada, jest w samym centrum, któregoś dnia ktoś zobaczy, jak wchodzę do twojej kamienicy, i koniec. Prowadzimy medialne śledztwo, romans zameężnej podkomisarz z inspektorem postawiłby nas oboje pod pręgierzem opinii publicznej... – Spuściła głowę i dodała: – Nie mówiąc o stratach osobistych i moim małżeństwie.

– Twoim małżeństwie... Powiedz mi jedno, nigdy cię o to nie pytałem. Jesteś szczęśliwą mężatką?

– Umiarkowanie szczęśliwą.

– Umiarkowanie?

– Tak, zarówno umiarkowanie szczęśliwą, jak i umiarkowanie nieszczęśliwą. Jak wszyscy, Unai.

Skoro tak twierdzisz, pomyślałem. Z jej słów wyczytałem, że nie zamierza zostawiać męża.

– Ja też nie chcę tak dalej tego ciągnąć – zdobyłem się na szczerość. – Nie chcę się ukrywać, nie chcę, żebyśmy chowali się przed ludźmi jak złodzieje. Nie chcę być tym trzecim. Jeżeli mamy się dalej spotykać, musisz się rozstać z mężem. Ani ty, ani ja nie zasługujemy, żeby z tego, co jest czy może być między nami, zrobić coś plugawego, żeby okłamywać wszystkich dookoła. Ja nie jestem taki, nie chcę tego.

– Ani ja, Unai.

Wyprostowałem się: niedługo zrobi się jasno, a czekał mnie ciężki dzień.

– Domyślam się, że to pożegnanie. Będziemy dalej razem pracować, jakby nic się nie stało, spróbuję zmienić trasę biegową, żeby na ciebie nie wpadać. Zgoda?

Alba skinęła głową, wpatrując się w pień topoli.

– Zgoda, po prostu...

– Co?

– Nie patrz na mnie tak intensywnie na komendzie.

Nie patrzeć, nie dotykać, nie wdychać twojego zapachu. W porządku.

– Nie będę, pani podkomisarz – przyrzekłem, wbijając wzrok w adidasy.

Odbiegła w przeciwnym kierunku. Patrzyłem na jej podskakujący warkocz. Kiedy straciłem ją z oczu, wyładowałem złość, wrzucając do rzeczki kamienie z taką siłą, że rozbolało mnie prawe ramię.

Po kilku dniach bezowocnych poszukiwań wciąż łamałem sobie głowę, jak wpaść na trop Nancha Lopidany. Niełatwo mi było podjąć tę decyzję, w końcu jednak wybrałem numer swojej starej złotej przyjaciółki. Byłem jej już winien kilka przysług w związku z tą sprawą, dlatego miałem opory przed ponownym skorzystaniem z jej pomocy. Wiedziałem, że wcześniej czy później Golden zażąda czegoś w zamian, czegoś związanego z jej rentą, jej mieszkaniem, jej spadkiem... Czegoś, co zagrozi mojej posiadzie. Byłem jednak pod ścianą: rudowłosa duch wymykał nam się za każdym razem, kiedy wpadaliśmy na jego trop.

To cena, jaką musisz zapłacić, Unai, przekonywałem sam siebie. Nic nie

jest za darmo.

– Golden, znajdź dla mnie jakąkolwiek wzmiankę o niejakim Nanchu lub Venanciu Lopidanie urodzonym w latach siedemdziesiątych. Nie figuruje w księgach stanu cywilnego. Został oddany do nielegalnej adopcji, dlatego podejrzewamy, że nie posiadał żadnych dokumentów, przynajmniej do osiemnastego roku życia. Skup się na Pampelunie i reszcie Nawarry. Alavę już przeszukaliśmy: żadnego śladu. Ani w księgach parafialnych, ani w tutejszych szkołach.

– Uruchomię wyobraźnię, Kraken. Zostaw to mnie. Sprawa jest bardzo pilna?

– Na wczoraj.

– Nie dożyjesz starości, przyjacielu.

To nie jest moim priorytetem, pomyślałem.

– Z kim rozmawiasz? – przerwała nam Estíbaliz, zaglądając do mojego gabinetu.

– Z bratem – skłamałem.

– Pozdrów go, któregoś dnia wpadnę do niego do kancelarii.

– Germán, masz pozdrowienia od Esti. Muszę kończyć.

Golden roześmiała się i przerwała połączenie.

– Co się dzieje? Mamy coś nowego?

– A żebyś wiedział. Archiwum „El Diario Alavés” to prawdziwa kopalnia złota. Lutxo dał mi dostęp. Zobacz, ile znalazłam ciekawostek na temat prehistorii rodziny bliźniaków Ortiz de Zárate.

Podeszła do biurka z naręczem kserówek i rozłożyła je na blacie niczym karty.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, rok przed narodzinami bliźniaków, Javier Ortiz de Zárate trafił do kliniki Vitoria wskutek zażycia jakiejś toksycznej substancji. W prasie ukazała się na ten temat tylko krótka wzmianka. Ale nie jest to jedyna dziwna rzecz, jaka wydarzyła się w miłosnym trójkącie między Javierem, Blancą i doktorem Urbina. Spójrz na to. – Wskazała notatkę opublikowaną w marcu 1971 roku, kilka tygodni po narodzinach bliźniaków.

Tak jak mówiła moja cioteczna babka, doktor Urbina wyparował. Jego żona zgłosiła zaginięcie na policji.

– Widzisz? Wspomnienia ciotki Felisy pozostały w nienaruszonym stanie.

Teraz mamy dowód na to, że mówi prawdę. Lekarz wyjechał albo ktoś go sprzątnął, jego zniknięcie musiało mieć związek z narodzinami bliźniaków. A raczej trojczków.

Esti usiadła i w skupieniu przyglądała się swojej archaicznej kolekcji wycinków.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl, to hipoteza, której dotąd nie rozpatrywaliśmy, ale... A jeśli to doktor Urbina mści się, mordując tych wszystkich ludzi? Jeśli specjalnie zniknął?

– To by oznaczało, że zmienił tożsamość, odnalezienie go po tylu latach byłoby prawdziwym koszmarem. Ciotka dała mi do zrozumienia, że za jego zniknięciem stał przemysłowiec, mąż Blanki.

– Okej, ale przyjmij na moment, że to możliwe – nalegała. – Dokąd prowadzi cię ta hipoteza?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale teoria Esti nie trafiała mi do przekonania.

– Myślę, że ta hipoteza nie trzyma się kupy. Sądysz, że gdyby to on był mordercą, pozwoliliby, żeby Tasio, jeden z jego synów, przez ponad dwadzieścia lat pokutował za jego zbrodnię?

– Jest jego synem, ale on i jego brat dorastali, darząc podziwem tego, którego uważali za swojego ojca. Skoro doktor Urbina był kochankiem żony przemysłowca, może to on stał za jego otruciem? Poza tym bliźniacy pobili rudzielca, kiedy powiedział im, kim był ich prawdziwy ojciec. Może mści się za syna.

Mogło tak być. Mogło tak być, ale wciąż nie byłem do końca przekonany.

– Moim zdaniem ten człowiek albo jest martwy – dzięki uprzejmości Javiera Ortiza de Zárate – albo od czterdziestu lat ukrywa się pod innym nazwiskiem. Teraz miałby jakieś siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt lat, musiałby być niezwykle energicznym, pełnym sił staruszkiem, żeby co kilka dni zabijać po dwie osoby.

Estibaliz jeszcze przez chwilę przebiegała wzrokiem stare gazety, w końcu jednak dała za wygraną.

– Wiem, to zbyt pokrętne. Ale wciąż błądzimy po omacku. A co ty robiłeś? – zapytała nagle.

– Jest kilka niesprawdzonych tropów, które pojawiły się na początku śledztwa. Pamiętasz Kamienną Damę, szefową stacji telewizji regionalnej, o której mówił nam Ignacio, kiedy byliśmy u niego w mieszkaniu po

prezentacji Slow Food?

Był jeszcze jeden trop: osoba, która wysłała Lutxowi zdjęcia piętnastolatki w towarzystwie bliźniaków. Tym jednak zamierzałem zająć się na spokojnie, później: wiedziałem już, jak podejść mojego drogiego przyjaciela.

– Tak, niejaka Inés Ochoa. Zdążyłeś z nią porozmawiać?

– Jeszcze nie miałem tej przyjemności. Zaraz poszukam jej namiarów i spróbuję się z nią skontaktować. Należy do osób, które znały obu bliźniaków, pracowała z nimi w czasie, kiedy doszło do morderstw. Jej punkt widzenia może się okazać ciekawy.

Usiadłem przy komputerze: znalezienie jej danych zajęło mi dosłownie chwilę. Telefon, data urodzenia, numer dowodu, adres... Musiałem przeczytać go kilkakrotnie. Nie wierzyłem własnym oczom: Inés Ochoa mieszkała przy Plaza Nueva, na czwartym piętrze budynku sąsiadującego z barem Deportivo Alavés. Jej okna wychodziły na plac Virgen Blanca i moją kamienicę.

Nie zdradziłem się przed Estíbaliz, jak miałem jej powiedzieć, że...?

„Może widziała, jak omal nie przeleciałem podkomisarz na dachu naprzeciwko, ale nie martw się, to nie ma nic wspólnego ze sprawą ani z tym, że dziewczyna Germana i twój brat stali się kolejnymi ofiarami mordercy”.

– Masz ją? Chcesz, żebyśmy razem do niej pojechali? – zapytała.

– Wpadłbym wcześniej do Germana, jest w kiepskim stanie. Rozumiesz mnie, prawda?

– Jasne, zjem sama, nie przejmuj się.

Kiedy opuszczałem komendę, czułem się jeszcze gorszym i bardziej podłym kolegą niż zwykle. Wybrałem numer Kamiennej Damy: była w domu, postanowiłem więc wykorzystać okazję i nie dałem jej możliwości wyboru miejsca spotkania. Chciałem zobaczyć, co widzi ze swoich białych okien.

Dotarłem do jej kamienicy, zadzwoniłem przez domofon i ruszyłem schodami na czwarte piętro. Kiedy byłem już prawie na górze, natknąłem się na dziwnego osobnika, naburmuszonego olbrzyma.

Nie zszedł mi z drogi, kiedy się mijaliśmy. Spojrzał na mnie wrogo i odpowiedział burknięciem na moje powitanie. Wyglądał jak atleta podnoszący ciężary: sto osiemdziesiąt kilo żywej wagi, byczy kark i spłaszczona niewielka głowa.

– Proszę nie mieć mu tego za złe – powiedziała Inés Ochoa z progu swojego mieszkania, kilka metrów nad moją głową. – Stara się być jak najmilszy.

– To pani...?

– Brat, zawsze się nim opiekowałam. Nie jest może magistrem fizyki kwantowej, ale potrafi być posłuszny.

– Rozumiem... – odparłem, zapamiętując tę informację.

– Zapraszam, panie inspektorze. Miałam właśnie wyjść, ale widzę, że się panu spieszy.

Wszedłem do jej mieszkania i z ciekawością rozejrzałem się po wnętrzu. Kamienna Dama była kinomanką. Wszystko w jej domu nawiązywało do czarno-białych filmów. W przedpokoju wisały plakaty filmowe, dostrzegłem również manekiny ubrane w suknie podobne do tych, jakie swego czasu nosiły Lauren Bacall i Veronica Lake.

– Widzę, że kocha pani kino.

– Czarne, bardzo czarne – stwierdziła niedbale, zapalając papierosa. – Proponuję, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy.

Inés Ochoa miała ponad sześćdziesiąt lat. Jej proste włosy sięgające brody były ufarbowane na trudny do określenia kolor przypominający popielaty blond. W jej ruchach, szybkim zginaniu nadgarstka przy paleniu, było coś gorączkowego, jakby wiecznie się spieszyła, żeby załatwić jakąś pilną sprawę.

– Proszę opowiedzieć mi o Tasiu i Ignaciu, o okresie, w którym ich pani poznała. Co może mi pani powiedzieć na ich temat? – zapytałem, nie przyjmując zaproszenia do zajęcia miejsca na kanapie w kolorze krwi.

Wolałem poprzeczadzać się po jej salonie, żeby móc ukradkiem podejść do okna.

Inés wygłosiła monolog, w którym trzy razy na minutę padało słowo „oglądalność”. Wyjaśniła warunki umowy, jaką podpisała z Tasiem, opowiedziała o rosnącej liczbie widzów oglądających jego programy, wyliczyła klauzule, które złamał, przechodząc do ogólnokrajowej telewizji...

Należała do tych monotematycznych osób, które patrzą na wszystko z punktu widzenia wykonywanego zawodu. Nie podała mi żadnego szczegółu, który nie miałby bezpośredniego związku z jej stacją.

– Myśli pani, że Tasio był dominującym bliźniakiem? – przerwałem jej, chcąc, by podzieliła się ze mną bardziej osobistymi, a przynajmniej subiektywnymi spostrzeżeniami.

– Jak najbardziej. Tasio ma osobowość alfa, jest liderem. Ignacio był przy nim betą, wykonawcą. Jeden wskazywał, drugi działał. Tasio układał plany, Ignacio skutecznie je realizował.

- Jeden był mózgiem, a drugi ręką?
- Otóż to. Ignacia łączyło z bratem dziwne podporządkowanie, nadmierna zależność.
- Jednak ludzie podziwiali go za to, że poświęcił własnego bliźniaka – dodałem, żeby pociągnąć dalej ten wątek i sprawdzić, dokąd mnie doprowadzi.
- Myli się pan. Po tym, co się stało, ludzie oglądali go w telewizji z chorobliwej ciekawości. Wyglądał tak samo jak Tasio...
- Krytykowano panią za to, że ich pani wykorzystała.
- Wiedziałam, że prasa ukrzyżuje Ignacia, on także, i to był główny powód, dla którego nie chciał podpisać umowy na poprowadzenie programu w mojej stacji.
- Wiedziała pani także, że kontrowersje wokół jego osoby przyciągną widzów.
- Ale nie udałoby mi się, gdyby on się nie zgodził. Chciał zmienić zawód, miał pieniądze, ale musiał zająć czymś myśli. To ja zatrudniłam go na te pierwsze miesiące, kiedy było mu najciężej.
- Chciał zmienić zawód? Myślałem, że traktował pracę w policji jak powołanie – zdziwiłem się.
- Na początku może i tak. Potem jednak nie chciał już być policjantem, sam mi to wyznał podczas naszego pierwszego spotkania po aresztowaniu Tasia: to, co się stało, bardzo nim wstrząsnęło. Nie chciał mieć więcej nic wspólnego z morderstwami, aresztowaniami, nie chciał wracać na komendę. Cierpiał na coś w rodzaju stresu pourazowego, który starał się ukryć przed lekarzami. Nie poszedł na terapię. Typowy facet, bał się wyjść na mięczaka. Nocami budził się spocony, wykrzykując imię swojego brata, leżał zwinięty w kłębek, drżąc na całym ciele, jakby czekał na cios. Nigdy nie widziałam nikogo, kto bałby się tak bardzo jak on w tamtym okresie.
- Właśnie wyznała mi pani, że byliście kochankami.
- Wyprostowała plecy, ręka z papierosem, którego podnosiła do ust, zawisła w powietrzu.
- Ja tego nie powiedziałam.
- Może nie świadomie, ale opisała pani ze szczegółami przeżycia osoby dzielącej łóżko z ofiarą stresu pourazowego.
- Niech to zostanie między nami. – Pierwszy raz się zdenerwowała. – Nie upoważniam pana do ujawniania komukolwiek tej informacji.

– Skoro już wkroczyliśmy na bardziej osobisty teren, proszę mi powiedzieć, czy sypiała pani także z Tasiem? Był gwiazdą pani stacji, ale odszedł do telewizji ogólnokrajowej, porzucił panią, więc wymieniła go pani na duplikat? Tak właśnie było?

Jest w Vitorii ktoś, z kim ci dwaj się nie przespali?

– Oczywiście, to ja zabiłam wszystkie te dzieci, żeby poprawić oglądalność stacji, a kiedy Tasio zostawił mnie dla telewizji ogólnokrajowej, wrobiłam go i zwabiłam do łóżka jego brata bliźniaka... Tak pan myśli?

– Mam to potraktować jak przyznanie się do winy? – przyparłem ją do muru.

– Powinnam poszukać sobie adwokata?

– Nie, na razie nie – powiedziałem, chociaż wiedziałem, że i tak będzie to pierwsze, co zrobi, kiedy tylko wyjdę z jej mieszkania.

– Chyba podejrzewa pan niewłaściwą osobę. – Podeszła do dużego okna i wyjrzała na plac Virgen Blanca.

Już nawet nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to wcześniej słyszałem.

– Co ma pani na myśli? – zapytałem; skorzystałem z okazji, żeby podejść do niej od tyłu i spojrzeć ponad jej ramieniem.

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Okno wychodziło wprost na pomarańczowe dachówki mojej kamienicy, domy dzieliło zaledwie dwadzieścia metrów. Gdyby Inés Ochoa nie spała o szóstej rano i akurat wyglądała na plac, z łatwością dostrzegłaby parę zakapturzonych biegaczy wchodzących do mojej sieni.

– Fakt, to były medialne zbrodnie. Ale może powinien pan sprawdzać nie mnie i moją stację, a inne środki przekazu.

– Nadal nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Mówię o prasie w tym mieście, o wojnie, która wybuchła między naczelnymi dwóch gazet, tymi srokami, które od kilkadziesiąt lat nie wyściubiają nosa ze swoich gabinetów. Oni manipulowali opinią publiczną w czasie trwania śledztwa, sprawili, że ludzie wierzyli w to, na czym im zależało. Cała Vitoria myślała to, co jej podpowiadali, podejrzewała tych, których wskazywali na łamach swoich dzienników. Moim zdaniem ktoś, kto kieruje redakcją gazety, ma wystarczającą władzę, żeby zamienić świętego w łajdaka, żeby doprowadzić do upadku, kogo zechce, nawet najuczciwszego człowieka na świecie. A jakkolwiek by na to patrzeć, naczelnicy naszych szacownych gazet nie są nowicjuszami w swoim fachu.

Inés Ochoa była zręczną manipulatką, nie pierwszy raz kogoś oczerniała i stosowała zasłony dymne, a teraz czuła się osaczona. Faktem jest jednak, że wyszedłem z jej mieszkania, zastanawiając się nad pewnymi kwestiami, które do tej pory wolałem ignorować. I nie myślałem wcale o tych dwóch ramolach stojących na czele vitorskich dzienników, ale o kimś znacznie mi bliższym.

Myślałem o Lutxu już drugi raz tego dnia. Myślałem właśnie o nim.

Może powinienem porozmawiać z moim przyjacielem dziennikarzem, ale twarzą w twarz, nie przez telefon, żeby znowu mi się nie wyslizgnął.

Bo to Lutxo naprowadził mnie na trop Eguzkilore, to przez niego od początku śledztwa podejrzewałem brata Estíbaliz. Wiedział, gdzie mieszka Martina, dobrze się znali. Lutxo potrafił manipulować ludźmi, praca dziennikarza dawała mu doskonały pretekst, żeby zaczepiać młode osoby, proponując im wywiad. Może prosił, żeby pojechały z nim do redakcji przy General Álava vanem z logo gazety, które wszyscy kojarzą. Niewykluczone, że znał działanie narkotyku, sam Eguzkilore mógł mu go dostarczyć. Dzięki akredytacji miał nieograniczony wstęp do Starej Katedry, do Domu pod Sznurem, na taras kościoła Świętego Michała podczas uroczystości.

Wyszedłem na plac Virgen Blanca i ruszyłem do swojej kamienicy, kiedy zadzwoniła Golden.

Zdziwiony spojrzałem na wyświetlacz.

– Już?! – zapytałem.

– Powiedziałaś, że na wczoraj, spóźniłam się o szesnaście godzin.

– Golden, powinnaś z nami pracować na co dzień.

– Chciałbyś.

– Powiedz, naprawdę już go namierzyłaś?

Siadłem na drewnianej ławce otaczającej pomnik Bitwy pod Vitorią. Kamienna dziewczynka z kucykami, która straciła nos, i jej matka przyglądały mi się wymownie.

– Był jeden Nancho Lopidana, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku ukończył w Pampelunie kurs dla dorosłych przygotowujący do matury. Nie trafiłam na żaden inny ślad. Ciekawe, bo szukałam w bazach danych Ministerstwa Edukacji i znalazłam tylko tę informację. To był oficjalny ośrodek egzaminacyjny, Nancho miał bardzo dobre stopnie, mimo to nie kontynuował nauki, nie poszedł na studia ani nie zdecydował się na szkolenie zawodowe, które zwykle wybierają osoby uczące się w szkołach wieczorowych.

– Ta szkoła nadal istnieje?

– Przekwalifikowała się na ośrodek organizujący kursy przygotowawcze do państwowych egzaminów zawodowych, ale zważywszy na kryzys, nie sądzę, żeby miała dużo pracy.

– Podasz mi adres?

– Mieści się na starówce, przy ulicy Estafeta.

Sprawdziłem w internecie adres, który podała mi Golden; okazało się, że szkoła imienia Hemingwaya organizuje w sierpniu kursy powtórkowe.

Wybrałem numer Estíbaliz, musiałem się z nią podzielić dobrymi nowinami. Oboje ich potrzebowaliśmy.

– Esti, jedziemy do Pampeluny. Wreszcie mamy trop prowadzący do naszego Nancha Lopidany.

SZKOŁA IM. HEMINGWAYA

16 sierpnia, wtorek

Szkoła zajmowała parter kamienicy w starej części Pampeluny. Podwójne drewniane ławki z lat pięćdziesiątych pochylone pod kątem trzydziestu stopni, z otworem na kałamarz, dodawały jej urokliwej patyny.

Kiedy weszliśmy, jakaś staruszka nakazała nam milczenie, przykładając do ust wyprostowany palec. Dwoje rozkojarzonych uczniów udawało, że wypełnia testy próbne. W ostatnim rzędzie jakiś dwunastolatek grał pod blatem w Minecrafta z wyciszonym dźwiękiem. Babuleńka albo go nie widziała, albo udawała, że nie widzi.

– Zapraszam do mojego gabinetu – szepnęła. – Nie będziemy przeszkadzać młodemu.

Wymieniliśmy z Estibaliz szybkie spojrzenia. Drobną staruszką zwinnie lawirowała między ławkami, pośród których spędziła całe swoje życie.

Regały stojące za plecami kobiety wypełniały dokumenty, jeden rzut oka wystarczył, żeby prześledzić ewolucję materiałów biurowych w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, od pożółkłych teczek po nowoczesne segregatory z białego plastiku.

– Przyszli państwo zapisać swoje dziecko? Trochę się państwo spóźnili, lato już się kończy, ale coś wymyślimy. Zawsze da się coś zrobić dla tych dzieciaków. Większości trzeba po prostu zaszczepić nawyk uczenia się – powiedziała, siadając na krześle, które było dla niej za wysokie: jej stópki zawisły dziesięć centymetrów nad ziemią.

Spojrzeliliśmy na siebie z Esti i pospiesznie wyjaśniliśmy nieporozumienie.

– Ależ nie, na Boga, nie jesteśmy... To znaczy nie przyszliśmy zapisać naszego dziecka. Przyjechaliśmy z Vitorii, przywiodło nas tu śledztwo, które obecnie prowadzimy. Pozwoli pani, że się przedstawię: inspektor Ruiz de Gauna.

– A to ci niespodzianka. Któryś z moich uczniów wpakował się w kłopoty, o to chodzi?

– Tak naprawdę szukamy byłego ucznia, który uczęszczał do państwa szkoły w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym albo dziewięćdziesiątym roku. Wiemy, że ukończył tu kurs maturalny. Szkoła była kiedyś oficjalnym ośrodkiem egzaminacyjnym, prawda?

– Tak, teraz prowadzimy też liceum dla dorosłych, na samych kursach przygotowawczych długo nie pociągniemy. – Wstała ze swojego olbrzymiego krzesła. – Mogą mi państwo podać dane ucznia?

– Nazywa się Nancho albo Venancio Lopidana – pospieszyła z odpowiedzią Estíbaliz. – Pewnie go pani nie pamięta, ale może sprawdziłaby pani w dokumentach...

– Nancho Lopidana... Ależ oczywiście, że go pamiętam. Anioł, nie człowiek, wyróżniający się uczeń. Był dumą naszej szkoły, podniósł nam średnią swoją oceną z matury. – Spojrzała z nostalgią na obwieszoną dyplomami ścianę. – Poszukam w archiwum jego papierów. Może to zająć trochę czasu, muszę sprawdzać rok po roku.

Stara nauczycielka przez chwilę patrzyła na stojącą za jej biurkiem ścianę segregatorów; w końcu wybrała półkę znajdującą się na wysokości jej brwi.

– Zobaczmy...

Założyła okulary, które nosiła zawieszane na szyi na srebrnym łańcuszku, i zaczęła z uwagą studiować dokumenty. Zwilżała śliną opuszki palców i kręcąc głową, przerzucała kartki.

Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem, że karty były wypełnione odręcznie; na każdej znajdowało się legitymacyjne zdjęcie.

– Może pani pomożemy? – zaproponowała Estíbaliz.

– Nie trzeba, nie trzeba. To prywatne dane naszych uczniów, nie chciałabym łamać zasad – szepnęła.

Spojrzałem na Esti: nie wiedziałem, czy powinienem się wtrącić. Poprosiła mnie wzrokiem, żebym trzymał buzię na kłódkę. Lepiej było mieć wiekową nauczycielkę po naszej stronie.

Półtorej godziny później, kiedy przez matowe szyby szkoły wpadały już żółte światła latarni, a ja byłem bliski śmierci z powodu braku aktywności umysłowej, palec staruszki zaczął drżeć. Wbiła go pionowo w jakiś punkt na papierze, jakby celowała w środek tarczy.

– Nancho Lopidana! Jest tutaj! – zawołała triumfalnie.

– Możemy zobaczyć jego zdjęcie? – zapytałem, wrywając się z odrętwienia.

– Problem w tym, że... nie ma zdjęcia – powiedziała nauczycielka lekko skonfundowana.

– Jak to nie ma zdjęcia? A numer dowodu? Mogłaby nam go pani podać?

Kobieta wyjęła kartę i oblała się rumieńcem.

– No dobrze: wiemy już, że był dobrym uczniem, że ukończył tu kurs maturalny dla osób powyżej osiemnastego roku życia. Tylko dlaczego w jego dokumentach nie ma zdjęcia ani numeru dowodu? – naciskałem.

– Proszę posłuchać: zawsze skrupulatnie przestrzegam zasad, ale są takie przypadki, że człowiekowi kraje się serce, trzeba się zachować po ludzku i zrobić wyjątek, nie sądzi pan? – tłumaczyła zdenerwowana.

Wiedziałem doskonale, do czego zmierza i czego się boi.

– Nie przyszedliśmy tu po to, żeby robić pani problemy, tylko żeby uzyskać ważne dla śledztwa informacje. Niezależnie od tego, jaką procedurę biurokratyczną obeszła pani dwadzieścia pięć lat temu, obiecuję pani w obecności świadka, że nie doniesiemy na panią do Ministerstwa Edukacji ani żadnej innej instytucji.

Nie wspominając już o tym, droga pani, że przestępstwo sfałszowania dokumentów, którego się pani dopuściła, dawno uległo przedawnieniu.

– Daje mi pan słowo? Oficjalnie szkoła należy teraz do mojego syna, ale jak pan widzi, rzadko tu zagląda i dalej sama się wszystkim zajmuję...

Chociaż jest pani dawno na emeryturze.

– Nie chciałabym, żeby mi ją zamknęli, mój syn nie ma innego źródła utrzymania.

– Nie wspomnimy nigdzie o tych nieprawidłowościach, ale musi nam pani wyjaśnić, dlaczego tak zasadnicza osoba jak pani pozwoliła, by jeden z uczniów podszedł do oficjalnego egzaminu bez dowodu osobistego.

– Bo ten biedak nie miał dowodu osobistego. Nie miał w ogóle żadnych dokumentów. Pierwszy raz w życiu spotkałam się z czymś takim: prawie dwudziestoletni chłopak urodzony w naszym kraju – bez papierów. Nie dało się wyciągnąć z niego jakichkolwiek informacji o rodzicach, ale łatwo było się zorientować, że pochodzi z ubogiej rodziny z problemami. On tylko pragnął się uczyć, zdobyć wykształcenie, którego nikt mu nie zapewnił. Nie chciałam być jędzą, która mu tego zabroni. Podejrzewam, że zanim się u nas zjawił, obszedł wszystkie szkoły w Pampelunie i wszędzie proszono go o dowód, ale ja nie potrafiłam mu odmówić i nie żałuję swojej decyzji. – Przełknęła ślinę i spuściła głowę jak dziewczynka przyłapaną na gorącym uczynku.

– Żebyśmy mieli pewność, że mówimy o tej samej osobie: czy mogłaby nam pani opisać, jak wyglądał Nancho Lopidana?

– Kiedy się u nas pojawił, był raczej przy kości, ale w ciągu roku znacznie schudł, co korzystnie wpłynęło na jego poczucie własnej wartości, dzięki temu trochę się otworzył. Był wzrostu mojego syna, miał metr siedemdziesiąt parę. To znaczy nie był ani tak wysoki jak pan, ani tak niski jak pana koleżanka. Miał za to takie same rude włosy jak pani. Używał wielu regionalizmów, udało mi się je wyplenić w ciągu roku, który u nas spędził. Staralam się, żeby nie było aż tak bardzo widać, że pochodzi ze wsi. Pracowaliśmy też nad jego kaligrafią, stawiał za duże litery, jak dzieci w przedszkolu. Za to dosłownie pochłaniał książki. Kiedy opowiedziałam mu, jak to mój dziadek poznał Ernesta Hemingwaya, zaczął czytać jego powieści, chodził do Café Iruña^[20] ... Pamiętam, że stale nosił pod pachą *Komu bije dzwon*; mówił, że chce być redaktorem, zmieniać to, co inni robią źle pod wpływem impulsu. Wryła mi się w pamięci ta jego odpowiedź, wydała mi się ciekawa. Wspaniały dzieciak, bardzo dojrzały i bardzo odpowiedzialny jak na swój wiek. Nie sposób było go nie kochać.

– Może nam pani podać jeszcze jakieś szczegóły? Gdzie mieszkał podczas trwania kursu?

– W hostelu dla studentów przy ulicy Amaya. To też na starówce, kilka przecznic stąd.

Podala nam jego kartę, żebyśmy mogli przepisać adres figurujący w rubryce „miejsce zamieszkania”.

– Wie pani, co zrobił po egzaminie, jakie miał plany? – zapytałem.

– Plan? Oczywiście: chciał się dalej uczyć, zdawać na studia, na jakiś kierunek humanistyczny. Bardzo lubił historię. Ale nie zapisał się u nas na kurs przygotowawczy. Nigdy nie zrozumiałam dlaczego, w końcu poszłam mu na rękę w... No wiedzą państwo, w tej sprawie z dowodem. Człowiek czasami przywiązuje się do uczniów, prawdę mówiąc, zabolalo mnie, że zerwał z nami kontakt. Nie wiem, może zapisał się do innej szkoły albo zmienił plany i nie poszedł na uniwersytet.

Spojrzała na zegarek i wstała, żeby odprawić troje uczniów, którzy zostali w klasie. Potem pomogliśmy jej zaciągnąć ciężką zardzewiałą żaluzję. Zastanawiało mnie, jak osoba ważąca trzydzieści kilogramów mogła każdego dnia swojego długiego życia podnosić i spuszczać trzy razy cięższą od niej kratę.

– Jeżeli odnajdą państwo Nancha, proszę mu przekazać pozdrowienia ze

szoły Hemingwaya. Mam nadzieję, że skończył studia i osiągnął coś w życiu. Zasługiwał na to.

Esti i ja spojrzeliśmy na siebie z zakłopotaniem i pospiesznie pożegnaliśmy się ze staruszką.

– Już ciemno, powinniśmy wracać do Vitorii – stwierdziła Estíbaliz, kiedy szliśmy jedną z brukowanych uliczek starówki.

– Weź samochód, jeśli chcesz. Ja skorzystam z tego, że już jesteśmy w Pampelunie, i zajrzę do hostelu.

– W takim razie ja też zostaję. Idziemy.

– Ale ja chciałbym tam przenocować, może mają jeszcze wolne pokoje. Dobrze mi zrobi, jeżeli nabiorę trochę dystansu i choć na moment oddalę się od Vitorii. Na ciebie ktoś czeka. Nie bądź głupia. Wrócę jutro rano autobusem.

– Nie chcę zgubić tropu tego przekłętego Nancha, tym bardziej teraz, kiedy wiemy, że naprawdę istniał. Wobec tego postanowione: zostajemy. Gdzie był ten hostel? – Otworzyła aplikację Google Maps.

– Przy ulicy Amaya, obok hali targowej – powiedziałem, wywracając oczami.

Hostel zajmował kilka pięter klasycystycznego budynku stojącego w centrum miasta. Prowadziły do niego wąskie strome schody, nie do sforsowania dla osób o kulach. Ściany udekorowano czarno-białymi zdjęciami przysyłanymi na konkurs na sobowtóra Hemingwaya. W tym mieście trudno było uniknąć pewnych stereotypów. Dotarliśmy do recepcji, gdzie wymuszonym uśmiechem powitała nas jakaś smutna dziewczyna z nierówną grzywką.

– *Americans, Australians...?* – strzeliła.

– Sąsiedzi z Vitorii – odpowiedziała Estíbaliz. – Moglibyśmy porozmawiać z właścicielem albo z właścicielką?

– To mój ojciec. Będzie jutro rano. Może ja wam w czymś pomogę?

– Macie wolne dwa jednoosobowe pokoje? – zapytałem.

– Został nam już tylko „Drugi lutego”.

– To nazwa pokoju?

– Tak, kiedyś mieliśmy więcej jedynek, ale po remoncie zostawiliśmy tylko siedem, większość to zbiorowe sypialnie. Naszymi gośćmi są głównie obcokrajowcy, którzy zazwyczaj przyjeżdżają w dużych grupach, backpackerzy oraz fani Sanfermines z San Sebastián, Bilbao i Vitorii. Pokoje

nazywają się jak wersy piosenki, którą wszyscy śpiewają podczas świąt: „Pierwszy stycznia, drugi lutego, trzeci marca, czwarty kwietnia...”.

– A „Drugi lutego” ile ma łóżek? – zapytała Estíbaliz.

– To nasz najmniejszy dwuosobowy pokój. Piętrowe łóżko ma metr dziewięćdziesiąt długości, twój wielki kolega powinien się zmieścić. Dajemy go Norwegom i Szwedom. Nie są w stanie zasnąć na krótszych łózkach, a jeżeli nie śpią, robią w pokoju imprezy. Wierzcie mi, nikomu nie wychodzi to na dobre.

Odszedłem od lady, odciągając Estíbaliz za łokieć.

– Esti... Jesteś pewna, że chcesz spać ze mną w jednym pokoju? Jeżeli to dla ciebie krępujące, nie ma takiej potrzeby, możemy poszukać gdzie indziej... – szepnąłem.

– Czasami wydajesz się panem świata, a kiedy indziej jesteś strasznie naiwny. Nie bądź nagle taki pruderyjny, masz już swoje lata. Dasz nam klucz? – zapytała, odwracając się do dziewczyny.

– Jasne. Zostawcie mi dowody i wpiszcie tu wasze dane. Może od razu uregulujemy opłatę za nocleg. Potem zaprowadzę was na górę.

Kiedy dopełniliśmy wszystkich formalności, Saioa – bo tak nazywała się recepcjonistka – zaprowadziła nas na drugie piętro. Pokonaliśmy wąski korytarz obwieszony dość szokującymi plakatami: „Uwaga na ducha studenta”.

Wreszcie Saioa zatrzymała się przed drzwiami, na których wymalowano napis: „Duch studenta. To tutaj”.

– O co chodzi z tym duchem studenta? – zapytałem sceptycznie.

– Niesmaczny żart, który stał się wizytówką hostelu. – Zrobiła znudzoną minę, wskazującą, że ma dość opowiadania w kółko tej samej historii. – Nie boicie się zjawisk paranormalnych, prawda?

– Zależy od tego, jak bardzo są prawdziwe. A co? – zainteresowała się Estíbaliz.

– To miejska legenda. Umieściliśmy ją kiedyś w przewodniku turystycznym i od tamtej pory nie możemy się od niej uwolnić. Nie chce mi się opowiadać kolejny raz tej historii. Jutro, zgoda? Muszę wrócić do recepcji i podliczyć utarg.

– Jasne – powiedziałem. – Jutro będzie też twój ojciec, prawda? Mogłabyś nas zawiadomić, kiedy się pojawi? Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Saioa zostawiła nas w małym pokoju z piętrowym łóżkiem z drewna

sosnowego. Nad górną częścią wisiała zielona moskitiera udająca baldachim. Wystrój był bardzo prosty, bardzo studencki. Uśmiechnąłem się, wspominając stare czasy.

- Zapraszam cię na kolację – powiedziałem, żeby przełamać lody.
- Zgoda. Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć, że umieram z głodu.
- Nie musisz się krępować, Esti.

Zjedliśmy po steku w barze z grillem przy ulicy Estafeta, a dla zrównoważenia tej dawki białka – micę gotowanych warzyw. Prawdziwa uczta. Żadnych miniaturowych porcyjek ani wysublimowanych dań dla tchórzy.

Dwie godziny później wróciliśmy do pokoju zamieszkanego przez ducha studenta. Postanowiliśmy, że Esti będzie spała na górze. Rozebraliśmy się w milczeniu, nie zapalając świateł. Położyłem się w samych bokserkach, pomyślałem, że Esti też będzie spała w bieliźnie – mimo włączonej klimatyzacji było bardzo gorąco.

Życzyłem dobrej nocy materacowi nad moją głową i zamknąłem oczy.

- Wiem, że jesteście ze sobą – powiedział dobiegający z mroku głos.
- Co? – zapytałem zdezorientowany; już prawie zasnąłem.
- Wiem, że ty i podkomisarz Salvatierra jesteście ze sobą.
- Esti, nie mam pojęcia, co widziałaś albo co myślisz, że widziałaś, ale zapewniam cię, że...
- Przestań, nawet nie próbuj mnie oszukiwać. Tylko pogorszysz sytuację: jest mi już wystarczająco przykro, że o niczym mi nie powiedziałaś, to znaczy, że nie masz do mnie zaufania.

Jak z tego wybrnę, żeby nie zaszkodzić Albie?

– Nie ukrywałem tego ze względu na siebie, ale na nią. Jest mężatką i moją przełożoną. Jak się domyślasz, im mniej osób będzie o tym wiedziało, tym lepiej.

- Ale mnie powinienesz być powiedzieć, Kraken. Mnie powinienesz. – Podniosła głos.
- Tak bardzo to widać? – zapytałem zaniepokojony.
- Kiedy spotykacie się na komendzie, wydzielacie coś w rodzaju hormonów, które uniemożliwiają oddychanie. Coś chemicznego, bardzo zwierzęcego. Jeśli mam być szczerą, to trochę odrażające.

Mówiła poważnie czy żartowała?

– Tak czy inaczej, już ze sobą nie jesteśmy. Myślisz, że ktoś jeszcze mógł się zorientować? W pracy albo w mieście? To ważne, Esti. Zastanów się. Myślisz, że ktoś jeszcze wie?

– Ja dobrze cię znam, spędzam z tobą wiele godzin, razem pracujemy. Alba Díaz de Salvatierra dopiero niedawno przyjechała do Vitorii, wątpię, żeby ktoś wiedział, jak się zazwyczaj zachowuje. Nie mam pojęcia, Unai. Wydaje mi się, że nikt więcej o was nie wie, ale nie mogę za to ręczyć. I nie zmieniam tematu. Wkurzyłam się, bo ukryłeś przede mną swój pierwszy poważny romans, odkąd zostałeś wdowcem. Tak twoim zdaniem zachowuje się przyjaciel?

– Wierz mi, zamierzałem ci powiedzieć, ale potem wydarzyła się ta cała historia z twoim bratem i myślałem, że nasza przyjaźń to już przeszłość. Wciąż nie wiem, w jakim miejscu jesteśmy, Esti. Naprawdę nie wiem.

– Jesteśmy w miejscu, w którym chcę, żebyś znowu był moim najlepszym przyjacielem, moim bratem, moją rodziną, moim powiernikiem, moim wszystkim.

– W takim razie to miejsce dość podobne do tego, w którym jestem ja. Ale ty też musisz mi opowiadać o swoich sprawach. Co się dzieje z Ikerem? Od dawna o nim nie wspominasz, nie mówisz nic o waszych planach. Jak idą przygotowania do ślubu? Nic nie wiem. Jeśli mam być szczery, czuję się trochę wykluczony. Twój ojciec jest chory, twojego brata już nie ma... Chętnie poprowadziłbym cię do ołtarza.

– Zerwałam z Ikerem. Nie będzie ślubu. Tak naprawdę nienawidzę ślubów. To było jak wyzwolenie.

Nie wierzyłem własnym uszom – Esti i Iker byli jedną z tych par, które od niepamiętnych czasów tworzą nierozzerwalną całość. Kiedy ich poznałem, już ze sobą byli, od zawsze.

– Co? – zapytałem głupkowato.

– Już nie jesteśmy razem, Unai. Nie powinnam w ogóle godzić się na ten ślub, nie dla mnie te wszystkie kwiaty, welony, księża i długie suknie, w których wyglądam jak karlica.

– Mogłaś powiedzieć to wszystko Ikerowi, na pewno by zrozumiał. Naprawdę go zostawiłaś? Jak długo byliście razem, od upadku frankizmu?

Milczała przez dłuższą chwilę. Bardzo długą. Pomyślałem, że zasnęła. Kopnąłem lekko w jej materac, żeby sprawdzić, czy żyje.

– Kiedy zginął mój brat, zorientowałam się, że Iker nie jest w stanie mnie pocieszyć. Jego obecność mnie nie uspokajała, nie zmniejszała mojej

rozpaczy, nie przynosiła mi ulgi. Nie musiała. Samej jest mi lepiej. Po tych wszystkich latach Iker jest dla mnie jak kuzyn, z którym czasem uprawiamy rutynowy seks, żeby wypełnić obowiązek i przekonać siebie nawzajem, że nadal się pociągamy i jesteśmy parą. Nie chcę spędzić życia z przyjacielem, z którym od czasu do czasu chodzę do łóżka. Nie chcę się kłócić o miejsce w szafie, o zawartość koszyka z zakupami, o weekendową trasę po barach. Od śmierci Eneka mam pod górkę, a on tylko mi ciążył. Od lat żyłam jak zombie, kierowałam się przyzwyczajeniem. Co ciekawe, Iker miał tak samo, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że można to zmienić, myślał, że nie ma nic złego w takim życiu na pół gwizdka. Ta decyzja okazała się wyzwoleniem dla nas obojga. Iker we wrześniu leci do Pakistanu, będzie się wspinać na Nanga Parbat, „zabójczą górę”. Bałam się go tam puścić i próbowałam odwieść go od tego pomysłu, ale teraz już nic nie stoi mu na przeszkodzie. To niesamowite, że tak się nawzajem ograniczaliśmy.

– To znaczy, że nie jest ci źle? Nie chcesz mi się wypłakać na ramieniu, nie muszę cię pocieszać?

– Wręcz przeciwnie, pilnie potrzebuję kumpla do balowania.

– Załatwione. Kiedy tylko wrócimy do Vitorii i zakończymy tę sprawę, ruszamy na całonocny podbój starówki.

– Kiedy tylko zakończymy tę sprawę... O ile wcześniej ona nie wykończy nas – westchnęła.

– Trafna uwaga – mruknąłem; już prawie zasypiałem. – Robi się późno, jestem wykończony. Śpijmy, jutro dokończymy tę rozmowę.

– Nie, Kraken. Zaczekaj, nie zasypiaj, nie wiem, czy jeszcze trafi się równie dobry moment, żeby ci to zaproponować.

– Co zaproponować?

– Mam dla ciebie prezent, chciałam ci go dać na urodziny, ale byliśmy tak... Po prostu nie nadarzyła się okazja.

– Prezent? Dzięki, Esti. Co to takiego?

– No dobra, powiem ci: poprosiłam Eneka, żeby przygotował dla ciebie narkotyk. Kiedy dilujesz, z czasem zaczniesz znać się na chemii.

– Wie o tym każdy, kto widział *Breaking Bad* – stwierdziłem lekko zaniepokojony. – Do czego zmierzasz? Bo początek wcale mi się nie podoba.

– To beta-bloker na bazie wyciągu z mandragory z dodatkiem różnych substancji.

– Mandragory? Nie jest trująca?

– Tylko w dużych dawkach, zresztą jak wszystko.

– Odezwała się ekspertka od środków odurzających. – Ta surrealistyczna rozmowa zaczynała mnie wkurzać.

– Pozwól mi skończyć, jesteś mi to winien. Mieszanka, którą dla ciebie przygotował, blokuje wchłanianie do organizmu innych psychotropów, jak rohypnol.

– Innych? Czyli to też jest psychotrop?

– Nie to miałam na myśli. Nie wiem... Nie wiem, jakie są jego efekty uboczne, Eneko twierdził, że nie ma żadnych, że blokuje działanie rohypnolu, że to najpilniej strzeżona tajemnica lat dziewięćdziesiątych, nawet policja nie dowiedziała się nigdy o jego istnieniu.

– I chcesz, żebym go wziął?

– Nie wiemy, kim jest morderca, za to on wie doskonale, kim jesteś ty. Jeżeli wytypował cię na swoją kolejną ofiarę, na nic zdadzą ci się kursy samoobrony, siła ani wzrost. Przypomnij sobie Thora z Domu pod Sznurem. Wyglądał jak ty, tyle że miał dwadzieścia pięć lat. Skoro zabójca poradził sobie z nim, poradzi sobie z tobą.

Nie chciałem jej słuchać, nie chciałem o tym myśleć.

– Po to odwiedziłaś brata w sklepie?

– Tak, kiedy na ciebie wpadłam, przyszłam po narkotyk. To jak będzie, weźmiesz go dla mnie?

– Nie, Esti. Nigdy niczego nie brałem i nie zamierzam zaczynać teraz. Nie obraź się, ale tym bardziej nie wezmę czegoś, co przygotował dla mnie twój brat.

– W porządku, w takim razie niech zrobi go dla ciebie ktoś, komu ufasz. Na przykład Asier, farmaceuta z twojej paczki. Zajmie mu to dwa dni.

– Nie zrozumiałaś. Nawet jeśli substancja byłaby czysta, nie zamierzam wprowadzać sobie do organizmu żadnego blokera psychotropów. I co, ze strachu przed mordercą miałbym go brać przez cały rok, dopóki będę miał czterdzieści lat?

– Przykro mi to mówić, ale obawiam się, że nie masz aż tyle czasu. Morderca uderzy podczas kolejnego ważnego święta w Vitorii.

– Zrobisz ze mnie narkomana. Nie zamierzam niczego brać. Koniec, kropka. Śpij, Esti. Ta rozmowa dobiegła końca, jutro będziemy udawać, że nigdy się nie odbyła.

Rano obudził mnie dzwonek telefonu stacjonarnego. Kiedy zrywałem się z łóżka, na drodze stanęła mi gruba sosnowa deska: opadłem na poduszkę, łapiąc się za bolące czoło.

– Właśnie miałam cię uprzedzić, żebyś uważał. Zrobiłeś sobie krzywdę? – Estibaliz wychyliła się ze swojego łóżka.

– Niewielką, to nic takiego – odpowiedziałem i rzuciłem się na stojący na szafce nocnej telefon. – Halo?

– Dzwonię z recepcji, chciałeś, żebym was zawiadomiła, kiedy przyjdzie mój ojciec. Trochę mu się spieszy, moglibyście zejść teraz?

– Tak, poproś go, żeby poczekał pięć minut. Już idziemy.

Nie zdążyliśmy nawet wziąć prysznic ani przejrzeć się w lustrze. Krętymi schodami zbiegliśmy do recepcji. Czekał tam na nas mężczyzna z dużym brzuchem i siwą kozią bródką. Ledwo mieścił się za ladą i co chwila ocierał z szyi pot chustką w niebieską kratę.

– Dzień dobry, inspektorzy Ruiz de Gauna i López de Ayala z komendy w Vitorii. Szukamy mężczyzny, który w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku mieszkał w pańskim hostelu. Pracował pan tu wtedy?

– Razem z ojcem. W tamtym okresie zacząłem przejmować po nim interes. Dlaczego pytają państwo o tak zamierzchłe czasy?

– Ta sprawa ma związek z prowadzonym obecnie śledztwem, nie możemy zdradzić panu szczegółów. Chodzi o Nancha Lopidanę, miał wówczas jakieś dziewiętnaście lat.

– Nancha Lopidanę? – powtórzyła pobladła Saioa. – Oczywiście, że tu mieszkał. Umarł w pokoju, w którym spaliście. To właśnie jest ten duch studenta.

PARK ARRIAGA

17 sierpnia, środa

– Nancho Lopidana nie żyje?! – zawołałem.

To niemożliwe.

Niemożliwe.

Kolejna ślepa uliczka.

– Tak, mieszkał u nas prawie przez rok. W pokoju, który teraz nazywa się „Drugi lutego”, dzielił go z innym studentem – odpowiedział oschle ojciec Saioi, jakby nie uśmiechało mu się udzielanie nam wyjaśnień. – Którejś nocy zasnął, czytając przy świetle starej lampki nocnej. Jego współlokatora nie było w pokoju. Kabel musiał być w złym stanie, od iskry zapaliły się pościel i materac. Dyżur w recepcji pełnił wtedy mój ojciec, miał już swoje lata, pewnie się zdrzemnął i niczego nie poczuł. Dopiero kiedy po schodach zbiegły inne dzieciaki i powiedziały, że spod drzwi jednego z pokoi wydobywa się dym, ojciec zadzwonił po straż. Na szczęście pożar nie rozprzestrzenił się na resztę budynku, ale biedny chłopak spłonął we własnym łóżku.

Nie podobało mu się, że go wypytujemy. Był wyraźnie zdenerwowany i spięty, najchętniej rzuciłby się w dół schodami.

– Przyjechała policja? – zapytała Estíbaliz.

– Tak, oczywiście, policja autonomiczna Nawarry. Przesłuchali mojego ojca i kilku gości, orzekli jednak, że pożar wybuchł z winy Nancha, nie postawiono nam żadnych zarzutów. Mimo to musieliśmy zamknąć hostel na prawie trzy tygodnie – tak śmierdziało dymem i spalenizną, że nie dało się spać. Skorzystaliśmy z okazji i przeprowadziliśmy remont, przebudowaliśmy niektóre pokoje, odmalowaliśmy korytarze i schody. Potem zaczęła krążyć ta głupia historia o duchu studenta. Nasi goście są bardzo młodzi, przyjeżdżają do Pampeluny, żeby zaszaleć, można o nich powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są strachliwi. W każdym innym hotelu taki wypadek odstraszyłby klientów, ale u nas nie mówiło się o niczym innym jak o tym, że w jednym z pokoi spłonął żywcem student. Opowiadano, że nocami duch Nancha

otwiera drzwi i schodzi po schodach. Widziało go coraz więcej osób, pewnie z powodu ilości alkoholu, jakie wlewają w siebie młodzi, którzy tu przyjeżdżają. Mój ojciec wspomniał o duchu studenta koledze, któremu zlecono napisanie przewodnika turystycznego po Pampelunie. Od tamtej pory nie zdołaliśmy się pozbyć tej etykiety.

– Mógłby nam pan podać nazwisko współlokatora?

Byłby cennym świadkiem, pomyślałem. Ktoś, kto dzielił pokój z tajemniczym Nanchem.

– Proszę posłuchać, minęło już kilkadziesiąt lat, niewiele pamiętam – powiedział zmęczonym głosem. – To zbyt nieprzyjemna sprawa, żeby co i rusz do niej wracać. Nie przypominam sobie, kto był jego współlokatorem.

– Może dziadek będzie pamiętał – wtrąciła Saioa.

– Dziadek jest już zgrzybiałym staruszką, nie powinniśmy go niepokoić.

– Nie takim zgrzybiałym, jak twierdzisz – szepnęła dziewczyna, przynajmniej tak mi się wydawało.

– Proszę posłuchać: mój ojciec to leciwy człowiek, na pewno niczego nie pamięta. Nie możemy w niczym więcej pomóc, powiedzieliśmy już wszystko policji i biegłym. Nie wiem, jakich jeszcze nowych informacji moglibyśmy państwu udzielić po tylu latach.

W porządku, czas na odwrót, pomyślałem.

Wróciliśmy na górę, żeby się umyć.

Zająłem łazienkę pierwszy, wciąż zły z powodu naszej rozmowy z ubiegłej nocy. Kiedy wyszedłem spod prysznicy, Esti nie było w pokoju. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

– Masz, przyniosłam ci kawę. – Podała mi plastikowy kubek parzący palce.

Kawa była tak mocna, że zastanawiałem się, czy powinienem ją pić.

– Ruszamy na tutejszą komendę, Kraken. Chcę zobaczyć raport z tego pożaru – powiedziała, dopijając swoją kawę z mlekiem.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Coś za dużo tych pożarów w życiu Nancha.

Opuściliśmy hostel, nie żegnając się z właścicielem. Skierowaliśmy kroki ku ulicy Fuente de la Teja, przy której mieściła się komenda główna nawarskiej policji.

– Dzień dobry, inspektorzy López de Ayala i Ruiz de Gauna z komendy w Vitorii. Szukamy informacji o pożarze w hostelu przy ulicy Amaya w tysiąc

dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, w którym zginął Nancho Lopidana.

– Znalazienie akt trochę zajmie. W tym czasie wypełnijcie papiery – powiedział policjant, który nas przyjął.

Udostępniono nam jeden z gabinetów. Godzinę później otrzymaliśmy brązową teczkę zawierającą akta sprawy.

Na widok zdjęć znów zrobiło mi się niedobrze. Ciało nie było zwęglone w całości, spaliły się jedynie głowa i dłonie. Zachowała się nawet część ubrania, zwłaszcza nogawki spodni, jedynie lekko osmolone.

– Widzisz? – zapytałem, wskazując palcem ten szczegół.

– Gdyby nie chodziło o śmierć studenta w wypadku, można by pomyśleć, że to sprawka mafii, która nie chciała, by zidentyfikowano zwłoki; stąd spalona twarz i opuszki palców.

– Kto zidentyfikował ciało? – zapytałem, przeglądając cienkie akta.

– Dawny właściciel hostelu przy ulicy Amaya, ojciec tego sympatycznego pana, z którym rozmawialiśmy dziś rano. W raporcie odnotowano, że Nancho Lopidana nie miał żadnej rodziny.

– Jest jakakolwiek wzmianka o jego współlokatorze? Albo jakimś przyjacielem czy znajomym?

– Nie ma żadnych nazwisk, Unai. Raport jest dość...

– Lakoniczny, delikatnie mówiąc.

– Powiedziałabym raczej, że rachityczny. Wiemy, że Nancho Lopidana szedł przez życie bez dowodu osobistego. W raporcie także o tym wspomniano, policja przeszukała rejestry stanu cywilnego, w żadnym nie figurował. Wiedzieli, że ofiara nie posiada dokumentów, ale nic z tym nie zrobili. Wydano akt zgonu, choć nie istniał akt urodzenia. Super. Zamknięto śledztwo, uznawszy, że pożar wywołała iskra z uszkodzonego kabla lampki nocnej. I tyle. Na tym kończą się przygody naszego trojaczka. Niezłe miał biedak życie.

– I niezłą śmierć. Wiesz, co to oznacza, prawda?

– Tak: że skoro trojaczek zginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, nie może być sprawcą ani zbrodni sprzed dwudziestu lat, ani tych obecnych.

Dla mnie wcale nie było to takie oczywiste.

– Kto sporządził ten raport? – zapytałem.

– Inspektor Legarra.

– W takim razie chodźmy z nim porozmawiać. Pewnie jest już na emeryturze, ale mam nadzieję, że pamięta tę sprawę. Nie co dzień zdarzają się pożary z ofiarami śmiertelnymi.

Zesłaliśmy porozmawiać z policjantem w mundurze, który nas przyjął; oddaliśmy mu akta i podpisaliśmy formularz, w którym zanotowano datę i godzinę wydania dokumentów.

– Mielibyśmy jeszcze jedną prośbę: mógłbyś dać nam namiary na inspektora Legarrę? Chcielibyśmy zadać mu kilka pytań w związku z tą sprawą.

– Spóźniliście się, niedawno go pożegnaliśmy. Rak trzustki. Szkoda, w styczniu przeszedł na emeryturę, a trzy miesiące później już nie żył. Był dobrym policjantem, zawsze pisał wyczerpujące sprawozdania. Jeżeli on niczego nie znalazł, to znaczy, że niczego nie było. Możecie mi wierzyć.

– Jasne...

Może i był dobrym śledczym w ostatnich latach służby, ale na pewno nie wówczas, kiedy sporządzał ten pełen luk raport...

A może po prostu nie było o czym pisać. Chłopak zasypia nad książką i ginie w pożarze wywołanym przez lampkę nocną.

To wszystko.

Wróciliśmy do Vitorii autostradą A-1. Prowadziła Estíbaliz. Kiedy dotarliśmy na komendę, każde z nas zamknęło się w swoim gabinecie.

Na mojej komórce wyświetlił się numer, którego nie miałem zapisanego w kontaktach. Westchnąłem, ale postanowiłem odebrać.

– Dzień dobry, inspektorze. Mówi Garrido-Stoker, adwokat Ignacia Ortiza de Zárate. Chciałbym porozmawiać z panem... nieoficjalnie – zaczął bez owijania w bawełnę. – Mogę mieć pewność, że informacja o tym telefonie ani treść naszej rozmowy nie trafią do żadnego raportu?

– Mamy osiem ofiar i dwóch zaginionych bliźniaków. Proszę mi wierzyć, w tej chwili jestem w stanie posunąć się znacznie dalej niż do nieoficjalnej rozmowy – odparłem.

– Wiedziałem, że się dogadamy. Dzwonię, bo jest coś, co mogłoby pomóc w namierzeniu mojego klienta, ale... spece od informatyki, którzy dla mnie pracują, nie dali sobie z tym rady. Zastanawiam się, czy pan, inspektor Wydziału Kryminalnego, także korzysta czasami z usług takich osób, niezatrudnionych przez ministerstwo.

– Zna pan odpowiedź. A mój człowiek jest najlepszy. O co chodzi?

– Ignacio przez lata pracował w policji, potrafi się chronić, we wszystkich tego słowa znaczeniach. Jego komórka to ekskluzywny model, stać go na taki. Zainstalował na niej lokalizator. Na jeden z moich komputerów ściągnęliśmy program odbiorczy, na którym widać, gdzie znajduje się w danym momencie, z dokładnością do dwóch metrów. Do tego jest jeszcze małe urządzenie wielkości baterii, które Ignacio zawsze nosi przy sobie, zazwyczaj w kieszeni spodni. Coś jak nadajnik GPS używany podczas policyjnych akcji, tyle że bardzo mały. Dzięki temu nawet gdyby zgubił komórkę albo ktoś kazał mu ją wyrzucić, nadal można by go namierzyć, oczywiście pod warunkiem że nie zabrano by mu ubrania.

– Wiedziałem o istnieniu takich urządzeń, choć w Hiszpanii nie są jeszcze zbyt popularne, przynajmniej tak wynika ze statystyk.

– Proszę zapytać jakiegoś znajomego milionera, coś panu o tym powie – odparł z subtelną ironią właściwą prawnikom. – Wychodząc z domu, Ignacio zabrał komórkę, ale kiedy chciałem sprawdzić, gdzie się znajduje, okazało się, że zarówno telefon, jak i nadajnik zostały wyłączone. Dlatego tak się wystraszyłem i po upływie dwudziestu czterech godzin zgłosiłem jego zaginięcie na policji. Zdziwiło mnie, że Ignacio nie chce, żebym go zlokalizował. Myślę, że został porwany albo zamordowany. Wiem, że takie urządzenia mają furtki: nawet jeżeli ktoś je wyłączy, specjalista dysponujący odpowiednim sprzętem mógłby wykorzystać sygnał GPS, który nadal emitują, i ustalić jego lokalizację, choć obawiam się, że już nie z tak dużą dokładnością. Sprzęt, który kupił Ignacio, był niewykrywalny dla policji, ale zastanawiam się, czy...

– Już panu mówiłem: znam odpowiednią osobę, nie wiem tylko, czy będzie chciała z nami współpracować.

– Jestem pewien, że Ignacio ją wynagrodzi, jeżeli zdoła go namierzyć.

– Tyle że ja nie jestem pewien, czy mojego technika interesują pieniądze Ignacia. Spróbuję go jakoś przekonać. Zadzwonię do pana, kiedy uda mi się z nim skontaktować. Rozumiem, że dyskrecja działa w obie strony i ta rozmowa zostanie między nami?

– Ja do pana nie dzwoniłem, a pan ze mną nie rozmawiał. Nikt nie powiąże ze mną tego numeru. Zawsze będę kontaktował się z panem z tej karty, a kiedy będzie po wszystkim, więcej jej nie użyję.

– Ostatnia kwestia: jeżeli mój współpracownik się zgodzi, poprosi o dane telefonu Ignacia, ale wejdzie również do pańskiego komputera. Ma pan tego

świadomość?

– Liczyłem się z tym. Już go wyczyściłem.

– Radzę panu, żeby dokładnie go pan wyczyścił. Bardzo dokładnie.

Rozłączyłem się, otworzyłem pocztę i wysłałem wiadomość SOS do MatuSalema.

Myślę, że wiem, jak namierzyć Tasia, ale potrzebuję twojej pomocy. Natychmiast.

Odpowiedź nadeszła kilka sekund później, co znaczyło, że nadal mnie śledzi i że nie zapomniał o Tasiu ani o całej sprawie.

Muzeum Broni, drugie piętro. Jest stare, bez kamer, w sierpniu nie ma tam żywego ducha. Kiedy?

Natychmiast znaczy „natychmiast”.

Wybiegłem z komendy i ruszyłem w stronę Paseo de la Senda. Muzeum znajdowało się przy Fray Francisco, obok pałacu Ajuria Enea, oficjalnej rezydencji szefa baskijskiego rządu.

Na drugim piętrze, przy uzbrojonym w muszkiet manekinie w hełmie, czekał chłopak w białej bluzie. Twarz zasłaniał mu kaptur.

– Chyba oszalałem – powiedział na powitanie, po czym spokojnym krokiem zaczął przechadzać się po pustej sali. – Umówiłem się z gliną tuż przy Ajuria Enea, w budynku pełnym broni.

– Spokojnie, nie nadzieję cię na floret.

– Czego ode mnie chcesz, Kraken? – zapytał, oglądając leżące w gablotach pociski.

– Mam dla ciebie zadanie, które na pewno ci się spodoba: lokalizator GPS nieużywany w Hiszpanii, który brat bliźniak twojego mentora kupił za nieosiągalną dla nas obu sumę. Komórka i mininadajnik, które Ignacio miał przy sobie w momencie zniknięcia, zostały wyłączone, ale ty – i myślę, że tylko ty – możesz znaleźć furtkę i wyłapać sygnał, latając oprogramowanie. Wiem to.

– I co będę z tego miał?

– Korzyści jest całe mnóstwo: zyskasz mój szacunek, dla Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością będziesz nietykalny, pomożesz oczyścić Tasia z zarzutów, może nawet uda się odnaleźć go żywego... Nie wiem, jak bardzo

narażał się dla ciebie w kiciu, ale zastanów się, czy odmówiłby mi pomocy, gdybyś to ty zniknął. Z drugiej strony adwokat Ignacia wspomniał o sowitej nagrodzie. Może dzięki niej będziesz mógł na jakiś czas zapomnieć o internetowych przekrętach. Nie daj się prosić, Maturana. Przejdź na jasną stronę mocy, hakerzy tacy jak ty nie dożywają starości, chyba że założą jakiś start-up. Dzięki temu mógłbyś się wycofać. Nie męczy cię to, że zawsze musisz chodzić w kapturze i mieć oczy dookoła głowy?

– Dosyć, Kraken. Wystarczy. Zdecydowałem się już pół godziny temu. Nie osładzaj mi tego jeszcze bardziej, bo podskoczy mi cukier.

Powstrzymałem zwycięski uśmiech, patrząc, jak się odwraca i zostawia za sobą XVII wiek.

– Napisz mi, jakich informacji potrzebujesz! – krzyknąłem, kiedy zbiegał po schodach. – I wrzucić coś na Twittera Tasia, choćby jedną z tych porad dla scenarzystów, bo niedługo stracie wszystkich obserwujących.

Przez chwilę stałem bez ruchu zahipnotyzowany spokojem panującym w tym miejscu, w którym jakby zatrzymał się czas. Nagle usłyszałem zdyszany oddech osoby szybko wbiegającej po schodach.

Z zaciekawieniem spojrzałem na dziewczynę, która weszła do sali, ale kiedy zobaczyłem, kto to jest, zamarzała mi krew w żyłach. Dosłownie. Nie chodzi o przenośnię, naprawdę nagle zlodowaciały mi ręce i głowa. Jakby ktoś włączył klimatyzację na cały regulator.

– Wszędzie cię szukałam, Unai. Twoja koleżanka z komendy powiedziała, że tu cię znajdę – powiedziała Martina, dziewczyna mojego brata.

– Co, do licha...? – wybełkotałem.

Widziałem ją, to była ona. Przetarłem oczy.

– Zaczekaj, Unai. – Zatrzymała mnie ruchem dłoni. – Chcę ci coś powiedzieć, zanim dostaniesz zawału. Specjalnie tu przyszedłam, żeby ci to wyjaśnić, rozmawiałam już z Germanem. Jak możecie myśleć, że nie żyję? Dziewiątego musiałam wyjechać służbowo do Santander, nie pamiętasz? Przecież ci mówiłam. Byłam na wakacyjnym kursie z mediacji rodzinnej zorganizowanym w pałacu królewskim na Półwyspie Magdaleny.

– Co ty wygadujesz? Przecież widziałem twoje zwłoki w sali sekcyjnej, sam je zidentyfikowałem.

– Unai, zaszła pomyłka, zamordowano moją siostrę. Do diabła z wami, wszyscy myśleliście, że nie żyję, odbiło wam czy co? – Podeszła bliżej.

Rozpoznałem jej zapach, jej oczy koloru kiwi.

– Przytul mnie, proszę. Będę potrzebowała twojej pomocy, żeby uspokoić Germana, myśli, że ma halucynacje...

Objęła mnie, przyssała się do mnie jak pijawka, poczułem ciepło jej ciała. Kiedy minęło początkowe osłupienie, odważyłem się pogłodzić ją po odrośniętych czarnych włosach i pocałować w głowę.

Ma halucynacje..., pomyślałem.

Wtedy zrozumiałem.

A niech to, Unai. Masz halucynacje.

Odsunąłem się nieco od Martiny. Spojrzała na mnie, nie wiedząc, czy powinna być na nas zła, czy cieszyć się, że Germán dochodzi do siebie.

– Nie masz siostry, Martino – powiedziałem duchowi czy co to było.

– Jak to? Oczywiście, że mam siostrę. Siostrę bliźniaczkę.

Zamknąłem oczy w nadziei, że halucynacje znikną, ale kiedy je otworzyłem, Martina wciąż tam była.

Ponieważ nie mam doświadczenia w tej materii ani nie dysponuję wystarczającą wiedzą psychologiczną, postanowiłem zastosować się do zaleceń terapii dla pacjentów cierpiących na omamy wzrokowe i słuchowe, o której kiedyś czytałem.

– Martino, nie jesteś prawdziwa, natychmiast przestaję z tobą rozmawiać. Wszystko jedno, ile razy mi się ukazesz, nie będę więcej zwracał na ciebie uwagi. Chcę tylko...

Do diabła z terapią.

– Skoro mamy możliwość, żeby się pożegnać, nawet jeżeli to wszystko dzieje się wyłącznie w mojej chorej wyobraźni... Chcę ci podziękować. Podziękować za lekcję życia, jakiej mi udzieliłaś. Byłaś członkiem naszej rodziny. Kochałem cię jak siostrę.

Martinie z mojej wyobraźni nie spodobało się to pożegnanie. Minąłem ją i podszedłem do schodów.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby ostatni raz na nią nie spojrzeć. Jednak w sali nie było nikogo oprócz uzbrojonych w piki manekinów w hełmach.

Przekłęta Estíbaliz. Ścisnąłem komórkę, jakbym chciał ją zmiażdżyć, i wybrałem jej numer.

– Gdzie jesteś, Esti?

– Na komendzie, a co?

– Jadę tam, widzimy się na parkingu. Musimy porozmawiać w cztery oczy.

Byłem wściekły. Kiedy wjechałem na parking, już na mnie czekała. Na jej twarzy malował się niepokój.

Zaparkowałem w najbardziej ustronnym miejscu i otworzyłem drzwi od strony pasażera. Usiadła obok mnie.

– Co się znowu stało? Wyglądasz jak duch.

– Duch? Ducha to ja widziałem, o mały włos nie dostałem zawału! I nie tylko go widziałem; rozmawiałem z duchem Martiny.

– Wybacz, ale o czym ty mówisz?

– Wybacz? – powtórzyłem, czerwony na twarzy. – Nie, nie wybaczę! Tym razem ci nie wybaczę, kompletnie oszalałaś. Co z twoim kodeksem etycznym? Posunęłaś się za daleko, droga koleżanko. Podałaś mi środek psychotropowy w kluczowym momencie śledztwa, kiedy powinniśmy być w stu procentach skoncentrowani i działać na pełnych obrotach. Zwariowałaś? Do czego mi go dodałaś? Do kawy, którą przyniosłaś mi dziś rano w Pampelunie?

Estíbaliz zacisnęła zęby, założyła ręce na piersi i wyjrzała przez szybę.

– Przecież wiesz, nie zadawaj retorycznych pytań.

Wzięłem głęboki oddech w nadziei, że przejdzie mi złość, ale było ciężko.

– Jak długo działa to gówno?

– Efekty uboczne powinny ustąpić, ale zniknie też twoja odporność na rohypnol.

– Jak długo? – powtórzyłem zniecierpliwiony.

– Dwanaście godzin... Chyba.

– Chyba?

– Tak, wieczorem powinien przestać działać. Tak przynajmniej twierdził Eneko.

Teraz byłem już nie tylko zły, ale też smutny.

Przyszedł czas, żeby się pożegnać. Nie było już odwrotu.

– Esti, to nie jest normalne. Nie... Nie mogę dłużej z tobą pracować. Nie poinformuję o tym, co zrobiłaś, nie chcę cię pogrążyć, ale już ci nie ufam, będę cię podejrzewał za każdym razem, kiedy zaproponujesz mi kawę czy coś do jedzenia. Jutro porozmawiam z podkomisarz. Albo ty zrezygnujesz z prowadzenia tego śledztwa, albo ja to zrobię, nie chcę być dłużej twoim partnerem.

– Ja zrezygnuję, inspektorze Ayala. Nie musi pan płacić za moje błędy.

– Za późno, inspektor Gauna. Za późno. Proszę wysiąść z mojego

samochoду.

Przez długi czas siedziałem w outlanderze. Nie byłem w stanie trzeźwo myśleć, martwił mnie obecny w moim organizmie narkotyk.

Nie chciałem więcej słyszeć o Estíbaliz, o Albie, o nikim.

Kiedy zakończę tę sprawę – o ile ta sprawa wcześniej nie wykończy mnie i moich bliskich – zrobię sobie przerwę. Może wyjadę gdzieś z Germanem, zabiorę go stąd, zaopiekuję się nim. Zaopiekuję.

Ponieważ bałem się, że z powodu tego przeklętego narkotyku wysiądzie mi mózg, zmusiłem się do działania.

Jakie sprawy zostały ci jeszcze do załatwienia, Unai?

Lutxo, został mi jeszcze Lutxo.

Wybrałem jego numer z nadzieją, że tym razem mnie nie zbędzie.

– Lutxo, chciałbym się z tobą zobaczyć i błagam, nie wymyślaj kolejnej wymówki, mam już dość twojej kreatywności. Znajdziesz dla mnie chwilę?

Ku mojemu zaskoczeniu zgodził się ze mną spotkać. Umówiliśmy się w parku Arriaga, dyskretnym, neutralnym miejscu, gdzie mogłem spokojnie porozmawiać ze swoim przyjacielem ze Świętego Wiatora.

– Kopę lat, Kraken! – powiedział, poklepując mnie po plecach; w jego głosie przebijał smutek. – To tylko dwa tygodnie, ale tyle się działo, że mam wrażenie, jakbyśmy ostatnio widzieli się w innym życiu. Jak sobie radzisz po śmierci Martiny?

Martina, pomyślałem ze złością. Martina zstąpiła ze swojego nieba, żeby się mną zająć. Czy ty uczynisz to samo, przyjacielu?

– Jeśli mam być szczery, najlepszym, co mogę dla niej zrobić, jest przyskrzynienie łajdaka, który ją zabił. A ty mi w tym pomożesz, chcesz tego czy nie. Nie dokończyliśmy naszej rozmowy, Lutxo.

– Mów jaśniej, bo nie rozumiem, o co ci chodzi. – Usiadł na ławce na wprost stawu.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy, kiedy zapytałem cię, skąd masz zdjęcia przedstawiające bliźniaków w towarzystwie piętnastoletniej ofiary, powiedziałeś coś w stylu, że to najpilniej strzeżony sekret redakcji. Zaczynam podejrzewać, że rola prasy w tej sprawie była kluczowa, podobnie jak dwadzieścia lat temu, i że nie chodziło wyłącznie o informowanie opinii publicznej.

– Kogo konkretnie oskarżasz?

– Ciebie, twojego naczelnego...?

– Mnie? O czym ty mówisz?

– O tym, że to przez ciebie zacząłem podejrzewać Eguzkilore, że to ty zniszczyłeś wizerunek Ignacia i zadbałeś o to, żeby Tasio nie miał szans na powrót do społeczeństwa. Może powinienem cię zapytać, gdzie byłeś w dniach, kiedy popełniono morderstwa.

– Mówisz poważnie, Kraken? – Patrzył na mnie wystraszony. – Nie do wiary, że mi nie ufasz, jesteśmy przyjaciółmi. Od kiedy się znamy? Odkąd mieliśmy po sześć lat?

– Nie zmieniaj tematu, Lutxo... – ostrzegłem go. – To wcale nie oczyszcza cię z podejrzeń.

– O co ci chodzi?! – zawołał, zrywając się z ławki. – Naprawdę myślisz, że to ja?

Ja również wstałem, nie lubię, kiedy ktoś mówi do mnie z góry.

– Zaczynj wreszcie współpracować! Pomóż mi, oskarżę cię o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, jeżeli nie powiesz mi, kto, do jasnej cholery, przekazał ci te zdjęcia. Wcześniej tego nie zrobiłem i może właśnie dlatego zginęli Martina i Eneko. Nie wiem, jak mogłeś spojrzeć w oczy Germanowi.

Usiadł, raz po raz gładząc się po białej bródce.

– Mój szef mnie zabije, mój szef mnie za to zabije... – szepnął sam do siebie.

– Dalej, Lutxo – ponagliłem go. – Już podjąłeś decyzję, po prostu mi powiedz i skończmy z tym raz na zawsze.

– Niech będzie. Najpilniej strzeżony sekret redakcji „El Diario Alavés” jest taki, że informacje o sprawie, które publikujemy, przychodzą do nas w zaklejonych kopertach bez nadawcy. Trwa to od dwudziestu lat.

Co takiego? – pomyślałem osłupiały.

– W zaklejonych kopertach?

– Tak, kiedyś to była dość powszechna praktyka. Nie istniał internet, informacje prasowe wysyłano w kopertach na adres redakcji. Niektórzy przynosili je do recepcji osobiście, ale wiele przychodziło pocztą. Często zdarzały się też anonimy. Sprawdzaliśmy pobieżnie, czy to nie list bomba, ale jeżeli koperta była mała i lekka, po prostu ją otwieraliśmy.

– Jakie dokładnie materiały przychodziły do was w tych kopertach?

– Zdjęcia, które opublikowaliśmy, i całe artykuły. Nie musieliśmy ich

nawet redagować. Spływały do nas informacje, którymi nie dysponował „El Correo Vitoriano”. Listy zaczęły przychodzić na moje nazwisko niedługo po tym, jak przyszedłem na staż do gazety. Niska pensja, umowa tymczasowa... Byłem nikim, dzieciakiem, który pragnął zawojować świat i zderzył się z rzeczywistością zhierarchizowanej redakcji. Miałem niewielkie szanse na przedłużenie sześciomiesięcznej umowy. Musiałbym wyjechać z Vitorii, w tym mieście nie ma zbyt wielu ofert pracy dla dziennikarza.

– Przychodziły na twoje nazwisko? Dlaczego nie zawiadomiłeś policji? Mogły być na nich odciski palców albo DNA ze śliny na kleju.

– Przecież ci powiedziałem, uważasz, że to nie są wystarczające powody? Za pierwszym razem pokazałem list naczelnemu, ale nie powiedziałem mu, skąd go mam. Zresztą chyba niespecjalnie go to interesowało. Miał obsesję na punkcie tej sprawy, mówił tylko o tym, że trzeba poświęcać jej więcej miejsca. Tamto wydanie pobiło rekordy sprzedaży. Nie byłem w stanie jasno myśleć, nie zawiadomiłem policji o kolejnych listach. Naczelny całymi dniami trzymał mnie w swoim gabinecie, stałem się jego ulubieńcem, podpisał ze mną umowę na stałe.

– Interesuje mnie jedno: czy ostatnia koperta, ta ze zdjęciami zrobionymi ukradkiem bliźniakom i dziewczynie, była taka sama jak inne? Twoim zdaniem wysłała ją ta sama osoba?

Lutxo przez moment się zastanawiał. Kiedy na mnie spojrzął, na jego twarzy malowało się poczucie winy.

– Raczej tak... Nie pomyślałem o tym.

– Jak można być aż takim idiotą?! – naskoczyłem na niego rozwścieczony. – To oznacza, że mamy do czynienia z tą samą osobą co dwadzieścia lat temu. Masz pojęcie, jak ważny jest ten szczegół? Naprawdę nie rozumiesz, że ten, kto wysyłał ci te artykuły i zdjęcia, nie robił tego po to, żeby ułatwić ci pracę, ale żeby manipulować opinią publiczną? Ten człowiek wie więcej niż ja i ty, zawsze jest o krok przed nami, być może to morderca, a na pewno ktoś, kto od początku chciał zaszkodzić Tasiowi i Ignaciowi. Zataiłeś ważny trop, który policja powinna była zbadać dwadzieścia lat temu, z tego powodu zginęło szesnaście osób. Drogo kosztował je twój awans.

– Kurwa, Kraken! Nie mów takich rzeczy. Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– Nieprawda, Lutxo. Myślałeś, ale nie widzisz nic poza własnym biurkiem w redakcji. Prześlij mi te koperty, zanim porozmawiam z sędzią, który zamknie tę waszą przeklętą gazetę.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem do wyjścia z parku. Minąłem kościółek Świętego Jana, gdzie przed kilkoma wiekami zbierała się alavska szlachta z Bractwa Arriagi, by bronić swoich interesów. Mimo upływu czasu nasze zwyczaje za bardzo się nie zmieniły: mieszkańcy Vitorii nadal walczyli z mieszkańcami Vitorii, mieszkańcy Álavy nadal zabijali mieszkańców Álavy.

46

STARÓWKA

18 sierpnia, czwartek

Następnego ranka odebrałem niespodziewany telefon. Jadłem akurat śniadanie w kuchni, wyglądając na plac.

– Halo?

– Inspektorze, tu Saioa z hostelu w Pampelunie. Pamiętasz mnie?

– Oczywiście. Jakiś problem z moją kartą kredytową?

– Nie, skąd. Nie o to chodzi. Ty... – zawahała się na chwilę. – Ty jesteś Krakenem, tym od Tasia Ortiza de Zárate, prawda?

Westchnąłem: to zakrawało już na prawdziwą pandemię.

– Skoro mnie rozpoznałaś, chyba nie muszę się przedstawiać.

– Po prostu śledzę na Twitterze sprawę podwójnych zbrodni w Vitorii, zresztą jak wszyscy. Wczoraj cię nie poznałam, na zdjęciach wydajesz się niższy.

– Dlaczego do mnie dzwonisz?

– Jak pewnie zauważyłeś, mój ojciec nie przepada za gliniarzami. Nie masz pojęcia, ile razy z winy naszych gości policja wpadała do hostelu w poszukiwaniu narkotyków. To dość uciążliwe, dlatego nie może już na was patrzeć... Nie wiem, czy wasze zainteresowanie Nanchem Lopidaną ma cokolwiek wspólnego z Tasiem, ale powiedziałeś, że chodzi o jakąś starą sprawę, i...

– Nie mogę ci udzielić tej informacji, ale chętnie cię wysłucham.

– Po prostu nie chcę, żeby wyszło na to, że odwracam głowę w inną stronę, kiedy mogłabym w czymś pomóc. Dziadek ma w domu karty meldunkowe wszystkich gości, którzy zatrzymywali się u nas od otwarcia hostelu. Rozmawiałam z nim i chętnie się z tobą spotka, twierdzi, że dwadzieścia pięć lat temu policja nie chciała go słuchać. Nie miał okazji się wygadać. Tyle że musiałbyś przyjechać do Pampeluny, bo dziadek nie jest już taki sprawny, poza tym lepiej, żeby ojciec się nie dowiedział.

– Już wyruszam. Podaj mi adres dziadka i powiedz mu, że będę u niego za półtorej godziny. I jeszcze jedno, Saioa...

– Co?

– Wielkie dzięki. Oby każdy angażował się tak jak ty.

Zbiegłem na dół, wsiałem do samochodu i wybrałem numer Estíbaliz.

– Słuchaj, zapomnijmy na razie o naszej wczorajszej rozmowie. Wracam do Pampeluny, żeby zadać kilka pytań dawnemu właścicielowi hostelu przy ulicy Amaya. Jego wnuczka sądzi, że może udzielić nam więcej informacji, ma rejestr gości sprzed dwudziestu pięciu lat. Ale najpierw muszę powiedzieć ci coś o Lutxu.

– O Lutxu? Naszym Lutxu?

– Tak, naszym Lutxu. Posłuchaj...

Poinformowałem ją o tajemniczych zaklejonych kopertach i wysłuchałem wiązanki przekleństw. Kiedy już przestała złorzeczyć, ustaliliśmy, że pojedzie do redakcji „El Diario Alavés”, żeby osobiście odebrać koperty, i od razu wyśle je do analizy.

Dziadek Saioi mieszkał na pampeluńskiej starówce. Zadzwoiłem przez domofon pod numer, który podała mi dziewczyna, i wąskimi schodami wspiałem się na pierwsze piętro. Otworzył mi przysadzisty staruszek z wielkim brzuchem – jak u jego syna – i bardzo czerwonym nosem pokrytym popękkanymi naczynekami. Poruszał się z trudem, wspierając się na zbyt krótkiej lasce. Wskazał mi stary zielony fotel ze sztucznej skóry i nalał tarninówki, za którą uprzejmie podziękowałem. Bez przerwy mnie czymś częstował, tak że w końcu zjadłem kilka kruchych ciasteczek z supermarketu, które wyciągnął ze swojego fikuśnego kredensu z lat siedemdziesiątych.

– Wnuczka o wszystkim mi powiedziała. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo chciałem, żeby policja wznowiła śledztwo w sprawie Nancha Lopidany.

– Śledztwo nie zostało wznowione – wyjaśniłem z ustami zapchanymi gumowatym ciastkiem. – Po prostu jego nazwisko wypłynęło przy okazji innego dochodzenia, które obecnie prowadzimy.

– W takim razie powinniście je wznowić, nie spodobało mi się, jak zakończyła się tamta sprawa.

– Może mi pan powiedzieć dlaczego?

– Tamtej nocy nie tylko zginął Nancho. Zniknął także jego współlokator. Nie uregulował opłaty za pokój, już nigdy nie dał znaku życia. Mówiłem

o tym policjantom, ale odpowiedzieli, że nie będą go szukać, jeżeli rodzina oficjalnie nie zgłosi zaginięcia.

Na moment odebrało mi mowę. Tego się nie spodziewałem.

– Twierdzi pan, że kolega Nancha zniknął? W raporcie nie ma o tym ani słowa.

– Jak to nie ma? – Rozeźlony postukał laską w podłogę. – Musieli o tym wspomnieć, długo suszyłem głowę inspektorowi...

– Nie wspomnieli. Skąd było wiadomo, że tamtej nocy w pokoju zginął Nancho, a nie jego współlokator?

Starzec wzruszył ramionami, jakby chodziło o najoczywistszą rzecz na świecie.

– Bo leżał w łóżku Nancha i miał na sobie jego ubranie, co prawda spalone, ale łatwo było poznać.

To nie wystarczy, dobremu inspektorowi to by nie wystarczyło, pomyślałem wściekły.

– No dobrze, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy pamięta pan, jak nazywał się współlokator Nancha.

– Pamiętać, nie pamiętam, ale jeżeli uzbroi się pan w cierpliwość, poszukam jego karty meldunkowej. Chociaż może szybciej będzie, jeśli pokażę panu albumy ze zdjęciami. Zazwyczaj zapisywałem na odwrocie nazwiska gości, którzy zostawali u nas na cały rok, żeby nie zapomnieć. Tylu ich było...

– Ma pan zdjęcia Nancha? – Przełknąłem ślinę.

Nareszcie. Nareszcie będę wiedział, czy ma cokolwiek wspólnego z bliźniakami.

– Oczywiście, jego kolegi także. Dla studentów, którzy mieszkali u nas przez cały rok szkolny, urządaliśmy różne imprezy, razem obchodziliśmy Boże Narodzenie i inne święta, jeżeli nie wracali do domów. Ci dwaj byli nierozłączni. Coraz bardziej się do siebie upodabniali, z czasem zaczęli wyglądać jak bracia.

– Jak to?

– Zaraz sam pan zobaczy. Pokażę panu zdjęcia z tamtego roku. Kiedy Nancho zamieszkał w hostelu, ubierał się niechlujnie, miał źle obcięte włosy, ale odkąd zaprzyjaźnił się z tym dziennikarzem, zaczął dbać o wygląd, schudł i strzygł się tak jak on, u tego samego fryzjera. Byli jak Zipi i Zape^[21], chociaż Nancho miał rude włosy. Aż śmiech brał człowieka, kiedy na nich

patrzył. Brakowało tylko, żeby Nancho przefarbował się na czarno, a wyglądałoby identycznie. Proszę spojrzeć, przekona się pan, że nie przesadzam.

– Przepraszam, czy powiedział pan „z dziennikarzem”?

– Tak, nie wspomniałem o tym wcześniej? Student, który zniknął, był na pierwszym roku dziennikarstwa. Jeżeli mnie pamięć nie myli, pochodził z Madrytu, jego rodzice nie żyli, był jedynakiem i nie miał żadnej rodziny. Dostał w spadku jakieś pieniądze, a ojciec zawsze mu powtarzał, że powinien studiować dziennikarstwo jak jego dziadek, czy jakoś tak.

– Mogę przejrzeć te albumy?

– Niech pan będzie tak miły i poda mi ten z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, ja nie mam już dość siły w rękach, zważyłbym sobie wszystkie na głowę. – Wskazał stary regał.

Wstałem i odszukałem tom z naklejką odsyłającą do lat 1989–1990. Usiadłem obok staruszka, starając się ukryć zniecierpliwienie. Zaczął przerzucać stronicę grubego albumu pełnego kolorowych zdjęć.

– Tutaj! – zawołał, przykładając palec do twarzy, której nie zdążyłem zobaczyć.

– Czy może pan...? Może pan odsunąć palec, żebym mógł mu się przyjrzeć?

– Oczywiście, oczywiście. Niech pan popatrzy, to właśnie Nancho Lopidana, kilka dni po tym, jak zamieszkał w naszym hostelu. Od razu zaprzyjaźnił się z dziennikarzem.

Pochyliłem się nad zdjęciem w kolorach typowych dla fotografii z lat dziewięćdziesiątych. Wyglądało tak, jakby przepuszczono je przez filtr na Instagramie.

Nancho był pulchnym chłopakiem o twarzy jak księżyc w pełni, opuchniętej i dużej w porównaniu z niewielkim nosem i blisko osadzonymi oczkami – wyglądały jak o rozmiar mniejsze. Miał przylizane włosy z długą, krzywo obciętą, zaczesaną na bok grzywką. Nie patrzył w aparat, spuścił głowę, jakby był chorobliwie nieśmiały. Wydawał się wyobcowany, niemal wystraszony, nie bawił się z resztą kolegów, którzy dmuchali w urodzinowe trąbki i rzucali kolorowe serpentyny.

– A to ten student, tu, po lewej stronie – wskazał staruszek.

Przystojny szczupły brunet z króciutkimi włosami wyzywająco patrzył w obiektyw. Obejmował Nancha za szyję, jakby chciał go skłonić do udziału

w imprezie.

– Ma pan jego nazwisko?

Staruszek podniósł plastikową osłonkę chroniącą stare zdjęcie i spojrzął na odwrotną stronę.

– Tego akurat nie podpisałem, musiałem zapomnieć – powiedział skonfundowany. – Ale proszę się nie martwić, mam ich więcej.

Przerzucaliśmy strony albumu, właściciel hostelu pokazywał mi zdjęcia, na których był Nancho – na wszystkich ze swoim przyjacielem. Zawsze razem. Na niektórych rozmawiali, powierzając sobie jakieś sekrety, na innych pokazywali środkowe palce z arogancją właściwą dwudziestolatkom.

– Widzi pan? Nancho zaczął kurzyć jak smok, jego przyjaciel dziennikarz miał mu to za złe. Nie pozwalał mu palić w ich pokoju. W noc pożaru Nancho był sam, myślę, że skorzystał z okazji, żeby zapalić w łóżku. Biedak musiał usnąć z papierosem.

Miał rację. Na ostatnich zdjęciach Nancho trzymał w ustach odręcznie zwiniętego papierosa. Naliczyłem siedem fotografii, na których byli razem, doskonale ilustrowały metamorfozę, jaką przeszedł chłopak.

– Pozwoli pan, że wyjmę z albumu wszystkie zdjęcia Nancha? Obiecuję, że później włożę je na miejsce.

– Ależ proszę, proszę... Potem je uporządkujemy – zachęcił mnie.

Odsunąłem pudełko z ciastkami i ułożyłem na stoliku siedem fotografii, jedna obok drugiej.

Metamorfoza Nancha była nie tylko oczywista, ale i niepokojąca. Ostatnie zdjęcia przedstawiały szczupłego, ostrzyżonego na krótko chłopaka w dżinsowej kurtce z kożuszką z czerwoną naszywką Levi'sa, takiej samej, jaką nosił jego przyjaciel. Trudno było w nim rozpoznać nieśmiałego dzieciaka z pierwszych fotografii. Śmiał się razem z kolegami, z miną prymitywnego podrywacza rozmawiał z dziewczynami w mini, obejmował przyjaciela, trzymając w dłoni piwo, a w ustach nieodłącznego papierosa.

Nieżył z niego kameleon, pomyślałem z przerażeniem.

Nie chodziło jedynie o mimetyzm: w jego transformacji było coś patologicznego. Nie tylko upodobił się do otoczenia. Skopiował je, wybrał sobie ciało, tożsamość, a... może później je przejął, zostawiając spaloną skorupę.

Odwróciłem wszystkie zdjęcia. Na szczęście na niektórych widniały nazwiska. Podałem fotografie staruszkowi.

– Czy teraz byłby pan w stanie przypomnieć sobie nazwisko studenta dziennikarstwa?

– Zobaczmy – odpowiedział, zakładając okulary z grubymi szklami. – A no tak, Mario. Tu jest zapisane: Mario Santos.

Jak?!

– Przepraszam, powiedział pan Mario Santos? – powtórzyłem z niedowierzaniem. – Mógłby pan poszukać jego karty, ze wszystkimi danymi i numerem dowodu?

Mario Santos, jak dziennikarz z „El Correo Vitoriano”? To niemożliwe, musiało chodzić o kogoś innego. Mario był najspokojniejszym, najsympatyczniejszym facetem, jakiego...

Tak jak Nancho, pomyślałem.

Tak jak Nancho.

Dla każdego profilerka to błogosławiona chwila: kiedy udaje mu się dopasować teoretyczny profil do konkretnej osoby w rzeczywistym świecie, idealnie mieszczącej się w stroju, który projektował dla niej w swojej głowie po dokładnym przestudiowaniu jej zachowania.

Doznałem objawienia, kiedy z gardłem oblepionym papką z niestrawnych ciasteczek spoglądałem na siedem zdjęć, które leżały przede mną na stoliku z lat siedemdziesiątych.

Tak jak Nancho.

Staruszkowi zajęło trochę czasu odnalezienie kart meldunkowych gości z tamtego okresu. Trzymał je w małych segregatorach z dwiema kłamrami, musieliśmy przejrzeć setki fiszek, zanim trafiliśmy na Maria. Maria Santosa Espinose, urodzonego 16 kwietnia 1971 roku. Na fotografii dołączonej do dokumentów niezbyt przypominał Maria Santosa, którego znałem.

Za to kiedy raz jeszcze spojrzałem na najnowsze zdjęcie Nancha zrobione w hostelu, szczupłego, ostrzyżonego na krótko maszynką, zmroziło mi krew w żyłach. Bo na nim owszem, zobaczyłem Maria Santosa, z którym w ostatnich latach tak często się spotykałem. Dwudziestoletniego Maria, jeszcze z rudymi włosami. Mniej wysportowanego, z węższymi ramionami i nie do końca wyrzeźbionymi rysami twarzy. Rozpoznałem jednak jego tworzące linię prostą brwi, blisko osadzone brązowe oczy...

To był on. Nancho Lopidana pod zmienionym nazwiskiem wrócił do Vitorii z wygnania, na które skazali go bracia. Od ponad dwudziestu lat dyktował z cienia wstępniaki najchętniej czytanej przez vitorczyków gazety,

podsyłając najbardziej kontrowersyjne informacje konkurencji.

Praca dziennikarza zapewniała mu dostęp do wszystkich zabytków; jego spokojny sposób bycia i niewinny wygląd pozwoliły mu zbliżyć się do ofiar.

Boże, przecież mnie także wykorzystał, cierpliwie zdobywał moje zaufanie, nigdy nie wywierał na mnie presji.

– Wie pan co? Chyba miał pan rację – powiedziałem wreszcie z udawanym spokojem. – Chyba miał pan rację, że należało zbadać sprawę zniknięcia Maria Santosa. Postaram się naprawić ten błąd, ale będę potrzebował tych zdjęć i karty jako dowodu. Czy mogę je oficjalnie skonfiskować?

– Oczywiście, synu. W zamian za to proszę, żeby pan o mnie pamiętał i po zakończeniu śledztwa opowiedział mi, co dokładnie się wydarzyło. Od lat łamię sobie nad tym głowę.

– Umowa stoi. – Uścisnąłem mu dłoń, jak zawsze robi mój dziadek. – Dotrzymam słowa.

Ruszyłem w drogę powrotną do Vitorii z łupem w postaci zdjęć. Byłem zdenerwowany, miałem mętlik w głowie.

Mario?

Mario Santos?

Przez zestaw głośnomówiący zadzwoniłem do Estíbaliz i o wszystkim jej powiedziałem.

– To kameleon. Nancho Lopidana przez kilkadziesiąt lat podszywał się pod kogoś innego, skąd mogliśmy wiedzieć, że teraz jest Mariem? Mógł być kimkolwiek. Masz już koperty, które wysyłał do redakcji „El Diario Alavés”?

– Tak, skonfiskowałam je i poinformowałam o wszystkim podkomisarz. Wysłałyśmy je do laboratorium w Bilbao, sprawdzą, czy na którejs zachowały się resztki śliny, może znajdą jakiś materiał genetyczny. Zajmie to kilka dni, ale jeżeli coś odkryją, będziemy mogli porównać ślady z DNA Maria Santosa i w ten sposób powiązać go ze sprawą.

– Wiem, Esti. Wiem. Wejdz teraz do bazy danych i sprawdź, czy Mario Santos Espinosa, dziennikarz, którego znamy, posługuje się dowodem osobistym o takim numerze. Zapisz.

Podąłem jej numer dokumentu widniejący na pożółkłej karcie meldunkowej z hostelu. Słyszałem, jak z wściekłością stuka w klawiaturę. Czekało mnie jeszcze dwadzieścia minut jazdy, zanim dotrę do Vitorii. Chciałem dodać gazu, skończyć z tym jak najszybciej, ograniczyłem się jednak do dozwolonej prędkości.

– O rany! To rzeczywiście on. Mario Santos, którego znamy, ma ten sam numer dowodu. Ale nie rozumiem, jak zdołał podmienić odcisk palca w dowodzie prawdziwego Maria Santosa?

– Mógł kupić na czarnym rynku fałszywy dowód na nazwisko Maria Santosa z własnym zdjęciem i odciskiem palca. Kiedy dokument stracił ważność, wymienił go na prawdziwy – odpowiedziałem.

Dwadzieścia pięć lat temu urzędy nie były tak skomputeryzowane jak obecnie, najprawdopodobniej kiedy wymieniał dowód, system nie wykrył automatycznie niezgodności między starym odciskiem prawdziwego Maria a nowym odciskiem Nancha. Na komisariacie w Pampelunie wydawano pewnie tyle dowodów osobistych dziennie, że urzędnicy nie zwracali uwagi na odciski. Tylko ekspert w dziedzinie daktyloskopii potrafi stwierdzić, że dwa odciski są identyczne, jeżeli znajdzie co najmniej dwanaście takich samych listewek albo bruzd, tak zwanych minucji. Ale w tamtych czasach żaden komisariat nie zatrudniał specjalistów, którzy nadzorowaliby każdą wymianę dowodu.

– Może masz rację, ale to i tak było ryzykowne – stwierdziła Esti.

– Nancho przez całe życie nie miał żadnych dokumentów, nie mógł załatwić oficjalnie żadnej sprawy ani urzędowej formalności. Przywłaszczenie sobie tożsamości prawdziwego Maria Santosa niosło ze sobą dużo korzyści: dysponował aktem urodzenia, był zapisany na studia, miał konto w banku i pieniądze Maria... Udokumentowaną przeszłość. Dlatego po studiach nie stał się na powrót Nanchem Lopidaną. Nancho miał maturę, ale Mario już jej nie potrzebował. Tym bardziej że każdy mógł powiązać go z pożarem, w którym zginęli wszyscy członkowie rodziny Lopidanów. I z innym pożarem, w hostelu... Za dużo ognia wokół niego, a on zawsze uchodził z życiem.

– Teraz rozumiem, dlaczego zwłoki studenta z hostelu miały zwęglone palce i twarz – powiedziała Estíbaliz. – Skoro potrafił zrobić coś takiego przyjacielowi, wyobraź sobie, do czego jest zdolny wobec obcych.

– Obawiam się, że wszyscy widzieliśmy, do czego jest zdolny Nancho – odparłem z obrzydzeniem, które poczułem na myśl o Mariu rozbierającym Martinę i wpuszczającym jej do ust zabójcze pszczoły. – Esti, zacznij przygotowywać jego zatrzymanie. Jedź do redakcji „El Correo Vitoriano” albo do jego domu. Weź ze sobą patrol, bądźcie uzbrojeni. Ja poinformuję podkomisarz, niech sędzia Olano wyda nakaz aresztowania. Potrzebne nam będzie przyznanie się do winy albo jakiś namacalny dowód, który połączyłyby go z którąś ze zbrodni. Może trzeba by jeszcze raz przestudiować raporty z pożarów w Izarze i Pampelunie. To były jego pierwsze morderstwa, nie

sądzę, żeby dokonywał ich w rękawiczkach i pilnował się tak jak teraz. Tak czy inaczej, skoro od dwudziestu siedmiu lat na zimno realizuje swój plan zemsty, wątpię, żeby sam z siebie się przyznał. Ten facet musi mieć w głowie całą masę mechanizmów kontrolnych.

Jaskinia bestii, pomyślałem. Musimy znaleźć jaskinię bestii.

Miejsce, do którego ich zawoził, gdzie ich zabijał i przygotowywał do swojego makabrycznego widowiska. Nie mogło się znajdować w Vitorii, Mario na pewno ma jakiś dom w okolicy.

Spojrzałem na zegar w samochodzie: było już południe. Alba pewnie wróciła do domu na obiad. Zadzwoiłem do niej na komórkę. Chciałem jak najszybciej o wszystkim jej opowiedzieć, porozmawiać z nią, przekazać jej wiadomość, że już koniec z napięciem, z koszmarem z ostatnich tygodni, wiatr wreszcie rozwiął czarne chmury wiszące nad naszymi głowami od dnia, w którym się poznaliśmy.

– Albo, mamy go! – wykrzyknąłem; nie mogłem się powstrzymać. – Wiemy, kim jest morderca. Mamy zdjęcia Nancha Lopidany z Pampeluny i osoby, pod którą się podszywa. Nie zginął. Ta kanalia nie zginęła. A koperty, które wysyłał do redakcji „El Diario Alavés”, mogą nam dostarczyć DNA, dzięki czemu ostatecznie powiążemy go ze sprawą.

– Inspektorze Ayala, proszę się uspokoić. Jestem w tej chwili w domu, jem obiad z rodziną. – Na dźwięk słowa „rodzina” poczułem się tak, jakbym wypił łyk napalmu.

Wiedziałem, że to ostrzeżenie, że nie jest sama i nie może rozmawiać, ale ta „rodzina” stanęła mi ością w gardle i trudno mi było na powrót skupić myśli.

– Rozumiem, ale sprawa jest bardzo pilna – odparłem zmieszany.

W tym momencie otrzymałem kolejne połączenie przychodzące. Dzwonił MatuSalem.

Oby miał dla mnie dobre wiadomości, oby namierzył Ignacia.

– Kończę, szefowo, mam drugi telefon, potem pani wyjaśnię, wszystko pani wyjaśnię. Za niespełna dwadzieścia minut będę w Vitorii, mam nadzieję, że wróci już pani na komendę. Musimy przygotować akcję i ująć mordercę.

47

TREVIÑO

18 sierpnia, czwartek

Tym razem głos MatuSalema zdradzał zdenerwowanie, którego zwykle nie okazywał.

– Kraken! Mam sygnał, zarówno komórka, jak i nadajnik Ignacia znajdują się w tej samej okolicy. Zastosowałem metodę triangulacji, ale obszar jest zbyt duży. Nie wiem, czy to się na coś przyda.

– W tej sytuacji przyda się wszystko, co mi dasz. Jak duży jest ten obszar?

– Jakieś pięć kilometrów kwadratowych.

– Faktycznie spory, zwłaszcza jeżeli są tam zabudowania, ale damy radę. Powiedz mi, gdzie to jest, a potem wyślij mi współrzędne.

– Na południe od Vitorii, w gminie Treviño.

– Treviño?

– Tak, za przełęczą. W okolicy nie ma wielu wiosek. Uzquiano, Ajarte, Aguillo, Imiruri, San Vicentejo...

– San Vicentejo? – powtórzyłem.

Kościółek. Przetrzymuje Tasia i Ignacia w kościółku w San Vicentejo.

To by się zgadzało. W wiosce żyły zaledwie cztery starsze osoby, zamieszkane były tylko dwa domy, okna żadnego z nich nie wychodziły na kościółek. Mario z łatwością mógł przewozić należącym do gazety vanem otepione narkotykiem ofiary i wnosić je do świątyni. Prawdopodobnie zachował klucz z czasów, kiedy w młodości pomagał przy remoncie. Tam je rozbierał, wlewał im do ust truciznę z cisu albo wpuszczał pszczoły. Nikt mu nie przeszkadzał.

– Wyślij mi te współrzędne, MatuSalem. Chyba właśnie odwdzięczyłeś się Tasiowi.

Tym razem dodałem gazu i dotarłem na komendę szybciej, niż nakazywał zdrowy rozsądek i znaki drogowe.

Wbiegłem schodami na górę, modląc się, żeby Alba już wróciła.

Bez pukania wpadłem do jej gabinetu; to miało być triumfalne wejście.

– Pani podkomisarz, już wiem, gdzie...

Przemawiałem do pustego pokoju – Alby jeszcze nie było na komendzie.

Zmieszany zamknąłem drzwi i przez chwilę stałem w korytarzu, zastanawiając się, czy wypada znowu do niej dzwonić.

Pancorbo, który akurat tamtędy przechodził, zatrzymał się na mój widok.

– Szukasz podkomisarz? Pewnie jest jeszcze na obiedzie. Jakies dwie godziny temu przyjechał po nią Mario.

– Powiedziałaś „Mario”?

– Tak, Mario Santos z „El Correo Vitoriano”. Nie wiedziałaś, że jest mężem naszej podkomisarz?

– Mario Santos? – powtórzyłem.

Czyli to ty jesteś tym niewidzialnym panem X.

Czyli to ty.

– Tak, ona trzyma to w tajemnicy, woli, żeby nikt nie widział. Nic dziwnego, wielu pewnie uznałoby, że kieruje się osobistymi względami, wysyłając komunikaty prasowe. Moim zdaniem robi słusznie. Wiesz, jacy podejrzliwi są ludzie w tym mieście.

– A ty jak się o tym dowiedziałaś? – zapytałem.

Musiałem oprzeć się o ścianę i wziąć głęboki wdech.

– Znamy się z Mariem od dawna. Pisał także o podwójnych zbrodniach sprzed dwudziestu lat, podczas śledztwa był moim człowiekiem w prasie. Jego tekstom nie można było niczego zarzucić, nigdy nie posuwał się za daleko. Szczerze mówiąc, uważam go za przyjaciela – powiedział i z niepokojem spojrzał na moją zmienioną twarz. – Wszystko dobrze, Ayala?

– Przyjaciela... To tak jak ja, Pancorbo. Ja też uważałem go za przyjaciela. Ale mamy powody podejrzewać, że to Mario Santos jest mordercą.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– To niemożliwe, on nie... – zaczął, robiąc krok do tyłu.

– Prawda? Posłuchaj, nie mamy czasu. Ja spróbuję namierzyć podkomisarz, a ty zawiadom sędziego Olano i poproś go o wydanie dwóch nakazów, aresztowania Maria Santosa i przeszukania jego mieszkania. Wyślij je mejlem inspektor Ruiz de Gaunie. Będzie na miejscu z ekipą.

Pancorbo zareagował szybciej, niż się spodziewałem.

– Załatwione! – zawołał, gdy tylko skończyłem mówić, i natychmiast zbiegł po schodach.

Zabrałem z gabinetu broń oraz kamizelkę kuloodporną i wyleciałem z komendy jak kamień z procy.

Wsiadłem do zaparkowanego przed budynkiem nissana i ponownie wybrałem numer Alby.

– No już, odbierz. Nie rób mi tego... – szepnąłem do komórki, w której rozlegał się tylko sygnał połączenia.

Ruszyłem na południe szosą na Peñacerradę, lekceważąc znaki „ustąp pierwszeństwa” na niektórych rondach i z szybkością błyskawicy pokonując przełęcz.

– No już, Albo! Musisz odebrać.

Ale w mojej komórce nadal rozlegał się tylko sygnał, który nagle ucichł.

To ty czy Mario?

Kto się rozłączył?

Dlaczego Alba miałaby to zrobić?

Docisnąłem prawy pedał, jechałem tak szybko, że omal nie przegapiłem zjazdu na San Vicentejo.

Wpadłem w poślizg na asfaltowym żwirze, na szczęście auto było ciężkie i udało mi się zachować panowanie nad kierownicą. Gdybym jechał zwykłą osobówką, pewnie wypadłbym z drogi i wylądował w krzakach po prawej stronie.

Spokojnie, Unai. Nie spieprz wszystkiego, jeszcze zanim dotrzesz na miejsce, przykazałem sobie.

Ale nie byłem spokojny, nie potrafiłem trzeźwo myśleć. Nic a nic.

Zaparkowałem obok stojących przy drodze kontenerów, żółtego i niebieskiego. W kamizelce kuloodpornej na piersiach i z pistoletem w dłoni przeskoczyłem lichy drewniany płotek.

Wiedziałem, że to niebezpieczne, że powinienem zawiadomić Estíbaliz i poczekać, aż zjawi się razem z patrolem.

Podszedłem do masywnych drewnianych drzwi ozdobionych gwoździami o kwadratowych łebkach, które tysiąc lat temu wbił jakiś sąsiad moich przodków.

Jak, do diabła, dostanę się do środka?

Nie zabrałem ze sobą tarana, zresztą nawet gdybym go miał,

potrzebowałbym nakazu, a żaden sędzia nie zgodziłby się na zniszczenie zabytku. Powinienem był poprosić o klucz don Tiburcia, ale tak mi się spieszyło, że nawet o tym nie pomyślałem.

Wściekły okrążyłem kościółek. Mój wzrok spoczął na trzech wąskich oknach apsydy znajdujących się na wysokości ponad dwóch metrów. Wpadało przez nie wystarczająco dużo słońca, żeby oświetlić niewielkie wnętrze: jeżeli ktoś jest w środku, na pewno go zobaczę.

Wróciłem do samochodu i podjechałem nim pod pagórek, na którym wznosiła się świątynia. Zaparkowałem równolegle do apsydy i wspiąłem się na dach.

Zadrzałem, kiedy spojrzałem w górę: kilka metrów nad moją głową znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca hermetyczną parę, leżących mężczyznę i kobietę, którzy dotykali nawzajem swoich policzków.

Tutaj wszystko się zaczęło, tutaj wszystko się skończy.

Jednak kiedy wreszcie udało mi się zajrzeć przez szybę do zalanej słońcem świątyni, okazało się, że w środku nikogo nie ma.

Zobaczyłem tylko cztery ławki i mały kamienny ołtarz, nic poza tym.

Nieźle się nagimnastykowałem, żeby zajrzeć przez pozostałe okna, choć wiedziałem, że niczego nie znajdę. Kościółek był pusty.

GPS Ignacia wysyłał sygnał z tych okolic. Gdzie dokładnie znajdował się jego telefon?

Zszedłem z dachu i wsiadłem do samochodu. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam.

– Na miłość boską, ale mnie wystraszyłeś! Co tu robisz?

Na fotelu pasażera siedział mój dziadek. Wzruszył ramionami i wskazał widoczną w oddali wieżę w Ochate.

– Przywiózł mnie Feliciano, ten z Imiruri. Chyba już wiem, synu, gdzie jest lisia jama.

48

OCHATE

18 sierpnia, czwartek

Lisia jama, powtórzyłem w myślach.

– Pamiętasz, jak mieszkańcy Imiruri mówili, że widzą nocą światła w Ochate? – zapytał dziadek; jego opanowany głos przywrócił mi spokój. – Trochę popytałem i okazało się, że widzieli je także dwadzieścia lat temu, kiedy zaczął zabijać ten szczwany lis. To nie były żadne ufoludki, Unai. To były światła samochodu tego szubrawca, który jeździł polnymi drogami. Musi mieć jakąś chałupę w Ochate.

– W Ochate? Nie sędzę. Tam nic nie ma. Ostatni mieszkańcy opuścili wieś w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. Spójrz na wieżę kościoła, w okolicy nie ma przewodów elektrycznych. Do wioski nie dochodzi prąd. Nie sędzę, żeby morderca wybrał sobie miejsce bez elektryczności i bez wody.

– Woda jest w rzece Goveloste – zauważył dziadek. – A wielu ludzi ma w chałupach małe generatory prądu. No już, skręcaj. Kiedy skończy się asfalt, będziemy musieli pójść pieszo, dobrze znam tę ścieżkę.

– Dziadku, uczestniczę w skomplikowanej akcji policyjnej, nie możesz tu być, to niebezpieczne.

– Widziałem więcej strzelanin, niż ty zobaczysz w całym swoim życiu. Pojadę z tobą do Ochate, pomogę ci go znaleźć, a potem wrócę miedzą do Imiruri. Wiesz, że w górach jestem lepszym tropicielem niż ty.

Faktycznie: ostatni raz odwiedziłem wioskę widmo jako dziecko, nie bardzo wiedziałem, jak tam dojechać. A dziadek miał więcej zdrowego rozsądku niż cała komenda policji. Pozwoliłem mu zostać i ruszyłem w kierunku, który wskazywał wyciągniętym palcem.

– Obiecuj mi, że potem co sił w nogach popędzisz do domu. Obiecuj mi to.

– Do diabła z obietnicami, synu. Masz moje słowo. To ci wystarczy.

Miał rację: za jego czasów umowy przypieczętowywało się uściskiem dłoni. Zawsze dotrzymywał słowa.

Spojrzałem przed siebie. Otaczały nas poletka, po bokach drogi leżały wiązki skoszonego zboża. Samochód z łatwością pokonywał wzniesienia. Trzysta metrów dalej, przy starym magazynie, kończył się asfalt. Po prawej stronie zaczynała się miedza, po lewej – zarośnięta chwastami ścieżka.

– Szybciej będzie, jeśli pójdziemy w prawo – powiedział dziadek.

Ukryłem samochód za dziko rosnącą leszczyną i ruszyliśmy pieszo ku wieży w Ochate, niewielkiej dzwonnicy bez dzwonu, jedynej pozostałości po stojącym tu niegdyś kościele Świętego Piotra. Pokrywały ją graffiti, obsceniczne napisy i kilka wymalowanych sprayem satanistycznych pentagramów. Dostrzegłem ruiny dwóch domów, zachowały się z nich jedynie fragmenty fasad. Podeszedłem do jednej z nich: utworzony przez fundamenty prostokąt porastały wybujałe pokrzywy.

– Tu nic nie ma. – Odwróciłem się do dziadka.

– A za tamtym pagórkem? Widać chyba blaszany dach – powiedział, wskazując na wschód.

Zakradliśmy się w milczeniu. Za wzniesieniem znajdowały się stare zabudowania otoczone kamiennym murkiem: komórka pokryta blaszanym dachem i główny budynek, częściowo w ruinie. Był dość duży, dwupiętrowy. W oknach brakowało szyb, ale ktoś wstawił nowoczesne aluminiowe drzwi – zwracały uwagę w wyludnionej od osiemdziesięciu lat wiosce.

– Pochyl się jeszcze bardziej, dziadku. Czy tam stoi furgonetka?

Nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że od strony Aguillo, za rosnącymi nad rzeką topolami, dostrzegam proste kontury białego pojazdu.

Pochyleni podeszliśmy do domu. Kiedy od drzwi dzieliło nas zaledwie dziesięć metrów, dziadek głośno zaklął.

– Ciii... – Ze złością odwróciłem się w jego stronę.

– Cholerna pszczoła. A jednak mnie nie użądliła, ta sukina... – szepnęła, trzymając się za dłoń.

– Pszczoła?

Przysunąłem się i zobaczyłem żądło wbite w zrogowaciałą skórę dziadka. Chyba oszalała, jeżeli myślała, że zdoła przeżyć.

– Jest ich więcej i są bardzo rozjuszony – zauważył, odganiając krążące nad naszymi głowami owady.

Rozjuszony pszczoły, błagam, tylko niech nie używa ich właśnie przeciwko Albie, poprosiłem boginię Mari, boga Urtzi i cały baskijski panteon.

– Dziadku, zdaje się, że to ten dom. Powinieneś już iść. Widzimy się

w Villaverde.

– Nie martw się, dotrzymam słowa. Ja też myślę, że to lisia jama. Ale pamiętaj o jednym, synu: kiedy już znajdziesz się w środku, musisz być najsprytniejszym zwierzęciem w całych górach, zgoda? – usłyszałem za plecami jego głos.

– O jakim zwierzęciu mówisz? – Nie rozumiałem, co ma na myśli.

Jednak kiedy odwróciłem głowę, dziadka już nie było. Wyprostowałem się wystraszony i rozejrzałem dookoła, ale zapadł się pod ziemię.

To niemożliwe, dziadek co prawda poruszał się bezszelestnie i przez prawie sto lat przemierzał te góry, ale nie mógł mi tak szybko zniknąć z pola widzenia.

A co, jeśli...? A co, jeśli nie było żadnego dziadka, jeśli to kolejny psikus mojego mózgu? Halucynacje wywołane narkotykiem od Eguzkilore? Skoro nie mogłem ufać własnym oczom i własnym uszom, miałem marne szanse, żeby ujść z tego z życiem.

Przynajmniej wciąż jestem odporny na rohypnol, pocieszyłem się.

Prawdopodobnie.

Nie mogłem mieć pewności.

Bzyczenie rozwścieczonej pszczoły zmusiło mnie do skupienia myśli.

Wyjąłem pistolet z przypiętej do paska kabury i podszedłem bliżej.

Ominąłem fasadę z aluminiowymi drzwiami i okrążyłem budynek, spoglądając na otwory okienne. Znajdowały się na wysokości zaledwie trzech i pół metra, mógłbym spróbować wspiąć się do nich po kamieniach: spajająca je zaprawa z czasem się wykruszyła. Jeżeli jednak Mario był w środku i zobaczyłby mnie z góry, nie miałbym żadnych szans. Spojrzałem w dół: tuż przy ziemi znajdowało się okienko zapewniające dostęp naturalnego światła do piwnicy czy suterenu. Pochyliłem się i oszacowałem, że zdołam się przecisnąć przez wąski otwór. Upewniłem się, że nikt mnie nie widzi, i wsunąłem najpierw nogi, a potem resztę ciała.

Rozejrzałem się dookoła iomal nie zemdlałem.

Trafiłem do zamkniętego pokoju wyposażonego w drewnianą szafę – starą, ale w dobrym stanie – wygodne krzesło i biurko, na którym stał rząd segregatorów. Obok leżał duży worek z rafii. Podszedłem i zobaczyłem, że są w nim *eguzkilore*. Policzyłem: było ich sześć. Trzy na każdą podwójną zbrodnię. Morderca zamierzał więc zamordować jeszcze cztery osoby. Dwoje czterdziesto- i dwoje czterdziestopięcioletków.

Otworzyłem szafę: w środku wisiały ubrania, które ofiary miały na sobie w dniu śmierci. Były wyprasowane, uporządkowane według rozmiarów, od najmniejszego do XXL – jak w butik. Rozpoznałem džinsy, biały T-shirt i czerwoną chustkę Marty.

Wciąż nią pachniały.

Niech to szlag.

Może chodziło mu o ubrania, których sam nigdy nie miał, może wszyscy musieliśmy zapłacić za skąpstwo jego adopcyjnego ojca.

Na półce w szafie leżały jeden przy drugim telefony ostatnich ośmiu ofiar, wszystkie wyłączone. Była wśród nich wypasiona komórka Ignacia. Jej widok sprawił, że przypomniałem sobie o bliźniakach. Łatwo było o nich zapomnieć w tym morzu dowodów.

Podszedłem do biurka i zacząłem przeglądać segregatory. Zawierały informacje o Nowej Katedrze i Artium, Muzeum Sztuki Współczesnej przy ulicy Francia, emblematycznych budowlach XX wieku. Zdjęcia uniformów pracowników, godziny pracy, ksero identyfikatorów i dwa wywiady dla gazety, z dyrektorem Artium i z pracownikami Muzeum Sztuki Sakralnej mieszczącego się w Nowej Katedrze.

Czyli w takiej scenerii chciał zostawić ciała kolejnych ofiar. W tym prawdopodobnie moje.

W innej teczce znalazłem kompletną dokumentację na temat sprawy Tasia Ortiza de Zárate, łącznie z najnowszymi informacjami. Mario od kilku miesięcy wiedział, że 8 sierpnia 2016 roku archeolog wyjdzie na przepustkę.

Widziałem ołtarze, jakie wznoszą seryjni mordercy, trofea, które ci psychopaci zabierają swoim ofiarom, żeby później onanizować się popełnioną zbrodnią. Nigdy natomiast nie spotkałem się ze strategiem takiego kalibru.

Niemal straciłem poczucie czasu. Nagle usłyszałem dobiegający zza ściany hałas. Ktoś dobijał się od drugiej strony do tego wielorybiego brzucha.

Chwyciłem oburącz pistolet, otworzyłem toporne drzwi i opuściłem pokój grozy. Wąski korytarz prowadził do zdewastowanych schodów wiodących na parter. Hałas dobiegał jednak z jednej z klitek w głębi podziemi. Ruszyłem w tamtą stronę. Dostrzegłem w mroku drewniane drzwi zamknięte na gruby żelazny łańcuch i kłódkę. Po drodze minąłem dwie wnęki, w których złożono stare narzędzia rolnicze: zardzewiałą sochę, połamane części wialni i snopowiązałki, a także miotły z prosa.

W drzwiach z łańcuchem i kłódką było okienko. Ostrożnie pociągnąłem za metalowy uchwyt i otworzyłem okiennicę: obraz, który ukazał się moim

oczom, zmroził mi krew w żyłach. Była to zapuszczona stodoła zawalona kostkami sprasowanego siana. W środku panował taki upał, że omal się nie udusiłem, wciągnąwszy do płuc powietrze.

Na ziemi leżał Tasio albo Ignacio, nie miałem pewności. Jeżeli to był Tasio, obciął włosy i zgolił więzienne wąsy. Chyba jeszcze oddychał, ale był w oplakany stan, chudy jak szkielet, ubrany w samą bieliznę. Kurtka z kapturem od Barboura, w której wyszedł z więzienia, leżała w kącie wraz z innymi częściami garderoby: spodniami, butami, niebieską koszulą, należącymi zapewne do Ignacia.

Drugi bliźniak dalej walił kamieniem w ścianę, nieświadom mojej obecności.

– Ciii... – przywołałem go cicho. – Ignacio? To ty?

– Inspektor Ayala! – wyszeptał i wypuścił kamień, jakby nagle zbrakło mu sił.

– Co tu się stało? Co z Tasiem?

Podszedł do okienka w drzwiach, kościstymi dłońmi złapał za kraty.

– Jest zagłodzony i odwodniony – powiedział; miał suche, popękane wargi. – Siedzi tu od ósmego sierpnia. Ten psychopata nie chce nas na razie zabijać. Kiedy wydaje się, że mój bliźniak zaraz umrze, przynosi nam trochę wody. Ale to piec krematorium. Dzwon po karetkę, za kilka godzin będzie po nim, a ja pójdę w jego ślady.

– Zadzwońię po posiłki, moja koleżanka zaraz będzie tu z ekipą – wyszeptałem i wybrałem numer Esti. – Posłuchaj, jestem w Ochate. Znalazłem Tasia i Ignacia, natychmiast wezwij pogotowie. Od ponad tygodnia nie dostają nic do jedzenia i picia. Na południe od wieży jest stary dom, nad rzeką, tam gdzie rosną topole. Wydaje mi się, że widziałem samochód, ale nie wiem, czy Mario i podkomisarz już tu są.

– Jak to podkomisarz? – zdziwiła się.

– Są małżeństwem, Esti. Mario jest mężem podkomisarz, myślę, że byli razem, kiedy zadzwoniłem do niej z informacją, że odkryliśmy, kim jest morderca. Wezwij posiłki, ale nie wyważajcie drzwi, jeśli jest w środku, usłyszy was i narazicie na niebezpieczeństwo i mnie, i ją. Ja w tym czasie...

– Unai, masz stamtąd wyjść! – przerwała mi. – Czekać na nas na zewnątrz, będziemy za dwadzieścia minut.

– Alba może już wtedy nie żyć, nie przeszukałem jeszcze parteru i piętra. Spróbuję uwolnić bliźniaków. Jesteśmy w piwnicy, w stodole w głębi

korytarza. Znalazłem ubrania ofiar, plany, *eguzkilore* i inne niepodważalne dowody. Na razie kończę – szepnąłem i przerwałem połączenie.

– Masz wodę? – szepnął zniecierpliwiony Ignacio.

– Nie, ale w pobliżu jest rzeka, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od domu. Postaram się was uwolnić, kieruj się na topole. Będziesz miał siłę przeciągnąć brata?

– Jest moim bliźniakiem, myślisz, że pozwolę mu tu umrzeć? Kiedy zadzwonił do mnie na komórkę, wiedziałem, co mnie czeka, ale dobrowolnie oddałem się w ręce tego oprawcy. Tasio zapłacił już wystarczająco wysoką cenę za coś, czego nie zrobił.

– Dobra, w takim razie poszukam czegoś, czym mógłbym otworzyć te drzwi.

Wszedłem do sąsiedniego pomieszczenia i wróciłem z grubym kijem od szczotki. Wsadziłem go w ogniwo łańcucha i zacząłem obracać drągiem, modląc się, żeby nie pękł. Ignacio przyglądał mi się przez okienko, ociekając potem.

– Wiesz, czy jest w domu? To znaczy on, morderca – zapytałem.

– Przyjechał niedawno, jakieś pół godziny temu. Słyszałem warkot silnika, to ten sam samochód, którym przyjeżdżał wcześniej. Zabił już parę czterdziestolatków?

– Nie, jeszcze nie. A co?

– Bo para czterdziestopięciolatków to my, tak nam powiedział. Na nas mają się skończyć zabójstwa. Odebrał nam wszystko: wolność, szacunek mieszkańców Vitorii... Na koniec odbierze nam życie i przestanie zabijać. Mówi, że zamierza zostać w Vitorii, żyć, jakby nic się nie stało.

– To Mario, prawda? – zapytałem, z mozołem próbując przerwać łańcuch.

– Tak, Mario Santos, ten dziennikarz. Nigdy nie przyszedłoby nam do głowy, że to on.

– Nie powiedział wam jeszcze, kim naprawdę jest?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Chyba cię nie rozumiem.

– Do diabła, Ignacio, to wasz brat. Wszystko to wydarzyło się przez was, a wy przez dwadzieścia lat niczego się nie domyśliliście! – ryknąłem, nie zdołałem pohamować wściekłości. – Historia, którą opowiedział wam Nancho czy Venancio Lopidana po pogrzebie waszej matki, była prawdziwa: przyszedliście na świat jako trojaczki. Mario jest tym rudzielcem, którego

pobiliście i któremu kazaliście wynosić się z Vitorii.

– Ale jak to...? Czyli rudzielec...? Nie masz pojęcia, jak bardzo tamto wydarzenie odcisnęło się na moim życiu, przez lata czułem się fatalnie z powodu tego, co zrobiliśmy temu biednemu dzieciakowi. Między innymi dlatego wstąpiłem do policji: chciałem odpokutować tamten grzech, już nigdy nie zachować się jak ten chłopak, który pobił swojego rówieśnika. A teraz ty mi mówisz, że ten nieszczęśnik powiedział nam prawdę, a my omal go nie zabiliśmy, naszego własnego brata...?

– Ignacio – przerwałem mu. – Zachowuj się jak policjant. Zapomnij teraz o tym, myśl trzeźwo. Powiedz mi: słyszałeś jakiś kobiecy głos? Musiał przyjechać z podkomisarz Albą Díaz de Salvatierrą. To jego żona, myślę, że ją poświęci i...

– Uwważaj, Ayala! – krzyknął Ignacio, ale było już za późno.

Zastrzyk, który zrobił mi Mario, był bardzo bolesny. Poczułem w szyi zimno, moje żyły pokrył szron.

– Tak jak ciebie, przyjacielu – usłyszałem za plecami spokojny głos Maria. – Poświęcę i Albę, i ciebie. Wchodź na górę. Ona jest już gotowa.

Tak mocno wbił mi igłę, że na chwilę mnie zamroczyło. Pomacałem się po boku w poszukiwaniu pistoletu, ale zdążył wyjąć broń z mojej kabury i teraz przystawiał mi ją do karku.

– Wchodź na górę, Unai – rozkazał.

Lodowaty narkotyk rozchodził się po moim ciele niczym górski potok. Nie wiedziałem, czy specyfik Eguzkilore nadal utrzymuje się w moim organizmie i czy jest w stanie zablokować działanie tego, co przed chwilą wstrzyknął mi Mario. Lepiej było się oszukiwać, że poskutkuje. Jakie są efekty zażycia rohypnolu?

Zimno i ciepło.

Drżałem, a jednocześnie paliło mnie ubranie.

Dezorientacja.

Potknąłem się na schodach. Mario przytrzymał mnie, żebym się nie przewrócił, niczym dobry przyjaciel.

Utrata woli.

Chociaż posłusznie wykonywałem jego rozkazy, łagodny jak baranek, zachowałem pełną świadomość tego, co się dzieje, jakby cała moja uwaga koncentrowała się w jednym punkcie przypominającym Alefa z opowiadania Borgesa. Cały wszechświat zamknięty w małej kuli.

Wyszliśmy na częściowo zadaszony podwórko. Mario zaprowadził mnie do jego odkrytej części. Stał na wprost, mierząc mi w głowę z pistoletu. Był ubrany w biały pszczelarski kombinezon, rękawiczki i buty z ochraniaczami.

Na podwórku stało kilka uli, ale nigdzie nie dostrzegłem Alby.

Do chwili, kiedy Mario się odsunął.

Dziko rosnącą trawę pokrywała kilkumetrowa plastikowa folia, na której znajdowały się dwa worki na zwłoki. W jednym z nich leżała naga Alba z ustami zaklejonymi taśmą, nieruchoma, może nieprzytomna, a może martwa.

Facet znał się na medycynie sądowej. Nie zostawi śladów, ciało nie miało kontaktu z ziemią. Mario zabijał w tak aseptyczny sposób, że nigdy nie znaleźlibyśmy żadnych biologicznych śladów, które pozwoliłyby powiązać go z ofiarami.

– Rozbieraj się – powiedział swoim beznamiętnym tonem. – Nie chciałeś być z Albą? Jest twoja, chłopie. Zasłużyłeś sobie na nią.

Nie chciałem go słuchać, ale moje mięśnie bezwolnie wypełniły jego polecenie. Potulnie zdjąłem kamizelkę kuloodporną, rozpiąłem koszulę i zacząłem ściągać spodnie.

Było mi wszystko jedno. Było mi wszystko jedno, bo ciało Alby leżało nieruchome u moich stóp, pragnąłem jedynie położyć się obok niej z ustami pełnymi pszczoł i dotknąć dłonią jej policzka. Zaczekać, aż zrobi się ciemno, i poszukać Perseidów. Zaczekać do następnego dwunastego sierpnia, do moich urodzin, których już nie obejdę.

Nie wiedzieć czemu nagle rozbrzmiały mi w głowie ostatnie słowa dziadka: „Bądź najsprytniejszym zwierzęciem w całych górach”. Jak przez mgłę przypomniałem sobie węża. Węża, który zwinął się w kłębek na środku drogi Trzech Krzyży, udając martwego. Ale ja nie byłem w stanie znieruchomieć i udawać, że nie żyję. Potrafiłem jedynie wykonywać rozkazy Maria.

Czego jeszcze brakowało, żeby narkotyk na dobre zawładnął moim organizmem?

Problemy z mówieniem i poruszaniem się.

Chciałem się dalej rozbierać i skończyć z tym raz na zawsze, ale mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa: z trudem ściągnąłem czarne bokserki. Wreszcie byłem nagi i mogłem położyć się obok Alby.

Kręciło mi się w głowie, najwyraźniej pozostała mi jednak jakaś resztk

trzeźwości albo instynktu samozachowawczego, bo kiedy podszedł do mnie Mario, Unai, który wyszedł z mojej podświadomości, spróbował wytrącić mi broń.

Wydaje mi się, że pod ciężarem mojego ciała upadł na plecy, wcześniej jednak zdążył do mnie strzelić. Strzelił do mnie, a ja miałem wrażenie, że widzę rude włosy Estíbaliz mierzącej do niego z otworu okiennego na pierwszym piętrze.

To było straszne, patrzeć, jak taki normalny, sympatyczny, uprzejmy, poczciwy facet celuje ci w głowę i naciska spust. Człowiek spodziewa się, że morderca będzie mroczny, przerażający, groźny. Mario wcale nie strzelił do mnie z zimną krwią. Strzelił do mnie, tak jak oddychał, jak pił kawę, jak zapewne kochał się z Albą. To była kolejna czynność zgodna z jego spokojnym, opanowanym, statecznym charakterem. Ten sam charakter oczarował kobietę, którą kochałem, która umierała obok mnie, patrząc w niebo bez Perseidów.

Wydaje mi się, że pamiętam wybuch pocisku.

Potem mój uszkodzony mózg zalały ciemność i cisza.

SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA

27 sierpnia, sobota

Żadnych krzyków, żadnych oklasków, żadnej hysterii.

Miasto z trzynastoma domami kultury i dwustu czterdziestoma pięcioma tysiącami kulturalnych mieszkańców nie zamierzało dać się ponieść nerwom.

Podczas zgromadzenia zorganizowanego dzień przed planowanym odłączeniem mnie od aparatury słyszeć było jedynie ciszę.

Vitorczycy wzięli się za ręce i utworzyli żywy łańcuch, który zaczynał się przy Starej Katedrze, zahaczał o Dom pod Sznurem, wspinał się na taras kościoła Świętego Michała, biegł ulicą Dato, okrążając posąg Wędrowca, i kończył się na placu Virgen Blanca, pod kamienicą z numerem 2, w której mieszkałem i gdzie anonimowi mieszkańcy od tygodnia zostawiali znicze i kwiaty.

Pod vitorskim niebem koloru indygo krążyły helikoptery zagranicznych stacji telewizyjnych, filmując z góry różnec zapalonych jednocześnie świeczek. To musiał być niesamowity widok z nieba, w którym jeszcze mnie nie było.

Co to, to nie.

Ktoś, kto mnie dobrze znał – prawdopodobnie Estíbaliz – wygadał się, że moja ulubiona piosenka to *Abrazado a la tristeza* – „przytulony do smutku” – grupy Extrechinato y Tú. Z głośników na placu popłynęła pierwsza zwrotka, którą powtarzałem miliony razy:

Wyszedłem na ulicę przytulony do smutku.

Zobaczyłem coś, na co nikt nie patrzy, zrobiło mi się żal i wstyd.

Nieutulony płacz, który dławi w gardle.

Zgarbionych starców, których zdaje się wzywać ziemia.

W zbiorowej pamięci miasta wyrył się obraz dziadka, który nie odstępował mnie na krok, nie jadł, nie spał, nawet nie pił wody. Lekarze zrozumieli w końcu, że staruszek zapuścił w szpitalu korzenie i nie opuści OIOM-u,

chyba że nogami do przodu.

– Przestańcie chrzanić – powtarzał za każdym razem, kiedy któryś z przedstawicieli władz szpitala Świętego Jakuba bezskutecznie starał się przemówić mu do rozumu.

Nocami opowiadał mi historie, które w dzieciństwie słyszałem od niego tysiące razy. O księdzu dziwkarzu, który zostawił parasol w burdelu w Logroño, czy o kuzynach z Teruelu, którzy rozpoznali się po głosie w trakcie ostrzeliwania okopów wroga podczas wojny domowej i pod groźbą śmierci zabronili dziadkowi i reszcie poborowych z jego kompanii strzelać do krewnych...

Ja jednak kroczyłem mroczną ścieżką, nie wzywało mnie żadne białe światło, wszystko było pogrążone w ciemnościach, gdyby nie znieczulenie, umarłbym z bólu. Nie ujrzałem swoich rodziców, a chciałbym ich zobaczyć, chciałbym się z nimi pożegnać, chciałbym, żeby poznali mnie jako dorosłego mężczyznę. Ale w próżni śmierci nie było nikogo. Tylko ja i przerażające poczucie samotności oraz świadomość, że nie ma już odwrotu.

Chociaż dziadek nie był o tym do końca przekonany. Znał kostuchę dość dobrze, miał z nią do czynienia przez prawie sto lat, postanowił więc spróbować ostatniej sztuczki.

Kiedy Germán przyjechał do Villaverde i łamiącym się głosem powiedział, że zostałem postrzelony w głowę i leżę w śpiączce z kulą wbitą w mózg, że jeśli się obudzę, do końca życia pozostanę warzywem, dziadek wziął koszyk i pobiegł do sadu po jabłka.

W szpitalu Germán musiał użyć wszelkich adwokackich trików, żeby wpuszczono go do mnie z koszem pełnym jabłek, kozikiem i sznurkiem.

Kiedy zostaliśmy sami, rozebrał mnie, pociął jabłka na ćwiartki i natarł mi nimi całe ciało. Aseptyczna sala pełna ekranów i kabli przesiąkła zapachem cydru.

Potem poprosił Estíbaliz, żeby odwiozła go do Villaverde. Było już ciemno, ale wystarczyło mu światło księżycy. Żadnych latarek. Poszedł do sadu i zaczął kopać grób długości mojego ciała.

Potem usiadł i po omacku cierpliwie związywał sznurkiem ćwiartki, aż odtworzył wszystkie jabłka. Wrzucił je do dołu i przysypał ziemią.

Oszacował, że zgniją za jakieś dziesięć dni: ziemia była bardzo wilgotna.

– Lepiej się pospieszcie, mój wnuk nie ma za dużo czasu – powiedział jabłkom, po czym wrócił z Estíbaliz do szpitala.

Dziesięć dni później zobaczyłem pod stopami ścieżkę pośród jabłoni w sadzie dziadka. Poszedłem nią. Dobrze czułem się w próżni, panowała cisza, nikt na mnie nie naciskał, nie musiałem się nigdzie spieszyć, wydawało mi się, że osiągnąłem wewnętrzny spokój. Ale kiedy pojawiła się ścieżka, wiedziałem, że muszę wrócić.

LAGUARDIA

28 sierpnia, niedziela

Kiedy się obudziłem, dziadek ścisnął mi dłoń swoimi żyłastymi rękami giganta. Germán spał z głową na mojej pościeli. Estíbaliz czuwała u stóp łóżka. Przez chwilę przyglądałem się, jak chodzi w tę i z powrotem niczym dziki kot. Czekałem, aż obraz znieruchomieje i opadnie mgła.

Chyba żyję, chciałem im powiedzieć, ale słowa nie wydobyły się z mojego gardła.

Z jakiegoś powodu usta mnie nie posłuchały, nie chciały się otworzyć.

Nie mogłem tego wyartykułować.

Na moment spanikowałem: co jeszcze jest nie tak, co jeszcze we mnie nie działa? Przerażony spróbowałem poruszyć nogami, bałem się, że jestem sparaliżowany. Ale nie, posłuchały mnie i drgnęły. Z ulgą odchyliłem głowę.

Chyba się rozplakałem, cicho, bezgłośnie. Chyba się rozplakałem, ale nie mógłbym tego przysiąc, nie kontrolowałem jeszcze w pełni swojego postrzelonego ciała. Poruszyłem uwięzioną dłońią, wrywając dziadka z drzemki.

Kiedy spostrzegł, że mam otwarte oczy, wyprostował plecy, poprawił beret i zmiażdżył mi rękę, nieświadom własnej siły.

– Trochę ci to zajęło, huncwocie – powiedział tylko, przełykając ślinę. Spojrzałem w jego niemal stuletnie oczy: malowały się w nich ulga i szczęście. – Przyniosłem ci amulet z górami, pomyślałem, że może chciałbyś go mieć.

Skinąłem głową. Poczułem w dłoni małą rzeźbę. Chociaż górskie szczyty wbijały mi się w skórę, ścisnąłem ją mocniej, żeby sprawdzić, ile mam siły. Ból jeszcze nigdy nie sprawił mi tyle radości.

Germán także się obudził. Bez skrupowania wlaź na łóżko i mocno mnie przytulił.

– Nie rób nam tego więcej – szepnął mi do ucha, mocząc je łzami.

Estibaliz podbiegła do łóżka i wcisnęła guzik nad moją głową. Rozległ się nieprzyjemny dzwonek.

– W samą porę, Unai. Mieli cię dziś odłączyć.

To nie będzie konieczne, chciałem powiedzieć, ale nie byłem w stanie wymówić tych kilku słów. Znowu wpadłem w panikę. Spojrzałem Esti w oczy: chyba zrozumiała.

– Spokojnie. Nie wysilaj się, lekarze wprawdzie nie wierzyli, że się obudzisz, ale uprzedzili nas, że gdybyś jednak wyszedł ze śpiączki, będziesz miał problemy z mówieniem. Kula wbiła ci się w ośrodek Broki, udało im się ją wyciągnąć. To była skomplikowana operacja. Przed tobą długa rehabilitacja, przyjacielu.

Patrzyłem na nią przerażony. Dziadek i Germán ścisnęli mnie za ręce, to był ich sposób na powiedzenie mi, że i tym razem damy radę.

– Przyniosłam ci to – powiedziała Esti, podając mi tabletkę z otwartym edytorem tekstu. – Spróbuj napisać, o czym myślisz.

Chwyciłem go zaniepokojony. Co jeszcze mi szwankuje tam na górze? Będę mógł pisać czy z tym też muszę się pożegnać?

Na szczęście połączenia synaptyczne między moim mózgiem a palcami działały bez zarzutu.

Co stało się z Mariem, z bliźniakami, z Albą, ze wszystkimi?

Pokazałem tabletkę koleżance.

– Mariowi wpakowałam kulkę w głowę, kiedy zobaczyłam, że do ciebie strzela. Zginął na miejscu. Ślina, którą znaleźliśmy na kopertach dostarczanych do „El Diario Alavés”, zawiera jego DNA. W sanktuarium z dowodami, które stworzył sobie w Ochate, także znaleźliśmy jego ślady biologiczne. Sędzia nakazał wznowienie śledztwa w sprawie pożarów w Izarze i hostelu w Pampelunie oraz ośmiu zbrodni, za które wsadzono Tasia.

A Tasio?

– Źle z nim, Kraken. Mario porwał go ósmego sierpnia, Tasio przez dziesięć dni nie przyjmował prawie żadnych płynów, jest skrajnie odwodniony. Dwukrotnie omal nie doszło u niego do niewydolności wielonarządowej. Ignacio sprowadził najlepszych specjalistów, ale stan jego brata jest krytyczny. On sam szybko doszedł do siebie i już nic mu nie zagraża.

Znów uniosłem tablet. Spojrzałem na klawiaturę. To były tylko cztery litery, ale bałem się je wystukać. Nie byłem jeszcze gotowy, by usłyszeć, że Alba nie żyje. Może właśnie dlatego Estíbaliz dotychczas o niej nie wspomniała.

– Synu, muszę coś zjeść, zostawię was samych – przerwał nam dziadek.

Skinąłem głową. Dopiero teraz zauważyłem worki pod jego oczami. Germán pocałował mnie w czoło – co było dość upokarzające z powodu obecności świadków – i wyszedł razem z dziadkiem. Obaj stracili po kilka kilogramów.

Boże, co ty im zrobiłeś, pomyślałem pełen poczucia winy.

Zostaliśmy z Estíbaliz sami.

Chodź, potrzebuję, żeby ktoś mnie przytulił

– Oczywiście, że tak. – Westchnęła, położyła się na wąskim szpitalnym łóżku i przywarła do mnie swoim drobnym ciałem. Ta kobieta ocaliła mi życie, może nawet w wielu tego słowa znaczeniach.

Chwilę później odważyłem się napisać:

Co z Albą?

– Historia szefowej jest niesamowita. Niesamowita, Unai.

Spojrzałem na nią wyczekująco.

– Po przyjeździe do Ochate ten skurwiel wstrzyknął jej rohypnol, wpuścił do ust pszczoły i zakleił twarz taśmą. Kiedy usłyszał dobiegające z dołu hałasy, zostawił ją na podwórku i szedł po ciebie do piwnicy. Nie ruszała się, myślał, że nie żyje. Ale Alba je pogryzła, Kraken. Pogryzła pszczoły, gdy tylko znalazły się w jej ustach, jeszcze zanim rohypnol odebrał jej wolę działania. Jedna z nich zdążyła uządlić ją w język, a druga w błonę śluzową, ale żadna nie dotarła żywa do gardła, dlatego Alba się nie udusiła. Kiedy Mario przyprowadził cię na podwórko, w dalszym ciągu udawała, że nie żyje.

Czyli to ty byłaś najsprytniejszym zwierzęciem w całych górach, pomyślałem.

Żyła.

Alba żyła.

Estíbaliz westchnęła i usiadła na łóżku.

– Sama oddała się do dyspozycji przełożonych, żeby zbadali jej udział

w całej sprawie, ale ani sędzia, ani komisarz nie znaleźli żadnych poszlak, które wskazywałyby na to, że była współniczką męża. Sądzą, że Mario Santos, a raczej Nancho Lopidana, wykorzystał ją, żeby móc śledzić od wewnątrz kroki policji i mieć nas pod kontrolą. Poprosiła o przeniesienie. Wyjechała z Vitorii. Wiem tylko, że przeprowadziła się z powrotem do Laguardii, ale jeszcze nie wróciła do pracy.

Odwiedziła mnie?

– Chyba nie.

Jasne, nie ma sprawy. To nawet lepiej.

Wcale tak nie myślałem.

– Daj jej czas, Unai. Nie tylko straciła męża. Odkryła, że była żoną najstraszniejszego mordercy w historii naszego kraju, który omal jej nie zabił, a przy okazji i ciebie. Ma dużo do przemyślenia.

W pełni zgadzałem się z Esti.

Mieliśmy dużo do przemyślenia.

Dlatego kiedy wypisali mnie ze szpitala, zaszyłem się w Villaverde z dziadkiem i Germanem i pozwoliłem, by czas uporządkował bałagan panujący w moim uszkodzonym mózgu.

51

SAN TIRSO

24 października, poniedziałek

Przez kolejne tygodnie żyłem jak w letargu, wykonując rutynowe prace w sadzie, które zlecał mi dziadek, dając sobą kierować.

Moi koledzy z Wydziału Kryminalnego twierdzili, że powinienem codziennie odbywać sesję z logopedą wyspecjalizowanym w rehabilitacji mowy. Argumentowali, że nie będę mógł wrócić do pracy, dopóki nie zacznę mówić. Tyle że ja wcale nie byłem pewien, czy tego pragnę. Ściągać przestępców i mówić.

Szczerze mówiąc, nie miałem już żadnych pragnień.

Nie pragnąłem niczego, chciałem po prostu poddać się życiu.

Nadeszła jesień, chodziłem zbierać jeżyny i owoce tarniny rosnące przy ścieżkach, którymi nie przejeżdżały traktory rozpylające herbicydy.

Narobiłem tyle dzemu jeżynowego i domowej tarninówki, że poważnie zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem się przekwalifikować, zostać producentem i dystrybutorem regionalnej żywności ekologicznej. Germán – któremu zależało, żebym zapomniał o pistoletach i oględzinach miejsc zbrodni – pomógł mi nawet sporządzić obiecujący biznesplan.

W tamten październikowy poranek wspiałem się na San Tirso. Robiłem to co tydzień: opierałem się plecami o skałę i drzemałem. Mimo porannych przymrozków kilka razy spędziłem tam nawet noc.

Ze szczytu można było zobaczyć trzy prowincje. Na północy rozciągały się: Navarrete, Villafría, Villaverde, Bernedo, Urturi i Park Narodowy Izki, na wschodzie leżała Nawarra, a na południu Rioja Alavesa ze swoimi miasteczkami: Elciego, Cripán, Yécora i Laguardia.

Laguardia, zaledwie dwanaście kilometrów w linii prostej od Villaverde.

Wydawała mi się wtedy tak bliska, a jednocześnie tak daleka.

Było mi dobrze w moim górzystym rajku, nie chciałem wracać do rzeczywistości. Nie chciałem, żeby moje życie zmierzało w jakimkolwiek

kierunku.

Telefon od Saioi, wnuczki starego hotelarza z Pampeluny, przypomniał mi o niedotrzymanej obietnicy. Poczuję się fatalnie. Uścisnąłem rękę temu człowiekowi, a potem o nim zapomniałem. A to on dał mi klucz do rozwiązania sprawy.

Nie odbierałem telefonów, nie miało sensu odpowiadać milczeniem. Jednak kiedy zobaczyłem na wyświetlaczu jej imię, automatycznie przeciągnąłem zieloną ikonkę; zapomniałem, że z moich ust nie wydobędzie się żaden dźwięk.

Wstałem i oddaliłem się nieco od monolitu, spoglądając na ciągnącą się pod moimi stopami buczynę.

– Inspektorze Ayala, mówi Saioa, mam nadzieję, że mnie pamiętasz.

W odpowiedzi wydałem z siebie chrapliwy pomruk. Dziewczyna niezrażona mówiła dalej.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że dziadek dowiedział się, co spotkało Nancha Lopidanę i Maria Santosa. Przeczytał o tym w gazecie, wreszcie mógł zrzucić z serca ten ciężar. Dziadek wczoraj umarł, ale przed śmiercią prosił mnie, żebym podziękowała ci za to, że poświęciłeś mu uwagę. Ja... Ja wiem, że straciłeś mowę wskutek postrzału, nie będę ci przeszkadzać. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś – powiedziała i przerwała połączenie.

Czasami wystarczy nadstawić ucha i słuchać. Ci, którzy zetknęli się z mordercą, często mają sporo do powiedzenia, tyle że my, śledczy, nie traktujemy ich poważnie, uważamy się za ekspertów, chociaż nie znamy napastników ani ofiar, w przeciwieństwie do ich otoczenia.

Czasami trzeba po prostu słuchać, pomyślałem.

Może jej wcale nie przeszkadza to, że nie mogę mówić, może po prostu powinienem posłuchać.

Zadzwoiłem do niej. Tamtego dnia musiał wiać południowy wiatr – *hego haizea*, wiatr szaleńców – bo gdybym był przy zdrowych zmysłach, nigdy bym tego nie zrobił. Po co, skoro nie mogłem mówić?

Wybrałem numer Alby, spoglądając z góry na południe.

– Unai, to ty? – zapytała zaskoczona. – Możesz mówić?

Nie otwarłem ust, nawet nie próbowałem. Częściowo ze wstydu, a częściowo z wrażenia, jakie wywarł na mnie jej głos – tak dawno go nie słyszałem.

– Unai?

Postanowiłem przerwać połączenie i przerzucić się na WhatsAppa, zanim zirytuje ją moje milczenie. Kiedy czytałem jej słowa, czułem się tak, jakbym słyszał jej głos. Jakbym miał ją przed sobą.

„Lepiej porozmawiajmy tutaj. Chcę cię zobaczyć” – napisałem.

„To chyba nie najlepszy pomysł – odpowiedziała. – Nie wszystko jeszcze sobie wyjaśniliśmy”.

„Właśnie dlatego”.

„Możemy zrobić to przez WhatsAppa, to sposób równie dobry albo równie zły jak każdy inny. Ty pierwszy”.

„Jak chcesz. Nadal jestem na ciebie zły, Albo. Ukryłaś przede mną, że masz czterdzieści lat, kiedy w Tunelu Chochlika rozmawialiśmy o moich urodzinach... Powinnaś mi była wtedy powiedzieć, że ty też jesteś na liście skazanych”.

„Zawsze sama troszczyłam się o swoje bezpieczeństwo. Jak widzisz, potrafiłam uwolnić się od pszczoł”.

„Nie w tym rzecz. Nie zaufałaś mi. Nigdy nie było między nami zaufania, jakie powinno łączyć parę”.

„Bo nigdy nie byliśmy parą. Miałam męża, Unai”.

„Ale teraz jesteś wdową, a ja wdowcem”.

„Wiesz, że jego matka miała na imię Blanca? Co za ironia”.

„Kolejny powód, żeby nie udawać dłużej kogoś, kim nie jesteś. Teraz już wiesz, jak to jest być z kimś o podwójnej tożsamości”.

Może przesadziłem, ale zebrało się we mnie zbyt dużo złości, toksycznej złości, która skręca trzewia.

„Farbował włosy. Mario farbował włosy na ciemny kolor, a ja jestem policjantką, mieszkałam z nim i niczego się nie domyśliłam. Mówiłeś, że psychopaci nie mają uczuć, że potrafią je udawać. Spodziewałam się jego dziecka. Byłam żoną człowieka niezdolnego do uczuć, który tylko udawał”.

„Ja nie jestem taki. Jestem taki, jak widzisz. I mam uczucia, może nawet zbyt intensywne, bo w tej chwili palą mnie żywym ogniem”.

Ale Alba nie prowadziła ze mną rozmowy, wygłaszała monolog. To była jej spowiedź, musiała to z siebie wyrzucić.

„Nocami przeglądał moje notatki, całą dokumentację ze szkoleń i staży, którą przynosiłam do domu. Studiował ją, znał nasze procedury, chłonał każde moje słowo, kiedy opowiadałam o pracy. Zwłaszcza kiedy miałam kiepski

dzień, kiedy mu się żaliłam. Byłam dla niego prawdziwą kopalnią wiedzy. Przekonał mnie, żebym poprosiła o przeniesienie do Vitorii, bo Tasio miał wyjść z więzienia i Mario chciał przeprowadzić drugą część swojej zemsty. Zrezygnowałam z dotychczasowego życia, zostawiłam najbliższych, wyjechałam z rodzinnego miasteczka tylko dlatego, że morderca chciał wznowić zbrodnię. Wszystko, czym żyłam w ostatnich latach, było kłamstwem”.

Kiedy przeczytałem jej długą wiadomość, miałem ochotę cisnąć komórkę w przepaść.

„Nie wszystko. Nie pozwalam ci tak mówić. To, co nas łączy, było prawdziwe. Wciąż jest prawdziwe”.

„Posłuchaj nas, Unai. Posłuchaj, jak to wszystko brzmi. Jeszcze nie doszliśmy do siebie po tym, co się stało. Muszę zmienić schematy myślenia, rozumiesz to?”

„Nie, ale to akceptuję”.

„Nie rozumiesz?”

„Widziałem cię martwą”.

„A ja widziałam, jak umierasz, widziałam, jak mój mąż do ciebie strzela”.

„Nie przeszliśmy już wystarczająco dużo? Czego jeszcze ci potrzeba?”

„Czasu”.

„Teraz nie masz już męża, teraz nie ma już niczego. Otarłem się o śmierć, patrzę na wszystko inaczej. Mam dość czekania na idealne okoliczności – nigdy nie są idealne. Proszę cię tylko o jedno: nie rezygnuj z kariery z powodu tego, co się stało, nie daj mu tej satysfakcji. Nie rób też tego z mojego powodu, żeby nie musieć się ze mną spotykać. Jeżeli wolisz żyć dalej beze mnie, proszę bardzo, ale chcę, żebyś wiedziała, że możemy razem pracować i nikt na tym nie ucierpi. Przywykniemy”.

Prostackie zagranie, żeby znów być blisko niej.

„Na razie potrzebuję czasu” – napisała.

Pomyślałem ze strachem, że się zacięła i już nie wyjdziemy z tego zaklętego kręgu.

„Wrócisz do pracy w Vitorii?” – zapytałem.

„Nie wiem”.

„Mogę cię odwiedzić w Laguardii? – Nie dawałem za wygraną. – Stoję na szczycie San Tirso, widać stąd twoje miasteczko. Gdybym miał wzrok orła,

który zatacza teraz koła nad moją głową, pewnie bym cię stąd dojrzał”.

„Możesz znowu zacząć mówić?”

„Ostrożnie, Albo – powstrzymałem ją. – Poruszasz delikatny temat”.

„Nie odpowiedziałeś mi”.

„A co to ma do rzeczy?” – zapytałem poirytowany.

„To, że nadal wracamy do zdrowia. Ja muszę wyleczyć się sama i ty musisz wyleczyć się sam. Nie chcę, żebyśmy byli jedną z tych par, które są razem tylko dlatego, że się potrzebują. Jeżeli mamy być razem, to dopiero wtedy, kiedy do siebie dojdiesz, wyzdrowiejesz, o własnych siłach staniesz na nogi. Nie chcę, żebyś mnie potrzebował, nie chcę potrzebować ciebie, twojego pocieszania. Oboje jesteśmy silni, podniesiemy się z tego”.

Postanowiłem uchwycić się tej brzytwy, która tak raniła mi dłońie.

„Zgoda, kiedy się już całkiem pozbieram, przyjadę do ciebie”.

Brutalna prawda była jednak taka, że nie mogłem się pozbierać. Mijały kolejne dni jesieni. Zbierałem orzechy laskowe, zostałem specjalistą od ich prażenia. Niecierpliwie czekałem, aż zacznie się sezon na kasztany, żeby z dziadkiem i Germanem piec je w żarze ogniska.

Ale mój mózg... Bałem się go forsować. Wydawało mi się, że jest jeszcze bardzo delikatny, czułem ranę po kuli, nie znosiłem patrzeć na nią w lustrze, zapuściłem nawet włosy, żeby zakryć bliznę i nie robić z siebie widowiska.

Ironią losu było, że to akurat oni, bliźniacy Ortiz de Zárate, pomogli mi znaleźć wyjście z tej sytuacji.

MIASTO KRAKENA

10 listopada, czwartek

Tamtego popołudnia wyjątkowo nie padało. Deszcz lał od tygodnia, ale było mi wszystko jedno. Nigdy mi nie przeszkadzał, to tylko czysta woda mocząca ubranie. Wykorzystałem jednak przejaśnienie, żeby popracować w ogrodzie przy olbrzymiej gruszy.

– Ktoś do ciebie przyjechał – usłyszałem za plecami głos dziadka.

Kto? – zapytałem ruchem głowy.

Gdy byłem z dziadkiem, nie musiałem pisać. Opracowaliśmy własny język, oparty na marszczeniu brwi i przekrzywianiu głowy, który rozumieliśmy tylko my dwaj. Szło nam świetnie.

– Jeden z dwóch lisów. W dodatku samochodem swojej matki – zauważył.

– Nie chcę nikogo widzieć. – Pokręciłem głową.

– To akurat wie już cała Álava. On mówi, że nie odjedzie. Mam wyciągnąć strzelbę?

Wzruszyłem ramionami. Co za różnica, jak niby miałbym mu to wyperswadować?

Z ociąganiem poszedłem z dziadkiem do domu. Czekał na mnie w starej kuchence, grzejąc dłonie przy ogniu.

Przywitałem się z nim na tablecie.

No proszę, ile mogą zdziałać trzy miesiące wolności.

Tasio, który przede mną siedział, do złudzenia przypominał swojego brata. Przybrał na wadze, zadbał o zęby, miał na sobie niebieską koszulę dodającą mu świeżości i garnitur od Barboura, który kosztował tyle, co moja roczna pensja. Znowu był atrakcyjnym facetem. Jednak na dziadku nie zrobił chyba wrażenia: zza moich pleców dobiegł odgłos ładowanej strzelby.

Spokojnie, dziadku – przekazałem mu ruchem głowy.

– Udało nam się, Kraken. Upolowaliśmy go – powiedział Tasio triumfalnym tonem.

Był teraz zupełnie innym człowiekiem. Śmiał się, gestykułował, patrzył w oczy rozmówcy. Już nie budził strachu. Gdyby był dziewczyną, myślałbym teraz tylko o tym, żeby go przelecieć. Kilka razy, jeśli się udało.

Nigdy nie byłeś narkomanem. Zmieniłeś skórę, znalazłeś sobie genialny kamuflaż.

Zignorował mój komentarz, jakby zapomniał o dwudziestu latach, które spędził w więzieniu.

– Jadę do Los Angeles, muszę nabrać trochę dystansu. HXO chce kolejnego scenariusza. Zastanawiamy się, czy nie przenieść na ekran tego, co wydarzyło się w Vitorii. Od samego początku. Mój prawnik, Garrido-Stoker, skontaktuje się z tobą, żeby omówić warunki adaptacji twojej postaci. Spokojnie, Kraken. Zrezygnuję z *licentia poetica*, po prostu opowiem to, co się stało.

Jaki będzie tytuł?

– *Cisza białego miasta.*

A jak sobie radzisz z tym, że mordercą okazał się wasz brat?

Chciałem to wiedzieć.

– My zniszczyliśmy życie jemu, on zniszczył życie nam. Sprawiedliwości stało się zadość. Jesteśmy kwita. Ignacio znosi to gorzej, obwinia się o to, jak go potraktowaliśmy.

Wyjazd dobrze ci zrobi.

Pokazałem mu ekran.

– To prawda, w Vitorii ludzie traktują mnie dziwnie. Dzieciaki proszą o autografy, ale matki dają im po głowie i odciągają je, zanim skończę składać podpis. To dość niezręczne. Nadal się mnie boją. Całe pokolenie mieszkańców Álavy dorastało, uważając mnie za Kubę Rozpruwacza.

Nie poddasz się, prawda?

– Co masz na myśli?

Pogodzenie się z Vitorią, uwodzenie jej, aż znowu cię zaakceptuje.

– Jeszcze będzie tak jak kiedyś, znów będę się przechadzał po Dato, a ludzie będą witać mnie uśmiechem...

Pokiwałem głową, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Chciał znowu wstąpić na tron. Zawsze pragnął tylko tego: odzyskać tron.

– Ale przede mną jeszcze długa droga, im szybciej w nią wyruszę, tym szybciej skończy się moje wygnanie. Przyszedłem się pożegnać, Kraken.

A twój bliźniak?

– Oczywiście jedzie ze mną. Trwająca dwadzieścia lat i pięć miesięcy rozłąka była wbrew naturze. To już się więcej nie powtórzy.

Oczywiście? Odłożyliście na bok dzielące was różnice?

– Różnice? To mój bliźniak. Nie ma między nami żadnych różnic. Przyjechał tu ze mną, wybrał się na przechadzkę po wiosce. Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

Jasne.

Dwie minuty później w drzwiach kuchenki stanął Ignacio.

– Tylko jego tu brakowało – wydało mi się, że słyszę głos dziadka. Przez cały czas stał obok mnie, nie wypuszczając z rąk strzelby.

Ignacio uściskał mnie wylewnie, znowu się uśmiechał, znowu roztaczał urok. Razem wyglądali czarująco, człowiek nie mógł oderwać od nich wzroku.

Kurde, jesteście identyczni.

Roześmiali się jednocześnie jak dwugłowa hydra. Podobała im się ta gra luster.

Wtedy się zorientowałem. Nie wiem, jakim cudem – najwyraźniej profiler w moim mózgu jeszcze do końca się nie wyłączył.

Chcieliście mi wcisnąć kit. Ty jesteś Ignaciem, a ty, draniu, Tasiem.

Wymienili spojrzenia zaskoczeni.

– Jesteś pierwszą osobą, która... – zaczął Ignacio.

– ...która się zorientowała, odkąd wyszliśmy ze szpitala. Będziemy musieli jeszcze trochę poćwiczyć. Dobra robota, Kraken – dokończył Tasio.

– Właśnie, mamy dla ciebie zaproszenie od władz Vitorii... – dodał Ignacio.

– ...i masy stowarzyszeń, w tym Brygady Pędzla, w której działa nasz przyjaciel MatuSalem – uzupełnił Tasio, puszczając do mnie oko.

Nie chcę żadnych oficjalnych uroczystości!

Pokręciłem głową, stukając w tablet.

– Nic nowego. Nie bądź taki, pozwól się kochać. Miasto przez dwadzieścia lat żyło w strachu... – powiedział Ignacio.

– ...a teraz ludzie muszą się zabawić, odreagować, zamknąć ten rozdział. Zrób to dla vitorczyków, niech uczczą to, że żyjesz – podsumował Tasio.

Niechętnie zgodziłem się na udział w tej uroczystości. Czułem się niezręcznie, ściskając ręce ludziom, z którymi nie mogłem nawet zamienić słowa. Ostatecznie przekonał mnie dziadek, nieco mniej radykalnymi metodami niż strzelba. Był przy mnie tego dnia, podobnie jak Germán i Esti. Onieśmieliła nas instytucjonalna uprzejmość przedstawicieli władz miejskich, którzy otoczyli nas na placu Virgen Blanca i kazali nam przedefilować Correría, ulicą rymarzy znajdującą się na tyłach mojej kamienicy.

Wreszcie dotarliśmy do celu, stromej uliczki Soledad, którą w innym życiu – zaledwie kilka miesięcy wcześniej – wbiegałem o świcie z nadzieją, że spotkam... Zresztą, co za różnica. Co za różnica.

Uliczkę wypełniały tłumy. Sąsiedzi, koledzy, dziennikarze, nieznajomi i nieznajome, którzy witali się ze mną, tak jakby mnie znali. Odpowiadałem im uśmiechem, nieco przytłoczony. Krawat, który kupił dla mnie Germán, zbyt mocno ścisnął mi szyję, czułem się niepewnie w nowej fryzurze. Bałem się, że blizna za bardzo rzuca się w oczy.

– Odwróć się, Unai – powiedziała Estíbaliz. – Mieszkańcy Vitorii chcieli ci złożyć hołd.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że fasada starej kamienicy jest pomalowana. Nie znałem tego muralu.

– Nazwali go *Miasto Krakena*.

Malowidło przedstawiało olbrzymiego krakena, który obejmował mackami: dolmen Chatka Czarownicy, osadę La Hoya, Słoną Dolinę w Añanie, średniowieczny mur, Starą Katedrę, Dom pod Sznurem, taras z niszą Białej Panienci, Wędrowca...

Na ścianie znajdował się także napis, ostatnia zwrotka piosenki *Abrazado a la tristeza*:

Szkoda, że ludzie podziwiają odwagę wykazaną podczas bitwy.

Całe szczęście, że karabiny nie zabijają słów.

Moje serce pokryła gęsia skórka. Odwróciłem się zbyt wzruszony, żeby stawić czoło tym wszystkim ludziom, którzy czekali na moją reakcję. Wtedy go zobaczyłem.

Zobaczyłem go.

Wśród publiczności.

Czarny warkocz Alby.

Wbiła we mnie to swoje intensywne spojrzenie, odpowiadając na pytanie, które zadałem jej wzrokiem. Przyszła, wypełniła swoją część umowy.

Całe szczęście, że karabiny nie zabijają słów, powtórzyłem w myślach.

Tego dnia postanowiłem, że nadszedł czas, by znów zacząć mówić.

PODZIĘKOWANIA

W czasie słynnego przemówienia na Uniwersytecie Stanforda Steve Jobs powiedział, że czasami patrzymy wstecz i widzimy wyraźnie, jak łączą się punkty, które doprowadziły nas do teraźniejszości.

Ja postanowiłam połączyć punkty, które złożyły się na czterdzieści lat mojego życia, a zrobiłam to za pomocą tego, co dla mnie najcenniejsze: swojej wyobraźni.

Izarra to miasteczko, w którym w latach siedemdziesiątych moja matka pracowała jako nauczycielka i gdzie jako czterolatka chodziłam do przedszkola mieszczącego się w starym kamiennym domu. Stamtąd pochodzą moje pierwsze wspomnienia.

Przy ulicy General Álava mieścił się salon, w którym zaczęłam pracę jako optyk w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat, jeszcze zanim skończyłam studia.

Tortille z chorizo z Naroki, koktajl mleczny z Casa Quico i papierowe rożki z frytkami z Amairu są częścią kulinarnego i sentymentalnego dziedzictwa, za którą do dziś tęskni kilka pokoleń vitorczyków.

Ochate, tajemniczy kościółek z San Vicentejo, celtyberyjska osada La Hoya... to miejsca, które wielokrotnie odwiedzałam i do których będę wracać, by dotykać kamieni i wyobrażać sobie, jak żyli moi praprzodkowie – w średniowieczu, w roku zerowym, w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą. To właśnie dzięki takim ćwiczeniom zostałam pisarką.

Villaverde, gdzie mieszka moja stuletnia cioteczna babka, skała San Tirso, droga Trzech Krzyży, na której kładłam się w nocie Perseidów, poruszający się, pokryty biedronkami krzyż na Gorbei, mój dziadek Amancio przebrany za don Tiburcia... Na tych stronicach znajduje się sporo wspomnień z mojego życia.

Co ciekawe, choć sama akcja powieści nie ma ze mną nic wspólnego, jest to na razie moja najbardziej autobiograficzna książka. Zaznaczam jednak, że nazwiska niektórych rodzin, firm i środków przekazu zostały zmienione, a wszystko, o czym tu opowiedziałam, jest fikcją.

Dziękuję władzom miasta Vitorii i pracownikom biura informacji

turystycznej za możliwość zwiedzenia z przewodnikiem wszystkich zabytków opisanych w powieści. Dziękuję również Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny oraz archeologom z Treviño za pomoc w rozszyfrowaniu tajemniczych płaskorzeźb z kościółka w San Vicentejo.

Moim nauczycielom od profilowania kryminalnego i oględzin miejsca zbrodni, którzy woleli, żebym nie ujawniała ich nazwisk. Studiowanie prawdziwych przypadków nie było łatwym doświadczeniem, przyznaję, że niejednokrotnie zastanawiałam się, czy nie zmienić gatunku powieści. Jestem im wdzięczna za cierpliwość i profesjonalizm, z jakimi rozwiewali moje wątpliwości z zakresu medycyny sądowej i kryminalistyki.

Mojej mamie Marisol Sáenz de Urturi Ozaecie oraz mojemu rodzeństwu Nuri i Raulowi za pomoc w gromadzeniu materiałów, których potrzebowałam do napisania tej powieści.

Wszystkim przyjaciółom z Villaverde i innych wiosek gminy Montaña Alavesa za wsparcie, jakiego udzielają mi od początku mojej literackiej kariery: Cesarowi, Davidowi, Garbiñe, Araceli, Oscarowi, Montse, Laurze, Idoi... Przeżyliśmy magiczne dzieciństwo w naszym alavskim Macondo; mam nadzieję, że Villaverde będzie takim schronieniem również dla naszych dzieci.

Napisałam tę powieść w hołdzie dla mojego dziadka Rufina Saenza de Urturi Lopeza. To po nim Unai López de Ayala przejął zdrowy rozsądek, opanowanie, mądrość i wyjątkowość.

Dziękuję kolegom ze szkoły imienia Świętego Wiatora, rocznik 72, za niezapomniane spotkanie z okazji dwudziestopięciolecia ukończenia liceum, które zmotywowało mnie do pracy nad dokończeniem powieści. Za *Lau teilatu*, które odśpiewaliśmy ze wzruszeniem, jakbyśmy wciąż mieli po piętnaście lat i cały świat stał przed nami otworem. Jestem przekonana, że nadal jest nasz i że mamy na nim jeszcze sporo do zrobienia.

Na szczególne podziękowania zasługują: Iraide Ibarretxe, Irune Sáez de Vicuña, Amaia Larrañaga, Mikel Landa, Iñigo Areta, Patricia Uh, Óscar Puelles, Patricia Martínez de Yuso, Lidia Ortueta, Ainhoa Larreina...

Dziękuję także Franowi za to, że jest moim mężem, moim towarzyszem życia, moim powiernikiem i moją kotwicą. I co najważniejsze: za to, że wciąż jest moim najlepszym przyjacielem, choć minęło już tyle lat i mamy za sobą tak długą drogę.

Moim synom Daniemu i Adrianowi za najlepsze lata życia.

Emili Albi i Raquel Gisbert. Za to, że walczyły o mnie i o tę powieść; nigdy nie zdołam wam dostatecznie podziękować za wszystko, co dla mnie

robicie.

Moim czytelnikom, blogerom, dziennikarzom z radia, telewizji i prasy – zwłaszcza Martinowi Sanzowi, świetnemu fachowcowi i dobremu przyjacielowi – którzy wspierali mnie przy każdej nowej publikacji, moim fanom z portali społecznościowych i wszystkim tym, którzy przychodzą na spotkania autorskie i targi książki, by chwilę ze mną porozmawiać. Zmieniście moje życie, to zasługa każdego z was.

I wreszcie mojemu ojcu Eveliowi Garcíi Castañosowi, bo dopóki będę pisać, on nigdy do końca nie odejdzie. Zostawił mi w spadku najcenniejszą dla mnie rzecz: miłość do literatury.

- [1] Rust Cohle, bohater serialu *Detektyw*, tłum. Wojtek Stybliński (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] *Pintxos* – małe kanapeczki, typowa przystawka serwowana w barach na północy Hiszpanii.
- [3] Día del Blusa – święto obchodzone w Vitorii 25 lipca; jego bohaterami są członkowie bractw *blusas*, którzy ubrani w tradycyjne stroje przypominające kitle składają hołd zmarłym przodkom i biorą udział w trwających cały dzień zabawach, takich jak wyścigi osłów czy zawody w toczeniu beczek po winie.
- [4] Herman Melville, *Moby Dick, czyli biały wieloryb*, tłum. Bronisław Zieliński, Warszawa 2005, Biblioteka Gazety Wyborczej, s. 21.
- [5] Celedón – fikcyjna postać wzorowana na żyjącym w XVII wieku Celedoniu Alzoli, który co roku przyjeżdżał do Vitorii na uroczystości ku czci Białej Panienci i zachęcał pozostałych uczestników do zabawy. W XX wieku stał się symbolem sierpniowych świąt, które rozpoczynają się od spuszczenia z dzwonnicy kościoła Świętego Michała przedstawiającej go kukły.
- [6] Podczas koncertu z okazji Halloween w październiku 2012 roku odbywającego się w hali widowiskowej Madrid Arena ktoś rzucił na korytarz zapaloną flarę. Spanikowany tłum próbował wydostać się na zewnątrz jedynym otwartym wyjściem. Cztery uczestniczki imprezy zginęły stratowane.
- [7] Virgen Blanca (Biała Panienska) znaczy dosłownie „biała dziewczyna”.
- [8] Święta Kompania (hiszp. Santa Compaña) – według mitologii hiszpańskiego regionu Galicji procesja potępionych dusz ubranych w białe stroje, dzierżących zapalone świece, prowadzona przez żywego człowieka.
- [9] Zarówno *blanca*, jak i *alba* znaczą „biała”, odpowiednio po hiszpańsku i po łacinie.
- [10] Malowane Miasto (hiszp. *La Ciudad Pintada*) – inicjatywa społeczna *street art* polegająca na malowaniu murali na ścianach budynków Vitorii; Brygady Pędzla (hiszp. *Brigadas de la Brocha*) – inicjatywa władz miejskich polegająca na organizowaniu warsztatów dla nastolatków, którzy potem pomagają artystom w tworzeniu murali.
- [11] Podczas uroczystości spuszczenia kukły Celedona rozpoczynającej trwające kilka dni święta tłum zgromadzony na placu Virgen Blanca zapala cygara i otwiera butelki z szampanem.

- [12] Gra słów – po hiszpańsku jutrzienka to *alba*.
- [13] *Txitxikis* – danie typowe dla Vitorii i okolic: solone kawałeczki wieprzowiny wymieszane z boczkiem i słodką papryką, z których zwykle robi się kiełbasę.
- [14] *Aitas* – po baskijski „rodzice”.
- [15] *Aita* – po baskijski „ojciec”.
- [16] *Amatxo* – po baskijski „mama”.
- [17] *Ama* – po baskijski „matka”.
- [18] Pesety wyszły z obiegu w Hiszpanii w 2002 roku, po wprowadzeniu euro; 1000 peset odpowiadało wówczas 6 euro.
- [19] *Cromos* – karty do kolekcjonowania z wizerunkami postaci z bajek, bohaterów filmów animowanych, piłkarzy itp. Dawniej służyły również do grania: gracze układali karty obrazkiem do dołu na płaskiej powierzchni i kolejno uderzali w nie dłonią z lekko zgiętymi palcami; jeżeli karta się odwróciła, mogli ją zabrać. Wygrywał ten, kto odkrył więcej kart.
- [20] Ernest Hemingway kilkakrotnie wracał do Pampeluny na lipcowe gonitwy z bykami – Sanfermines – którym poświęcił powieść zatytułowaną *Słońce też wschodzi*. Był częstym bywalcem Café Iruña.
- [21] Zipi i Zape – bohaterowie hiszpańskiego komiksu autorstwa Joségo Escobara, niesforni bliźniacy, których można odróżnić jedynie po kolorze włosów: jeden jest brunetem, drugi blondynem.